

KENT

GORDON

NOCNA

PUŁAPKA

14 marca 1990, 21.37 czasu Greenwich, Amsterdam

Był tylko niepozornie wyglądającym mężczyzną w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym. Na nosie miał okulary o szklach mokrych od deszczu. Zwykły urzędas, można by pomyśleć. Nikt. Ktoś, kogo łatwo się zapomina.

Wszedł do małego parku. Przez dwadzieścia metrów kroczył skapaną w świetle latarni ścieżką, po czym skręcił w ciemności na ukryte za rododendronami drewniane schody pnące się stromo ku górze. Na szczycie małego wzniesienia było dość miejsca dla dwóch czy trzech ludzi, którzy, gdyby chcieli, mogli podziwiać panoramę Amsterdamu albo obserwować spacerowiczów - jeśliby jacyś akurat przechadzali się po parku.

Nieznajomy spojrzął w dół. Po trzech minutach pojawiła się kobieta. Nadeszła z przeciwnej strony. Kroczyła powoli, niezgrabnie, co było normalne przy zaawansowanej ciąży. On przez chwilę patrzył na nią, zbiegł na dół rozgarniając mokre gałęzie i stanął przy niej.

Kobieta, wystraszona, zachwiała się i cofnęła o krok, po czym, jak się wydawało, rozpoznała nieznajomego i skuliła się, jakby chciała uchronić przed ciosem siebie lub swoje dziecko. Mężczyzna mówił szybko i bardzo cicho; może miał do sprzedania coś użytecznego, ale niezbyt atrakcyjnego - na przykład polisę ubezpieczeniową. Kobieta przygryzła górną wargę, rozmazując jaskrawoczerwoną szminkę.

Z daleka dobiegał szum samochodów; tu, w parku, było tylko tych dwoje ludzi, jakby odizolowanych od reszty świata.

Mężczyzna pyta ją o coś. Wygląda na to, że mu się spieszy.

Ona potrząsa głową.

On mówi dwa czy trzy słowa. Jest sztywno wyprostowany. Co powiedział? „Czy jesteś pewna? Nie zrobisz tego? Nie możemy?”

Ona szybko potrząsa głową i próbuje się cofnąć.

Mężczyzna wyciągnął rękę z kieszeni płaszcza i poderżnął gardło kobiecie, z którą rozmawiał. Upadła na czarny asfalt. Do kałuży zaczęła się sączyć krew.

Mężczyzna odwrócił się i poszedł.

Po siedmiu minutach siedział już w taksówce. Wyjął z kieszeni płaszcz białą kartkę i czarny długopis. Długopisem postawił znak przy pierwszym z czterech nazwisk na liście. Mały minus.

22.47 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

- Szpieg?
- He? Tak, Rafe?
- Pamiętaj, że mamy stan ograniczonej emisji elektronicznej i nie włączaj nic, dopóki nie powiem, kapujesz?
- Tak, tak, wiem.

Alan Craik zerknął kątem oka na operatora czujników, tak dobrego w swoim fachu, że Alan czuł się przy nim jak dzieciak. Ciągle miał ochotę zadawać mu typowo dziecięce pytania: a skąd pan to wie? A jak pan to robi? Jak, dlaczego, czemu, ale...? Zresztą, właściwie jestem dzieciakiem, pomyślał Alan ze smutkiem, żółtodziobem, dojrzałym dzięki swoim umiejętnościom.

- No to jazda - powiedział Rafe. Alan nie potrafił jeszcze zachowywać się na takim luzie, częściowo autentycznym, a częściowo udawanym, typowym dla doświadczonych lotników.

Samolot z rykiem wystrzelił z katapulty. Alan poczuł się tak, jakby wszystkie flaki opadły mu do skarpet. Powiniennem się do tego przyzwyczaić, pomyślał, dlaczego nie miałbym być ha luzie? Czy ktokolwiek poza nim obawiał się, że dostanie mdłości? Czy ktokolwiek poza nim myślał, że samolot tonie w czarnym oceanie, a nie wzbija się w ciemne niebo?

Czy Alan kiedykolwiek będzie w stanie wystartować z lotniskowca, nie myśląc o swoim ojcu i o tym, jak ciężko być synem wojownika?

15 marca, 1.21 czasu Greenwich, niedaleko lotniska Heathrow

Tam, gdzie droga skręca w stronę Iver, stoi kamienny most nad wąską rzeczką. Gdy spojrzeć w prawo od mostu, między gałęziami widać napis obwieszczający, że to teren prywatny, należący do klubu wędkarzy; patrząc uważniej można wypatrzeć również metalową bramę.

Niepozorny mężczyzna w płaszczu i okularach ruszył w stronę tej bramy. Szedł szybkim krokiem, mimo że panowały ciemności, a ścieżka była błotnista. Wyjął klucz, otworzył bramę i wszedł na teren klubu. Podobnie jak w Amsterdamie, teraz też wspiął się na zbocze zamiast skorzystać ze ścieżki. Obejrzał siatkę ogrodzeniową w świetle małej latarki. Dziury były tam gdzie zawsze. Wyglądało na to, że brama jest tylko na pokaz.

I znowu czekał, obserwując teren. W oddali niebo rozjarzały bladoczerwone światła Londynu; przy drodze, wokół latarni utworzyły się świecące kule z mgły. Po

sześciu minutach na kamiennym moście pojawiła się ludzka sylwetka - tęgi mężczyzna, ledwie widoczny zza nagich, czarnych gałęzi drzew. Przybysz wychylił się przez poręcz, jakby chciał przejrzeć się w lustrze wody, i popatrzył przed siebie, w stronę ogrodzonych terenów. Następnie i on wszedł przez bramę na teren klubu wędkarskiego; w odróżnieniu od drobnego mężczyzny, który przybył tu przed nim, grubas niepewnie stawiał nogi. Zaklął siarczyście i włączył latarkę ukrytą w dłoni tak, by wydostały się tylko cienkie smużki światła. Mocno zasapany, ruszył ścieżką przed siebie.

Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym odezwał się: „Fred”. Mówił chrapliwym głosem, z charakterystycznym akcentem. Fr-r-red. Ten drugi odwrócił się, lekko wystraszony. W słabym świetle płynącym od strony mostu widać było jego grube wargi i powieki, wyglądające tak, jakby bezustannie płynęły spod nich łzy.

Mężczyzna w płaszczu podszedł do niego. Mówił tak, jakby chodziło o coś niezwykle ważnego i pilnego zarazem. Jedną rękę miał wyciągniętą, drugą trzymał w kieszeni. Znowu wydawało się, że chce coś sprzedać, że próbuje o czymś przekonać swojego rozmówcę; kiedy Fred spuścił oczy, mężczyzna pochylił głowę, by nie stracić kontaktu wzrokowego z rozmówcą. Jedno słowo zostało wypowiedziane głośniejsz niż pozostałe: pieniądze.

Fred potarł dłonią tłusty podbródek. Obydwaj mężczyźni rozejrzeli się. Fred podniósł głowę, popatrzył na rozświetlone niebo nad Londynem, powiedział coś, roześmiał się nerwowo.

Niepozorny mężczyzna znowu się pochylił. Powtórzył pytanie: no więc? Tak czy nie?

Fred w odpowiedzi wymamrotał coś, wyraźnie bez przekonania; to jednak wystarczyło. Jego rozmówca uśmiechnął się, skinał głową i ścisnął Freda za ramię. Poklepał go po plecach, jakby mówił: „Dobry pies”. Fred wyszczerzył radośnie zęby.

Rozmawiali jeszcze przez dwie minuty. Mówił głównie ten drobny mężczyzna. Coś cierpliwie wyjaśniał. Fred kiwał głową albo pomrukiwał na znak, że rozumie. Nagle jego rozmówca klepnął go w ramię i odszedł.

Po ośmiu minutach stał już przy telefonie w cieniu zamkniętego pubu. Włączył małą latarkę i wyciągnął białą kartkę. Przy drugim nazwisku na liście - nazwisku Freda - postawił mały plusik.

Długopis zawisł nad trzecim nazwiskiem: Clanwaert.

Mężczyzna spojrział na zegarek i zadzwonił na numer w Moskwie. Upłynęło sporo czasu, zanim udało się uzyskać połączenie - rosyjskie telefony nie działały zbyt dobrze. Wreszcie w słuchawce odezwał się czyjś głos.

- Każ im się przygotować - powiedział nieznajomy.

1.36 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

Tysiąc osiemset metrów nad powierzchnią wody alfa golf siedem zero siedem przecinał powietrze z prędkością czterystu trzydziestu węzłów. S-3B, niewiele młodszy od najmłodszego członka załogi, zaczynał odczuwać zmęczenie. Ludzi siedzących w środku powoli ogarniała nuda.

W dole szkwał burzył spowite w ciemności wody Atlantyku.

S-3B miał za zadanie odnaleźć amerykańską grupą bojową, powracającą do bazy. Takie ćwiczenia zawsze odbywały się w marynarce. Punktem honoru każdego nowo przybyłego dowódcy było nie dać się wpuścić w maliny załodze lotniskowca, którego miejsce zajmowała jego jednostka. Dlatego AG 707, pełniący funkcję forpocztę, próbował odnaleźć grupę bojową, ukrytą gdzieś pomiędzy Gibraltarem a przylądkiem Hatteras.

- Szpieg, chyba posunęliśmy się za daleko na południe - zauważył pilot. - Myślisz, że te palanty siedzą na biegunie, czy jak?

Przydzielony do eskadry oficer wywiadu przeważnie jest nazywany „Szpiegiem” - jeśli ma szczęście. Niektórym bowiem trafiają się o wiele gorsze przydomki. Alan Craik był nowym Szpiegiem - świeżo upieczonym podporucznikiem, młodszym oficerem, który dopiero zdobywał doświadczenie. Rafehausen, pilot, nie przepadał za nim. Ale nazywał go „Szpiegiem”, a nie gorzej, ponieważ Craik był jedynym znanym mu oficerem wywiadu, gotowym wejść na pokład umęczonej starej bestii, AG 707, i latać razem z dorosłymi.

Jak to ktoś powiedział: „W czym oficer wywiadu przypomina Eda, gadającego konia? Gada, ale latać nie umie”.

Ten dzieciak był jednak inny.

Siedem godzin w wyrzucanym fotelu nadal stanowiło dla niego męczarnię. Ale dawało mu to sporą satysfakcję, odkąd odkrył, że jest dobry w tym, co robi - w odczytywaniu i interpretacji danych z monitorów, wyciąganiu ważnych informacji z radaru i komputera. Równie ważne było, że powoli, krok po kroku, zaczęła zdobywać szacunek pozostałych lotników.

I ojca.

- No, Szpieg, co jest grane?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrącił się starszy sierżant Craw.

- Chłopak robi, co może, daj mu pan spokój. Przecież to, co musi znaleźć, to jak tyłek gza siedzącego na tyłku gza.

Rafę mruknął coś pod nosem. Stary samolot otrząsnął się jak pies i leciał dalej w noc.

1.41 czasu Greenwich, Moskwa

Niki Gieblew rąbnął słuchawką o stół i zaczął złorzeczyć prezydentowi Gorbaczowowi, merowi Moskwy Jelcynowi i wszystkim tym, przez których nie mieszkał w Nowym Jorku czy choćby Los Angeles. Już po raz trzeci próbował dojść do ładu ze swoim telefonem. „Połącz się, ty palancie! - chciał krzyknąć. - Bądź miły!”

Niki Gieblew siedział otoczony elektronicznym sprzętem wyprodukowanym w Japonii, na Tajwanie i we Włoszech, który szczęśliwym trafem znalazł się w ciężarówce ukradzionej w Finlandii. Niki był przedsiębiorcą. Nowym Ruskim. Eurokapalistą. Kanciarzem.

- Nareszcie - powiedział. Kiedy załatwi tę sprawę, na jego konto wpłynie całkiem pokaźna sumka.

Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

- Czego? - spytał męski głos.

- Szukam Piotra z „Prawdy”.

Chwila ciszy.

- Piotr przeszedł do Intertelu - odpowiedział ktoś z rezygnacją w głosie.

Niki nie chciał wiedzieć, kim jest ten facet ani co stanie się teraz. Przed jego oczami pojawił się obraz potężnego, nie ogolonego, okrutnego mężczyzny - byłego wojskowego, człowieka niecierpliwego, spragnionego działania. On, Niki, wymigał się od służby wojskowej, bo nie chciał walczyć w Afganistanie; wolał nie myśleć o tym, jak weterani potraktowałiby go, gdyby się o tym dowiedzieli. Oni mieli granaty, pistolety...

Niki wyrwał się z zamyślenia.

- Piotr mówi: „Przygotujcie się”.

Odłożył słuchawkę, nagle spocony. Kolana ugięły się pod nim.

4.39 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

Wszyscy w eskadrze mówili na ten samolot Christine, tak jak nazywał się samochód-morderca w powieści Stephena Kinga. Bo Christine rzeczywiście zabijała. Jej nos urwał marynarzowi głowę podczas startu z katapulty; niektórzy twierdzili, że szczątki tego nieszczęśnika nadal tkwią w kopoluce anteny radiolokatora. Dawno temu, w swoim pierwszym wcieleniu jako S-3A, Christine bez ostrzeżenia wystrzeliła tylne wyrzucane fotele, miażdżąc nogi członków załogi o klawiatury kontrolujące sprzęt elektroniczny. Teraz, przerobiona na S-3B, była niczym starzejąca się królowa po operacji plastycznej - starsza niż na to wyglądała i nad wyraz złośliwa.

Tej nocy dawała się we znaki wibracjami i mnóstwem nieprzyjemnych niespodzianek. Dziwne wahania w jednym ze wskaźników. Niewłaściwe odczyty stanu paliwa. Powoli odkręcająca się nakrętka tuż za oknem drugiego pilota. Nic poważnego, jako że Christine nie była w nastroju do zabijania; ot, drobne, irytujące usterki. Stary, złośliwy samolot - długa, nudna misja.

Nuda i niewygoda. Zapach starego samolotu, hałas silników, nerwowość. Cztery godziny z głowy; jeszcze trzy i do domu, pomyślał Alan i ziewnął. Gdzie jest grupa bojowa? Czemu miałoby go to właściwie obchodzić?

Christine zadrzała i na monitorze coś mignęło, ale po chwili okazało się, że to fałszywy alarm.

Przez głowę Alana przewijały się rozmaite, czasem banalne myśli. Co miał do jedzenia? Może powinien napić się kawy?

Dlaczego Craw wstawił się za nim?

Czy choć jeden z tych chłopaków kiedyś go polubił?

Ile jeszcze zostało czasu?

- Hej, Szpieg, co jest? Nie zamierzam lecieć aż do choleralnej Wyspy Wniebowstąpienia! Co się dzieje, chłopie?

Nic, tylko narzekania. Rafehausen nigdy mnie nie polubi, pomyślał Alan. Różnica kultur, można by powiedzieć. No cóż.

- Chcę, żebyśmy znaleźli się w miejscu, gdzie dałoby się ich złapać na szerokim zasięgu.

- Przecież nie zboczą aż tak daleko z kursu! Te palanty mają za sobą sto dziewięćdziesiąt dni na morzu. A ty nie! - Rafe wolałby zostać jak najbliżej lotniskowca. Chciał pokazać, że dla niego te manewry to tylko zabawa. Chciał wykrzyknąć, że to nie ma żadnego sensu.

Drugi pilot, nerwowy młodszy oficer, na którego wszyscy mówili Narc, próbował podliznąć się Rafe'owi.

- Tak, Szpieg, poczekaj, aż ty posiedzisz sto dziewięćdziesiąt dni. Nikt nie chce, żeby to się wydłużyło do stu dziewięćdziesięciu jeden. -1 wyłącznie z chęci przypodobania się Rafehausenowi dodał: - No, może oprócz tego pieprzonego Szpiega... - Alan usłyszał w interkomie ich śmiech.

Poczuł, że się rumieni. Przez chwilę próbował dostrzec, czy Craw też się śmieje, ale w zielonkawej poświacie bijącej z monitorów widział tylko jego hełmofon i maskę. Zresztą nawet gdyby i Crawa rozbawił niewybredny żart Narca, nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Alan doskonale wiedział, że inni naśmiewali się z niego. Jakkolwiek dziwnie to brzmiało, bawiło ich to, że był taki poważny. To prawda: on niczego nie traktował lekko. Podchodził śmiertelnie poważnie nawet do zwykłych gier.

Alan próbował wymyślić jakąś zjadliwą ripostę, coś zabawnego, co sprawiłoby, że wszyscy by go polubili, ale Rafe i Narc zdążyli już zapomnieć o nim, jego siatkach kartograficznych i wytyczanych kursach; pochłonęła ich dyskusja o paliwie i odczytach, jakie dawała Christine.

Ile jeszcze godzin?

Nic się nie dzieje, pomyślał Alan. Gdzieś coś musi się dziać. Gdzieś.

Pomyślał o Kim. Próbował skierować swoje myśli na inne tory, ale wspomnienie jej cudownego, emanującego erotyzmem ciała w tych okolicznościach było jednak najprzyjemniejsze. Piękna dziewczyna. Bogata. Wspaniała kompan. Seks... o Boże. Kobieta, która zrobiłaby...

Lepiej myśl o monitorze radaru, napomniął się. Bładozielona pustka, hipnotyzujący ruch promienia.

Kim w łóżku, w Orlando. Kim roześmiana, naga. Kim...

Myśl o radarze.

Ile jeszcze godzin?

4.59 czasu Greenwich, Bruksela

Wszedł do terminalu lotniska. Z wyjątkiem podkrążonych oczu niewiele się różnił od innych pasażerów - głównie biznesmenów w drodze do pracy. Niena-

gannie ubrani, w rękach trzymali błyszczące teczki i laptopy, ale o tej porze żaden z nich nie wyglądał jeszcze zbyt olśniewająco.

Nie padał już deszcz, ale asfalt wciąż był mokry. Mężczyzna wyszedł z budynku, podjechał taksówką do hotelu lotniskowego, tam wysiadł i ruszył z powrotem w stronę terminalu, który przed chwilą opuścił. Siedemset metrów dalej stały magazyny, przypominające wyglądem budynki fabryczne. Mężczyzna wszedł na rampę załadowniczą, gdzie za godzinę będą tłoczyły się ciężarówki. Spojrzał na zegarek i zaraz podniósł głowę. Słońce jeszcze nie wzeszło.

Czekał w cieniu. Mimo zmęczenia nie opierał się o ścianę. Był człowiekiem o bardzo silnej woli, choć pozornie przeczyła temu jego drobiazgowość, graniczącą wręcz z obsesją - stąd owa lista, z którą się nie rozstawał.

Claenwaert człapał ku niemu przez płytką kałużę. Claenwaert był flegmatyczny, ocięczały - i za to należało go cenić. Nie był w stanie niczym nikogo zaskoczyć. Czy mógłby się zmienić? Chyba nie. Dłoń mężczyzny zacisnęła się na schowanym w kieszeni płaszczu kawałku stalowego druta.

Zawołał Claenwerta. Ten próbował go wypatrzeć, ale bezskutecznie; chyba jednak dostrzegł w półmroku błysk okularów, bo skierował kroki w stronę rampy załadowniczej. Po prawej stronie Claenwerta stał pojemnik na śmieci, po którym młodszy, sprawniejszy człowiek wspiąłby się bez trudu na górę. On jednak przeszedł piętnaście metrów w przeciwnym kierunku i wgramolił się na stalową drabinę, niczym zmęczony pływak wychodzący z basenu. Następnie poczłapał w cień.

Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym mówił przez całą minutę. W jego zmęczonym głosie znów słychać było zaaferowanie, a zarazem nadzieję. Czy Claenwert to zrobi? Taka okazja. Więcej pieniędzy.

Ale Claenwert wzbraniał się. Mówił coraz głośniejszymi głosami; wyraźnie chciał postawić na swoim. Każdy, kto widział jego niezgrabne człapanie, zdziwiłby się, że stać go na taki wybuch gniewu. Wyglądało na to, że pała nienawiścią do mężczyzny w płaszczu przeciwdeszczowym. Padło słowo „zdrajca”.

- To wszystko trafił szlag - powiedział mężczyzna w płaszczu.

Claenwert był wściekły. Może mężczyzna donosił mu, że umarł jakiś bóg? W każdym razie Claenwert, niczym typowy fanatyk religijny, nie chciał jego słów przyjąć do wiadomości. Wreszcie zabrakło mu sił, mruknął coś pod nosem i zamilkł.

- Przykro mi. - Z cienia dobiegł głos mężczyzny w płaszczu. - Co to takie go? - W świetle pojawiła się wyciągnięta ręka. Claenwert odwrócił się i podążył za nią spojrzeniem.

Stalowa garota opadła mu na szyję i zacisnęła się; mimo że mężczyzna w płaszczu był drobnej budowy, bez trudu poradził sobie z tęgim Claenwertem. On też służył sprawie, tyle że innej.

Z wysiłkiem zaciągnął Claenwerta na krawędź rampy i zrzucił go do pojemnika ze śmieciami.

Po dwudziestu minutach mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym był już w terminalu lotniska, innym niż poprzednio. Skierował kroki w stronę rzędu

automatów telefonicznych, z których połowa była okupowana przez biznesmenów umawiających się na pilne spotkania. Podnosząc słuchawkę, mężczyzna położył przed sobą notatnik i zaczął wykręcać numer: znów dzwonił do Moskwy. W oczekiwaniu na uzyskanie połączenia postawił minus przy nazwisku Claenwerta.

- Tak? - powiedział głos, w którym można było usłyszeć napięcie.
- Powiedz im: „Do dzieła”.

Odłożył słuchawki spojrzął na ostatnie nazwisko na liście. Bonner. Dotknął go końcówką długopisu. Westchnął. Bonner. Mężczyzna postawił przy nazwisku mały znak zapytania. Przez kilka sekund wahał się, najwyraźniej po raz pierwszy odczuwając niepewność - chyba ze zmęczenia. A może sprawiła to myśl o Bonnerze i trudnościach związanych z człowiekiem o tym nazwisku.

6.15 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

- Szpieg? Wyłączyłeś wszystko?

Noc miała się ku końcowi. Dłoń Alana zawisła nad przyciskiem wyłączającym sprzęt elektroniczny. Kiedy go wciśnie, stary komputer („najbardziej nowoczesna technologia lat siedemdziesiątych”) wreszcie będzie mógł sobie odpocząć, a radary zakończą przeczesywanie terenu. Poszukiwania powracającej do Stanów grupy bojowej dobiegną końca.

Alan jednak nie zamierzał się poddać.

- A jeśli popłynęli na północ od Azorów? - powiedział do interkomu. - Radar mógł ich nie wykryć, jeśli schowali się między wyspami.

- Daj spokój, wyłącz sprzęt! Ta misja się skończyła!

Nie chciał ustąpić bez walki. Jeszcze jedno przeszukanie, jeden eksperyment - dla Alana nie istniało coś takiego jak nierozwiązywalne problemy. Zatrzymał dłoń nad przełącznikiem.

- W osiemdziesiątym szóstym popłynęliśmy na północ od Azorów - powiedział Caw z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców stanu Maine. Sposobem mówienia przypominał klauna, choć był śmiertelnie poważnym człowiekiem, który nie miał pojęcia, dlaczego ludzie uśmiechali się, gdy zaczynał mówić. - Admirał Cutter zrobiłby wszystko, żeby nie dać się złapać, mówię wam.

- No, wspaniale - jęknął Rafe. - Cholerny świat, sierzancie, trzyma pan jego stronę? Marzę tylko o tym, żeby coś przekąsić i walnąć się na koję. Szpieg, następnym razem wpadaj nieco wcześniej na te swoje genialne pomysły.

Narc musiał wtrącić swoje trzy grosze.

- Przecież mamy stan ograniczonej emisji.

Ale Caw był uparty, niczym łowca homarów broniący swojego prawa do zastawiania pułapek w tym samym miejscu, gdzie stawiali je ojciec i dziad.

- Nie jesteśmy jeszcze w zasięgu siedemdziesięciu kilometrów. Słuchaj... -To do Alana. - Zacznij przeszukanie, kiedy zboczymy ku północy. Zresztą antena i tak jest odchylona w tamtym kierunku.

- Chryste...! - usłyszał Alan głos Rafe'a.

Alan wyteńczył wzrok. Z trudem odczytał wskazania kompasu. Ustawił przeszukiwanie zgodnie z poleceniem Crawa; niech sobie Rafe wyda inny rozkaz, jeśli mu zależy. Kiedy igła wskazała dokładnie północ, Alan wcisnął parę klawiszy i radar zaczął przeczesywać setki kilometrów oceanu. Crawl na swoim stanowisku wbił wzrok w okrągły obraz świata, w którego centrum znajdowała się Christine. Na wschodzie czekało czternaście statków z ich grupy bojowej. Dwa punkty były większe od pozostałych; lotniskowce USS „Thomas Jefferson” i, co niezwykle w czasie pokoju, „Franklin D. Roosevelt”. Na północy i zachodzie rozciągały się Azory, oddalone o ponad trzysta kilometrów, widoczne tylko jako ziarniste plamy. Alan szybko zidentyfikował te kształty, przypominając sobie właściwy wygląd wysp i to, co wiedział o zniekształceniach powstających w radarze; jego palce przebiegły po klawiaturze, zmuszając komputer do pokazania dalszych szczegółów, po czym wpisał na jednej z wysp dużymi jasnozielonymi literami nazwę PICO.

Na południe od największej wyspy świeciły dwa słabe punkciki. Alan w przybliżeniu wyznaczył ich kurs i prędkość. Strzał w dziesiątkę! Podekscytowany, zapomniał o Rafehausenie.

- Dwa niezidentyfikowane obiekty na powierzchni! Zasięg dwa dziesięćdziesiąt. Chryste, sierzancie, chyba ich mamy.

- Cudo.

- Prędkość trzydzieści do czterdziestu węzłów. Duży i mały banan. Wydaje mi się... wydaje mi się, chłopaki... - Jego palce tańczyły na klawiaturze, wpisując kontakty do łącza danych.

Wtedy jednak w jego entuzjazm wdarł się zimny głos Rafe'a.

- Przypominam wam, że to ja jestem dowódcą misji. Właśnie znaleźliśmy się siedemdziesiąt pięć kilometrów od lotniskowca, a wprowadzony jest stan ograniczonej emisji. Wyłączyć sprzęt! - Zamilkł na chwilę, by rozkaz do nich dotarł. -No już!

Alan przez chwilę miał ochotę się zbuntować. Był wściekły, ale częściowo wynikało to ze zmęczenia. A, co tam - to Rafe jest dowódcą; jakby co, będzie na niego. Ale mimo wszystko... pieprzyć to. Alan wcisnął przycisk, obraz z radaru zniknął. Pozostało tylko zrobić porządek w tylnej części kabiny samolotu.

6.19 czasu Greenwich, Moskwa

. Pod numerem 1743 stał nie wyróżniający się niczym biurowiec, wybudowany jakiś czas po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Podobne budowle powstawały na Zachodzie w latach pięćdziesiątych, więc ta zapewne pochodziła z lat siedemdziesiątych. Przy głównym wejściu stał strażnik, prawdopodobnie tylko na pokaz - był to bowiem starszy mężczyzna ubrany w dwa swetry, czasami oferujący to i owo do sprzedania. Żadna przeszkoda.

Było ich czterech. Niewiele się od siebie różnili, jako że byli w tym samym wieku i mieli za sobą podobne doświadczenia ze Specnazu. Twarze trzech z nich pokrywał kilkudniowy zarost; żaden nie nosił krawata ani kapelusza.

Strażnik machnął na nich, by się zatrzymali.

Jeden z mężczyzn odepchnął lekko starca, a pozostali weszli do środka. Następnie ten pierwszy wyjął pistolet i nakazał strażnikowi położyć się twarzą do ziemi. Starzec posłusznie wykonał polecenie. Młody człowiek strzelił mu w tył głowy.

Czterej mężczyźni wbiegli na piętro, skrzyżowali w prawo i stanęli pod drzwiami z napisem VENUX. Wnętrze, oświetlone lampami fluorescencyjnymi, podzielone było na kabiny ściankami sięgającymi do wysokości półtora metra, obitymi tanim beżowym materiałem. Biuro o tak nowoczesnym wystroju, w którym naprawdę pilnie pracowano, było czymś niezwykłym w tym budynku, w tym mieście.

Czterej mężczyźni wpadli do środka, wyjęli wyposażone w tłumiki kałasznikowy typu 51 i zaczęli strzelać. Mężczyźni i kobiety krzyczeli i usiłowali uciekać; jeden z pracowników próbując zobaczyć, co właściwie się dzieje, podskakiwał i wychylał się zza ścianki, dopóki nie dosięgła go kula. Inni bohaterstwo próbowali osłonić rannych, po czym sami ginęli.

Dwaj intruzi obeszlili całe biuro, strzelając wszystkim - żywym i umarłym - w głowy. Trzeci stanął pod drzwiami, a czwarty wyjął z plecaka jakieś urządzenie, zaniósł je na środek pomieszczenia, spojrzął na zegarek i uruchomił czasomierz.

Wyszli jeden za drugim, osłaniając siebie nawzajem. Pierwszy puścił serię w stronę przerażonych ludzi zgromadzonych na korytarzu, pozostali uczynili to samo, rzucili się do schodów, zbiegli na dół i zniknęli.

Bomba wybuchła i płomień wystrzeliły z okien.

6.24 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

Do lądowania zostały sekundy. W zbiornikach Christine zostało jeszcze około tony paliwa - powinno wystarczyć, chociaż gdyby nie udało się usiąść na lotniskowcu za pierwszym razem, mogłoby być gorąco. Rafehausen nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Christine jest jak niechętna partnerka na studniówce - robi to, co on chce, tyle że nie wtedy, kiedy trzeba. Co za bzdury, pomyślał.

Rafę czułyby się pewniej, gdyby widział okręt. Bał się spojrzeć na wysokościomierz, zamiast tego wlepił wzrok w ciemności, usiłując wypatrzeć światła na dziobie przy lewej burcie, które umożliwiłyby lądowanie. Gdzie one są, do cholery?

Wtedy Christine wyrwała się ze szkwału i nagle zrobiło się jasno, jakby cały pokład lotniskowca uderzył światłem w przywykłe do ciemności oczy Rafe. Pilot skrzywił się. W tej samej chwili dostrzegł skupisko światła, którego tak wypatrywał. Jednak doświadczenie - riiiiał za sobą osiem lat za sterami sa-

molotów - podpowiadało mu, że coś tu nie gra. Nie był to ten układ świateł, o który chodziło.

Nie tu miał lądować.

Mój błąd, pomyślał. A wewnętrzny głos, głos doświadczenia, który dla dobrego pilota jest niczym szept anioła, powiedział więcej: powiedział „pełna moc”; powiedział „ruszaj”, powiedział „idź w górę w górę w górę!” Wszystko to w ułamku sekundy, przez to, że światła nie były ustawione tak jak wtedy, gdy spodziewano się lądowania S-3B, co oznaczało, że naprężenie kabli było nieodpowiednie, instrukcje niewłaściwe, a załoga oczekiwała przybycia kogoś innego.

Rafę miał nawet ochotę, by obejrzeć się i sprawdzić, czy do Christine nie zbliża się F-14.

Wokół oślepiające światło. Pokład był tuż tuż tuż... jest! Samolot szarpnął się; Rafe zwiększył moc...

.. ale maszyna nie zatrzymała się. Pilot nie poczuł charakterystycznego uderzenia w żebra. Obok nie przeleciały żadne graty, zmiecione z pokładu podmuchem powstającym w czasie hamowania. Samolot dalej pędził po pokładzie, noktowizory trafił szlag, iskry strzelały z haka ogonowego, a Christine po chwili wpadła w ciemność.

Członkowie załogi S-3B byli zdumieni i wystraszeni. Kiedy ich samolot przemknął po pokładzie niewłaściwego lotniskowca, widzieli tylko światłość - nie zauważyli zaskoczonego oficera dyżurnego, marynarzy, którzy uskoczyli w porę przed rozpędzoną maszyną, nie dostrzegli również mężczyzny stojącego na pomoście, który przywarł do grodzi, jakby się bał, że samolot urwie mu głowę. Światła padły na tabliczkę z nazwiskiem na jego lewej piersi: Bon-ner, S.

2

6.25 czasu Greenwich, nad Atlantykiem

Alan zacisnął zęby. Choć siedział w tylnej części kabiny, światła oślepiły i jego. Nieudane lądowanie zmyliło go całkowicie; pochylił się nawet odruchowo, tak jakby hak jednak zaczepił się o linę. Tymczasem samolot stoczył się z pokładu i zaczął spadać, pogrążając się w ciemnościach rozświetlonych tylko zielonkawą poświatą monitorów. Nagle Christine zaczęła się piąć ku górze, jakby zdecydowała, że dzisiaj nikogo nie zabije.

- Porażka - mruknął Crawl.
- Zamknij się! - ryknął Rafe.
- Hak poszedł? - spytał Narc.

- Światła się nie zgadzały. - Rafe nie potrafił kłamać, przynajmniej jeśli chodziło o latanie... i kiedy jego rozmówcą był inny pilot. - To nie mój okręt! Cholerny świat, zostało pół tony paliwa! Musimy lądować na nie swoim okręcie!

Na pokładzie oficer odpowiedzialny za sygnalizację rozmawiał już z punktem kontroli lotów, gdzie przysadzisty dowódca w żółtej bluzie z napisem „Miniboss” wpatrywał się w padający deszcz.

- Co u licha? - mruknął miniboss, czyli zastępca oficera do spraw ruchu lotniczego.

- To był S-3. Nie od nas. Żaden taki nie startował z naszego pokładu.

- Jesteś pewien? Obyś się nie mylił!

- Jestem pewien.

Miniboss odwrócił się od luku.

- A ja nie - mruknął i zaczął krzyczeć na porucznika, któremu nie przyszło do głowy sprawdzić, czy w dokumentach nie brakuje jednego S-3: - Źle policzyli czy jak? Skoro już tu jesteś, sprowadź kogoś, kto wie coś o samolotach S-3, nawet gdybyś musiał wyciągnąć z łóżka dowódcę eskadry, bo ten pilot spróbuje jeszcze raz wylądować! - Miniboss podniósł mikrofon. - Co on zamierza?

- Mamy stan ograniczonej emisji; nie jestem z nim w kontakcie.

- Zdaje się, że ten palant jest z „Jeffersona”. Sprawdź, ile mu zostało paliwa.

- Mamy stan ograniczonej emisji.

- Co mnie to obchodzi! Ustaw światła na lądowanie S-3 i dowiedz się, czy uda mu się dolecieć do swojego okrętu. Jeśli nie, przygotuj wszystko na jego przyjęcie. - Odwrócił się, chcąc nakazać, żeby ktoś zatrzymał maszyny patrolujące okolicę w powietrzu do czasu, gdy będzie po wszystkim. - Niech sprawdzi ich stan paliwa i spodziewany czas lotu; poza tym, skoro już się tym zająłeś...

Oficer odpowiedzialny za sygnalizację odpowiednio ustawił soczewki. Był gotów na przyjęcie zbłąkanego samolotu. Spodziewał się przylotu dwóch F-18 A; soczewki były ustawione z myślą o nich. Wyobraził sobie, co się stanie, kiedy hak S-3 zaczepi o kabel przystosowany do znacznie lżejszych F-18, i skrzywił się.

Cóż. Noc, jakich wiele.

Rafę zauważył światła, które wskazywały mu, że ma spróbować jeszcze raz. Narc rozmawiał z dyżurnym i uprzedził go, że zostało niewiele paliwa. No i lada moment miało się stać najgorsze: on, porucznik George Rafehausen, weteran lotów z pokładu lotniskowca, kiedyś skrzydłowy dowódca eskadry, miał wylądować na niewłaściwym okręcie. Rafe westchnął ciężko.

Tym razem nie eksperymentował. Wszystko robił tak, jak w podręcznikach. Ostrożnie podszedł do lądowania. Kąt natarcia był idealny. Niech przynajmniej lądowanie będzie dobre.

Lotniskowiec zaczął się odwracać.

Rafę także musiał skrócić. Standardową procedurę diabli wzięli. Lotniskowiec próbował odwrócić się od szkwału i w ten sposób pomóc pilotowi pechowego S-3, ale akurat jemu nie było to potrzebne do szczęścia. Dlaczego sprawy zawsze musiały tak się komplikować?

- Dym w przewodzie - usłyszał głos Szpiega.

Chwila ciszy, po czym głos Crawa:

- Taśma ciągle się kręci. Zapaliła się od tarcia. Christine, niech cię szlag. -

I jeszcze: - Ja się tym zajmę.

Jasno oświetlony pokład był coraz bliżej.

- Nie ma czasu - powiedział Rafe. - Sierżancie, siedź pan na miejscu. Ładujemy.

Rafę poczuł dym i zaniósł się kaszlem. Czemu nie miał na sobie maski? Tym razem nie spuszczał lotniskowca z oczu. Wszystko będzie dobrze - na pewno. Znowu oślepiło go światło, po czym pokład rzucił się do góry i pochwycił samolot.

Kąt był zbyt duży. Niewiele, odrobinę; zawiniła chwila nieuwagi spowodowana pojawieniem się dymu w kabinie. Ogon uderzył w pokład tuż za jedyną rozciągniętą liną. Do dupy. Rafe zwiększył moc i samolot ponownie wzbił się w ciemność.

Znowu nawalił. Nie mógł w to uwierzyć.

Oficer odpowiedzialny za sygnalizację połączył się z kontrolą lotów.

- Złamał się hak - powiedział.

- Cholera jasna.

- Przygotowuję sieć.

- Zrozumiałem.

Haki muszą być niezwykle wytrzymałe. Załogi sprawdzają je po każdym lądowaniu. Zdarza im się jednak nie zauważyć drobnego pęknięcia, zwłaszcza gdy lotnik myśli akurat o żonie, długach czy przyszłości. A może to Christine wpadła na nowy pomysł.

W każdym razie S-3B stracił zaczep ogonowy.

Na pokładzie lotniskowca ludzie w niebieskich bluzach sprzątaли złamany hak. Obok czekali już inni, ubrani na czerwono - ekipa ratownicza.

Oficer odpowiedzialny za sygnalizację zakomunikował swoim czterem zdumionym słuchaczom, że hak odpadł i właśnie ustawiają barierę. Następnie spytał pechową załogę, ile im zostało paliwa: czterysta kilogramów.

Tym razem Alan, o dziwo, nie martwił się. Czasem dobrze jest nie wiedzieć, co właściwie się dzieje. Ojciec opowiadał mu wiele razy o uszkodzonych samolotach zatrzymujących się na „barierze”, która Alanowi w dzieciństwie przypominała gigantyczną siatkę do siatkówki rozciągniętą na całą szerokość pokładu, by łapać ranne maszyny. Ojciec podobno tyle razy w niej lądował, że w kantine nazywali go „Siata”. Jego zdaniem, był to najłatwiejszy sposób lądowania na świecie.

A zresztą, nie ma wyboru. Nie istnieje żaden inny sposób wylądowania samolotem bez zaczepu ogonowego na pokładzie lotniskowca - a przynajmniej wylądowania w jednym kawałku.

Starszy sierżant Caw wydawał się bardziej zaniepokojony dymiącą taśmą z komputera. Odpiął pasy i z wysiłkiem otworzył skrzynkę. Smród stał się silniejszy. Zaniepokojony, że Caw ma odpięte pasy, a lądowanie może nastąpić w każdej chwili, Alan porwał termos i bez namysłu załaził ogień zimną kawą.

Śwad spalonych przewodów zmienił się w smród przypalonej kawy.

Samolot przechylił się. Caw stracił równowagę i poleciał na swój fotel, po czym ostrożnie usiadł. Christine przechyliła się znowu.

- Przygotować się! - ryknął Rafe.

Caw nieporadnie spróbował zapiąć pasy. Skrzywił się z bólu, gdy samolot wykonał ostry zakręt. Alan zauważył, że sierżant ma poparzone dłonie.

Craik odpiął zatrzaski zabezpieczające. Dzięki temu miał swobodę ruchów od pasa w górę. Wychylił się, wpełznął Crawa głębiej w fotel i odepchnął jego ręce. O dziwo, łatwiej było zapiąć pasy komuś innemu niż sobie.

- No to jazda! - powiedział Rafe.

Alan wcisnął się głębiej w siedzenie i sięgnął przez ramię po pasy. Nic nie wymacał. Nic dziwnego; opierał się o nie.

- Przyjąć pozycję do katapultowania! - krzyknął Narc.

Alan zmusił się, by wykonywać wszystkie czynności powoli, bez paniki: schylić się, sięgnąć nad ramieniem. Chwycić jeden pas. Wyciągnąć go i odszukać drugi. Oprzeć się. Nie myśleć o katapultowaniu. Jeden zatrzask. Żaden problem. Drugi. Przyjąć pozycję do lądowania i trzymać się mocno. Dopiero teraz miał dość czasu, by pomyśleć, że gdyby musiał katapultować się z rozpiętymi pasami, już by nie żył.

Wtedy właśnie uświadomił sobie, że nie nęka go choroba powietrzna. Czuli się dobrze. Umysł miał zadziwiająco jasny. Był gotowy na... czy to Śmierć czekała na nich tam, w dole? Nie, to niemożliwe. Był więc gotowy na to, co miało się stać. O wiele lepiej czuł się, nie musząc myśleć.

Miał ochotę powiedzieć Rafe'owi, żeby się nie martwił, że na pewno wpadnie w barierę jak trzeba. Chciał też zademonstrować swojemu ojcu, że on, jego syn, da sobie radę w marynarce wojennej; trzeba tylko dać mu szansę. Tak, to doświadczenie było potrzebne. Alan czuł się doskonale.

- Podejście w porządku.

- Dwieście kilogramów paliwa.

- Trochę w prawo.

- W porządku.

- Moc.

- Nos w górę... nos w górę... zwiększ moc!

Piętnastotonowy samolot wpadł w sieć rozciągniętą ponad liną hamującą, liną naprężyła się, ogon podniósł, maszyna przetoczyła się przez pokład, rozciągając linę do granic wytrzymałości, aż wreszcie ogon opadł i alfa golf 707 zatrzymał się.

Christine powróciła.

Zarządziła niezadowolona. Miała jeszcze dość paliwa, by poszaleć.

Rafehausen wylądował tak, że uszkodzenia były niewielkie. Christine jeszcze wzbije się w przestworza, chociaż większość samolotów złapanych na barierę nadaje się już tylko na złom.

Oficer odpowiedzialny za sygnalizację spociał się jak ruda mysz. Najważniejsze, że się udało.

- Piękne lądowanie - wymamrotał. - Witajcie na pokładzie USS „Franklin D. Roosevelt”, który jest waszym domem z dala od domu.

Dla Alana była to pierwsza wskazówka, że Christine wylądowała nie na tym lotniskowcu, co trzeba.

Wiedział więc, co czuje Rafe, który tylko warknął:

- Niech nikt nic do mnie nie mówi. Ani słowa!

Samopoczucie Alana gwałtownie się pogorszyło. Spokój opuścił go, pozostawiając po sobie nie chorobę powietrzną, ale zwyczajne mdłości. A jednak się mylił: przed chwilą Śmierć rzeczywiście czekała na niego, uśmiechając się do Christine, miotającej iskry jak palnik spawalniczy. Do rychłego zobaczenia, powiedziała Śmierć. Jeszcze się spotkamy.

Dość tych jałowych rozmyślań.

Alan wciągnął śmierdzące powietrze i spróbował skupić myśli na czym innym. Niewłaściwy okręt. Czyli - okręt jego ojca. Właśnie wylądowali na lotniskowcu, na którym służył ojciec Alana. To go otrzeźwiło. Jak zawsze, na myśl o spotkaniu z ojcem poczuł lekki strach - co i tak było pewną ulgą w porównaniu z szokiem, jaki wywołała w nim świadomość, że cudem uniknął śmierci. Może niepewność, jaka ogarnęła Alana, brała się stąd, że zbyt wiele oczekiwał po każdej rozmowie z ojcem..., a może to ojciec zbyt wiele oczekiwał od niego.

Alan siedział więc w owiniętym siecią samolocie, wpatrując się tępo w czerwone i pomarańczowe cyfry, podczas gdy marynarze spieszyli się, by oczyścić pokład przed powrotem patrolujących okolice F-1 8. Krążyli wokół Christine niczym mrówki zajmujące się królową.

Alan kochał ojca. I bał się go. Jak tu pogodzić jedno z drugim?

I tak Alan Craik, myśląc tylko o sobie i swoim ojcu, nie odgadł, bo przecież nie mógł odgadnąć, że człowiek, przez którego zmieni się jego życie, właśnie uganiał się po pokładzie w grupie ludzi ubranych w czerwone bluzy.

3

7.19 czasu Greenwich, Bruksela

W jednej z kabin ubikacji na lotnisku Brukseli stał nad sedesem niepozornie wyglądający mężczyzna, z zapalniczką w jednej ręce i kartką w drugiej. Już niejedną raz odprawiał ten sam rytuał spalania notatek, sporządzanych jak-

by na przekór wszystkim, w akcie pychy - „podświadomego pragnienia, by zostać schwytanym”, jak powiedzieliby psycholodzy, których serdecznie nie znosił. Byliby w błędzie. On wcale nie chciał, by go złapano. Uśmiechnął się na tę myśl.

Popatrzył na listę. Dwa minusy. Było mu przykro, że stracił tych ludzi; wolałby, by przy ich nazwiskach widniały plusy. Te minusy oznaczały porażki. Wcale go to jednak nie zniechęcało. Zmęczony człowiek łatwiej ulega depresji - znał siebie na tyle dobrze, by zdawać sobie z tego sprawę. Mimo to... Przyłożył płomień do rożka kartki. Przez chwilę patrzył, jak nazwisko Bonnera i znak zapytania powoli znikają, po czym wrzucił palący się papier do sedesu i spuścił wodę.

Szkoda, że z Bonnerem nie pójdzie tak łatwo, jak z tą kartką. Był on bowiem na razie nieosiągalny.

Mężczyzna wyprostował się, pomaszerował do kasy biletowej i zarezerwował miejsce w samolocie do Neapolu.

7.23 czasu Greenwich, Atlantyki

Alan zszedł na pokład i nogi się pod nim ugięły. Siłą woli zmusił się, by dojść do pomostu tak, by nikt nie widział jego słabości. Craw szedł za nim. Rafe i Narc gdzieś zniknęli; kiedy zdążyli wysiąść z samolotu? Alan zdjął hełmofon, zwykły hełmofon początkującego lotnika, bez nazwiska czy znaku rozpoznawczego - na to trzeba było sobie zasłużyć. Nie miał pojęcia, jakim symbolem przyozdobiłby swój hełmofon. Spróbował sobie wyobrazić, co wybrałby dla niego Rafe - skrzydłą dupę?

Było zimno, ale drobne, kaskające krople deszczu przynosiły ulgę, a czyste morskie powietrze krzepiło po wielu godzinach spędzonych w dusznej kabinie samolotu. Lotnikowiec poruszał się z prędkością dwudziestu węzłów; wiejący wiatr zdawał się obmywać Alana z brudu.

Craik odwrócił się i spojrzał przez ramię Crawa na Christine, którą już przenoszono na podnośnik. Jedno skrzydło złożyło się wpół, a opony były podziurawione. Alan poczuł dziwną, irracjonalną sympatię do tego wysłużonego samolotu.

Dłoń Crawa spoczęła na jego ramieniu. Alan drgnął, zaskoczony.

- Jestem panu wdzięczny za to, co pan zrobił. To znaczy, za to, że pan mi pomógł.

- Ja... eee... jak pańskie ręce?

Craw podniósł dłonie błyszczące od maści przeciwooparzeniowej.

- Jestem tłusty niczym mięso w kantynie.

I wybuchnęli śmiechem. Śmiali się, bo w tej chwili wydawało im się to zabawne; śmiali się, bo przeżyli i mogli raz jeszcze ujrzeć ognistą kulę wschodzącą nad Atlantykiem.

- Da pan sobie radę - powiedział po chwili Craw.

Uśmiechnęli się do siebie przez przepaść, jaka dzieliła oficera od podoficera, przez różnicę wieku i doświadczenia.

- Musimy się zmywać - stwierdził sierżant. - Nadlatują samoloty.

Ruszyli razem pomostem w kierunku hangaru; czekało ich jeszcze złożenie raportu, a potem klopsiki w kantynie, ponoć tak tłuste, że wystarczy je lekko pchnąć, by przeleciały ślizgiem przez całą długość stołu. Zmierzali ku unoszącemu się na falach męskiemu światu, gdzie splatały się ze sobą stresy, zwyczaję, sympatie, ukryte uczucia. Przy wejściu do służby świetlnej przystanęli na chwilę. Alan otworzył drzwi, przekonany, że Craw swoimi poparzonymi dłońmi nie da rady tego zrobić. Wymienili spojrzenia i sierżant zniknął.

Alan uzmysłowił sobie, że nigdy jeszcze nie czuł się tak zadowolony. Szok wywołany karkołomnym lądowaniem powoli ustępował.

Był gotów na spotkanie z ojcem, który przebywał gdzieś na pokładzie tego lotniskowca. Pewnie zobaczą się dopiero jutro.

Alan wszedł w ciemności zalegające służę świetlną. Drzwi po drugiej stronie właśnie zamykały się za Crawem; płynący przez nie wąski strumień światła zniknął. Alan ledwie zdał sobie sprawę, że ktoś przy nim stoi, gdy znalazł się w czyichś ramionach.

- Witaj na pokładzie, mały.

- Tata. - Odwzajemnił uścisk. Cieszył się, że jest ciemno i nie widać, jak bardzo obydwoj są zmieszani.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

- Obudził mnie oficer dyżurny. Jak ci się podobała sieć? Fajnie było, nie? Weszli na korytarz. Alan zmrużył oczy, oślepiiony jasnym światłem, i wyrzucił z siebie potok słów:

- Muszę złożyć raport. Wiesz, jak to jest - nowemu trafia się brudna robota. Świetnie wyglądasz, tato. Tak, to był dopiero lot...

- Pójdę z tobą.

Ojciec Alana, dowódca eskadry szturmowej myśliwców A-6, z pewnością był niewyspany, mimo to poświęcił te kilka minut na spotkanie ze swoim synem. Oczywiście, za nic nie powiedziałby tego wprost. Mógł to wyrazić tylko w ten sposób; sama jego obecność wystarczała za wszelkie słowa.

Ostatni raz widzieli się przed trzema tygodniami w klubie oficerów. To było jednak coś innego. Tej nocy po raz pierwszy spotkali się podczas manewrów. Alan czuł się trochę jak podczas krótkiej rozmowy z Crawem - jakby patrzył na ojca przez przepaść i widział w jego oczach nie znane mu dotąd uczucie. Ale dalej rozmawiali o błahostkach. Wszystko pozostawało ukryte.

Aż do chwili, gdy przy wejściu do sali odpraw ojciec objął go za ramiona.

- Jestem z ciebie dumny - powiedział i szybko się odwrócił.

Na pokładzie startowym cisza zwiastowała koniec kolejnego ciężkiego, dwunastogodzinnego dnia. Światła były wyłączone; tylko pojedyncze, niebieskie smugi

z latarek przecinały ciemności, jakby czegoś szukały - niczym psy gończe wyczuwające zdrajcę, o którego istnieniu nikt jeszcze nie wiedział. Ciszę zakłócał tylko ruch powietrza wzbudzany przez „Roosevelta”, sunącego przez ocean z prędkością dwudziestu węzłów.

Niespełna metr pod pokładem startowym rozlegało się chrapanie podporuczników. Wreszcie mogli odpocząć od deflektorów odrzutu i silników z rykiem domagających się startu, od hałasu lądujących maszyn.

Alan wgramolił się do śpiwora i natychmiast zasnął. Powrócił stary, dobrze znany sen: śniło mu się, że czekają go ważne egzaminy, do których nie jest przygotowany. Po przebudzeniu nadal odczuwał lęk przed niepowodzeniem.

W innej części okrętu bosman Sheldon Bonner rozebrał się i położył na koi z otwartą kopertą w lewej dłoni. Mimo że znał już ten list niemal na pamięć, postanowił przeczytać go raz jeszcze. Ziewnął. *Drogi tatusiu*, widniało na górze kartki. Bonner uśmiechnął się nieświadomie. Podniósł list nad głowę.

Drogi tatusiu, co u Ciebie słychać? U mnie wszystko w porządku, ale te szkoły marynarki wojennej zaczynają mnie męczyć. Zalóżę się, że świetnie się bawisz na Morzu Śródziemnym.

Bonner przeczytał list do końca. Następnie wyjął z szafki kartkę i długopis, położył się na boku i zaczął pisać.

Drogi Donnie. Dzięki za list. Właśnie wspominam naszą wyprawę do Idaho na pstrągi. Pamiętasz? Na pewno zapomniałeś. Mieliśmy wtedy niezły ubaw. Tak w ogóle, słuchaj dobrych rad ojca i ucz się pilnie. Jeśli będziesz się wyróżniał, czeka Cię wspaniała przyszłość. Poważnie. Chcę, żebyś zaszedł jak najwyżej. W odróżnieniu ode mnie, masz potencjał. Możesz wiele osiągnąć. Mierz wysoko.

Przez chwilę Bonner zastanawiał się, czy nie przesadza. Nie, nie przesadza, przecież przelewał na papier własne myśli. Jego chłopak mógł zająć wysoko. Bardzo wysoko!

9.53 czasu Greenwich, Moskwa

W Moskwie było zimno i siał deszcz. W dawnej siedzibie KGB, gdzie obecnie mieściły się biura SWR* - nazywane przez wszystkich „dawną siedzibą KGB” - Daria Uspienskaja wpatrywała się w okno, śledząc spojrzeniem kropkle spływające po szybie jak łzy.

- *Il pleut sur la ville comme il pleure dans mon coeur* - mruknęła pod nosem i uśmiechnęła się. W dole po chodniku przemykało kilku zgarbionych ludzi, starających się znaleźć schronienie przed deszczem. Moja biedna Moskwa, pomyślała Daria. W strugach deszczu miasto wyglądało jeszcze gorzej niż zwykle.

Daria Uspienskaja była dość pulchną, ale wciąż ładną kobietą, zawsze w doskonałym humorze. Mężczyźni lubili ją i uważali za seksowną, ponieważ jej uśmiech zdawał się obiecywać niezobowiązującą zabawę; gwarantował, że wszel-

* SWR (Służba Wniesznej Razwiedki) - Służba Wywiadu Zagranicznego (przyp. tłum.).

kie błędy w *ars amandi* zostałyby potraktowane z przymrużeniem oka. Daria flirtowała z wszystkimi, ale nie sypiała z żadnym. Upłynęło wiele czasu od jej rozvodu z mężczyzną, o którym już prawie nie myślała. Jej nieliczne przygody miłosne były krótkotrwałe i nigdy poważne.

Zadzwonił telefon. Jak zwykle z obrzydzeniem podniosła słuchawkę. Ten stary grat zawsze wydawał się zatłuszczony, choć Daria płaciła sprzątacze, by ta go dokładnie czyściła. Uspienskaja chciałaby wreszcie dostać nowy telefon, zielony lub złoty, z przyciskami zamiast tarczy, błyszczący nowoczesnością.

- Dyrektor chce z panią rozmawiać - powiedział kobiecie głos.
- Już idę.

Nie skorzystała z windy w obawie, że znowu będzie się zatrzymywać tylko na co drugim piętrze; weszła na górę szerokimi kamiennymi schodami. Z zadowoleniem czuła, jak pracują jej mięśnie ud i łydek. Miała na sobie komplet „*a la Raisa*”, kupiony w Londynie; ostatnimi czasy wszystkie kobiety starały się naśladować styl żony Gorbaczowa.

- Proszę wejść - powiedziała sekretarka. Była młodą i dziwnie poważną dziewczyną. Darii jednak udało się wkupić w jej łaski za pomocą perfum i różnych drobnych przysług. Dzięki temu poznawała najświeższe plotki i miała ułatwiony dostęp do szefa.

Dyrektor Jakobłow siedział za biurkiem, z nosem utkwionym w jakichś aktach i łysiną wystawioną prosto na drzwi. Był przeziębiony. Oddychał ciężko, smarował i przeklinał. Plastikowy worek u jego stóp do połowy wypełniały zużyte chusteczki.

- Co masz dla mnie? - spytał.
- Powinien pan leżeć w łóżku - powiedziała. W ich rozmowach takie stwierdzenia nie miały podtekstu seksualnego.
- Cholerny świat - mruknął. - Gdybym został w domu, ci na górze uznaliby, że można się beze mnie obejść i wskoczyłabyś na moje miejsce. No dobrze, o co chodzi?

- O Jefremowa.

Jęknął.

- Kazał mi pan zająć się sprawą jego zniknięcia.
- Wiem, wiem! Boże jedyny, Uspienskaja...! - Złapał się za głowę. - Aaaa! Potrzebuję antybiotyków, a oni dają mi krople do nosa! No i?
- Nigdzie go nie ma. Nikt nie przychodził do jego mieszkania od trzech dni. Kazałam je przeszukać. Z raportu wynika, że zostały tam jego ubrania, pieniądze, klucze, a nawet paszport.

- Mów dalej. - Wysmarkał się w nową chusteczkę.
- Jefremow ma drugie mieszkanie niedaleko pomnika Gorkiego, wynajęte na nazwisko Platonów. Jakiś czas temu wydział wewnętrzny założył tam podsłuch; podejrzewam, że Jefremow wiedział o tym. W końcu to doświadczony agent. Czasem przychodziła tam kobieta, zawsze ta sama. Delikatna sprawa.

Dyrektor spojrzał na nią znad kolejnej białej chusteczki.

- To córka Malenkowa, tego gangstera. W mieszkaniu znaleźliśmy również inne, nie nasze urządzenia podsłuchowe. Podejrzewamy, że to właśnie Malenkow kazał je zainstalować.

Jakobów pociągnął nosem.

- Proszę dalej.

- Rozmawiałam z tą dziewczyną osobiście. Ona śmiertelnie boi się ojca. Jest żoną jednego z jego podwładnych; gdyby on albo Malenkow dowiedzieli się o Jefremowie, zabiliby ją. Widać sądziła, że tatusiek niczego się nie domyśla. Twierdzi, że ostatni raz widziała Jefremowa ... - Daria zajrzała w papiery - ...dziesięć dni temu. Miała się z nim spotkać przed trzema dniami, ale on się nie zjawił. Potwierdzają to dane zebrane przez wydział wewnętrzny - siedziała tam sama przez godzinę, potem wyszła. W każdym razie panienska nie ma pojęcia, gdzie on jest, nie umawiała się z nim na żadne potajemne spotkanie i tak dalej, i tak dalej.

- Wierzysz jej?

- Och, zdecydowanie tak. Ta kobieta to kłębek nerwów. Jak jej trochę pogroziłam, o mało nie zemdlą. Musi ją jeszcze przesłuchać ktoś, kto ma więcej czasu ode mnie, wyciągnąć z niej najdrobniejsze szczegóły, a nuż znajdzie się jakaś wskazówka. Ale będziemy musieli obiecać jej coś w zamian - choćby ochronę przed mężem. I ojcem, być może.

Dyrektor machnął chusteczką.

Daria podniosła wzrok na niego. Na chwilę przestał siąkać nosem i spojrzał na nią.

- Przejrzałam pliki na jego komputerze. Zadziwiają ąco...mmm... nieciekawe. Jak pan zapewne wie, nie lubię zgadywać, ale gdybym była słynnym Sherlockiem Holmesem, doszłabym do wniosku, że są one intrygujące właśnie dlatego, że nie ma w nich nic interesującego.

- W końcu jego agentami kierują jacyś niżsi rangą pracownicy. Ilu on właściwie ma agentów?

- Twierdzi, że osiemdziesięciu.

Dyrektor podniósł głowę.

- Twierdzi?

Uspienskaja wzruszyła ramionami.

- Opłacamy osiemdziesięciu, ale nie sądzę, żeby ich było aż tylu.

Dyrektor skinął ponuro głową, jakby jego najgorsze obawy co do cynizmu Darii właśnie znalazły potwierdzenie.

- W niszczarce nic nie znaleziono. Nie było też żadnych śladów palenia papierów. Wynika z tego, że Jefremow nie przygotowywał się do wyjazdu. Zdaje się więc, że mamy do czynienia z przypadkiem człowieka, który, że tak powiem, opuścił nas nie z własnej woli.

Popatrzyła na swojego szefa, czekając na jego reakcję. Ten otworzył szufladę, wyciągnął krople do nosa, włożył buteleczkę do jednego nozdrza, a drugie zacisnął palcem.

- Mów dalej - powiedział aplikując sobie krople.

- Być może część plików została usunięta z jego komputera. Trudno to stwierdzić, dla mnie to wręcz niemożliwe; nie jestem ekspertem. Ten komputer, jak już mówiłam tysiące razy, to antyk i nie można mu ufać. W Ameryce sekretarki mają lepszy sprzęt na swoich biurkach niż pan i ja w... - Machnął ręką na znak, że nieraz już słyszał tę śpiewkę. - Krótko mówiąc, Jefremow zniknął, a ja nie znalazłam żadnych dowodów mogących wskazać tego przyczynę. Rozpłynął się. Jak kamień w wodę.

Dyrektor rzucił się na oparcie tak gwałtownie, że sprężyny pod nim jęknęły; pociągnął nosem, po czym zużył kolejną chusteczkę.

- Jefremow - powiedział po chwili. - Lubię go. Ufam mu. Ty nie?

- Jest oddany swojej pracy. - Daria wiedziała, że nic nie zyska ujawniając swoje podejrzenia. Tak naprawdę bała się Jefremowa i zawsze trzymała się od niego z daleka.

- No dobrze. Co podejrzewasz?

- Ależ, panie dyrektorze! Rani pan moje uczucia. Dlaczego miałabym cokolwiek podejrzewać?

Jakobłow odchrząknął, jakby zamierzał za chwilę splunąć.

- Między nami mówiąc - zaczął - cenię w tobie to, że jesteś taka podejrzliwa. Powiedz, co myślisz. Nie obiecuję, że ci uwierzę.

Daria spojrzała w okno.

- Sama się sobie dziwię, ale nie żywię w sprawie Jefremowa żadnych podejrzeń. To naprawdę zdumiewające. Myślę, że jeszcze za mało wiem i może raczej to budzi moje podejrzania. Od dwóch dni zbieram wiadomości na jego temat i wszystkie są takie... zwyczajne. Jakby był wzorowym urzędnikiem. W sumie, dlaczego miałby nie być? Pułkownik Jefremow ma za sobą wspaniałą karierę; żadnych mrocznych sekretów, żadnych dziwactw, żadnego „drugiego” życia, nie licząc tej pani. Mimo to... - zawiesiła na chwilę głos. - Wciągu ostatnich czterech lat zdecentralizował swoje operacje. Można by powiedzieć, że to doskonały przykład wdrażania pierestrojki. Z drugiej strony, można to również uznać za próbę zamydlenia oczu. Jefremow podzielił swoich agentów na grupy i stworzył własne komórki mające się nimi zajmować. Właściwie nic w tym złego, ale... podobnie jak to robi CIA, zaczął tworzyć fałszywe firmy działające na zasadach wolnorynkowych i wykorzystywał je jako przykrywkę dla swoich organizacji. Jak już mówiłam, nic w tym złego, ale trudniej jest je wytropić.

- Wiemy o nich coś więcej? - powiedział chrapliwym głosem dyrektor.

- Na pewno ich finansowaliśmy.

- Fałszywi agenci? - spytał dyrektor tonem pełnym rozpaczy.

- Nie mam na to dowodów. Ale... - Daria wstała. - Przypuśćmy, że ojciec pani. ten bandzior, dowiedział się czegoś, może od niej, może dzięki podsłuchowi, może z innych źródeł... założmy, że dowiedział się, iż pułkownik KGB - przepraszam, SWR - spotykający się z jego córką, zdobywał pieniądze dzięki stworzonej przez siebie rozbudowanej strukturze administracyjnej. Krótko mówiąc, dowiedział się, że płacimy agentom, którzy nie istnieją. Idzie z tym do Je-

fremowa. Stawia sprawę jasno. Mówi: „Zrób to i to dla mnie, bo inaczej powiem wszystko twoim szefom”.

- To i to?

- Mogło chodzić o informacje na temat KGB... to znaczy SWR... przeniknięcie do zagranicznych firm, pomoc w zdobyciu kontraktu, albo... Boże mój, przecież równie dobrze jak ja wie pan, jakie są sposoby nielegalnego zarabiania pieniędzy!

Dyrektor hałaśliwie wytarł nos.

- Mów dalej.

- Jefremow odmawia albo próbuje uruchomić własne wpływy i tatusiek szybko go załatwia. Albo inna możliwość... Jefremow popełnia samobójstwo.

- Myślisz, że bawiłby się w Lermontowa? To nie w jego stylu.

- Kto wie? Mógł też wyjechać z kraju.

Dyrektor przetarł zaczerwienione oczy.

- A może leży w zepsutym samochodzie zagrzebanym w śniegu przy jakiejś bocznej drodze, w którą skręcił przez pomyłkę jadąc do swojej dachy. - Spojrzał na Darię przez palce. - Nie można wykluczyć przypadku. - Przez chwilę przyglądał jej się badawczo. - Jest coś jeszcze. No, mów.

Daria potrząsnęła energicznie głową.

- Tylko pewna nieprawidłowość. Przed dziewięcioma miesiącami Jefremow powołał do życia kolejną komórkę mającą zajmować się czwórką agentów. Dla niego była to standardowa procedura - tyle że inne jego grupy liczą od dwunastu do piętnastu agentów.

- Nic nadzwyczajnego.

- Chodzi o czterech jego najlepszych agentów. Wie pan, jak bardzo Jefremow lubił się przechwalać, jednocześnie starając się zachować tajemnicę. Tak jak to było z tymi karteluzkami. Zawsze nosił je przy sobie i zapisywał wszystko, co miał załatwić danego dnia. Nawet żółtodziób wiedziałby, że w tym fachu za żadne skarby nie wolno czegoś takiego robić. Jefremow miał w zwyczaju chwalić się informacją, jaką dostał od któregoś ze swoich agentów, zarazem zachowując w tajemnicy szczegóły, jak narodowość agenta czy coś takiego. Pewnych spraw jednak nie ukrywał; na przykład wszystkim mówił, czym jego ludzie się zajmują. Stąd wiem, że jeden z nich był konserwatorem w głównej siedzibie NATO w Brukseli. Jefremow miał też wtyczkę w amerykańskiej armii. Oprócz nich, do tej nowej komórki przypisano jeszcze dwóch agentów.

- Kim oni są?

Daria potrząsnęła głową.

- Zdaje się, że jednym z tych agentów jest kobieta. W tej chwili tylko tyle mogę powiedzieć. Gdyby zgodził się pan, żeby eksperci wzięli się za komputer Jefremowa...

Dyrektor potrząsnął głową.

- Niech ta sprawa nie wychodzi poza nasze mury. - Splunął do chusteczki. - Może Jefremow się znajdzie. Może po prostu gdzieś się zaszył, bo mu smutno. Może nie żyje. - Zawartość chusteczki wprawiła go w jeszcze bardziej ponury

nastrój. - Może to my nie żyjemy, co? Moskwa, miasto umarłych. Kiedyś zarzuciliby mi zdradę, gdybym powiedział coś takiego. Teraz chciałbym, żeby istniał ktoś, kto mógłby to zrobić.

10.38 czasu Greenwich, Atlantyki

Alan zameldował się u majora w centrum wywiadowczym lotnikowca. Peretz był przygarbionym, łysiejącym mężczyzną o niezdrowo podkrążonych oczach i posępnym wyrazie twarzy.

- Jesteś synem Mike'a Craika?

- Tak jest.

- Siadaj, siadaj. Znamy się z twoim ojcem od lat. Poznałem go w pierwszej eskadrze, w jakiej służyłem. - Peretz, niczym wykładowca uniwersytecki, lypał oczami znad okularów, które od czasu do czasu zdejmował, po czym wymachiwał nimi dla podkreślenia swoich słów. W tej chwili zsunął je na czubek nosa i wbił wzrok w Alana. - Słyszałem, że latasz.

- Tak jest.

- Masz zamiar dalej to robić?

Peretz zrobił niemal groteskową minę; Alan zdał sobie sprawę, że zasepienie majora było tylko maską, pod którą skrywało się gorzkie poczucie humoru. Peretz poprawił okulary.

- Jak nazywają cię lotnicy?

- Szpieg.

- Mogło być gorzej. Zwykle takich jak my nazywają „Dupkami”. Dobrze z nimi żyjesz?

- Tak mi się zdaje.

Peretz energicznie pokiwał głową.

- Na pewno wiesz już, że wczorajszej nocy wywęszyła nas druga grupa bojowa - powiedział, patrząc na swoje dłonie.

- O cholera.

Peretz spojrział na Alana. Miał przenikliwe oczy, w których tliła się wesołość - a może tak się tylko wydawało.

- Czy przeprowadziłeś wczoraj radarowy namiar dalekiego zasięgu?

Alan zarumienił się.

- Nie mieliśmy stanu ograniczonej emisji.

- Ludzie z „JFK” byli przekonani, że wczoraj w nocy ktoś ich wytropił. Mieli pewność, że ich dostaniemy. - Peretz podniósł głowę. - Ale nikt nie złożył meldunku.

- Nie, sir.

- Nie wiedziałeś, że masz ich na radarze?

Alan zawahał się. Czy powinien osłaniać Rafe'a? Craik odniósł wrażenie, że Peretz próbuje go czegoś nauczyć; że rozmowa ta dotyczy tylko ich, oficerów wywiadu i lotnicy nie mają z tym nic wspólnego. Postanowił zaryzykować.

- Wytropiłem dwie niezidentyfikowane jednostki na południe od Pico i zidentyfikowałem jedną z nich jako „Kennedy'ego”. Czy miałem rację?

Peretz skinął głową. Wydawał się zafascynowany koniuszkami swoich palców, nawet wachał je od czasu do czasu.

- Dlaczego nie dałeś nam znać?

- Czy w związku z tym będziemy mieli kłopoty?

- My? To znaczy, ty i twój pilot? Nie. To sprawa między oficerem wywiadu z „Kennedy'ego” i mną.

- Myślałem, że admirał się wkurzy.

- Bo się wkurzył. Ale ty jesteś za młody, żeby rzucić cię na pożarcie admirałowi. Zmiażdżenie ciebie nie dałoby mu żadnej satysfakcji; tacy jak on polują dowódców albo jeszcze grubsze ryby. - Peretz uśmiechnął się do swoich dłoni. - Pewien Angol napisał po drugiej wojnie światowej, że oficerów flagowych najtrafniej można porównać do starych dam, przy których trzeba chodzić na palcach. - Uniósł brwi i zerknął na Alana. - Nie zapomnij o tym.

- Nie zgłosiłem tego, bo mój dowódca... powiedzmy, że podjął decyzję o zakończeniu misji.

Peretz położył dłonie na kolanach i pochylił się.

- No dobra. Czas na naukę. Zdobyłeś ważną informację i nie zrobiłeś z nią tego, co powinienś. Nie wystarczy wmówić sobie, że decyzja należy do dowódcy i w razie czego to on za nią odpowie. A gdyby to była prawdziwa akcja bojowa? Jesteś oficerem wywiadu, spoczywa na tobie duża odpowiedzialność. Nie obchodzi mnie, jak bardzo lubisz latać! Najważniejsze są informacje. Zawiodłeś nas. Zawiodłeś siebie. - Odchylił się. - A na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. - Uśmiechnął się. - Musisz nieźle sobie radzić z tym sprzętem, skoro tak ich namierzyłeś.

- Miałem szczęście.

Peretz kiwnął głową.

- Na przyszłość nie zapominaj, że jesteś przede wszystkim oficerem wywiadu. Zgoda? Koniec wykładu. - Machnął ręką. - Tym razem nikt nie będzie miał kłopotów. - Znów energicznie pokiwał głową. - Chcesz być jednym z nich, zgadza się? Należć do ferajny. Lotnicy są naprawdę fajni. - Zachichotał. - Trenuję drużynę piłkarską mojej córki. Same dziewczynki. Wiele się dzięki temu nauczyłem o lotnikach. Teraz widzę ich w innym świetle. Są jak małe dziewczynki.

Alan uznał, że powinien się roześmiać, zrobił to, poczuł się jak zdrajca, w końcu powiedział:

- Jak dziewczynki?

- Tak. Zastanów się. Izolowane grupki. Brak pewności siebie. Wszyscy gromadzą się wokół najlepiej ubranej dziewczynki - to znaczy, gościa, który ma największe chody u dowódcy albo najlepsze oceny za lądowanie. Uwielbiają plotkować. Kryją się po kątach i chichoczą. Zdradzają sobie nawzajem różne sekrety - a potem nasmiewają się z innych. Spójrz na nich od tej strony. Przystaniesz tak się przejmować tym, że jesteś z wywiadu.

W oczach Alana Peretz był zgorzkniałym człowiekiem, który wymyślał różne rzeczy, by ukryć swoje niepowodzenia. Z drugiej strony, trudniej być żydowskim oficerem wywiadu niż Alanem Craikiem; lotnicy zapewne uważali majora za dziwaka. To prawda, porównanie członków eskadry do gromadki małych dziewczynek miało pewien urok. Alan jednak na wszelki wypadek postanowił zmienić temat.

- Jak mam wrócić na swój okręt?

- Nie wrócisz. Przynajmniej dopóki nie wpłyniemy do portu. Do tego czasu zostaniesz ze mną. Rozkaz powinien nadejść lada chwila. - Alan wyraźnie zmartkotniał. - To ważne! Będziesz robił to, co powinien robić porucznik. Poznasz procedury obowiązujące podczas wspólnych operacji i złożysz raport na ten temat na swoim okręcie. Staniesz przed dowódcami eskadr, brygad, kapitanem okrętu i tak dalej. Gdybyś ty tego nie zrobił, i tak musiałbym ściągnąć tu kogoś z twojego lotniskowca.

Alanowi przemknęło przez myśl, że ominie go wiele godzin lotów. Zdał sobie sprawę, że właśnie za to Peretz delikatnie go skarcił - za to, że więcej myśli o lataniu niż o swoim właściwym zajęciu.

- To brzmi nieźle. - Czy naprawdę tak myślał?

Swojego ojca odnalazł w hangarze eskadry. Mike Craik, który właśnie objaśniał coś dwóm oficerom, przytrzymał Alana za rękę, by mu nie uciekł. Po zakończeniu dyskusji wyszli razem na korytarz. Podczas rozmowy z Alanem Craik senior wymieniał uwagi z przechodzącymi obok ludźmi, a ponieważ zdawał się znać wszystkich, jego wypowiedzi przeplatane były zwrotami: „Hej, Jack”, „Się masz, George”, „Smoker, cieszę się, że cię widzę...”. Prawie nie patrzył na Alana i rozglądał się po korytarzu, niczym polityk wypatrujący wyborców. Zresztą może właśnie kimś takim był; funkcja dowódcy eskadry miała też aspekt polityczny.

- No, jak tam? - spytał. - Wypałeś się? Cześć, Gomer.

- Byłem z mordowany.

- Hej, Bill. Słyszałem, że zostajesz tu na kilka dni. Kincaid, czekam na raport w sprawie matki Florio; jeśli to rak, daj mu urlop okolicznościowy. Tak, dzisiaj. Poznałeś Berniego Peretza?

- Tak, ja...

- Hej, Deek, czekaj no, stary, muszę z tobą pogadać. No i co o nim myślisz?

- Sympatyczny facet.

- Mhm. Hej, Mac. Tak, Bernie jest w porządku. Niedługo odchodzi, rozumiesz. - W głosie ojca Alana zabrzmiała ostrzegawcza nuta... co to mogło znaczyć? Że nie należy Peretza traktować poważnie? Że on, Alan, nie powinien brać z niego przykładu?

- Dlaczego?

- Nie dostał awansu. Phil, wczoraj daliście plamę. Nie jesteśmy w mongolskiej marynarce wojennej. Tutaj nikt się nie objaja, kapujesz? Nie załapał się. Ber-

nie jest w porządku, ale... lubi siedzieć w domu z dziećmi i psem. W tym, co robi, jest dobry, staraj się jak najwięcej od niego nauczyć. Pamiętaj: jeśli dobrze się spiszesz, to zaprocentuje na przyszłość. Pokażesz się na paru odprawach, ludzie na górze usłyszą o tobie... to wszystko część naszego zawodu.

- Kiedyś mawiałeś, że najważniejsze jest, by dać z siebie wszystko.

Czemu właściwie to powiedział? W ten sposób między nimi znów wyrosła nieprzekraczalna bariera. Niech sobie mówi, co chce, ostrzegł Alana wewnętrzny głos. Niestety, zrobił to za późno.

- Dać z siebie wszystko i postarać się, żeby wiedzieli o tym inni. Musisz być pragmatykiem, chłopcze. W tym nie jesteś dobry. Nie uczą tego w szkole, zgadza się?

Nie daj się sprowokować, podpowiedział wewnętrzny głos. Jemu też nie jest łatwo. Odwieczny konflikt. Różnice w stylu. W kulturze.

- Może zwiedzimy razem Neapol, co ty na to? - powiedział ojciec.

- Chyba Palmę.

- To twój okręt płynie do Palmy; my schodzimy na ląd w Neapolu. A póki co, jesteś z nami.

- O Boże! Tato, Kim czeka na mnie w Palmie!

- Kim? Ta ruda panienka z dużymi buforami, która była z tobą w Shakey's?

Wtedy Alan stracił panowanie nad sobą.

- Och, wybacz, chciałem powiedzieć: „Ta młoda dama o wspaniałym intelekcie”. Snake... Jackson, hej...

Alan wyrwał rękę z jego uścisku.

- Tato, my już właściwie jesteśmy zaręczeni!

Ojciec spojrział na niego dziwnie. Przestał rozglądać się po korytarzu. Długo milczał; może wahał się, czy powiedzieć to, co myśli.

- Jaki ojciec, taki syn, co? - spytał wreszcie.

- Ty to powiedziałeś. - Craik senior miał za sobą dwa nieudane małżeństwa. Pierwsza żona dała mu syna, Alana; druga, pulchna kobieta o imieniu Thelma, miała wielki biust i mózg mrówki, okazała się jednak na tyle rozsądna, by po ośmiu miesiącach zażądać rozwodu. Alan miał ochotę dodać: „Jak już się ożenie, to na zawsze”, ale w porę ugryzł się w język. Zamiast tego powiedział z wymuszonym spokojem: - Przecież nawet jej nie znasz. - I spłonął rumieńcem.

Ojciec zmarszczył brwi.

- Przepraszam, ale przypomiła mi Thelmę. Daj mi jej adres, to poinformuję ją, że będziesz w Neapolu. - Znów dziwnie spojrział na Alana. - Zdaje się, że mało o tobie wiem.

13.11 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

George Shreed dźwignął się na metalowych laskach i ostrożnie osunął na fotel. Oparł laski o biurko stojące na ozdobnej, podniszczonej podmurówce. Siwe

włosy stały mu dęba, jakby celowo tak je uczesał; wyglądem przypominał nieco Samuela Becketta. Zapalił papierosa i otworzył poranną księgę - strony wypełnione przetrawionymi i dokładnie zanalizowanymi informacjami, wybranymi spośród tysięcy przychodzących każdego dnia. Tak czy inaczej, Shreed uważał, że to w większości bzdury. Przejrzał kilka stron. Jedna z notatek rzuciła mu się w oczy; odruchowo postawił na marginesie mały znaczek.

Moskwa. Masakra w biurowcu. Co najmniej trzydzieści ofiar. Atak dokładnie przygotowany. Prawdopodobnie stoi za tym mafia, ale cel ataku jest nieznanym. Egzekucja strażnika w stylu Specnaz. Nie potwierdzone istnienie fikcyjnej firmy.

Shreed odwrócił stronę, zajrzał na następną, po czym otworzył księgę tam, gdzie zaczynał się dział poświęcony Rosji i okolicznym krajom, ale znów nie znalazł tego, czego szukał.

- Sally! - krzyknął i wcisnął guzik na biurku. - Kilka dni temu z Moskwy przyszła wiadomość o zniknięciu Jefremowa. Zdobądź więcej szczegółów. - Następnie powrócił do przeglądania księgi raportów.

13.21 czasu Greenwich, Moskwa

Po ugaszeniu pożaru w wilgotnym powietrzu wciąż unosił się smród ognia i chemikaliów. Detektyw, z rękami w kieszeniach taniej kurtki, wpatrywał się ponuro w drzwi budynku, z którego wynoszono właśnie kolejny worek ze zwłokami.

- Trzydzieści jeden - powiedział policjant stojący obok.

- Skąd wiesz, że trzydzieści jeden? Poskładałeś ich wszystkich do kupy, czy co?

- Trzydzieści jeden worków.

- Cymbał. - Detektyw przeszedł przez mokrą ulicę i przecisnął się przez grupkę strażaków. To śledztwo będzie parodią. Strażacy i saperzy pozacierali wszystkie możliwe ślady. Minie tydzień, zanim uda się policzyć wszystkie ciała.

- Tam właśnie znaleźli tego dziadka. - Znajomy tajniak wskazywał podłogę pod przeciwległą ścianą. - Strzał z bliska w tył głowy. Typowe.

Typowe, też coś, pomyślał detektyw. Nic takiego się nie działo, dopóki ten palant Gorbaczow nie wyskoczył z tą swoją wolnością i innymi pierdołami.

- Ekswojskowi - powiedział na głos.

- Tak jest.

Detektyw ufał temu człowiekowi. Wiedział, że jest mniej więcej uczciwy i potrafi być spostrzegawczy, jeśli tylko chce mu się ruszyć głową.

- No i? - spytał i popatrzył w górę. Woda spływała po schodach i lała się z dachu. Popękane rury.

- W ciągu ostatnich paru lat z dziesięć razy widziałem coś takiego. Wiesz, jak jest. Wojskowi do wynajęcia są dobrzy w tym, co robią. Cholerni Rambo. Stoi za tym mafia. - Wcześniej rozmawiał z ludźmi przebywającymi w tym budynku

i wiedział, co znajdowało się na górze - wielka sala, poprzedzielana cienkimi ściankami, pełna komputerów i telefonów. Jakiś elektroniczny biznes. - Nie zapłacili, to dostali po łbie - powiedział i wzruszył ramionami.

- Komputery? Forsa z Zachodu?

- Nie wiem. Tak mówią ludzie.

Coś tu się nie zgadzało. Detektyw myślał może wolniej niż inni, ale za to z reguły wysnuwał trafne wnioski. Może dlatego pracował w tym fachu.

- Zobaczmy, jak to wygląda - powiedział.

- Straszny tam burdel.

- Domyślam się. - Ruszył schodami na górę, idąc przy ścianie, gdzie było mniej wody.

14.41 czasu Greenwich, Atlantyk

Peretz nie dał mu nic do roboty, więc Alan z nudów zawędrował do mesy oficerskiej. Lotniskowce niczym się od siebie nie różnią; przebywając na pokładzie każdego z nich człowiek ma za dużo wolnego czasu. Żeby tak znaleźć jakieś zajęcie, czy choćby... Pomyślał o Kim.

Przy jednym ze stolików siedział Narc. Alan ruszył w jego stronę, przypominając sobie słowa Peretza o dziewczęcej drużynie piłki nożnej. Rozejrzał się. Półtora metra dalej pięciu pilotów zanosilo się zbyt głośnym śmiechem; dwaj inni szeptali coś, pochyleni do siebie. Gdyby ich śmiech był trochę bardziej perlisty, gdyby dodać im wszystkim długie włosy - hmm, rzeczywiście, coś w tym było! Alan wspomniał sformułowania użyte przez Peretza: brak pewności siebie, grupki, rywalizacja...

- Hej, Narc.

- Wiesz, do cholery, że musimy tu siedzieć przez pięć dni?

- Czuję się dobrze, dzięki, że spytałeś. A jak ty się miewasz?

- Jestem wkurzony. I nie ma tu ze mną ojca, który mógłby mi dotrzymać towarzystwa, wiesz?

- Dobrze, dobrze, przepraszam. Nie widziałem ostatnio Rafe'a.

Narc prychnął.

- Nasz pilot i sierżant już się zmyli. Fajnie, co? Dowódca zabrał ich do siebie pierwszym helikopterem. Oni polecieli, ja zostałem. Rewelacja!

Alan podświadomie nie zwracał uwagi na jego słowa, wsłuchiwał się tylko w ton. Czy o tym właśnie mówił Peretz? Czy tak właśnie przejawiała się dziecienna zawiść? Alan zaczął się już zastanawiać, jak Narc wyglądałby jako jedenastoletnia dziewczynka, gdy ten nachylił się nad stołem i burknął:

- Myślę, że jestem lepszym pilotem niż Rafe, zgadzasz się?

- Rafe'nie jest zły - mruknął Alan. Próbował zdusić w sobie śmiech, ale słowa Peretza nie dawały mu spokoju. Narc nie przestawał głądzić; Alan tymczasem usiłował odpędzić uporczywie powracający obraz małych dziewczynek w mundurach lotniczych. Człowiek odchodzący ze służby mógł sobie pozwolić

na odrobinę złośliwości; gdyby to Alan powiedział coś takiego, miałby duże kłopoty. Aby popsuć sobie dobry humor, przypomniał sobie, co ojciec mówił o jego dziewczynie.

- Absolutnie - wtrącił się w monolog lotnika. To właśnie chciał usłyszeć Narc - potrzeba mu było kogoś, komu mógłby się wyzalić.

- No właśnie.

Ojciec nie miał prawa tak mówić, pomyślał Alan, ale doszedł do wniosku, że oczywiście miał prawo; najgorsze, że zrobił to w taki sposób, że nie zawahał się przed ciosem poniżej pasa. Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, ale on... Alan kiedyś słyszał, jak ktoś nazwał jego ojca „Mickiem Materacem”; wiedział, że jest z niego niezgorszy kobieciarz.

- Dokładnie - skwitował jakąś kolejną skargę Narca.

Miał wrażenie, że Narc, wdzięczny za okazane wsparcie, zaczyna nabierać do niego sympatii.

- To znaczy - mówił - wcale nie twierdzą, że on jest do niczego. W końcu wylądował samolot w sieć i nawet go nie zniszczył. To było dobre. Trzeba temu pacykowi oddać należny szacunek. Ale do cholery, przecież zaczęło się od tego, że próbował wylądować na niewłaściwym okręcie. Chryste Panie! Czy to można nazwać dobrym lataniem? No jak, można?

- Cóż...

- No właśnie! I jaka spotyka go kara? Wiesz, jaka? Co?

- Jaka?

- Musi postawić piwo wszystkim, którzy przemalują Christine. No? Kapujesz?

Alan nic nie rozumiał. Domyślał się, że ktoś musi zamalować uszkodzone fragmenty kadłuba - no i co z tego?

- Słuchaj, Szpieg, zaraz ci powiem, co i jak. Kiedy lądujesz na niewłaściwym lotniskowcu, na kadłubie samolotu maluje się oznaczenia tegoż lotniskowca. Czyli po naszym lądowaniu Christine faktycznie stała się częścią tutejszej eskadry S-3. Kapujesz? Potem, kiedy odsyła się samolot na właściwy lotnisko wiec, oznaczenia trzeba malować na nowo. Rozumiesz? Wszyscy oficerowie i pod oficerowie z eskadry rzucają się po spreje, żeby potem powiedzieć, że i oni po magali w malowaniu. Innymi słowy, Rafe będzie musiał postawić piwo całej eskadrze. No i co ty na to? Facet ląduje nie tam, gdzie powinien, a my z tej okazji mamy cholerną imprezę. Czy to w porządku?

Narc był wyraźnie zbulwersowany. Może nie zaliczał się do najbardziej bystrych facetów, ale niewiele się mylił uważając, że urodził się, by latać. Chciał zostać astronautą. Wszystko traktował bardzo poważnie.

- Można by przywrócić karę chłosty - powiedział Alan. Okazało się to dużym błędem.

Narc wlepił w niego wzrok. Dopiero po chwili zrozumiał.

- Wiesz, że nie masz za grosz pojęcia, jak postępować z ludźmi? Mówię to dla twojego dobra. Nie umiesz współżyć z innymi.

- O rany, a myślałem, że jestem taki milutki.

- Widzisz? Zawsze te docinki. Domyślałam się, że nie uprawiałeś żadnego sportu. Mam rację?

- Tu cię mam. Właśnie, że uprawiałem.

Narc zmrużył oczy.

- W jakiej byłeś drużynie?

- Zapaśniczej.

- Zapasy! Poważnie? - Narc wyglądał na zaszokowanego. - Dobry byłeś?

Czy był dobry? Ten chudy dzieciak, za mały na swój wiek, który robił to, czego bał się najbardziej, bo nie chciał być tchórzem - chodził w zimie bez kurtki, przepłynął nocą jezioro, trenował zapasy? Nie cierpiał zapasów, ale właśnie dlatego uważał, że musi dalej je uprawiać. Czy był dobry?

- Nie - powiedział.

W ciągu trzech lat nauczył się wszystkich chwytów, rzutów i uników; stał się w tym tak dobry, że trener kazał mu demonstrować je innym zapaśnikom. Ale fizycznie był słaby i rzadko wygrywał walki. Potem, podczas wakacji między trzecią i czwartą klasą szkoły średniej, Alan nagle urósł i awansował do kategorii wagowej najlepszego zawodnika drużyny, wicemistrza stanu. Został więc jego sparringpartnerem i od tamtej pory nie wziął udziału w żadnym pojedynku. Mimo to na zakończenie sezonu trener wręczył mu nagrodę za sukcesy sportowe; jeszcze tego samego wieczoru Alan wyrzucił ją do rzeki Iowa, ponieważ według jego osobistego kodeksu honorowego nagród nie otrzymywało się za ciężką pracę, tylko za osiągnięty sukces.

- Nie wyobrażam sobie ciebie jako zapaśnika - powiedział Narc.

Alan uśmiechnął się do niego.

- Próbowaleś tego kiedyś?

- Broń Boże. Najlepszi goście, jakich znałem, byli zapaśnikami. - Alan najwyraźniej go zaskoczył. - W college'u też walczyłeś?

Alan roześmiał się i potrząsnął głową.

- Zrobiłem, co mogłem, żeby trafić do college'u, który nie miał drużyny zapaśniczej. - Prawdę mówiąc, wybrał college, w którym nie istniała żadna drużyna sportowa. W owym czasie taki właśnie wybrał sposób na życie; zawsze twardo trzymał się sztywnych zasad moralnych, choć co pewien czas zmieniał obrany przez siebie kurs. Ironią losu było to, że na pierwszym roku college'u nabrał mięśni i wtedy właśnie mógłby stać się dobrym zapaśnikiem. Nie zdawał sobie z tego sprawy aż do czasu, gdy w drugim tygodniu pobytu w eskadrze wysłano go w charakterze królika doświadczalnego na nowy kurs samoobrony zorganizowany przez piechotę morską w Quantico. Tam poznał tajniki walki na pięści i po powrocie zameldował swojemu dowódcy, że takie szkolenie to świetny pomysł. Później inni oficerowie, gdy wracali stamtąd posiniaczeni i obolałi, wyzywali go od najgorszych.

- Ja grałem w nogę i baseball - powiedział Narc tak, jakby uważał, że to właśnie są prawdziwe dyscypliny sportowe, dzięki którym zdobywa się doświadczenie, jakiego Alanowi najwyraźniej brakowało. Następnie wyluszczył cierpliwie opracowaną przez siebie teorię życia w grupie, opartą na współdziałaniu w ra-

mach drużyny. Zakończył stwierdzeniem: - Nie obraż się, Craik, ale z tego, co widzę, jesteś odludkiem, rozumiesz?

- Rozumiem. Chodzi ci o to, że jestem odludkiem.

- No właśnie.

- Zapaśnicy tacy już są. Gdybyś spędził cztery lata w objęciach innych face-tów, też chciałbyś trochę spokoju.

- Musisz nauczyć się współżycia z innymi. Założę się, że nie należałeś do bractwa studenckiego.

- Zgadza się.

- A widzisz? Tam najlepiej się można nauczyć, jak postępować wobec innych. Zwracałem na to wiele uwagi. Zauważyłeś na przykład, jak obchodzę się z Rafe'em?

Alan co prawda wcale tego nie zauważył, ale na wszelki wypadek przytaknął.

- O tym właśnie mówię. Rozumiesz, co mam na myśli? Ty ciągle się na niego rzucasz - jak to było z grupą bojową i radarem. Zachowywałeś się, jakby on musiał cię posłuchać, bo tak byłoby słusznie z moralnego punktu widzenia. A ja na twoim miejscu sprowadziłbym całą sprawę do gry, do walki dwóch drużyn. Widzisz, to jak zarządzanie przedsiębiorstwem. Trzeba to umieć. I tego właśnie uczą gry zespołowe. Ja chcę zostać astronautą, no nie? Przy tym potrzeba współpracy wielu ludzi. Mnie nie sprawi żadnych trudności.

- Chyba jest już za późno, żebym brał się za jakiś sport.

- Nigdy nie jest za późno na pracę nad sobą. To jedna z moich zasad. Mam książkę, którą powinienes przeczytać. Pożyczyć ci ją?

Alan był zdumiony, że Narc w ogóle cokolwiek czyta. Głośno powiedział tylko, że bardzo chętnie ją przejrzy.

- Ona zmieni twoje życie.

Alan zaczął się zastanawiać, czy tego chce. Nie wiedzieć czemu, przed oczami stanął mu ojciec, a w duszy Alana zakiełkowało podejrzenie, że całe jego życie, wszystkie gwałtowne przemiany, stanowiły próbę ucieczki od niezaprzeczonego faktu, iż był synem Micka Craika.

4.20 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

Znudzona dyżurna przeglądała napływające wiadomości; od czasu do czasu którąś z nich przesyłała do jednego z plików lub do analizy. Wiedziała, że większość i tak wylądjuje gdzieś na strychu głównego komputera w postaci bajtów na procesorze, który pokryłby się kurzem, gdyby kurz mógł tam się dostać. Ziewnęła. Ze zmęczenia bolały ją oczy. Napiła się zimnej kawy.

Jakaś kobieta została zamordowana w Amsterdamie. Też mi coś, pomyślała dyżurna, pomieszkaj sobie w Waszyngtonie. Hej, ofiara była podejrzana o szpiegostwo. Dyżurna zerknęła na zegarek. Chryste Panie, pomyślała, jeszcze cztery godziny! Kobieta w Amsterdamie. Faj. Nieprzyjemna sprawa. Dyżurna poczuła lekkie mdłości - kobieta w ciąży zakłuta nożem. Co za zwierzę mogło zro-

bić coś takiego? „Kochanka zastępcy *attaché* morskiego z ambasady tureckiej”. To tyle? Morderstwo napalanej panienki. Też mi nowina. Dyżurna przeszła do studiowania następnej wiadomości.

16-19 marca 1990, Atlantyk

Peretz był doskonałym nauczycielem. Alan więcej nauczył się od niego przez te cztery dni, niż w czasie długich miesięcy nauki w szkołach marynarki wojennej. Główną wadą Peretza był cynizm, a także stłumiona, choć często dająca o sobie znać arogancja. Ale uwielbiał mówić o sprawach związanych z wywiadem.

Któróg dnia Alan powiedział mu:

- Szpiegostwo oparte na zasobach ludzkich nie ma przyszłości. - Tak powiedzieli mu w szkole wywiadu: „szpiedzy” należeli do historii, nadchodziła era technologii.

- Powinienem to sobie zapisać? - spytał Peretz. W czasie ich rozmów powtórzył ten żart kilka razy - udawał, że Alan powiedział coś tak ważnego, iż należałoby to zachować ku pamięci potomnych. - O rany, szkoda, że nie mam pod ręką kartki i długopisu. Będę musiał zapamiętać. Jak to szło? „Szpiegostwo oparte na zasobach ludzkich nie ma przyszłości”. Pięknie powiedziane, nie ma co.

- No dobrze, więc pan się z tym nie zgadza.

- Nie ja, synu. Nie zgadzają się z tym na przykład chłopcy z KGB... przepraszam, z SWR. Myślisz, że zatrudniają siedemset tysięcy ludzi dlatego, że uważają, iż tradycyjne szpiegowanie to przeżytek?

- No i co im z tego przyszło? Przegrali. Już po wszystkim.

- Komunizm upadł, czyli szpiegostwo oparte na zasobach ludzkich nie ma przyszłości. Nie bardzo widzę, jak jedno wiąże się z drugim. Zawsze stosujesz takie skróty myślowe?

Kiedy Alan zaczął opowiadać, czego się nauczył w szkole wywiadu, Peretz wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ach, gdybym tak mógł znów być młodym! - westchnął. - Słuchaj, Al... - Od czasów liceum nikt go tak nie nazywał. -..satelity są niesamowite, samoloty szpiegowskie są super, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego jest najwspanialszą organizacją wywiadowczą na świecie. Ale bez ludzi działających w terenie to wszystko byłoby nic niewarte. Potrzebna jest i zaawansowana technologia, i staroświecki werbunek agentów. Amerykanie uwielbiają nowoczesne zabawki, choćby dlatego, że są drogie, a my mamy zaufanie do rzeczy, które dużo kosztują. Coś tak taniego jak zwykły szpieg od razu staje się dla nas podejrzane. Ale taki szpieg może wyrządzić wiele szkód. Jak myślisz, jak doszło do skonstruowania przez Sowietów bomby atomowej?

- Proszę o wybaczenie, ale podany przez pana przykład mówi sam za siebie. Przecież to było ponad czterdzieści lat temu. - Alan zachichotał. Był już w na tyle dobrej komitywie z Peretzem, że mógł dodać: -No, co pan... szpiedzy?

- Al, w tej chwili jesteś zakochany w swoim komputerze i radarze. W po rządku. Ale usiłuję ci przypomnieć, że jesteś oficerem wywiadu. W tej robocie musisz mieć głowę na karku. - Peretz zauważył niedowierzanie w jego oczach. Westchnął. - Wiesz, czego najbardziej się obawiam? Tego, że ktoś podstawi mi agenta i nieświadomie stanę się źródłem informacji dla jakiegoś podrzędnego kraju - Południowej Afryki, Francji czy Izraela. Albo któregoś z państw arabskich. Myślisz, że żyję przeszłością. Nieprawda, kolego: ja wybiegam myślą w przyszłość. Poczekaj tylko, aż słabiej rozwinięte państwa zaczną wyciągać ręce po nasze tajemnice. Wtedy zobaczysz, jak ważne jest odpowiednie wyko rzystywanie agentów. - Wzruszył ramionami. - No dobrze, musisz trochę dorosnąć. Chodź, zanim to się stanie, postawię ci klopsika.

Któregoś dnia pracowali razem do późna, analizując nowy schemat działań. Alan zdawał sobie sprawę, że jest w tym dobry; zaproponował nawet pewne usprawnienie, na które Peretz zareagował z entuzjazmem. Po zakończonej pracy zadowoleni z siebie sączyli zimną kawę, siedząc z nogami na stole.

- Wiesz, że to moja ostatnia misja - stwierdził nagle Peretz.

Alan nie bardzo wiedział, co ma na to odpowiedzieć.

- Twój ojciec powiedział ci, że odchodzę ze służby, prawda?

- Tak jest.

Peretz zaczął oglądać swoje palce.

- Mógłbym wymienić wiele powodów, dla których to robię. Wystarczy za rzec do moich badań sprawności. Ale między nami mówiąc... powiem ci wszystko, bo widzę w tobie człowieka, który być może stanie w obliczu tych samych problemów co ja. Nie byłem zdolny do poświęcenia. Rozumiesz? - Skrzywił się i westchnął. - Nie mogłem poświęcić swoich wątpliwości, swoich żartów, swojej rodziny. Siebie. Chodzi mi o to, że jeśli zostaniesz w wojsku... zapłacisz za to pewną cenę. - Wzruszył ramionami. - Ja nie zdobyłem się na to. - Spojrzał na Alana. - Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Alan wcale nie był tego pewien. Nie znał jeszcze Peretza na tyle, by powiedzieć, czego naprawdę się bał; że jest tu tylko do czasu, kiedy udowodni coś swojemu ojcu.

Przed zejściem na ląd Alan poszedł pożegnać się z Peretzem. Lotniskowiec stał na redzie w Zatoce Neapolitańskiej. Alan czuł się niezwykle podekscytowany, głównie mającym wkrótce nastąpić spotkaniem ze swoją dziewczyną; wydawało mu się, że w powietrzu wyczuwa już zapach jej rozpalonego namiętnością ciała. Marynarze i kobiety, o rany - wszelkie opowieści na ten temat były prawdziwe!

- Schodzę na ląd, sir.

- Hej, miło było z tobą pracować. Twój ojciec ma szczęście. Słuchaj no... Wziął Alana za rękę. - Bądź ze mną w kontakcie. Mówię poważnie.

- Będę.

Mówił szczerze. Zamierzał utrzymywać kontakt z Peretzem, mimo że ojcu to z pewnością się nie spodoba.

Alan znalazł ojca w hangarze eskadry. Wymienili tylko uścisk dłoni, bo wokół znajdowało się zbyt wielu ludzi. Przepaść między nimi nie została zasypana; dlatego też Alan wykręcił się od zaproponowanego przez ojca spotkania w Neapolu.

Później będzie wspominał utracony czas, chwile, które mogli spędzić razem, nabierające wartości wtedy, gdy jest już za późno.

4

20 marca 1990, 6.48 czasu Greenwich, Neapol

Dzień był piękny jak w folderach turystycznych. Błękitna zatoka mieniła się w słońcu; dalej, w kierunku Capri, woda przybierała zieloną barwę, a łodzie płynące na wyspę pozostawiały za sobą białe smugi rozbryzganej piany. Po drugiej stronie widać było Wezuwiusz, a na jego tle budynki gęsto poustawiane na nabrzeżu.

Na bosmanie Sheldonie Bonnerze widok ten nie robił wrażenia. Owszem, Wezuwiusz nieźle się prezentował - nawet Bonner musiał to przyznać - ale hasło „zobaczyć Neapol i umrzeć” zawsze wydawało mu się idiotyczne. Tego dnia Wezuwiusz był nieco słabiej widoczny - to przez ten smog, pomyślał bosman. Osiedlało się tu coraz więcej ludzi, w okolicy powstawały kolejne odrapane miściny. Bonner wierzył, że Wezuwiusz tylko drzemie, że któregoś dnia wybuchnie raz jeszcze i pogrąży cały ten brud w lawie i popiołach. Wtedy wody zatoki staną się czyste, a powietrze znów będzie się nadawało do oddychania. Fajnie byłoby zobaczyć to na własne oczy.

- Hej, Bonner.

Jakiś cymbał stanął za nim w kolejce. Bosman nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, kto to, mruknął tylko coś pod nosem.

- Co, Bonner? Zabawisz się dzisiaj?

- A myślisz, że po co jesteśmy w tej dziurze?

- Jakie są tutejsze panienki, Bonner?

- Takie sobie.

- Kurwa, ale z ciebie cynik. Twoja ślubna wie, że masz takie duże wymagania?

Bonner prowadził takie rozmowy wręcz automatycznie. Zresztą jak prawie wszyscy. Ludzie skrzętnie ukrywali swoje prawdziwe oblicze; gadali o seksie, udanym czy nieudanym, o tym, jak się upili poprzedniej nocy, jak system zrobił ich na szaro, a tymczasem myśleli o czymś zupełnie innym. Na przykład on, Bonner, myślał o pieniądzach.

Kolejka ruszyła do przodu.

- Łódź odpływa - popłynęło z głośnika.

Bonner podał swoje nazwisko i zaczął schodzić po drabinie. W dole między odpływającą łodzią a burtą lotniskowca otwierała się ciemnoniebieska przepaść. Bonner wszedł w cień burty i zrobiło mu się zimno.

Podpłynęła kolejna łódź i marynarze zaczęły wchodzić na pokład. Ruszył i Bonner, ściskając w dłoni komplet przyborów toaletowych.

- Byłeś tu już? - spytał stojący obok niego marynarz. To był gówniarz, dopiero co skończył liceum - Bonner pamiętał go z pokładu hangarowego.

- Wiele razy.

- To prawda, że w Pompejach można zobaczyć faceta z ogromnym kutasem?

- Zależy, co dla ciebie znaczy „ogromny”.

Chłopak parsknął śmiechem i zaczerwienił się. Powiedział, że ze swoimi kolegami chce wynająć wóz, pojechać do Pompejów i pooglądać pornograficzne obrazki. Bonner słuchał go jednym uchem. Nie było sensu tłumaczyć dzieciakowi, że łatwiej i taniej dotarłby na miejsce pociągiem, że te pornograficzne obrazki są głupie. Nie było sensu mówić mu czegokolwiek. A niech ich oskubią włoskie agencje wynajmu samochodów, stacje benzynowe i restauracje; niech zapłacają mi starymu makaroniarzowi sto razy więcej, niż jest wart, żeby wysłuchać jakichś bzdur o Pompejach. Byli młodzi i głupi - i za trzy, najwyżej pięć lat odejdą ze służby albo dostaną awans, podczas gdy on, Bonner, wciąż będzie tylko bosmanem.

Sheldon Bonner, Dożywotni Bosman. Do tej pory został dwukrotnie zdegradowany, ale za każdym razem udawało mu się znów awansować. Teraz wiedział już, że do końca swojej kariery wojskowej pozostanie bosmanem. Wszystkie te bubki szły w górę dzięki takim jak on. I co? Odwdzięczyli się chociaż? Gdzie tam. Po awansie zmieniali mundur, zaczęli się zadawać z podobnymi sobie i nasmiewali się z niego za plecami. Wiedział o tym. W ten sposób stracił już wielu przyjaciół.

- Hej, widzisz tego gościa? - Chłopak trącił Bonnera łokciem i machnął głową w stronę młodego mężczyzny wchodzącego na pokład. Oficer, pomyślał bosman. Takich można rozpoznać nawet w ubraniu cywilnym. Za plecami młodzieńca stał potężny ciemnoskóry mężczyzna, w którym Bonner rozpoznał starszego bosmana sztabowego.

- Widzę, no i co?

- To syn mojego dowódcy. Niesamowite, co?

W oczach Bonnera chłopak wyglądał na najzupełniej normalnego, smarkatego młodszego oficera.

- Co w tym niesamowitego?

- Jest synem dowódcy.

- I to ma być niesamowite?

- Przyleciał na pokładzie S-3, który cztery noce temu złapał się w sieć. Może o tym nie słyszałeś. - Powiedział to ze skrucą, jakby właśnie sobie uświadomił, że to, co żółtodziobom wydawało się niezwykle, stare wygi jak Bonner widziały setki razy.

Bonner mruknął coś pod nosem. Nie obchodzili go oficerowie. Nie mieli z nim praktycznie nic wspólnego. Nie znosił ich, ale w tym akurat nie było nic dziwnego; oficerów nienawidził każdy, kto się do nich nie zaliczał. To był fakt, nieodłączny od świata wojskowego. Bosman zdawał się czuć nad młodym oficerem, ochraniając go. Tatusiek już się o to postarał.

- Miło mieć kogoś, kto na zawołanie podciera ci tyłek - powiedział. Młody marynarz parsknął śmiechem. To nie oficerowie najbardziej denerwowali Bonnera; największą nienawiść żywił do takich nadętych waśniaków jak ten starszy bosman, młodszy od niego, a zarabiający o wiele więcej. Pewnie zrobił karierę dzięki temu, że jest czarny.

- Jesteśmy największą mniejszością na tym cholernym świecie-powiedział Bonner.

- Kto?

Łódź odbiła od burty lotniskowca. Wiatr przybrał na sile. Bonner zadrzał, a gdy łódź wypłynęła z cienia, wystawił twarz do słońca.

- Biali - mruknął.

Czy naprawdę tak myślał? Bonner właściwie nigdy nie był pewien, w co właściwie wierzy. Inni ludzie zdawali się mieć jasno sprecyzowane poglądy na różne sprawy, ale on wiedział tylko, czego nie znosi, do kogo ma żal i komu nie ufa. Na przykład ci faceci z ruchu White Power - z początku wydawali się dość interesujący, ale kiedy próbował z nimi rozmawiać, pletli niesamowite bzdury. Znał też paru ludzi z Ku Klux Klanu; i oni mieli nierówno pod sufitem. Nie, to, czego on nienawidził, było tak wszechogarniające, tak niewytłumaczalne, że nie dało się zrobić z tego sprawy, za którą można by walczyć. Bonner stał oko w oko z potężnym Innym. To był jego wróg. I tyle.

Oczywiście zgadzał się, iż ostatnimi czasy czarni zdobywali zaszczyty tylko dzięki temu, że byli czarni. Z babami to samo. Wszędzie się wciskały. Ale to były tylko drobne fragmenty większej całości, czegoś, co pozostawało ukryte przed oczami wszystkich.

Bonner pewien był tylko jednego: uczciwością niczego się nie osiągnie. Każdy bogacz miał na sumieniu jakieś brudne sprawy. Różnica między ludźmi z forszą a ludźmi bez niej polegała na tym, że ci z forszą nie dali się złapać.

- Czy Neapol naprawdę jest taki okropny, jak mówią? - spytał chłopak. Wydawał się nerwowy, jak kurczak czekający na oskubanie. Bonner poczuł do niego pewną sympatię; miał syna mniej więcej w tym wieku.

Zaczął opowiadać chłopakowi o Neapolu. Dał mu wiele dobrych rad, choć wiedział, że na próżno.

- Pamiętaj, używaj kondomów. Tutejsze dziwki jedzą HIV na śniadanie.

Alan Craik pozwolił, by bosman sztabowy Gibbs odeskortaował go pod same drzwi hotelu Hilton. Gibbs najwyraźniej pocztywał sobie troskę o syna dowódcy za obowiązek; w innych okolicznościach mogłoby to wkurzyć Alana, ale tym razem postanowił, że powściągnie nerwy.

- Myślę, że dam radę samemu wejść do środka, bosmanie.

Gibbs wyszczerzył zęby w uśmiechu. Był potężnym mężczyzną, niemal za dużym jak na marynarza.

- Neapol nie jest bezpiecznym miastem, panie Craik.

- Tak, ale w Hiltonie nikt mnie chyba nie napadnie. Dziękuję za troskę.

Gibbs uśmiechnął się szeroko. Alan miał wrażenie, że był to uśmiech pobłażliwy.

- Bosmanie, ja kiedyś mieszkałem w tym mieście. Co prawda miałem wtedy dziewięć lat, ale dzieci dużo zapamiętują. *Capiscel* - Gibbs miał sceptyczną minę. - Mój ojciec był oddelegowany do tutejszej misji NATO. Mieszkałem... o tam. - Wyciągnął rękę w stronę Vomero, ledwie widocznego między drapaczami chmur. Próbował powiedzieć coś w języku włoskim, którego uczył się potajemnie w dzieciństwie: *-Ero un'piccolo scugnizz'americano; ho vista tutto, tutto, d'accordo?* - Wypowiedziawszy te słowa roześmiał się. Zapamiętał Neapol głównie dlatego, że właśnie tutaj rozpadło się małżeństwo jego rodziców. Samo miasto nie miało z tym związku; zawiły rygor służby w marynarce wojennej.

- No to w porządku. Proszę zachować ostrożność, dobrze?

Potężny mężczyzna ruszył niespiesznie w stronę krawężnika. Lawirując między samochodami przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął.

Alan wszedł do lobby hotelowego, które wydawało mu się znajome głównie dzięki temu, że nie różniło się od dziesiątków innych, jakie oglądał. Zaprojektowane zostało na modłę amerykańską. Recepcjonistka była uderzająco piękna, o typowo neapolitańskiej urodzie: obfite kształty i twarz Sofii Loren. Jak służąca zatrudniona w domu rodziców, gdy Alan miał dziewięć lat - jego przyjaciółka, która uczyła go włoskiego, bo nie mówiła po angielsku. Teresa. Jej mąż, nędzny kurdupel, znęcał się nad nią.

- *Perfavore, signora.*

- Tak, sir? - Nie zamierzała pozwolić, by mówił po włosku.

- Czy jest u państwa gość nazwiskiem Hoyt? Inicjał K? - Czy Kim zdołała tu dotrzeć?

- Pokój dwanaście trzydzieści jeden. Telefony są tam, w korytarzu.

Nogi miał jak z waty. Nie widział Kim od sześciu tygodni. Była dla niego nowym doświadczeniem - nieszczęśliwa, nienasycona, bogata panienka. Teraz, kierując się ku telefonom, Alan zaczął się obawiać, że tamte dziewięć dni było tylko snem; może to, co wtedy się stało, w rzeczywistości wyglądało inaczej niż zapamiętał. Przypomniawszy sobie też, jak jego ojciec wyrażał się o Kim - sugerując, że jest głupia i łatwa.

Ale przyjechała tutaj. Wysłał do niej wiadomość, a ona wskoczyła do samolotu i przybyła do Neapolu.

- Kim? Tu Alan.

- O Boże! Chodź na górę! Zachichotała. - Byłam na zakupach!

Kiedy mu otworzyła, Alan natychmiast domyślił się, gdzie robiła zakupy. Ledwie drzwi zamknęły się za nimi, a już złączyli się w namiętnym uścisku.

Bosman Bonner ominął z daleka alfonsów i tajniaków; odpędził machnięciem ręki małych kieszonkowców, wyczekujących na załogę lotniskowca. W budce na nabrzeżu wymienił dwadzieścia dolarów, co sprawiło, że kręcący się w pobliżu cinkciarz (zapewne glina) zrobił obrażoną minę; potem Bonner skierował kroki do najbliższego sklepiku z papierosami.

- Camele. I kartę *di telyfono* - zażądał kalecząc język.

- *Bene*. - Bonner rzucił na ladę piętnaście tysięcy lirów i sprzedawca dokładnie wyliczył mu resztę. Bosman wiedział, że każdy Włoch oszukałby go bez wahania, dlatego starał się nie dawać im po temu okazji. Miał wrażenie, że oni to wiedzą. Uważał, że musi dawać wszystkim do zrozumienia, iż jest twardy i zdecydowany, bo inaczej świat wystrychnie go na dudka.

- *Grazzy* - powiedział. Sprzedawca tylko skinął głową.

Wszyscy drobni kanciarze i mali sutenerzy z południowych Włoch stawili się w Neapolu, by powitać amerykański okręt. I bez tego roilo się tu od bandziorów; tego dnia będzie ich o wiele więcej - zjawią się karty udające dzieci, matki, które okaleczyły swoje pociechy, by zapewnić im przyszłość w żebraczym fachu, mężczyźni poprzebierani za zakonnice, transwestyci wabiący naiwne dzieciaki w boczne uliczki. Bonner szedł przez miasto oszustów. Zresztą jego zdaniem wszędzie panował taki sam burdel; przez to nigdzie nie czuł się dobrze.

Wąska ulica, pełna sklepów, zawiodła go na wielki plac przed starym pałacem Burbonów. Było tam już kilku innych marynarzy, którzy wybrali się na zwiedzanie miasta; to bubki, których Mattingly nazywał „koniowałami”. Jeden z nich miał nawet przewodnik i czytał coś swojemu kompanowi. Bonner szedł z nimi. Nad jego głową wznosiły się posągi królów z dynastii Burbonów, stojące w osobnych niszach; pod każdym z nich znajdował się kamienny blok i coś na kształt krawężnika. Postronny obserwator nie mógłby stwierdzić z całą pewnością, czy Bonner zauważył przy trzecim z czterech pomników zakreślony kredą okrąg. Wiadomo tylko, że za pałacem Amerykanin skręcił nie przyspieszając kroku i ruszył przez plac, wzdłuż portyków przypominających te, które znajdują się na placu Świętego Piotra w Rzymie, po czym zboczył w *Via Chiaia*. I nikt, kto go obserwował, nie domyśliłby się, że widok zakreślonego kredą okręgu wzbudził w Bonnerze złość; bosman zachowywał cały czas kamienną twarz.

Na drugim końcu *Via Chiaia* stoi stare duże kino, niegdyś służące za schron, wcinające się z boku rufowego wzgórza. W środku zawsze jest chłodno, a w powietrzu unosi się zapach pleśni i kocich odchodów. Budynek ten ma wszakże jedną bardzo ważną zaletę: jest otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzięki czemu ludzie tacy jak Bonner mogą robić tam różne dziwne rzeczy.

Bosman kupił bilet i wszedł na piętro. Minał drzwi do pierwszej ubikacji męskiej i zawędrował o wiele za daleko w głąb budynku, gdyby rzeczywiście chciał obejrzeć film. Zatrzymał się bowiem dopiero przy wejściu do małej, dobrze ukrytej ubikacji po drugiej stronie budynku. Tam odlał się, stanął przy umywalce i zaczął się niespiesznie czesać. Torbę postawił między nogami. Za-

czekał, aż z ubikacji wyjdzie gruby mężczyzna w brudnej koszuli. Poza nim znajdował się tu tylko jeszcze jeden człowiek, zamknięty w kabinie i zajęty zasmradzaniem całego pomieszczenia. Bonner szybko pochylił się i wyjął coś spod drugiej umywalki od ściany, wcisnął to do kieszeni i wyszedł. Nie obejrzał filmu.

Wynajął pokój w hotelu oddalonym o przecznicę od ulic, po których zwykle wędrowali turyści - małym budynku, czystym i szarym jak świeżo ucięta deska. Dowiedział się o jego istnieniu z przewodnika dla turystów, który - według zapewnień wydawców - miał umożliwić zaoszczędzenie do stu dolarów dziennie. Bonner miał wiele takich broszur; za odpowiednią opłatą wypożyczał je innym marynarzom. Czy chodziło o Neapol, Monako czy Bahrajn, od Bonnera można było dowiedzieć się, gdzie zamieszkać i gdzie jadać, by stracić jak najmniej pieniędzy.

W tym hoteliku mieszkał już dwa razy, ale nikt go nie pamiętał. Dlaczego niby mieliby pamiętać? - spytał w duchu. Lepiej, żeby nikt nie zwracał na niego uwagi.

W pokoju mieściło się tylko łóżko i telewizor, a łazienka była niewiele większa od szafy; wszystko w niej zostało wykonane z plastyku, jakby cały wystrój produkowano seryjnie. Pysznic, brak wanny. Żadnego darmowego szamponu, płynu kosmetycznego czy innych takich rzeczy. Cóż, przynajmniej było czysto.

Bonner zamknął drzwi pokoju na klucz i wyjął z kieszeni to, co znalazł w męskiej ubikacji w kinie. Rozłożył kartkę papieru. Czytając, co na niej napisano, poruszał lekko ustami. Na jego twarzy odmalowała się złość. Przeczytał instrukcję raz jeszcze, po czym podarł kartkę na drobne kawałki, wpadł do ciasnej łazienki i wyrzucił je do sedesu.

Według instrukcji miał spalić list po przeczytaniu, ale wszystko w łazience było z plastyku i Bonner nie chciał bawić się z ogniem. Zresztą komu, u licha, chciałoby się wylawiać wszystkie kawałki z neapolitańskich kanałów i sklejać je do kupy?

- Pocałuj mnie w dupę - powiedział i spuścił wodę.

Nie mógł jednak zupełnie zignorować instrukcji. Położył komplet przyborów toaletowych na umywalce i świadom, że zostało mu jeszcze piętnaście minut, włączył telewizor i zaczął oglądać amerykański horror z włoskim dubbingiem. Widział już ten film - zdaje się, że był o tym, jak amerykańskie dzieciaki uratowały świat od Drakuli. W rzeczywistości amerykańskie bachory nie potrafiłyby wyciągnąć dupy komara z pajęczyny, ale gdy się im wmawiało, że są nadzieją świata, chętniej wyrzucały pieniądze na kino.

Pięć po dziesiątej Bonner wyszedł z pokoju.

Bosman był już wiele razy w Galleria Umberto, ale zapomniał, jak się tam dostać, więc przez pewien czas wałęsał się po mieście, aż wreszcie zapytał kogoś o drogę. Gdy znalazł się pod budynkiem, był zdumiony, jak mógł nie trafić do miejsca, które tak łatwo odnaleźć. Wszedł do środka, przemaszerował pod szklaną kopułą i usiadł na krześle w jednej z kawiarenek. Kelner zachęcił go machnię-

ciem ręki, by usiadł bliżej, ale Bonner potrząsnął głową i został tam, gdzie był, na środku sali. Nie dlatego, że chciał. Wolałby ulokować się w kącie, a choćby pod ścianą, tak, by mógł oprzeć się o nią plecami, ale według instrukcji miał usiąść na środku. Żeby mogli go sprawdzić. Znał tę uciążliwą procedurę.

Galleria przywodziła mu na myśl kościół. Jeden z tych wielkich, przesadnie udekorowanych włoskich kościołów, na widok których każdy powinien padać na twarz i rzygać z podziwu tylko dlatego, że są stare. Miała jednak Galleria i dobre strony; można było napić się tam pod dachem kawy czy piwa, a dzięki szklanemu sklepieniu czuć się jak na wolnym powietrzu; można też było widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących.

- Kawę - powiedział Bonner do zdenerwowanego kelnera.

Kelner odrzyknął coś po włosku. Z czystej złośliwości; Bonner był pewien, że wszyscy miejscowi, słabo bo słabo, ale potrafili porozumieć się po angielsku. Mimo to kelner z premedytacją używał włoskiego, bo uciążliwy gość nie chciał usiąść bliżej kuchni i przez to on, nieszczęsny, zaharowany człowiek, będzie musiał więcej się nalatać. Bezcelność.

- Przepraszam, nie rozumiem, co mówisz - powiedział Bonner. - Nie *kapisz*. Kelner coś syknął."

- Kawę, chcę kawy. Przynieś mi kawy. Czarnej, dobra? Z odrobiną cukru. *Cuker-o*. W porządku?

Kelner w odpowiedzi wyrzucił z siebie parę słów, z których Bonner wyłowił „*espresso*”.

- Jasne, *espresso*, w porządku, *molto benny*. I trochę *cuker-o*, dobra?

O dziwo, kawa była doskonała, a na spodku spoczywały dwie torebki cukru. Kelner najwyraźniej postanowił olśnić uciążliwego gościa poziomem obsługi. Przyniósł nawet międzynarodowe wydanie „*Herald Tribune*”. Co prawda wczorajsze, ale cóż z tego? Wiadomości były takie same jak w wydaniu amerykańskim - gównie warte. Bush robił to, demokraci tamto, gospodarka szła w górę, w dół albo w poprzek; i kogo to obchodzi?

Bonner siedział w kafejce ponad pół godziny. Przejrzał gazetę, a potem splótł dłonie na brzuchu i zaczął rozglądać się po Gallerii. Miała kilka pięter, a na każdym z nich znajdował się rząd kolumn; były tam miejsca, z których dało się obserwować parter. Rzeczywiście, interesujący widok- ludzie wchodzący z jednej strony i wychodzący z drugiej; on, Bonner, siedzący przy stoliku; inni ludzie wchodzący do kafejek - to pora przerwy na drugie śniadanie. Włosi tracili mnóstwo czasu na przerwy; nie dziwnego, że nie umieli pracować.

Dziewięć po jedenastej Bonner wstał i wyszedł z kafejki innym wyjściem niż wszedł. Tak nakazywała instrukcja. Podeszedł do automatu telefonicznego, który od razu zadzwonił.

- Po drugiej stronie ulicy będzie czekała taksówka z płomieniem namalowanym na klapie bagażnika. Wsiądź do niej - usłyszał.

Bonner zrobił, co mu kazano, przeklinając tych, którzy kazali mu to zrobić.

- Zobaczyc Neapol i umrzeć - westchnęła.
- Jezu Chryste! - Alan wypuścił powietrze z płuc. - O rany.
Przycisnęła go do siebie.
- Tak bardzo cię kocham.
Leżeli przy sobie w milczeniu, poza czasem.
- Powiedz, że mnie kochasz - mruknęła. Wyszeptał to z twarzą w jej włosach. - Nie zabrzmiało przekonująco. Musisz więcej trenować - powiedziała. Domyślał się, że uśmiechnęła się przy tym. Podniósł głowę i spojrzal na Kim.
- To prawda - odparł. - Trudno mi mówić takie rzeczy.
- Z czasem będzie ci łatwiej. - Wciąż była uśmiechnięta. Pocałowała go. - Nie wstawajmy z łóżka przez cały tydzień. Kiedy zgłodniejemy, zamówimy szampana.
- Niestety, to niemożliwe, Kim. - Nie powiedział jej jeszcze. Czekal na dogodną chwilę. Miał szczerą nadzieję, że taki moment kiedyś nadejdzie. - Pojutrze muszę zameldować się na pokładzie.
- Nie musisz. - W jej głosie zabrzmiała złowroga nuta.
- Muszę. W Capodichino będzie na mnie czekał samolot. Widzisz, urlop mojej załogi zaczął się trzy dni temu, podczas kiedy ja...
- Cóż, będziesz musiał poważnie zachorować. Albo powiesz swoim ludziom, że prowadzisz działalność charytatywną. Że pomagasz pewnej Amerykance, która bez ciebie umrze.
Alan roześmiał się.
- Jasne! Urlop okolicznościowy. Dowództwo marynarki wojennej jest wyrozumiałe, ale nie do tego stopnia.
- Nie puszcze cię.
- Kochanie, mam już swoje rozkazy. Muszę wracać na okręt. - Pocałował ją. - Bądź grzeczna. Proszę.
- Nienawidzę marynarki. - W kąciku jej prawego oka błysnęła łza. - Nie, nie... - Kim wyrwała mu się, zanim zdążył ją znowu pocałować i pobiegła do łazienki po chusteczkę. Zaczęła ocierać łzy.
Kimberley Hoyt wydawała się ucieleśnieniem fantazji wszystkich mężczyzn. Była duża tam, gdzie mężczyźni lubią, by kobieta była duża, i wiotka tam, gdzie ich zdaniem powinna być wiotka. Miała długie złote włosy, okalające twarz jak promienie słońca. O spotkaniu właśnie takiej kobiety marzyli wszyscy marynarze schodzący na brzeg w Neapolu, a spotkać ją miał tylko Alan.
Przewrócił się na plecy.
- Niech to będzie udany dzień dla nas obojga - powiedział. - Kim? Dobrze?
Wybuchnęła płaczem.
Alan podszedł i przytulił ją do siebie. Po chwili uspokoiła się.
- Chyba za słabo cię jeszcze znam powiedziała z twarzą wtuloną w jego ramię. - Przeraza mnie to wszystko, te twoje wyjazdy... myślałam, że będziemy mieli... czas...
- Muszę wyjechać.

- Dlaczego? Dlaczego? - Odrzuciła głowę do tyłu i wbiła w niego wzrok. - Czy to przez twojego ojca?
- Jestem oficerem marynarki wojennej. Mam obowiązki.
- Kim położyła dłoń na jego nagiej piersi i przez chwilę patrzyła w to miejsce, jakby spodziewała się coś tam zobaczyć.
- Chcę, byś czuł, że masz obowiązki wobec mnie - powiedziała wreszcie.

Taksówkarz nie odzywał się przez całą drogę. Długo jeździli po Neapolu, wydawało się bez celu; najpierw w górę, w kierunku Vomero, potem w dół, następnie w stronę Mergelliny i z powrotem. Bonner nie starał się doszukiwać w tym jakiegokolwiek sensu. Domyślał się, że ktoś go śledzi, by sprawdzić, czy nie przyciągnął za sobą jakiegoś szpicla z okrętu. On sam doskonale wiedział, że nikt za nim nie idzie. Sprawdzał to. Zgadywał, że kierowca taksówki również był agentem i gdyby coś mu się nie spodobało, wyjąłby pistolet z tłumikiem, rozległoby się „pffft!” i kulka ugodziłaby Bonnera prosto w serce.

O dziwo, wiedza Bonnera o tym biznesie pochodziła głównie z filmów. Gdyby usłyszał, że taksówkarz naprawdę jest tylko taksówkarzem, wprawiłoby go to w najwyższe zdumienie.

Wreszcie kierowca skręcił z powrotem w kierunku Vomero i w połowie drogi pod górę zjechał na bok i machnął ręką na znak, że Bonner ma tutaj wysiąść. Byli na wąskiej drodze o porośniętych chwastami, zaśmieconych poboczach. W pobliżu nie było widać żadnego domu ani kawiarni. Bonner wysiadł. Chciał spytać taksówkarza, czy ma zapłacić za kurs, ale ten zamknął drzwi z trzaskiem i odjechał.

Droga biegła zбочem wzgórza; w dole widać było dachy i tarasy kilku domów. Po drugiej stronie ciągnął się mur, a za nim stały kolejne budynki mieszkalne. Wydawało się niemożliwe, by tak odludne miejsce znajdowało się w centrum wielkiego miasta. Tam, gdzie droga wiodła w dół, nie było nic; dopiero spojrzawszy w górę Bonner dostrzegł małą kępkę zieleni i ławkę.

- O to chodziło - mruknął i ruszył w tamtą stronę. Słońce mocno dawało mu się we znaki. Bonner był niezadowolony, że w taki upał musi uprawiać wspinaczkę. Z każdą chwilą narastał w nim gniew. Powiedział sobie, że musi im nawymyślać za to, że skontaktowali się z nim po upływie tak krótkiego czasu. Przecież mieli umowę! Trudno, trzeba dać im popalić. Raz jeszcze powtórzył w myślach długą mowę, którą układał podczas jazdy taksówką.

Do jego uszu dobiegły odgłosy miasta - warkot motocykli, klaksony, okrzyki kobiet. Z każdym krokiem przed oczami Bonnera roztaczał się coraz szerszy widok; widział już pałac, Castel'dell'Uovo, zatokę i lotniskowiec zakotwiczony w porcie. Obok okrętu stał prom, zabierający marynarzy na brzeg. W porównaniu z lotniskowcem wyglądał jak zabawka.

Bonner siedł dalej, spocony. Najgorsze było przed nim - tej nocy żołądek nie da mu spokoju. To przez nerwy. Bosman sapał ciężko, zmęczony wspinaczką. Wreszcie doszedł do ławki, chwilę przy niej postął, aż zauważył, że mniej więcej

pięćdziesiąt metrów dalej podjechał samochód i zatrzymał się. Drzwi się otworzyły.

Bonner usiadł na ławce. Wokół małej porośniętej trawą wysepki na środku jezdnii biegła zielona metalowa balustrada. Był to doskonały punkt widokowy, z którego dało się ogarnąć spojrzeniem lotniskowiec, Wezuwiusz, zamek i połowę miasta, ciągnące się w dole niczym dywan perski. Jednak nawet gdyby było to najpiękniejsze miejsce na Ziemi, Bonner i tak miałby to głęboko w dupie.

Odwrócił się i spojrzął na nadchodzącego mężczyznę. Nie próbował ukryć zaskoczenia.

- Carl! - wymamrotał.

- Kupę lat, Sheldon. - Mężczyzna usiadł na ławce. Wyglądał niepozornie, miał na nosie zwyczajne okulary i nosił niczym nie wyróżniające się ubranie. Był jedynym człowiekiem na świecie, który zwracał się do Bonnera „Sheldon”. Wydawało się, że okazuje mu w ten sposób szacunek, który dla Bonnera wart był niemal tyle samo co pieniądze. Nikt inny nie mówił do niego „Sheldon”.

- Nie spodziewałem się ciebie, Carl. - Ledwie zaczął mówić, a już się płaszczyl i okazywał nerwowość. Ci ludzie zawsze wpędzali go w taki stan, mimo że teoretycznie to oni powinni mieć większe powody do obaw niż on. Jak im się to udawało? Był zbity z tropu tym, że na spotkanie stawił się Carl. Myślał, że zjawi się ktoś obcy.

- Proszę, przyjmij moje przeprosiny za to, że przerywam ci urlop, Sheldonie. Wiem, że na pewno jesteś tym zdenerwowany.

- Nie, no coś ty... wszystko gra, Carl... - Dokładnie przygotował mowę, w której miał dać upust swojej wściekłości. A tu proszę: Carl, naprawdę ważny człowiek, przeprasza go za wszystko.

- Nie skontaktowałbym się z tobą, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego, Sheldon. Chcę, żebyś o tym wiedział. - Carl pochylił się w stronę Bonnera. Miał na sobie adidas i cienką nylonową kurtkę; trzymał rękę w kieszeni, ale Sheldon nie zwrócił na to uwagi. Carl to człowiek, który go zwerbował, wysoko postawiony oficjel. Na pewno ma do dyspozycji wielu facetów od brudnej roboty. Carl był jednym z dwóch ludzi, którym Bonner ufał. Tym drugim był jego syn.

- Nastąpiły pewne zmiany - powiedział mężczyzna znany jako Carl. Mówił sztucznym amerykańskim akcentem, ukrywającym jego prawdziwe pochodzenie. - A właściwie to ja postanowiłem coś zmienić. Chciałem podzielić się z tobą tą wiadomością i dowiedzieć się, czy ta zmiana wyda ci się słuszna. To znaczy, czy ją zaakceptujesz.

- Jaka to zmiana? - Bonner nie lubił niczego zmieniać.

- Widzisz, Sheldon, mieliśmy pewien problem. Problem natury strukturalnej. Wiem, że uważasz, iż byłeś nieodpowiednio opłacany. Próbowałem zdobyć dla ciebie pieniądze, tyle, na ile zasłużyłeś, w miejscu, gdzie były one do zdobycia. Okazało się, że tam właśnie nie ma już pieniędzy. Widzisz, ja sam nie potrafię się oprzeć urokom bogactwa. - Uśmiechnął się, jakby ta ludzka wada była czymś niezwykłym. - Mnie też płacono za mało, przyjacielu. Wyglądało na to, że mam

pracować z miłości. Do czego, pytam? Do historii? Do zgniłego systemu? Wydawało mi się sprzecznością, że wprowadza się „gospodarkę wolnorynkową”, a mnie nakazuje się ignorować jej zasady. Dlatego... - zwrócił się twarzą do Bonnera, nie wyjmując ręki z kieszeni. - ...zmieniłem pracodawcę, Sheldon. Chcę, żebyś poszedł w moje ślady. - Uśmiechnął się. - Obawiam się, że twoją odpowiedź muszę poznać już dzisiaj.

- Dla kogo teraz pracujesz?

- Kto ma pieniądze?

Bonner spojrział mu w oczy.

- Arabowie - powiedział. - Albo Japonce, ale do Japońców nigdy byś się nie zgłosił. Arabowie?

- Bardzo chcę, żebyś z nimi współpracował. „Co możesz nam dać?”, spytali mnie. Powiedziałem im, że część moich gwiazd, takich jak ty. Zwłaszcza ciebie, moją supergwiazdę. Mojego najlepszego człowieka!

Bonner uśmiechnął się szeroko, ale jego żołądek już zaczynał się buntować. Zmiana oznaczała, że musiałby wszystkiego uczyć się na nowo. Poznać nowych ludzi, nowe szyfry, całe to gówno, które i tak ledwo rozumiał.

- Nie wiem - powiedział.

- Mam nadzieję, że się zgodzisz - mruknął Carl.

- Nie zrozum mnie źle, Carl, nie chodzi o ciebie. Ty jesteś w porządku, nigdy mnie nie zawiodłeś. Ale przez te ostatnie dwa lata... o rany... - Bonner zrobił zbolaną minę. Od dłuższego czasu chciał porozmawiać z Carlem, a teraz, gdy wreszcie nadarzyła się okazja, zapomniał języka w gębie. Spojrzął na widoczny w oddali zamek, by nie patrzeć w oczy swojemu rozmówcy. - Ktoś chyba podbierał mi pieniądze. Było ich po prostu za mało! - Bonner wzruszył ramionami i potrząsnął głową, potem machnął rękaw geście rezygnacji i zaśmiał się nerwowo. - Płacami jakieś grosze, z tego nie da się żyć! To mnie obraża. Ja nadstawiam głowę, a oni dają mi minimalną płacę czy coś takiego. Zupełnie jakbym przynosił im cholerne hamburgery, a nie robił tego, co robię. - Zawiesił głos i odchylił się, opierając plecy o twarde drewno ławki. Potarł dłonią czoło. - To, co od nich dostałem w zeszłym roku, nie wystarczyło na opłacenie podatków za mój dom. Powiedziałem temu gościowi w Norfolk, wiesz, temu grubasowi, że potrzebuję paru rzeczy. Może dla was one niewiele znaczą, ale dla mnie są ważne. Na przykład przydałaby się nowa łódź. Odpowiedział mi, żebym się nie martwił, że łódź będzie. I na tym się skończyło! - Tym razem nie wytrzymał i dał upust swojej złości. - Oni mnie oszukują!

- Cieszę się, że możemy ze sobą porozmawiać, Sheldon.

- Podejrzewam, że podbierają mi pieniądze, zabierają większą część dla siebie. Czy moglibyśmy wyliczyć, ile należało mi się za zeszły rok? Może nie wiesz, że...

Carl uniósł dłoń.

- Właśnie dlatego tu jestem, Shel. To, o czym mówisz, jest przyczyną zmian, o których cię powiadomiłem. Naprawdę cieszę się, że możemy ze sobą szczerze porozmawiać. O to mi chodziło.

Rozejrzeli się wokół. Bonner odwrócił się i spojrzął jeszcze na mur po drugiej stronie chodnika. Miejsce, w którym się znajdowali, było wręcz idealne na tajne spotkanie. Zbliżających się ludzi dało się dostrzec z daleka, niedaleko stał samochód, a w pobliżu zapewne ukrywali się obserwatorzy; a gdyby okazało się to konieczne, dwaj konspiratorzy mogli przejść przez ogrodzenie i zejść w dół zboczem wzgórza, które doprowadziłoby ich do labiryntu uliczek, gdzie można szybko wymknąć się pościgowi.

- Dobrze wybrałeś miejsce - stwierdził Bonner.
 - Powiedziałem moim nowym pracodawcom, co zrobiłeś przed czternastoma miesiącami. Byli bardzo podekscytowani. „Musimy go mieć, musimy mieć tego człowieka”, mówili. Zobaczysz, dobrze zapłacą.
 - Arabowie?
 - Iran.
 - Pieniądze za ropę. - Bonner skrzywił się. - Musiałoby ich być dużo. Mam ogromne wydatki, Carl. Nie pozwolę, by rzucano mi jakieś ochłapy!
 - I bardzo dobrze.
 - Ile proponują?
 - Podniosą podstawową kwotę do tysiąca miesięcznie. Ale musisz pamiętać, że oni są inni od nas. Nie denerwuj się, Shel, jeśli od czasu do czasu ich polecenia będą nieco... dziwaczne. Szkopuł w tym, że oni chcą wiedzieć wszystko, a na razie nie wiedzą nic. Na przykład prosili mnie, żebym zdobył listę portów, do których zawija twój lotniskowiec.
 - Chryste Panie, przecież można to wyczytać w pierwszej lepszej gazecie! Carl roześmiał się.
 - Oni tego nie wiedzą! Zrób im przyjemność.
 - Nie wyglądają na profesjonalistów.
 - Wyszkolimy ich. I dostaniemy za to duże pieniądze. Oni wolą płacić za wykonaną robotę, ale tylko w przypadku osiągnięcia sukcesu. Potrafią umotywoać człowieka do wysiłku. - Carl nachylił się. - No to jak, Sheldon?
 - Potrzeba mi dużo forsy. Mam długi.
 - Mogę zdobyć dla ciebie dwadzieścia pięć tysięcy za jakiś rarytas. Wierz mi, oni naprawdę chcą tyle płacić! Tona w ropie naftowej i cenią fachową robotę. Tacy już są ci Persowie.
 - W tej chwili nie mam nic. Przecież ustaliliśmy, że mam przycząić się na rok! Chryste, ryzykowałem swoim tyłkiem, żeby zdobyć dla ciebie IFF. A potem twoi ludzie zrobili mnie na szaro. Dlaczego nie przysnąłeś z IFF-em? - IFF, czyli system identyfikacji swój - obcy. Kradzież tego sprzętu zabrała mu wiele tygodni i stanowiła kolejny krok na drodze, z której nie było już powrotu.
 - Widzę, że myślimy podobnie. Nic dziwnego, że cię lubię, Sheldon. Otóż tak się złożyło, że wziąłem IFF ze sobą. Nie oddałem go moim przełożonym w Moskwie. Zamierzam zawieźć go do Teheranu jako dowód moich dobrych zamiarów.
 - Powiedziałeś im, że masz go ode mnie?
- Carl skinął głową.

- Powinni zapłacić mi premię.
- Oni tak nie uważają. - Uśmiechnął się. - Aleja zgadzam się z tobą. W tym miesiącu na twoim koncie znajdzie się mały upominek. Z moich własnych oszczędności.

- Nie musisz tego robić...!
- Nalegam. Ale najpierw muszę usłyszeć twoją odpowiedź. Przyjmujesz moją ofertę? Tak czy nie?

Bonner patrzył niewidzącym wzrokiem na zamek, myśląc tylko o sobie, swoich żalach i o forsie. Forsa. Cóż, skoro Carl mógł załatwić mu więcej...

- Jasne, dlaczego nie?

Carl uśmiechnął się.

- Tak się cieszę.

- Porozmawiajmy o pieniądzach.

- Dobrze! Pieniądze. - Carl wyraźnie odczuł ulgę. Bonner poczuł się do wartościowany faktem, że jego zgoda zdawała się wiele znaczyć dla tak ważnego człowieka. Carl wyjął rękę z kieszeni. - Chcę, byś zarabiał więcej niż dotychczas. Zaslugujesz na to. Dobrze wykonujesz swoje zadania. Powiedziałem więc moim... naszym nowym pracodawcom, że muszą dać ci więcej pieniędzy, bo inaczej cię stracą. Ale oni chcieliby możliwie najszybciej dostać od ciebie coś w zamian - chodzi o gest dobrej woli. Później wyznaczą ci kolejne zadanie, ale wszystko w swoim czasie. Masz coś, co mogłoby zainteresować Irańczyków?

To była dla Bonnera nowość. Nie zwykł pracować w ten sposób; nigdy dotąd nie wymagano od niego, by dostarczył cokolwiek na zawołanie. Specjalizował się w technologii - zdobywał plany, modele, części, a do tego potrzeba było wiele czasu. To nowe podejście wzbudziło jego niepokój.

- Mówi się, że czeka nas wspólna operacja z drugim lotniskowcem, który teraz jest w Palmie. Płyniemy przez Kanał Sueski do Mombasy, a potem do Bahrajnu. Za miesiąc ten drugi okręt ruszy za nami, a potem ponoć mamy kogoś zaatakować. Niektórzy mówią, że chodzi o Iran - ma to być atak odwetowy za bombę podłożoną w niemieckim klubie.

- Tak? To dobre. Powinno im się spodobać. Możesz zdobyć oficjalne potwierdzenie?

Bonner potrząsnął głową.

- Wiem, że eskadra A-6 ćwiczy loty na małej wysokości, bo słyszałem, jak piloci o tym rozmawiają. Poza tym trenują tankowanie w powietrzu S-3 z tego drugiego lotniskowca. Tak, żebyśmy mogli pozostać daleko od brzegu, a mimo to zaatakować Iran.

- Albo Irak.

- Tylko że nie mamy powodu uderzać na Irak. Za to wszyscy mówią, że Iranowi musimy dać w kość. Za ten niemiecki klub. - Bonner zaczął się wiercić. - Szczerze mówiąc, Carl, myślę, że ajatollahowie naprawdę na to zasłużyli. Wiesz, ja też mogłem siedzieć w tym klubie.

- Czyli mamy jedną eskadrę A-6, tankującą z samolotów startujących z drugiego lotniskowca. I co jeszcze?

- Eskorta i tyle. To operacja na niewielką skalę.
- Czyli chodzi o nalot. Nie wiesz, na jaki cel, ale się dowiesz, prawda, Sheldon?

- Ja... ja... To nie moje... modus operandi. Nie lubię tego gówna. Jestem specjalistą.

- Ale tym razem musimy tak właśnie zrobić. Irańczycy chcą, żebyś wykonał wobec nich gest dobrej woli. Między nami mówiąc, chcieliby przetestować IFF, zanim sprawią niespodziankę waszej marynarce - spróbować wycelowania rakiet przy wykorzystaniu IFF-a. Daliśmy im system, mają odpowiednią technologię, ale potrzebna im będzie częstotliwość.

- Bez przerwy ją zmieniamy.

- Wiem. - Carl złożył dłonie. - Ale jeśli zaprogramujesz samolot na pewną częstotliwość, a Irańczycy ją namierzą, powinno udać się strącić maszynę. Zgadza się?

Bonner spojrział spode łba.

- Nic z tego nie wyjdzie.

- Wręcz przeciwnie.

Sheldon zwrócił twarz w stronę Carla, rozgniewany.

- Zaraz po starcie wszyscy piloci testują IFF-y. Jeśli zaprogramowana częstotliwość nie zgadza się, zawracają. Świetny pomysł! Eskadra przeleci nad lotniskowcem i wylądjuje. Doskonale.

Carl nachmurzył się i ponownie wsunął rękę do kieszeni.

- Wymyśl więc coś, Sheldon. Od tego zależy twoja przyszłość.

- Co takiego?!

Carl wzruszył ramionami.

- Oni wymagają efektów.

- To faszyści. Cholerni faszyści!

Carl tylko spojrział na niego.

- Wymyśl coś.

Bonner rozejrzał się. Pomyślał, że odczułby ulgę, gdyby zza zakrętu wyłonił się jakiś cymbał z NCIS*. Nie, nieprawda. To byłby koniec. Bonner wiedział, że tylko Carl mógł zapewnić mu dobrobyt.

- Jeden samolot - powiedział. - Z jednym samolotem mogłoby się udać. Niektórzy piloci gotowi są skłamać, że z IFF-em wszystko w porządku, byle tyl ko wziąć udział w akcji. Zwłaszcza jeśli chodzi o prawdziwy atak. Niektórych tak rozpiera energia, że mało się nie zsikają w gacie. Jak... - Myślał szybko. - Do wódca eskadry A-6. Cholerny kamikadze. Nie wróciliby na dół, nawet gdyby od samolotu poodpadały skrzydła. - Bonner stawał się coraz bardziej podekscytowany. - Gdyby zmienić częstotliwość w jednej maszynie, nikt by się nie domyślił, że coś jest nie tak. Ale zrobić to samo we wszystkich samolotach... Jezu, śledczy od razu skapowaliby się, że chodzi o IFF. Przesłuchaliby na wykrywa-

* NCIS (Naval Criminal Investigative Service) - Służba Śledcza Marynarki Wojennej (przyp. tłum.).

czach kłamstwa wszystkich, którzy mieli dostęp do samolotów. Zresztą nawet nie musieliby tego robić. Mają nas na listach, w komputerach. Wielki Brat patrzy.

- Możesz to zrobić?

- Ja? Znajdź sobie jakiegoś innego frajera. - Bonner skrzyżował ramiona. - To nie jest moja specjalność. Nigdy nie robiłem niczego takiego.

- Nie dasz rady? - W głosie Carla, cichym i łagodnym, niemal kobiecym, brzmiała prośba. - Sheldon, musisz to zrobić. Ten jeden jedyny raz.

Bonner znów zaczął narzekać.

- Musiałbym dowiedzieć się, którym samolotem poleci dowódca, a z tym mogą być problemy; potem muszę się dostać do tej maszyny, gwizdnąć urządzenie kodujące i zmienić ustawienia. Za dużo tego wszystkiego!

- Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Nie jestem sabotażystą! Jestem... - skulił ramiona - ...specjalistą.

- Sheldon, musisz to zrobić. Dla mnie. Dla nas obydwu. Irańczycy będą zachwyceni, jeśli uda im się zestrzelić dowódcę eskadry szturmowej. Pokochają nas! Spędzimy z nimi wiele lat, Shel.

- Potrzebuję więcej pieniędzy.

Carl zmarszczył brwi.

- Być może uda mi się zdobyć trzydzieści pięć tysięcy. Spróbuję. Tyle mogę obiecać.

- To wszystko?

Carl skinął głową.

Szczerze mówiąc, Bonner nie liczył na to, że uda mu się wyciągnąć aż tyle. Jego dług wynosił około piętnastu tysięcy. No, ale zadanie było nad wyraz trudne. Dopóki nie będzie po wszystkim, jego żołądek nie zazna chwili spokoju. Protestował więc dalej.

- Musiałbyś podać mi częstotliwość, którą mam wpisać. Wtedy ja mógłbym zdradzić ci cel nalotu. Nie, nie zmieścimy się w czasie.

- Będę miał dla ciebie tę częstotliwość, kiedy wpłyniecie do Mombasy. Reszty dowiesz się, zanim dotrzecie do Bahrajnu.

- A co się stanie, jeśli atak nastąpi wcześniej?

- Zaryzykujemy. Ci ludzie zdają sobie sprawę, że to, czego się od nas domagają, nie jest łatwe. Zresztą domyślają się, jakie mogą być cele ataku.

- Tak czy inaczej powinni mi zapłacić.

- Rozumie się. Myślę, że za potwierdzone zestrzelenie dostaniesz premię. Tak, uważam, że wpadłeś na doskonały pomysł. Będą mogli przetestować system, a marynarka wojenna nie domyśli się, że coś jest nie tak. Potem, przy następnej okazji... - Gestem pokazał spadający samolot.

Po piersi Bonnera spłynęła strużka potu.

- Dopóki to się nie skończy, będę srał cęglami - jęknął.

- Tak, ale pomysł, jak dobrze się poczujesz, kiedy będzie już po wszystkim. Myśl o pieniądzach, Sheldon!

Przez pewien czas dyskutowali o szczegółach; im dłużej rozmawiali, tym pewniej czuł się Bonner. Prawie udało mu się wmówić sobie, że wszystko pójdzie

jak z płatka. Będzie musiał oszukiwać się w ten sposób choćby po to, by zwalczyć strach. Teraz, gdy nieco oswoił się z myślą o tym, co go czeka, zaczęło mu się podobać, że planuje akcję z ważnym człowiekiem, który był szyczą w Moskwie, a teraz miał stać się szyczą w Teheranie. Bonner cieszył się, że jest komuś potrzebny. No i czekały na niego duże pieniądze.

- Co słycać u twojego syna? - powiedział Carl, kiedy skończyli.

- Wszystko w porządku. Pisuje do mnie raz na miesiąc.

- Nadal uczy się w szkole komunikacji satelitarnej?

- Tak. Za cztery miesiące kończy, będzie bosmanmatem, jeden stopień niżej od swojego starego.

- Teheran jest nim żywo zainteresowany. Zależy im na technologii używanej w komunikacji. Porozmawiasz z nim?

- Za wcześniej na to. Wszystko w swoim czasie.

- Może zacznij powoli, Sheldon... krok po kroku...

- Nie mów mi, jak mam sobie radzić z własnym synem! Załatwię to po swojemu. Zgodzi się. Ale to ja zdecyduję, kiedy! Muszę tylko dobrze mu to sprzedać... powiedzieć, że będziemy to robić razem, ojciec i syn. On jest idealistą. Nie wie, czym się zajmuję. Namówię go, ale... Nie ucz mnie, jak mam postępować z moim synem.

- No cóż... Oczywiście. Mądry ojciec zna swoje dziecko, nie?

Podeszli do samochodu. Carl powiedział Bonnerowi, że za następnym zakrętem czeka na niego taksówka.

Nie uściskali sobie dłoni na pożegnanie. Carl włożył okulary przeciwsłoneczne, jakby chciał ukryć się za nimi.

- Musisz wciągnąć w to syna, Sheldon. To będzie warte... mnóstwo pieniędzy. W porządku?

Samochód ruszył. Bonner poczuł się nagle dziwnie osamotniony, jakby miasto, które widział przed sobą, było złudzeniem, jakby pozostał sam jeden na ziemi. Nie miał pojęcia, że właśnie otarł się o śmierć.

Ruszył w górę wzgórza; rzeczywiście, za zakrętem czekała na niego taksówka. Na tylnym siedzeniu leżała butelka jacka danielsa.

Bonner wrócił do hotelu, włączył telewizor i zaczął pić. Było dopiero wczesne popołudnie, ale on wolał siedzieć w pokoju, wpatrzony w jasne, migające kolory, słuchając języka, którego nie rozumiał; samotność wystarczała mu za wszelkie towarzystwo.

Zaczął rozmyślać nad tym, jak zrobić ze swojego syna szpiega.

16.15 czasu Greenwich, Moskwa

Uspienskaja zapukała do drzwi gabinetu szefa i nie czekając na zaproszenie wśliznęła się do środka. W budynku nie było nikogo, poza dyżurnymi na pierwszym piętrze i kilkoma zapracowanymi kierownikami wydziałów. Szef spodziewał się jej wizyty.

- No i? Cóż to za pilna sprawa? - Przeziębienie wciąż nie dawało mu spokoju.
- Chodzi o Jefremowa.
- Tak?

Daria usiadła. Nie mogła opanować drżenia rąk. Czowała się fatalnie, bo stało się coś strasznego, coś, co brutalnie wdarło się w jej świat i zniszczyło go bezpowrotnie. W jej Moskwie takie rzeczy nie powinny mieć miejsca.

- Przed pięcioma dniami miał miejsce napad na biuro w budynku Stitkin w Moskwie. Dwadzieścia dziewięć ofiar.

- Tak, przypominam sobie. - Od razu domyślił się, o co chodzi. Zdradził to jego głos.

- W tym biurze mieściła się ostatnia z założonych przez Jefremowa fikcyjnych firm. Venux, Inc. Z jej pomocą prowadził czterech agentów, o których panu mówiłam.

- Mój Boże. - Oddychał przez usta jak dziecko z powiększonymi migdałkami. Wyglądał dość groteskowo i czuł się okropnie. - Mój Boże - powiedział znowu, kiedy dotarło do niego, co oznaczały słowa Uspieńskiej. - Skasowali całą operację.

Daria skinęła głową.

- Wynajęci ludzie. Nie ulega wątpliwości, że to robota byłych żołnierzy.

- Może to fałszywy...

Potrząsnęła głową.

- Co, myśli pan, że stoi za tym armia? Nie, nie! Stoją za tym ludzie tacy jak my! Jefremow znika, a ktoś niszczy wszystko, co miało związek z jego najlepszą operacją- zabija urzędników i operatorów komputerów, pali akta, dyski, niszczaarki, wszystko! Policja uznała to za zwyczajne przestępstwo - zwyczajne, też coś! - a nasi ludzie nawet nie obejrżeli miejsca zbrodni, dopóki nie wysłałam ich tam przed godziną. Budynek już został splądrowany. Rany boskie, co się dzieje w tym kraju?

- Myślisz... że to ojciec tej panienki? Mafia?

- Nie wiem. Dlaczego miałby to zrobić? Z zemsty? - Wzruszyła ramionami. - Kazałam zatrzymać papę Malenkowa. Żadnego cackania się. Powiedziałam, żeby chłopcy go trochę poobijali. Niech wie, że my to nie moskiewska policja. - Potrząsnęła głową. - Ale to nie trzyma się kupy. Gdyby miało to być ostrzeżenie dla nas, czemu uderzono w tajną operację, o której nic nie wiedzieliśmy? A jeśli to ostrzeżenie dla Jefremowa, to gdzie on jest? Nie żyje? Więc po diabła go ostrzegać? - Daria potarła policzki i odchyliła się na krześle. Nękał ją żal, żal za utraconym ideałem. - Kto wie, może nie żyje. Ale jeśli żyje...

- Jeśli żyje... Może on za tym stoi. Zgadza się? Powiadasz, że prowadził tę operację od niedawna... Jak długo? Dziewięć miesięcy? Dziewięć. No właśnie. Czyli... może już wtedy coś planował?

- To wydaje się nieprawdopodobne. Chociaż, z drugiej strony, Jefremow potrafił być przebiegły. Lubił zacierać za sobą ślady, nawet na długo przed tym, jak nastąpiła... mmm... obecna sytuacja.

Dyrektor skrzywił się.

- Powiedz to. Na długo przed pieriestrojką. Mój Boże! Stare dobre czasy. - Wydał z siebie dziwny dźwięk, coś między śmiechem a jękiem. - Boże jedyny, Uspienskaja, ależ się to wszystko popieprzyło! Nie domyślasz się, dokąd Jefremow mógł prysnąć?

- Nie.

- Zagranicę?

- Najprawdopodobniej.

- Skontaktowałaś się z agencjami, które... oczywiście, że się skontaktowałaś. W porządku, Jefremow był sprytny, doświadczony, mógł wyjechać, gdzie chciał. Nie zwracaj na mnie uwagi, ja tylko rozmyślam na głos, improwizuję. Prawdę mówiąc, uważam, że on nie żyje. Ale założmy, że tak nie jest. Prawdopodobnie trzymał pieniądze za granicą. Cóż, postanowił zniszczyć organizację prowadzącą jego najlepszych agentów. Żeby zrobić nam na złość? Oczywiście, to byłby niezły dowcip. Jefremow nigdy za mną nie przepadał. Ty chyba wpadłaś mu w oko. Nie? Cóż, niech ci będzie. Jestem urzędnikiem, nie psychologiem. Być może zamierza zaoferować swoje usługi komu innemu i zabrać ze sobą najlepszych agentów. Dlatego chce zniszczyć wszystko, co mogłoby nas naprowadzić na ich ślad. No, to już miałoby sens. Do kogoż więc Jefremow miałby się zwrócić? Do Amerykanów? Wątpię; nienawidził Amerykanów. Zwróć uwagę, że mówię o nim w czasie przeszłym, jakby już nie żył. - Znów zaśmiał się jęklawie, próbując poprawić jej humor. Nie pomogło. - Proszę cię, Uspienskaja! - Wstał, podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu. To tylko pogorszyło sytuację; Daria rozplakała się. Dyrektor nalał jej wody z karafki.

- Jest coś jeszcze - powiedziała Uspienskaja po chwili.

- O cholera. - Szef ponownie usiadł za biurkiem.

- Jestem pewna, że nie mówił prawdy twierdząc, jakoby miał osiemdziesięciu agentów na swoich usługach. Nie zdobyłam jeszcze na to dowodów, ale stworzona przez niego struktura organizacyjna jest zbyt złożona, za dużo w niej miejsca na manipulację... i mamy o niej za mało informacji. Myślę, że niektórzy z tych osiemdziesięciu agentów są fikcyjni.

Dyrektor oparł głowę na dłoni.

- Na pewno nie wszyscy. Jefremow dostarczał nam wspaniałych informacji, uzyskanych od prawdziwych agentów!

- Mam pewien pomysł.

- To dobrze, bo ja nie.

- Prawdopodobnie z komputerów można by wycisnąć więcej, niż dotąd się udało. Ale potrzeba nam specjalistów. Komputer podarowali nam Niemcy ze wschodu, którzy teraz nawet nie chcą się z nami pokazywać. Porozmawiajmy z Amerykanami.

Dłoń, w której dyrektor trzymał chusteczkę, zatrzymała się w połowie drogi do nosa.

- Amerykanie wiedzą wszystko o komputerach - ciągnęła Daria. Z każdą chwilą była coraz bardziej ożywiona. - Poinformujemy ich, że Jefremow dał dyla i że jeden z jego agentów jest ich rodakiem. To powinno ich zainteresować. Po-

tem powiemy, że więcej szczegółów jest w pamięci komputera, ale my nie potrafimy ich stamtąd wyciągnąć. Pozwolimy ich specom, by się tym zajęli, pod warunkiem, że dostarczą nam IBM-y. I oddadzą wszystko, co znajdą na temat Jefremowa. Nic na tym nie stracimy. A oni zajmą się Jefremowem za nas. Dyrektor tylko patrzył na nią.

- Mam dosyć tych przestarzałych gratów! - krzyknęła. - Poza tym chcę wreszcie dostać nowy telefon!

Jej szef odwrócił się na fotelu i wyjrzał przez okno. Ciągle lało. Zamyślony, zwinął wilgotną chusteczkę w kulkę, wrzucił ją do plastikowego worka, wstał i wyszedł z gabinetu. Po chwili Daria usłyszała szum spuszczonej wody dobiegającej z jego osobistej łazienki. Następnie dyrektor wkroczył z powrotem do gabinetu wycierając dłonie w chusteczkę.

- Jeszcze nie - powiedział.

Daria pochyliła się ku niemu.

- Na konferencji w Wenecji zaczepiła mnie pewna Amerykanka. Nie ukrywała swoich zamiarów. „Teraz, kiedy zimna wojna dobiegła końca”... i tak dalej. Mogłabym nawiązać z nią kontakt!

- Wiem, że mogłabyś. Ja też bym mógł. Jak każdy. Nie myślisz jasno, Uspieniskaja. Nie, nie wolno nam udostępnić Amerykanom komputerowych plików Jefremowa. To byłoby nieprzychylnie. Przynajmniej na razie. Zgodziłbym się na to, gdybym był pewien na sto procent, że on żyje i pracuje dla kogoś innego.

- Jefremow odpowiada za śmierć dwudziestu dziewięciu pracujących dla niego ludzi. I jest zdrajcą!

- Nie wiesz tego na pewno! Czy zameldowałaś o tym, że próbowano cię zwerbować?

- Oczywiście.

- Kto to był?

- Kobieta. Wszystko jest w moim raporcie.

Zawahał się na ułamek sekundy, jakby zaczął coś podejrzewać, po czym spojrział na Darię niemal przeproszająco. Te amerykańskie kobiety, myślał, słyszy się o nich to i owo... robią dziwne rzeczy z innymi kobietami... Dyrektor drgnął; nie czuł się pewnie w tym nowym, niebezpiecznym świecie. Odkasznął.

- Co ci zaoferowała?

- To nie była oferta, tylko pomysł. Radziecko-amerykańska grupa ekspertów. Finansowana w całości przez Amerykanów. Zająłabym w niej wysokie stanowisko.

- Nie sądzisz, że to grubymi nićmi szyte?

- To samo powiedziała kobieta, która złożyła tę propozycję. Zauważyła też, że trzej generałowie SWR właśnie rozpoczęli zwiedzanie amerykańskich baz wojskowych.

Dyrektor zakasłał cicho, wciąż się wahając - myśl o nietypowym seksie wprawiła go w pewne zakłopotanie.

- Co to za jedna?

- Pracuje dla George'a Shreeda. Wspomniała o tym wystarczająco często, żeby to do mnie dotarło. - Daria zaśmiała się chrapliwie.

- George Shreed. No, no... - Shreed był mniej więcej odpowiednikiem Jakobłowa w CIA; dyrektor uważał go niemal za swojego rywala. Krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Współzawodnictwo wyzwalało w nim nowe siły. - Tacy jak on kiedyś nie odważyliby się wyciągnąć ręki po moich ludzi. Świat się zmienia.

- W tym nowym świecie pułkownik morduje z zimną krwią dwudziestu dziecięciu ludzi, którzy dla niego pracowali, i zdradza swoją ojczyznę. Wszystko to dla pieniędzy! Wiem to! Czuję to! Ten drań!

Dyrektor jęknął. Był pewien, że Uspienskaja nie dałaby się uwieść niemoralnej Amerykance. Chociaż, kto wie?

- Mówiłem ci, że Groński złożył rezygnację, bo chciał przejść do „sektora prywatnego”? Jakiego sektora prywatnego, pytam? Pieniądze to nowy bóg. Tak to już jest. No dobrze, skontaktuj się z tą kobietą od Shreed. Zorientuj się w sytuacji, ale nic na razie nie rób. Pisz raporty. Chcę mieć wszystko na piśmie. Spokaj się z kimś, kto wie cokolwiek o tym komputerze. Niech wyciśnie z pamięci wszystko, co się da. Każdy, kto pracował dla Jefremowa przez ostatnie pięć lat, ma przejść badania na wykrywaczu kłamstw, nawet zwykli urzędnicy. To twoje śledztwo, Uspienskaja. Jeśli Jefremow brał pieniądze dla nieistniejących agentów, chcę znać wszystkie szczegóły. Nie sądzę, by ktoś cokolwiek o tym wiedział; Jefremow był dobry w swoim fachu. Tych, którzy coś podejrzewali, mógł po prostu przekupić. Gdzieś jednak w aktach muszą istnieć luki. Nie można zwerbować duchów tak, by nie pozostały po tym jakieś ślady.

Daria podniosła się.

- Niech pan się położy do łóżka.

Mruknął coś pod nosem.

- Dowiedz się czegoś o czterech agentach, którymi sterowano z tego zniszczonego biura - powiedział, kiedy odwróciła się w stronę drzwi. - Będziesz musiała przejrzeć akta z czasów, kiedy Jefremow nie prowadził jeszcze tej swojej gry. Może nawet trzeba będzie sięgnąć do dokumentów sprzed komputeryzacji. Kawał roboty.

- Chcę go przygwoździć jak nowego Chrystusa.

- Najpierw musisz znaleźć jednoznaczne dowody przeciwko niemu. Pamiętaj, on może nie żyje. Może leży gdzieś pod świeżym betonem. Może jest niewinny.

- Nie jest!

Dyrektor nie zwrócił na nią uwagi.

- Chcę wiedzieć wszystko o tych czterech agentach. Zwłaszcza o Amerykanie. Myślę, że można by coś z tym zrobić.

Daria nie spytała, co.

20.10 czasu Greenwich, Neapol

Kim włożyła Alanowi truskawkę do ust i przycisnęła nogę do jego nogi. Nie gniewała się już na niego, bo wycygał jeden dodatkowy dzień urlopu i zabrał ją

do ekskluzywnej restauracji, a siedzący przy innych stolikach Włosi pożerali ją wzrokiem. Alan pokazał jej trzech oficerów z lotniskowca, potem Narca w towarzystwie dwóch gości i dwóch kobiet, które nie odważyłyby się stanąć z Kim przed jednym lustrem. Narc wybałuszył oczy, nie tylko dlatego, że Kim była taka piękna, ale dlatego, że to Szpieg ją miał. Ona zachichotała, zacisnęła dłoń na udzie Alana i powiedziała, że bardzo go kocha.

- Nienawidzę marynarki wojennej - zaszczebiotała i zlizwała koniuszkiem języka bitą śmietaną z kącika ust. - Powiem ojcu, żeby załatwił ci jakąś pracę. Wtedy odszedłbyś ze służby i moglibyśmy nie wychodzić z łóżka.

Alan nie był odporny na pochlebstwa.

- Naprawdę uważasz, że twój ojciec płaciłby mi za to, że leżę w łóżku z jego córką?

- Kimberley zawsze dostaje to, czego chce - odparła z lekkim uśmiechem.

Jej ojciec był ważną figurą na Florydzie. Hoytowie mieli wielki dom na plaży niedaleko Jacksonville; Alan kiedyś zabłądził w nim, usiłując znaleźć ubikację. Brat Kim wyśmiał go z tego powodu. Alan szczerze nie znosił tego umięśnionego dwudziestolatka, spędzającego większość czasu na skuterze wodnym i bez przerwy gadającego o odwróconej dyskryminacji. Zawsze zachowywał się wobec Alana agresywnie, jakby byli rywalami. Ojciec Kim patrzył na to wszystko z lekkim rozbawieniem.

- Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie pracować dla twojego ojca - powiedział Alan.

- To kwestia ceny. - Pocałowała go. - A cena będzie odpowiednia.

Kim uśmiechnęła się i oblizała wargi. Alan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że była najbardziej seksowną istotą, jaką kiedykolwiek widział. Zaczął jej opowiadać o lądowaniu w sieci.

5

Pozostawiwszy porty za sobą, „Roosevelt” i „Jefferson” przebyły Morze Śródziemne, zmierzając, jak się wydawało, każdy w swoją stronę. W odstępie trzech tygodni obydwa lotniskowce przepłynęły Kanał Sueski; przez pewien czas trzymały się blisko siebie u wylotu Morza Czerwonego. „Roosevelt” zacumował w Mombasie; „Jefferson” skierował się na wschód, do Zatoki Perskiej, gdzie Iran i Irak, umęczone długotrwałą wojną, wciąż opluwały się, zjeżone jak dwa ranne koty. Lotniskowiec stał się drugim domem Alana Craika. Spotkanie z Kim w Bahrajnie było jak sen, wypełniony niewyraźnymi fantazjami i wspomnieniami, stanowiący kontrast do świata rzeczywistego. Teraz wszystko obracało się wokół spraw wywiadu i lotnictwa; Alan spędzał niemal każdą minutę w centrum wywiadowczym albo w kabinie Christine. Był niczym wyglądniały człowiek, którego

postawiono przed suto zastawionym stołem: czerpał pełnymi garściami, a i tak było mu mało.

W przeciągu tych trzech miesięcy dwa lotniskowce zbliżały się do siebie i oddalały, jak partnerzy w tańcu, rozumiałym tylko dla obu kapitanów - nigdy dość blisko, by stanowić cel ataku, nigdy dość daleko, by uniemożliwić wspólne działanie. Cztery miesiące po wypłynięciu przez Gibraltar na wody Morza Śródziemnego obydwie okręty dotarły w wyznaczone miejsca w zasięgu wybrzeży Iranu. Ich załogi zaczęły poznawać szczegóły planowanej akcji o kryptonimie RYCERSTWO.

W czasie walk powietrznych lotniskowiec jest jak maszyna obłączona; celem ataku jest potężna forteca, w której za mury obronne służą urządzenia elektroniczne i pociski raketowe. Szturm z reguły odbywa się nocą, gdy ludzki wzrok zawodzi i zwycięża strona, która ma lepszy sprzęt mogący go zastąpić.

W nocy pokład lotniskowca przywodzi na myśl obraz z jakiejś starej legendy; rozświetlony błyskami, pełen nerwowo krążących ludzi, rozbrzmiewa odgłosami, które mogłyby dobiegać z kuźni Hefajstosa. Zmysły ludzkie nie są w stanie ogarnąć mocy całości, a także energii i wigoru poszczególnych elementów. Samoloty lądują z rykiem, rozsiewając wokół iskry, albo strzelają w powietrze z niewidocznych katapult. Jak okiem sięgnąć, w migocącym świetle uwijają się ludzie, a potężna maszyneria i startujące samoloty wprawiają pokład w drżenie, które każdy czuje w kościach. W powietrzu unosi się zapach paliwa lotniczego, życiodajnej krwi lotnictwa morskiego.

Przy tym zmasowanym ataku na zmysły budzi się zdumienie, że ta maszyneria mimo wszystko sprawnie funkcjonuje. Ludzie przemykają pośród hałasu, pojawiają się w świetle i znikają w ciemności; dziesiątki kanałów radiowych przekazują tajemnicze instrukcje; samoloty tankują paliwo, są naprawiane, dozbrajane, ważone, sprawdzane, zabezpieczane, uwalniane z uwięzi, przetażane, holowane; przygotowuje się urządzenia alarmowe; wysoko w górze lotnicy odbywają kolejne misje, rozmawiają z wieżą kontrolną, ze sobą nawzajem, tankują w powietrzu, podchodzą do lądowania - oni również stanowią część tej potężnej maszyny, chociaż są daleko od niej. Pod pokładem startowym oficerowie wywiadu planują kolejne misje, przeglądają raporty, przewidują przyszłość na podstawie przeszłości; potężne komputery wymieniają niezliczone informacje na temat lotniskowca, jego przyjaciół, wrogów i wszystkiego, co nie zalicza się do żadnej z tych dwóch kategorii. Gdzie indziej członkowie załogi spożywają posiłek, ktoś pierze ich ubrania, utrzymuje kabiny w porządku, rozkłada pościel; ktoś się spowiada, ktoś inny się modli, słabości są karane, a sukcesy nagradzane - a okręt sunie przez wodę, zasilany nuklearnym sercem. W skład jego załogi wchodzi prawie sześć tysięcy ludzi i w tej chwili niewielu z nich śpi.

Ten cud techniki ma tylko jeden cel: wykorzystać przewagę na morzu do zaatakowania dowolnego celu. Tej nocy stanie on naprzeciw nowoczesnej for-

tęcy technologicznej, czyli zintegrowanego systemu obrony przeciwlotniczej - cytadeli, która niegdyś zwać się mogła Ticonderogą czy Krak des Chevaliers. System ten naszkicowany na mapie będzie wyglądać jak najzwyklejszy w świecie fort: zamiast murów zewnętrznych radary wczesnego ostrzegania, porożstawiane na nierównym terenie, skupione w mniejszych fortach - czyli stanowiskach rakiet - broniących dostępu do potencjalnych celów; kolejne stanowiska strzegą dowództwa sektora; w samym środku tkwi sztab główny, panujący nad wszystkim, gotów wezwać na odsiecz myśliwce, jak Saladyn niegdyś wzywał kawalerię.

Radary wczesnego ostrzegania są oczami całego systemu. Znajdują się wszędzie - na obwodzie, na stanowiskach rakiet ziemia-powietrze, w strefach obronnych i wszystkich korytarzach ataku. Rakiety ziemia-powietrze są łucznikami; w centrum ich każdego stanowiska czyha wyrzutnia rakiet dalekiego zasięgu, która z kolei musi być chroniona przez mniejsze pociski i konwencjonalną artylerię przeciwlotniczą. Artyleria ta pozostaje skuteczna przeciwko nisko lecącym napastnikom; nie można jej oszukać paskami folii odbijającej czy flarami - elektronicznym kurzem rzucanym w oko radaru. Każde stanowisko rakiet ziemia-powietrze wyposażone jest również w radary kierowania ogniem, anteny mikrofalowe, kable naziemne i sprzęt komunikacyjny.

Komunikacja ma kluczowe znaczenie, ponieważ horyzont radiolokacyjny na naszej małej planecie wynosi zaledwie trzydzieści trzy kilometry. Nawet ze szczytu góry czy wierzchołka ogromnej wieży radar widzi raptem czterdzieści pięć do sześćdziesięciu kilometrów - w epoce samolotów ponadźwiękowych i rakiet dalekiego zasięgu jest to praktycznie ślepotą. Dlatego też tylko w sztabie głównym, dokąd płyną dane z setki radarów wczesnego ostrzegania, można odgadnąć, że wkrótce nastąpi nalot i przekazać tę wiadomość do stanowisk rakiet ziemia-powietrze, rozmieszczonych w odpowiednich sektorach. Dowództwo obrony przeciwlotniczej, tkwiące w centrum twierdzy, rozwiązuje konflikty między poszczególnymi sektorami i sprawuje nadzór nad eskadrami myśliwców.

I tak właśnie przedstawia się sztuka oblężnicza końca dwudziestego wieku. Oblęgający porusza się z prędkością wielu setek kilometrów na godzinę i stara się zniszczyć radary wczesnego ostrzegania i stanowiska rakiet, by otworzyć drogę do celu, jednocześnie unikając pocisków, rakiet i samolotów wroga. Walka jest szybka, skomplikowana i wydawałoby się czysta, ale, podobnie jak w czasach, gdy wojownicy młotami rozbijali stalowe hełmy przeciwników, giną ludzie.

Po obydwu stronach.

12 lipca 1990, 3.15 czasu Greenwich, Ottawa

W siedzibie Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej panowała cisza. Tylko z biur na drugim piętrze dobywały się zwykle odgłosy dnia - rozmowy, dzwoniące telefony, stukot klawiatur komputerowych, głośna muzyka, którą czyjś

chrapliwy głos kazał ściszyć. Korytarzem szedł siwy mężczyzna niosąc wydruk komputerowy. Skręcił za róg, minął kilka biur, po czym przystanął, jakby nagle o czymś sobie przypomniał, i cofnął się do otwartych drzwi. Zajrzał do środka.

- Interesują cię czterej Rosjanie?

- Co, chcesz ich sprzedać?

- Ha ha, ale śmieszne. Przyszedł raport z Vancouver, że mają tam czterech Ruskich - wizy turystyczne, niewielki bagaż, co najmniej jeden z nich służył w Specnazie.

- Skąd przylecieli? Mężczyzna zerknął w kartkę.

- Z Władywostoku. Bezpośredni lot.

- Nasi ich trzymają?

- Zostali zatrzymani zgodnie ze standardową procedurą imigracyjną.

- Niech no spojrzę. - Mężczyzna za biurkiem wziął wydruk do ręki. - Czterech twardzieli - mruknął. - Czytałeś to, nie? Domyślam się, że wszyscy wywodzą się ze Specnazu. Wiek się zgadza, wygląd też. Czyli mamy czterech palantów z mafii rosyjskiej, którzy chcą robić swoje brudne interesy w Kanadzie. Tacy jak oni cholernie mnie wkurzają. Myślą pewnie, że z nami łatwo sobie poradzą. - Oddał wydruk. - Dobra robota, Tony. Przekaż ludziom z Vancouver, żeby ich puścili, ale niech mają na nich oko. Chcę dostać dokładne opisy, zdjęcia. Sprawa na razie nie jest pilna. „Obserwacja w celu uzyskania informacji”. Załóż im teczkę i zajmij się tym, dobrze? Co siedemdziesiąt dwie godziny informuj mnie o postępach w śledztwie. W tej sprawie coś śmierdzi.

- Może specnazowcy po prostu lubią hokej.

- A jakże. Aha, Tony, jeszcze jedno. Zorganizuj grupę na wypadek, gdybyśmy chcieli z tymi ludźmi porozmawiać.

Tony wyglądał na lekko urażonego.

- Dla niektórych z nas praca to nie wszystko, sir. Bilety na mecz Senators są niemal równie ważne.

- Rób, co mówię. Przecież Senators i tak dostaną baty. Wszyscy nasi najlepsi zawodnicy grają w Stanach.

23 lipca 1990,21.13 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Przez ostatnie dni Alan Craik żył w dwóch światach. Oficerowie wywiadu pracowali w centrum wywiadowczym lotniskowca, planując rutynowe misje, analizując nadchodzące dane. Ale lotnicy musieli latać. A on, Alan, należał do obu tych grup. Musiał balansować między nimi, udawać, że każda z nich jest dla niego ważniejsza od tej drugiej.

Ta noc jednak była inna. Alan zakończył swoją pracę w charakterze oficera wywiadu - czterdzieści godzin przygotowań i odpraw - i mógł z czystym sumieniem znów stać się lotnikiem. O ile los okaże się łaskawy.

Do tej pory pracował nad przygotowaniem do operacji o kryptonimie RY-CERSTWO. To właśnie z jej powodu w Zatoce znalazły się dwa lotniskowce. Ogólny plan akcji został nakreślony w Waszyngtonie, szczegółami zajęli się tacy jak Alan, płynący na pokładzie lotniskowców, a przeprowadzają ludzie tacy jak jego ojciec.

Chodziło o zniszczenie irańskiej stacji radarowej. Trzeba było zrobić wyrwę w systemie obrony przeciwlotniczej dzięki wykorzystaniu luk w sieci radarowej przez dwie grupy uderzeniowe. Liczba ofiar po stronie irańskiej miała być jak najmniejsza - trzeba było liczyć się z opinią publiczną - ale dzięki tej akcji armia Iranu uświadomiła sobie, jak nieszczelna jest ich forteca. Być może ci na wyższych stanowiskach zrozumieją, że dalsze wspieranie terroryzmu może ich wiele kosztować.

Dzięki pracy w centrum wywiadowczym Alan wiedział, jakie zadania stoją przed jego eskadrą i wręcz błagał swojego dowódcę i oficera operacyjnego, by pozwolili mu wziąć udział w akcji. Christine miała czekać w pogotowiu, daleko od brzegu na wypadek, gdyby któryś z samolotów musiał uzupełnić paliwo. Alan przekonywał, że jest dobrym koordynatorem taktycznym - niech spytają Rafe'a albo Crawa. Ale i dowódca, i oficer operacyjny spławili go - tylko dlatego, że nie wiedzieli, jak przyjąłby to jego ojciec. Alan był pewien, że o to chodziło.

Niczego jeszcze w życiu nie pragnął tak bardzo, jak wziąć udział w tej misji - było to dla niego ważniejsze niż Kim, ważniejsze niż nagroda w liceum. Chciał poznać smak prawdziwej walki; wiedział, że to pragnienie pokonało wszystkie inne, które teraz wydawały się całkowicie nieważne. Chciał polecieć, by udowodnić sobie, że jest mężczyzną.

Ale wyglądało na to, że nic z tego nie będzie.

Znał na pamięć listę samolotów, które wezmą udział w serii nalotów mających doprowadzić do powstania olbrzymiej wyrwy w irańskim systemie obronnym. On, Alan Craik, nie znajdzie się na pokładzie żadnego z nich.

Siedział przy stoliku, z kubkiem kawy przed sobą, przybity jak nigdy dotąd. Wokół niego słychać było podniesione głosy; ci, którzy lecieli, mówili o wiele za głośno i za wesoło. Co bardziej niecierpliwi dłubali już przy swoich kombinezonach.

Może, pomyślał, na dłuższą metę lepiej nie dostawać tego, co się chce. Może stajesz się mężczyzną, gdy poznasz smak rozczarowania. Może księżyc jest z zielonego sera.

- Wszędzie cię szukam - dobiegł głos znad jego głowy. Na jego ramieniu spoczęła silna dłoń dowódcy eskadry.

Alan podniósł głowę, serce zaczęło mu bić mocniej. Dowódca patrzył na grupę pilotów.

- Gilder, muszę z tobą porozmawiać, natychmiast! - krzyknął, po czym skierował wzrok na Alana. Ich spojrzenia spotkały się. - Lecisz. Wskakuj w kombinezon. - Silna dłoń uniosła się i poklepała go po ramieniu. Potem dowódca zniknął.

A jednak. Poleci.

Alan był tylko człowiekiem. W pierwszej chwili chciał popędzić do centrum wywiadowczego, by zobaczyć miny pozostałych oficerów, kiedy dowiedzą się, że on weźmie udział w prawdziwej misji. Nie, to byłoby nie fair, pomyślał, ale i tak miał wielką ochotę to uczynić. Powstrzymała go tylko świadomość, że zostało niewiele czasu. Zamiast tego rzucił się biegiem do swojej kajuty i zaczął wciśkać się w kombinezon.

Jego współlokator podniósł głowę znad gazety.

- Cholerny fuksiarsz! - powiedział z autentyczną zazdrością.

Już wiedział.

Surfer był doświadczonym lotnikiem i przyjął Alana na współlokatora, by nauczyć go podstaw manier i etyki, wszystkiego, czego nie można było dowiedzieć się z książek.

- Wolałbym, żeby trafiło na ciebie.

- Uważaj, bo uwierzę. - Surfer zrolował gazetę. - Dowódca pytał o ciebie, powiedziałem, żeby wziął cię na akcję, bo będzie z nim krucho. - Machnął gazetą. - Zasłużyłeś na to.

- Pewnie roztrzaskamy się o pokład.

- Pewnie będziesz pierwszym Szpiegiem w historii z orderem za służbę w lotnictwie. - Surfer pokiwał głową ze smutkiem. - No, już cię tu nie ma.

Alan wreszcie wcisnął lewą stopę do buta i ściągnął hełmofon z regału.

- Nie czekaj z kolacją, kochanie - powiedział w drzwiach. W odpowiedzi Surfer wystawił środkowy palec do góry i zamknął wąż.

Mike Craik po raz setny powtarzał w myśli wszystkie szczegóły misji, podczas gdy dwaj układacze spadochronów kręcili się wokół niego niczym giermkowie. Mimochodem zauważył, że jeden z układaczy, Tiernan, z którym do tej pory były same problemy, nagle stał się niezwykle sumienny; widać trzeba było zwiększyć zakres jego obowiązków, nie zmniejszyć. Craik zwrócił uwagę na to, że jego hełmofon wreszcie został na nowo oklejony; herb, pomarańczowa sieć chwytająca płonący samolot, połyskiwał na biurku w kącie pomieszczenia. Jako doświadczony pilot, Craik zauważył, że mający z nim lecieć młody bombardier-nawigator miał większe niż zwykle trudności z włożeniem kombinezonu. Chłopak się denerwował.

Diabła tam, sam Craik czuł się niepewnie, a był przecież jednym z trzech ludzi biorących udział w akcji, którzy robili to nie po raz pierwszy. Różnica polegała na tym, że niepokój tego chłopaka miał charakter czysto abstrakcyjny: ot, martwił się, czy wykaże się odwagą, czy stchórzy. Craik natomiast denerwował się, bo nie podobał mu się plan: za mało paliwa w powietrzu, część samolotów-cystern rozmieszczona zbyt blisko brzegu; zbyt duża pogarda wobec Irańczyków, za mało troski o właściwe namierzenie celów.

Ale nie o to chodziło. Craika najbardziej irytował fakt, że cele zostały ustalone w Waszyngtonie. Niby to on kierował atakiem, ale w rzeczywistości był tylko

grotem na strzale wystrzelonej przez polityków. On sam uważał, że o wiele rozsądniej byłoby uderzyć na bazę irańskiej marynarki wojennej w Bandar Abbas. Zerowe prawdopodobieństwo pomyłki i bardzo wyraziste przesłanie.

Craik poklepał nawigatora po ramieniu i uśmiechnął się, chcąc dodać mu otuchy.

- Kaszka z mlekiem - powiedział.

Tymczasem jego syn biegł głównym korytarzem po lewej burcie okrętu w stronę mesy lotników, znanej pod nazwą Brudna Koszula. Węch podpowiedział mu, że są tam świeże ciasteczka czekoladowe, a on zamierzał wziąć ich trochę dla swojej załogi i przy okazji napelnić termos kawą. Rafe nazywał Alana „stewardesą”, ale bez cienia złośliwości. Alan podejrzewał nawet, że trochę dzięki temu, iż zawsze zabierał prowiant i częstował wszystkich, członkowie załogi zaczęli traktować go jak normalnego człowieka, nie „Szpiega”. Szybko wyciągnął z pojemnika ze dwadzieścia ciasteczek, nie zważając na nieprzyjazne pomruki i okrzyki, a następnie wrzucił je do torby na helmofon. Nalał kawy do termosu (produkcji firmy L.L. Bean, nierdzewny, jeden z niewielu trafionych prezentów od matki, niezwykle ceniony przez załogę) i pobiegł z powrotem. Zostawił za sobą grupkę oficerów z załóg tomcatów, oburzonych zarówno faktem, że on leci, a oni muszą siedzieć tu na tyłkach, jak i tym, że bezczelnie zabrał dwa tuziny ciasteczek.

Skoro nie znają się na żartach, pieprzyć ich, jak mawiał Rafe.

21.20 czasu Greenwich, Wybrzeże Iranu

Zapał zmrok. Podoficer, na którego wszyscy mówili Franci, był niezbyt gorliwym żołnierzem, ale dobrym fachowcem. Praktycznie to on podejmował wszystkie decyzje, choć rozkazy wydawał oficer mniej znający się na rzeczy, ale bardziej pewny z ideologicznego punktu widzenia.

W tej chwili Franci przygryzał wąsy i palił papierosa. Od dwóch tygodni każdej nocy w jednostce wprowadzano stan pełnej gotowości bojowej - rakiety ziemia-powietrze czekały na wyrzutniach, radar wypatrywał wrogów. Ani chybi imamowie byli przekonani, że nadchodzą amerykańskie demony. Pewnie mieli słuszność - Franci mieszkał kiedyś w Stanach, więc wiedział, że Amerykanie wierzą przede wszystkim w rację silniejszego. Stąd ich podziw dla rewolwerowców, pomyślał.

Dlatego właśnie siedział w przyczepie zajmowanej przez sztab i czekał.

Pięć nocy temu do bazy przywieziono tajemnicze pudełko, które następnie przymocowano do głównej anteny radaru. Fanatyk, który je dostarczył, powiedział, że ujrzy ono niewiernych, kiedy tylko naruszą irańską przestrzeń powietrzną. Zdaniem Franciego, była to bajka dla dzieci; wiedza, jaką zdobył przez sześć lat na uniwersytecie w Buffalo, skąd musiał wrócić do Iranu z powodu gróźb pod adresem jego rodziny, pozwalała mu domyślić się, że pudełko to przekształcało antenę w (zapewne nieskuteczny) bierny wykrywacz. Fanatyk zapewniał, że

w chwili kiedy pojawią się Amerykanie, na stanowisku dowodzenia zapali się niebieskozielone światełko.

A Amerykanie pojawią się już wkrótce, myślał Franci.

Widział też, jak Strażnicy Rewolucji przywieźli swoją własną wyrzutnię raket, która teraz stała z dala od pozostałych. Jak to zwykle bywało, przypominała ona złom przewiązany kawałkiem sznurka. Strażnicy Rewolucji uwielbiają zabawki, pomyślał... nie, to nie tak. „Moment, moment”, jak mawiali amerykańscy przyjaciele Franciego - wszyscy Irańczycy uwielbiają zabawki. Wystarczy spojrzeć na motorówki wyposażone w karabiny maszynowe czy wyrzutnie rakiet na dachach taksówek. Zabawki preindustrialnej teokracji.

Udało mu się rzucić okiem na tę ich rakieta. Wyglądała na stary I-Hawk z przerobioną głowicą. Na ten widok Franci, doświadczony elektrotechnik, poczuł niepokój. Ta rakietka nie zapowiadała nic dobrego. Rzeczy, które miały wybuchnąć, bywały groźne, jeśli nie zostały odpowiednio zaprojektowane i zmontowane.

Dlatego poszedł z tym do swojego dowódcy. Musiał poruszyć tę sprawę ostrożnie, w sposób zawołany, niczym beżpański pies podchodzący do nieznanego człowieka przyzywającego go miłym głosem - kroczek po kroczeniu, w każdej chwili przygotowany na cios.

- Rasi, jak miewa się twoja żona? - powiedział.

- Dobrze, żołnierzu służy bożych. Żołnierzu, nie powinieneś zwracać się do mnie po imieniu przy... hmmm... przy nich. - Kiwnął głową w stronę przykrytej rakietki, jakby była ona symbolem Strażników Rewolucji. I ich tępoty.

- Rasi, niech imię twoje będzie błogosławione - powiedział Franci, z trudem zachowując poważną minę - przyjacielu wszystkich żołnierzy, chylił przed tobą czoło... - Z tymi słowami padł na kolana, co sprawiło, że oficer skrzywił się i podniósł go na nogi. Najwyraźniej miał już dosyć tej farsy.

W każdym razie udało się przejść do właściwego tematu.

- Ci Strażnicy Rewolucji - zagał Franci i kiwnął głową w stronę rakietki. - Prawie wybiła już Godzina, a ich twór jest.. hmmm... na słońcu.

- Co? Godzina? Która godzina?

Franci zdenerwował się. Nie miał cierpliwości do idiotów.

- Ta Godzina! Straciłeś pamięć czy co? Musimy ustawić kamuflaż! Wszystko przykryć! Musimy... - Przelknął ślinę, zaczął gwałtownie wymachiwać rękami i uderzać się w boki. - Pora, kiedy według rozkazów z Teheranu mamy stać się niewidzialni dla oczu, które Amerykanie umieścili na niebie, by krążyły wokół ziemi - dodał nieco spokojniejszym tonem.

- Twoje zachowanie jest wysoce niewłaściwe. Nie wolno ci krzyczeć na mnie. Odnötuję to. Gdzieś. - Oficer pociągnął się za kołnier, jakby żałował, że nie ma bardziej oficjalnego, przydającego godności munduru. - Strażnicy sami się o siebie troszczą. Może mają własny materiał do kamuflażu. Nie możemy im mówić, co mają robić. Przecież są Strażnikami!

Franci podejrzewał, że są pastuchami nie umiejącymi przeczytać ani jednego słowa z Koranu, ale nie śmiał powiedzieć tego na głos.

- Zdradzają nasze położenie - stwierdził tylko, powoli cedząc słowa, jakby rozmawiał z dzieckiem. - Zdradzają położenie rakiety, której nie powinniśmy widzieć. Wszyscy przez nich zginiemy.

- Niech się dzieje wola Boża.

Franci westchnął. Nie był na tyle odważny, by odpowiedzieć, że wola satelitów szpiegowskich wypełniała się bez względu na to, co Bóg - czy choćby Strażnicy Rewolucji - mieli na ten temat do powiedzenia.

Dlatego też tego wieczoru siedział w przyczepie zajmowanej przez dowództwo, palił piętnaste marlboro i wypatrywał niebieskozielonego światełka, które miało się włączyć, gdy pojawią się Amerykanie.

A co wtedy?

22.10 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Mike Craik wolnym krokiem obszedł swój samolot. Zajrzał do wszystkich otworów, pogłodził skrzydła, przykucnął, by rzucić okiem na podwozie. Nigdy nie widział w tych czynnościach podtekstu seksualnego, nie myślał o swoim samolocie jak o kobiecie, choć zapytany przyznałby, że niektórzy głaszczą konie, jak on swoją maszynę.

Podniósł głowę, by się upewnić, że komory folii odbijającej i rakiet oświetlających są pełne. Gdy to robił, zauważył kątem oka, że jakiś nie znany mu marynarz koduje IFF. Czasem zdarzało się, że zmieniali kody w ostatniej chwili. No tak, ale po co robili to teraz, skoro jego nawigator przeprowadził już pierwsze testy i wszystko było w porządku? Trochę go to zirytowało, nic więcej; uznał, że spyta chłopaka, co się stało, kiedy znajdują się na katapultcie.

Craik przejechał dłonią po wylotach dysz, sprawdzając, czy nie ma tam żadnych uszkodzeń czy śmieci. Czasem zdarzało się, że jakiś marynarz, mający o coś żal do pilota, wkładał tam monetę; w innej eskadrze podobno trafiła się nawet puszka z betonem. Craik nigdy jeszcze niczego takiego nie znalazł, jednak zawsze sprawdzał wyloty dysz. To należało do rytuału. Ze swoim samochodem obchodził się z podobnym pietyzmem.

Jeśli osobiście wszystko sprawdzi, z pewnością nie spotkają go żadne przykre niespodzianki.

Alan był wreszcie gotów. Członkowie załogi zajmujący miejsca z przodu kabiny poszli już do samolotu, ale starszy sierżant Craw nie spieszył się, wydawało się nawet, że celowo zwleka. Dzięki temu Alan miał więcej czasu, by dojść do ładunku ze swoim kombinezonem; nigdy nie mógł zapamiętać, w jakiej kolejności należy wkładać poszczególne jego części.

Starszy sierżant sztabowy Young, najwyższy rangą mechanik, podszedł do nich przy tylnych drzwiach do hangaru. Był ubrany w kombinezon obowiązujący na pokładzie startowym.

- Mam dla pana prezent - powiedział do Alana.

Alan rozejrział się, nieco zbity z tropu. Young zawsze czymś go zaskakiwał. Dla Alana uczestnictwo w akcji było najwspanialszym prezentem; cóż jeszcze mogło wchodzić w grę?

- Na pokładzie - powiedział sierżant. Alan i Craw ruszyli za nim korytą rzem, w kierunku barbety burtowej, a następnie okrążyli wieżę.

Trwały przygotowania do bitwy. Wózki z bombami krążyły po pokładzie; przewody paliwowe podciągano do samolotów; załogi dokonywały ostatnich przeglądów. W powietrzu unosił się silny zapach paliwa.

Na skraju pokładu windowego czekała Christine, już dość dawno przemalowana, by ukryć zarciki pozostawione na kadłubie przez siostrzaną eskadrę z „Roosevelta”. Dzięki temu znów wyglądała młodo i w blasku dobywającym się z dysz startującego F-14 była najpiękniejszym samolotem, jaki Alan kiedykolwiek widział - jakby chciała mu się odwdziżyć za jego lojalność. Niezgrabna i wielka, górowała nad nimi jak zły sen.

Alan włączył niebieską latarkę i pochylił się, by wypełnić *swój* jedyny obowiązek - sprawdzić gondolę ze skrawkami folii odbijającej i flarami; sierżant złapał go za ramię i podniósł, po czym wskazał mu coś na kadłubie.

Alan dopiero po chwili wypatrzył to, o co chodziło Youngowi, tuż pod oknem koordynatora taktycznego na szarym kadłubie widniał napis: PPOR. ALAN CRAIK.

Jego nazwisko.

To oznaczało akceptację ~ a nawet więcej, świadczyło o tym, że Alan został uznany za pełnoprawnego członka załogi. Na stałe. W dodatku musiał na to przystać Rafé. A może on to zasugerował? Alan wgramolił się do samolotu; na szczęście było ciemno i nikt nie widział jego płonących policzków. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Niewiele brakowało, by zapomniał o przeglądzie przyrządów.

Samolot Mike'a Craika stał na katapulcie. Pilot raz jeszcze omiótł spojrzeniem wszystkie przyrządy, po czym włączył pełną moc. Przez kadłub samolotu przebiegło drżenie, ale odczyty były w porządku: maszyna gotowa do startu. Craik i młody bombardier-nawigator przystąpili do prób poprzedzających start. Dowódca eskadry znalazł w sercu spokój i otulił się nim jak starym płaszczem. Szkoda, że nie mógł jakoś wesprzeć na duchu wystraszonego chłopaka u jego boku. Gdyby to Alan był tutaj ...

Gdzie jest Alan? - pomyślał Craik. Harry z pewnością nie puści go na prawdziwą misję, jak ta. Ach, a więc uważasz, że twój syn zasługuje na specjalne traktowanie i chesz, by zamiast niego poleciał jakiś inny dzieciak? Żeby jakiś inny, nie znany ci człowiek czekał w niepewności na powrót syna? - spytał siebie w duchu. Nigdy nie radził sobie z takimi dylematami, więc postanowił nie zwracać sobie głowy.

Craik uważał, że według planu samoloty-cysterny miały znaleźć się zbyt blisko wybrzeża - niczym wielkie, grube winogrona, czekające, aż zerwie je jakiś

irański pilot w MiG-u. Zwrócił na to uwagę w sztabie, ale bezskutecznie. Między innymi dlatego nie chciał, by Alan przebywał na pokładzie którejkolwiek z tych ociężałych maszyn. Jeden Craik w powietrzu wystarczy. Alana czekała inna przyszłość: ten chłopak miał w sobie coś, czego brakowało jego ojcu, mądrość - dzięki której mógł dosłużyć się nawet stopnia admirała. On, Mike Craik, wiedział, że nie ma co liczyć na awans.

Rozejrzał się. Na wszystkich katapultach czaiły się samoloty; kolejne czekały za deflektorami odrzutu. W ciemność wdarł się ogień i światło. Jak zawsze, na ten widok serce Craika wypełniło się dumą. Być może ostatnimi czasy wojna wiele straciła ze swojej chwały, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Wokół tego obracało się jego życie, to stanowiło jądro jego wiary. Tylko w czasie akcji bojowej wszystkich ludzi traktuje się fair, a ten, kto daje z siebie wszystko i jest dobrym graczem zespołowym, może odnieść sukces. Liczy się fachowość, nie jakieś duperele; jedynym kryterium oceny jest, czy zrzucone bomby trafiają w cel, czy nie. Nawet największy dziwak, jeśli jest dobrym pilotem, zyskuje szacunek pozostałych. Craika nie obchodziły abstrakcyjne pojęcia, jak wolność, demokracja czy kapitalizm; jego Ameryka była krajem doskonałych samochodów, pięknych kobiet, najwspanialszych gór świata i rajem dla wędkarzy. Dla tej Ameryki gotów był wsiąść do swojego ognistego rydwanu i jak miecz boży zabijać ludzi, których nigdzie nie widział na oczy.

Za samolotem podniósł się deflektor odrzutu. Załoga katapulty podczepiła liny.

Mike Craik uwielbiał muzykę Wagnera. Doskonale oddawała emocje towarzyszące startowi z katapulty, pośród huków i blasku płomieni. Zawsze marzył o tym, by słyszeć te majestatyczne dźwięki w chwili, kiedy samolot wzbija się w powietrze.

On, Craik, był starcem w porównaniu z młodymi chłopakami, którymi dowodził. Wiedział, że to jego ostatnia misja, ale rozpieęła go energia. Pragnął wykaazać się raz jeszcze.

Właśnie dla tego żył. Nie liczyły się kobiece łzy, poborcy podatkowi ani biurokraci. Tylko dźwignia i cel.

Oficer obsługujący katapultę przykucnął i wyciągnął rękę.

Proszę Cię, Boże, modlił się Craik, jeśli to mój ostatni lot, niech będzie udany.

Zasalutował i samolot wystrzelił w powietrze.

Alan przygotował się psychicznie do startu. Być może dlatego tym razem nieprzyjemny smród kurzu/elektryki/starego potu nie wywołał w nim mdłości. Gdy Rafe poinformował członków załogi, że test IFF-a wypadł pomyślnie, wszyscy zaczęli wiwatować; legenda mówiła, że IFF Christine skonstruowany był z gumy do żucia i starych majtek. Samolot powoli piął się ku górze, kierowany przez Rafe'a na wyznaczony obszar. Narc zaczął przerzucać stos kartek, by

dojść do tego, jak porozumieć się z osłaniającymi Christine myśliwcami - wprowadzony został stan ograniczonej emisji. Starszy sierżant Craw wpisywał do komputera częstotliwości radaru. Tymczasem Alan, włączwszy wszystkie urządzenia, ocierał wewnętrzną część maski tlenowej nasączoną alkoholem ligniną, którą rąbnął ze szpitala okrętowego. Domyślał się, że gdyby coś się stało, trzeba by przejść na oddychanie tlenem, a niezbyt przyjemnie mieć w ustach smak starej pizzy.

Alan włączył interkom i jak zwykle zaczął udawać stewardesę. Starał się, by w jego głosie nie było słychać podniecenia. Miał ogromną ochotę wylewnie podziękować wszystkim za to, że przyjęli go do swojego grona.

- Szanowni państwo, wkrótce wzniesiemy się na wysokość sześciu tysięcy dziewięciuset metrów i będziemy tam krążyć na wypadek, gdyby komuś zabrakło paliwa. Wtedy Rafę pierdnie w rurę, aż miło. Tymczasem steward ma dla państwa kawę i ciasteczka, i jest do waszej dyspozycji aż do chwili, gdy wylądujemy na międzynarodowym lotnisku w Cedar Rapids. Dziękuję, że wybraliście państwo linie lotnicze marynarki wojennej.

Rafę wydał radosny okrzyk i dłoń w rękawicy wyciągnęła się do tyłu. Alan wcisnął w nią termos i na wierzchu położył dwa ciasteczka.

Zwrócił się twarzą do monitora. Jego radar był wyłączony, ale przy użyciu swojego systemu Alan mógł obserwować to, co widać na innych; dzięki temu widział irańskie radary wczesnego ostrzegania, którymi upstrzone było wybrzeże. Na wszelki wypadek zaczął zapisywać ich pozycje. Któregoś dnia, pomyślał, to wszystko będą robić komputery. Jednak Christine nie radziła sobie z tak skomplikowanymi obliczeniami.

Alan zdał sobie sprawę, że to, co widzi, wcale mu się nie podoba. Jego dwa wcielenia wymieniły między sobą informacje, koordynator taktyczny z oficerem wywiadu i *vice versa*. Wniosek był jeden Irańczycy byli zadziwiająco czujni. Alan nie spodziewał się, że uda się ich zaskoczyć; Zatoka Perska jest na to za mała. Ale podczas lotów obserwował systemy obrony przeciwlotniczej i wiedział, jak funkcjonowały one w normalnych warunkach - zdruzzeni operatorzy włączali i wyłączali radary, niektóre stanowiska w ogóle nie prowadziły obserwacji przez całe siedem godzin. Tym razem wybrzeże wyglądało jak podczas karnawału; wszyscy czuwali. Wszyscy poza dyżurnymi na stanowiskach rakiet ziemia-powietrze; tam panował spokój, podczas gdy operatorzy sieci radarów wczesnego ostrzegania zdawali się cierpieć na bezsenność.

Alan spojrzął na zegarek. Samoloty miały dotrzeć nad ląd za dwie minuty.

Gdzieś tam jego ojciec leciał po chwałę. Alan znał go na tyle dobrze, by to wiedzieć. Nawet teraz w uszach miał ten lekko chrapliwy głos wypowiadający z namaszczeniem słowo „chwała”. Teraz pojęcie to nabrało uroku i dla Alana, choć jeszcze nie tak dawno, gdy był nastolatkiem, uważał, że to bzdura, wymyślona przez starców pragnących zmusić młodzież, by oddawała za nich życie. Jednak od dłuższego czasu miał do czynienia z ludźmi, którzy szczerze wierzyli, że żyje się tylko dla chwały; niektórzy z nich - oni sami określiliby się mianem praw-

dziwiyh mężczyzn - bezustannie podążali jej tropem. Alan nie był jeszcze pewien, czy jest prawdziwym mężczyzną, ale i on słyszał jej zew.

Ale przy analizowaniu danych nie można ciągle myśleć o chwale. Wystarczy, by pojawiło się coś interesującego, a zapomina się o wszystkim innym. Tak też stało się w tej chwili. Nawet przy ograniczonej emisji, jeden z E-2C Hawkeye przesyłał dane łączem i monitor pokrywała siatka z kwadracików, oznaczających własne samoloty i statki. Teraz, po przeanalizowaniu wszystkich zebranych informacji, Alan wiedział, że czuwały wszystkie systemy obrony przeciwlotniczej, do których zbliżały się kwadraciki. Nie trzeba było geniuszu, by odgadnąć, że Irańczycy byli przygotowani na ten nalot.

Za to nam płacą, pomyślał Alan. Lepszy sprzęt i wyszkolenie powinny wystarczyć. Nie ma obaw. Prawda?

Bosman Sheldon Bonner siedział w kiblu i czuł się, jakby miał w jelitach lód, a nie ogień, który zdawał się buchać pod nim. Z każdym dniem było coraz gorzej; męczyła go biegunka, jaką łapie się w podrzędnym mieście portowym, gdzie nie można pić wody ani jeść owoców. W szpitalu dali mu tylko jakieś prochy. Chryste, co za kpiny.

- Jezu, Bonner - dobiegł głos z sąsiedniej kabiny - co ty, nazarłeś się amunicji? Gdybym ja tak śmierdział, strzeliłbym sobie w łeb.

- Odpierdol się. Jestem chory.

- Kiedy indziej powiedziałbym ci, żebyś pilnował swojej dupy, ale wygląda na to, że nie dajesz sobie z tym rady. O rany! Jezu Chryste, poproś o przeniesienie, czy co.

Bonner nie mógł opanować drżenia rąk. Wciąż pamiętał, jak tamten pilot patrzył na niego; z trudem zmusił się wtedy, by dokończyć ustawianie kodu IFF, gdy tak naprawdę chciał rzucić urządzenie i uciec. Ten facet spojrzał mu prosto w oczy. Cholerny dowódca eskadry, w hełmofonie oklejonym fluorescencyjną pomarańczową taśmą, jeden z tych napaleńców, co to zawsze gadają o odwadze, chwale i innych takich bzdetach. Pieprzyć go. Nad Iranem zobaczy, jak to jest.

Zwieracze znów puściły. Tak będzie przez następny tydzień.

Warto pocierpieć, pomyślał. Próbował wyobrazić sobie łódź, jaką kupi. Każdej nocy przed zaśnięciem planował, jak z synem wybiorą się nią na ryby. Na St. John's. Wezmą ze sobą zimne piwo. On w odpowiedniej chwili powie chłopcu o swoim podwójnym życiu, o pieniądzach i namówi go, by od tej pory byli partnerami. Tylko oni dwaj. Będzie wspaniale. Naprawdę.

W jego brzuchu znów coś zabulgotało i Bonner jęknął głośno.

23.15 czasu Greenwich, wybrzeże Iranu

Franci uwijał się jak człowiek, który wreszcie może robić to, na czym się zna - śledzić ruch namierzonych samolotów, przekazywać dane, odbierać tele-

fony; krótko mówiąc, posługiwać się w miarę nowoczesnymi urządzeniami. Jako jeden z niewielu wiedział, jak funkcjonuje cała elektroniczna forteca, i zorganizował nieformalną linię telefoniczną, pozwalającą mu łączyć się z innymi podobnymi sobie ekspertami. Rozpierała go energia, przynajmniej dopóki trwał nalot.

Wiedział, że w tej chwili zmierza ku nim deszcz rakiet wykrywających źródło promieniowania. Włączenie radaru było równoznaczne z samobójstwem; on tego nie zamierzał zrobić. Jednak dzięki radarowi umieszczonemu na wzgórzu, czterdzieści pięć kilometrów dalej, mógł obserwować nadlatujących Amerykanów.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich pułkownik Straży Rewolucji.

- Przepraszam, kto tu dowodzi? - spytał zadziwiająco uprzejmie. Wszyscy, poza przełożonym Franciego, wskazali na Franciego.

- Ja - powiedział przełożony Franciego.

- Proszę mi powiedzieć, jak wygląda sytuacja. Oficer natychmiast zwrócił się twarzą do Franciego.

- Powiedz panu pułkownikowi, jak wygląda sytuacja.

Franciego niewiele obchodziło, komu przypisane zostaną zasługi ani kto jest właściwie czyim przełożonym; był całkowicie zaabsorbowany swoją pracą.

- Nadlatują w dwóch grupach, oddzielonych od siebie mniej więcej o sześć dziesiąt kilometrów. Północna grupa przeleci bezpośrednio nad nami - chyba że to my jesteśmy celem ataku, niech Allah broni. Będą tu za siedem minut.

Pułkownik podał mu telefon komórkowy.

- Proszę przekazać mojemu strzelcowi dane na temat kursu i prędkości. Nie włączać radaru, dopóki nie rozkażę inaczej.

Franci ucieszył się, że radar ma pozostać wyłączony: po co wystawiać się na uderzenie?

Pułkownik wyszedł. Dowódca Franciego wbił wzrok w zegar; Franci przekazał dane i przystąpił do kreślenia wektorów. Sześć minut. Pięć minut. Cztery. Trzy.

Strażnicy Rewolucji wystrzelili swoją tajemniczą raketę, gdy samoloty były oddalone o sześć minut. Na ekranie radaru dało się zauważyć, że jedna z maszyn zaczęła tracić wysokość. Franci zgłosił to przez telefon komórkowy.

- Włączyć radar - usłyszał. - Wystrzelić wszystkie rakiety, bez względu na to, czy są wycelowane. To rozkaz od pułkownika. - To było samobójstwo.

W niecałe dziesięć sekund po włączeniu radaru, kierowania ogniem rakieta HARM, wystrzelona parę minut wcześniej, zidentyfikowała go jako cel priorytetowy i skierowała się w jego stronę.

Ziemia zatrzęsała się i Bóg wyciągnął ręce po Franciego.

23.22 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Z łądu dobiegł nowy sygnał. Alan odczytał wskazania. Dziwne - nie pamiętał, by widział coś takiego. W notatkach nie znalazł nic podobnego. Potem sygnał

zniknął, a jemu pozostało go tylko odnotować. Przypomina parametry chińskiego radaru wczesnego ostrzegania, pomyślał. Włączony był tylko przez osiem sekund. Może ktoś go zestrzelił. Może operator przestraszył się tego, co zobaczył i wyłączył się.

Ten tajemniczy radar zaczął prowadzić namiar dosłownie kilka sekund po tym, jak samoloty dotarły nad Iran; znajdował się około sześciu kilometrów od celu północnej grapy uderzeniowej. Musiał ją wypatrzeć. Alan nastawił Strike Common - częstotliwość, na której odbywać się będą wszystkie rozmowy po zakończeniu stanu ograniczonej emisji.

- Jeden zero - usłyszał w helmfonie. Stan ograniczonej emisji został zniesiony.

- Nieprzyjacielski samolot! - rozległ się inny głos i Christine rzuciła się w dół.

Jedna z maszyn przeciwnika przedarła się przez przednią osłonę. Dla czwórki ludzi siedzących we wnętrzu wielkiego winogrona, jakim była Christine, oznaczało to śmiertelne niebezpieczeństwo. Alan przypomniał sobie, jak w centrum wywiadowczym wywiązała się krótka dyskusja, czy w czasie akcji samolotycysty znajdują się za blisko brzegu, czy też nie. Teraz już wiedział.

Rafę skierował samolot lotem nurkowym ku powierzchni wody. Alan włączył ekran łącza danych. Christine wydała z siebie słaby pisk. Ekran zgasł.

- Cholera jasna! Elektronikę szlag trafił! - krzyknął Alan. Odruchowo wyciągnął rękę, wyłączył cały system, policzył do dziesięciu i włączył ponownie.

Christine ciągle traciła wysokość.

Próbując pobudzić do życia mózg Christine, Alan jednocześnie sprawdził liczniki folii odbijającej i flar znajdujące się nad jego głową.

- Balast załadowany - powiedział do mikrofonu. W jego głosie słychać było niepokój. Wystrzelenie tego wszystkiego z S-3 oznaczało bowiem drastyczne pogorszenie widoczności; nie będzie wtedy można stwierdzić, czy nieprzyjaciel nadal siedzi im na ogonie.

Włączył się Rafe. Już dawno odzyskał pewność siebie po owym nieszczęsnym nieudanym lądowaniu, a cztery miesiące lotów uczyniły go nawet bardziej zdecydowanym niż kiedyś. Teraz był w swoim żywiole.

- Włożyć maski. Szpieg, włącz ten cholerny komputer i powiedz mi, co się dzieje. Folia i flary załadowane.

Alan wystrzelił je z gondoli. Cyfry na liczniku poszły w dół; trzy ładunki pasków folii, dwie flary wystrzelone, zostało jeszcze dużo.

- Folia i flary w porządku, sierżant uruchomił sprzęt. - Palce Alana zatańczyły na klawiaturze. Wpisał najważniejsze dane - cele i znane stanowiska rakiet ziemia-powietrze - a Crawl w tym czasie usiłował przywrócić do życia łącze danych. Alan musiał na nowo wpisać wszystkie wykryte radary. Kiedy skończył, zauważył, że sierżant naprawił łącze - ale miał złe wieści.

- Jeden bandyta na południowym wschodzie, odległość trzydzieści pięć kilometrów, leci prosto na nas. Prędkość około pięciuset czterdziestu węzłów.

- Szpieg! Co to jest? MiG-29?

Gdyby tak było, nie mielibyśmy szans, pomyślał. Gdzie nasza eskorta, do cholery? Jeszcze dziesięć minut temu kręcił się tu F-14; co prawda jego skrzydłowy miał jakąś usterkę w systemie hydraulicznym, ale...

Alan i Narc jednocześnie wypatrzyli eskortujący ich samolot.

- Cholera jasna! - krzyknął Narc. Samolot zrobił wprawdzie, co do niego należało i popędził za intruzem, ale nerwowy nawigator i niedoświadczony pilot schrzanili robotę i ani nie przechwycili, ani nie zestrzelili nieprzyjacielskiej ma szyny. Narc złapał ich na swoim nadajniku i próbował przywołać tomcata z powrotem.

Intruz nieubłaganie zbliżał się do Christine.

Dlaczego nie zawrócił, by zaatakować tomcata? Wydawało się, że nawet go nie zauważył. Alan spojrzął na łącze transmisji danych i zobaczył ślad radarowy, rzadko spotykany, czyli praktycznie niezidentyfikowany, nie uwzględniony w wykazie radarów i samolotów używanych przez nieprzyjacielskie kraje. Jednak głowa Alana, w odróżnieniu od łącza transmisji danych, była pełna takich zbędnych drobiazgów; on wiedział, co to za samolot.

- A-5 Fantan chińskiej produkcji! Dwie rakiety atoli, mały główniany radar. Rafę, zejść poniżej dwustu metrów i nie wywęszy nas tymi swoimi zabawkami.

Rafę lubił wiedzieć, z kim lub z czym ma do czynienia, a Alan mówił z niezwykłą pewnością siebie. Pilotowi od razu zrobiło się lżej na sercu, gdy usłyszał, że tym, kto go ściga, jest pilot z trzeciego świata w głównej pierwszej generacji, a nie rosyjski najemnik w MiG-u-29 - niemal duplikacie F-18 - polujący na kolejną ofiarę.

- Dobra, przyjąłem, jesteśmy na wysokości sześciuset metrów. Jaka jest jego prędkość przeciągnięcia i czy ma czym strzelać?

Alan otworzył swój notatnik i znalazł opis A-5, nie wiedzieć czemu wydrukowany na fluorescencyjnej pomarańczowej karcie.

- Dwa działka dwudziestomilimetrowe. Prędkość sto sześćdziesiąt pięć węzłów. Ma niefart, musi zejść niżej.

Alan spojrzął na ekran; Chryste, ależ jest blisko, pomyślał i wtedy rozpętało się piekło.

- Folia, flary! - krzyknął Narc i sam je odpalił ze swojego miejsca. Przyrządy pokazały, że gdzieś z tyłu miał miejsce wystrzał. Samolot rzucił się w dół. Alan pochylił się i próbował odczytać wysokość.

- Poniżej trzystu metrów! - krzyknął. W tej samej chwili Rafę ostro skrzył w prawo i samolot znalazł się tuż nad wodą, migocącą w blasku księżyca. Wykosciomierz zatrzymał się na sześćdziesięciu metrach - Christine nie uznawała niższych wysokości. Alan podniósł rękę, z trudem przewyciężając przeciążenie i włączył automatyczne odpalanie folii odbijającej. Nagle ogarnęło go zwątpienie. Czy ktoś kiedykolwiek naprawdę walczył z A-5? A jeśli wszystkie informacje wywiadu na temat tej maszyny są wyssane z palca? Czy nie to właśnie usiłował powiedzieć mu Peretz?

Rafę obrócił samolot o sto osiemdziesiąt stopni i wykonał łagodniejszy zakręt. Przed oknem Alana przemknął błysk.

- Rakiety przeszły - powiedział Alan, przekonany, że ma rację. Caw krzyżał coś do radia, ale nikt nie mógł im pomóc; znajdowali się zbyt daleko od grup bojowych i od okrętów. Jeszcze pięć minut i wszystkie tomcaty i hornety w okolicy będą przeczesywać tę okolicę w poszukiwaniu orderów za waleczność... ale pięć minut w walce powietrznej to cała wieczność.

- Jest nad nami - powiedział Alan.

Christine szarpnęła się gwałtownie. Alan uderzył się w lewy łokieć, a w szybie wykwił gwiazdzisty otwór.

Członkowie załogi wiedzieli, że Christine została trafiona. Sytuacja była niezwykle groźna; na wysokości sześćdziesięciu metrów wystarczy drobna awaria, by samolot runął w dół.

Rafę wykonał ostrzejszy zakręt i zmniejszył prędkość. Wydawało mu się, że uszkodzona Christine spisuje się o wiele lepiej niż zwykle.

- Nieźle strzelasz, chłopie - mruknął nosem Rafe i jeszcze bardziej zwolnił, tak że Christine niemal stanęła nieruchomo w powietrzu.

Ostatnia komora ze skrawkami folii odbijającej została opróżniona. Kolejny pocisk trafił Christine w skrzydło; paliwo zaczęło wyciekać, a samolot rzucił się w prawo. Prędkościomierz wskazywał sto sześćdziesiąt pięć. Rafe ostro przechylił maszynę i nagle wykonał ostry zakręt. Członkowie załogi nie mogli widzieć jego wyszczerzonych zębów i twarzy, na której malowała się nadzieja, pragnienie zemsty, a zarazem niepokój wywołany faktem, że grzbiety fal widoczne były już nie w dole, a raczej z boku. Rafe mamrotał pod nosem modlitwę pilota wielkiego winogrona, jakim była Christine: „Chodź za mną, ty palancie, no chodź, w dół, w bok, w dół i...”

W lusterku wstecznym pojawił się silny błysk.

Cisza, jaka zapadła w kokpicie, była tak głęboka, że świst powietrza wdzierającego się do środka przez dziurę w osłonie kabiny zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Alan powoli ogarnął spojrzeniem wnętrze Christine - sylwetkę Cra-
wa, monitory, błyszczący termos.

A potem zdał sobie sprawę, że samolot wyrównał lot i zaczyna piąć się ku górze.

A-5 zniknął z radaru.

Rafę podniósł zaciśniętą pięść i wydał triumfalny okrzyk.

- Mam cię! - mruknął. Po chwili spokojnie powiedział do mikrofonu: - Strażnik, tu Gatoraid 2, jeden bandyta zatopiony, bez odbioru. - Wybuchnął śmiechem. - Dostaliśmy go. Niech to diabli, dostaliśmy go! -1 dalej śmiał się, nie mogąc przestać.

Gdy potem ktoś go pytał, jak doszło do tego, że został odznaczony orderem sił powietrznych, mówił, kładąc dłoń na stole: „Chcecie wiedzieć, jak nisko zszedłem? Zszedłem tak nisko... tak nisko, że podczas następnego przeglądu z Christine trzeba było zeszkrobywać pąkle. - Wtedy zawieszał głos i znów zaczynał się śmiać. - A wiecie, jak nisko zszedł ten A-5 Fantan? Aż na dno!”

- To było piękne! - przeżywał znowu Narc. Tym razem mówił szczerze, nie chciał się tylko przypochlebić. - Zajebiste.

- Co się stało? - spytał Craw. - Tomcat go dostał?
- Rafę wrzucił go do wody - odparł Narc. Rafe wreszcie przestał się śmiać. -
Zwalniał i schodził niżej, aż temu szmaciarzowi zgasł silnik.

Rafę zachichotał - tym razem jednak był po prostu rozbawiony.

- Straciliśmy samolot - mruknął. - S-3 stracił samolot!

Teraz już wszyscy zanosili się ze śmiechu, z każdą chwilą coraz głośniej. Alan poklepał Crawa po ramieniu i zdał sobie sprawę, co właśnie uczynili. Swój sukces zawdzięczali umiejętnościom Rafe'a, ale także jego wiedzy oraz bystrości umysłu Crawa i Narca.

Christine wzbiła się w ciemność przy akompaniamencie powietrza gwizdzącego w dziurach po pociskach. Była zadowolona, że ma na koncie kolejną ofiarę.

23.35 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Głosy mieszały się w eterze. Południowy Iran pokrywała sieć śladów radarowych, artylerii przeciwlotniczej i radarów na przemian włączających się i wyłączających. Systemy obrony przeciwlotniczej nieźle sobie radziły przez pierwsze kilka minut Alan przegapił kluczowy moment, gdy do działań włączyły się stanowiska rakiet ziemia-powietrze i artylerii, ale rakiety HARM i zagłuszanie zrobiły swoje. Nie widać już było nieprzyjacielskich myśliwców; *ten*, który ich ścigał, musiał być samobójcą albo po prostu w momencie rozpoczęcia nalotu odbywał patrol.

Alan słyszał kolejne meldunki o trafieniach; w przeciągu kilku sekund z dymem poszły miliony dolarów, wydane na konstrukcję rakiet HARM. Większość samolotów nadal pozostawała nad celami, ale niektóre A-6 już wracały. Alan zauważył jedną z maszyn w odległości zaledwie trzydziestu pięciu kilometrów na południowy wschód od Christine, unoszącą się na wysokości zaledwie trzystu metrów.

- Co tam się dzieje? - spytał Rafe. Po przeprowadzeniu analizy uszkodzeń on i Narc zgodnie uznali, że nadal mogą zaopatrzyć inne maszyny w paliwo. Po tym, co ich spotkało, beczynne krążenie w powietrzu wydawało się straszliwie nużące. A jednak głównie w tym celu tu się znaleźli.

- Mamy jednego rannego ptaka - powiedział Alan. - Trzydzieści kilometrów od nas i niewłaściwy odczyt IFF, ale leci nisko, powoli i na właściwym radiale. Narc, spróbuj go złapać. Może potrzebuje paliwa.

Narc połączył się z Hawkeyem. Alan miał rację; w samolocie był dowódca północnej grupy uderzeniowej. Sądził, że uda mu się wylądować i chciał zatankować paliwo na małej wysokości. Rafe skinał głową; po tym, jak prawie zszedł pod wodę, by załatwić fantana, tankowanie w powietrzu wydawało mu się dziecinną igraszką. Wyciek paliwa nie niepokoił go. Skierował samolot na południowy zachód.

Alan jak zahipnotyzowany obserwował elektronicznie przetworzony obraz nalotu; na jego oczach kolejne stanowiska irańskiej obrony przeciwlotniczej ob-

racaly się w perzynę. Jeden po drugim cichły radary i baterie rakiet ziemia-powietrze. W systemie obrony przeciwlotniczej powstała wyrwa sięgająca trzystu kilometrów w głąb lądu. Gdyby ci z Bahrajnu mieli samoloty o odpowiednim zasięgu, pomyślał, mogliby bez przeszkód zbombardować Teheran.

- Hej, Szpieg, włącz FLIR. Chcę zobaczyć, jak z nim jest. Nie ma radia.

FLIR to kamera umożliwiająca obserwację w podczerwieni różnych celów, zwłaszcza wynurzonych okrętów podwodnych. Znużone załogi S-3 podczas lotów szkoleniowych mają dzięki niej spory ubaw, obserwując niedoświadczonych pilotów usiłujących trafić króćcem w kosz umocowany na końcu węża do podawania paliwa. Alan włączył ją z lekkim żalem; nie mógł już obserwować nalotu, jako że kamera przekazywała obraz na ten sam ekran, w który właśnie się wpatrywał.

Tankowanie w powietrzu jest prawdziwą sztuką. Piloci starają się maksymalnie udoskonalić swoją technikę na wypadek, gdyby kiedyś podczas prawdziwej akcji zabrakło im paliwa. Najlepsze załogi ćwiczą tankowanie bez bezpośredniej komunikacji, przy wykorzystaniu sygnałów świetlnych. Manewrowanie rozpedzonym samolotem tak, by trafić króćcem do kosza o wiele wolniejszego samolotu-cysterny, jest niezwykle trudne; kiedy samolot jest uszkodzony, a pilot ranny, staje się to wręcz torturą.

Rafę zrównał się z uszkodzonym samolotem. Był to A-6; jego kokpit znaczyła długa dziura.

- Będzie potrzebował około pięciu tysięcy - zauważył Narc i pochylił się nad komputerem sterującym tankowaniem. - Szpieg, kosz na miejscu?

Kosz był widoczny w samym środku ekranu.

- Tak. - Alan jeszcze nie całkiem ochłonął po szczęśliwym finale ataku irańskiego A-5. Był zdekoncentrowany.

- O cholera - powiedział Narc zgasiwszy światło. - Nieźle dostał. Traci moc. - Mówił dziwnym tonem, ale Alan nie zwrócił na to uwagi. Dopiero później miał się dowiedzieć, że Narc i Rafe zauważyli boczny numer uszkodzonego samolotu i zorientowali się, kim jest pilot.

- Jak tylko trafi do kosza, zejdziemy lekko w dół - burknął Rafe. - Niech się trochę rozpedzi, a potem powolutku skręcimy w stronę lotniskowca. Dowiedzimy go w jednym kawałku.

Szkoda sukinsyna, myślał. Chodziło mu o Alana, nie o rannego pilota.

Gdy kamera uchwyciła obraz A-6, Alan zdał sobie sprawę, że w uszkodzonym samolocie brakuje części osłony kabiny. Wstrząsnęło to nim na tyle, że wyrwał się z apatii. Ten gość naprawdę ciężko dostał, pomyślał. Następnie usiłował dojrzeć, czy bombardier-nawigator nadal jest w kokpicie. Tak go to zaabsorbowało, że dopiero po kilkunastu sekundach zauważył błysk hełmofonu pilota, który siedział z pochyloną głową.

Siatka do siatkówki. A-6.

Tata.

Ranny ptak zbliżył się do kosza, ale stracił wysokość. Króciec nie trafił i kosz uderzył w przednią szybę A-6. Crawl włączył kamerę doczepioną do FLIR.

- Nie może utrzymać wysokości - powiedział Alan drętwio. Uszkodzony samolot leciał jak we śnie; poruszał się zbyt wolno, zbyt cicho, fantastycznie zniekształcony w kamerze na podczerwień. Alan nie mógł uwierzyć, że na własne oczy widzi, jak jego ojciec walczy o życie. Przecież już powinni być z powrotem na lotniskowcu i cieszyć się z zakończenia misji. Tak jest zawsze.

Rafę sprowadził Christine lotem nurkowym na mniejszą wysokość. Wciąż był pewien, że uda się uratować uszkodzony samolot, że dostanie paliwo i wszyscy razem wrócą na pokład. Wysokość czterysta dwadzieścia metrów; facet miał jeszcze minutę czasu na to, by trafić do kosza. Rafe zmniejszył prędkość. Nic złego już nie mogło się zdarzyć.

Na oczach Alana jego ojciec raz jeszcze spróbował zatankować. Powoli tracąc wysokość, zmierzał pewnie do celu, ale piętnaście metrów od kosza coś się stało, A-6 zatrząsł się i znów zniknął z ekranu.

Alan zaczął obracać kamerą, aż zobaczył samolot, który teraz znalazł się po lewej stronie, z prawym skrzydłem w górze. W napięciu obserwował, jak jego ojciec podejmuje kolejną próbę.

Był coraz bliżej.

Mijały sekundy. A-6 wyrównał lot.

Króciec wysunął się. Alan próbował zmusić go siłą woli, by trafił do kosza. A-6 leciał tak, jakby otaczała go gęsta galareta, powoli, leniwie. Ale króciec zbliżał się.

Coraz bliżej, bliżej, bliżej, jeszcze kilkanaście centymetrów... i króciec wpłynął do kosza.

- Trafiony! - krzyknął Alan. Craw powiedział coś w tej samej chwili. Alan próbował rozewrzeć zaciśnięte dłonie. Wszystko w porządku, pomyślał. Wszystko w porządku. Kiedy jednak pał iwo trysnęło na kadłub uszkodzonego samolotu, nastrój triumfu prysnął.

Christine zadrżała. A-6 zerwał kosz z węża. Paliwo lało się do ciemnej wody, niczym krew tryskająca z tętnicy, niczym utracona szansa i nadzieja.

Alanowi wydawało się, że wtedy A-6 zaczął spadać i ten właśnie obraz, obraz powoli malejącego w dole samolotu, miał na zawsze zostać mu przed oczami. Później często będzie się zastanawiał, czy sobie tego nie wymyślił, czy nie był to straszny sen, w którym to, co nieuniknione i przerażające, nabiera kształtów.

Jedno Alan widział na pewno: jego ojciec wyprostował się i podniósł rękę, jakby chciał pomachać na pożegnanie albo zasałutować. „Czy on wie, że tu jestem? Czy wie, że tu jestem?” Potem major Craik pochylił się i A-6 runął w dół jak kamień.

Wystrzelił wyrzucany fotel i niemal w tej samej chwili samolot uderzył w powierzchnię wody.

- Odszedł - Alan usłyszał swój głos. - Odszedł.

Przełączył ekran z powrotem na łącze danych.

Christine milczała. Wtedy Narc zaczął składać meldunek o zestrzelonym samolocie.

6

24 lipca 1990, 21.23 czasu Greenwich, Floryda

Kim Hoyt już od lunchu zażywała małe dawki koki i teraz miała ochotę na imprezę. Właściwie impreza już trwała - byli tu brat Kim, dwaj jego koledzy, jej ojciec oraz dwaj faceci, z którymi robił interesy; to oni przynieśli kokę, by łatwiej dojść do porozumienia. Jednak Kim myślała o imprezie prawdziwie wystawnej. Chciała założyć wieczorowy strój i rozebrać się do naga; chciała, by ją podziwiano i chciała flirtować; pragnęła wzbudzać pożądanie i pragnęła, by mężczyźni rywalizowali o jej względy. Chciała przeżyć coś ekscytującego, a w jej rozumieniu oznaczało to imprezę.

Jej ojciec zajmował się zawieraniem umów. Działał głównie w branży budowlanej, zajmował się kompleksową obsługą i wyszukiwaniem podwykonawców; interesowała go zwłaszcza ta część kubańskiej społeczności, która miała pieniądze. Kim podziwiała ojca. Uważała go po prostu za ideał mężczyzny: do woli manipulował innymi ludźmi i zbijał na tym wielkie pieniądze. Może nie był przystojniakiem - miał wystający brzuch, obwisłe mięśnie i gładkie, nieowłosione ciało - ale Kim nauczyła się już tego, o czym nie wiedziało wielu młodych, umięśnionych mężczyzn o włosach rozjaśnionych słońcem: że ktoś taki jak jej ojciec jest od nich atrakcyjniejszy, bo to od niego bije prawdziwa moc. Napaleni gówniarze nadawali się tylko do seksu. „Są w porządku, dopóki nie otworzą gęby”, mawiała Kim swoim przyjaciółkom. Ona dobrze wiedziała, że życie na seksie się nie kończy. Wiedziała, że jeśli nie chce skończyć jako tłusta ropucha z *cellulitis*, trzema bachorami i hipoteką, musi zdobyć władzę i pieniądze.

Dlatego Kim kochała swojego ojca. Była to miłość niemal nieprzyzwoita, ale nigdy jeszcze się nie zdobyli na definitywne przekroczenie tej granicy.

W tej chwili Kim leżała nad basenem, delektując się kokainą, zachwycona sobą, swoją gładką skórą, spojrzeniami mężczyzn. Trzy kobiety, które leżały na przeciwległym brzegu, nie stanowiły dla niej konkurencji; były tylko zabawkami biznesmenów. Kim czuła, że jest inna niż one; dzieliła ją od nich obietnica, którą złożyła Alanowi. Należała do niego. Tylko do niego. Życie w celibacie podobało jej się, zwłaszcza że była najbardziej seksowną kobietą w okolicy. Podobało jej się pożądanie, płonące w zwróconych na nią oczach mężczyzn, a nawet kobiet, skrywających żądzę pod maską zawiści.

- Telefon, proszę pani.

Na tle błękitu nieba odcinała się sylwetka Consueli, pochylonej nad Kim jak anioł.

- Przynies go tutaj.

Kim była przekonana, że Consuela jest jej przyjaciółką. Że Consuela ją kocha.

- To chyba on, psze pani. Może woli pani odebrać na osobności?

On. Alan. Consuela wiedziała o nim wszystko. (Zresztą ojciec Kim również, ale tylko do pewnego stopnia; nie wiedział, jakie cuda wyprawiali ze sobą w łóżku - a Consuela musiała sprzątać ślady, jakie po nich pozostawały.)

- O mój Boże... - Kokaina sprawiła, że pożądanie i samotność bardziej niż zwykle dawały się Kim we znaki. Popędziła boso po kafelkach do domu, czując na sobie spojrzenia wszystkich. - Consuela, w mojej sypialni...

Rzuciła się na różowe łóżko i chwyciła słuchawkę.

- Tak? - Serce waliło jej jak młot.

- To ja, Alan.

- To naprawdę ty! O Boże, tak za tobą tęsknię! Powiedz, wyczułeś to, wyczułeś, że mi ciebie brakuje? Myślałam, że zwariuję bez ciebie...

- Kim! - Nie pamiętała, by kiedykolwiek zwracał się do niej tak ostrym tonem. Zupełnie jakby jej nie słyszał. Może połączenie było złe. - Kim, przyjeżdżam na parę dni do domu.

- Nie wierzę! - pisnęła i przewróciła się na plecy, podniosła nogę i oparła stopę na kolanie. - Och, kochany, kiedy...

- Kim, mój ojciec nie żyje.

W ułamku sekundy ogarnęły ją różne uczucia; dzięki temu, że zmysły miała wyostrome pod wpływem kokainy, mogła je dokładnie rozróżnić. Najpierw była zła, że on w ogóle wspomniął o czymś takim w takiej chwili; potem zaczęła się obawiać, że on czegoś od niej oczekuje; wreszcie na koniec ogarnął ją smutek, nieodparty, taki jaki widywała u bohaterów seriali telewizyjnych. Zaczęła płakać.

- Och... mój drogi... och, biedaku, tak mi przykro, o Boże...

- Muszę uregulować wszystkie jego sprawy. Mam urlop. Przelatuję samolotem pasażerskim. Możesz przyjechać po mnie na lotnisko?

W pierwszym odruchu chciała mu powiedzieć, że będzie czekała z rozłożonymi nogami, ale on nie to chciał usłyszeć (co znowu ją zdenerwowało), więc ograniczyła się do zapewnienia, iż wyjdzie po niego. Zapisała wszystkie szczegóły w notesie, wielkimi literami, z których odczytaniem później będzie miała problemy. Wciąż płakała. Dobrze jej to zrobiło. Przypadkiem odkryła, że fajnie jest opłakiwać zmarłego ojca innego człowieka.

- Muszę kończyć.

- Mój ty biedaku. Musisz mieć złamane serce! Głębia tego... to znaczy, to takie smutne. Nie mogę tego wyrazić słowami. To tak... tak... - Płakała i płakała. Nie mogła przestać, nie chciała przestać, podobało jej się to.

Ale im usilniej starała się mu powiedzieć, jakie to smutne, tym słabiej zdawał się na to reagować. Pragnęła, by był tu z nią, by widział, jak ona płacze, by się kochali, by płakali i kochali się jednocześnie. Próbowwała mu to wytłumaczyć, ale on mówił coraz mniej.

I nagle zdała sobie sprawę, że w słuchawce zapadła cisza.

To sprawiło, że rozplakała się jeszcze bardziej. Nie mogła powstrzymać łez. Wszystko było takie smutne.

Do pokoju wszedł kolega jej brata i zamknął za sobą drzwi. Był głupi jak but, ale niesamowicie przystojny; miał raptem osiemnaście lat. Powiedziała mu, jakie to wszystko smutne. On stwierdził, że uczucia Kim są naprawdę głębokie i zaczęła rozpinąć jej stanik. Ona nie miała nic przeciwko temu.

26 lipca 1990, 13.22 czasu Greenwich, Floryda

Przez ostatnie trzy noce Alan Craik nie zmrzął oka. Z wyczerpania jego ruchy stały się nerwowe, nieskoordynowane; czasem nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Mimo to przez cały ten czas zachowywał zdolność jasnego myślenia. Kiedy kładł się na koi i zamykał oczy, widział spadający do morza samolot ojca.

Gdy boeing 747 zbliżał się do Orlando, Alan patrzył w okno, jakby zależało mu na tym, by zobaczyć Florydę. Tak naprawdę jednak przed oczami miał coś zupełnie innego: rozmowy ze swoim ojcem, ostatnie spotkanie w Bahrajnie. Nie mogli wtedy przewidzieć, że już nigdy się nie zobaczą. Wymienili raptem parę zdań; on wciąż czuł się urażony uwagami ojca na temat Kim, a ojciec miał dużo pracy w związku z planowanym nalotem.

Alan Craik miał mętlik w głowie. Doszedł do wniosku, że właściwie nie znał swojego ojca. Kto był temu winien? Alana wychowywała matka i ojczym - czy w związku z tym można twierdzić, że miał dług wobec ojca? Czy ojciec był dobrym człowiekiem? Bohaterem? Czy należało stawiać go sobie za wzór? Jakie Alan miał obowiązki wobec jego pamięci? I jaką rolę odegrał w jego śmierci?

- To nie twoja wina! - krzyczał na niego Rafehausen, gdy Alan stał na pokładzie startowym, owiany ciepłym powietrzem znad Zatoki Perskiej, i powtarzał: „To moja wina. Ja go zabiłem. Gdyby na moim miejscu był prawdziwy lotnik, wszystko skończyłoby się dobrze. Zabiłem ojca”... Wreszcie Rafehausen złapał go za ramiona i wrzasnął: - To nie twoja wina! Rozumiesz? Nie twoja! Zrobiłeś wszystko, co mogłeś!

Gdy boeing zaczął podchodzić do lądowania, przez myśli Alana raz jeszcze przewinęło się wspomnienie ostatnich chwil życia ojca. Widział jego podniesioną dłoń - czy był to gest banalny, czy też rycerski? A jak nazwać jego, Alana, reakcję na to, co się stało? Gdzie podziła się rozpacz, która powinna wycisnąć mu łzy z oczu? Dlaczego zachowywał się tak spokojnie? Czemu, nie licząc chwil, kiedy ogarniało go poczucie winy, był twardy jak gład? Rozmyślając nad tym wszystkim, zmierzał do postawienia sobie pytania, które dotąd czaiło się w głębi jego podświadomości: „Teraz, kiedy jego już nie ma, dlaczego miałbym dalej służyć w marynarce?”

Miał na sobie cywilne ubranie, a za cały bagaż służył mu niewielki plecak. Wyszedł do sali przylotów, omijając innych podróżników, którzy witali się z oczekującymi krewnymi i znajomymi. Kim stała po drugiej stronie sali, oparta o słup. Na jej widok Alan uśmiechnął się odruchowo; przez ostatnie dni wszystko robił

odruchowo. Włożyła czarną sukienkę i ciemne okulary, w tym żałobnym stroju wyglądała jak zwykle seksownie. Alan uświadomił sobie, że zirytował go jej wygląd, który zdawał się wskazywać, iż ona oczekuje po nim, by był Alanem, Kochankiem Kim, a nie Alanem, Synem Mike'a. Czy po prostu Alanem.

- Mój ty biedaku - szepnęła mu na ucho. - Tak mi przykro. - Tulila go do siebie tak długo, jak należało, wreszcie cofnęła się o krok i spojrzała mu w oczy. - Bardzo cierpisz? - mruknęła.

- Czuję się dobrze.

Kim odezwała się znowu dopiero przy samochodzie. Mocno ścisnęła jego dłoń; wiedział, że powinien czuć wsparcie, miłość, ciepło płynące z jej palców. A nie czuł nic. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien jej o tym mówić.

- Ulokujemy cię w jednym z domków nad morzem - powiedziała, patrząc na niego ponad dachem mercedesa. - Wkrótce będziemy musieli rozejrzeć się za jakimś lokum dla nas.

- Na razie zamieszkać w domu ojca. Wszystkie jego rzeczy... Nie zaprotestowała. Dopiero przy wyjeździe z lotniska powiedziała:

- Będziemy się spotykali, prawda?

- Jezu, oczywiście!

- Tak mi ciebie brakowało.

- Ja też się stęskniłem.

Starł się wymazać z pamięci nekające go obrazy i wymyślić coś na użytek tej rozmowy.

- Dziękuję za listy. Naprawdę podtrzymywały mnie na duchu. - Bywało, że dziennie przychodziły dwa listy od Kim. Koperty zawsze były wypchane jakimiś drobiazgami - a to skrawek nylonu, a to jakiś wycinek z gazety, a to dowcip. Po czątkowo Alan uważał, że te listy są urocze, a nawet podniecające; potem jednak ich monotony, przesycony erotyzmem ton zaczął go męczyć. Jakby Kim wierzyła, że wszyscy ludzie powinni pieprzyć się i być szczęśliwi.

W czasie jazdy Alan położył rękę na nodze dziewczyny. Czarna sukienka była bardzo krótka; pod nią Kim miała czarną halkę, opadającą na nagie, złociste udo.

- Może gdzieś się zatrzymamy? - spytała.

- Gdzie? - Znow zaczął myśleć o śmierci ojca.

- Nie chcesz, żebyśmy to zrobili?

- Chcę tego, co ty.

Kim przygryzła wargę. Szklą jej okularów były wielkie jak zakrętki słoików i zakrywały połowę twarzy.

- Kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, coś ci powiem - zaczęła. - To coś wspaniałego, ale jeszcze nie jesteś gotów, a ja nie chcę wszystkiego zepsuć. W porządku?

- W porządku. - Myślał o tym, jak Rafehausen krzyczał na niego.

Kim skręciła na parking przed motelem i wynajęła pokój. Gdy Alan wszedł za nią do środka, ze zdziwieniem stwierdził, że obudziło się w nim pożądanie. Kiedy potem się kochali, był nieobecny duchem. Miał wrażenie, że patrzy na

siebie z zewnątrz; a jednak seks przyniósł mu zdecydowaną ulgę. No i Kim było przyjemnie.

- Zmieniłeś się - powiedziała i objęła go. - Mój ty biedaku. Chcesz porozmawiać?

- O czym?

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Czyja nic dla ciebie nie znaczą? - Wybuchnęła płaczem. - Ty mnie w ogóle nie słuchasz! - Alan domyślił się, że powinien ją pocieszyć. Spróbował to zrobić, ale skończyło się na seksie. I znów nie potrafił się w to w pełni zaangażować.

16.00 czasu Greenwich, Teheran

Franci nie będzie pamiętał, że czasami się budził. Pamięcią sięgnie do szóstego dnia po tym, co się stało, a to dopiero czwarty dzień. A jednak wie już, że stracił nogę. Nie pamięta, że dowiedział się o tym z rozmowy dwóch lekarzy stojących przy jego łóżku; zapamiętał tylko sam fakt. Jego mózg pracuje nad zmianą osobowości -jako że Franci nie jest już zdrowym, pełnym życia i doskonale zapowiadającym się młodzieńcem. W tej chwili jest otepiały od lekarstw i wydaje się nieprzytomny, ale w jego głowie kołocze się już gorzka myśl, że kilka sekund przy radarze, przyciśnięcie jednego guzika, bezwzględność jednego człowieka zniszczyły mu życie. Franci nie wie jeszcze, że został eunuchem.

16.00 czasu Greenwich, Floryda

Ojciec Alana miał dom niedaleko Five Points w Jacksonville. Alan był tam po rozwodzie rodziców. Jego matka po roku życia w samotności wyszła za sympatycznego faceta ze stanu Iowa. Alan odwiedził ojca dwa razy w ciągu dwóch lat. Potem Craik senior został przeniesiony, ale tak mu się spodobało na Florydzie, że postanowił zatrzymać dom.

Część domu wynajmował młodszy oficer z innej eskadry. Kiedy ojciec Alana wracał ze służby, mieszkali razem; gdy któryś z nich wyjeżdżał, zamykał swoją sypialnię na klucz i tyle. Przez dom przewinęło się wielu takich lokatorów, co sprawiło, że widać tu było brak kobiecej ręki.

Na podjeździe stał czerwony saab i leżak, z którego zwieszała się włochata noga. Trawa była nieco za wysoka, a orzech zaniedbany i suchy. Alan ruszył w stronę domu i powiedział „cześć”, czym wystraszył mężczyzną drzemiącego z puszką piwa na brzuchu.

- Jestem Alan Craik. Syn Mike'a.

- O Jezu... słuchaj, stary, naprawdę mi przykro. Jestem Dingo Povick. Twój ojciec był wspaniałym facetem. To wielka strata. Co mogę powiedzieć? - Był opalony na brązowo, dobrze zbudowany, zaawansowany wiekiem jak na młod-

szego oficera. Pewnie zaczynał służbę jako szeregowy, pomyślał Alan. Uściśli sobie dłonie. - Nie jestem dobrym mówcą - powiedział Povick. - Był wspaniałym człowiekiem, będzie mi go brakowało i współczuję ci. Może być?

- Jasne.

- Proszę, wejdz. Zresztą to twój dom, nie?

- Możesz nadal tu mieszkać - powiedział Alan. Rozmawiał już z prawnikiem z bazy o testamencie ojca. - Dom będzie mój, ale nie zamierzam niczego zmieniać. Być może zamieszkać tutaj po zakończeniu służby. W porządku?

- No pewnie. Świetnie. Myślałem, że zechcesz go sprzedać.

- Cieszę się, że ktoś tu będzie mieszkał.

Alan obejrzał dość domów oficerów marynarki, by i w tym wyczuć typową dla nich nijakość, spotęgowaną tutaj brakiem kobiecej ręki. Był to dom, z którego można się było szybko wyprowadzić, wrócić po kilku miesiącach, wejść i od razu rzucić się na łóżko. Alan wypróbował kilka kluczy (przysłanych z „Roosevelta” wraz z rzeczami osobistymi ojca), odnalazł właściwy i wszedł do sypialni.

Okna były szczelnie zasłonięte, a powietrze w pokoju zateęchło. Alan włączył klimatyzację i rozsunął zasłony, by wpuścić do środka światło, po czym stanął na środku sypialni i powoli obrócił się dookoła.

Co czuł? Zadawał sobie to pytanie rozglądając się po pokoju ojca. „Co czuję?” Nie wiedział, że już stawiając to pytanie człowiek ukrywa swoje uczucia. To ostatnia okazja, by poznać go nieco lepiej, pomyślał.

Jak się okazało, major Craik zgromadził całkiem sporą kolekcję muzyki operowej, głównie na starych winylowych płytach. Alan przypomniał sobie, że ojciec czasami wygwizdywał jakieś melodie; czy pochodziły one z oper? Dużo Wagnera. Jedna płyta Grateful Dead, z przecinającym okładkę czerwonym napisem: „Mick, uwielbiam tych gości. Mam nadzieję, że Tobie też się spodoba ją”. Prezent od kobiety, pomyślał Alan. Trochę go to poruszyło. Zaczął się obawiać, że pozna tajemnice, o których wolałby nic nie wiedzieć - że znajdzie coś tak wulgarnego jak kolekcja świerszczyków albo tak żalostnego jak stare listy miłosne.

Ale na nic takiego nie trafił. Owszem, w szafie wisiał damski szlafrok, razem z mundurami, ubraniami cywilnymi, wędkami, orderami i szablą. Spojrzenie Alana zatrzymało się na szabli, która tak wiele znaczyła. Alan próbował sobie wyobrazić, jak wyglądała u boku ojca podczas nielicznych ceremonii, kiedy etykieta wymagała jej noszenia. Jakże łatwo byłoby w tej chwili ulec taniemu sentymentalizmowi i wybuchnąć płaczem, mając przed oczami ten obraz („Z szablą poległego ojca u boku, podporucznik Alan Craik postanowił poświęcić całe swoje życie”...). Odpędził tę myśl.

Szlafrok - właściwie kilkanaście centymetrów czarnej koronki - miał tylko symboliczne znaczenie, podobnie jak szabla. Alan był ciekaw, do kogo należał i co ta kobieta czuła w tej chwili. Czy przychodziła tu, gdy w domu przebywał włochaty oficer? A może ojciec zawarł z nim układ i, kiedy jeden z nich przyprowadzał sobie panienkę, drugi zostawiał go z nią sam na sam? Mógłby spytać o to Povicka, ale wiedział, że tego nie zrobi.

A kim była ona? Żoną kolegi z eskadry? Byłą żoną oficera marynarki, nadal mieszkającą na osiedlu wzniesionym przez marynarkę wojenną dla kadry? Takich kobiet było wiele. Służba na morzu nie sprzyjała trwałości małżeństw.

Alan próbował wyobrazić sobie Kim w tym pokoju. Nie udało mu się.

Ubrania cywilne nie prezentowały się najlepiej. Zdaniem Alana, były zbyt krzykliwe. Jego ojczym, puciołowaty niski facecik, był właścicielem sklepu z odzieżą dla mężczyzn. Przy każdej okazji próbował nauczyć Alana wszystkiego, co wiedział o tkaninach, krojach i kolorystyce; tłumaczył cierpliwie, kiedy należy nosić krawat, a kiedy ubierać się swobodnie. Włókna naturalne były dla niego świętością, a sztuczne - diabelskim wynalazkiem. Alan ze sporym rozbawieniem przyjął fakt, że w swojej nowej profesji będzie miał do czynienia głównie z poliestrem. Zresztą szybko przyzwyczaił się do tego. Poliester nie miał żadnego statusu.

Alan postanowił przekazać ubrania ojca instytucjom charytatywnym. Najpierw odłożył na bok szlafrok i trzy kurtki, po czym wszystkie pary butów, za dużych na niego. Wreszcie dorzucił do tego mundury, choć przez chwilę zastanawiał się, czy przyjaciele ojca nie chcieliby ich wziąć na pamiątkę. Na Alana nie pasowały, bo był szerszy od ojca w ramionach i szczuplejszy w talii. Ale czapki od munduru były w sam raz, więc postanowił je zachować. Najcenniejsza była ta ze srebrną odznaką, prawdopodobnie pochodząca z lat sześćdziesiątych.

Na półkach stały książki - nic ciekawego, głównie thrillery, poradniki i naszpikowane techniczną terminologią opisy samolotów. Jeszcze kilka płyt. Mały telewizor kolorowy. Turystyczne duperele przywiezione z wędrowek, większość z nich trafi do instytucji charytatywnych. Wysokie wiśniowe biurko. Alan postanowił, że zatrzyma je dla siebie. Z wahaniem zajrzał do wszystkich szuflad, obawiając się, że w środku odkryje coś, czego nie powinien. Ale znalazł tylko koszule, mnóstwo koszul. Drugą szufladę zapełniały skarpety: trzeba było mieć parę do każdego munduru. Bielizna, swetry, koszule. Nic nadzwyczajnego.

Stolik przy łóżku Alan zostawił na koniec. Bał się, że natrafi tu na coś, o czym wolałby nie wiedzieć. Otwierając jedyną szufladę, odruchowo odchylił się, jakby w obawie, że coś stamtąd wyskoczy.

Wewnątrz znajdował się „Time” sprzed trzech miesięcy, mały notes, pistolet marki Browning P-35 i magazynek pełen nabojów.

Dlaczego Mike Craik nie wziął go ze sobą na służbę? Każdy pilot nosił pistolet; niektórzy twierdzili, że po to, by w razie katapultowania się odpędzać rekiny, inni, że dla wezwania pomocy, a jeszcze inni uważali, że po to, by sobie strzelić w łeb. Ojciec Alana musiał mieć ze sobą inną broń, teraz spoczywającą w ciepłych wodach Zatoki Perskiej. Czyli ten pistolet nie był jego ulubioną bronią - a może był, i dlatego Craik senior zostawił go tutaj, w bezpiecznym miejscu?

Gdy odwrócił browning, Alan ujrzał nazwisko ojca wypisane złotymi literami. „Na pamiątkę od kolegów z VA-47. Wietnam, 1967”. Pierwsza eskadra ojca.

Alan wcisnął pistolet do torby.

Następnie otworzył czarny notes, zapisany tylko do połowy. Widniały w nim głównie pojedyncze zdania; przy niektórych pojawiała się data.

Najwcześniejsza notatka pochodziła z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego. Ostatnia z dziewięćdziesiątego.

Dwadzieścia lat, niecałe trzydzieści stron.

Alan usiadł na łóżku i zaczął przeglądać notes. Sprawiało mu to duży ból; notatki były w istocie skróconymi do jednej czy dwóch linijek spostrzeżeniami człowieka, który nie był skłonny do samoanalizy. Wiele z nich dotyczyło kobiet, których Mike Craik nigdy chyba nie zdołał zrozumieć. Alan szybko przewertował kilkanaście stron; jego uwagę przykuł jeden z ostatnich zapisków.

„Dzisiaj Alan został mianowany na oficera. Byłem wzruszony. Miałem łzy w oczach, kiedy patrzyłem na te dzieciaki - wszystkie te dzieciaki. Jakby na to nie patrzeć, podjęli trudne wyzwanie i niektórzy z nich zginą. Nigdy dotąd nie czułem się tak blisko związany z A.”

Alan ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

Alan spędzał każdy wieczór u Hoytów. Siedział tam jak na rozżarzonych węglach.

Brat Kim go nie lubił. Kiedy Alan po raz pierwszy od przyjazdu na Florydę wszedł do wysokiego na dwa piętra holu, Lance czekał na niego, ubrany w za dużą koszulkę z napisem ŻYCIE BYWA DO DUPY.

- Naprawdę mi przykro, admirale, naprawdę, naprawdę, stary - powiedział i uściśnął dłoń Alana.

- Nie nazywaj mnie tak, dobrze?

- Jak?

- Admirale.

Lance zmarszczył brwi.

- To tylko taki żart.

- Nie dla mnie. W porządku?

Lance wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz.

Kolacja u Hoytów przywodziła na myśl nieudane oficjalne przyjęcie. Gości, siedzących w wielkiej jadalni, obsługiwały dwie meksykańskie służące. Pan Hoyt siedział na jednym końcu stołu, a Kim naprzeciw niego. Pani Hoyt tu nie mieszkała. („Była pijaczką i tatuś wyrzucił ją z domu”, wyjaśniła kiedyś Kim. Nie powiedziała, w jakich okolicznościach.) Lance i jego ojciec paradowali w dresach i porozpinanych koszulkach; Kim nosiła suknie albo długie bluzy i jedwabne spodnie, białe lub czarne.

Pierwszego wieczoru na kolacji były też trzy inne pary - kobiety zbyt krzykliwie ubrane, zbyt nachalnie uperfumowane, trzepoczące sztucznymi rzęsami. Alan siedział przy Kim. Rozmowy dotyczyły pieniędzy i rządzonego przez nie świata - świata podatków, inwestycji, wynagrodzeń, zwycięzców i przegranych. Alan nie odzywał się.

- Proszę cię, bądź miły - powiedziała później Kim, gdy zostali sami przy basenie.

- A nie byłem?
- Wcale się nie odzywasz.
- Bo nie mam nic do powiedzenia.
- To bardzo ważne dla tatusia.
- Co jest bardzo ważne? - Fakt, że ojciec Kim w ogóle go zauważył, był dla Alana sporym zaskoczeniem. - Co? Żeby był miły?

- Ci ludzie to jego przyjaciele. Wspólnicy.

Dawniej ludzie w żałobie nie chodzili na kolację z obcymi, pomyślał Alan. Mogli milczeć i być sami.

- Chyba przeniosę się do bazy - powiedział.

- Nie! - Kim wyciągnęła ręce. - Nie możesz tego zrobić. Na razie musisz zostać tutaj. To bardzo ważne.

Kilka włączonych lamp rozpraszało mrok panujący w ogrodzie. Drzewa rosnące wokół basenu kładły się cieniem na twarzy Kim.

- Czy ci ludzie przyszli tu z mojego powodu? - spytał po chwili namysłu Alan.

Kim wzięła go za rękę.

- Pamiętasz, jak mówiłam, że mam ci coś do powiedzenia?

Nie pamiętał, ale na wszelki wypadek postanowił się do tego nie przyznawać.

- Chciałam poczekać na odpowiednią chwilę, ale już dłużej nie mogę, bo ty jesteś taki... taki... Stałeś się jakiś taki zimny. Bo widzisz, rozmawiałam z tatuśkiem i powiedziałam mu, jak bardzo się kochamy, ty i ja, i że chcemy wkrótce się pobrać, ale ty poniosłeś tę wielką ofiarę dla ojczyzny i zasługujesz na jakąś nagrodę. Wiesz, naprawdę walnęłam mu niezłą mowę. I to właśnie chciałam ci powiedzieć, to właśnie jest ta cudowna nowina, kochanie, padniesz trupem, jak to usłyszysz! Tatusi da nam apartament w Silver Lagoon - to cudowne miejsce -jako prezent ślubny, załatwi mi posadę w przedsiębiorstwie, które sobie upatrzyłam i będzie mi płacił sto tysięcy dolarów rocznie, dopóki ty nie skończysz służby w marynarce. Potem umieści cię na bardzo wysokim stanowisku w jego firmie. Czy to nie cudowne? Chryste, powiedz coś, Alan, wiesz, ile to wszystko kosztowało mnie nerwów?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć; zamknął je, jak tylko spojrzał na nią. Przez oczy Kim przesunął się cień gałęzi poruszonej podmuchem wiatru.

- Możemy się pobrać - powiedziała. - Wszystko jest na dobrej drodze.

- Kim, niedawno zmarł mój ojciec.

Coś błysnęło w jej oczach - gniew? - ale szybko zniknęło. Wzięła Alana w objęcia.

- Wiem, wiem. - Pocałowała go. - Ale musimy skorzystać z oferty tatusia, dopóki jest aktualna. Za dwa lata mój brat zacznie zajmować się biznesem.

No tak, tatuś lubił podsycać rywalizację: najpierw napuścił Kim na Lance'a, potem Lance'a na Alana. To uwłaczało pamięci ojca Alana, było kpina z łez wylanych nad jego śmiercią. Alan, wciąż jednak przekonany, że kocha Kim, powiedział:

- Chcesz, żebym wszedł w interesy twojego ojca, zanim zrobi to Lance.

- Musimy wyrównać szanse. Lance jest jego jasnowłosym chłopcem, synem - rozumiesz? Kiedy on zajmie się biznesem, Kimberley będzie mogła się wypchać.

- Chodzi o pieniądze.

- Mnóstwo pieniędzy.

- Myślisz, że twój ojciec chce mi je dać?

- Zrobi to, kiedy zostaniesz moim mężem. I ojcem jego wnuków.

Po raz pierwszy Alan zaczął się zastanawiać, czy ta dziewczyna, która tak często mówiła o miłości i czarowała go seksem, wiedziała, czym miłość jest naprawdę.

Gniew jest przyczajoną bestią, towarzyszącą rozpacz. Zaskakuje człowieka, czeka cierpliwie, stąpa bezszelestnie za jego plecami i wypatruje odpowiedniej chwili do ataku. Wszyscy uważają, że rozpacz to lzy i poczucie pustki; gniew jest czymś niewłaściwym, czymś, co powinno się zdusić. Najgorsze jest to, że zwraca człowieka przeciwko osobie, którą oplakuje, i budzi w nim poczucie nielojalności.

Alan właśnie zaczynał odczuwać gniew.

Następnego dnia po przyjęciu u Hoytów poszedł do domu ojca i zaczął porządkować jego książki. Dziś wydały mu się głupie - idiotyczna rozrywka nieciekawego człowieka. Alan oddzielnie odkładał książki dla instytucji charytatywnych, dla przyjaciół i te, które należało zatrzymać - ale w miarę upływu czasu coraz więcej ciskał z pogardą na pierwszy stos. Nie wiedział, że rosnąca w nim złość bierze się z żalu - był zły na ojca za to, że umarł, że wyrażał się niepochlebnie o Kim. Za karę chciał wyrzucić jego książki, na nie przenosząc swój gniew. W końcu gwałtownym ruchem ręki pozrzucił wszystkie książki na podłogę i stanął przy oknie, wpatrując się w zaniedbany trawnik przy sąsiednim domu.

Moja dziewczyna chce wyjść za mnie, a ja myślę tylko o ojcu, doszedł do wniosku. Taki był z niego twardziel. Musiał się bawić w cholernego bohatera. Do boju, tato! Świetnie sobie poradziłeś! Dać się zabić - to dopiero sztuka! Zaczęła go ogarniać nienawiść. O dziwo, przyniosło mu to ulgę.

Taka głupia śmierć. Po prostu idiotyczna. Jego ojciec poprowadził eskadrę do boju tylko po to, by strącił go jakiś irański gówniarz z przenośną wyrzutnią rakiet. Jedno szczęśliwe trafienie - bum, twój ojciec nie żyje. Bo musiał zostać bohaterem.

Alan ujrzał w szybie swoją posępną twarz. Zmęczenie i gniew dodały mu lat. Czuł się zdradzony przez los. To nie fair, że musiał oglądać śmierć swojego ojca, którego samolot został pechowo strącony, a potem zmagać się z poczuciem winy i utrudniać życie Kim.

Alan napotkał w szybie własne spojrzenie. Potem przypomniał sobie, że pomyślał, iż jego oczy wyglądały jak oczy Peretza, podkrążone i cyniczne, i w tej właśnie chwili coś go tknęło. Niewykluczone, że w rzeczywistości ta myśl kołatała

mu się w głowie od pewnego czasu, ale Alan miał zapamiętać właśnie ten moment.

„Jesteś oficerem wywiadu, musisz mieć głowę na karku”.

Słyszał słowa Peretza, jakby był on w tym pokoju.

I myślał: „Dlaczego jestem przekonany, że ojciec zginął pechowo, zestrzelony rakieta z przenośnej wyrzutni?”

Odpowiedź brzmiała: bo wszyscy tak twierdzili. Tak pocieszali Alana; cholerny pech, mówili. Dlatego, że nie wierzyli, by Irańczycy mogli nocą zestrzelić A-6. Skoro im się udało, oznacza to, że mieli niewiarygodne szczęście.

Ale...

Oparł się na górnej części skrzydła okiennego. Zmarszczył brwi i zaczął drapać się po policzku.

A jeśli nie było to tylko szczęście? A gdyby tak...

Nie zdawał sobie sprawy, że pragnął wierzyć w istnienie racjonalnego wytłumaczenia, wykluczyć element przypadku. Jeśli bowiem to, co się stało, zostało zaplanowane i przygotowane, to jego ojciec nie był tylko twardzielem, który polecał na jedną akcję za dużo. A on, Alan, nie był palantem, który do końca życia będzie próbował zaakceptować wydarzenie pozbawione sensu.

- Hej, Povick! - Alan usłyszał szum lejącej się wody. Wszedł do kuchni; włochaty oficer, ubrany tylko w majtki, właśnie napelniał czajnik.

- Hej, stary.

- Znasz się na A-6?

Povick z hukiem postawił czajnik na kuchence.

- Jestem od helikopterów.

- Coś mi przyszło do głowy. - Właściwie Alan nie był pewien, co takiego chciał powiedzieć. Chodziło o to, co stało się wtedy, gdy jego ojciec leciał nad Iranem, a Christine spadała gwałtownie ku powierzchni wody. Wszystko działo się tak szybko, że nie dało się zapamiętać szczegółów, ale stało się wtedy coś, na co powinien był zwrócić uwagę.

- Daj sobie z tym spokój - powiedział Povick.

- Jeszcze nie.

Povick potarł oczy.

- Czas leczy rany. Mówię ci, nie myśl o tym za wiele.

Alan stał wpatrzony w czajnik i bawił się monetami brzęczącymi w kieszeni.

- Jakie jest prawdopodobieństwo trafienia w nocy A-6 rakieta z przenośnej wyrzutni? - powiedział.

Povick wzruszył ramionami.

- Życie bywa do dupy.

- To prawda. - Te same słowa widniały na koszulce Lance'a. Tak pocieszają się ludzie w latach dziewięćdziesiątych.

Povick podstawił mu krzesło.

- Siadaj. Napij się kawy, pogadaj ze mną. Zapomnij o tym.

Alanowi przemknęło przez myśl, że przy tym samym stole jego ojciec musiał setki razy pić kawę z Povickiem. Zresztą jakie to ma znaczenie? Zamiast popadać

w rozpacz, lepiej przypomnieć sobie, co mogło wydarzyć się tamtej nocy, na wybrzeżu Iranu. Coś, co... nie pamiętał. Gdyby mógł zajrzeć do notatek sporządzonych podczas lotu, przesłuchać nagranie z kokpitu... Może któryś z członków załogi coś powiedział; może komputer odnotował jakąś anomalie.

- Wiedzieli o naszym ataku - powiedział, gdy Povick podał mu kubek kawy.
- Poważnie?

- Całe wybrzeże świeciło jak choinka. Od samego początku byli przygotowani do ataku. - Zaczął siorbać gorącą kawę. - Nie było tajemnicą, że jesteście w Zatoce Perskiej. Można by powiedzieć, że Irańczycy dodali dwa do dwóch. - Wbił wzrok w parę kłębiącą się nad kubkiem. Może rzeczywiście tak było.

Povick zaczął wypytywać go o szczegóły ataku, o Christine. Nie był głupcem. Może zresztą nie słuchał; może wszystkie słowa Alana wpadały mu jednym uchem i wychodziły drugim, podczas gdy on myślał o następnym meczu drużyny Dolphins. Alan jednak mówił nieprzerwanie przez dwadzieścia pięć minut, a kiedy skończył, zrobiło mu się lżej na sercu. Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie udało mu się tak porozmawiać z Kim.

Kiedyś zaczął sortować książki, nie był już taki wściki. Co więcej, nie rozpamiętywał już tamtej nocy; zamiast tego przypominał sobie, co się wtedy stało, zastanawiał się i zadawał sobie pytania. Wszystkie sprowadzały się do jednego: „A jeśli to nie był tylko zwykły pech?”

Późnym popołudniem udało mu się zasnąć na łóżku ojca. Promienie słońca przedzierające się przez żaluzje padały na beżowy sufit, tworząc niezwykły wzór; Alan, wpatrzony w grę światła, to zapadał w drzemkę, to się budził. Po pewnym czasie zasnął na dobre. Śniło mu się, że patrzy na komputer i radar, i wykonuje mnóstwo bezsensownych obliczeń. Obudził się nagle i usiadł, po czym znów zasnął. Tym razem walczył na macie zapasniczej. Ten sen też był męczący, monotony i bolesny; Alan śnił, że jest swoją własną ręką, usiłującą uczyć się niewidocznego, nieznanego przeciwnika. Jego palce wyczuwały spocone ciało, włosy, próbowały wcisnąć się między ściśnięte kończyny, niczym zwierzę, którego jedynym zmysłem jest dotyk. Alan pragnął dowiedzieć się, kim jest jego przeciwnik; ręka wykręcała się, popychała, chwyciła, usiłując przewrócić nieznanego człowieka na plecy, odnaleźć jego głowę, odwrócić twarz. Palce macały, macały i nic, aż wreszcie Alan obudził się w mroku, zmęczony jak po całodziennym wysiłku.

Gniew, ukryty w cieniu, zamaskowany, patrzył na niego i czekał.

27 lipca 1990, 23.30 czasu Greenwich, lotnisko międzynarodowe Pearson, Toronto, Kanada

Sierżant Kenneth McEachy podniósł słuchawkę automatu i wykręcił numer dyżurki. Dyżurny rozpoznał go po głosie.

- Tony każe ich zdjąć. Na lotnisku, jeśli nie ma zagrożenia dla innych pasażerów. W przeciwnym wypadku na zewnątrz.

McEachy ruszył ostrożnym krokiem w stronę sali przylotów linii Air Canada. Była pusta. Tym lepiej.

- Gotowi?

- Jeden.

- Dwa.

- Trzy.

- Jam jest. - To Sandy, żartowniś, niech go szlag trafi. McEachy oparł się z wystudiowanym spokojem o ladę przy okienku z biletami. Wyglądał jak większość podróżujących biznesmenów, choć był dokładniej od nich ogolony. Miał nadzieję, że Vancouver i Air Canada zrobili, co do nich należało. Wsłuchując się w trzaski w słuchawce patrzył na samolot podjeżdżający do terminalu. Niewidzialne ręce podczepiły rękaw do kadłuba. Po chwili McEachy usłyszał ciche puknięcie - ktoś się włączył.

- TuCallahan.

- Jak tam? Masz ich?

- Wsiądą pierwsi. Dopóki ich nie capniemy, nikt inny nie opuści samolotu.

Agent numer jeden stał pod kadłubem, gotów wspiąć się do tunelu, gdyby to okazało się konieczne. Numer dwa i trzy czekali za McEachym. Sandy przycisnął się w poczekalni naprzeciwko.

- Dziesięć sekund, sierżancie.

- Ruszajcie.

Na monitorze nad stanowiskiem informacji pojawili się czterej dobrze zbudowani mężczyźni. Wyszli z samolotu i ruszyli tunelem w stronę sali przylotów. Ten, który szedł ostatni, obejrzał się. Wyglądali na twardzieli. Pewnie rzeczywiście byli ze Specnazu. Pierwszy z mężczyzn spojrzał nieufnie na kamerę, ale szedł dalej. Trzej nieznajomi wkroczyli do sali przylotów i nie zatrzymując się zaczęli kogoś wypatrywać. Czwarty nadal był w tunelu. Coś krzyknął.

Czas zaczął płynąć niesamowicie wolno; jeszcze parę sekund, a trzech mężczyzn wyjdą z pustej sali i znajdą się w zatłoczonym głównym holu lotniska. Czwarty znów coś wykrzyknął. Pierwszy z nieznajomych zatrzymał się i wydał jakieś polecenie. Mówili po rosyjsku z takim akcentem, jak ukraińscy rolnicy, których McEachy znał w dzieciństwie.

Czwarty mężczyzna wyłonił się z tunelu. Spojrzał prosto na McEachy'ego, który mocno stuknął w słuchawkę.

- Bierzemy ich - powiedział głos w jego uchu.

Sandy stanął przed pierwszym z Rosjan i podniósł odznakę.

- Twarzą do ziemi. Jesteście aresztowani. Królewska Kanadyjska Policja Konna.

Agenci numer dwa i trzy wyjęli pistolety maszynowe H&K. Czterej Rosjanie padli na podłogę, jak rekruci. Po kilku sekundach mogli wstać, już zakuci w kajdanki. Sandy wprowadził ich na płytę lotniska, gdzie pod nosem samolotu czekała biała furgonetka, ukryta przed oczami pasażerów i nie wyróżniająca się spośród wozów bagażowych. Czterej Rosjanie zniknęli w środku.

- Misja zakończona - powiedział McEachy. Zza jego pleców dobiegły głosy pozostałych pasażerów, właśnie opuszczających samolot. Jakiś Amerykanin wypytywał ze złością, dlaczego on musiał czekać, a czterech Rosjan wypuszczono wcześniej. Poza nim nikt nie przeklinał ani nie narzekał. Cóż, w końcu to Kanada.

16.05 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Bonner mógł odetchnąć z ulgą. Trzydzieści pięć tysięcy dolców! Ostatnimi dniami był tak wesoły, że Mattingly aż spytał go, czy przypadkiem opracował nową technikę walenia konia.

Drogi Donnie, pisał Bonner, leżąc na koi. Zdarzyło się coś przykrego. Możliwe, że słyszałeś w wiadomościach, to nie było utajnione i mówili o tym w CNN, czyli pewnie wiesz, o co chodzi. Życie na lotniskowcu to nie tylko zabawa. Czuję się dobrze jak nigdy, czekam niecierpliwie na zakończenie misji i myślę już o łodzi, jaką kupię, kiedy wreszcie zejść na ląd. O rany, ale mam ci dużo do powiedzenia.

0.15 czasu Greenwich, Floryda

Tego wieczoru na kolacji byli tylko we czwórkę. Alan i Lance siedzieli naprzeciwko siebie, Kim i jej ojciec na końcach stołu. Lance rozmawiał z ojcem. Alan, pogrążony w myślach, ledwo usłyszał, że Lance o coś go pyta (zdaje się, że po raz drugi).

- A co o tym sądzi nasz admirał?

Chciał odpowiedzieć: „Nie mów tak do mnie”, ale ujrawszy minę Kim uznał, że powinien powściągnąć nerwy; powiedział więc tylko:

- Obawiam się, że straciłem wątek, Lance.

- Rozmawiamy o wojsku. To ciekawy temat, nie? - Lance spojrzął na ojca, który uśmiechnął się lekko, jak zawsze, gdy obserwował walkę między swoimi dziećmi. - Właśnie mówiłem, że handlarzy narkotyków i bezrobotnych powinno się siłą wcielać do wojska. Co ty na to?

- Podejrzewam, że nie spełniliby naszych wymagań.

- Ale przydałoby im się trochę dyscypliny, prawda?

- Nie wiem, nie znam się na tym.

- Przecież jesteś wojskowym!

- Teraz potrzebni nam są najlepsi ludzie, nie tacy, z którymi byłyby same kłopoty.

- Najlepsi? Admirale, proszę się nie obrazić, ale najlepsi trzymają się jak najdalej od wojska. Najlepsi sami troszczą się o siebie. Wojsko nie płaci dość dużo, by przyciągnąć prawdziwych specjalistów, prawda, tato?

Pan Hoyt uśmiechnął się do syna.

- Z doświadczenia wiem, że ambitni młodzi ludzie zainteresowani są tylko taką pracą, w której mogą zarobić co najmniej sto tysięcy dolarów rocznie.

Lance zrobił triumfującą minę.

- Szczerze mówiąc, ani ja, ani żaden z moich znajomych nie zamierzamy się zaciągnąć.

Alan nie miał ochoty zastanawiać się, dlaczego właściwie ci dwaj próbują go zwabić w pułapkę. Tak funkcjonowała ta rodzina - w tym domu trwała ciągła rywalizacja o względy tatusia... i jego pieniądze. Alan postanowił nie brać udziału w tej grze.

- Domyślam się, że podobnie myśli wielu ludzi - powiedział tylko.

Lance musiał więc przycisnąć Alana mocniej.

- Najlepsi ludzie nie powinni wylądować w wojsku, admirale. Muszą stanąć na czele kraju, dbać o jego rozwój, utrzymywać gospodarkę w dobrym stanie. - Kiedy Alan nadal nie reagował, Lance dodał: - Wojsko to taki rezerwat dla przegranych, dobrze mówię, tato?

Pan Hoyt zwykł wyrażać się bardziej oględnie.

- Dobrze zorganizowana armia jest niezbędna do obrony wolności. Nieste ty, nie ulega wątpliwości, że obecna struktura amerykańskich sił zbrojnych jest zbudowana na bazie socjalistycznej. Bezpłatna opieka medyczna, emerytura, gwarantowany awans. Być może to zło konieczne. Bacznie się temu przyglądamy.

Wyobraź sobie, że musiałbyś spędzić resztę życia z tymi dwoma, pomyślał Alan.

Potem Lance zaczął mówić o sporcie, pracy zespołowej i współzawodnictwie.

Alan uznał, że Narc byłby wymarzoną żenią dla Hoyta.

- Przy rywalizacji ujawniają się najlepsze cechy człowieka - tokował Lance. - Ja uwielbiam współzawodnictwo. Nic na to nie poradzę. Taki już chyba jestem. Apan, admirale?

- Tatusz jest tajnym członkiem Rady do spraw Współzawodnictwa - wtrąciła Kim i obdarzyła Alana szerokim uśmiechem, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że jeśli nie włączy się do rozmowy, będzie jej bardzo przykro.

Alan odkaslnął.

- Jaki właściwie sport uprawiasz, Lance? - spytał.

- Golf. - Lance naprężył mięśnie. - Jestem w drużynie golfowej.

Do uszu Alana dobiegł jakiś dźwięk; dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że wydobył się on z jego własnego gardła. Brzmiało to jak prychnięcie, które po chwili przerodziło się w chrapliwy jęk. Wreszcie Alan uświadomił sobie, że to śmiech. Śmiał się po raz pierwszy od śmierci ojca, śmiał się do rozpuku; przycisnął chusteczkę do twarzy i dalej zanosił się od śmiechu, aż łzy trysnęły mu z oczu. Uśmiechnął się do Lance'a i powiedział, krztusząc się:

- Żartuję - i znów wybuchnął śmiechem.

Po kolacji pokłócił się z Kim.

Wrócił do domu ojca. Povick pełnił nocną służbę; Alan cieszył się z tego, bo chciał być sam, żeby pomyśleć w spokoju. Siedział na krześle i patrzył przed sie-

bie. Kiedy Povick wrócił parę minut po czwartej, Alan jeszcze nie spał i właśnie parzył kawę. Povick spojrzął na niego.

- Chcesz porozmawiać ze starym wygą? - spytał, przyjmując od Alana parujący kubek.

- Co?

- Daj spokój, wyglądasz jak psie żarcie. Słuchaj, nie męcz się, nie próbuj doszukiwać się w tym sensu. Zdarza się. Życie bywa do dupy.

- Nie myślałem o ojcu. - Zaczął opowiadać mu chaotycznie o Kim, jej bracie i ojcu. Sam się zdziwił, że targają nim tak silne uczucia. - Ona chce, żebyśmy pracowali u niego!

- I opuścił marynarkę?

- Oczywiście.

- Chcesz to zrobić?

Alan wbił wzrok w pusty kubek.

- Kiedy tu przyjechałem, myślałem, że chcę. Skoro jego już nie ma, po co dalej to ciągnąć? A teraz...

- Ładna dziewczyna?

- Piękna. Niesamowicie.

- Czyli możesz zdobyć panienkę, która jest i nadziana, i piękna. Większość facetów na twoim miejscu nie wahałaby się. Dlaczego ty nie tryskasz entuzjazmem?

Alan zaczął obracać kubek w dłoniach.

- Za każdym razem, kiedy spotykam jej brata i ojca... - Potrząsnął głową. - Forsa-forsa-forsa-forsa-forsa...! - Pochylił się i wpatrzył kamiennym wzrokiem we własne dłonie. - Wiem, że to pieprzenie w bambus, ale lubię od czasu do czasu słyszeć takie słowa, jak honor... obowiązek... - Spojrzął na Povicka. - Czy mam zastąpić swojego ojca jej ojcem?

Povick poklepał go po ramieniu.

- Rozumiem cię. Chciałbyś dla odmiany zrobić coś dla siebie.

- Byłem pewien, że ją kocham. A teraz... może to był tylko wspaniały seks.

Povick powoli skinął głową, wstał i umył kubek.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś podobny do ojca - powiedział z uśmiechem, wycierając dłonie w brudny ręcznik.

19.26 czasu Greenwich, Teheran

Jurij Jefremow stał na tarasie swojego nowego domu. W rękę trzymał kartkę z notatkami z tego dnia, przygotowaną do spalenia. Odnotował na niej spotkanie z szefem irańskiego wywiadu, dwie propozycje werbunku i zapisał sobie, że ma zapłacić Bonnerowi. Facet świetnie się spisał - dowódca amerykańskiej eskadry nie żyje, nowoczesny samolot strącony. Leżał teraz na dnie Zatoki Perskiej; Jefremow zaproponował, by go stamtąd wyciągnąć. Amerykanie nie próbowali tego zrobić, co wskazywało na to, że niczego nie podejrzewają. Byłoby

świetnie, gdyby udało się przewieźć tę maszynę do Iranu, ale przedstawiciele armii twierdzili, że to przerasta ich możliwości. Zresztą Amerykanie dowiedzieliby się o tym.

Jefremow był ciekaw, co myślą w Moskwie. Ta załosna klucha, dyrektor, dostanie skrętu kiszek. Pewnie przydzielili sprawę mojego zniknięcia Uspienskiej, pomyślał Jefremow. Ona sporządzi zgrabnie napisany raport, z którego dokładnie nic nie będzie wynikało.

Jefremow przyłożył płomień do kartki i wrzucił płonący papier do doniczki. Jego dom był elegancki, z tarasami tonącymi w kwiatkach i drzewach owocowych; jak w małym mużułmańskim rajku, myślał.

Ale jego nowi pracodawcy już stawiali kolejne wymagania. Wkrótce będzie musiał powiedzieć Bonnerowi, czego naprawdę chcą od niego. I od jego syna.

27 lipca 1990, 16.30 czasu Greenwich, Floryda

W piątek odprawiono mszę za duszę ojca. Alan siedział przy Kim, on w białym kołnierzu, ona na czarno. Domyślał się, że wszyscy widzą w nich idealną i piękną parę. Po mszy mruknęła: „Nie wiem, jak mam się zachowywać” i wymknęła się. Został sam i długo przyjmował kondolencje od setek ludzi, poczynając od zwykłych marynarzy po dwóch komandorów i jednego kontradmirała. Wszyscy mówili półgłosem miłe słowa, a on odpowiadał: dziękuję, dziękuję, dziękuję. Na samym końcu do Alana przykuśtykał siwowłosy cywil wsparty na metalowych laskach. Był na tyle wysoki, by mimo przygarbionej sylwetki patrzeć Alanowi prosto w oczy; twarz miał przedwcześnie postarzałą, wychudłą, poprzecinaną zmarszczkami.

- Nazywam się George Shreed. Nie zna mnie pan, ale jestem starym przyjacielem pańskiego ojca. Tak mi przykro. Był jednym z naszych najlepszych ludzi.

Alan podziękował mu. Czekał, aż mężczyzna odejdzie, ale on nie ruszał się z miejsca; może dlatego, że poruszanie się sprawiało mu trudność. Alan zdażył pomyśleć, że Shreeda stać na bardzo drogie garnitury i włoskie buty, gdy ten powiedział:

- Zналиśmy się od dawna. Rzadko widywaliśmy się w ostatnich latach, ale kiedy dwaj ludzie razem przechodzą przez piekło, pozostają przyjaciółmi na zawsze. Naprawdę mi przykro z powodu jego śmierci.

- Czy był pan w marynarce? - Alan pożałował tych słów niemal w tej samej chwili, gdy je wypowiedział; zaczerwienił się, spoglądając na błyszczące kule.

- Byłem skrzydłowym pańskiego ojca. Stąd te laski. Gdyby nie on, w ogóle bym nie tu nie było. - Wymamrotał coś jeszcze i odszedł, szybko, ale z wyraźnym wysiłkiem, niczym rozpadająca się maszyna. Wtedy Alan przypomniał go sobie - nie nazwisko, ale opowieść o nim, zasłyszana w dzieciństwie. Przepuszczając kogoś w drzwiach, Shreed obejrzał się. Napotkał wzrok Alana i uniósł laskę w geście pozdrowienia. Wciąż był przystojnym mężczyzną.

Po ceremonii Alan poszedł się napić z Povickiem i kilkoma przyjaciółmi ojca; w ich towarzystwie czuł się lepiej niż u Hoytów.

Mimo wszystko nie opuszczała go myśl, że śmierć ojca była w jakiś sposób zaplanowana. Chciał porozmawiać z Crawem i Rafe'em; chciał zdobyć nagrania i notatki. Znajdą się też inne dokumenty; część z nich została na lotniskowcu ojca. Musi je przestudiować. I pragnął mieć Kim wreszcie z głowy.

20.50 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

Niski rangą analityk pracujący w siedzibie CIA starał się znaleźć związek między dwoma zamachami terrorystycznymi przeprowadzonymi w sporym odstępie czasu przez Partię Pracujących Kurdystanu. Dlatego też szukał wiadomości o incydentach, które w taki czy inny sposób mogły być powiązane z sytuacją w Turcji. Wreszcie coś znalazł: Lisbet Stroehrer, której ciało odnaleziono z poderżniętym gardłem w parku w Amsterdamie przed pięcioma miesiącami, była podejrzewana o romans z asystentem tureckiego *attache* wojskowego.

Nic nie wskazywało na to, by Kurdowie maczali palce w tym zabójstwie, więc analityk nie zapisał tej informacji.

28 lipca 1990, 2.30 czasu Greenwich, Floryda

Tej nocy u Hoytów odbyła się huczna, bezsensowna impreza; Alan snuł się bez celu po pokojach, aż wreszcie trafił do pomieszczenia nazywanego przez Kim „salą gier”. Tu zobaczył, jak jeden ze współników Hoyta, Lance i paru nieznajomych biorą kokainę. Alan nigdy jej nie próbował, ale nie miał wątpliwości, czym są białe kreski na stole do pokera. W tej samej chwili Kim stanęła za nim. Tym razem nie mógł opanować gniewu.

- W coś ty mnie wrobiła, u licha? - warknął.
- No, co ty! - Próbowała obrócić wszystko w żart.
- Chryste Panie, wiesz, co stałoby się z moją autoryzacją, gdyby zobaczył to ktoś z marynarki?
- Kogo to obchodzi? - Wciągnęła go z powrotem do pokoju. Wyrwał się.
- Mnie.
- Nie bądź takim cholernym idiotą! - Próbowała odciągnąć go od pozostałych; mówiła szeptem. - To ci dobrze zrobi. Jesteś taki sztywny. Jak jakiś zombie. No chodź, wyluzuj się dla odmiany.

Była piękna i niedługo poszliby razem do łóżka. Byłoby cudownie. Czego więcej potrzeba?

- Do jutra - powiedział Alan. - Nie mogę tu zostać. Kim zmarszczyła brwi. Nie wyglądała już tak pociągająco.
- Jak chcesz. Palant z ciebie.

Alan wrócił do domu ojca i położył się. Powick był na dyżurze. Światła przejeżdżających samochodów omiatały sufit; Alan w zamyśleniu patrzył na tworzące się i znikające jasne stożki. Zaczął padać deszcz.

W telewizji spiker mówił, że wojska irackie zgrupowały się na granicy z Kuwejtem, jakby kogokolwiek w Ameryce to obchodziło.

Alan odwrócił się i wbił wzrok w ekran. Wiadomości skończyły się, ale wkrótce rozpocznie się następne wydanie. CNN - agencja wywiadowcza szarego człowieka, mawiał Peretz. Alan od pewnego czasu zwracał uwagę na wiadomości z Iraku, jako że kraj ten był wrogiem Iranu i to właśnie iracki samolot wystrzelił raketę do „Starka”, zabijając trzydziestu ludzi. Ale Kuwejt?

Alan zaczął zmieniać kanały w nadziei, że pozna więcej szczegółów, ale nigdzie nie znalazł wiadomości. Znów myślał o irańskich radarach, włączających się w czasie nalotu jak żarówki.

Na CNN trwał reportaż o sytuacji w Kuwejcie, a na innym kanale pojawił się jakiś ekspert, który zapewniał, że Irak nigdy nie uderzy na Kuwejt; to tylko potrząsanie szabelką, prezydent Iraku, Saddam Husajn, zapewniał nas przecież, że respektuje terytorialną integralność Kuwejtu.

Alan sporo wiedział o Husajnie. Był przekonany, że Saddam nie respektowałby terytorialnej integralności nawet Lucyfera i jego aniołów. Krew szybciej zaczęła krążyć Alanowi w żyłach: coś wisiało w powietrzu.

Wybiegł z domu, wskoczył do samochodu i przejechał przez Orange Park, pograżony w mroku wczesnego poranka. Musisz mieć głowę na karku, myślał. Korzystaj z tego, do czego masz dostęp. Wjechał przez bramę na Cecil Field i zwolnił nieco, by nie zwracać na siebie uwagi straży. Zatrzymał wóz przed centrum wywiadowczym, obskurnym małym bunkrem, którego głównym atutem było to, że nie rzucał się w oczy.

Do środka wpuścił go zaspany wartownik. Alan podał mu swoją kartę identyfikacyjną, zaczekał, aż wartownik ją dokładnie obejrzy, po czym wśliznął się do pomieszczenia, gdzie trafiały wszystkie wiadomości. Podniósł tablicę z napisem CENTCOM. Była ciężka - ponad sto informacji. Alan prześliznął się po nich spojrzeniem. Kiwnął głową do nieobecnego Peretza. Rzeczywiście, wkrótce wybuchnie wojna.

Porwał słuchawkę i wykręcił numer brygady ojca w Oceana. Pokrzykując na zaskoczzonego podoficera, który odebrał telefon, zauważył, że człowiek na co dzień zajmujący pomieszczenie, w którym Alan właśnie przebywał, miał piękną żonę i -jak się zdawało - tysiące dzieci. Na ścianach porozwieszane były ich rysunki. Tabliczka stojąca na biurku głosiła, że siedzi za nim KOMANDOR KARL. Szczęściarz. Rodzina... W tej chwili podoficer wreszcie pojął, o co chodzi i Alan od razu miał zapewniony transport z Filadelfii do Zatoki Perskiej. Teraz pozostawało tylko dostać się do Filadelfii.

Wychodząc, Alan podpisał się na karcie wizyt. Wskoczył do samochodu i poгнаł do domu ojca. Spakował parę swoich ciuchów i część rzeczy ojca, po czym wrzucił do bagażnika wszystko, co było przeznaczone dla biednych i zostawił w skrzyni pod nieczynnym jeszcze centrum handlowym. Miał jeszcze parę spraw

do załatwienia, ale wiedział, że mogą one poczekać. W tej chwili najważniejszy był powrót na okręt.

Zostawił adwokatowi na sekretarce automatycznej wiadomość o testamencie ojca. Zaparkował wóz pod domem, napisał kartkę do Povicka, wziął czapkę od munduru ze srebrną odznaką, należącą przedtem do ojca, i pojechał taksówką na Cecil Field.

Zataszczył swoje rzeczy do terminalu, niepozornej szopy, w której nie było salonów dla VIP-ów ani wielopoziomowego parkingu. Za to był tam zasuszony sierżant o twarzy przywodzącej na myśl zeszlóroczne jabłko, który stwierdził, że nie przewiduje się żadnych lotów, a gdyby nawet, to w kolejce przed panem jest jeszcze tuzin ludzi, sir.

- Aleja muszę dostać się do Filadelfii. Stamtąd lecę do Bahrajnu.

- Ach, tak? - Alan miał wrażenie, że od sierżanta bije zapach smoły, że słyszy krzyki mew w jego takielunku. - Spóźniony na służbę?

- Będzie wojna.

To zbiło Sędziwego Marynarza* z tropu. Obejrzał papiery Alana, wbił wzrok w jego twarz, przerzucił dokumenty jeszcze raz.

- „Jefferson” - powiedział. - Mogę załatwić panu transport do Pax River.

- To świetnie!

Latający Holender spojrzął na komputer.

- Mógłbym pana wpisać na listę członków załogi samolotu admirała... tylko musiałby pan ubrać się w galowy mundur... potem...hmmm... ale dzisiaj ruch, niech to. Hm... Filadelfia...

- Od Pax River dojdę tam pieszo!

- Ale... tego...Gdyby pan dotarł na Jax w południe, zdążyłby pan na P-3 lecący bezpośrednio do bazy Andrews. Same VIP-y na pokładzie, więc musi pan ubrać się odpowiednio. Gdyby udało mi się namówić Andrews, żeby pozwolili panu wejść na pokład samolotu specjalnego, który stamtąd wybiera się do Filadelfii... albo niech pan pojedzie pociągiem...

O dziesiątej Alan miał już plan trasy i upoważnienie. Przebrał się w biały mundur - krótki rękaw, sztywny kołnierzyk, czapka ojca - i pojechał taksówką do Hoytów.

- Proszę zaczekać - powiedział na miejscu do kierowcy i rzucił mu dziesięciodolarowy banknot.

Consuela zaprowadziła go nad basen, powiedziała mu, że Kim już nie śpi i niedługo zacznie się ubierać.

- Chce pan coś do picia?

- Powiedz jej, że mam dwadzieścia minut czasu - odparł. Usłyszawszy ton swojego głosu, uzmysłowił sobie, że znów popadł w ponury nastrój. Miał nadzieję, że teraz już będzie nieco weselszy, a nawet szczęśliwszy; tak przecież czuł się jeszcze przed chwilą. Działanie powinno było przynieść mu ulgę. Nie wiedział, że prawdziwy gniew dopiero zaczynał się budzić.

- Hej, admirałe!

*Tytułowy bohater wiersza Samuela T. Coleridge'a (przyp. tłum.).

W bramie prowadzącej na plażę pojawił się Lance i jego kolega, zaczerwieniem, z włosami rozwianymi odjazdy na skuterach wodnych.

- Hej, admirale, słyszałem, że nie podobała się panu wczorajsza impreza! O rany, ale mundur. Co, dorabia pan parkując samochody?

Na pierwszy rzut oka widać było, że Lance jeszcze nie zdążył całkiem wytrzeźwieć. Trzymał w dłoni puszkę piwa. Rzucił kamizelkę ratunkową w cień.

Wcześniej Alan położył czapkę ojca do góry nogami na stoliku przy basenie, ale po chwili namysłu usiadł w cieniu, parę metrów dalej. A teraz Lance ruszył w stronę stolika.

- To pańskie, admirale? - spytał na widok czapki.

- Mówiłem ci już: nie nazywaj mnie tak.

Lance, ubrany w obcisły różowo-purpurowy podkoszulek, popatrzył na czapkę.

- Zawsze byłem ciekaw, czy to jest wodoodporne. Hej, Jack, jak myślisz?

Jack, który był nieco młodszy i wyraźnie nieco słabszy, powiedział:

- Wodoodporne czy piwoodporne?

- Dobry pomysł!

Alan siedział sztywno wyprostowany.

- Nie rób tego - powiedział beznamiętnie, choć gniew już kotłował się w nim, szukając ujścia.

Lance przechylił puszkę i wprawnym ruchem wylał piwo prosto do czapki. Spojrzał na Alana i wybuchnął śmiechem.

Alan zauważył kogoś kątem oka. Pan Hoyt. Pewnie się uśmiecha.

Alan wstał. Był spokojny. Szkoda, że tak to się skończy, pomyślał. Wszystko się skomplikuje. A może właśnie stanie się proste?

- No dobrze - powiedział. - Czepiasz się mnie, odkąd wróciłem. Jeśli masz coś do mnie, to do dzieła.

Lance był przez chwilę nieco zaskoczony, ale szybko odzyskał pewność siebie.

- No i co ty na to, tatusiu? - spytał i zerknął na ojca.

Pan Hoyt uśmiechnął się szerzej.

- Jeśli zamierzasz coś zrobić - powiedział Alan - zrób to. Nie mam czasu.

Lance podszedł do niego z nerwowym uśmiechem na twarzy. Próbowal przybrać groźną minę. Alanowi przemknęło przez myśl, że powinien zdjąć mundur, ale doszedł do wniosku, że jeśli go pobrudzi, dowódca i Rafę zrozumieją, iż miał po temu uzasadnione powody. Jego gniew wreszcie znalazł ujście. Alan zwinnie uchylił się przed nieporadnym ciosem, pociągnął Lance'a za dłoń, przerzucił go przez biodro i położył twarzą w dół na brzegu basenu, wykręcając mu rękę za plecami. Lance zaczął krzyczeć.

Jego kolega, Jack, ruszył w stronę Alana.

- Jeszcze jeden krok i złamię mu rękę! - ostrzegł Alan. Naprawdę miał ochotę to zrobić. Poczul się lepiej, mogąc wreszcie odegrać się na tym gnoju.

Krew trysnęła na niebieskie kafelki. Pan Hoyt krzyknął do Consueli, by zadzwoniła po policję.

- Jasne, niech dzwoni. Powiem im o resztkach koki na dywanie w sali gier - powiedział Alan. Hoyt natychmiast krzyknął do Consueli, by nigdzie nie dzwoniła, potem powiedział coś do Jacka i zawołał ogrodnika.

Alan mocniej wykręcił rękę Lance'a, który znów zawył z bólu.

- Przepróż mnie, ty palancie. Przepróż! - szepnął mu Alan do ucha.

- Przepraszam!

Alan puścił Lance'a i wstał. Nawet nie pobrudził sobie wyjściowego munduru; pojawiła się na nim tylko jedna ledwie widoczna plamka krwi. Craik podszedł do stolika. Wylał z czapki piwo, po czym ukląkł na brzegu basenu i obmył ją w błękitnej wodzie. Trzej mężczyźni obserwowali go z przerażeniem. W pełnej napięcia ciszy chłopot wody wydawał się niezwykle głośny.

Alan wstał.

Lance usiadł prosto, trzymając się za rękę. Łzy płynęły mu po twarzy, rozmazując krew. Jack stał w dziwnej pozycji, jakby szykował się do zadania ciosu karate. Pan Hoyt cofał się, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście.

Alan odwrócił się, by odejść, zastanawiając się, jaką wiadomość mógłby zostawić Kim, gdy ona sama stanęła w drzwiach. Była czerwona na twarzy, jedno oko miała jeszcze nie umalowane; zapinała właśnie sukienkę i wsuwała stopę do buta.

Na jej widok Jack zebrał się na odwagę.

- Pierdoliłem Kimberley! - zakrzyknął triumfalnie. Następnie, jakby zaszkowany tym, co powiedział, cofnął się o krok i znów przyjął postawę obronną, jak marionetka.

Alan spojrzał na Kim, potem na chłopca. Z ich twarzy wyczytał, że to prawda. Ruszył w stronę Jacka.

- Nie... - zaczął Jack.

Alan strząsnął na niego wodę z czapki. Jack zasłonił twarz dłońmi i wtedy Alan kopnął go w krocze, z całej siły, tak jak uczyli go w Quantico, po czym zepchnął go do basenu.

- On może się utopić! - krzyknął pan Hoyt.

- I bardzo dobrze.

Alan podszedł do Kim. Jej oczy, jedno umalowane, drugie nie, zdawały się należeć do dwóch różnych kobiet. Oddychała ciężko. Alan pochylił się ku niej.

- Musisz podjąć decyzję. W tej chwili. Pieniądze albo ja. To, co masz tutaj, albo wojsko. Ja już zdecydowałem, Kim.

W odpowiedzi z całej siły uderzyła go w twarz, trafiając grzbietem dłoni w lewe oko i nos.

Tego się nie spodziewał. Spojrzał na czerwoną od gniewu twarz Kim i przypomniał sobie, jak wyglądała w łóżku.

- Baw się dobrze, Kim - powiedział.

Wsiadł do taksówki i położył czapkę ojca na koszuły wyjętej z plecaka. Nie mógł się doczekać, kiedy znów znajdzie się na pokładzie lotniskowca i w kabinie Christine.

29 lipca 1990, 18.30 czasu Greenwich, Zatoka Perska

Szary helikopter, słabo widoczny w ciemności, leciał na wysokości zaledwie kilku metrów nad wodą w stronę ukrytego w mroku lotniskowca. Mimo że powietrze było gorące i wilgotne, monotonny terkot śmigła i drżenia kadłuba sprawiły, że Alan zapadł w drzemkę. Nękały go krótkie, ale uparcie powracające sny. Na nowo przeżywał tamtą noc, widział pożegnalny gest ojca. W chwili gdy samolot ojca wpadł do wody, Alan ocknął się ze snu. Helikopter stał już na pokładzie; silniki pracowały na zmniejszonych obrotach. Alan wyjrzał przez małe okienko i ujrzał złożone skrzydła S-3, spowitego w słabą, czerwoną poświatę.

Jeden z członków załogi pomógł mu wydostać się z pasów zastępujących wyrzucany fotel. Wojskowi nie mieli co liczyć na luksusy, nawet gdy chodziło o ich bezpieczeństwo. Alan nie mógł sobie poradzić z pasami i młody lotnik pomógł mu je porozpinać. Craik wstał i niezgrabnie spróbował się wyprostować, ocieżyła ze zmęczenia. Zauważył, że do kabiny wszedł pilot - kobieta. Spojrzała na niego z nieskrywanym zainteresowaniem. Alan podniósł plecak i torbę na hełmofon, niegdyś należący do ojca. Nieznajoma skinęła do niego głową.

- Niezłe lądowanie - mruknął.

- Słyszałam, że je przespałeś. - Miała noktowizor nasunięty na hełmofon. Tylko kształtne biodra i pełne wargi świadczyły o tym, że pod grubym kombinezonym kryje się kobieta.

- Czyli było niezłe - odparł, ale jego słowa zagłuszył hałas panujący na pokładzie startowym.

Do kabiny zajrzał jakiś kapral.

- Podporucznik Craik?

- To ja.

- Proszę za mną.

Jak wedle obowiązujących reguł należało pożegnać się z pilotem helikoptera - kobietą? Nieważne; i tak nie było jej już w kabinie. Alan wyszedł z helikoptera i podobnie jak każdy nowo przybyły podążył za swojęskortą; sam nocą odnalazłby drogi do swojej kajuty. Ominął S-3, poczuł podmuch ciepłego powietrza z dysz F-18 podjeżdżającego do katapulty i wreszcie znalazł się przy klapie prowadzącej na poziom 0-3.

W powietrzu unosił się zapach paliwa lotniczego, potu, brudu i świeżego jedzenia. Alan powrócił do świata ojca. Do pracy. Do domu.

I prawdopodobnie na wojnę.

10 września 1990, 11.00 czasu Greenwich, Paryż

Pokój przypadł Uspienskiej do gustu. Lubiła klasę; lubiła luksus. W dzieciństwie miała wszystkiego do woli, jako córka wysoko postawionego dygnitarza. Uważała, że odrobina komfortu należy się jej i teraz. Tu, w apartamencie hotelowym, którego okna wychodziły na Place Vendôme, czuła się doskonale. Właśnie tego było jej trzeba, by podreperować poczucie własnej wartości.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedziała do mężczyzny, który stanął w drzwiach. Podeszła do niego po puszystym dywanie i uściśliła mu dłoń, starając się nie patrzeć na stalowe laski, na których się wspierał. - Pan Shreed. Wielce mi przyjemnie.

Mówi się „miło mi pana poznać”, pomyślała. Trochę zaniedbała swój angielski. Z drugiej strony, taka zabawna „rosyjskość” działała na Amerykanów rozbrajająco, jakby uważali, że człowiek, który nie mówi dobrze po angielsku, nie może stanowić zagrożenia. Shreed jednak nie zareagował; uśmiechnął się tylko lekko i rzucił parę kurtuazyjnych uwag. Daria zdążyła pomyśleć, że Amerykanin jest przystojnym mężczyzną, szkoda tylko, że niepełnosprawnym; potem przypomniawszy sobie, że Shreed podobno ma żonę i kilkoro dzieci, czyli wypadek nie miał wpływu na jego życie intymne. Nie żeby ją to obchodziło; jakkolwiek związek z nim nie miałby sensu. Być może kobieta, która mu towarzyszyła, była jego kochanką, choć akta milczały na ten temat. Na pewno była jego zastępczynią, cenioną kręgach wywiadowczych specjalistką (choć nie bardziej cenioną ode mnie, pomyślała Uspienska z pewną dozą zadowolenia).

- To pani Sally Baranowski - powiedział Shreed. Kobiety uśmiechnęły się do siebie. Obydwie prawdopodobnie pomyślały to samo: wyglądały jakby ubierały je ten sam projektant mody. Miały na sobie podobne szare kostiumy i jedwabne szale, identycznie przerzucone przez ramię. (Rzeczywiście, Sally Baranowski pomyślała: „Jak z jednego żurnala wycięte”.)

Przez chwilę rozmawiali ze sobą swobodnie, wypili kawę, wymienili parę niezobowiązujących uwag na temat projektowanej umowy. Sally Baranowski tłumaczyła, czym jest „wirtualna konferencja”; starała się mówić tak, by Rosjanka nie pomyślała, że uważa *sią&zaniekulturalną*, bo nie wie, jak funkcjonuje Internet.

- Otworzymy tu biuro, w którym będzie urzędować kierownik ze swoim asystentem, a właściwie ekspertem od komunikacji komputerowej. Kiedy okaże się to konieczne, może raz czy dwa razy na rok, spotkamy się tutaj osobiście. Paryż jest na to idealnym miejscem! Ale głównie spotykać się będziemy w miejscu, które nie istnieje. - Uśmiechnęła się.

Shreed nachylił się ku niej.

- Dostarczymy sprzęt i ekspertów. Szczegóły zostały umieszczone w kontrakcie. - Machnął ręką. Jest taki jak wielu Amerykanów, pomyślała Uspienska, arogancki jak magik: wystarczy machnąć ręką, by pojawiły się różne rzeczy - kolorowe szale, króliki, sieci komputerowe. - A teraz... zajmijmy się tajnym protokołem do umowy.

Na chwilę zapadła cisza. Wreszcie przeszli do sedna sprawy. Uspienskaja nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, który Sally Baranowski jej odwzajemniła. Nie, moja droga, pomyślała Daria, ja nie blefuję. Chcę, żebyś wiedziała, że mnie to naprawdę bardzo cieszy. Nie mam nic do ukrycia.

- Z tego, co rozumiem - zaczął Shreed - nasz człowiek ma rozkręcić... przebudować... komputer Jefremowa i przewieźć dysk oraz parę innych części do Langley. Nasi technicy uzyskają dostęp do waszego systemu z pewnymi, moim zdaniem bezsensownymi, ograniczeniami, ale pani szef nie chce ustąpić. Czy nie zmienił zdania?

Daria potrząsnęła głową. Tak naprawdę, nieszczęsny dyrektor nie miał z tym nic wspólnego. Decyzja zapadła w ministerstwie spraw wewnętrznych.

- To niemal na pewno oznacza, że nic nie znajdziemy. Zanim weźmiemy się do pracy, wasi ludzie usuną wszystko z pamięci. To zupełny idiotyzm. Proszę koniecznie powiedzieć swojemu szefowi, że użyłem tego słowa: „idiotyzm”. Może to przekazać do ministerstwa spraw wewnętrznych. - Uśmiechnęli się do siebie.

- Zależy nam na tym, żebyście znaleźli jak najwięcej - powiedziała Uspienskaja. - Chcemy dostać Jefremowa.

- My też. Porozmawiamy o tym. Czy nie ma pani żadnych pytań dotyczących konferencji? Zgadza się pani na proponowane przez nas procedury?

- Tak, oczywiście.

- To dobrze. Przejdźmy więc do rzeczy. Jesteśmy tu z powodu Jefremowa. Powiem pani, co wiemy, a potem pani przekaże nam posiadane przez was informacje. O.K.?

- O.K. - Zachichotała. Użyła tego słowa po raz pierwszy.

Shreed nie mówił długo, głównie dlatego, że Amerykanie wiedzieli niewiele. Oczywiście, nie ulegało wątpliwości, że słyszeli co nieco o Jefremowie; nie mieli jednak pojęcia, co robił przez ostatni rok, dokąd wyjechał i gdzie się ukrywał.

- Jesteśmy ciekawi, czy maczał palce w masakrze w budynku Stitkin. - Spojrzał na nią pytająco.

- Co do tego nie mamy żadnych wątpliwości - powiedziała Uspienskaja. - Tyle, że nie wiemy, jaki dokładnie miał w tym udział.

Shreed spojrział na nią nieufnie. Cóż, nie było w tym nic dziwnego; zawsze będą wobec siebie podejrzliwi.

Daria powiedziała Amerykanom o fałszywych agentach Jefremowa (oczywiście, w nieco skróconej wersji; trzeba było chronić prawdziwych agentów), fikcyjnej firmie, czterech agentach prowadzonych z biura w budynku Stitkin.

- Atak był dziełem zawodowców. Nie wykluczaliśmy jeszcze możliwości, że jego celem był Jefremow. - Powiedziała im o gangsterze Malenkowie, ojcu kochanki Jefremowa. - Zgarnęliśmy go i trochę daliśmy mu w kość.

Sally Baranowski uśmiechnęła się.

- Samochód-pułapka w Płatyńce? Podejrzewaliśmy, że wasz rząd ma z tym coś wspólnego.

- Fakt, rzeczywiście przesadzili. Nie chcieliśmy, żeby tak to się skończyło. Ale tak już jest - człowiek o coś prosi, prośba zostaje źle rozumiana... - Amerykanie skwapliwie przytaknęli. - W każdym razie papa Malenkov był nad... przepraszam, pod wrażeniem. Zarzekał się, że nie miał nic wspólnego z tą rzezią. Dał nam dowody, dość przekonujące. Na wszelki wypadek nadal mamy go na oku.

Shreed podsunął jej talerzyk z nieprzyzwoicie smaczными czekoladkami.

- Jak ściśle związki istnieją między waszą tak zwaną mafią a wywiadem? Powiem wprost: tuż przed masakrą w Stitkin Malenkov próbował nawiązać z nami kontakt. Czy on ma jakieś powiązania z SWR?

- Broń Boże. Co wam proponował?

- Nie zdążył; zaraz potem miała miejsce masakra i wybuch samochodu-pułapki. Doszliśmy do wniosku, że siedzicie mu na karku. Między innymi dlatego nabraliśmy podejrzeń co do Jefremowa. - Oczywiście, nie był to jedyny powód. Daria domyślała się - zresztą Shreed chciał, by tego się domyśliła - że Amerykanie mieli wtyczkę w SWR. Wzięła dwie czekoladki i podziękowała z uśmiechem. Shreed podał talerzyk Sally Baranowski i powiedział: - No dobrze. Przerwałem pani. Jefremow... masakra...?

- Jefremow zniknął kilka dni wcześniej. Rozpłynął się... przepadł jak kamień w wodę, jak się to mówi. Zapewne wiecie, że mamy specjalne procedury, umożliwiające obserwację podejrzanych... możemy uszczelnić granice, i tak dalej... ale nie są one tak skuteczne jak niegdyś, a Jefremow jest profesjonalistą. Nie znaleźliśmy go. Z pewnością nie zginął w budynku Stitkin; wszystkie ofiary zostały zidentyfikowane. Jego konta bankowe, mieszkanie, dom w Londynie pozostały nietknięte. Nie ma żadnych śladów. Zupełnie jakby umarł.

- Ale nie znaleźliście ciała.

- Właśnie.

- Widziano go w Sudanie - powiedziała Sally Baranowski. Było to raczej pytanie, niż stwierdzenie faktu.

- Też to słyszeliśmy - odparła Uspienskaja. Uśmiechnęły się do siebie. Shreed siedział między nimi jak mediator. - Mieliśmy też meldunki z Korei Północnej, Kinszaszy, Damaszku, Bagdadu, Teheranu i Bóg jeden wie, skąd jeszcze. Żadnego z nich nie udało się potwierdzić.

- Nasz człowiek w Chartumie był pewny, że go widział - powiedziała pani Baranowski. - Uważamy, że Jefremow żyje.

- Ja też. - Daria zrobiła zboląłą minę. - Co prawda nie mam dowodów, ale jestem tego pewna. Jefremow albo ucieka przed człowiekiem, który stoi za masakrą w Stitkin, albo sam ją zaplanował.

- No dobra, kawa na ławę - powiedział Shreed. Uspienskaja przez chwilę zastanawiała się, co właściwie oznacza wyrażenie „kawa na ławę”. - Dlaczego Jefremow miałby niszczyć powołaną przez siebie firmę?

- Są dwie możliwości: ktoś zwęszył... jak wy to mówicie?... papier noseem?

- Pismo - podpowiedziała Sally Baranowski.

- Tak, ktoś zwęszył pismo nosem i Jefremow postanowił zniszczyć dowody albo... zdradzić ojczyznę i zaferować swoje usługi komu innemu. Dla pieniędzy. Tylko. Zapewniam was, Jefremow nie miał żadnych politycznych przekonań. Dopóki rządili komuniści, był komunistą, potem mu się to znudziło. Poza tym wiemy, że nas oszukiwał - miał wielu fałszywych agentów, w imieniu których pobierał pieniądze od dziewięciu lat. Pierestrojka ułatwiła mu zadanie.

Shreed wlepił wzrok w swoje złożone dłonie, jakby chciał coś z nich wyczytać.

- Zdał sobie sprawę, że dni komunizmu są policzone - powiedział. - Do myślił się, że odąd każdy będzie musiał troszczyć się o siebie - taka jest specyfika rosyjskiego kapitalizmu - więc postanowił się zabezpieczyć. Musiał zdołać być pieniądze i zrobić to powołując do życia fałszywych agentów. Sprawdziłście, gdzie podróżował w ostatnich latach? To dobrze. Nic ciekawego? Żadnych spotkań z podejrzanymi cudzoziemcami z krajów, którymi do tej pory się nie interesował?

Uspienskaja rozłożyła ręce.

- Większość swoich agentów prowadził na odległość, wielu przez podstawionych ludzi. Oczywiście, czasami jeździł za granicę, ale wysocy rangą oficerowie wywiadu mieli dużo swobody. Nawet w Związku Radzieckim. Owszem, czasami był obserwowany, ale nie zauważono nic podejrzanego. Nic. A wy...?

- Z nami się nie kontaktował. Gdyby rzeczywiście chodziło mu tylko o pieniądze, zgłosiłby się do nas. A nie zrobił tego. Nie musi mi pani wierzyć, ale taka jest prawda.

Uśmiechnęła się.

- Jefremow nienawidził Amerykanów.

- Ach, tak. No cóż, zdarza się. Przypuścmy zatem, że bez waszej i naszej wiedzy zaferował komuś swoje usługi. Sally, interesowaliśmy się nim, prawda? No właśnie. O ile pamiętam, mieliśmy go na oku przed laty, kiedy pracował w Belgii i natknęliśmy się na niego parę razy we Francji i Włoszech, ale nic z tego nie wyszło. Kicha.

Kicha, zdziwiła się Daria. Co to znaczy?

- Przypuścmy, że znalazł chętnego na swoje usługi. Co mu zaferował? Tajne informacje? Jasne, czemu nie; Jefremow miał do nich dostęp, mógł je przesłać albo przekazać osobiście. Żaden problem. Ale gdyby Jefremow chciał naprawdę dobrze zarobić, musiałby zaferować pracodawcy coś lepszego - stały dopływ informacji. Sally, mam rację?

- Krótko mówiąc, musiałby pociągnąć swoich agentów za sobą.

- Hmm, to całkiem prawdopodobne - powiedziała Uspienskaja. - Od samego początku dziwiło mnie, że trzymał czterech agentów w całkowitej izolacji od pozostałych, tak prawdziwych, jak i fałszywych. Prowadził ich - tylko ich - za pośrednictwem fikcyjnej firmy, której biuro zostało zniszczone.

- Czyli - powiedziała Sally Baranowski - być może sam zorganizował tę masakrę, by ukryć czterech agentów, których zamierzał zabrać ze sobą do nowych pracodawców.

Shreed odchylił się do tyłu.

- No dobrze, ale czy agenci wiedzą, co jest grane? Jak on to robi? Z naszych wiadomości wynika, że przez ostatni rok nie ruszał się z Rosji. Pani Uspienskaja...?

- Mówcie mi Daria, proszę.

- Czy wyjeżdżał z Rosji?

- Tylko raz i w dodatku mieliśmy go pod stałą obserwacją. Był we Włoszech, odwiedził kilku swoich łączników, o których wiemy i którzy nadal są wykorzystywani.

Shreed utkwiał w niej badawcze spojrzenie. Przypominał trochę jastrzębia obserwującego potencjalną ofiarę; efekt ten potęgowały jeszcze jego krzaczaste brwi i krogulczy nos.

- Czyli wszystko zaplanował. Wiedział, że jest śledzony, więc nie robił nic podejrzanego, żebyście zobaczyli, jaki grzeczny z niego chłopczyk. A propos... kto kazał go obserwować?

- Pewnie ci ludzie, co zwykle.

- Sprawdź to. Założę się, że sam kazał siebie śledzić. Zrobiłby to za pośrednictwem biura, nie podając swojego nazwiska, ale być może jest to w jego komputerze. Tak, to jasne! Jefremow miał gdzieś kryjówkę z pieniędzmi i dokumentami. Opróżnił ją i wyjechał z Rosji nie pozostawiając śladu. Łapówki i tak dalej. Opuścił więc kraj i...? I co wtedy?

- Namówił czterech swoich najlepszych agentów, by razem z nim zmienili pracodawców - powiedziała Uspienskaja.

- Ot, tak sobie?

Sally Baranowski zwróciła się twarzą do Shreeda, ale pochyliła się lekko ku Darii; w ten sposób po raz pierwszy dała jej do zrozumienia, że są po jednej stronie.

- Ważne jest to, że musiał skontaktować się ze swoimi agentami. Nie ważne, czy udało mu się ich przekabacić, czy nie. Musiał z wszystkimi porozmawiać.

- Zaraz, zaraz... - Shreed znów wbił wzrok w sufit. - Powoli. To prawda, musiał spróbować ich przekonać, by nadal z nim współpracowali. A jeśli się nie zgodzili? - Spojrzał na Sally, potem na Darię. - No? Co zrobiłybyście z agentem, którego namawiacie na zmianę pracodawcy, a który się na to nie zgadza?

Uspienskaja powoli potrząsnęła głową.

- Nie ma wyjścia.

- No właśnie! Nie można mu powiedzieć: „No dobrze, skoro nie chcesz dalej pracować ze mną, to trudno, wracam do domu”. Nie ma mowy. I nie można prosić go o zachowanie dyskrecji. Jeśli odmawia, trzeba się go pozbyć.

Wszyscy troje popadli w zadumę.

- Domyślam się, że nie wiemy, kim byli ci agenci? - powiedziała Sally Baranowski.

Uspienskaja prychnęła z oburzeniem.

- Myślisz, że jesteśmy dziećmi? Nie. Mamy parę ciekawych szczegółów na ich temat, ale nie jest to nic, co mogłoby pomóc w ich identyfikacji. - Zawiesiła dramatycznie głos. - Jeden z nich był Amerykaninem.

Ku jej zdumieniu Shreed tylko kiwnął głową.

- Nie dziwi cię to - powiedziała.

- Nic mnie nie dziwi. Szczerze mówiąc, podejrzewałem to od samego początku, jako że tak szybko się do nas zgłosiłaś. Cóż, to interesujące. Jefremow musiał działać błyskawicznie - powiedziałaś, że zniknął na cztery dni przed rzezią w Stitkin. Stąd wniosek, że ta krwawa jatka oznaczała zakończenie, nie początek akcji - wtedy podjął już ostateczną decyzję, więc postanowił spalić za sobą wszystkie mosty. Co z tego wynika? Że agenci zgodzili się na zmianę pracodawców. Albo zgodzili się tylko niektórzy. Sally, co o tym sądzisz?

- Być może agenci już go nie obchodzili.

- Nie, nie - krzyknęła Uspienskaja. - Po co w takim razie zakładałby tę fikcyjną firmę?

- Jefremow musiał być przygotowany na ewentualność, że wszyscy czterej mu odmówią. Stąd wniosek, że gotów był zmienić pracodawcę, nawet gdyby miał zrobić to sam.

- Był gotów, owszem, ale chciał, żeby wszyscy czterej poszli za nim. Jestem tego pewna. - Wyciągnęła rękę po kubek z kawą i zobaczyła, że jest pusty. - Ale możliwe, że masakra miała miejsce, zanim agenci udzielili mu odpowiedzi. Może to wszystko stało się wcześniej.

- Przyjmijmy, że tak nie było. - Shreed uśmiechnął się szeroko; w tej chwili przypominał wygłodniałego wilka. - Znając datę masakry w Stitkin, możemy w przybliżeniu określić, kiedy skontaktował się ze swoimi agentami - oczywiście zakładając, że czekał na ich odpowiedź. Sally, niech nasi ludzie sprawdzą, czy w dniach poprzedzających masakra miały miejsce niewyjaśnione zabójstwa. Kiedy właściwie zniknął Jefremow? Sześć dni wcześniej? Aha. W porządku. Chodzi o zabójstwa na jego terenie operacyjnym, czyli w dawnej Europie Zachodniej - cholernie duży obszar, trzeba przyznać. - Spojrzał na Uspienską.

- Kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu, ale wszędzie zachował kontakty. Stał się dość wpływowym i samolubnym człowiekiem. Zarozumiałym, można by powiedzieć.

- No dobrze, interesują nas więc niewyjaśnione zabójstwa ludzi podejrzanych o kontakty z wywiadem. Szukamy potencjalnych agentów, którzy odmówili Jefremowowi i zostali wyeliminowani. Gdybyśmy nic nie znaleźli, trzeba poszerzyć zakres poszukiwań. Jeśli jednak natkniemy się na coś interesującego, należy poszukać nazwisk, którymi posługiwał się Jefremow - Daria, dostaniemy je od ciebie? - na listach pasażerów i w bazach danych urzędów emigracyjnych na lotniskach państw zachodnich. Warto też rzucić okiem na samoloty przylatujące ze Związku Radzieckiego. A nuż będziemy mieli szczęście.

- Jefremow na pewno o wszystkim pomyślał.

Shreed uśmiechnął się znowu.

- No cóż, wszystkich nas tak przeszkolono. Ale nawet jego możliwości nie są nieograniczone. Trzeba pamiętać, że prawdopodobnie działał w pojedynkę, a to nie ułatwia mu zadania. Wcale.

Uspienskaja była mocno podekscytowana. Nie ze względu na Jefremowa - a niech go diabli wezmą, pomyślała. Czuła się szczęśliwa, bo wreszcie otaczał ją luksus - nieskończone sieci komputerowe, niewyobrażalnie rozbudowane bazy danych, apartamenty hotelowe w Paryżu, puszyste dywany. Zaczęła się zastanawiać, czy nie kupić tu sobie mieszkania.

- Zjesz z nami lunch? - spytał Shreed. - W hotelu jest całkiem niezła knajpka.

- Byłoby bardzo miło. -I rzeczywiście było.

Wrzesień - październik 1990, Ocean Indyjski

Alan dwoił się i troił, byle tylko mieć jak najwięcej zajęć; gdy nie mógł sobie znaleźć nic do roboty, ogarniała go melancholia. Czuł się wtedy jak człowiek stojący w drzwiach, za którymi otwierała się bezdenne otchłań. Zauważył, że nie miał ochoty z nikim rozmawiać, nawet w tym zamkniętym świecie zamieszkiwanym przez pięć tysięcy ludzi. Stał się w oczach innych niepożądanym kompanem; milczący człowiek sprawia kłopoty pozostałym marynarzom.

Na morzu nie może być mowy o smutku. Jest tylko praca, pogawędki i sen. Pierwsze spotkania z Rafe'em i pozostałymi członkami eskadry były dla Alana sporym wstrząsem - nikogo nie obchodził jego żal. Rafe dał mu popalić już na początku pierwszego lotu. Jak zawsze, był bezpośredni i obcesowy: „Szpieg, tylko nie oplakuj ojca, bo szkoda tlenku”. Przez cały lot Alan był wściekły. Jak się jednak okazało, milczenie drażniło nawet jego przyjaciół; któregoś dnia dowódca wziął go na stronę.

- Wszyscy wiedzą, co się stało, Craik. Bardzo ci współczujemy, ale nie możesz okazywać tego, co czujesz - rozumiesz? Nie możesz sypać piachu w tryby, wiesz, o co chodzi? Wyluzuj się. Daj im odetchnąć... daj sobie odetchnąć.

„Wyluzuj się”. Poczucie humoru jest tym, co umożliwia funkcjonowanie w zamkniętym świecie wielkiego okrętu. Smutek natomiast jest przejawem samolubstwa i prowadzi do zakłóceń pracy tej wielkiej maszyny. Żeby tego uniknąć, Alan bezustannie szukał jakiegoś zajęcia.

Wojna wisiała w powietrzu; jej zwiastunem było niezwykle napięcie panujące na lotniskowcu. Grupa bojowa krążyła po Morzu Czerwonym i Zatoce Perskiej, wiele razy przepływając przez Cieśninę Ormuz, w odległości dwudziestu czterech kilometrów od irańskich stanowisk rakiet Silkworm. Samoloty patrolowały Ocean Indyjski. Alan nie mógł spędzać wiele czasu w powietrzu; był zbyt zajęty, by latać. Grupa planowania, w której uczestniczył, pracowała dniami i nocą, starając się dokładnie wyznaczyć cele ataku, najczęściej zresztą usuwane później przez Pentagon z oficjalnych list. Dowódca eskadry Alana poprosił oficera operacyjnego, żeby jego podkomendny mógł uczest-

niczyć w misjach, gdy tylko zechce; sam Alan jednak uznał, że jego miejsce jest teraz w centrum wywiadowczym, nie w kabinie samolotu. Kiedy nie pracował, jakiś inny oficer musiał spędzić bezsenną noc. Lepiej, żeby to Alan nie spał; ostatnimi czasy i tak miewał tylko złe sny. Nie pamiętał ich po przebudzeniu, rankiem czuł tylko gorycz i smutek. Wiedział, że nękające go koszmary musiały mieć związek ze śmiercią ojca, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Zresztą nawet tamtą noc nad Iranem pamiętał jak przez mgłę. Przypominał sobie atak nieprzyjacielskiego myśliwca i poczucie triumfu, jakie ogarnęło wszystkich, gdy przeciwnik runął do wody. Potem długo nic, aż do chwili, gdy na ekranie ujrzał pożegnalny salut ojca. Czy świadczyło to, że rany Alana zaczęły się zablźniać? A może tylko nieświadomie starał się wymazać wszystko z pamięci? Czy zdarzyło się tamtej nocy coś ważnego, co powinien sobie przypomnieć?

Alan bardzo szybko przywykł na nowo do rytmu życia na lotniskowcu. Tu, w nie kończących się labiryntach biegnących pod pokładem, czuł się jak w swoim rodzinnym mieście. Coraz częściej jadał w mesie oficerskiej - nazywanej „Czystą Koszulą”, ponieważ strojem obowiązującym w niej były mundury, w odróżnieniu od „Brudnej Koszuli”, gdzie można było przyjść w kombinezonie lotniczym - i spędzał coraz więcej czasu z marynarzami; z kilkoma nawet się zaprzyjaźnił. Ku swojemu zdumieniu dowiedział się, że może jadać przy stoliku kapitana, choć samego kapitana rzadko tam widywał. Inni oficerowie nie wiedząc czemu chyba bali się tam usiąść. Alan był jedynym młodszym oficerem, który się na to zdecydował; obawy innych niewiele go obchodziły.

Monotonię przerwało planowanie misji. Od tego, co działo się w centrum wywiadowczym, zależało życie wielu ludzi. Co prawda udział Alana często ograniczał się do parzenia kawy i strugania ołówków; choć przychodziło mu do głowy wiele pomysłów, wiedział, że ma za mało doświadczenia, by je przekonująco sprzedać. Mimo to po upływie kilku tygodni zaczął zauważać, że nawet wyżsi rangą oficerowie zbyt skwapliwie przyjmują za dobrą monetę informacje z nowoczesnych komputerów, dotyczące położenia stanowisk rakiet ziemia-powietrze i potencjalnych miejsc zagrożenia atakiem. Alan wiedział, że większość danych nie była uaktualniana od wielu miesięcy, a nawet lat. Zaczął sprawdzać te informacje, nie dlatego, żeby zabłysnąć, tylko po to, by zagłuszyć ciszę wypełniającą jego umysł. W obawie przed depresją pracował, ile mógł, choć wydawało się, że wszystko, co było do zrobienia, zostało zrobione. Od czasu do czasu latał.

Czytał i czytał: stare publikacje na temat Iraku, przygotowane, gdy Husajn był sojusznikiem, nie wrogiem; wszystkie dostępne informacje, nawet te, które dotyczyły procedury tworzenia baz danych wywiadu. Nie było to pasjonujące zajęcie, ale wymagało koncentracji, a koncentracja była dla Alana tak skutecznym lekarstwem, jak dla innych alkohol. Sypiał niewiele, tocząc nieustanne boje ze zmęczeniem.

Nie brakowało mu danych: miał dostęp do wiadomości o nowo odkrytych stanowiskach rakiet, do raportów na temat sił wroga skupionych na lotniskach, do bezustannie modyfikowanych list celów ataku i tak dalej. Zaczął słuchać, co mają do powiedzenia inni oficerowie, dzięki czemu zdał sobie sprawę, że niektóre dane są ważniejsze od innych i że część z nich pozostaje w ogóle niezauważona. Dlaczego? Jak się okazało, przez brak czasu, lenistwo i ignorancję. Zresztą informacji przychodziło tyle, że nie sposób było ich wszystkich dogłębnie zanalizować - dlatego należało znaleźć powód, by części z nich się pozbyć. Niektóre dane nie zgadzały się z innymi: wyrzucić je do kosza. Inne były zbyt dokładne i dlatego podejrzane albo za bardzo pewne: zignorować je. Niektóre brzmiały jak głos Boga, dlatego przyjmowano je za dobrą monetę albo puszczano mimo uszu. Alan odkrył, że niektórzy oficerowie czytali wszystko jak leci i próbowali wyciągnąć jakieś wnioski, podczas gdy inni po prostu korzystali z jednego źródła - CIA albo CNO' - i traktowali je jak Biblię i wygodny filtr.

Alan spędził wiele tygodni porównując wszystkie te dane z jego własnymi, zdobywanymi „na gorąco”, dzięki systemom, w które była wyposażona grupa bojowa, wykrywającym wrogie radary i instalacje. Kiedy na przykład stanowisko rakiet w południowym Iraku namierzyło EA-6B Prowlera, samolot leciał wzdłuż granicy, aby dać się wykryć jak największej liczbie radarów. Przy odrobinie pracy i wsparciu komputera, oficer wywiadu odpowiedzialny za eskadrę prowlerów był dzięki temu w stanie określić położenie stanowiska, z którego prowadzono namiar, z dokładnością do kilkuset metrów. To były dane zdobywane „na gorąco”, a nie przysyłane z Waszyngtonu, gdzie nikt nie wiedział, jak sytuacja wygląda naprawdę.

Alan sporządził wielką mapę. Zaznaczał na niej flamastrami wszystkie wykryte stanowiska rakiet. Różne kolory odpowiadały różnym źródłom informacji: czerwony - stanowiska zidentyfikowane przez same prowlerzy, czarny - przez CIA, a niebieski - wywiad wojskowy. Po pewnym czasie tych źródeł zrobiło się tak wiele, że Alanowi zabrakło kolorów. Potem sprawdzał, które agencje dostarczają informacje najbardziej zbliżone do stanu faktycznego i skrzętnie to odnotowywał.

Oficer odpowiedzialny za prowlerzy z czasem zauważył, że Alan stał się jego najlepszym klientem - właściwie uczniem w dziedzinie wywiadu elektronicznego - i to zbliżyło ich do siebie. Byli jak dwaj biznesmeni pracujący w tej samej branży. Harry O'Neill był wysokim, potężnie zbudowanym ciemnoskórym intelektualistą z delty Mississipi. Mówił z bostońskim akcentem i miał konserwatywne poglądy, jakich nie powstydziliby się sam Ronald Reagan. Nie wiedzieć czemu nazywano go „Kreolem”, czego O'Neill nigdy nie komentował. Potrafił na zawołanie zmieniać barwę głosu i naśladować rozmaite postacie. Humor był jego tarczą obronną. Pewnego dnia powiedział do Alana, udając tępawego Murzyna:

- Co ty robić z tymi wszystkimi informacjami, bwana?

'CNO (Chief of Naval Operations) - szef sztabu marynarki wojennej (przyp. tram.).

- Ja nanosić je na mapa, Kemo Sabę.
- Mapa? Bwana zrobić mapa?
- Chodź, pokażę ci.

Alan zaprowadził go do centrum wywiadowczego, gdzie trzymał swoje dzieło. Na co dzień było ono odwrócone do ściany; teraz wreszcie mógł je komuś pokazać. Wy tłumaczył O'Neillowi znaczenie poszczególnych kolorów.

- Czybyś chciał przez to powiedzieć, mój chłopcze - powiedział Kreol, zmieniając się w Brytyjczyka z filmów przedwojennych - że wszystkie te czerwone znaczki są moje?

- No tak, wyznaczyłem ich położenie dzięki zebranych przez ciebie danym z prowlerów.

- A to dopiero! - Kreol uśmiechnął się do niego. - Czyli to nasza robota, mój chłopcze. Moje dane, twoje flamastry. Zgadza się?

Kreol cieszył się dużym szacunkiem w eskadrze. Był najlepszym ekspertem od walki radioelektronicznej. Nie musiał ani nie chciał latać; zasłużenie wywalczył sobie dobrą pozycję i był tego świadom. Alan podejrzewał, że następca Kreola na tym stanowisku będzie miał ciężkie życie, o ile nie pójdzie w ślady swojego poprzednika i nie skończy studiów matematycznych i informatycznych. Poza tym O'Neill zadziwiająco dobrze znał się na muzyce alternatywnej, która podobała się Alanowi, i na „gangsta” rapie, którego Alan nie trawił. Miał imponującą kolekcję płyt kompaktowych i chętnie je pożyczał. Na wielu z nich widniały autografy artystów; Kreol przyznał z pewnym wahaniem, że jego siostra pracuje w biznesie muzycznym, Dzięki niemu Alan poznawał kolejne zespoły z Nowego Orleanu, Seattle i Los Angeles.

Po dwóch tygodniach razem z Kreolem potwierdzili zgodność kilku źródeł informacji, a zarazem zdolali wykazać wartość samodzielnych działań grupy bojowej, mających na celu namierzenie nieprzyjacielskich radarów i baterii rakiet. Alan mógł teraz rozmawiać z członkami grupy uderzeniowej z większą pewnością siebie; wytłumaczył im, dlaczego położenie niektórych obiektów jest pewne, a innych pozostaje w sferze domysłów. Alan zaciągnął Kreola do dowódcy grupy wywiadowczej, któremu chciał pokazać „ich dzieło”, pokryte wszystkimi kolorami tęczy. Kreol najpierw wygłosił krótką mowę - bez żadnego pajacowania - a potem oznajmił, że wiarygodność pewnych źródeł informacji wydaje się dość wątpliwa.

Dowódca siedział za biurkiem, na którym leżał rozłożony szablon, skąpany w świetle lampki.

- Zrobiliście to z własnej inicjatywy?
- Tak jest.

- Krótko mówiąc, nauczeni wieloletnim doświadczeniem doszliście do wniosku, że jesteście mądrzejsi od specjalistów z Biura Wywiadu Marynarki Wojennej i CIA razem wziętych.

Alan spojrział na Kreola, który rozpaczliwie usiłował znaleźć wyjście z tej nieprzyjemnej sytuacji.

- Niewiele mądrzejsi, sir - powiedział po chwili.

Dowódca spojrział na mapę - będącą owocem wielu tygodni obserwacji elektrycznej, triangulacji i konfrontacji danych pochodzących z różnych źródeł. Dowódcy grup wywiadowczych są najwyższymi rangą oficerami wywiadu w brygadach i dlatego mają mnóstwo pracy. Odpowiadają za przygotowanie planu misji, sprawują nadzór nad niższymi rangą oficerami i pełnią funkcję oficerów sztabowych przy dowódcach brygad. Muszą dokładnie przeanalizować wszystkie przedłożone plany ataku, mieć oko na jedenastu młodych oficerów i trzydziestu niezwykle rzutkich podoficerów, a do tego uczestniczyć w gierkach personalnych dowództwa. Zostaje im niewiele czasu na zajmowanie się sprawami związanymi z działalnością wywiadowczą - a do takich zaliczało się z pewnością porównywanie danych przychodzących z różnych źródeł.

Lars Nordheim miał trzydzieści dziewięć lat, był gruby i zmęczony. Wiedział, że nie znajdzie chwili wytchnienia, dopóki lotniskowiec nie skieruje się z powrotem do domu. W tej fazie planowania prawdziwej wojny większą część dnia zajmowało mu przeglądanie i krytyka radosnej twórczości centrum wywiadowczego; a teraz jeszcze musiał wysłuchiwać dwóch młodszych oficerów, mówiących o potężnym, wymagającym sporych nakładów projekcie, którym zajęli się bez zezwolenia. Ale... Spojrzął na ich mapę. Ale.

- Nudzi wam się czy co? - burknął.

Alan i Kreol spojrzeli po sobie. O'Neill zrobił wymowną minę, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, w co nas wrobiłeś!”

- Zajmowaliśmy się tym... w wolnych chwilach, sir - powiedział Alan.

- W wolnych chwilach, też coś! - Nordheim zwrócił podkrążone oczy na Alana. - Ty latasz, zgadza się?

- Kiedy to tylko możliwe. Teraz rzadziej, bo jesteśmy dosyć... zajęci.

- Dosyć zajęci, Jezu Chryste! - mruknął Nordheim pod nosem i podniósł wzrok na Kreola. - A ty jesteś oficerem odpowiedzialnym za prowlerki, zgadza się? To twoje dane. Ty jesteś tym najpewniejszym źródłem informacji.

Alan był przekonany, że w tej sytuacji Kreol ustąpi, ale on wybuchnął:

- Te dane są naprawdę pewne, sir! Moi ludzie dobrze wypełniają swoje obowiązki. Ja wierzę w to, co tu widać.

Nordheim odchylił się. Światło lampy padało na mapę i dwóch młodszych oficerów; szef grupy wywiadowczej pozostawał w cieniu, oświetlone były tylko jego dłonie.

- Chłopcy - powiedział cicho - chłopcy, ja też wam wierzę. To dobre. To naprawdę dobre. - Ni stąd ni zowąd zaczął naśladować Humphreya Bogarta. Alan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego szef zaraził się tym od Kreola. - Naprawdę, naprawdę dobre, szłodziutka. - A potem znów przybrał surowy ton wysokiego rangą oficera. - To dowód waszego poświęcenia. Wykazaliście, że rozumiecie, na czym polega praca w wywiadzie. Mam jednak dla was przykrą wiadomość, panowie. Wasze dzieło tak mi się spodobało, że zamierzam przypisać sobie za nie całą zasługę. - Jego twarz była niewidoczna w mroku, ale Alan domyślał się, że mówiąc te słowa Nordheim uśmiecha się szeroko. - Zamierzam wmaszerować do dowództwa z tą mapą pod pachą i powiedzieć, że to ja

kazałem przeprowadzić te badania i że od tej pory wszystkie nasze grupy bojowe będą korzystały z tych zestawień danych. Wyznaczeni oficerowie i podoficerowie będą co pewien czas uaktualniać. - Pochylił się i światło padło na jego zmęczoną, puciołowatą, rozpaloną twarz. - Widzicie, chłopcy, wy nie musicie mieć do przodu u dowódcy grupy bojowej, w odróżnieniu ode mnie. Natomiast musicie mieć chody u mnie i u dowódców eskadr, a ja się o to postaram. Czy wyraziłem się jasno?

Alan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu; ten człowiek właśnie powiedział im bez ogródek, że przywłaszcza sobie ich pracę. Na twarzy Kreola odbiła się głęboka ulga; później przyznał, że był pełen obaw przed tą rozmową. Nordheim uściśnął im dłonie.

- Nazywam się O'Neill, sir- powiedział Kreol jeszcze przed wyjściem z kajuty. - Moim dowódcą jest porucznik Santana. Trzeba oddać sprawiedliwość tym, którzy na to zasłużyli, mój panie. - Uśmiechnął się szeroko. Nordheim odwzajemnił uśmiech. Alan nie ukrywał zaskoczenia: a więc tak to się odbywa, pomyślał.

11 października 1990, 0.17 czasu Greenwich, Ocean Indyjski

Bosman Sheldon Bonner włókł się korytarzem do swojej kajuty. Trwały operacje lotnicze, więc po korytarzach snuło się wielu ludzi. Trudno się było jednak oprzeć wrażeniu, że to jeszcze głucha noc; wszyscy patrzyli przed siebie mętным wzrokiem, w barze było cicho i wszędzie panowała ponura atmosfera, jak na przystanku autobusowym na głębokim zadupiu w środku nocy. W czasie swojej zmiany Bonner pił kawę za kawą; teraz na samą myśl o niej zaczynało mu się kotłować w żołądku. Kupił colę z automatu i zaczął ją sączyć, oparty o grodz.

- Hej, Bonner - odezwał się Fink, znajomy sierżant.
- Cześć, Fink.
- Skończyłeś robotę z tą plażą? - Fink był przełożonym Bonnera w laboratorium filmowym i czepiał się wszystkich w obawie, że jeśli coś będzie nie w porządku, oficerowie przyczepią się do niego.
- Suszy się.
- Jak wygląda?
- Jak plaża. Nie jestem detektywem, do cholery.

Fink zmarszczył brwi i poszedł. Bonner potrząsnął głową i napił się coli. Na widok Finka odechciewało mu się awansu na sierżanta. Ten gość miał same kłopoty, a przy tym nie mógł uciekać się do wymówek, na które mogli sobie pozwolić niżsi rangą.

Bonner położył się na koi i zaczął przeglądać katalog łodzi. Oczy mu rozbłysły. Trudno było zdecydować się na którąś z nich; na zdjęciach widniały łodzie pomalowane w błyszczące paski, łodzie ze składanymi siedzeniami, z dwoma, a nawet trzema silnikami. Oczami duszy widział je wszystkie na St.

John's. W swoich marzeniach Bonner stał u steru, a jego syn siedział obok. Kiedy łódź odbije od brzegu, zaczną wypatrywać stad rozwrzeszczanych mew; tam, gdzie gromadzą się te ptaki, można było liczyć na obfitość ryb. Gdyby przestały brać, znajdą kolejne miejsce... i tak bez końca. Bonner uśmiechnął się. Będzie wspaniale.

Powiedział już wszystkim znajomym o planowanym zakupie łodzi. Skarżył się, że niełatwo będzie ją spłacić, że być może będzie musiał zadowolić się używaną łajbą, że prawdopodobnie poszuka sobie jakiegoś dodatkowego zajęcia, aby zdobyć potrzebną sumę. Wieść rozejdzie się po całym okręcie. Gdyby ludziom z NOS przyszło do głowy sprawdzić Sheldona Bonnera, dowiedzą się, że ledwo wiąże koniec z końcem i musi nieźle oszczędzać, żeby pozwolić sobie na kupno łodzi.

Tak naprawdę zapłaci za nią pieniędzmi od gościa w Delray, który za odpowiednią cenę załatwiał lewe transakcje i trzymał gębę na kłódkę. Ten facet sporządzi lewy kontrakt, a nawet wręczy Bonnerowi lewą książeczkę na lewe opłaty. Bonner zawsze uważał, że świat jest pełen frajerów.

Od czasu nalotu na Iran niewiele się wydarzyło. Bonner schodził na ląd w Dubaju i Bahrajnie; nigdzie nie było umówionych znaków. Musisz się trochę przyznać, powiedział sobie. Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Carl na pewno osobiście złożył pieniądze na koncie w Szwajcarii. Jednocześnie na Florydzie czekały na Bonnera wpływające co miesiąc kwoty. Interesowała go tylko gotówka. W domu ukrył czterdzieści tysięcy dolarów. Nikt ich nie znajdzie, zresztą nikt ich tam nie będzie szukał. Wszystko gra.

W tej chwili za zdjęciami potyskujących łodzi rozpruwających wodę kryły się słowa „inwestycje zagraniczne”. Bonner był tradycjonalistą, nieprzerwanie żywiącym podziw dla Szwajcarów i dyskrecji banków szwajcarskich. Niedawno w jakiejś angielskiej gazecie wyczytał, że „inwestycje zagraniczne” to najlepszy sposób na szybkie wzbogacenie się. Słowo „zagraniczne” oznaczało tu jednak wyspy Bahama, Turks i Caicos, raj dla lewych pieniędzy, minipaństwka, których rządy w połowie składały się z handlarzy narkotyków. Gdyby tylko byli tak dyskretni jak Szwajcarzy, gdyby prowadzili transakcje gotówką, gdyby... Zasnął.

31 października, 18.17 czasu Greenwich, Ocean Indyjski

W „Brudnej Koszuli” Lars Nordheim pałaszował całkiem nieźle ciasto z dyni. Dołączył do niego dowódca eskadry Alana.

- Co to, święto? - powiedział Nordheim, podnosząc kolejny kawałek do ust.
- Halloween, Lars - odparł dowódca.
- Ano tak - stwierdził Lars. - Halloween. Pamiętam, jak to było na ziemi.
- Jak radzi sobie ten mój chłopak? - spytał dowódca po dwóch minutach milczenia. - Craik.
- Haruje jak skurczybyk.

- Od dwóch tygodni nie spędził ani chwili w powietrzu.
- To nie należy do jego obowiązków - zauważył Lars.
- Powiedziałeś mu, żeby z tego zrezygnował? - spytał dowódca.
- Nie, sir. Przypomniałem mu tylko, jaką pełni funkcję.
- Jak zareagował?
- To łebski chłopak. Zdaje się, że praca wywiadowcza trochę go nudzi.
- Puścisz go jutro, żeby sobie polatał?
- Jasne, jasne, zasłużył na to. Jesteśmy zresztą poza zasięgiem naszych celów, zgadza się? Dowódca zamierza jutro w południe dać nam trzydzieści sześć godzin wolnego.
- Centrum tropienia okrętów podwodnych twierdzi, że w pobliżu krąży rosyjski „Wiktor II” - powiedział dowódca.
- Może trzysta kilometrów stąd, może na księżycu. Wie pan, jak to jest.
- Mam dobre przecucia, Lars. Zamierzam zabrać swojego chłopca na prawdziwe polowanie. Odkąd runął mur, niewiele zostało białych wielorybów. Craik pewnie myśli sobie, że wozimy tylko paliwo dla F-1 8 i bawimy się w elektroniczny wywiad. Chcę mu pokazać, co robimy naprawdę. Jutro polecą ze mną, dobra? Nordheim tylko wzruszył ramionami.
- Dzięki, Lars.

1 lipca 1990, 12.30 czasu Greenwich, Langley, stan Wirginia

Każdego ranka o siódmej trzydzieści George Shreed odbywał półgodzinny naradę ze swoją zastępczynią. Było to najprzyjemniejsze pół godziny w ciągu całego dnia - kawa, papieros, całkowite zaufanie, w pełni odwzajemnione. Sally Baranowski zapewne nie miałaby nic przeciwko temu, by zająć miejsce swojego szefa, ale starała się osiągnąć to wyteżoną pracą. Nie było między nimi rywalizacji, ambicja raczej ich łączyła, zamiast dzielić: jedna fala może przecież nieść dwie łódzie.

- Co masz? - powiedział.
- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdziła Sally. - Dobrze się czujesz?
- Źle spałem. - Tak naprawdę nie zmrużył oka ani na chwilę, jak to często bywało. Jego nogi zostały zmiążdżone przed prawie trzydziestoma laty, ale ból uparcie powracał. Zapalił pierwszego papierosa.
- To cię zabije - powiedziała Sally.
- Oby.

Sally usiadła i położyła na kolanach papiery, terminarz spotkań i poranny raport. Choć w tym fachu nadal patrzone na kobiety z ukosa, ona odniosła sukces, bez względu na to, co mówili mężczyźni. Shreed był ciekaw, ile jato kosztowało. Pewnie musiała stracić nieco ze swojej kobiecości. Czasem wydawała się zbyt wesoła, zbyt energiczna, jakby usiłowała wszystkim udowodnić, że da sobie radę.

- Jak twoja córeczka? - spytał.

- To ja mam córeczkę? Chodzi ci o tę dziewczynkę, której zdjęcie stoi na moim biurku? - Roześmiała się zbyt radośnie. - U niej wszystko w porządku. Przy najmniej John tak mówi. - Kolejny wybuch śmiechu. Napotkawszy spojrzenie Shreeda, Sally spowaźniała. - Powiedz, nie jestem beznadziejną matką, prawda?

- Przecież wiesz, że nie jesteś. - Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. - No dobrze. Co masz dla mnie?

- Chodzi o Jefremowa. Jurija Jefremowa, tego Rosjanina, który...

- Pamiętam.

- Zdaje się, że nasi ludzie znaleźli jego agentów. Niejedno, ale dwa niewyjaśnione zabójstwa w noc poprzedzającą masakrę w Moskwie. Pamiętasz, w Stitkin...?

- Pamiętam doskonale, Sally. Powiedz mi, co i jak.

- W porządku. W Brukseli na jednym ze śmietnisk odnaleziono ciało Émile Clanwaerta, głównego konserwatora z siedziby NATO. Sądząc z miejsca, gdzie leżały zwłoki, przywieziono je ze śmieciami z lotniska. Śmierć prawdopodobnie nastąpiła przeszło dwadzieścia cztery godziny przed odnalezieniem ciała. - Sally założyła nogę na nogę, napiła się kawy. - Z kolei w Amsterdamie odnaleziono zwłoki kobiety z poderżniętym gardłem. Aha, a propos, Clanwaert został uduszony garotą, robota zawodowca. Kobieta była podejrzana o utrzymywanie intymnych stosunków z *attaché* morskim ambasady tureckiej. Rozmawiałam z naszym rezydentem w Amsterdamie. Nie ma wątpliwości, że ona była z tym Turkiem w ciąży. Pracowała w firmie dziewiarskiej, czyli powiązania z wywiadem miała tylko przez swojego faceta. To wszystko.

- Oba zabójstwa tej samej nocy?

- Co do kobiety z Amsterdamu nie ma wątpliwości; jej ciało odnaleziono o czwartej nad ranem, ale wtedy nie żyła już od paru godzin. Trudno natomiast określić dokładny czas zgonu Clanwaerta, tego z Brukseli, można jednak przyjąć, że zginął tej samej nocy. Zabójca miałby prawdopodobnie dość czasu, by popełnić obydwa morderstwa. Mógł przylecieć, czy choćby przyjechać do Brukseli z Amsterdamu albo odwrotnie.

- W porządku. - Pociągnął duży łyk kawy. - To dobrze się zapowiada. Przejrzyj wszystkie listy pasażerów, zarówno z...

- Nasi ludzie już się tym zajęli. Dzisiaj spodziewam się raportu.

Shreed uśmiechnął się i splótł dłonie za głową.

- Cóż mogę powiedzieć? Przez ciebie staję się niepotrzebny.

2 listopada 1990, 9.00 czasu Greenwich, Ocean Indyjski

Alan obudził się. Dziwnie się czuł, jakby coś się nie zgadzało. Nie, to nie to. Było po prostu jakoś inaczej. Ale o co chodziło? Nie śnił koszmarów. Wręcz przeciwnie, miał przyjemne sny. O czym? Nie pamiętał już, ale wiedział, że o czymś niezwykle przyjemnym. Aha, wreszcie sobie przypomniał - ryby. Wyprawa na ryby. A potem... Nic. Ale po przebudzeniu był szczęśliwy!

- HUUUUU, wielki Szpiegu! - Ktoś nim potrząsał. - Pora wstawać, chłopie. Na nogi i do samolotu marsz!

Otworzył jedno oko. Ujrzał pochylonego nad nim pilota, na którego wszyscy mówili Surfer.

- Jeśli mnie pocałujesz, zaczną krzyczeć - burknął Alan.

- Pieprz się, Szpieg. To nie żarty, tylko prawdziwa akcja przeciwko prawdziwym okrętom podwodnym. Rozumiesz? Rosyjski „Wiktor II” pęta się gdzieś na południowym wschodzie, a my przechytzymy palantów z P-3, nawrzucamy do wody boi akustycznych za milion doliców i znajdziemy tego dupka. Ja być pilot, dowódca być drugi pilot, sierżant Craw pilnować czujniki, a ty koordynator taktyczny. Kapewu?

Alan włożył kombinizon lotniczy po raz pierwszy od dwóch tygodni i pomaszzerował do „Brodnej Koszuli”. Zamówił obfite śniadanie, nalał sobie wielki kubek kawy i wrzucił do niej torebkę kakao.

- Cukru, ile wlezie, i podwójna kofeina - mruczał pod nosem, zadowolony. - Jestem szczęśliwy! Jak skurczybyk! - Zabierał się właśnie do jedzenia naleśników w słodkiej polewie, gdy na talerz padł cień i znajomy głos powiedział:

- Hej.

- Cześć, Rafe. - Jego nastrój zdecydowanie się popsuł. Wciąż był wściekły na Rafehausena.

- Dzięki, że zaprosiłeś mnie do stolika. Chętnie skorzystam. - Rafehausen padł na krzesło i rąbnął kubkiem z kawą o stół. - Słyszałeś dobre wieści?

- Będzie wojna, tak?

- Chodzi mi o naprawdę dobre wieści, bałwanie! Zostaliśmy odznaczeni. Ja i Narc dostaliśmy order sił powietrznych, ty i Craw też się na coś załapaliście. Za strącenie fantana, dupku!

- To dobrze. Fajnie. Gratuluję. - Nie potrafił zdobyć się na entuzjazm.

Zapadła cisza. Rafe nie znosił ciszy. Alan czekał, aż on sobie pójdzie, Rafe jednak nie drgnął.

- Hej - powiedział po chwili. Słowo to miało dla Rafe'a wiele znaczeń, na przykład „Mogę cię o coś spytać?”, albo „Å propos...”

- Hej, Rafe.

- Hmm... Narc mówi, że za ostro cię potraktowałem... wiesz, wtedy jak wróciłeś. - Rafe próbował go przeprosić. Już to było niezwykle, Alanowi jednak nie wystarczyło. Choć powinien powiedzieć „W porządku, nic się nie stało” i tak zakończyć całą sprawę, odparł:

- Tak, to prawda. - Tego właśnie nie powinien był powiedzieć. Odwrócił głowę i spojrzął Rafe'owi prosto w oczy. - Tak, to prawda.

- Hej, stary... - Rafe skrzywił się. - Próbowałem ci tylko pomóc.

- No cóż... - Alan zastanowił się. - Cóż, nie udało ci się. - Potem wybuchnął śmiechem. Doskonały nastrój powrócił. - Ale teraz już wszystko w porządku. Czuję się świetnie. Po raz pierwszy od... Zapomnij o tym, co się stało, Rafe. To nic takiego. Zrobiłeś, co należało, może trochę zbyt dosadnie, ale nie ma sprawy. Gratuluję orderu. - Uścisnęli sobie dłonie. Rafe powinien był wtedy odejść; tak

wypadłoby naturalnie. Jednak został o tę jedną chwilę za długo. Alan poczęsto-
wał go papierosem. Kiedy zapalili, Rafe, ku jego zdumieniu, spytał:

- Myślisz czasem o tamtej nocy?

- Jasne. Tyle że nie wszystko pamiętam. Od strącenia fantana aż do śmierci
ojca... nic. Urwany film. - No właśnie. Powiedział to po raz pierwszy. I to
Rafehausenowi. - Nie chcesz tego słuchać.

- Nie, nie, nie mam nic przeciwko. Poważnie, nie mam... dopóki to nie sta-
nie się... no wiesz, zbyt osobiste.

- To mi nie daje spokoju.

- To oczywiście, był twoim ojcem

- Nie, nie, nie, nie o to chodzi. Nie daje mi spokoju to, co się wtedy stało. To
znaczy... co się właściwie stało? Jakie jest prawdopodobieństwo strącenia A-6
rakietą z przenośnej wyrzutni? I nie mów: „Życie bywa do dupy”. Powtarzano mi
to już tyle razy, że zaczynam podejrzewać, że to nowa doktryna obowiązująca
w marynarce wojennej.

- Wiesz, Szpieg, ja tam nie jestem podejrzliwy. Ale coś ci powiem. - Rafe
wydmuchnął dym w bok i odwrócił głowę. - Oni spodziewali się nas. To nawet
mnie nie daje spokoju. Czekali na nas. - Zgasił papierosa. - Lecisz dzisiaj?

- Polowanie na okręt podwodny.

Rafe klepnął Alana w ramię.

- No to daj im w kość, tygrysie.

Pięć minut później Alan studiował już najnowsze dane zdobyte przez grupę
zajmującą się zwalczaniem okrętów podwodnych. Siedział w małej, zadymionej
klitce, w której niepodzielną władzę sprawowali dwaj chorążowie, którzy bez przer-
wy palili, wypijali pięćdziesiąt kaw dziennie i tak upodobnili się do siebie, że
Alan miał trudności z ich rozróżnieniem. Odkąd pamiętali, nie odwiedzał ich za-
den officer wywiadu; dla Alana jednak ich królestwo było doskonałą kryjówką,
gdzie mógł znaleźć spokój. Dlatego cierpliwie znosił przycinki obydwu chorą-
żych na temat „młodego, który wyciąga ode mnie fajki”. Tutaj mógł też poznać
tajniki polowań na okręty podwodne. Zupełnie jakby uczył się łowić ryby u dwóch
starych rybaków.

Tym razem długo analizował dane zebrane tego dnia, po czym oglądał wia-
domości przychodzące z patrolującego okolicę S-3, dopóki nie uznał, że wie wy-
starczająco dużo. Dopiero wtedy pozwolił sobie na papierosa. Z kawą smakował
doskonale.

- Rosyjski „Wiktor II” - powiedział officer dyżurny (Erskine? John?), nie
odrywając oczu od monitorów. - Robi dużo hałasu, pewnie ma spieprzone łoży-
sko w wale napędowym. Niektórzy snują rozmaite teorie o pomocniczych
zespołach silnikowych, pompach i śmierci Kennedy'ego, ale ja nie mam
wątpliwości, że to zwyczajna awaria. W każdym razie skurczybyk powinien być
już dawno wrócić do domu.

Alan wypalił papierosa. Nie podziękował; to i tak nigdy nie pomagało. Za-
miast tego powiedział, że kiedy tylko nawiąże kontakt, przekaże namiary boi przez
łącze transmisji danych.

- Spróbuj mi tylko tego nie zrobić. To najłatwiejszy do wykrycia okręt na świecie, młody człowieku. Złap go i przekaż mnie.

Alan zdawał sobie sprawę, że to tylko słowa. Wykrycie okrętu podwodnego z pokładu samolotu nie było łatwe - wystarczyło, żeby zawiodły urządzenia elektroniczne, zerwała się taśma, zawiesiło łącze i wszystko trafiał szlag. Wiedział też, że (John? nie, ten to na pewno Erskine) chciał dać mu do zrozumienia, iż zadanie mimo wszystko było stosunkowo łatwe, więc niepowodzenie nie wchodziło w grę.

- Wybrałem dla ciebie dwie najlepsze taśmy - powiedział dyżurny.
- Dzięki... Erskine.
- O kurczę, jednak wiesz, jak mam na imię. A założyłem się z Johnem, że nas nie rozróżniasz!

2 listopada 1990, 12.20 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

- Masz chwilę czasu? - Sally wyglądała lepiej tego ranka, nie widać już było po niej zdenerwowania. Stała w drzwiach gabinetu George'a Shreeda, niedbale oparta o framugę.

- Dosłownie minutę. Muszę nakrzyczeć na jednego palanta z Departamentu Stanu. O co chodzi?

- Mamy ślad w sprawie Jefremowa. Sprawdziliśmy listy pasażerów z Amsterdamu i...

- Pamiętam, do rzeczy.
- Mężczyzna nazwiskiem P. Kazinski przyleciał do Amsterdamu na dwie godziny przed śmiercią tej kobiety. Szesnaście godzin później wsiadł do samolotu na lotnisku w Brukseli.

- Przyleciał do Amsterdamu, wyleciał z Brukseli. Wynajął samochód? Miejmy nadzieję, że nie. Musiał skontaktować się z czterema agentami... Amsterdam, Bruksela... dokąd poleciał z Brukseli?

- Do Neapolu.
- Neapol! Cholerny świat. Neapol. Jezu, tam jest siedziba NATO... i różne inne atrakcje. Czyli mamy trzy miasta. A agentów było czterech. Ile czasu dzieliło oba zabójstwa? - Shreed był ożywiony. Departament Stanu przestał go obchodzić.

- Nie wiemy, kiedy zginął Clanwaert. Ale jeśli...
- Dowiedz się, kiedy zabrano śmiecie z lotniska.
- Nasi ludzie już to sprawdzają.
- Dobra jesteś, mała, naprawdę! - Ruszył niezgrabnie ku drzwiom. - Przyjmijmy, że Jefremow miał trochę czasu. Sprawdź, czy na listach pasażerów wylatujących z Amsterdamu i przybywających do Brukseli nie powtarza się jakieś nazwisko. Ten facet nie może mieć za dużo fałszywych paszportów, no nie?

- Dlaczego nie?
- Bo wtedy mielibyśmy przechłapanie.

Podczas odprawy Alan był w doskonałej formie: zrelaksowany i dzięki Erskine'owi przygotowany do dyskusji o przewodach, taśmach, strefach konwergencji i warstwach izotermicznych. Na zakończenie Surfer spojrział na niego i uniosł kciuk na znak, że Alan świetnie się spisał. On sam wypił ostatnią kawę, zmusił się do opróżnienia pęcherza i skierował kroki na pokład startowy. Dopiero na drabinie prowadzącej na poziom 0-3 zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał. Miał pełne kiszki. A najbliższe siedem godzin spędzi w kabinie samolotu. O cholera.

Na pokładzie startowym panowała cisza. Dzisiaj latały tylko helikoptery i samoloty do zwalczania okrętów podwodnych. A dzień był piękny jak rzadko - daleko na horyzoncie unosiła się delikatna mgielka, woda przybrała soczystą błękitną barwę, grzbiety fal wieńczyła biała piana, a błękit nad głowami przywodził na myśl niebo nad Nowym Jorkiem w sezonie polowań na jelenie. Powietrze nie było jak zwykle przesiąknięte wilgocią, dzięki czemu upał nie dawał się we znaki. Alan odetchnął pełną piersią i, jak każdy marynarz trzy czy cztery razy do roku, pomyślał, że nie ma to jak życie na morzu.

Sierżant Craw był już w samolocie, zajęty kontrolą przyrządów. Upewnił się też, czy wyrzucany fotel zadziała, gdyby trzeba było wykorzystać go jako spadochron. Alan pochylił się, schował torbę i termos, wyciągnął taśmy i pokazał je Crawowi, który kiwnął głową z uśmiechem. W torbie sierżanta na pewno znajdowała się zapasowa taśma, taka, która nigdy się nie psuła.

- Erskine powiedział, że obie są dobre - stwierdził Alan. Craw pokiwał głową.

Alan zaczął przygotowywać się do startu: przykleił kartkę z obowiązkowymi tego dnia częstotliwościami i informacjami z łącza transmisji danych nad konsolą komputera, powtórzył sobie w myślach wszystko, co ma zrobić podczas lotu, po czym z ulgą wyszedł z kabiny na słońce. Dopóki nie włączył się pomocniczy układ zasilania, a z nim klimatyzacja, w samolocie było okropnie gorąco. Alan rzucił okiem na ustęzenie, skrzydła i stateczniki, a potem zajrzał pod samolot, wypatrząc różowej plamy, która wskazywałaby na wyciek płynu hydraulicznego. Następnie sprawdził ustawienie łożka podwozia, tak jak nauczył go Rafe; mechanicy mogli wstawić tę część do góry nogami albo bokiem, dlatego zawsze należało zobaczyć, czy dwie czarne kreski i błyszczący łącznik znajdują się w jednej linii. Alan nie był pewien, czy dobrze zapamiętał, o co właściwie chodzi, ale wiedział, jak to powinno wyglądać, i tego dnia Christine nie sprawiła mu zawodu. Zdawał sobie sprawę, że prawdziwy koordynator taktyczny sprawdziłby dziesięć razy więcej rzeczy niż on, ale z drugiej strony wszystko było w rękach pilota i on, Alan, mógł co najwyżej trochę mu pomóc.

Na widok swojego nazwiska pod oknem z prawej strony kadłuba Christine coś ścisnęło go w gardle; to samo poczuł, gdy ujrzał wymalowaną przy nosie samolotu sylwetkę fantana - ofiary Christine.

Do obowiązków koordynatora taktycznego należało przeliczenie ładunków folii odbijającej i flar, umieszczonych w podbrzuszu samolotu. Przy okazji Alan

zauważył, że wszystkie boje akustyczne były na miejscu, a oprócz nich Christine została wyposażona w torpedę. Craw zajął do Alana pod samolot.

- Może mi pan powiedzieć, co jest w której dziurze, skoro pan już tam jest?

Istnieją dwa rodzaje boi: pasywne/aktywne, czyli te, które służą do wykrywania okrętów podwodnych, oraz badające otoczenie, które sprawdzają poziom zasolenia, temperaturę i wszystkie inne czynniki wpływające na szybkość rozchodzenia się dźwięku w wodzie. Klęcząc na twardym przeciwpoślizgowym pokładzie, Alan zaczął wyliczać, co widzi, a Craw nanosił znaki na trzymany przez siebie plastikowy arkusz. Najpewniej sierżant dokładnie wiedział, co gdzie się znajduje; Alan nie miał jednak do niego pretensji za zmuszanie go do niepotrzebnego wysiłku.

Kiedy wygramolił się spod samolotu, miał obolałe kolana. Wszedł do kabiny i usiadł na swoim fotelu. Potem poszedł w głąb kabiny, włożył taśmę do skrzynki, odstawił ją na miejsce i umocował pasami, a na koniec zabębnił o nią palcami. To na szczęście. Żeby odpędzić elektromagnetyczne demony. Wrócił na swój fotel i wypisał kredką świecową na ekranie dwa rzędy cyfr.

To wszystko. Był gotów do lotu.

Craw podniósł głowę.

- Wszystko gotowe, sir? - spytał.

- Mamy dość czasu, żeby skoczyć do centrum zwalczania okrętów podwodnych po najświeższe informacje?

Craw uśmiechnął się.

- Jasne.

Wtedy właśnie przyszedł dowódca i od razu przystąpił do przeglądu samolotu. Alan i Craw przywitani go skinieniem głowy i powiedzieli mu, dokąd idą. On machnął ręką na znak, żeby się pospieszyli. Zerwali się do biegu. Przepisnęli się przez właz, zeszli na dół po drabinie; Craw wpadł do kajuty, porwał kubek z kawą i zapalił papierosa. Alan bez namysłu zrobił to samo. Krew szybko krążyła mu w żyłach. Czuł się gotów do działania. Kawa była doskonała. Uśmiechnął się. Chorąży Erskine zmarszczył brwi.

- P-3 zgubił pieprzonego „Wiktora II”. P-3 nie słucha rad ani rozkazów. P-3 uważa, że „Wiktor” płynie tym samym kursem, kierując się na zachód z prędkością trzydziestu dwóch węzłów. Dlatego ten bałwan stara się go wyprzedzić i przez ostatnią godzinę bezmyślnie wyrzuca boje.

Łatwe zadanie diabli wzięli. W ciasnej kabinie zapanował ponury nastrój. Alan wiele już razy miał okazję słyszeć, jak Erskine wyrzeka na „prostoliniowych oficerów”, którzy uparcie trzymali się raz obranego kursu, mimo że okręt mógł w każdej chwili skręcić. Rzucił okiem na tablicę z ostatnimi danymi. P-3 kończyło się paliwo i boje. Wszystko na nic. Zajął Erskine'owi przez ramię. Przez chwilę patrzył na czerwone i niebieskie linie wyrysowane na mapie, następnie wziął cyrkiel, wymierzył odpowiednią odległość, umieścił ostrze w punkcie oznaczającym położenie lotniskowca o dziewiątej, a drugi koniec na linii przedstawiającej kurs okrętu podwodnego. Wyznaczone miejsce dokładnie odpowiadało położeniu poszukiwanego okrętu w chwili, gdy kontakt został przerwany.

Alan napotkał spojrzenie Crawa. Erskine rozmawiał właśnie z oficerem, który chciał dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja i po chwili wyszedł, wyraźnie niezadowolony. Crawl odgadł myśli Alana.

Położył dłoń na ramieniu Erskine'a.

- Mój Szpieg uważa, że „Wiktor” wykonał zwrot, kiedy namierzył grupę bojową. Że skrzył w naszą stronę. „Wiktor” jest cholernie głośny. Dostaniemy go, gotów jestem założyć się o butelkę irish mist, że mój chłopak ma rację. - Zaczął mówić głosem Leslie'ego Howarda w filmie „Scarlet Pimpernel”: - „Chryste, wszyscy to robią!” No, co ty na to?

Erskine spojrzał na Crawl, potem na Alana.

- Nie zakładam się. Przez niego przegrałem już piwo. - Znow spojrzał na Alana. - Myślę, że masz rację. Niestety, szef się ze mną nie zgadza. Przekonaj pilota do swojej koncepcji, a jeśli znajdziesz ten ruski okręt, stawiam kolejkę w „Highlanderze”. - „Highlander” znajdował się w Dubaju; lotniskowiec płynął po Oceanie Indyjskim. Cóż...

Żołądek Alana znow dał znać o sobie.

- Jeszcze tylko skoczę do kibla i możemy ruszać! - powiedział Alan z uśmiechem.

Wkrótce siedział już na swoim miejscu w samolocie, przypięty pasami do fotela, wpatrzony w tablicę przyrządów. Christine miała wystartować jako druga z trzeciej katapulty, tej, która znajdowała się nad kajutą Alana. W stronę katapulty toczył się KA-6, samolot-cysterna; gorący podmuch z jego dysz uderzał w Christine, przez co temperatura w kokpicie sięgnęła pięćdziesięciu stopni. Alan zdawał sobie sprawę, że mogą być przez to kłopoty z komputerem, a wtedy pozostawałoby mieć nadzieję, że rosyjskiego „Wiktora II” uda się wypatrzeć z okien samolotu. Deflektor odrzutu podniósł się, eo poprawiło nieco sytuację, ale kiedy silniki KA-6 osiągnęły pełną moc, gorąco w kabinie S-3 stało się nie do zniesienia. Alan miał na sobie golf, świadom, że kiedy włączy się klimatyzacja, będzie mu zimno. W tej chwili był spocony jak mysz.

Przez pokład lotniskowca przebiegło drżenie; potem rozległ się hałas przypominający szuranie krążkiem hokejowym po drewnianym stole; wreszcie krążek spadł na ziemię - bum - i KA-6 wystrzelił w górę. Alan oparł się wygodniej. Spojrzał na dowódcę eskadry w fotelu drugiego pilota i na Surfera. Po chwili samolot ruszył. Puk - zatrzymał się. Trzask - liny zostały przyłączone. Christine przesunęła się parę centymetrów do przodu, nos opadł w dół. AG 707 przygotował się do skoku, niczym kot z opuszczoną głową i wyprężonym grzbietem. Surfer odwrócił się, oddał salut i Lady Christine popędziła przez pokład, po czym skoczyła ku niebu. Zsunąwszy się z katapulty, wydała cichy pomruk i zaczęła mozolnie pisać się w górę, obciążona bojami akustycznymi i torpedą.

Podczas gdy wyłączał się pomocniczy układ zasilający, Alan zsunął sobie klawiaturę na kolana, sięgnął do dużej dźwigni (znajdującej się obok wielkiego, czerwonego przycisku mechanizmu spustowego), pchnął ją do góry i wbił wzrok

w ekran. Christine natychmiast poinformowała go, że podobnie jak on, jest w dobrym nastroju. Patrząc na zegarek, Alan policzył do sześćdziesięciu. Wtedy pociągnął dźwignię w dół. Policzył do pięciu. Wszystko było w porządku. Ekran nie wypełnił się migającymi znaczkami, komputer działał jak należy. Po dwóch minutach Alan wiedział już, że tym razem elektronika go nie zawiodła.

Usłyszał w słuchawce, jak Surfer łączy się z dyżurnym i uzyskuje potwierdzenie zgodności kodu IFF. Alan drgnął, jakby nagle zbudził się z głębokiego letargu. Ogarnęło go dziwne uczucie, jakby o czymś zapomniał... Rafe, tamten poranek, jego ojciec: co to było? - i wtedy Craw powiedział przez interkom:

- Wszystko w porządku, sir. Hej, kapitanie, Christine zachowuje się jak prawdziwa damulka. Ani chybi Szpieg ją uwiódł. - Potem dowódca i Craw roz poczęli długą i obfitującą w specjalistyczne terminy dyskusję na temat zwalczania okrętów podwodnych, a Alan zapomniał, o czym myślał przed chwilą; wziął się za wpisywanie danych do komputera Christine, by ten mógł wyświetlić odpowiednie symbole, obliczyć odległości i połączyć się z komputerami znajdującymi się na pokładzie lotniskowca. Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że Craw wyjaśnia jego własną, Alana, koncepcję na temat kursu obra przez „Wiktor II”.

Dowódca słuchał go z zainteresowaniem.

- John to wymyślił? Czy Erskine?

Craw na chwilę zawiesił głos.

- To pomysł pana Craika, sir. Ale osobiście uważam, że to całkiem prawdopodobne. Erskine też tak sądzi.

- Alan?

- Sir?

- Co jest grane?

- Kiedy P-3 stracił kontakt, „Wiktor” znajdował się na obrzeżu strefy zasięgu naszych radarów, sir. Grupa bojowa robi dużo hałasu, w którym można się ukryć. Myślę, że Rosjanie ruszyli w naszą stronę.

- Czyli uważacie, że ten były komuch kieruje się na grupę bojową? Skręci ku północy, żeby ją wyprzedzić? Tylko po to, żeby pokazać, jaki z niego bohater?

- Tak myślę, sir. Ręczę moją nieistniejącą reputacją za to, że skręcił, kiedy wykrył grupę bojową. Owszem, wcześniej płynął po kursie sto sześćdziesiąt w stosunku do nas. Gdyby więc chciał uciec, nie zmieniałby go. Poza tym „Wiktor” mógł nie wiedzieć, że został wykryty; P-3 namierzył go pasywnym radarem. A nawet gdyby się tego domyślił, czy miałby lepsze rozwiązanie niż powoli wykonać zwrot? Kapitanie, nie zastanawiałem się, czy „Wiktor” chce nas wyprzedzić, ale na pewno wie, że zmierzamy w stronę cieśniny Ormuz, zgadza się? Łatwo się tego domyślić. Dlatego kieruje się na północ z prędkością trzech węzłów - wtedy nawet jego trudno byłoby usłyszeć. To oznaczałoby, że w tej chwili jest... tutaj. - Alan wcisnął przycisk, wpisał kurs rosyjskiego okrętu i zaznaczył odpowiedni punkt na ekranie komputera. Craw obejrzał się i zaczął przygotowywać boje do zrzutu.

Dowódca spojrzął na swój ekran.

- No dobrze, to mi się podoba. Ale jeśli coś będzie nie tak, dostaniecie w dupę. Obydwojaj. - Odwrócił się i spojrzął znacząco najpierw na Crawa, potem na Alana. Przed startem odbył poważną rozmowę z oficerem taktycznym. - Mamy znaleźć ten okręt. Teraz. Oficer taktyczny podejrzewa, że „Wiktor” może zdradzić miejscowym nasze położenie. - Jeśli uda nam się go wytropić, pomyślał kapitan, po raz kolejny udowodnimy naszą wartość. Latając na S-3 niełatwo zdobyć należy szacunek. - Kiedy go znajdziemy, walniemy w niego impulsem dźwięku wym. Alan, nigdy jeszcze tego nie robiłeś. Jeśli nam się uda, ośmieszymy Rosjan i odpłyną, przynajmniej na razie. Do następnego spotkania.

Alan uzmysłowił sobie, że było to najdłuższe przemówienie dowódcy, jakiego kiedykolwiek wysłuchał. Powrócił do uruchamiania łącza transmisji danych. Po wciśnięciu kilku klawiszy dane zaczęły napływać. Wkrótce Alan miał przed sobą obrazy wszystkich pól powstałych wokół boi akustycznych, rozmieszczonych przez załogę P-3. Pomylili się o jakieś dwadzieścia parę kilometrów, pomyślał Alan.

- Głęboko? - powiedział. W odpowiedzi Craw obdarzył go szerokim uśmiechem. Uśmiech? Na twarzy Crawa? Sierżant nie przestawał się uśmiechać: ta misja była dla niego jak zabawa, sport, łowienie ryb. Jak sen.

Dowódca eskadry pogwizdywał przez zęby.

Surfer odwrócił się. W jego przezierniku i ciemnych okularach odbijało się nieskazitelnie czyste niebo nad Oceanem Indyjskim - wyglądał jak uosobienie złotego chłopca z powieści w stylu cyberpunk. Uniósł podbródek.

- Hej, Szpieg?

- Tak, Surfer?

- Słyszałem, że kiedy lataasz z Rafe'em, serwujesz wszystkim kawę i ciasteczka.

Czyli znów miał wcielić się w rolę Alana Stewardesy. Tym razem jednak nikt nie pokusił się o złośliwy żart. Craw napił się kawy.

- Super - powiedział, nie odrywając oczu od ekranu. Szykował się do zrzucenia boi.

- Cacy - mruknął kapitan do Surfera. - Przygotuj się.

Craw włączył sterowanie ręczne. Większość operatorów czujników i niemal wszyscy koordynatorzy taktyczni zadowoliliby się ustawieniem automatycznym - chyba że sytuacja była naprawdę poważna. Jak teraz. Craw zrzucał jedną boję za drugą, a kapitan podawał czas, odległość i wysokość. Alan wprowadzał wszystkie dane do komputera. Surfer przecinał powietrze nad oceanem, jakby leciał wzdłuż linii nakreślonych na falach, sprawnie wykonując zwroty na małej wysokości.

- Mam cię - mruknął Craw i zaklął. Z lotniskowca nadeszło potwierdzenie, że odnaleźli rosyjski okręt podwodny. Po chwili jednak „Wiktor” znów zniknął. Znajdował się na wschodniej krawędzi obszaru wyznaczonego przez boję; wyglądało na to, że kierował się na północ. Alanowi kamień spadł z serca. Zakreślił okrąg, poprowadził linię po prawdopodobnym kursie rosyjskiego okrętu i krzyknął:

- Jazda! - Craw zrzucił jeszcze kilka boi, tym razem w prostej linii; a „Wiktor”, jak pstrąg, który połknął przynętę, popędził przed siebie, przez sam środek obserwowanego obszaru - i znów zniknął.

- Cholera! - warknął dowódca.

- Sukinsyn - powiedział Craw.

Dziesięć minut. Czy okręt zwiększył prędkość, czy nie? Czy rosyjski kapitan chce zdobyć zdjęcie amerykańskiego lotniskowca - „Pamiętka z mojego rejsu, komrad. Zobacz, jak blisko byłem potężnych Amerykanów” - czy też nie?

Po chwili namysłu Alan postanowił zaryzykować. Przyjął, że w ostatniej fazie swojego sprintu „Wiktor” skreśli; zaznaczył więc linię łamaną w kształcie litery „L” trzy i pół kilometra od miejsca, w którym rosyjski okręt mógłby ponownie skierować się w stronę grupy bojowej po to tylko, by kapitan, dzielny Rosjanin, pokazał amerykańskim bałwanom, jak łatwo można ich wystrychnąć na dudka. Craw skinął głową, dowódca też zgodził się z Alanem, podobnie jak John i Erskine, którzy śledzili ich poczynania z pokładu lotniskowca. Załoga P-3, który nadal był w powietrzu, rozczłona utratą kontaktu, nie przyjęła sugestii i uparcie zrzuciła boje nie tam, gdzie trzeba, zakładając, że „Wiktor” nie zboczył z kursu.

Craw przygotował plan rozmieszczenia boi w układzie przypominającym literę „L”, który dopuszczał pewien margines błędu. Mijały kolejne minuty. Za mały margines, gdyby błąd okazał się duży. Alan nerwowo przygryzł palec. Craw wyciągnął rękę, wziął termos i nalał sobie kawy, nie odrywając oczu od ekranu. Osiem minut. Gdzie on jest, do cholery? Jeszcze dwie minuty i po herbacie; „Wiktor” albo znajdzie się w potrzasku, albo będzie już wiele kilometrów dalej.

Po jedenastu minutach „Wiktor” przemknął dokładnie przez środek pułapki. Craw zachichotał; dowódca odwrócił się i w geście triumfu podniósł kciuk; Alan wydał radosny okrzyk, a Surfer zaczął kiwać się w rytm muzyki, którą słyszał tylko on sam.

Craw pozostawał w kontakcie z okrętem przez pięć godzin, zrećnie igrając z wytropioną grubą rybą. Lotniskowiec, ostrzeżony przez Johna i Erskine'a, zmienił swoje położenie, dzięki czemu przez najbliższe pół godziny „Wiktor” nie miał co liczyć na wymarzone zdjęcie.

Zadzwońło centrum zwalczania okrętów podwodnych. Erskine (albo John - o tej porze pewnie to on pełnił dyżur) powiedział, że jest z nim oficer taktyczny. Oficer, którego Alan widział kiedyś w kajucie pełniącej funkcję centrum, rozmawiał z dowódcą; ten jednak otworzył kanał, by wszyscy mogli słyszeć.

- Dobra robota, siedemset siedem. Teraz pozostaje postawić kropkę nad i. Możecie rozpocząć akcję, kiedy „Wiktor” wyjdzie na głębokość peryskopową. My skreślimy w prawo, prosto na niego. Jeśli zechce przepłynąć dołem, pozwólcie mu, w końcu jesteśmy na morzu otwartym. Gdy tylko wynurzy się, żeby robić zdjęcia, impulsem go. - Inaczej mówiąc, nie są już naszymi wrogami, więc nie strzelajcie - ale dajcie im do zrozumienia, że możemy to zrobić, gdybyśmy tylko chcieli.

Alan obserwował przygotowania Crawa do akcji. Miał to być symulowany atak torpedowy i kapitan „Wiktor” bez wątpienia zdaje sobie z tego sprawę. Kiedy rosyjski okręt zaczął się wynurzać, Surfer wykonał zwrot i poleciał z prędkością stu czterdziestu węzłów w ślad za nim. Alan wychylił się, usiłując wypatrzyć Rosjan. Tam, w dole, wkrótce pojawi się ogromny kształt. Wtedy, jeśli nie uda się napędzić strachu kapitanowi „Wiktor”, on zdobędzie zdjęcie lotnikowca, a ich czwórka - Alan, Surfer, dowódca i Craw - poniesie klęskę.

- Teraz!-krzyknąłCraw.

Boja akustyczna uderzyła w wodę dokładnie dziesięć sekund po tym, jak rosyjski okręt osiągnął głębokość peryskopową.

Później mówiło się, że zrzucona boja trafiła „Wiktor”, ale to była oczywiście przesada. Tak naprawdę wylądowała w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów od okrętu. Natychmiast dobył się z niej przenikliwy pisk, siedemdziesięciu pięciu rosyjskich marynarzy zatkało uszy, zaczęło przeklinać, a kapitan krzyknął: „Zanurzenie! Zanurzenie!”, a może co innego - kto wie, co krzyczą niezadowoleni Rosjanie? - i „Wiktor” zapadł się w toń jak kamień, nie zdobywszy pamiętki.

AG 707 jeden, „Wiktor” zero.

Zachodzące słońce przypominało ogromną kulę ognia. Surfer bez problemów wylądował na pokładzie. Alan, lekko uśmiechnięty, otarł twarz z potu. Ręce już mu nie drżały (przynajmniej nie bardzo); wyczyścił ekran, uporządkował swoje rzeczy, znalazł zgubiony wcześniej długopis i wyciągnął taśmę, która tym razem nie zawiodła. Wyłączył Christine, rozpiął pasy i przeciągnął się, uszczęśliwiony. Podobnie jak kapitan. Dwa inne samoloty podążyły krok w krok za „Wiktorem”, dzięki czemu statystyka eskadry poprawiała się gwałtownie.

Surfer wyłączył silnik i powiedział głośno:

- Klopsiki dla wszystkich. Za mną, tropiciele okrętów podwodnych!
- Tropiciele? Jacy tropiciele? Niech te pacany z P-3 tropią okręty. Ja zjem klopsika z moimi łowcami! - krzyknął kapitan. Miał zwyczaj mówić takie rzeczy. Jak trener drużyny futbolowej. A członkowie załogi byli wniebowzięci.

Podszedł do Alana i położył mu dłoń na plecach.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze. Naprawdę dobrze. Mogę coś dla ciebie zrobić?

Alan zatrzymał się w pół kroku.

- Czy mógłbym spędzić jeden dzień na pokładzie „Roosevelta”, zanim wrócisz do bazy? - Ich lotnikowiec miał zostać tu na dłużej; „Roosevelt” wracał do domu zgodnie z pierwotnym planem.

A Alan chciał porozmawiać z Peretzem.

Gorący wiatr rozwiewał włosy i gniewnie uderzał w kombinezony. Kapitan przez chwilę patrzył na Alana.

- Będę musiał porozmawiać z Nordheimem. Trzeba na wszelki wypadek wymyślić jakiś powód twojej wizyty. - Ruszył w stronę drabiny, ale zawrócił i położył dłoń na piersi Alana. - Chcę, żebyś pomyślał o zmianie swojej specjalizacji

na lotniczą. Zastanów się nad tym. - Uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie dzisiaj świetnie się spisałeś. Wygląda na to, że wzięłeś się w garść. Oby tak dalej. Weszli do wnętrza lotniskowca.

8

13 listopada 1990, 11.00 czasu Greenwich, Ocean Indyjski

Upłynęły niemal dwa tygodnie, zanim Alanowi udało się wygospodarować dość wolnego czasu i zdobyć zezwolenie Nordheima na wizytę na „Roosevelcie”, a do tego znaleźć miejsce na pokładzie helikoptera wybierającego się na ten lotniskowiec. Niewiele brakowało, by jego starania zakończyły się fiaskiem; jeszcze trzy dni i „Roosevelt” miał skierować się do bazy. Lotniskowiec, który miał go zastąpić, już płynął przez Kanał Sueski. Oficjalnym powodem wizyty podporucznika Craika było odebranie tajnych danych taktycznych - wykresów, szablonów, list, notatek, protokołów z odpraw - których „Roosevelt” już nie potrzebował („Jefferson” też nie, ale można było zwinąć parę interesujących informacji, a resztę weisnąć załodze nowo przybyłego lotniskowca).

Tak naprawdę Alan znalazł się na pokładzie „Roosevelta” dlatego, że chciał, by Peretz potwierdził jego podejrzenia co do śmierci ojca. Nie myślał już o tym z biciem serca, nie martwił się, że o czymś zapomniał i pogodził się z faktem, że nigdy już ojca nie zobaczy. Pamiętał o jednym: w głębi oceanu, w miejscu zbyt oddalonym od wybrzeży Iranu, by docierały tam zapachy z lądu, ojciec leżał w swoim samolocie jak... Kreol miał rację, Alan rzeczywiście był roman-tykiem... jak pokonany wojownik w zbroi. Ta zbroja z pewnością kryła wiele tajemnic, a on musiał przekonać swoich dowódców, że oplaca się wydobyć ją z głębin.

Helikopter zawisł nad pokładem „Roosevelta” i pozostał tam tak długo, że Alan dostrzegł kopułę centrum operacji lotniczych; jakiś człowiek w żółtej koszuli obserwował coś przez lornetkę. Nie odbywały się żadne manewry, ale pewnie ktoś wypatrzył arabski statek żaglowy albo ławicę latających ryb. Alan poczuł ukłucie zazdrości: załoga „Roosevelta” wracała do domu.

Helikopter wylądował. Alan zaczął powtarzać sobie w myśli argumenty, którymi miał przekonać Peretza. Powie, że obejrzał film z kamery na podczerwień, na którym uwiecznione zostały ostatnie chwile ojca - zdobył się na to dopiero w tym tygodniu, choć od sierpnia trzymał taśmę pod koją. Jedenaście sekund (i żadnego salutów, ojciec z pochyloną głową próbuje podciągnąć maszynę do cysterny) - rakieta uszkodziła jego samolot, ale go nie zniszczyła. Widoczne uszkodzenia samolotu - co prawda, widoczne przez raptem kilka sekund, zanim taśma się zerwała, ale o tym Alan nie mógł powiedzieć Peretzowi; osłabiłoby to wymo-

wę posiadanych przez niego dowodów. Widoczne uszkodzenia na krawędzi natarcia skrzydła i przed skrzydłem, na kadłubie. Czyli nie była to rakietą samonaprowadzająca się na źródło ciepła; wtedy uszkodzenia pojawiłyby się w pobliżu silników.

- No i co? - Peretz był przyjaźnie nastawiony, ale sceptyczny. Taki już miał zawód.

- To nie była rakietą samonaprowadzająca się na źródło ciepła.

- Już to powiedziałeś. I co z tego?

Alan przybrał ton, jakim zwracał się do mało pojętych rozmówców. Peretz uśmiechnął się jeszcze cieplej.

- Rakiety samonaprowadzające są czymś zwyczajnym. A to, co widać na tej taśmie, jest niezwykle.

Peretz położył nogi na stole i rozsiadł się wygodniej.

- No dobrze, powiedzmy, że jestem wysokiej rangi śledczym. Ty przedstawiasz mi swoje podejrzenia. Ja jestem sceptykiem; dzięki temu wysoko zaszedłem. Zdaję sobie też sprawę, że zapowiadają się cięcia w budżecie, brakuje mi ludzi, mój szef mnie nie lubi i dlatego raczej nie pójdzie mi na rękę. W porządku. Powiadasz, że rakiety samonaprowadzające są czymś zwyczajnym, a to, co stało się tamtej nocy, było niezwykle. No cóż, nie jestem lotnikiem, więc muszę przyjąć twoje słowa za dobrą monetę. Wytłumacz mi jednak - czemu coś, co jest niezwykle, miałyby mnie zainteresować?

- Trafiony został tylko mój ojciec. Poza nim nikt nawet nie widział żadnej rakietą - rozmawiałem z ludźmi biorącymi udział w nalocie. Zero. Czyli wystrzelona została tylko jedna, a to jest niezwykle. I dlatego ważne. Rozumiesz? - Peretz uśmiechnął się, tym razem smutno, i potrząsnął głową. Alan nachylił się ku niemu i zaczął gestykulować pięścią. - Irańczycy lubią przerabiać, modyfikować, a nawet konstruować od zera rozmaite urządzenia. To właśnie było coś takiego - spełnienie chorych marzeń jakiegoś Irańczyka.

- I kto to mówi?

Alan wzruszył ramionami i wstał.

- W porządku. Ta wizyta nie była dobrym pomysłem. Dziękuję, że poświęciłeś mi trochę czasu.

- Hej, hej...

- Niepotrzebnie ci zawracam głowę. To był zły pomysł.

- Jezu, aleś ty się zrobił nerwowy. Jak my wszyscy, ale... kurczę blade, Alan! No, chodź tu, usiądź. Próbuję ci pomóc. Słowo honoru. - Peretz pchnął nogą krzesło w stronę Alana. - No, siadaj. Rób dobrą minę do złej gry, jak to się mówi. - Peretz też był zmęczony, jak wszyscy, ale przez to stał się bardziej sympatyczny. Może przyczyniła się do tego również świadomość, że jego dni w marynarce wojennej były policzone. Mądrość wyrosła z poczucia klęski. - Posłuchaj mnie - powiedział starszy mężczyzna - jeśli naprawdę chcesz zająć się tą sprawą, będziesz musiał sporządzić wyczerpujący raport dla ludzi, którzy w cynizmie upatrują treści swojego życia. Nadzieja i wściekłość nie wystarczą. Musisz mieć fakty. Dlatego chcę je od ciebie wyciągnąć.

Alan usiadł, powstrzymując gniew. Peretz oczywiście miał rację. Na świecie roi się od dupków, pomyślał Craik gorzko.

- W porządku. Fakt: większa część stanowisk irańskiej obrony przeciwlotniczej nie czuwała. Dowód na to jest w moich taśmach komputerowych. Może być?

- Zgoda. Fakt odnotowany.

- Fakt: wystrzelono tylko jedną rakietę. Źródło: moje taśmy komputerowe, protokoły odpraw innych lotników. W razie potrzeby mogę je zdobyć.

- Dobrze.

- Fakt: Irańczycy są majsterkowiczami, lubią eksperymentować. Źródło: raporty wywiadu.

Peretz skrzywił się.

- Nieprzekonujące, ale może być. To psychopaplanina CIA... oczywiście, mówię to jako sceptyczny urzędnik.

- W porządku. Teraz, zamiast faktu, przypuszczenie oparte na solidnych podstawach: myślę, że tamtego wieczoru coś było nie tak z IFF-em Mike'a Craika, ale on mimo to wziął udział w misji - typowa brawura. Kiedy próbował zatankować, nie mogliśmy odczytać jego kodu IFF; wiem, że przyczyną mogło być uszkodzenie w następstwie trafienia, ale z wypowiedzi kilku ludzi wynika, że problem ten pojawił się wcześniej. Jeden z nich nawet to sprawdzał - nie pamięta, czy uzyskał niewłaściwy odczyt, czy nie uzyskał go w ogóle, w każdym razie coś się nie zgadzało. Tu przydałaby mi się pomoc - muszę porozmawiać z ludźmi z „Rosevelta”, którzy brali udział w nalocie.

- To nie jest fakt.

- Jeszcze nie. Ale z twoją pomocą może nim się stać.

Peretz wbił wzrok w sufit.

- Chłopak, który leciał z twoim ojcem, katapultował się i następnego dnia został przewieziony do Hamburga. Na pewno złożył raport. Może uda mi się go zdobyć, ale to potrwa. - Powąchał palec wskazujący swojej prawej dłoni. Znów ten dziwny, lekko niesmaczny nawyk. - Zdaje się, że mógłbym też dostać taśmy z tamtej nocy. Moi ludzie pewnie będą mi wmawiać, że sana samym dnie, zostały skasowane czy coś w tym rodzaju. Może obdarowałbyś chłopaków butelką szkodkiej? To mogłoby przełamać lody. - Peretz rozmyślał na głos. - Zrób to w drodze do domu. Wszyscy będą na luzie, zorganizujesz jakąś małą imprezkę na plaży w Monako czy gdzie indziej.

Alan znów się zdenerwował.

- Chcę doprowadzić tę sprawę do końca, o ile to możliwe. W odpowiedzi Peretz zrobił niewyraźną minę.

- Czy mógłbym dostać to wszystko dzisiaj? - powiedział Alan.

Peretz uśmiechnął się.

- Wiesz, czego śledczy potrzebują najbardziej, bardziej nawet niż pieniądze? Czasu. A wiesz czemu? Bo w naszym świecie wszystko dzieje się w choler nie wolnym tempie, i wszyscy mają coś lepszego do roboty. A wiesz, dlaczego warto zachować cierpliwość? Bo prawdziwi śledczy chcą zdobyć absolutną pew-

ność. Muszą być przekonani, że z tym, co mają, można będzie pójść do sądu. A do tego potrzeba czasu. - Bez pytania postawił na stole dwa kubki kawy. Alan wiedział, że Peretz chce go w ten sposób zmiękczyć, zmusić do cierpliwości. - Wylóż mi swoją teorię i powiedz, co zamierzasz dalej zrobić.

Alan zdradził mu więc, że podejrzewa, iż kod IFF Mike'a Craika był niewłaściwy. Już samo to było niezwykle - zazwyczaj kiedy IFF zawodził, odczytu nie uzyskiwano w ogóle. Ponadto jedynym zestrzelonym samolotem był właśnie samolot Craika. Na tej podstawie Alan zasugerował (wiedział w głębi ducha, wierzył, chciał wierzyć), że maszyna jego ojca została namierzona przy wykorzystaniu IFF-a.

Wyjaśnił, że od kilku miesięcy w wolnych chwilach analizował zebrane przez siebie dane na temat miejsca wystąpienia rakiety, czyli Stanowiska 112, dopóki frustracja czy inne obowiązki nie zmusiły go, by zajął się czym innym. Stanowisko 112 zachowywało się inaczej niż wszystkie pozostałe. Długo nie działało tam nic, po czym w ostatniej chwili włączył się jakiś dziwny radar i niemal natychmiast został trafiony rakieta HARM. Ale dla Craika było już za późno. Poza tym Stanowisko 112 znajdowało się niemal na trasie przelotu samolotów amerykańskich - a nie było go tam jeszcze dziesięć dni wcześniej.

- I do czego to prowadzi? Czego ty właściwie chcesz, Alan?

- Chcę, żeby wyciągnięto wrak samolotu ojca. Po to, by udowodnić, że w IFF wpisany został niewłaściwy kod, a uszkodzenia maszyny nie były spowodowane trafieniem rakiety samonaprowadzającej się na źródło ciepła.

Peretz zaczął mazać ołówkiem po kartce papieru. Przez chwilę cmokał cicho, po czym powiedział:

- A wtedy... jeśli udowodnisz to wszystko... - Spojrzał Alanowi głęboko w oczy. - Będzie to oznaczało, że na pokładzie „Roosevelta” przebywa irański agent.

Alan skinął głową. On również doszedł do tego wniosku.

Wtedy Peretz wybuchnął. Czy Alan wie, co mówi? Czy rozumie, jak ciężkie to oskarżenie? Czy naprawdę uważa, że ludzie z okrętowej służby bezpieczeństwa nie zareagują, gdy jakiś podoficer zacznie im wmawiać, że popełnili błąd? Czy Alan wie, w jakim świecie żyje?

Alan spuścił oczy. Jak w filmach z Myszka Miki, pomyślał. Czemu wszystko musiało być takie skomplikowane?

- Posłuchaj, młody człowieku. - Głos Peretza nagle stał się cieplejszy. Alan podniósł głowę; ich spojrzenia skrzyżowały się. - Ja kończę karierę. Mnie nie zależy. Ale musisz wiedzieć jedno: kiedy zaczniesz grzebać w tej sprawie, napotkasz silny opór. Tak to już jest. Zdobędę to, o co mnie prosisz; na podstawie tych materiałów dokładnie opracujesz swoją teorię. Potem wszystko przelejesz na papier, jasno i logicznie. Poprosisz kogoś, kto ma wpływy - choćby dowódcę twojej eskadry - żeby pozytywnie zaopiniował twój raport i przesłał go do wywiadu marynarki wojennej. Ale nie licz na zbyt wiele. Rozumiesz?

- Przecież wszystko mogę udowodnić! Potem wystarczy tylko podnieść wrak samolotu z dna.

- Na tym świecie nic nie jest takie proste, jak się wydaje. - Peretz pobawił się ołówkiem, wypił łyk kawy. Zmarszczył brwi. - Gdzie cię teraz przeniosą?

- Nie wiem.

Peretz spojrział na niego, udając najwyższe zdumienie.

- Nie wiesz! A co z planowaniem kariery?

Alan wzruszył ramionami.

- Jezu. Słuchaj, musisz się dobrze ustawić. Nie powtórz mojego błędu i nie myśl, że zostaniesz zauważony tylko dzięki swojemu wrodzonemu geniuszowi. To tak nie działa. Musisz zająć się pracą śledczą, żebyś w razie czego mógł trzymać rękę na pulsie w sprawie twojego ojca. Tak, tak, nie rób zbolalej miny - ona będzie się ciągnąć jeszcze bardzo długo, ale przydałoby się, żebyś trafił w miejsce, gdzie mógłbyś zademonstrować swoje umiejętności, wejść na ścieżkę kariery. Wiesz, co to jest analiza informacji?

Alan odparł, że chyba tak. Nie chciał rozmawiać o karierze. Kreol bez przerwy mu opowiadał, co zaplanował na najbliższe trzy lata. Po roku w każdej gałęzi wywiadu: w wywiadzie elektronicznym, komunikacyjnym i wreszcie tradycyjnym - „najpierw dowiedzieć się, co i jak, a potem pisać się w górę”.

Alan roześmiał się.

- Za pół roku mnie przeniosą, ale nie mam pojęcia, gdzie właściwie chcę trafić.

Peretz pogroził mu palcem - ni to nauczyciel, ni to zastępczy ojciec.

- W Norfolk potrzebują kogoś na stanowisko kierownika działu informacji. To biuro łącznikowe z poszczególnymi gałęziami wywiadu; przynajmniej zobaczylbyś, jak wygląda planowanie strategiczne. No i zdobyłbyś trochę znajomości w NCIS - dowiedziałbyś się, jak postępować z tymi ludźmi. Poza tym mógłbyś sporo podróżować, przeżyć wiele przygód, posmakować luksusu, poznać parę pięknych kobiet... i tak dalej. Co ty na to?

Alan miał ochotę odpowiedzieć, że w okolicy Norfolk pstrągi słabo biorą, a do tego szykuje się poważna wojna i jest przez to trochę zajęty, ale nie śmiał i tylko stwierdził:

- Brzmi nieźle.

- Wyśle parę wiadomości. Właściwie to stanowisko powinien objąć oficer w stopniu porucznika, ale ty masz odpowiednie kwalifikacje, a twój przełożony z pewnością uzna, że jest ci winien przysługę. Rozumiesz? Nie? Powiem ci, jak to wygląda: na wojnie wielu ludzi robi karierę. Ty jesteś na wojnie. Dowódca wie, że musi cię wypromować, bo za dziesięć czy piętnaście lat marynarce wojennej potrzebni będą ludzie, którzy poznali smak prawdziwej walki. No i co? Nadal nie rozumiesz. Nieważne, kiedyś to do ciebie dotrze. - Peretz popatrzył z uśmiechem na Alana. - Boże, jest jeszcze wiele rzeczy, których ojciec cię nie nauczył. Masz szczęście. - Klepnął Alana w kolano. - Jesteś w porządku taki, jaki jesteś, chłopcze. Może trochę naiwny, ale w porządku. Nie jesteś taki jak on. Nie obraż się, ale to dobrze. Po prostu rób dalej to, co robisz. - Uśmiechnął się znowu. - Jak rozwija się śledztwo w marynarce wojennej? Ba-ardzo po-owoli.

W ciągu miesiąca Alan zdobył wszystko, co ludzie z „Roosevelta” mieli do zaoferowania. Przesłali mu taśmy magnetofonowe, na których nagrane były ich rozmowy z Mike’em Craikiem podczas jego ostatniego lotu. Odpowiedzieli na pytania Alana: wyglądało na to, że tamtej nocy kod IFF w samolocie jego ojca rzeczywiście różnił się od kodów we wszystkich pozostałych maszynach - i to wyraźnie. Co więcej, dowódca eskadry 161 zgodził się z Alanem i Rafe’em: nieoficjalnie potwierdził, że Irańczycy prawdopodobnie wiedzieli, z której strony spodziewać się ataku.

Mimo to Alan nadal nie miał w ręku niezbitego dowodu; zdobył tylko masę poszlak, które utwierdziły go w podejrzeniu, że jeden z Amerykanów z „Roosevelta” zdradził. Prawdopodobnie ten sam człowiek zmienił kod IFF w samolocie majora Craika.

Peretz miał rację. Alan potrzebował dowodów - a dowód koronny leżał na dnie Zatoki Perskiej. Musiał więc zwrócić się do służby śledczej marynarki z prośbą o wydobycie wraka samolotu ojca. A lada dzień mogła wybuchnąć wojna.

Alan zaczął przelewać na papier wszystko, co wiedział i czego się tylko domyślał... ba-ardzo po-owoli.

Pierwszą wersję swojego raportu dał do przeczytania Kreolowi. Ten sprawdził sposób interpretacji danych zdobytych drogą elektroniczną, triangulację i wnioski oparte na wiadomościach uzyskanych od ludzi z „Roosevelta”.

- Owszem, niezłe - powiedział po przeczytaniu całości. W jego ustach był to spory komplement.

- Jak sądzisz, po co Irańczycy włączyli radar na stanowisku 112, skoro wiedzieli, że natychmiast zostanie namierzony przez naszą rakietę?

- Nie wiem. To nie ma sensu, chłopie. A jeśli coś nie ma sensu, to nie zwracam sobie tym głowy.

- To musi mieć sens. Może nie rozumiemy irańskiej mentalności.

- To było zwyczajne samobójstwo, chłopie. Włączając radar, kiedy w okolicy roi się od rakiet HARM, przystawiasz sobie pistolet do głowy.

Dla Kreola nie miało to najmniejszego sensu, ale Alan doznał olśnienia; Irańczycy skonstruowali jakąś rakietę i w chwili jej wystrzelenia zatroszczyli się o to, by amerykański HARM zniszczył wszystkie tego dowody - czyli Stanowisko 112. W ten sposób pozbyli się też świadków. Alan wyobrażał sobie jakiegoś irańskiego chłopca na posyłki, pochylonego nad konsolą, czekającego na własną śmierć: „Kiedy dostaniesz sygnał, włączysz ten nowy chiński radar”. Bum.

Alan był pewien, że tak właśnie to wyglądało. Jednak ani tego, ani wielu innych faktów nie potrafił udowodnić. Na razie.

27 listopada 1990, 13.50 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

Sally Baranowski przeczytała wiadomość, która pojawiła się na monitorze komputera, a następnie wysłała ją do George’a Shreeda z nagłówkiem „Pilne”, dopisując krótkie wprowadzenie:

Na liście pasażerów lotów Amsterdam - Londyn i Londyn ~ Bruksela figuruje niejaki Jewgienij Cadzik. W Londynie spędził trzy godziny. Mało czasu, ale gdyby się pospieszył, mógł załatwić wszystkie swoje sprawy. Wygląda na to, że jest to ten sam Cadzik, który poleciał z Rzymu do Libii następnego dnia po tym, jak interesujący nas człowiek przybył z Brukseli do Neapolu. Strzał w dzieciątkę.

9

Grudzień 1990, Zatoka Perska

Walki co prawda jeszcze się nie rozpoczęły, ale wszystkim na myśl przychodziło stare określenie - „dziwna wojna”. Jednak Alan harował jak nigdy. Podczas gdy lotnicy spali albo gawędzili ze sobą, on wyznaczał rezerwowe cele. Skomplikowany proces przygotowywania akcji skierowanej przeciwko wrogim bazom, który w warunkach pokojowych pochłaniał co najmniej trzysta godzin pracy, na wojnie przeobraził się w czynność wręcz rutynową. Niegdyś dwudziestu ludzi spędzało wiele dni na tworzeniu zarówno planu, jak i starannie dopracowanych grafów, by przypodobać się dowództwu - teraz interesowano się tylko najważniejszymi szczegółami. Jedynym aspektem planowania, który właściwie dopiero teraz nabierał rozmachu, była praca wywiadowcza. Jako że tym razem nie chodziło o zwykłe ćwiczenia, a prawdziwą misję przeciwko prawdziwym celom, wszyscy członkowie sił uderzeniowych domagali się jak najświeższych i jak najdokładniejszych informacji. Lotnicy nauczyli się nie brać przekazywanych im wiadomości za dobrą monetę i kwestionować autorytety; nauczyli się też jednak, że członkowie grupy wywiadowczej byli ich sojusznikami w walce o prawdę. Alan i Kreol nadal sprawdzali nadchodzące dane z tymi zdobytymi na miejscu przez grupę bojową, ale Nordheim oficjalnie wyznaczył już zespół ludzi, który miał się tym zajmować na bieżąco.

Alan wyczytał w czarnej książeczce ojca zdanie, które go rozbawiło - był to jeden z nielicznych komentarzy na temat pracy wywiadu. „Pączek to najlepsze źródło pewnych informacji.” To wszystko. Alan jednak wiedział, o co chodzi w tych kilku słowach zawarty był sprawdzony sposób na zdobywanie danych. Najpierw należało chyłkiem wynieść z mesy podoficerskiej tacę świeżych pączków, a następnie udać się do centrów wywiadowczych i tam częstować wszystkich, a w zamian wyciągać od nich strzępki informacji. Pamiętał, jak ojciec żartował na ten temat. Roześmiał się.

- Znam pewien trik, którego nie uczą w szkołach wywiadu - powiedział Kreolowi.

Kreol uniósł brwi.

- Mówisz o cizjach? - spytał głosem filmowego gangstera.

- Nie, o pączkach. Chodź.

Potem we dwójkę krążyli po spowitym w mroku okręcie, pozostawiając po kilka świeżych pączków w wybranych przedziałach i modułach: zwalczania okrętów podwodnych, walki radioelektronicznej, operacji powietrznych, centrum taktycznym, centrach tropienia okrętów podwodnych i ich hangarach, meteorologii. „Witam, bosmanie Bęcwałski, może pączka? Co słyhać? Wiadomo już coś o kolejności zadań? Co z akcją zaplanowaną na dwudziestą pierwszą? Mogę rzucić okiem na ekran? Proszę mi pokazać, jak wygląda Bandar Abbas na radarze. Jaka jutro będzie pogoda?”

Kreol był zamknięty w sobie i, choć starał się tego nie okazywać, dość napuszony, za to Alan udzielał się za nich obu. Zresztą i Kreol wkrótce zaczął wykorzystywać swoje talenty. PWP - Prawda Według Pączków - stała się kolejnym źródłem sprawdzonych wiadomości, przydatnych w planowaniu akcji. Ku lekkiemu zdumieniu Alana, Kreol jemu przypisał całą zasługę.

- To miłe z twojej strony. Poważnie, wydawało mi się, że zależy ci głównie na własnej opinii.

- Frajerów trzeba kiwać, ale kumpla - nigdy. Zgadza się? W każdym razie byłem ci to winien. Za tamtą mapę.

- Kreol, słowo daję, ty masz serce.

- Aż tak to widać? Cholera jasna, niedobrze.

Czasem jednak dochodziło między nimi do kłótni. W czasie przygotowań do walki nie mogło być mowy o niepewności czy przypuszczeniach, dlatego też Alan ucinał wszelkie dyskusje nie oparte na solidnych faktach; zdarzało mu się traktować innych oficerów wywiadu z arogancją, którą zawdzięczał zdobytej wiedzy. Nordheim podpuszczał go; zawsze zmęczony, zafrasowany, cenił sobie czas i udokumentowane fakty, a nie obchodził go sposób ich prezentowania. Prowadzone przez niego sesje często przeobrażały się w ostre wymiany poglądów; Alan z reguły wyrażał się najostreż, jako najlepiej poinformowany.

Któregoś dnia admirał i jego asystent do spraw wywiadu, prawdziwy komandor, napuszony bałwan, zjawili się w centrum wywiadowczym, by wysłuchać raportu na temat irackich sił lądowych. Przez pewien czas trwała tradycyjna wymiana informacji - dzięki technice PWP, Alan jak z rękawa sypał różnymi szczegółami, określanymi przez Kreola literacko „niezauważalnymi błahostkami” - i wszystko poszłoby wspaniale, gdyby komandor nie postanowił wygłosić krótkiego przemówienia. Kiedy skończył, Alan powiedział, zgodnie z prawdą i bynajmniej nie uniżonym tonem:

- Proszę wybaczyć, ale to nie całkiem się zgadza, sir. Wydaje mi się, że Siedemdziesiąta znajduje się obecnie trzydzieści pięć kilometrów bliżej granicy... ale panu chyba chodzi nie o Siedemdziesiątą, tylko o batalion Al Bacquar, który właściwie jest grupką chłopców i starszków z widłami. - Alan nie zauważył znaku, jaki dał mu Nordheim: dalej przemawiał tak, jakby udzielał lekcji mało rozgarniętemu młodszemu oficerowi. - Utrzymywanie, że armia iracka jest wielka i nowoczesna, to pieprzenie w bambus. Należałoby ją raczej porównać do ochotniczych formacji brytyjskich z drugiej wojny światowej. W razie ataku wojska

Saddama zwiną się jak tani dywan. Problemem natomiast będzie w miarę szybkie uaktualnianie posiadanych przez nas danych; to wojna postmodernistyczna! Potrzebujemy. ... -I tak dalej.

Kiedy było po wszystkim, Kreol tylko potrząsnął głową.

- Craik, wiedziałem, że jesteś naiwny, ale dzisiaj przeszedłeś samego siebie. Człowieku, masz szczęście, że nie przeciąga się już ludzi pod kilem.

Alan był zmęczony i przez to drażliwy.

- Wszystko, co mówiłem, było prawdą.

- A co prawda ma z tym wspólnego? Przecież ten facet to asystent admirała. Nie masz za grosz rozsądku! Zmieszałeś go z błotem w obecności jego szefa!

- Bo nie miał racji. - Widząc, że argument ten nie wiedzieć czemu nie wywarł odpowiedniego wrażenia Alan dodał ponuro: - Lars trzymał moją stronę.

- Przyglądałeś się admirałowi?

- Byłem zajęty.

- A ja się przyglądałem. I zauważyłem, że admirał był wściekły na swojego sztabowca za to, że ten zachowywał się jak kutas, ale wkurzył się też na pewnego żółtodzioba, który bezczelnie podskakiwał do komandora. Rozumiesz? Ja zwracam uwagę na takie szczegóły. Na tym polega życie czarnego. Człowiek uczy się patrzeć.

- Rany boskie, a co jedno ma z drugim wspólnego? - powiedział Alan ze złością. - Przecież kolor skóry to nie wszystko!

- Dla mnie owszem. - Kreol nie uniósł się gniewem; mówił wyniosłym tonem, z pewną dozą ironii. - A sprawili to biali.

- No tak. A teraz wyznasz mi nazwisko swoich przodków-niewolników i opowiesz, jak twój lud budował piramidy!

Wydawało się, że Kreol z ulgą przyjął te słowa; kto wie, może w pewnym sensie było tak rzeczywiście. Wcześniej rozmawiali już parę razy o kwestii rasowej, ale nigdy w taki sposób. Być może nadeszła odpowiednia pora, by Kreol udowodnił, że Alan jest typowym Białym.

- Gadasz jak rasista -mruknął.

- Rasista! Co jeszcze wymyślisz?! - krzyknął Alan i wyciągnął palec w stronę Kreola. - Jesteś cholernym snobem i doskonale o tym wiesz, a to pieprzenie o rasizmie to zwykły wykręt! Spadaj, nie chcę cię więcej widzieć!

Kreol był tak zaskoczony wybuchem wściekłości Alana, że przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa; tymczasem Alan odwrócił się i odszedł, czerwony na twarzy. Po chwili ogarnął go głęboki wstyd. Kreol oczywiście miał rację; wygłupił się przed admirałem, a co więcej, musiał przed sobą przyznać, że od samego początku doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Po prostu miał dosyć chodzenia na paluszkach wokół admirała i jego sztabu, tego owijania w bawełnę, przez co fałszywe dane często wyżej ceniono od prawdy. Sam admirał był w porządku: sztywny człowiek, nie w pełni przywykły do pełnienia swojej funkcji, ale za to bezpośredni. Ludzie z jego sztabu to co innego: typowi dworzanie. Może leżało to w naturze ich pracy. Alan nie mógł pogodzić się z tym, że chcąc nie chcąc musiał im pozwolić na weryfikowanie odkrytej przez niego prawdy.

Tej nocy przyszedł do kajuty Kreola. Potężny Murzyn siedział ze słuchawkami na uszach. Musiał zauważyć cię Alana, bo po chwili odwrócił głowę i powoli zdjął słuchawki.

- Przeszedłeś mnie przeprosić?

- Tak.

Kreol kiwnął głową.

- Miałeś rację. Zrobiłem z siebie idiotę.

Znów skinął głową i zaczął zakładać słuchawki, ale rozmyślił się.

- Wiesz, dobrze, że to się stało - powiedział nie patrząc na Alana. - Dzięki temu ujdzie z ciebie trochę powietrza. Zazdroszczę ci twoich umiejętności. Przepraszam. - Uśmiechnął się niepewnie. - W miłości nie trzeba przeprosin. Z tego by wynikało, że cię nie kocham.

Założył słuchawki i pogrążył się w muzyce.

26 grudnia 1990, 19.15 czasu Greenwich, neka St Johns, Floryda

Łódź kołysała się powoli na falach, połyskując w przebijającym się przez mgłę świetle słońca. Bonner szarpnął dźwignię i kotwica opadła; przekreślił przełącznik i oba silniki zamilkły. Wyjął piwo i zaczął pić.

- No i co sądzisz o łodzi twojego starego?

- Jestem pod wrażeniem. Nie żartuję, naprawdę!

- Poważnie? Bez kitu?

- Poważnie. Boże, tato...

Bonner otworzył drugą puszkę i podał ją synowi, ale chłopak - mężczyzna, przecież był już mężczyzną - potrząsnął głową i dotknął tablicy rozdzielczej, przedniej szyby, po czym przejechał dłonią po gładkiej burcie.

- Może być? - spytał Bonner. Reakcja syna była taka, jakiej się spodziewał, ale on pragnął więcej - chciał słyszeć od chłopca więcej pochwał, zaskarbić sobie jeszcze głębszy szacunek, przelać na niego swoje pragnienia.

- Niesamowite. Niewiarygodne. O rany.

Donnie miał dwadzieścia lat i, zdaniem Bonnera, ładny był z niego chłopak. Choć jako ojciec oczywiście nie mógł ocenić go obiektywnie. Donnie zawsze był uczciwy, nigdy nie sprawiał kłopotów, nie to, co jego siostry, niech je szlag. Małe dziwki, pomyślał Bonner. Nigdy nie wyzbył się goryczki. Zaczęły się gzić w wieku dwunastu lat, trzy lata i zaszyły w ciążę, przynajmniej jedna z nich; i jak to się dla nich skończyło? Zresztą, kogo obchodzą te gówniary? Mimo wszystko, Bonner nie mógł przestać o nich myśleć. Życie z nimi było prawdziwym piekłem: na okrągło gliny, doradcy, psychologdy, a nawet zatrudniony przez marynarkę specjalista do spraw rodziny - i nic! A Bonner próbował. Naprawdę. I co w zamian dostał? Gówno. Od nich i od ich matki. W porządku. Niech będzie. Gdzie są teraz? Na jakimś zadupiu ze swoimi bękartami, pieniędzmi z pomocy społecznej i HIV-em. Dobrze im tak.

- Nie myśl o tym - powiedział jego syn.

- Co, potrafisz czytać w myślach?

- Zawsze, kiedy myślisz o Chris i Barb, robisz taką minę. - Donnie był dobrym, spokojnym chłopcem... może nawet zbyt spokojnym, ale Bonner kochał go za to. - To już przeszłość, tato.

- Ciągłe mnie to wkurza.

- Tak. - Chłopiec zaczął się wiercić w wygodnym fotelu. - Hej, to dopiero łódź! - Poklepał tablicę rozdzielczą. Próbował rozweselić starego. Dobry chłopak. - Boże, skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

- Znalazłem sobie dobrą fuchę.

- Ty i te twoje fuchy. - Donnie zachichotał. - Zawsze masz coś na boku.

- Tak już jest na tym świecie. Ile razy mam ci to powtarzać? Każdy ma coś na boku, Donnie.

- Ja nie. - Zrobił przeproszącą minę.

- Pora, żebyś dorósł.

- Cóż... - Donnie wzruszył ramionami i naciągnął czapkę na oczy. - To nie dla mnie.

- Nie mów tak. Ty i ja, moglibyśmy wiele zdziałać... rozumiesz, razem. Mogłbym cię nauczyć tego i owego.

Chłopiec uśmiechnął się.

- Pamiętasz, jak próbowałaś nauczyć mnie rzucać piłką do baseballa?

- Teraz to byłoby coś zupełnie innego. Coś... co wymaga wysiłku intelektualnego. Rozumiesz? Żeby coś osiągnąć, trzeba mieć pomysłu, mięśnie nie wystarczą. Moglibyśmy razem prowadzić biznes, ty i ja. Nie?

Byłoby wspaniale.

- Bonner i Donnie? Bonner i Syn? Co ty na to?

Donnie uśmiechnął się znowu. Być może w dobry nastrój wprawiła go piękna pogoda, idealna na wyprawę łodzią, ale w jego twarzy dało się też wyczytać autentyczną miłość do ojca.

- Byłoby wspaniale, tato. To ci się należy. Naprawdę... wiem, że miałeś nieciekawe życie. Mama... siostry...

Bonner machnął ręką na znak, że nie chce o tym słyszeć; dawne dzieje. Przyślonił usta dłonią i beknął potężnie. Wziął sobie następne piwo.

- Wesołych świąt - powiedział całkowicie szczerze, choć zabrzmiało to jak drwina. Spróbował zmienić temat. - Co słychać u Sheili?

- Dobrze. Wszystko w porządku.

- Co to znaczy?

- Naprawdę, wszystko u niej w porządku, tato. Wiesz, my ostatnio trochę... - Pokiwał dłonią. - Ale wszystko będzie dobrze.

- Ja też tak mawiałem. A potem ta suka uciekła ze starszym bosmanem Miltonem Marengo. -Nie powinien był tego powiedzieć. Donnie nie lubił, gdy ojciec w ten sposób wyrażał się o jego matce, nawet jeśli mówił prawdę. Bonner uświadomił sobie, że ma już nieco w czubie. A co tam, są święta. Klepnął Donniego w udo. - Hej! No to jak? Zakładamy interes? Bonner i Syn. Idziesz na to?

- Jasne. Co będziemy sprzedawać, puszki po piwie? - Uśmiechał się, ale wyraźnie chciał delikatnie zasugerować ojcu, by nie pił tyle.

Bonner znowu beknął i poczuł w ustach gorzki smak żółci. Wielkimi krokami zbliżała się chwila, w której powie synowi o wszystkim. Serce zaczęło bić mocniej. Tym razem jednak zabrakło mu zdecydowania, zmienił więc temat.

- Pokazywałem ci, jak działa czerpak automatyczny?

- Tak. To niezłe.

Bonner jednym haustem wypił resztę piwa i ostrożnie włożył pustą puszkę do plastikowego worka na śmiecie. Donnie miał rację; puszek było tam sporo. No cóż, to święta.

- Nie wyrzucam śmieci do wody. Wiesz, zanieczyszczenia - powiedział.

- Mówiłeś mi już o tym, tato.

- No to mówię ci raz jeszcze. No dobrze, jestem pod lekkim gazem. Są święta! Wyluzuj się, Donnie. Jezu. Zupełnie jakbym to ja był dzieciakiem, a ty moim starym. Chodzi o tę sukę, z którą się ożeniłeś, nie? Mówiłem ci, że jesteście za młodzi. Popełniłem ten sam błąd. Ile błędów swojego ojca zamierzasz powtórzyć? Bierze narkotyki, co? Wystarczyło, że raz na nią spojrzałem, że zobaczyłem tę rudę, w której się wychowywała i wszystko było jasne. Czemu nic wtedy nie powiedziałem?

- Daj temu spokój, dobrze, tato?

Donnie powiedział te słowa śmiertelnie poważnym tonem jak mężczyzna, nie jak chłopiec. To zabolalo Bonnera.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Jesteś moim ojcem, masz... prawo mówić, co chcesz. Ale ostatnio... Sheilai ja...

- Twój stary to dupek. Przepraszam, Donnie. - Bonner pogrzebał w skrzynce z przynętą i wyciągnął z niej półlitrową butelkę. - Wild turkey! Burbon świąteczny, najlepszy na świecie. Może być. No, nie daj się prosić, napijmy się z okazji świąt. No? Donnie? Toast za firmę Bonner i Syn?

- Trochę za dużo pijesz, tato.

- Są święta! Wiesz co? W drodze powrotnej ty przejmiesz ster. Żebym nie prowadził po pijaku. W porządku? Wesołych świąt. - Bonner jednym haustem wychylił ćwierć zawartości butelki i podał ją synowi. Donnie z uśmiechem potrząsnął głową, roześmiał się cicho i napił. Potem wyszczerzył radośnie zęby i przewrócił oczami.

- Chcę o czymś z tobą porozmawiać - powiedział Bonner. - Tu jesteśmy sami, tylko ty i ja. - Wziął od syna butelkę, napił się i przycisnął ją do piersi, wpatrzony w mgielkę unoszącą się nad wodą; w słabym świetle słońca drzewa rosnące wzdłuż linii brzegu zlewały się w bladejzieloną plamę. - Chcę ci powiedzieć, skąd biorę pieniądze. Ale musisz mi obiecać, że zachowasz to dla siebie. To tajemnica. Obiecujesz?

- Jasne - odparł chłopak najzupełniej szczerze; cóż, był tylko przyzwoitym, ale zagubionym dzieciakiem uwięzionym w nieudanym małżeństwie.

- Nie jestem uczciwym człowiekiem, Donnie. - Zawiesił na chwilę głos. Spojrzał kątem oka na syna. - Wiedziałeś to już wcześniej, prawda?

- No cóż... o rany, to trochę za mocno powiedziane, tato. Wiem, że czasem omijasz prawo.

- Mam coś na boku. To dobra fucha. Nieźle płatna. Chcę, żebyś ze mną współpracował. - Bonner napił się znowu i przycisnął rozgrzaną słońcem butelkę do piersi. Starał się nie okazywać strachu, choć serce waliło mu jak młot, jakby lada chwila miało wybuchnąć. Spojrzał na uschnięte drzewo przy brzegu i zauważył, że na czubku przysiadł kormoran. - Czasem człowiek robi rzeczy niewłaściwe. Robi to, żeby poprawić swoją sytuację czy żeby się odkuć. Innymi słowy, chodzi o pieniądze. Ale pieniądze to tylko środek służący do osiągnięcia celu. Dzięki nim można wygrzebać się z dołka. Kiedy twoja matka mnie zostawiła, tym, co spędzało mi sen z powiek, co nie dawało mi spokoju, były właśnie pieniądze. Nie wiedziałem, czy będzie mnie stać na wynajęcie kogoś, kto mógłby opiekować się dziećmi, zająć się domem w czasie, kiedy ja będę na morzu. Oczywiście nie chcę się usprawiedliwiać. Po prostu mówię ci, w jakiej wtedy byłem rozterce. Dlatego... - Bonner zmrużył oczy. Ptak nadal siedział w całkowitym bezruchu. Serce zdawało się rosnąć i wypełniać całe ciało Bonnera; tak bardzo chciał przekonać syna, wytłumaczyć mu wszystko, namówić go do współpracy. - Teraz chodzi już tylko o pieniądze. General Motors robi interesy na boku, McDonald's robi interesy na boku, nawet rząd stara się omijać prawo. Moja fucha to nic w porównaniu z tym, co uchodzi za sucho grubym rybem. Nic. To znaczy, nie całkiem. Dla ciebie to będzie poważna sprawa. Wiem, znam cię. Jesteś uczciwym, naiwnym chłopcem, nie znasz życia. Ale... jesteś najlepszym... - Zgubił wątek. Co właściwie chciał powiedzieć? Ptak odleciał; wydawało się, że razem z nim pierzchyły myśli Bonnera. Bosman napił się, zauważył, że w butelce zostało już niewiele płynu, więc podał ją synowi. - Wypij do dna. - Donnie podziękował machnięciem ręki. Bonner dopił resztę burbona i wrzucił pustą butelkę do worka.

- Pracuję dla gościa, który sprzedaje różne rzeczy innym krajom. Dostarczam mu coś, co nazywa się tajnymi informacjami. - Zwrócił zaczerwienione oczy w stronę syna. - Chcę, żebyś wszedł w ten biznes. To by dla mnie wiele znaczyło, Donnie. Poza tobą nie mam nikogo. Rozumiesz? - W jego oczach błysnęły łzy. - Proszę cię.

10

Styczeń - luty 1991, Zatoka Perska

Później Alan miał mawiać, że tej zimy skończył się dla niego czas dziecińczych igraszek. Nauczył się, że porażka jest lepszym nauczycielem niż sukces, choć

sukces bez wątpienia dawał więcej przyjemności. Dowiedział się też, jak być odpowiedzialnym za innych - dokładnie za trzech szeregowych pracowników wywiadu marynarki wojennej, początkowo podlegających mu tylko nominalnie, a potem również faktycznie. Do jego obowiązków należało nie tylko nadzorowanie ich podczas pracy; musiał też poznać życie osobiste podwładnych, pomagać im w trudnych chwilach. Nauczył się pracować, gospodarować czasem, radzić sobie z nudą i samotnością, odnajdować przyjemność w tych zwyczajnych zjawiskach - w podmuchu łagodnego wiatru muskającego twarz, widoku fal migocących w świetle księżyca, dotyku gładkiej, czystej pościeli otulającej rozgrzane ciało.

Wojna wyglądała zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażał. Była albo bardzo daleko, albo bardzo blisko, nie dawało się ujrzeć jej w odpowiedniej perspektywie. Omijały go wszystkie kluczowe i dramatyczne wydarzenia, ponieważ zajęty był studiowaniem rozkazów lub planowaniem nalotów; dopiero gdy uczestniczył w akcjach bojowych, zapominał o ogólnej strategii. Czuł się, jakby miał rozdwojenie jaźni, jakby brał udział w dwóch różnych wojnach. Kreol zaczął go nazywać wieloświatowcem. Pogodzili się ze sobą i stali sobie bliscy. Ich przyjaźń, wystawiona już raz na ciężką próbę, stała się przyjaźnią prawdziwą.

Trzy dni po rozpoczęciu prawdziwych walk Alan siedział w centrum planowania misji, kiedy w drzwiach pojawiła się głowa oficera operacji eskadry.

- Craik!

- Sir.

- Jesteś na liście uczestników następnej akcji. Start o trzynastej.

Alan spojrział na zegarek. Dwie godziny. Właśnie zajmował się poprawianiem listy celów ataku.

- Mamy tu mnóstwo roboty, sir. Czy mógłbym tym razem sobie odpuścić? - Powiedział to wbrew sobie; nie latał już od wielu dni.

- Nie. Narc jest chory. Rafe chce polować na te cholerne irackie okręty rakietowe. Zgłoś się do niego.

I zniknął.

Alan ponownie spojrział na zegarek, przetarł oczy i powiedział Nordheimowi o zmianie planów. Ten skrzywił się i mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak „tego tylko brakowało”.

- No dobrze, podporucznik Cohen będzie mógł się wykazać. Powiedz mu, na czym skończyłeś i spadaj.

Podporucznik Cohen pracował z nimi od niedawna. Zastąpił doświadczonego młodszego oficera, który z jakiegoś ważnego powodu musiał zrezygnować. Cohen, sympatyczny, ale dość ograniczony młody człowiek, dotąd zawsze mógł liczyć na wsparcie Alana, Kreola i jeszcze jednego oficera. Tym razem jednak miało być inaczej.

- Tak, zgadza się - tłumaczył mu Alan. - Ma być gotowy na trzynastą trzydzieści. Lars jak zwykle będzie chciał rzucić na to okiem, więc daj mu piętnaście minut. Nie wciskaj Shift F7, bo wszystko skasujesz. Kapewu?

- Jezu, ale ja nie jestem zbyt...

- Ja też nie. Taki już jest świat, chłopie. Na razie.

Myślał już o irackich okrętach raketowych. Zwykle stanowiły łatwy cel, ale przez ostatnie kilka dni napsuły sporo krwi ludziom na przybrzeżnych wyspach i w strefach lądowania w Kuwejcie. Alan wiedział, że Rafe weźmie na misję harpoony. Żaden problem. Alan odbył wystarczająco dużo lotów szkoleniowych; jedna z załóg, z którymi latał, ciągle ćwiczyła strzelanie harpoonami, nawet nocą, w samolocie-cysternie, jeśli udało się załatwić połączenie z symulatorem. A do tego Alan godzinami ćwiczył na symulatorze znajdującym się na zapleczu hangaru; była to całkiem niezła zabawa, a dzięki niej wszystkie czynności związane z odpalaniem rakiet mógłby wykonać z zamkniętymi oczami. Nic łatwiejszego, pomyślał. Czyżby stał się zarozumiały? Jasne, jeszcze jak. Odczuwał też strach.

Odwiedził parę stanowisk, dowiedział się, że celem jest duży Thornycraft PG, zajrzał do katalogu, po czym naszkicował prawdopodobny obraz poszukiwanego okrętu na ekranie radaru. Zerknął na zegarek. Do odprawy zostało jeszcze dość czasu, by zjeść lunch.

- Leci pan dzisiaj, panie Craik? - spytał Carson, dawniej osobisty kucharz admirała, a obecnie władca „Brudnej Koszuli”.

- Noszę ten szykowny kombinezon tylko wtedy, kiedy biorę udział w prawdziwej misji... - Alan skinął głową Rafe'owi, który właśnie stanął w kolejce -- nie tak jak pewni lotnicy, których od niepamiętnych czasów nie widziano w khaki. Hej, Rafe, jak leci?

- Czego pan sobie życzy, panie Rafe? - Carson i Rafe najwyraźniej byli ze sobą w dobrej komitywie, co wydawało się dziwne wszystkim, którzy słyszeli rozpowszechniane przez Rafe'a dowcipy o Murzynach i wiedzieli, co o nich sądził Carson, zgrywający twardziela z dzielnicy cieszącej się złą sławą. - Może wafelki, sir?

- Ja jem twoje żarcie, nie zadaję mu pytań. Hej, Szpieg, słyszałeś, że ten garkotłuk chce dołączyć do naszej eskadry? Choć nie świadczy to najlepiej o jego inteligencji, myślę, że z nim i Wilsonem moglibyśmy stworzyć niezłą drużynę koszykówki. Co ty na to?

Alan mógł powtórzyć za Kreolem, że moda na koszykówkę szybko minie, ale zamiast tego przybrał minę waźniaka i spytał:

- A po co ci to, Rafe? Co, chcesz się załapać do NBA? Przeciwno komu właściwie gracie?

- Po prostu chcę sobie pograć. Zaczynam tyć.

- Wiek i kuchnia Carsona robią swoje.

- Piuprz się, Szpieg.

Alan usiadł przy stoliku. O dziwo, Rafe przyłączył się do niego.

- Jesteś przygotowany, Szpieg?

- Jasne.

- To znaczy?

- Wiem, gdzie są Irakijczycy, przestudiowałem wszystkie przechwycone wiadomości, potrafię strzelać i zamierzam wykorzystać procedury, które zastosowałeś w czasie ostatnich manewrów.

- Jaki zasięg mają działa tego okrętu?
- Około trzydziestu ośmiu kilometrów. Trzeba jednak zachować ostrożność: wytopić w odległości dwa-dwadzieścia pięć, strzelać z sześćdziesięciu siedmiu.
- Jak zwykle, Szpieg, sprawiasz wrażenie, że wiesz, o czym mówisz. Mam taką nadzieję, bo te palanty potrafią kąsać. - Na twarz Rafe'a wypłynął uśmiech. - Chcesz siedzieć z przodu?
- Znam zasady.
- Pieprzyć zasady, teraz ja jestem dowódcą misji. Nie chcę, żebyś przy starcie siedział z przodu, dzisiaj wolałbym nie sprawdzać przyrządów w pojedynkę. Dlatego zamienisz się miejscami z Surferem dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się w powietrzu i wyrównamy lot.
- Co z Narkiem?
- Zawiało tego bubka. Nie, zapomnij, że to powiedziałem. Smarkał na moich oczach, nigdy nie widziałem czegoś tak paskudnego. Postanowiłem nigdy więcej nie oszukiwać lekarzy.
- Wolałbym zostać z tyłu, dopóki nie złapię okrętu na radarze. Narysowałem sobie, jak mniej więcej powinien wyglądać na ekranie.
- Rafę odchylił się i dziwnie na niego spojrział.
- Słusznie. - Wstał. - Zobaczymy się w hangarze.

Alan szybkim krokiem przemierzał korytarze okrętu, wyciągając po drodze z oficerów dyżurnych kolejne informacje na temat celu. W centrum walki radioelektronicznej zdobył częstotliwości, na jakich pracują irańskie radary; w module zwalczania celów naziemnych uzyskał aktualne namiary okrętu, jego kurs i prędkość. Następnie sprawdził te informacje w centrum tropienia okrętów podwodnych, by upewnić się, że chodzi o ten sam okręt. Okazało się oczywiście, że tak nie jest. Alan musiał odbyć parę kursów tam i z powrotem, zanim problem został rozwiązany. Kiedy oficer taktyczny zauważył, że obserwowany przezeń na ekranie krążek nagle drgnął, spytał zdeorientowany:

- Co to jest? Gdzie są nasi? - W odpowiedzi bosman wymamrotał coś o błędzie operatora i zapewnił, że nowo wprowadzony kurs jest tym właściwym. Oficer taktyczny wydawał się usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem, a dyżurny w module zwalczania celów naziemnych, lekko spocony, wzniósł oczy ku niebu i gestem podziękował Alanowi.

W hangarze było niewielu ludzi. Wysokie atrapy wyrzucanych foteli, nakryte plastikiem, stały w równych rzędach. Na jedwabnej fladze wiszącej nad wejściem do pomieszczenia widniał emblemat eskadry. Dowódca, schowany za oparciem fotela, zarzucił Alana i Rafe'a dziesiątkami pytań z serii: „A jeżeli...?” Alan zawałał się tylko raz; Rafe nie pospieszzył mu z pomocą, więc musiał przejrzeć swoje notatki, by znaleźć prawdopodobną odpowiedź. Przez chwilę panowała cisza. Dowódca zerwał się z fotela i podszedł do grupki czekającej na tyłach pomieszczenia - Alana, Rafe'a, Surfera i sierżanta Crawa, który dziwnym trafem zawsze latał z Alanem, a w tej chwili smacznie spał. Kapitan pochylił się nad Craikiem.

- Dobrze jest. Nie spieprzcie roboty - powiedział i wyszedł.

Alan miał nadzieję, że dotrze do samolotu jako pierwszy, ale Rafe, jako pilot z krwi i kości, nie dopuścił do tego. Craik obszedł więc maszynę i wgramolił się pod kadłub, by policzyć kanistry z folią odbijającą i flarami; widząc to, Rafe z uznaniem skinął głową. Przeciskając się pod wspornikami podwozia, Alan usilnie pragnął zauważyć coś interesującego, ale AG 710 był czysty jak nowo wybita moneta. W odróżnieniu od Christine, 710 był przyjaznym samolotem o doskonałej reputacji.

Po wejściu do kabiny Alan siedział znudzony i senny, aż Caw trącił go łokciem. Samolot zaczął kołować. Wjechał na katapultę, został podczepiony, skurczył się i wystrzelił przed siebie. 710, lekki jak na samolot do zwalczania okrętów podwodnych, bez większego wysiłku wzbil się powietrze. Oprócz towarzyszących startowi charakterystycznych hałasów, zachowywał się spokojnie.

W oczach koordynatora taktycznego 710 wydawał się o wiele mądrzejszy od Christine; obrazy na ekranach były wyraźniejsze, nawet zapach wewnątrz kabiny panował inny. Alan pociągnął dźwignię, odczytał liczby i oznajmił, że wszystko jest w porządku. Następnie wziął się do sporządzenia przybliżonej mapy, wprowadzając kolejne dane; potem przygotował program dla namiaru elektronicznego, by rozpocząć poszukiwania obiektu o parametrach zbliżonych do thornycrafta. Nie wspominał o tym podczas raportu i nie miał takiego zamiaru - było to jego osobiste wyzwanie. Zamierzał zlokalizować i namierzyć Irakijczyków na radarze pasywnym, po czym tuż przed odpaleniem harpoona zweryfikować to na radarze aktywnym. W ten sposób zaskoczenie będzie większe, a prawdopodobieństwo reakcji ze strony zaatakowanej jednostki mniejsze.

Kiedy znaleźli się sto osiemdziesiąt kilometrów od lotniskowca, Alan poprosił, by Rafe poleciał torem spiralnym w dół, schodząc na pułap trzystu metrów. Na tej wysokości, zgodnie z jego oczekiwaniami, na ekranach pojawiły się radary irakijskie, zarówno przeciwlotnicze, jak i prowadzące obserwację naziemną. Po pięciu minutach Alan powiedział Rafe'owi, by skierował się dziewięćdziesiąt kilometrów na północ i Rafe posłusznie wykonał to polecenie. Uznał, że poczynania Alana mają sens - po pierwsze dlatego, że chciał zaatakować iracki okręt z boku, a po drugie spodziewał się, iż Szpieg będzie próbował załatwić całą sprawę przy użyciu elektroniki, co zaskoczyłoby Irakijczyków, a członkom załogi sprawiło dużą satysfakcję.

Po dalszych piętnastu minutach Alan wytyczył już kurs okrętu irackiego, jego zasięg i prędkość. Dzieliło ich od niego jeszcze sto osiemdziesiąt kilometrów. Alan wyjął swoje notatki, sprawdził wysokość masztu ściganego okrętu, obliczył jego horyzont radiolokacyjny dla samolotu lecącego na danej wysokości i powiedział Rafe'owi, by wznioł się na pułap trzystu siedemdziesięciu pięciu metrów. Rafe parsknął śmiechem.

- Trzysta siedemdziesiąt pięć? A może raczej trzysta pięćdziesiąt trzy, co, Szpieg? - ale polecenie wykonał. Gdy tylko samolot osiągnął wskazaną wysokość, Alan przeczesał okolicę radarem. Pod kursorem pojawiły się cztery plamki w kształcie bananów. Alan wybrał największą z nich, włączył opcję obrazu i prze-

przewodził kolejne przeszukanie, po czym kazał Rafe'owi zejść na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i skierować się na południe.

- Na południe? Chcesz zaatakować od dziubu? Może lepiej byłoby uderzyć z boku. Większe prawdopodobieństwo trafienia.

- To prawda, Rafe, ale rozwiążę ten problem przez ustalenie punktu pośredniego, a poza tym oni nie spodziewają się ataku od przodu.

- Przyjąłem - powiedział Rafe i lekko przekrzywił głowę, co mogło oznaczać, że mimo wszystko nie jest zadowolony.

Alan spojrzął na ekran i wyczytał wyniki drugiego przeszukania. Ujrawszy je na swoim ekranie, sierżant Craw lekko skinął głową i usadowił się wygodniej. Alan był pewien, że trafił w dziesiątkę; uzyskany obraz różnił się nieco od sporządzonego przezeń szkicu, ale długość się zgadzała, a wytopiony okręt nie był tankowcem ani krążownikiem. Przekazał otrzymany obraz Surferowi.

- Nieźle - usłyszał w słuchawce.

Alan przygotował się do odpalenia rakiety. Rafe podprowadził samolot w miejsce wystrzelenia. Po raz pierwszy i ostatni Alan podniósł osłonę wielkiego przycisku mechanizmu spustowego.

- Nie mamy połączenia z symulatorem, Rafe? - zażartował.

Rafę rozejrzał się odruchowo. Skinął głową.

Alan wcisnął przycisk i krzyknął:

- Odpalony - a Rafe sprowadził samolot na wysokość poniżej trzystu pięćdziesięciu metrów. Alan wbił wzrok w wodę, od której, wydawało się, dzieliły go centymetry. Starał się nie myśleć o irackim okręcie, o jego załodze.

- Trafiony - nadeszła wiadomość z „Jeffersona”.

- Sukinsyn. - Rafe uśmiechnął się do Alana. - Dostałeś go. Cholera jasna, Szpieg, szybko się uczysz.

Ku ich zdumieniu w „Brudnej Koszuli” siedziały kobiety. Dwie. Miały na sobie kombinezony lotnicze, obydwie były niczego sobie, obydwie były pilotami. Pewnie przyleciały helikopterem z Bahrajnu albo Dubaju, pomyślał Alan. Blondynka była komandorem podporucznikiem, brunetka porucznikiem. Rafe przyjrzał im się dokładnie, wziął tacę z kotлетem i frytkami, po czym bez ceregieli usiadł naprzeciwko nich, jakby zajmował miejsce na trybunie stadionu. Alan zrobił to nieco ostrożniej.

Kobiety nie wyglądały na rozmowne. Szczerze mówiąc, pani komandor, blada jak ściana, najwyraźniej była w nie najlepszym nastroju. Rafe próbował zagaść jej towarzyszkę, skłonić ją do rozmowy na temat życia w Bahrajnie, ona jednak go ignorowała. Alan milczał. Chciał porozmawiać z Rafe'em o ostatnim locie, ale to już była przeszłość. Rafe miał krótką pamięć; w tej chwili liczyły się dla niego tylko te nieznanne kobiety.

Alan pomyślał o kobietach. Kobiety. Kiedy ostatnim razem był tak blisko kobiety? Seksualne napastowanie. Nie, nie, ja tylko patrzę.

Pani komandor położyła głowę na chłodnym plastikowym blacie.

Alan chciał pomóc. Próbował być miły, ale jeszcze nie całkiem ochłonął po ostatnich wydarzeniach.

- Czy pani przyjaciółka dobrze się czuje? - spytał. Było to głupie pytanie, ale całkowicie niewinne. Niestety, nie tak zostało odebrane.

- Nie, oficerze młodszy, czuję się fatalnie, w porządku? - odpowiedziała pani komandor nie podnosząc głowy. - We łbie mi się kręci, chce mi się rzygać, gębę mam pełną soli, a moje życie jest do dupy. Pieprzone żarcie.

Alan mówił bez cienia złośliwości, ale dość obcesowo:

- Ma pani chorobę morską.

Rafę ryknął śmiechem. Nie przestał się śmiać nawet wtedy, gdy pani major przesyłała ich wściekłym spojrzeniem. Młodsza z dwóch kobiet skrzywiła się.

- Możesz się wymądrzać, dupku, ale jestem pewna, że Clare ma około sześciu tysięcy godzin w powietrzu więcej niż... zaraz... a może ty w ogóle nie lataasz, palancie? - Alan obawiał się, że rozwścieczona kobieta uderzy go. Myślał, czym by się to skończyło. Bójki między oficerami, szczególnie w mesie, były surowo karane, ale to była kobieta; mogła oskarżyć go o napastowanie, a sąd wojskowy uznałby, że... - Won stąd! - ryknęła. Nienawidziła go w tej chwili. - Zostawcie nas w spokoju. Ty cholerny dupku! - Miała lekko chrapliwy głos, jakby większą część życia spędziła krzycząc na innych. Alan poczuł, że płoną mu policzki i jękając się próbował ją przeprosić, kiedy nagle zdał sobie sprawę, iż jej głos brzmi znajomo. Przypomniał sobie nawet, kiedy słyszał go po raz pierwszy - ta kobieta była pilotem helikoptera, który przywiózł go na lotniskowiec po powrocie z Florydy. Wtedy wydawała się taka miła. Co za tygrysyca!

- I nigdy więcej nie żartuj sobie z kobiet, bo to może się dla ciebie źle skończyć.

- Pani porucznik, proszę mnie posłuchać. Pani przyjaciółka naprawdę ma chorobę morską. To może przytrafić się każdemu.

- Każdemu, kto jest kobietą, o to ci chodzi, nie? Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami. Rzygać się chce.

Pani komandor machnęła ręką, nie podnosząc głowy.

- Precz nam z oczu, do cholery. - Alan spojrzał na Rafe'a, który rozchylił usta, jakby chciał znowu się roześmiać. Cierpiąca kobieta podniosła głowę, wbiła w niego wzrok i wyrzuciła z siebie: - Jeśli piśniesz choć słówko, oskarżę cię o napastowanie i... i... - ponownie opuściła głowę -... niewłaściwe zachowanie. Och, szlag by to. Och... - Wstała i szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi z dłonią przyciśniętą do ust.

Tej nocy, przeglądając notes ojca, Alan odnalazł fragment, o który mu chodziło:

Kobiety nie nadają się na przyjaciół. Nie potrafią darzyć przyjaźnią siebie nawzajem i nie mogą być przyjaciółmi nas, mężczyzn. Związki z nimi zawsze kończą się na miłości lub seksie. Co za gówno.

Alan był ciekaw, czyjego ojciec poradziłby sobie lepiej ze schorowaną panią komandor niż on. A może gorzej?

21 stycznia 1991, 15.35 czasu Greenwich, Kensington, Maryland

Spotkania komisji, oficjalnie nazywanej Komisją Wspólnego Planowania i Wymiany Informacji, najczęściej odbywały się w podziemiach budynku na przedmieściach Waszyngtonu. Postawiony w czasie rozbudowy stolicy USA w latach siedemdziesiątych, wyglądał jak tani motel, do którego dobudowano kilka pięter. Aluminiowa fasada w kolorze ołowiu robiła przygnębiające wrażenie. Budynek doskonale nadawał się do zebrania komisji, która faktycznie pozbawiona była statusu.

Obradom przewodniczyła Sally Baranowski. Należała do czternastu komisji, a szefowała czterem z nich; ta, której zebranie właśnie trwało, była najmniej ważna. Powstała tylko po to, by agencje mogły wymieniać między sobą nieistotne informacje i tym samym podtrzymywać złudzenie współpracy. („No cóż, mówiliśmy wam o tym na zebraniu dwa lata temu; proszę, oto notatki!”).

Zebranie trwało od dwóch godzin. Sally bolała już głowa. Nie zjadła śniadania, by dotrzeć tu na czas z domu w Wirginii; mimo to spóźniła się. W tej chwili jeden z ludzi z FBI głądził o operacjach międzynarodowych. Kobieta z Departamentu Stanu spała. Major lotnictwa przewracał oczami i robił miny do swojego odpowiednika ze sztabu armii. Kiedy nudziarz z FBI zawiesił na chwilę głos, Sally nie wytrzymała.

- Jack, może na tym skończymy? Mógłbyś po prostu rozdać wszystkim wydruk swojego raportu. Mamy do omówienia jeszcze cztery ważne sprawy. Na prawdę mi przykro. Zgadzasz się?

Jack oznajmił, że jeszcze tylko podsumuje swoją wypowiedź, po czym znów zaczął zarzucać znużonych słuchaczy masą zbędnych danych. Sally nie chciała przerywać mu po raz drugi. W końcu taki był cel tych zebrań: każda agencja musiała nabrać przekonania, że ma swój udział w - bezowocnej co prawda - wymianie informacji. W tym pomieszczeniu posłuszne urzędasy osłaniały tyłki swoim szefom. Sally zaczynała już tracić cierpliwość, gdy Jack nagle zamilkł, zebrał papiery i powiedział, że na tym kończy, ale chętnie odpowie na wszelkie pytania.

- Są jakieś pytania? - powiedziała Sally, po czym dodała, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać: - To dobrze. Przejdźmy do punktu czternastego w rozkładzie. Chodzi o sprawę prowadzoną przez moją agencję. Rozejrzała się. Uczestnicy zebrania przecierali oczy, spoglądali na zegarki. Zbliżał się koniec spotkania.

- Do rozdanych wam akt dołączyłam informacje na temat byłego oficera rosyjskiego, którego podejrzewa się o przejście na usługi innego rządu. Chcę was tylko o tym powiadomić, na razie nie podejmujemy żadnych działań. Nie znamy bliższych szczegółów i nie odpowiem na żadne pytania. Chcę zwrócić waszą uwagę na to, że mamy powody, by wierzyć, iż oficer ten prowadził amerykańskiego agenta, przebywającego prawdopodobnie w Londynie lub Neapolu. Gdybyście zdobyli jakieś ciekawe informacje, proszę przekazać je osobom wymienionym na załączonej liście. Tak, Bernie?

Zadziwiająco młodo wyglądający komandor podporucznik wymachiwał długopisem, usiłując zwrócić na siebie uwagę.

- Jak zapewne wszystkim wiadomo, w Neapolu i okolicach stacjonują nasi marynarze. Czy macie powody, by sądzić, że ten agent jest wojskowym?

Zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, major sił powietrznych stwierdził, że oni też mają tam swoich ludzi i zaczął wyliczać bazy lotnicze położone w promieniu siedmiuset kilometrów od Neapolu. Na szczęście Sally udało się go zakrzyczeć.

- Nie mamy powodu, by sądzić, że agent jest wojskowym i nie mamy powodu, by sądzić, że nie jest. Wszystko, co mamy, to nazwy dwóch miast i domysły. Proście, nie zadawajcie mi więcej pytań, bo nie znam na nie odpowiedzi.

- Innymi słowy, nic nie macie, więc chętnie się tym z nami dzielcie - burknął oficer armii. - Dziękujemy, dziękujemy, dziękujemy.

Przez chwilę miała ochotę zrewanżować mu się jakąś zjadliwą uwagą, ale ugryzła się w język. W tej komisji wszyscy mieli być dla siebie mili.

- Punkt piętnasty? Służba śledcza marynarki wojennej: współpraca z policją w Azerbejdżanie i Kazachstanie. - Wszyscy pomyśleli to samo: no nie, tylko nie to.

27 stycznia 1990, 13.00 czasu Greenwich, 60 kilometrów na północny zachód od Teheranu

Franci patrzył zmęczonymi oczami w obiektyw. Przedtem z trudem otworzył kopertę, starając się nie dotykać żadnej ze stron napisanego na maszynie listu. Po pewnym czasie za pomocą taniej chińskiej lupy udało mu się odszukać wystającą nieco nad powierzchnię kartki mikroskopijną plamkę udającą kropkę. Franci ostrożnie oddzielił ją od papieru i kropłą oleju przykleił do szkiełka. Szkiełko umieścił pod sfatygowanym mikroskopem z napisem „Bausch and Lomb, Rochester, Nowy Jork”. Z czasów, gdy Wielki Szatan był Wielkim Sojusznikiem.

Kiedy Rosjanin zaproponował mu pracę w agencji wywiadowczej, Franci myślał, że uda mu się uniknąć ponurego życia kaleki. Wyobrażał sobie, że trafi do nowoczesnego centrum, wyposażonego w rozsuwane automatycznie drzwi i cicho szmerzące zachodnie urządzenia do klimatyzacji. Myślał, że będzie pracował z Rosjaninem, do którego z miejsca nabral szacunku.

Wszystkie te nadzieje okazały się płonne. Najpierw Franci trafił na krótki kurs fizjoterapii, podczas którego nauczył się lepiej posługiwać sztuczną nogą. Zresztą była przedniej marki, sprowadzono ją z Japonii. Ale marzenia przysnęły jak bańka mydlana, gdy Franci znalazł się w obozie treningowym. Tam nauczył się strzelać, a potem dowiedział się, że nigdy nie dostanie pistoletu do ręki. Poznał tajniki czytania mapy oraz strategii ucieczki i uniku, po czym usłyszał, że człowiek z jedną nogą raczej ani nie ucieknie, ani nie zdoła wykonać uniku. A teraz ten idiotyzm z mikropunktem. Franci był pewien, że technikę tę stosowano podczas pierwszej, może nawet drugiej wojny światowej, ale teraz już nie.

Wbił wzrok w obiektyw i zaczął przepisywać długie kolumny liczb. Były arabskie, podobne do tych, jakimi posługiwano się na Zachodzie, ale nie identyczne. Franci zauważył, że choć fikcyjny amerykański generał występujący w tym ćwiczeniu pisał dość dobrym angielskim o swoim romansie z żoną innego oficera, to za szyfr posłużyły mu znaki arabskie.

Po godzinie Franci przepisał wszystkie liczby i raz jeszcze sprawdził, czy nie popełnił gdzieś błędu. Następnie zaczął je porównywać z otrzymanym uprzednio egzemplarzem Koranu. Po dwóch godzinach znał już domniemany czas rozpoczęcia podstępного ataku raketowego na Teheran, bez wątpienia przy użyciu rakiet z lat czterdziestych.

Franci wyciągnął z kieszeni kartkę papieru - rozwiązanie testu, które dał mu instruktor. Podejrzewał, że ani rozgorączkowany młody Saudyjczyk siedzący po lewej stronie, ani dwaj ciemnoskórzy Sudańczycy przed nim nie dostali tej kartki. Był pewien, że obóz treningowy miał tylko podreperować poczucie jego własnej wartości, a nie nauczyć go czegokolwiek. Innymi słowy, Rosjanin litował się nad Francim.

11

**28 marca 1991, 17.00 czasu Greenwich,
Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie**

Wojna dobiegła końca, Kuwejt został wyzwolony. Dowództwo rozdawało ordera na lewo i prawo; życie oficerów wywiadu znów stało się nudne. Po tym, jak nauczyli się wypełniać wszystkie swoje obowiązki spędzając jednocześnie szesnaście godzin dziennie na planowaniu ataku, nagle okazało się, że mają za dużo wolnego czasu. Alan nadal krążył z pączkami po okręcie, nie mogąc przestawić się na nowy tryb życia. Kreol, rozsądniejszy od niego, nadrabiał nie przespane godziny.

„Obejrzałem «Pattona» - napisał jego ojciec. «Boże, wybacz mi, ale Kocham wojnę». Czy ja naprawdę Kocham wojnę?" Ojciec Alana najwyraźniej nigdy nie odpowiedział sobie na to pytanie; sam Alan, który poznał smak walki -przekonał się, czym jest strach, radość zmęczenie, poczucie winy i radość, wywołane śmiercią obcych ludzi - napisał: „Nie chodzi o wojnę, tylko o nas, którzy w niej uczestniczymy, o ludzi, którymi się stajemy. Wspinamy się wtedy na wyżyny naszego człowieczeństwa." Dziękował Bogu, że nie przypadło mu służyć w piechocie.

Lotniskowiec zawinął do portu w Dubaju. Większość ludzi marzyła o powrocie do domu - spędzili wiele miesięcy na morzu, za długo przebywali z dala od rodzin, żyjąc w ciągłym stresie. Alan dostał czterdzieści osiem godzin wolnego.

Wydawało mu się, że nawet na pokładzie lotniskowca, stojącego w odległości niemal półtora kilometra od długiego, złotego półwyspu z panoramą zadziwiająco nowoczesnie wyglądającego miasta, w powietrzu daje się wyczuć zapach Wschodu. Był to zapach bogaty, zapach morza, ale jakże różniący się od tego, jaki unosił się nad głębokimi wodami oceanu. Ten zapach wywabiał Alana z kajuty i doprowadził go do wielkiego okna w windzie numer dwa na pokładzie hangarowym. Przed jego oczami rozciągała się panorama miasta - od nowoczesnego portu, który wydawał się wybrukowany zaparkowanymi w równych rzędach samochodami, po majaczący w oddali wielki hotel w zachodnim stylu. Wiatr niósł od lądu zapachy przypraw i ryb, spalin i wschodniej kuchni. Niedawno Alan myślał, że w ogóle nie zejdzie z pokładu, obawiając się, że w porcie spotka go rozczerwianie, ale teraz, gdy ujrzał to miasto, miał wrażenie, iż jest ono urzeczywistnieniem jego pragnień.

Zaburczało mu w żołądku. Miał dwa dni wolnego i zamierzał je w pełni wykorzystać, ale pamiętał żelazne prawo, które wpoił mu ojciec - „na ląd schodź najedzony” - poszedł więc na śniadanie do świecącej pustkami mesy. Nie pojawił się tu żaden z jego znajomych; był to typowy wolny dzień. Po jedzeniu Alan zajął się do Kreola, który właśnie się obudził. Usłyszawszy entuzjastyczny opis widoku Dubaju, powiedział tylko znużonym głosem:

- Wolę Filadelfię - i przewrócił się na drugi bok.

Alan nie zamierzał spędzić tego wieczoru w towarzystwie kolegów z eskadry, których rozrywki z reguły ograniczały się do picia i uciech cielesnych. Niektórzy z nich stali się przyjaciółmi Alana, razem z nim przeżywali jego wloty i upadki. Kreol. Surfer. Narc. Rafe, w pewnym sensie. Ale tę noc podporucznik Craik chciał spędzić w samotności. Kreol miał rację; Alan był romantykiem i pragnął zakosztować romantycznej atmosfery Wschodu.

Na brzeg zabrał go prom, duża łódź wynajęta przez marynarke, by wozić Amerykanów i ich pieniądze na brzeg tak szybko i często, jak to możliwe. Rzucające się w oczy „oficerskie” cywilne ubranie Alana zapewniło mu miejsce na pokładzie górnym, z przodu, gdzie mógł obserwować, jak promienie słońca spadają niczym deszcz na złociste miasto.

Prom minął wyładowaną po brzegi łódź żaglową. Dwaj mężczyźni, rozebrani do pasa, z chustami na głowach, ciągnęli linę. Przy sterze stał ciemnoskóry człowiek. Kto wie, może ludzie ci przyплыnęli z Iranu, Omanu, Pakistanu, Kenii czy jakiegoś innego kraju, powiązanego kontaktami handlowymi z resztą starego imperium islamskiego. Serce Alana zaczęło mocniej bić. Przyjechałem tu, by to zobaczyć, pomyślał. Jeśli nawet arabscy żeglarze przybywali z innej epoki, przede wszystkim byli marynarzami, podobnie jak ludzie, którzy przemierzali oceany na lotniskowcach z napędem atomowym.

Alan pomachał ręką do uwijających się na pokładzie żaglowca ludzi; sternik odpowiedział mu tym samym gestem. Po chwili łódź zniknęła za rufą promu.

Prom przybił do brzegu około stu metrów od brytyjskiej fregaty przycumowanej do mola, które najwyraźniej pozostawało pod kontrolą wojskową. Alan zszedł po krótkim trapie na ląd i natychmiast dało mu się we znaki niewiarygodne

gorąco, bezlitośnie smagające odsłoniętą skórę. Szybko przeszedł przez kontrolę i zaczął rozglądać się za taksówkami; nie zauważył żadnej, więc spytał o ich postój pierwszego napotkanego marynarza powracającego na statek.

- Musi pan wyjść za teren portu, o tam, sir. - Machnął ręką w nieokreślonym kierunku, uśmiechnął się nieśmiało i przewrócił oczami tak czerwonymi od alkoholu, braku snu i Bóg wie czego jeszcze, że same w sobie stanowiłyby doskonałą morską opowieść. Alan przeszedł czterysta metrów dzielące go od bramy, mijając kolejne rzędy samochodów czekających na przeładunek. Wreszcie znalazł się przy schludnie umundurowanym pakistańskim strażniku, który mu zasalutował; Alan w odpowiedzi uniósł rękę. Gestem tym jednocześnie wezwał taksówkę.

Za pokój zapłacił kartą kredytową, choć na koncie zostało mu niewiele pieniędzy. Dubaj to miasto marynarzy. Ludzie z niewielką ilością bagażu i odpowiednimi zasobami pieniężnymi mogą tu liczyć na doskonałą obsługę. Alan spytał odźwiernego, wyniosłego Azjatę mówiącego z czystym brytyjskim akcentem, co należałoby zobaczyć w mieście w przeciągu najbliższych kilku godzin. Odźwierny przez chwilę taksował swojego klienta spojrzeniem, po czym spytał go, czy lubi przygody. Alan odparł, że owszem. Wtedy odźwierny zasugerował wizytę na suku. Suk! Samo słowo było niesamowite. Alan wręczył odźwiernemu banknot dziesięciodolarowy - słowo „suk” bez wątpienia było tego warte - zostawił bagaż w pokoju co najmniej pięć razy większym (i lepiej pachnącym) od kajuty na lotniskowcu, po czym opuścił klimatyzowany Zachód i skierował kroki w stronę targowiska - tętniącego życiem serca Bliskiego Wschodu.

Przez dwie godziny zwiedził wszystkie zakamarki suku. Mijał setki małych sklepów i budek, z których były wszystkie zapachy ze snów Szeherazydy; wystawy nęciły go perfumami, przyprawami, warzywami, mięsem (żadnej wieprzowiny), aparatami fotograficznymi. Oczywiście nie zabrakło produktów dekadentckiego Zachodu: plakatów Madonny, pirackich kaset magnetofonowych z Singapuru i programów komputerowych z Hongkongu, niekoniecznie wolnych od wirusów. Żebraków było niewiele; przestępczość tu nie istniała. Kobiety o zakrytych twarzach przechadzały się ręka w rękę; dzieci ubrane na zachodnią modłę zwinnie przeciskały się przez tłum, podczas gdy mężczyźni hałaśliwie targowali się o cenę ryby albo funta złota. Tutaj rządził Wschód, ale Zachód na każdym kroku nachalnie zaznaczał swoją obecność. Po dwóch godzinach Alan był przekonany, że rozumie tajemnicę islamu i wie, dlaczego fundamentalizm rośnie w siłę: „Za wszelką cenę powstrzymać Zachód”.

Chciał wejść do meczetu, ale bał się, że urazi uczucia miejscowych. W końcu jednak zaryzykował. Zdjął buty i wszedł do starego, małego meczetu znajdującego się na południe od Zachodniego Suku. Było tam jak w kościele - panowała grobowa cisza, a wewnątrz przewyższało przepychem skromną fasadę. Ze wszystkich stron otaczali Alana Arabowie, milczący albo modlący się szeptem. Nikt nie zareagował na jego wejście; zresztą nie był tu jedynym człowiekiem w zachodnim ubraniu. Alan ukląkł, pomodlił się za ojca („Przyjmij go, powitaj go”), po czym dyskretnie wyszedł.

Niedaleko od meczetu, w wąskiej krętej alejce odchodzącej od głównej ulicy Alan odnalazł sklep, którego szukał. Właściwie nawet nie wiedział, że go szukał; wiedział tylko, że rozpoznał to miejsce w chwili, kiedy je zobaczył. Za zakurzoną szybą stały na wystawie setki przedmiotów, niektóre stare i eleganckie, inne po prostu stare i tandetne. Nad ladą wisiał miecz, wielki, ciężki, o krzyżowej rękojeści; wyglądał, jakby pochodził z okresu wypraw krzyżowych. Doskonała pamiątka z Dubaju.

Alan wszedł do środka i stanął przy wąskiej, mocno poplamionej, rzeźbionej ladzie, która wyglądała na równie starą jak ów miecz. Obojętnie rozejrzał się po sklepie; kupując naleśnik z kozim mięsem na obiad i woreczek irańskiego szafranu dla matki wiele się dowiedział o sposobie dokonywania transakcji w tym kraju. Właśnie wpatrywał się z dobrze maskowanym podziwem w kolekcję greckich i arabskich rogów, gdy nagle drzwi sklepu otworzyły się z hukiem.

Alan odwrócił się i ujrzał wysokiego mężczyznę w czarno-szarych szatach, z twarzą zasłoniętą rąbkami chusty. Oczy nieznanego płonęły pogardą. Ten człowiek robił niezwykle wrażenie, ale strasznie śmiesznie. Później Alan mówił o nim: „Był jak Sean Connery wytarzany w kozim gównie”.

Nieznamy zignorował Amerykanina, podszedł do lady i rzucił na nią miecz. Rozległ się głośny brzęk. Alan drgnął i zauważył, że ostrze jest złamane przy samej rękojeści. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Wyniosłym gestem wskazał miecz wiszący nad ladą. Wiekowy sprzedawca natychmiast przyniósł go i położył przed sobą. Wychudzony Arab wziął broń do ręki, dokładnie obejrzał ostrze, po czym wcisnął miecz do pochwy przypasanej do boku. Następnie sięgnął do sakiewki schowanej w fałdach szaty, wyjął z niej monety i rzucił je na ladę.

Dopiero wtedy nieznamy spojrzął na Alana. Jego oczy chyba się uśmiechnęły; potem lekko, niemal niezauważalnie skinął głową i zniknął. Nie targował się. Jeden ze wschodnich mitów został obalony. Co tu się właściwie stało?

Na ladzie leżały dwie duże, okrągłe złote monety i kilka srebrnych. Żadna z nich nie stanowiła oficjalnej waluty jakiegokolwiek kraju - pośród nich znalazł się krugerrand i zużyty brytyjski suweren. Jedna ze srebrnych monet była tak sfatygowana, że nie dało się odcyfrować nominału. Alan położył dłoń na niej, a drugą na rękojeści złamanego miecza; spojrzął sprzedawcy w oczy i zauważył ze zdumieniem, że starszy człowiek drży.

- Beduin - powiedział sprzedawca. Próbował się uśmiechnąć, ale tylko wzruszył ramionami. - Beduin. - Zupełnie jakby mówił do siebie, niby przerażony człowiek powtarzający szeptem: „Duch”.

Alan położył na ladzie dziesięć dolarów, wziął monetę i rękojeść i wyszedł przy akompaniamencie salaamów starszego człowieka. Rękojeść była jeszcze ciepła od dłoni Beduina.

Craik ścisnął monetę w dłoni, podniesiony na duchu. Słońce chyliło się ku zachodowi, złocąc ulice miasta. Alan miał wrażenie, że właśnie zetknął się z czymś niezwykłym. Że coś pozwoliło mu wyjrzeć przez pozbawioną okien ścianę.

Po powrocie do hotelu położył rękojeść miecza w widocznym miejscu. To, co przeżył, było dziwaczne, niesamowite, ale on pragnął czegoś więcej; po zwiedzeniu hotelu, kawiarni, restauracji i baru znów wyszedł. Chciał zobaczyć, jak suk wygląda nocą.

Po drodze minął wielu marynarzy ze swojej grupy bojowej, kilku z nich nawet rozpoznał. Dwa razy przystanął, by porozmawiać ze znajomymi. Kiedy spotkał Narca i Rafe'a, obciążonych pamiątkami, poszli na kawę i gawędzili, aż zapadły ciemności. Wtedy Alan poszedł dalej, niespokojny, ale szczęśliwy.

Wkrótce dotarł do starej, otoczonej murami części rynku, którą wcześniej ominął; kolejna przygoda. I tutaj znajdowały się stragany, przy bramie jednak stali strażnicy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Alan podszedł do jednego z nich.

- Mogę tu wejść?

- Tak jest, psze pana - odparł wartownik z widocznym wahaniem. Kolejna arabska baśń: płomyki świec wydobywały z ciemności niezliczone bogactwa. Piętrzyły się tu stosy czarnego i kolorowego jedwabiu, tajemnicze wyszywane przedmioty, mnóstwo rodzajów perfum, zabawki, bielizna. Wszędzie unosił się mocny zapach pizma. W słabym świetle niełatwo było znaleźć drogę, a na domiar złego wszyscy poza Alanem i kilkorgiem dzieci ubrani byli na czarno. Amerykanin zatrzymywał się przy kolejnych straganach, oczarowany. Jednak ani razu nie udało mu się zwrócić na siebie uwagi sprzedawcy. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że w ślad za nim podąża grupa chichoczących nastolatka o zasłoniętych twarzach. Zatrzymał się przy najbardziej okazałym wyposażonym straganie, schowanym pod czarną jedwabną markizą; wydawało się, że wszystkie towary zostały dopiero co ściągnięte z grzbietów wielbłądów Ali Baby. Alan obejrzał kilka rzeczy, by po chwili wypatrzeć piękny jedwabny szal, mieniący się w blasku świec. Usiłował przywołać do siebie sprzedawcę, ale ten wyraźnie go ignorował.

Na ramieniu Alana spoczęła czyjaś dłoń.

- Podporuczniku Craik, on nic panu nie sprzedaje.

To była kobieta-pilot z lotniskowca. Ta sama, która świetnie wyglądała w kombiniezonie. Ta sama, która obrzuciła go obelgami.

- To suk dla kobiet.

Alan splonął rumieńcem, rad, że w ciemności tego nie widać.

- Hej, winien jestem pani przeprosiny... - zaczął trochę bez sensu. - Boże, byłem takim... To było głupie z mojej strony, no tak, to suk dla kobiet, ja po prostu nie... Skąd pani wie, jak się nazywam? Proszę mi mówić Alan.

- A ja jestem Rose. Chcesz, żebym ci to kupiła? To naprawdę piękne! - Tym razem sprzedawca okazał zainteresowanie, a wręcz entuzjazm.

- Suk dla kobiet, mój Boże. - Alan patrzył, jak Rose rozmawia z handlarzem.

- Niektóre kobiety nie robią zakupów w ogóle. Wysyłają służących. Pozostałe przychodzą tutaj, żeby nie zobaczył ich żaden mężczyzna. Idąc przez suk, pozostawiałeś za sobą grupki *bibis* zakładających zasłony na twarz.

Alan spojrział na nią i uśmiechnął się. Nie był to bynajmniej uśmiech zuchwały; ot, taki w sam raz.

- Czy mógłbym ci wytłumaczyć, o co mi chodziło wtedy w mesie?

- Nie, nie musisz. Miałaś rację, złapała chorobę morską. Myślałyśmy, że to... no wiesz, kpiny lotników. Ale nie wyglądałaś na beczelnego typa.

Wciąż tkwili przed budką. Jakiś chłopiec podał im herbatę. Handlarz, przeczuwając, że być może szykuje się grubszy interes, uśmiechnął się. Alan podsunął filiżankę Rose. W świetle świec, wśród zapachu perfum, z szalem na kolanach, jego nowa znajoma wyglądała niezwykle pięknie. Poczul pokusę, by zrobić coś szalonego.

Jednak ona nie miała na to ochoty. Napiła się herbaty i spojrzała na niego - było to ciepłe spojrzenie, ale nie obiecujące.

- Muszę już iść. O wpół do pierwszej mam odprawę i muszę przewieźć pocztę na „Jeffersona”, a potem wracam do Bahrajnu. Chcesz ten szal?

Alan miał ochotę spytać: „A ty?”, ale zamiast tego skinął głową i wcisnął jej garść dubajskich banknotów. Parsknęła śmiechem.

- Jestem tu od pół roku. Patrz. - Przez chwilę targowała się, najpierw spokojnie, potem coraz bardziej stanowczo. Rozmowa odbywała się głównie po arabsku, choć Rose przeplatała słowa arabskie angielskimi, a nawet włoskimi, podkreślając je gwałtownymi gestami, a handlarz od czasu do czasu mówił coś po francusku, by zademonstrować, że jest gotów do ustępstw. Alan patrzył na to jak zauroczony. Miał wrażenie, że handlarz i Rose znają się ze sobą; targom towarzyszyły teatralne gesty, a nawet śmiech. Wreszcie mężczyzna pochylił głowę, Rose uśmiechnęła się szeroko i nawet Alan wykonał szarmancki ukłon.

- Dziewięć dolarów amerykańskich. Może być? W Stanach kosztowałyby to ze stówę. Tak, miała chorobę morską. Ty nie przechodziłeś przez to na początku?

- Oczywiście - powiedział - i wszyscy się ze mnie nabijali, a ja czułem się strasznie. Coś podobnego czuje się przepływając równik, kiedy gołą ci głowę. Wiesz, wolałbym o tych rzeczach nie rozmawiać. - Rose uśmiechnęła się znowu. - Naprawdę musisz iść?

- Naprawdę. Jeśli się pospieszę, zdążę wziąć prysznic przed odprawą.

- Nie masz czasu na kawę?

- Przykro mi. - Chyba naprawdę było jej przykro.

- Mogę cię odprowadzić?

Roześmiała się.

- Byle nie pod sam prysznic.

- Skoro jesteś tu od pół roku, pewnie niedługo cię przeniosą.

- Za trzy tygodnie. Potem trzydzieści dni urlopu i... mam nadzieję...

- Ja dostanę przeniesienie za dwadzieścia dziewięć dni... nie żębym liczył.

- Znaleźli się pod wejściem do Sheratona. Nie zamierzał wejść z nią do środka; to postawiłoby ich obydwoje w niezręcznej sytuacji.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Wiedziałaś, jak się nazywałeś, bo ktoś opowiedział mi o twoim ojcu... wtedy, jak pomyślałam, że jesteś takim dupkiem. Przykro mi. Kiedy wracałeś na swój okręt, leciałeś moim helikopterem, pamiętasz? Rozpoznałam cię wtedy w mesie, ale zdaje się, że nie była to odpowiednia chwila, by o tym wspomnieć.

- Ja też cię poznałem. - Wziął ją za rękę, po czym pocałował w policzek. Nie planował tego. Ona pocałowała powietrze obok jego policzka i prychnęła śmiechem.

- Czy mogłabyś dać mi swój telefon? To znaczy, ten, pod którym będzie cię można złapać, kiedy dostaniesz wolne. - No proszę, to wcale nie takie trudne.

Spojrzała na niego badawczo, pewnie myśląc o wszystkich mężczyznach, którzy przez ostatnie pół roku pytali o to samo.

- Jasne. Masz długopis?

Po dwóch minutach był z powrotem na ulicy z adresem Rose w kieszeni.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak doskonale. Żałował, że nie zdążył powiedzieć Rose o Beduinie. Zrozumiałaby, o co mu chodzi. Rose - czyli Róża. Róża i miecz. Kreol nie miał racji; takie rzeczy nie zdarzały się w Filadelfii.

Skierował się ku światłom zachodniej części suku, gdzie balowali jego znajomi, i pozostawił ciemności za sobą.

Jego wojna dobiegła końca.

12

17 maja 1991 i później, Stany Zjednoczone

Opuszczenie szeregów eskadry zamknęło pewien okres w życiu Alana. Nie od razu zdał sobie z tego sprawę, bo mimo dwóch pożegnalnych imprez i wielu rozstań trudno było sprecyzować, w którym momencie zakończył służbę. Po prostu pewnego dnia wszystkie papierki zostały podpisane i Alan nie miał już pracy, którą mógłby się zająć. Wziął miesiąc urlopu, co zatarło granicę między przeszłością a przyszłością. Dowódca eskadry wezwał go do siebie dzień przed odlotem i powiedział wiele ciepłych słów, które na pewno były szczerze.

- Bądź w kontakcie! - rzucił na odchodnym, podobnie jak wielu innych znajomych Alana, a onjak zwykle zapewnił, że będzie. Jednak po dwóch tygodniach wszystkich tych ludzi zaczęła okrywać mgielka zapomnienia. A mimo to Alanowi ich brakowało. Naprawdę.

Spędził parę dni z matką i ojczymem. Byli dla niego niemal jak obcy - dwoje miłych, zakłopotanych ludzi, którzy zdawali się nie rozumieć, że on ma już swój gust i swoje pomysły. Wciąż mówili mu, co powinien robić, więc wyjechał wcześniej niż zamierzał. Spędził wieczór w towarzystwie Peretza, który był teraz cy-

wilem starającym się napisać pracę doktorską; wyglądał zbyt wesoło, twierdził, że jest przekonany, iż, jeszcze parę miesięcy i z głowy". Jego żona była gadatliwa, apodyktyczna i potężnie zbudowana. Alan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że za jej żarcikami krył się pewien niepokój. Po kolacji Peretz powiedział żonie, żeby „wzięła się za babskie zajęcia, pozmywała naczynia czy coś takiego; my musimy porozmawiać o męskich sprawach”, oczywiście żartem; ona wrzasnęła na niego i zaczęła się śmiać. Ale zostawiła ich samych.

- No dobrze - zagaił Peretz, kiedy przenieśli się do salonu. - Coś nowe go? - Nie musiał dodawać, że chodzi mu o sprawę śmierci Mike'a Craika.

Alan zaśmiał się gorzko.

- Zaprezentowałem fakty, wyprowadziłem z nich poparte dowodami wniośki, otrzymałem odpowiednią rekomendację, wysłałem pismo do tych na górze i admirał Kutasiński czy inny dupek stwierdził: „Niewystarczające dowody. Próśba o wydobycie samolotu majora Craika odrzucona”. Miałeś rację.

Peretz wyglądał, jakby się wstydził. Potrząsnął głową i powiedział, że jest mu przykro. Wyraźnie postanowił zmienić temat.

- Dostałeś tę pracę w dziale analizy informacji w Norfolk?

Alan jednak powrócił do poprzedniego tematu.

- Chcę, żeby mojego ojca gdzieś pochowano. Nigdy nie rozumiałem, po co ludzie chodzą na groby. Teraz sam chciałbym to zrobić. Kiedyś w każdą niedzielę po nabożeństwie matka zabierała mnie na grób babci, żeby położyć na nim świeże kwiaty. Byłem dzieckiem, wcale nie miałem na to ochoty. Teraz jednak rozumiem, że przynosi to ulgę. - Wciąż nie potrafił dobrze ubrać swoich myśli w słowa. Pomyślał o meczecie w Dubaju. - Może admirał ma rację. Może po prostu chce, żeby ojca wreszcie pochowano.

Potem powiedział ze śmiechem:

- Ach, pytałeś o moją nową fuchę! Z tym to dopiero jest wesoło. Mój przełożony zarezerwował dla mnie inną posadę, bo myślał, że mi się spodoba. W sztabie admiralicji w Pentagonie.

- I co, przyjąłeś to?

Alan potrząsnął głową.

- Boże, skąd! Pytałem o posadę w Norfolk. Zapowiada się wspaniale, czegoś takiego mi trzeba. Widziałem ludzi ze sztabu; nie jestem taki jak oni, ale dowódca powiedział, że ktoś pociągnął za sznurki, żeby załatwić mi tę robotę.

- Widzę w tym wypielegnowaną włoską dłoń George'a Shreeda. CIA? Mówiłeś, że był na pogrzebie twojego ojca.

- Ale dlaczego miałby oddawać mi przysługę?

Peretz wyduł wargi i pokiwał głową na boki. W jego oczach tliły się wesołe ogniki.

- Shreed to strzelec. Ma dziwne poczucie obowiązku. Dla niego wszystkie sprawy są osobiste. Wydawałoby się, że powinno mu to przeszkadzać w pracy w wywiadzie. Dla niego nie istnieje coś takiego jak wróg abstrakcyjny, bezosobowy; zawsze musi mieć do czynienia z przeciwnikiem z krwi i kości.

- No dobrze, ale czemu miałby mi pomagać? Z powodu taty?

- Oczywiście. W Wietnamie Shreed był w jego eskadrze; w czasie jednej z akcji został trafiony i katapultował się, a twój ojciec nie ruszył się stamtąd aż do przylotu helikopterów. Wtedy właśnie Shreed został kaleką. Jego kariera w lotnictwie była zakończona, ale twój ojciec uratował mu życie. - Peretz uśmiechnął się przepraszająco. - Było coś jeszcze. Otóż jeszcze przed odlotem do Wietnamu, Shreed... hmm, jakby to powiedzieć, odbił panienkę twojemu ojcu. Podobno się pobili, było dużo krzyku; niestety, przegapiłem najciekawsze momenty. Obaj byli nawaleni jak stodoły. W każdym razie potem twój ojciec ryzykował życiem dla Shreeda, więc domyślam się, że Shreed w pewnym sensie czuje się winny, a może i pragnie się jakoś odwdziaczyć. No właśnie... pewnie chce spłacić dług.

- Trochę się z tym spóźnił.

- No cóż, Shreed jest człowiekiem o złożonej osobowości. Podejrzewam, że jest w pełni świadom faktu, iż grupa wysoko postawionych urzędników ministerstwa obrony chce, by wojsko mogło prowadzić własnych agentów. Z pewnością zależy mu na jej spenetrowaniu - CIA nie lubi konkurencji.

- I to ja miałbym szpiegować tę grupę?

- Zaraz, zaraz... domyślam się, że Shreed sformułowałby to inaczej. Pewnie skorzystał z okazji, by spłacić stary dług a zarazem przyszło mu do głowy, że w ministerstwie obrony przydałby się człowiek mający świeże podejście do różnych spraw, uczestnik wojny w Zatoce Perskiej.

- Jakie świeże podejście?

Peretz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Już Shreed by ci powiedział, co i jak. W każdym razie cieszę się, że na to nie poszedłeś. Przy następnej zmianie kadr poszedłbyś w odставку. Shreed wmo wiłby sobie, że wszystko gra i po prostu dałby ci robotę w CIA. On naprawdę ma dobre zamiary. Jak każdy, no nie? Jest przekonany, że oddaje ci ogromną przysługę. Dostać się do Agencji to tak, jakby trafić do nieba, prawda? Wiesz, George podjął pracę w CIA na parę lat przed wstąpieniem do marynarki. Zawsze miałem wątpliwości, czy definitywnie zerwał więzy łączące go z Agencją. Na pewno utrzymywał stosunki towarzyskie z dawnymi współpracownikami. Przyjęli go z powrotem bez mrugnięcia okiem. A on jest im wdzięczny... jak już ci mówiłem, dla niego wszystko ma wymiar osobisty. Koniec zimnej wojny to dla niego tragedia, jego dawni wrogowie nagle stali się naszymi przyjaciółmi. Podejrzewam, że ze wszystkich sił pragnie, by powróciły stare dobre czasy. - Parsknął śmiechem. - Biada staremu sowieckiemu szpiegowi, który spróbuje George'a Shreeda wystrychnąć na dudka!

Wtedy do salonu weszła Bea Peretz i rozmowa przerodziła się w ożywioną dyskusję na temat kandydata Partii Demokratycznej na prezydenta. Kiedy Alan wychodził, od przekrzykiwania rozmówców bolała go głowa i nie mógł się nadziwić, że Peretz, najspokojniejszy człowiek, jakiego znał, mógł żyć w takim hałasie. Na progu, wychodząc w ciepłą i cudownie cichą noc, Alan odwrócił się do Peretza.

- A co ze Shreedom? Mam mu podziękować?

- Jasne. Ale nie przez telefon. Znajdziesz się tam przy innej okazji, poprosisz o spotkanie. Podziękujesz, wytłumaczysz się. Dobrze jest mieć George'a po swojej stronie.

Potem Alan spędził dwa dni w Nowym Jorku, próbując odnowić związek ze swoją dawną dziewczyną. Gdy nic z tego nie wyszło, pojechał do Bostonu, gdzie studiował jego znajomy z uniwerku. Nadal się lubili, ale żyli już w różnych światach. Alan uświadomił sobie, że chciałby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Myślał nawet, czy nie zgłosić się do pracy dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem. Po co mu urlop, skoro nie miał nic do roboty? Wreszcie, znudzony, poleciał do Jacksonville, gdzie czekał na niego odziedziczony po ojcu dom.

25 maja 1991, Mombasa, Kenia

Nuda jest uniwersalna, doświadczają jej wszyscy, bez względu na narodowość czy wyznanie. Franci, nowy właściciel sklepu Bash-O-Vision, też był znudzony. Ze wszystkich stron otaczały go półki, na których w sporych odstępach ustawione były tanie radia i zegary, plastikowe zabawki plażowe, ciemne okulary, parasole, karma dla kotów (przez pomyłkę), samochodziki na baterie i, w dziale turystycznym, osiemnaście dmuchanych materaców. Za jego plecami, za wysoką szarą ścianą stały cztery telewizory i komputer, który w Europie i w Ameryce zostałby uznany za przestarzały.

Franci był znudzony. Okropnie znudzony, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy; myślał, że popada w depresję albo, co gorsza, dostaje pomieszania zmysłów. Siedział w Mombasie od miesiąca i w tym czasie odwiedziło go siedemnaście klientów; tylko pięciu z nich zamieniło z nim parę słów. Choć mówił doskonałym swahili, chcieli rozmawiać tylko po angielsku i nie mieli mu nic ciekawego do powiedzenia. „Hej, stary, masz baterie?” „Jakie?” „Żeby ra-di-o działało”. „Duże, małe?” „Eeee, spróbuję gdzie indziej”.

Franci nie miał nic wspólnego ani z wyborem asortymentu, ani żony, Risy. Towary z założenia były mało atrakcyjne, dzięki czemu sklepem nie interesowała się policja, która z reguły liczyła na udział w zyskach bardziej obrotowych handlarzy. Mimo to Franci uważał, że jego przełożeni mogli się nieco lepiej postarać. Czwartego dnia po otwarciu sklepu do środka wszedł nieznajomy Chińczyk (jak się później okazało, konkurencja), rozejrzał się, parsknął śmiechem i powiedział:

- Powinieneś przenieść się z tym w głąb łądu!
 - Do Nairobi? - spytał wtedy Franci.
- Chińczyk zareagował kolejnym wybuchem śmiechu.
- Do jakiejś małej miejsciny, chłopie!

Jako że Bash-O-Vision bez wątpienia nie stanowił dla niego żadnej konkurencji, chiński handlarz polubił Franciego i odwiedzał go prawie codziennie. Tymczasem Franci uważał Chińczyka za strasznego nudziarza. Do Risy, swojej żony - naprawdę była jego żoną, pobrali się w obozie szkoleniowym,

przed obliczem mułły - praktycznie się nie odzywał. Był pewien, że miała go pilnować, choć nie dowiedział się jeszcze, w jaki sposób składała meldunki. Podobnie jak on, robiła, co do niej należało; spali oddzielnie i na zmianę dyżurowali w sklepie. Risa gotowała, krzyczała na murzyńskiego służącego i ogrodnika, czterdziestoletniego mężczyznę, który następnego dnia po przyjeździe nowych właścicieli domu wyrósł przed drzwiami i upierał się, że on tu zawsze pracował.

Na myśl o ogrodniku Franci westchnął ciężko. W obozie nauczono go wielu rzeczy, ale zapomniano o sprawach najbardziej przyziemnych. Tak jak to było z ogrodnikiem. Przychodził dwa razy w tygodniu i zmagał się z kamienistą glebą na tyłach domu, często przy użyciu narzędzi nie należących do Franciego, zapewne „pożyczonych” od innych ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że ogrodnik trząsał okolica. Któregoś ranka poprosił Franciego, by ten pożyczył mu sto szylingów „na poczet przyszłych zarobków”. Jakich zarobków?

Franci westchnął ponownie. Nieciekawe było życie eunucha. Eunuchowie z haremu zawsze byli przedstawiani jako grubasy, ponoć dlatego, że nudzili się i z braku innego zajęcia bez przerwy jedli. Z nudy brało się też ich rzekome plotkarstwo. Tymczasem Franci nie mógł nawet jeść, bo w wybuchu stracił część żołądka i teraz miał trudności z przyjmowaniem posiłków. Poza tym Risa nie umiała gotować (tego też nie uczyli w obozie). Była ponurą młodą kobietą (nic dziwnego, pomyślał, w końcu jest żoną eunucha), dość ładną, choć zawsze nachmurzoną (niby z czego miałyby się cieszyć?). Niedługo będą musieli kupić dziecko albo i dwoje; Chińczyk już zaczynał się dziwić, że tacy młodzi, przystojni, a dzieci nie mają.

We wtorki i piątki Franci wyruszał na obchód pięciu miejsc, w których mogły pojawić się umówione znaki. Sprawdzał też, czy nic się nie pojawiło w punkcie kontaktowym. Wyprawy te czyniły jego dołą bardziej znośną; czuł się wtedy jak wędkarz, z dreszczykiem emocji wyczekujący na chwilę, kiedy ryba połknie haczyk. Za którymś razem w jednym z miejsc pojawił się umówiony znak; ręce Franciego trzęsły się, kiedy wykręcał numer kontaktowy. Na tym jednak kończył się jego udział. Był tylko pośrednikiem. Nigdy nie dowie się, czy przekazana wiadomość była niezwyklej wagi tajemnicą, czy też prośbą o nowy ołówek.

Westchnął. Zaczął myśleć o Iranie, górach i pożegnaniu z zapłakanyim ojcem. Rodzina Franciego była przekonana, że chłopak mieszka w Zehédanie i pracuje w Instytucie Techniki. Tam przychodziły listy od nich; po przeczytaniu doręczano je Franciemu w innej kopercie. Odpisywał na poste restante w Bejrucie, gdzie jego listy zapewne były czytane, cenzurowane, jeśli zachodziła taka potrzeba, i przekazywane rodzinie. Franci wiedział, że przynajmniej jeden z nich został przepisany na oficjalnym papierze Instytutu Techniki, bo ojciec wspominał, jak bardzo mu się ten papier podobał.

Straciłem rodzinę, pomyślał Franci. Stracił ich tak samo jak swoje jądra, bum i po wszystkim. Teraz był Libańczykiem, rannym podczas ostrzału Bejrutu, jednym z biznesmenów, którzy rozproszyli się po całym świecie, by nieść przed ludem kaganek kapitalizmu.

Franci raz jeszcze westchnął. Wydawał się spokojny, zrezygnowany i znudzony. Jednak w głębi jego duszy to, co zostało z młodego człowieka, który niegdyś studiował na uniwersytecie w Buffalo, krzyczało i krzyczało.

25 maja 1991, Jacksonville, Floryda

- Hej, siema! - krzyknął Povick. Był dokładnie w tym miejscu, gdzie Alan zobaczył go po raz pierwszy, na krzeselku przed domem. - Co słyhać u mojego współlokatora?

- Widzę, że ciężko pracujesz - powiedział Alan, spoglądając znacząco na zaniedbany trawnik.

- Weź sobie piwo i mnie też przynieś przy okazji. Tak, właśnie odstawiłem kosiarke, cieszę się, że to zauważyłeś.

- Poważnie mówiąc, co zrobimy z trawnikiem? - spytał Alan, kiedy przyniósł piwa. Wyglądało na to, że strzyżenie potrwałoby ładnych parę godzin.

- Damy jakiemuś dzieciakowi parę groszy, to się nim zajmie. Hej, stary, wróciłeś na dobre?

- Nie, mam urlop. Niedługo zacznę nową pracę.

- Ja też. - Przez chwilę rozmawiali o tym, co zrobić z domem, gdy obydwaj wyjadą. Temat wkrótce się wyczerpał. Alan zdał sobie sprawę, że piwo, nietknięte, nagrzało się w jego dłoni. Napił się. Spojrzał na Povicka, roześmiał się.

- Nudzę się jak cholera - powiedział.

- Znajdź sobie dupę.

Alan parsknął śmiechem.

- Co z tą twoją byłą panienką? Zadzwoń do niej. Pewnie czeka na ciebie z rozłożonymi nogami. Poważnie. Kobiety już takie są. Najpierw wyzywają cię od najgorszych, a potem marzą, żebyś do nich wrócił. - Zaczął opowiadać o ja kiejs dziewczynie, którą kiedyś znał; Alan szybko stracił wątek. Na zakończenie swojej historyjki Povick wybuchnął śmiechem. - Rozumiesz, o co biega? - powiedział. - No, wyluzuj się. Przyznaj się, nie słuchałeś, co mówię. A to najlepsza historia, jaką znam. Cóż, powiadasz, że się nudzisz? Witaj w marynarce Stanów Zjednoczonych. Chcesz się rozerwać? Masz wybór - alkohol, kobiety albo telewizja. Możesz też założyć rodzinę, potem się rozwieść i radośnie płacić alimenty. Mówię ci, znajdź sobie panienkę. Po to masz urlop.

Alan zamyślił się nad jego słowami.

- Znasz może Rose Siciliano? Jest pilotem helikoptera.

- Nie. Ładna?

- VH-22.

- Nie, stary, to Maine. Ja wołę panienki z Florydy. A w ogóle to od kobiet-pilotów trzymam się z daleka. Czuję się przy nich jakoś nieswojo. Lubię zwyczajne, głupie babki, dobrze zbudowane, zepsute - wiesz, o co chodzi. Uważam, że kobiety nie powinny dorównywać mi umiejętnościami, ba, że nie powinno im

się na to pozwalają. Zwłaszcza na morzu. Kobiety na morzu! Cholera jasna! Jak ona się nazywa?

- Rose Siciliano.

- Chinka? Weź się za nią, co ci szkodzi. Poznałeś ją na okręcie?

- Spotkaliśmy się też w Dubaju. Nie, to nie była randka. Przypadkowe spotkanie. Ale wydawała się...

- Zadzwoń do niej. No już, dzwoń! Masz jej numer, nie? Oczywiście, że masz! Dała ci go? Na Boga, to jak zaproszenie! Niewiele wiesz o kobietach, ta twoja ostatnia za bardzo ci namieszała w głowie. No już, zadzwoń do niej! Ja zapłacę za rozmowę. - Alan nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Povick nie przestawał go namawiać, w końcu poprosił jeszcze, żeby w drodze powrotnej Alan wziął piwo. Po kilku minutach Craik siedział już na łóżku ojca i słyszał kobiecy głos informujący go, że Rose jest jeszcze w Maine i ma trzy dni do rozpoczęcia urlopu.

- Jest pan jej znajomym?

- Tak, proszę pani. Z marynarki.

- Czyli nie miałaby nic przeciwko temu, żeby dała panu numer do jej pracy?

Alan zaczerpnął powietrza, przez chwilę miał ochotę dać sobie spokój, ale w końcu przewyciężył słabość i nie poddał się.

- Oczywiście.

Wykręcił kolejny numer. Tym razem w słuchawce odezwał się zdruzony głos dyżurnego.

- Tu VH-22, Biuro Dyżurów. Linia nie jest zabezpieczona. W czym mogę pani albo panu pomóc?

- Czy mógłbym rozmawiać z porucznik Siciliano?

- Porucznik Siciliano zaraz podejdzie do telefonu.

Podeszła.

- Siciliano.

- Znaczy... nazywam się Alan Craik. My...

- A, cześć!

- O, pamiętasz mnie.

Zachichotała. Jej śmiech był przyjemny dla ucha.

- Oczywiście. - Miała też miły głos, lekko chrapliwy, chwilami łamiący się.

Po godzinie Alan był już w drodze do Maine.

13

- Nie!

Odepchnęła go. Kiedy próbował wziąć ją w ramiona, przekonany, że jej niespodziewana reakcja jest częścią gry wstępnej, znów powiedziała „nie” i wstała.

- Chcesz seksu, znajdź sobie jakąś łatwą panienkę! - powiedziała.

- Chryste, Rose...

- Dokładnie. Chryste, Rose. Tak. - Przeszła przez pokój i usiadła na krześle. - Rose jest katoliczką, Alan. Rose nie jest dziewczyną, ale chciałaby nią być. Dla ciebie, ty sukinsynu.

- Może to wszystko stało się za szybko - powiedział. Te dwa dni były niezwykle; czuł się jak zadurzony nastolatek. Pokusił się o kiepski żart: -I po cholere biegliśmy w zwolnionym tempie przez pole stokrotek...?

- Alan. - Nachyliła się ku niemu i zaczęła płakać.

- Nie...

- Och, daj mi popłakać. - Odwróciła głowę i wyjrzała przez szparę w żaluzji. Zaśmiała się gorzko przez łzy. - Myślałam, że to zrobię. - Prychnęła i wytarła nos. - Byłam pewna, że to zrobimy! - Ścisnęła chusteczkę w dłoni. - Ale... - ciągnęła słabym, zduszonym głosem - zakochałam się w tobie. - Zaśmiała się, spojrzała na niego. - W dwa dni! -I znów wybuchnęła płaczem.

- Rose. - Próbował wziąć ją w ramiona, ale nic z tego nie wyszło; fotel był tak wąski, że gdy próbował ją do siebie przytulić, przeszkadzały mu poręcze. Wstał, pochylił się i ujął jej twarz w dłonie. - Rose, ja też cię kocham.

- Nie, to niemożliwe! Mineły dopiero dwa dni! - wykrztusiła.

- Naprawdę... naprawdę...

- Ty tylko chcesz mnie przelecieć!

- Tak, chcę... to znaczy, nie, nie chodzi tylko o to... owszem, chcę pójść z tobą do łóżka, kochać się, czy jak to nazwiesz... ale tylko jeśli ty też będziesz tego chciała. Odepchnęła go lekko.

- Ja też tego chcę. Jeszcze nigdy niczego tak bardzo nie pragnęłam.

Jej oczy błyszczały od łez. Zatrzepotała rękami i roześmiała się. Ten śmiech wzruszył Alana bardziej niż łzy.

- No to co zrobimy?

Potrząsnęła głową.

- Powiedz, Rose! Powiedz, co teraz?

Trzy razy próbowała coś powiedzieć, za czwartym potrząsnęła głową, wstała i pocałowała go.

- Napijmy się kawy - zaproponowała.

Cztery godziny później, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie, trzymając się za ręce, powiedziała:

- Pojadę do domu i z kimś porozmawiam. Potem powiem ci, co moim zdaniem powinniśmy zrobić.

- Kocham cię, Rose.

Powoli skinęła głową.

- Tak, wierzę ci.

Kościół pod wezwaniem świętej Róży jest bastionem włoskiej społeczności zamieszkującej Utica w stanie Nowy Jork. Wśród okolicznych mieszkańców jest

kilku, którzy nadal mówią tylko po włosku, choć większość rodzin przybyła tu przed wieloma pokoleniami. Można tu zobaczyć włoskie muzeum, włoskie piekarnie, włoskie restauracje, ciągnące się wzdłuż Bleecker Street jak paciorki w różańcu. Pierwsze pokolenia emigrantów pracowały przy kopaniu kanału i układaniu torów kolejowych, a następne znalazły zatrudnienie w przemyśle ciężkim. Teraz fabryki są puste, ale życie w okolicy trwa nadal, a mały kościół zdaje się stać tu od wieków.

Kiedy Rose otworzyła drzwi do sanktuarium, cofnęła się w czasie piętnaście lat: wilgoć i kadzidło, politura i kwiaty. W kolejce do konfesjonału stały przed nią dwie kobiety. Jedna z nich obejrzała się i rozpoznała ją; była znajomą jej matki. Rose naciągnęła chustkę na głowę i usiadła z dala od konfesjonału.

Po raz kolejny pomyślała, że Alan pewnie by tego nie zrozumiał. Włoskie rodziny i katolicyzm; można się udusić od nadmiaru miłości. Ona, Rose, o mało się nie udusiła. A mimo to wróciła tu.

Kobiecina odeszła od konfesjonału i zaczęła się modlić.

Grzech. Rose nie mogła nie myśleć o grzechu; taka już była i tak została wychowana. W czasie służby w marynarce wojennej ważniejsze od spraw ducha były takie rzeczy jak wysokość czy kąt natarcia przy lądowaniu. O grzechu jednak nigdy nie dało się zapomnieć. Rose zazdrościła niewierzącym kobietom; nie miałyby takich skrupułów jak ona. Gdyby była jedną z nich, mogłaby pójść z nim do łóżka. Na pewno byłoby wspaniale.

Druga kobieta odeszła od konfesjonału i kołyszającym się krokiem ruszyła w stronę ołtarza.

- Proszę mi wybaczyć, ojcze... - U spowiedzi nie była już od ładnych kilku miesięcy; o dziwo, na morzu spowiadała się regularnie. Jej grzechy jednak nie należały do szczególnie ciężkich - ot, gniew, zazdrość, wzywanie imienia boskiego nadaremno.

- Czy mogłabym porozmawiać z ojcem? To sprawa osobista.

- Poczekaj, aż skończę spowiadać.

Ojciec Amato uczył ją religii. Z jego rąk przyjął pierwszą komunię, to on ją bierzmował. Zdaniem parafian, Amato był ociupinkę bardziej konserwatywny od papieża. Staruszki go ubóstwiały; młode kobiety stosowały środki antykoncepcyjne, nie mówiąc mu o tym, za plecami nazywały go nadętym dupkiem, po czym bez skrupułów chodziły do komunii; a mężczyźni, jak to mężczyźni, patrzyli na to z rozbawieniem. Ale gdy ojciec Amato wchodził do restauracji na Bleecker Street, natychmiast zapadała grobowa cisza.

- Witaj, Rose. - Uśmiechnął się do niej. Od czasu, kiedy widziała go ostatni raz, postarzał się utył. Jak zawsze, każdemu jego krokowi towarzyszyło szuranie przypominające odgłos tarcia drewna papierem ściernym. Wziął Rose za rękę. Wróciłaś do domu?

- Tylko na weekend, ojcze.

Usiadł przy niej.

- Twoja matka chce, żebyś wróciła. Rozmawiałem z nią w zeszłym tygodniu. Tęskni za tobą.

- Ojcze, potrzebuję ojca rady. I być może błogosławieństwa.
 - Rose, zawsze masz moje błogosławieństwo.
 - Poznałam pewnego faceta. Jest oficerem, tak jak ja. Kocham go. Uprzedzając ojca pytanie, nie jest katolikiem.
- Ojciec Amato spojrział na nią podejrzliwie.
- Czy twoja spowiedź była w pełni szczera?
 - Oczywiście.
- Uśmiechnął się.
- Czyli nie zgrzeszyłaś w ten sposób.
 - Jeszcze nie.
 - Rose!
 - Co mam zrobić?
 - Możesz za niego wyjść. Oczywiście, po tym, jak on ukończy kurs przedmałżeński. - Zaczął mówić ożywionym tonem o nawróceniu, o duszy. Rose miała ochotę krzyknąć. Ciągłe te same bzdury.
 - Posłuchaj mnie, Rose! Słuchasz? Zawsze byłaś taka uparta! Nawet nie próbujesz tego ukrywać! Musisz poskromić swoją dumę! Skoro do mnie przyszłaś, to słuchaj, co mówię! No dobrze... mam nadzieję, że zamierzasz mieć dzieci.
 - Tak. - Nie zamierzała mieć dzieci; ona tego pragnęła. Tak.
 - Czyli musimy ustalić, gdzie zamieszkaś i jak, z Bożą łaską, będziesz rodzic dzieci, kiedy twój mąż będzie odbywał służbę. Wiesz, marynarze pływają po morzach.
 - Ojcze, ja też służę w marynarce.
 - Tak, tak, tak, ale po ślubie będziesz musiała z tym skończyć. Dziecko...
 - Wcale nie! Kocham to, co robię. To moja kariera! Zamierzam zająć wysoko!
 - Rose, Rose, to głupota. Obowiązkiem kobiety jest...
 - To wcale nie jest głupota, ty...! - Zerwała się na równe nogi. - Będę rodziła dzieci w czasie służby na lądzie. Poradzę sobie!
 - Usiądź. - Nie wstał. Nie musiał. Byłby z niego doskonały sierżant, pomyślała. - Rose, siadaj!
- Usiadła.
- Przepróż mnie.
 - Przepraszam, ojcze.
 - Powiedziałaś o tym matce? - Amato nie uznawał istnienia jej ojca; nie odzywali się do siebie, odkąd ksiądz napomknął ojcu Rose o niemoralnym prowadzeniu się jego nastoletniej córki i w odpowiedzi usłyszał, że ma nie wtykać swojego tłustego nosa w cudze sprawy.
 - Jeszcze nie.
 - No to powiedz jej dzisiaj, a potem sprowadź tu tego swojego chłopaka. Czy on wie?
 - Że go kocham? Chyba tak.
 - Chodzi mi o to, czy wie, że się z tobą ożeni i będzie ojcem twoich dzieci.
 - Hmm... raczej nie.

- No to lepiej oświadczyć mu się jak najszybciej. Wy, feministki, tak to załatwiacie, nie? - Parsknął śmiechem.

11 kwietnia 1991, motel Homeplace, Bowling Green, Kentucky

- No dobrze. Chcesz przekazać jakąś wiadomość przez telefon. Co robisz, by nikt nie podsłuchiwał rozmowy?

- Dzwonię z automatu, po drugim sygnale odkładam słuchawkę - wyrecytował Donnie Marengo. - Po dwudziestu sekundach dzwonię jeszcze raz. Idę do automatu na skrzyżowaniu Arbutus i Pflaeglera i tam czekam, dwadzieścia minut przed każdą parzystą godziną. O rany, tato, powtarzaliśmy to już setki razy!

- Będziemy to powtarzać dotąd, aż wejdzie ci to w krew. Od tego może zależać twoje życie, Donnie.

Donnie skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: „Ale co to za życie?”.

Bonner położył mu dłoń na ramieniu.

- Rozumiemy się, synku?

Chłopak skinął głową.

- To dobrze. Spotykamy się i coś nie gra. Jak mnie o tym uprzedzisz?

- Założę czapkę tyłem do przodu. Tato, jak rany, teraz wszyscy tak je noszą!

- Ja i ty nie. Mam na głowie czapkę Oriolesów, z odwróconym daszkiem. Co to znaczy?

- Chcesz mnie ostrzec, że coś jest nie w porządku. - Donnie zrobił zdeglustowaną minę. - Tato, naprawdę bawiłeś się w takie rzeczy?

Bonner, dumny z tego, że posiadał takie tajemnice, odparł, że oczywiście, wiele razy, Chryste! Otworzył piwo i podał synowi.

- W porządku?

Donnie wzruszył ramionami.

- Co znowu?

- To wszystko jest takie... - Skrzywił się. - Nie podoba mi się to.

- Czujesz się jak oszust czy coś takiego?

- Ty to powiedziałeś.

- Donnie... tyle razy ci powtarzałem. Nie ma sprawy. Przecież to tak, jakbyśmy pracowali dla naszych. - Powiedział synowi, że będą pracować dla wywiadu izraelskiego. Uważał, że okłamuje chłopca dla jego własnego dobra. Donnie nie rozumiał stosunków panujących na świecie, nie wiedział, że to wszystko jedno wielkie gówno, że państwa tak naprawdę niczym się od siebie nie różnią. Dla Donniego Izrael był w porządku, prawie jak Ameryka. Niech tak sobie myśli.

- To takie pierdoły - powiedział chłopiec i uśmiechnął się. - Tyle rzeczy trzeba zapamiętać. - Zrobił zbolalą minę, uśmiechnął się znowu i pociągnął duży łyk piwa. - Do końca życia w każdym facecie z aparatem fotograficznym będę

widział cholernego Jamesa Bonda. Gdybym miał robić to wszystko, o czym mówisz, chyba złałbym się ze śmiechu albo zesrał ze strachu.

- Po prostu zapamiętaj wszystko i rób to, co każe ci twój stary.
- Wiem, wiem. To tylko żart. W porządku? Żart.
- Dobrze. Ateny. Opowiedz mi o Atenach.
- Orany...!

- No już, opowiesz mi o Atenach i pójdziemy na pokaz chevroletow. Przecież po to tu jesteśmy, zgadza się?

Donnie skrzywił się z niesmakiem i odburknął, że spotykanie się z własnym ojcem pod fałszywym pretekstem jest bez sensu.

- Ateny - przypomniał Bonner.

- No dobrze, dobrze - odparł Donnie tonem nastolatka, obrażonego na wszystkich za to, że każą mu być punktualnym i zdrowo się odżywiać. - Ateny. Ulica Kritikiou. Idę w jej kierunku ulicą Majmonidesa, od północy. Nie znam greckiego i nigdy nie byłem w Atenach, ale muszę odszukać wszystkie te ulice. Jasne! Nic łatwiejszego!

- Pojedziesz tam taksówką. Po to dałem ci grecki alfabet, żebyś mógł odczytać nazwy ulic. Kiedy następnym razem będę w Atenach, zrobię parę zdjęć, żeby ułatwić ci zadanie. Mów dalej.

Donnie przez chwilę mamrotał pod nosem, powtarzając wszystko, co powiedział do tej pory, po czym zaczął mówić głośniejsze:

- Ulica Majmonidesa. Tak. Skręcam w prawo, na Kritikiou. Przechodząc dalej widzę kościół, który wygląda jakby stał na środku ulicy, ale tak naprawdę jest tam wysepka. Idę w stronę kościoła. Przy trzecim budynku po mojej prawej ręce zauważam kamień... nie, nie kamień, to coś metalowego, jakby stary słup... a jeśli go stamtąd zabrają?

- Nie zabrają. Mów dalej.

- Najważniejsze, żeby nie tracić wiary. Nie zabrają. W porządku. Podchodzę do tego niby-słupa od strony ulicy. Przy krawężniku stoją samochody. Na wysokości ramienia przyklejam kwadrat z białej taśmy klejącej. A jeśli ktoś mnie zobaczy?

- Nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

- A gdybyjednak?

- Ludzie będą myśleli, że wiesz, co robisz.

- Tato, gdybym zobaczył gościa naklejającego biały kwadrat na skrzynkę pocztową w Filadelfii, pomyślałbym, że to dość dziwne.

- Tak? No i co byś zrobił?

- Nic, pomyślałbym tylko, że to dziwne.

- No widzisz. Jeśli cię ktoś zobaczy, pomyśli, że się wygłupiasz i tyle. Stoisz na ulicy w Atenach..., i co, myślisz, że podejdzie do ciebie jakiś Grek i powie: „Ej ty, dupku, zostaw ten słup w spokoju”?

- W razie czego powiedziałbym, że to żart.

- Nic byś nie powiedział.

- Powiedziałbym, że to znak dla mojej dziewczyny, o, tak właśnie bym zrobił.

Bonner spojrział na niego ze złością, ale powściągnął gniew. Wmawiał sobie, że z czasem nastawienie Donniego zmieni się.

- Wszystko jedno - powiedział Bonner. - No dobrze, jesteś bezpieczny; dotarłeś tam, gdzie trzeba, znasz trasę i widzisz znak. Co on oznacza?

- „Chcę się z tobą spotkać”.

- Gdzie?

- W... „Café Adonai” w Pireusie.

- Co to jest Pireus?

- Port oddalony od centrum Aten o niecałe czternaście kilometrów. Biorę taksówkę, ale kierowcy mówię, żeby zawiózł mnie do „Superbaru Perykles”; to dwie przecznice dalej. Zaczynam iść. Kieruję się na zachód i skręcam w stronę morza, które stamtąd widać, potem ruszam w lewo i widzę „Café Adonai”. Siadam na zewnątrz. Czekam.

- Kiedy?

- Od za piętnaście siódma do piętnaście po.

- A jeśli się nie pojawię?

- Przychodzę tam następnego dnia, o tej samej porze.

- A jeśli i wtedy się nie pojawię?

- Robię to samo trzeciego dnia.

- A jeśli nadal mnie nie będzie?

- Spotykamy się w następnym miejscu wymienionym na liście, w zależności od tego, do których portów zawijasz.

Bonner skinął głową. Uśmiechnął się.

- No, nieźle. Masz łeb, Donnie. Opanowałeś to wszystko o wiele szybciej ode mnie. A teraz wryj to sobie głęboko w pamięć. Powtarzaj raz po razie, do znudzenia. Dobrze? - Położył dłoń na ramieniu Donniego, a chłopiec, wpatrzony w tanie lustro motelowe, zobaczył w nim starego człowieka, poszukującego wsparcia u własnego syna. Widok ten przejął go do głębi. - Chodźmy pooglądać corvetty.

14

S sierpnia 1991, Morfolk

Alan zdążył już przywyknąć do swojego nowego otoczenia, a jego nowi współpracownicy przyzwyczaili się do niego i nie zwracali większej uwagi na to, że co piątek wybiegał z budynku, by odebrać Rose z lotniska. Jak twierdziła, bilety na samolot kosztowały ją fortunę i myślała już nawet o tym, by w obie strony jeździć samochodem, ale to zajęłoby zbyt wiele czasu. Ona miała go aż nadto, w odróżnieniu od Alana; nie pracowała w pełnym wymiarze, czekając na prze-

niesienie. Tymczasem Alan musiał nauczyć się wielu nowych rzeczy. Choć wszystkie weekendy spędzali razem, sypiali oddzielnie.

Rosę stała się treścią życia Alana. Sam nie mógł w to uwierzyć. Chciał spędzać z nią każdą chwilę. Było to dla niego całkowicie nowe uczucie. Z Kim było inaczej - dopiero teraz pojął, że łączył ich tylko seks, nic więcej. Mimo to jednak wtedy życie wydawało się łatwiejsze.

Nowa praca Alana była trochę monotonna i początkowo dość zagadkowa, z czasem jednak stawała się coraz bardziej interesująca. Nominalnie pełnił funkcję analityka wywiadu, faktycznie zaś jego obowiązki ograniczały się do prowadzenia odpraw dla wyruszających na misje załóg lotniskowców i eskadr. Ledwie minął miesiąc, a już miał tego dosyć i pragnął zająć się czymś, co stanowiłoby dla niego większe wyzwanie. W rezultacie sporządzone przez Alana raporty robiły się coraz dłuższe i bardziej szczegółowe; trafiały do dowództwa, po czym, o ile budziły zainteresowanie, w skróconej wersji przekazywane były innym agencjom.

- Witaj - powiedział pierwszego dnia jego nowy szef, żyłasty komandor nazwiskiem Reicher. - Zrobimy z ciebie analityka.

- To dobrze. Brzmi zachęcająco.

- Zajmiesz się Afryką.

- Czy to, że nie wiem nic na temat Afryki, ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Żadnego.

Od tamtej pory czytał więc o Afryce wszystko, co wpadło mu w ręce, studiował tajne raporty CIA i NCIS, przerzucał dziesiątki książek, a nawet słuchał muzyki afrykańskiej. Próbował też nauczyć się swahili. Życie w eskadrze lotniczej było już tylko mglistym wspomnieniem. Teraz liczyły się tylko Afryka i Rose.

- Hej, Craik, wiesz coś o diamentach w Sierra Leone?

- Hmm... coś słyszałem...

- Zajmij się tym, dobra?

I wtedy na jego biurku lądowała teczka z raportem. Okazywało się, że dotyczył on rosyjsko-południowoafrykańskiego kartelu diamentowego i jego działalności w Sierra Leone, ale Alan tak czy inaczej musiał się tym zająć.

- Al, Mombasa jest w Afryce, dobrze mówię?

- W Kenii.

- Aha. Rzuciłbyś na to okiem, co?

- Ale... - Za późno. Raport dotyczył wpływów islamu w niektórych regionach, głównie w dawnym Związku Radzieckim, ale wspomniano w nim także o Kenii i Ugandzie; w każdym razie to on, Alan, musiał zająć się tą sprawą. Musiał też wiedzieć wszystko o finansowanych przez Iran obozach szkoleniowych dla terrorystów w Libii, o stosunkach Francji z dawnymi koloniami, wewnętrznej reformie ONZ (dlatego, że nowy sekretarz generalny był Egipcjaninem) oraz o kwitującym biznesie żołnierzy najemnych (najciekawsze przykłady z Anglii i RPA). Alan pochłaniał wszystko, co udało mu się znaleźć, zabierał ze sobą do domu mnóstwo materiałów, wstawał jak najwcześniej, by jak najwięcej przeczytać.

- Craik!
- Tak jest.

Właśnie przechodził obok drzwi gabinetu szefa; obrócił się na pięcie i wszedł do środka.

- Usiądź. - Komandor wbił w niego wzrok. - Jak ci idzie z Afryką? Trzymasz rękę na pulsie?

- Robię, co mogę, żeby za bardzo nie odstawać.

- Jaeckel mówi, że nieźle sobie radzisz. Prawdę mówiąc, stwierdził, że jesteś, cytuję, najbystrzejszym chłopakiem, z jakim miał okazję pracować, koniec cytatu. To komplement. - Jaeckel był analitykiem cywilnym.

- Dziękuję, sir.

- Myślisz, że dasz radę przygotować półgodzinny odczyt na temat sytuacji w Afryce i perspektyw amerykańskiej interwencji? - Zanim Alan zdążył odpowiedzieć, Reicher dodał: - Zrobisz to, czy chcesz czy nie. W następnym czwartek, o trzynastej, w kancelarii Kongresu. Zbiera się wtedy jakaś podkomisja. Pamiętaj, na taką okazję musisz włożyć galowy mundur. Weź wszystkie swoje ordery. W normalnych okolicznościach taki odczyt wygłosiłby Jaeckel, ale tym razem jest zajęty. Wszystko jasne?

- Kto, kto... kto będzie mnie słuchał?

- Kilku kongresmanów, ich asystenci, pewnie paru ludzi z innych agencji. Nic tajnego. Chodzi o to, żebyś oszczędził im zaglądnienia do encyklopedii, rozumiesz? Nie musisz się specjalnie wysilać. - Odkaślnął. - Nadal chodzisz z tą dziewczyną?

- Spotkam się z nią w ten weekend w Utica. Jej rodzice chcą mnie poznać.

- No i dobrze! Ożeń się, ustatkuj; przynajmniej w poniedziałki rano będziesz wyglądał jak człowiek. - Alan wstał i ruszył w stronę drzwi. - Hej!

- Sir?

- Chodzą słuchy, że zostaniesz awansowany na porucznika. Nie rób sobie za wiele nadziei, ale wiesz...

- Dziękuję. Rozumiem.

Każdego wieczoru Alan rozmawiał z Rose, co fatalnie odbijało się na jego rachunkach telefonicznych. Tym razem powiadomił ją, że być może rok wcześniej, niż powinien, awansuje na porucznika; Rose przez krótką chwilę milczała, zanim zdobyła się na odpowiedź. Oczywiście pogratulowała mu, cieszyła się, ale z pewnością przemknęło jej przez myśl, że Alan może zrównać się z nią stopniem, choć miała za sobą dwa lata służby więcej. Po raz kolejny okazywało się, że stosunki międzyludzkie mogą być pogmatwane, nawet gdy w grę wchodzi -jak się wydawało - prawdziwa miłość. Tak, z Kim wszystko zdawało się łatwiejsze.

- Kocham cię - powiedział. Zrobił to instynktownie: kiedy pojawiały się przeszkody, należało im zaradzić w sprawdzony sposób.

- Wiem. - W jej głosie brzmiało zadowolenie. Przez chwilę rozmawiali o pracy, o kłopotach z przełożonymi. Rose czekała na przeniesienie; ostatnio dowiedziała się, że mogłaby dostać pracę w Pax River. To było za daleko - Alan chciał, żeby przyjechała do Norfolk. I tak dalej.

- Kocham cię - powiedziała.

Parsknął śmiechem. Najwyraźniej stosowali te same metody zapobiegania konfliktom.

- Ciągłe do tego wracamy - powiedział.
- I bardzo dobrze. Wszystko się do tego sprowadza.
- Wystarczy nas posłuchać.
- Nno... Ożenisz się ze mną?
Jasne.
- Kiedy?
- Czy to nie dlatego mam spotkać się z twoimi rodzicami?

Zamilkli.

- Kiedy cię poznają, będę gotowa. Bardziej niż gotowa. Pragnę cię.
Świadomość, że w jego życiu zbliża się wielka przemiana, przeraziła Alana; coś podobnego czuł w czasie jednego z lotów Christine, ale nie pamiętał kiedy; po chwili jednak przypomniał sobie - było to podczas próby ucieczki przed atakującym A-5 Fantanem.

- Zróbmy to - powiedział.

Był ciepły, wrześnieowy dzień. Rose przyjechała po Alana na lotnisko w Śyracuse. Okazała się dobrym kierowcą - dlaczego nie? W końcu była dobrym pilotem - i wyglądała na szczęśliwą, a nawet podekscytowaną. Powiedziała, że jada „nad jezioro”, nie do Utica; było tak ciepło, że ojciec postanowił spędzić parę dni w domku letniskowym. Matka się wściekła, bo wszystkie reprezentacyjne sztuce, naczynia, obrusy i ubrania zostały w Utica. Rose uważała, że to zabawne.

- Sam zobaczysz! - powiedziała. - Zobaczysz! - i wybuchnęła śmiechem.

No i zobaczył: matka Rose znenawidziła go od pierwszego wejrzenia. Była niska, podobnie jak jej mąż, szeroka w biodrach, siwowłosa; jeśli Rose na starość miała wyglądać tak jak ona, Alan nie miał powodu do narzekania. Starsza pani nie ukrywała jednak oburzenia z faktu, że on i Rose przyjechali tak późno; ciągle powtarzała, jak długo musiała na nich czekać. Nie mogła ulokować Alana w sypialni, tylko na werandzie, a tam o tej porze roku było zimno; to z winy jej męża, a tak naprawdę, winnym tego zamieszania jest sam Alan. Wystawiła na stół tyle jedzenia, że można by nim nakarmić ośmiu czy dwunastu ludzi, po czym wyszła tłumacząc się bólem głowy.

Ojciec Rose nie przejął się tym. Był niski, schludnie ubrany, miał pociągłą twarz i czarne włosy, tylko lekko przyprószone siwizną. Długo rozmawiał z Rose, spoglądając ukradkiem na Alana; podobnie jak pani Siciliano, mówił z miejscowym, nieco irytującym akcentem. Po półgodzinnej rozmowie o starych znajomych, baseballu i pracy nastawił starą płytę i zaczął tańczyć z Rose przy dźwiękach swinga.

- Zawsze to robimy - powiedziała Rose. Na jej policzkach wykwitły ru mieńce.

- Rose jest moim cukiereczkiem - dodał jej ojciec, patrząc na Alana.

Rankiem następnego dnia Alan i Rose wybrali się na spacer nad małe jezioro. Trwał sezon polowań na jakieś zwierzęta (później okazało się, że na niedźwiedzie) i drogą przemknęło kilka samochodów z myśliwymi, ale poza tym panowała niczym niezmacona cisza. Przy autostradzie wyrosło małe, obecnie wymierające miasteczko. Niektóre z domów, zabite deskami, zaczynały się rozpadać. Życie toczyło się sto metrów dalej, ukryte przed oczami kierowców.

- Co roku przyjeżdżałam tu na wakacje - powiedziała Rose. - Znałam wszystkich. Czułam się tu jak na osiedlu robotniczym w Utica. Ludzie stawiali takie domy, na jakie było ich stać. To smutne, że wszystko się rozsypuje. Widzisz ten dom, z którego zesła farba? Całowałam się z chłopakiem, który tam mieszkał.

- Wolałbym o tym nie wiedzieć.
- Miałam wtedy trzynaście lat.
- Tym gorzej dla ciebie.

Wzięła go za rękę.

- Tata weźmie cię ze sobą na ryby. Wtedy porozmawiacie.
- Tak to zostało zaplanowane?

Rose parsknęła śmiechem.

- Nie przejmuj się moją matką. Ona się ciebie boi.

- Cóż, cieszę się, że odwzajemnia moje uczucia. Na myśl o niej dostaję gęziej skórki.

- Ona po prostu nie wie, jak ma się zachowywać. W jej oczach jesteś człowiekiem z wyższych sfer - czystej krwi Amerykanin, z wyższym wykształceniem. Rozumiesz, gość z klasą.

Alan był zaskoczony.

- Mama uważa, że powinna zrobić wszystko, żeby wyrzucić na tobie dobre wrażenie. Zachowuj się normalnie. Tak czy inaczej, decyzja będzie należeć do ojca. Mama jest królową, a on jej szefem.

- Co się stanie, jeśli cię teraz pocałuję?
- Spróbuj, to zobaczymy.

Zgodnie z zapowiedzią Rose, jej ojciec zabrał Alana na ryby w starej łodzi z silnikiem, który wydawał się na tyle potężny, by zasilac duży statek wycieczkowy. Alan był nieco zaskoczony, spodziewał się bowiem ujrzeć łódź wiosłową i chciał nawet zasugerować, że on zajmie się wiosłowaniem. Tymczasem uchylając się przed wiatrem założył przynętę na haczyk i łódź przemierzyła jezioro w poprzek w niecałe cztery minuty. Ojciec Rose mówił o pięknej pogodzie, o mistrzostwach w baseballu, o taaakich rybach, które udało mu się złowić „o, tutaj”. Nagle zatrzymał łódź i podał Alanowi wędkę i puszkę po kawie, która okazała się pełna robaków.

- Nie mam karty wędkarskiej - powiedział Alan.

- No cóż... nie widzę w okolicy strażników przyrody. - Przez chwilę udało mi się wypatrzeć ich na niebie. - Chyba że zaatakują z powietrza, jak to czasami robią. W każdym razie grzywna wynosi jakieś dwa pięćdziesiąt. Gotów jestem tyle zapłacić, byle dowiedzieć się, czy ożenisz się z moją córką.

Alan roześmiał się i zarzucił wędkę; ciężarek z pluskiem wpadł do wody i żyłka rozwinęła się.

- Co tu możemy złapać?

- Spokój.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zaczął się już październik i słońce nie grzało tak jak w lecie, ale było ciepło, choć z zachodu od czasu do czasu wiał zadziwiająco zimny wiatr.

- To rybolów - powiedział ojciec Rose. - Widzisz? Ten biały, tam, na wierzchołku tego świerka. Piękny ptak, jak biały orzeł. Składa skrzydła, spada prosto w dół do wody i wynurza się z rybą w szponach. Mamy tu wszystko, czego dusza zapagnie. Jelenie, niedźwiedzie. Rosie szaleje za tobą.

Alan, przez chwilę zbity z tropu nagłą zmianą tematu, zdał sobie sprawę, że czuje się niepewnie.

- Tak, proszę pana - powiedział. - I ja szaleję za nią.

- Mów mi Bobby. - Szarpnął wędkę do góry i wychylił się przez burzę, jakby chciał zobaczyć, co też ryby knują. - Kiedy zaczynałem pracować w hucie, spytali mnie: „Jak masz na imię?” No to im powiedziałem. Oni na to: „Mamy już jednego Angelo Siciliano”. Myślałem, że to znaczy, że mam sobie pójść. Miałem wtedy szesnaście lat. Człowiek był młody i głupi. Ale wtedy powiedzieli mi: „Znajdź sobie jakieś inne imię”. No to nazwałem się „Bobby” - był wtedy taki sławny zawodnik o tym imieniu. Od tamtej pory jestem Bobby. - Zmierzył Alana spojrzeniem, tak jak robił to ostatniego wieczoru. - Różnimy się od siebie. Twój rodzice na pewno skończyli studia, nie? To znaczy, jesteś z inteligencji. Ja jestem zwykłym robotnikiem. Rosie mówi, że to nie ma znaczenia i chyba ma rację. A co ty sądzisz?

- Nie myślę, żeby to było ważne.

- Między nami mówiąc, matka Rosie ma na ten temat inne zdanie, ale w końcu się przyzwyczai. Wiesz, ona myśli, że podejmuje księcia Karola i dlatego jest taka nerwowa. Udawaj, że tego nie widzisz.

Znów szarpnął wędkę. Alan zrobił to samo, w nadziei, że w ten sposób zachęci jakąś niezdecydowaną rybę. Nie pomogło.

- Tam, gdzie pracowałem - zaczął Bobby, tym razem ciszej, w zamyśle niu - byliśmy tylko my, Włosi, i paru Polaków. To było pod koniec drugiej wojny -jeszcze rok i wzięliby mnie do woja. I tak mnie nie ominęło, walczyłem w Korei i nic z tego nie miałem. Rosie mówiła mi, że walczyłeś na prawdziwej wojnie i zostałeś odznaczony. To godne szacunku. Ja przez dwa lata liczyłem majątki żołnierzy. Potem wróciłem prosto do huty. Było wtedy dużo pracy. Wszyscy pracowali razem, ojcowie i synowie, całe rodziny, rozumiesz? O, zobacz, czyżyk, co on, u licha, robi nad jeziorem? Istniały związki, kontrakty były uczciwe... dobrze się nam żyło. A teraz... pokażę ci, jak wygląda Utica.

Wszystko zniknęło. Tam, gdzie pracowałem przez trzydzieści dwa lata, rosą chwasty. Znalazłem tam jakąś cegłę, wziąłem ją i położyłem na półce, żeby mieć pamiątkę. Może właśnie na tę cegłę patrzyłem przez trzydzieści dwa lata. A teraz nic. Browar zniknął. Zakład tapicerski zbankrutował. Nagle, z dnia na dzień, miasto, w którym spędziłem całe swoje życie, legło w gruzach. Ludzie tracili pracę, wyprowadzali się. Potem porozeżdżały się dzieci. Rosie też nas opuściła. Mówię ci, to straszne! - Potrząsnął głową. - Harujesz trzydzieści dwa lata, po czym nagle mówią ci: „Cholernie nam przykro, chłopcy, ale zwijamy interes”, i po wszystkim. Firma przeniosła się do Alabamy. A ja nie zamierzałem się przeprowadzać, o nie.

- Co zrobiłeś?

- A co można zrobić? Bierzesz się w garść i szukasz innego zajęcia. Z moim koleśkiem otworzyliśmy warsztat. Na opłaty starcza. Jakoś sobie radzę. Ale nie jest już tak jak dawniej. Kiedyś taka dziewczyna jak Rosie na pewno nie wyjechałaby z domu, nie wróciłaby z takim gościem jak ty. Nie obraż się. - Wbił wzrok w końcówkę wędki. - Rosie jest moją ukochaną córką. - Zaczął podśpiewywać chrapliwym, ale zadziwiająco melodyjnym głosem: *-Rosie, she is myposy; Rosie, she is myjoy...* Znasz tę piosenkę? Śpiewał ją Jolson. Ona naprawdę jest moim bukiecikiem. Chcesz się z nią ożenić?

- Oczywiście.

- No więc zrób to. Tylko pamiętaj, jeśli ją skrzywdzisz, jeśli sprawisz jej zawód, osobiście się z tobą policzę. W porządku? Umowa stoi. Pamiętaj, ja nie żartuję. No to jak, rozumiemy się?

- Tak.

- Aha, a jeśli chodzi o cholernego księdza, kościół i tak dalej, róbcie, co chcecie. Matka Rosie ciągle nudzi: „Och, a co z ojcem Joe?” „Och, a katechizm, a dzieci...!” Mówię ci, chłopcze, kobity w czerni, faceci w sukniach - kto to widział? Co to za religia? Nie zrozum mnie źle, wierzę w Boga, ale nie wierzę, że muszę robić to, co każe mi jakiś bałwan. Zgadzasz się ze mną?

Na szczęście Alan nie musiał wyrażać swojej opinii na ten temat, bo w tej właśnie chwili poczuł szarpnięcie żyłki. Zaczął wciągać rybę, Bobby coś krzyknął i rzucił się po siatkę, omal nie wywracając przy tym łodzi. Po chwili przez burtę przewalił się duży okoń.

- No, no, no! Szybko, zarzuć wędkę, na Boga! Dawaj, dawaj, skoro masz łamać prawo, to idź na całość. - Alan złapał jeszcze dwie ryby, a Bobby jedną; potem przestały brać. Ojciec Rose wskazał ręką dużą czapłę majestatycznie sunącą po niebie. - One polują tam, gdzie jest płytko, niedaleko stąd musi być ich gniazdo. - Wstał, nie spuszczać wzroku z lecącego ptaka. - Boże, to wspaniałe miejsce! Kocham tę okolicę. Nie wiem, jak ona wygląda w twoich oczach... pewnie dla ciebie nic nadzwyczajnego, ot, trochę domków, jezioro i tyle. Ale dla mnie to raj. Człowiek haruje cały tydzień jak wół, potem przyjeżdża tutaj - pije piwo, siedzi w łodzi, słyszy radio włączone półtora kilometra stąd, albo śpiewy i rozmowy... A wiesz, do czego to wszystko się sprowadza? Powiem ci: do pracy.

!„Rosie to mój bukiecik; Rosie to radość ma...” (przyp. tłum.).

O to w tym chodzi. Każdy musi mieć pracę. - Wciągnął żyłkę. - Lubię cię. Jesteś dobrym słuchaczem.

Po przyjeździe na lotnisko w Syracuse zwrócili wynajęty samochód. Rose postanowiła zaczekać z Alanem, bo jego samolot odlatywał najpierw. Obydwoje milczeli, nieco przygnębieni koniecznością rozstania. Kiedy samolot ruszył w stronę pomostu dla pasażerów, Alan powiedział:

- Zróbmy to.

Wzięła go w ramiona.

Alan miał teraz na głowie dwie ważne, choć nieporównywalne sprawy: po pierwsze, wkrótce czekał go ślub, a po drugie, musiał przygotować na czwartek odczyt o sytuacji w Afryce. W poniedziałek przejrzał raporty CIA na temat wybranych krajów Czarnego Łądu i zdał sobie sprawę, że w większości stanowią one mieszaninę pobożnych życzeń i fałszywych założeń; praca nad tym zagadnieniem na pewien czas przyćmiła wszelkie myśli o małżeństwie. Alan zainteresował się Afryką w odpowiedniej chwili. Zakończyła się zimna wojna, wewnętrzne oraz zewnętrzne naciski doprowadziły do obalenia apartheidu w Afryce Południowej, systemu, który wydawał się niezniszczalny. Ciemnoskóry człowiek stał się najważniejszym politykiem w RPA; w Angoli zapanował spokój; Namibia wreszcie poradziła sobie ze swoimi problemami; a wszystko to było rezultatem upadku hegemonii białego człowieka na południowym krańcu kontynentu. Etiopia pozbyła się groteskowych, niezrównoważonych tyranów; Erytrea stawała się stabilnym państwem; ale tylko zniechęcenie czy obojętność mogły sprawić, by ktokolwiek uznał, że Rwanda i centrum kontynentu mają przed sobą świetlaną przyszłość, czy też że na wschodnich krańcach Afryki zagości pokój akurat teraz, gdy w Somalii zostało mnóstwo broni, której nie można było wykorzystać przeciwko Etiopii. Alan uważał, że powolne zamieranie zimnej wojny wpędziło analityków w stan letargu. Nie zdawali sobie sprawy, że brak zainteresowania z ich strony może stać się ważnym czynnikiem kształtującym sytuację; ci sami specjaliści jakoś nie zauważali, że ich protegowany z Zairu posunął się mocno w latach, a klienci z Półwyspu Somalijskiego nigdy za nimi nie przepadali - zresztą nie przepadali za nikim.

Próbował wytłumaczyć to Rose przez telefon; śmiertelnie znudzona, kazała mu się zamknąć i powiedzieć to wszystko kongresmanom. Droczyła się z nim, chichotała, nie polityka była jej w głowie. Alan nie przestawał pracować. Siedział nad dokumentami jeszcze długo po tym, jak pożegnał się z Rose, życząc jej dobrej nocy. W Afryce właśnie budził się dzień; było tam wielu ludzi, którzy chętnie dzielili się z nim swoją wiedzą. Odnalazł ich przeglądając listy nazwisk - od bibliografii w rozmaitych książkach po spisy ekspertów z amerykańskich uniwersytetów i tak dalej. W środę zaczął wypytywać ludzi z Waszyngtonu o różne utajnione sprawy; jeden z nich w końcu stwierdził, że Alan jest aroganckim palantem

i rzucił słuchawkę. Ci, którzy mieli mniej grzechów na sumieniu, informowali go spokojnie, że jego domysły są całkowicie trafne, ale nie zostaną dobrze przyjęte, zwłaszcza że zbliżają się wybory. Poza tym Afryka nie obchodziła Amerykanów i w związku z tym nie stanowiła obiektu szerszego zainteresowania władz.

- No właśnie. Z jednej strony Afryka nas nie interesuje, a z drugiej - jak najbardziej, choćby z czysto humanitarnego punktu widzenia. Amerykanów obchodzi los głodujących dzieci.

- Nie, jeśli nic o nich nie wiedzą.

- Przecież wiedzą. Te dzieci ciągle są pokazywane w telewizji. To nowe podejście do problemu „interesów narodowych” - ważne jest nie to, co myślą sobie grube ryby, ale co John Smith widzi w wiadomościach.

- John Smith nie wyznacza kierunków naszej polityki.

Alan zamyślił się nad tymi słowami i przypomniał sobie, co Peretz powiedział przed paroma laty o CNN i wywiadzie. W tych czasach wszyscy mają dostęp do informacji; niewiele da się ukryć przed tak zwaną opinią publiczną. To rzeczywiście nowy świat. Alan ze zdwojonym wysiłkiem próbował pojąć rządzące nim prawa.

Wchodząc do sali posiedzeń komisji, czuł się, jakby było mu za ciasno we własnej skórce. Ręce drżały mu lekko z nerwów i ze zmęczenia; mimo to uważał, że jest doskonale przygotowany. Czapkę trzymał pod lewą pachą, jego pierś pokrywały ordery, a w prawej ręce ścisnął czarną teczkę. Przy drzwiach zatrzymała go nieznajoma kobieta. Wyglądała na taką, z którą nie ma żartów.

- Tak? - burknęła nieprzyjaźnie.

- Podporucznik Craik. Wywiad marynarki.

Obejrzała go od stóp do głów.

- Gdzie Bob Jaeckel?

- Nie mógł przyjść. - Uśmiechnął się szeroko. - Czy przysięgli zostali już wybrani?

Nie zareagowała na żart.

- Proszę tu usiąść. Kiedy przewodniczący pana wezwie, proszę podejść do mikrofonu i od razu zacząć mówić. Jesteśmy trochę spóźnieni, więc proszę nas nie czarować, dobrze? - Następnie krzyknęła coś do człowieka niosącego stos papierów, który szybko przeszedł na drugi koniec długiego stołu; wyglądało na to, że nieszczęśnik o mało nie popełnił jakiejś potwornej gafy.

W pomieszczeniu znajdowała się tylko garstka ludzi. Alan nie tak wyobrażał sobie przesłuchanie w Kongresie - żadnych świateł, żadnych kamer. A więc tak to wygląda? - pomyślał. Z jednej strony odczuł prawdziwą ulgę, ale z drugiej był nieco rozczarowany. I po kiego licha tak się przejmowałem?

Na zebraniu zjawiło się zaledwie trzech kongresmanów. Kiedy Alan zajął miejsce przy mikrofonie, spojrzał na niego tylko jeden z nich, starsze o zacerwienionych oczach i nieufnym spojrzeniu strażnika więziennego. Dwoje pozostałych - mężczyzna i kobieta - wymieniali się jakimiś papierami i szeptaali coś do swoich doradców. Kobieta, na którą Alan natknął się przy wejściu, popatrywała na niego i mówiła coś wiekowemu kongresmanowi na ucho. Co ona mu tam gada? - zastanawiał się. Co, ma na mnie teczkę czy jak?

Wygłosił mowę tak, jakby miał przed sobą salę wypełnioną żołnierzami - nie owijał w bawełnę, nie używał górnolotnych wyrażeń, nie podlizywał się. Zmieścił się w wyznaczonym czasie, na zakończenie podsumował swój referat, bynajmniej nie w tonie ostrzegawczym, ale wyłożył wszystkie swoje wątpliwości: wspomniał o podziałach etnicznych w centrum Afryki, czyli w Rwandzie, Burundi i Zairze, o problemach w Somalii, a także o nierozwiązanej kwestii nędzy w Republice Południowej Afryki. Następnie podziękował słuchaczom i usiadł wygodnie.

O dziwo, nikt nie zasnął. Samo w sobie stanowiło to nie lada osiągnięcie. Alan miał nadzieję, że przynajmniej ten dziadek się zdrzemnie, wyglądał bowiem dość groźnie. Ale on przez cały czas trwania odczytu robił notatki.

- W porządku - powiedział przewodniczący, zastukał ołówkiem w żółtą ta bliczkę i oparł głowę na dłoni. - Dziękuję, podporuczniku. - Wciąż zasłaniał twarz dłonią. - Jakies pytania? W porządku, wygląda na to... Och, przepraszam, kongresman Sime.

Starzec przeszył Alana spojrzeniem więziennego strażnika.

- Czy znane jest panu stanowisko naszej komisji na temat ingerencji w sprawę Afryki południowej i środkowej?

- To nie wchodzi w zakres mojego referatu, sir.

- Raz jeszcze powtarzam: czy jest panu znane nasze stanowisko na ten temat?

- Jeśli ma pan na myśli rezolucję HR 3901, to owszem, sir. - Dowiedział się o tym w kancelarii Kongresu.

- To mam na myśli, dokładnie to. Czyli słyszał pan o tym dokumencie. Cóż, to zaskakujące. Bardzo zaskakujące. Bowiem wszystko, co pan mówił, było dokładnie sprzeczne z tą rezolucją. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Nie przedstawiłem żadnych zaleceń, sir.

- Być może nie dosłownie, ale z tego, co pan mówił, jasno wynika, że... czego? - Odwrócił się i wsłuchał w szept kobiety, z którą Alan miał wcześniej do czynienia. Burknął coś, wyraźnie się z nią nie zgadzając, po czym machnął ręką, by ją uciszyć. Ponownie zwrócił się twarzą do Alana. - Proszę mnie posłuchać, podporuczniku... jest pan młodszym oficerem, zgadza się?

- Tak jest, sir.

- Można powiedzieć, że nie jest to zbyt wysoki stopień?

Alan uśmiechnął się.

- W kadrze oficerskiej jest tylko jeden niższy, sir.

- Uważa pan, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych powinna przeprowadzić interwencję w Somalii? Czy dobrze pana zrozumiałem?

- Nie, sir, niczego takiego nie twierdziłem. Powiedziałem tylko, że jeśli...

- Żadnych, jeśli"! Czy próbuje nam pan wmówić, że marynarka ma do odegrania ważną rolę w Afryce?

- W pewnych okolicznościach, owszem.

Teraz Alan musiał wysłuchać długiego wywodu o sytuacjach bez wyjścia i nierozwiązywalnych problemach. Po raz pierwszy miał okazję przekonać się, jak

prawdziwe jest stare powiedzenie mówiące, że zawsze winny jest posłaniec, a nie wieści, jakie on przynosi. Następnie kongresman poruszył sprawy z gatunku tajnych; Alan z wahaniem kiwał głową i próbował się bronić, ale niewiele mu z tego przyszło. Musiał więc potulnie wysłuchać gorzkich słów skierowanych pod jego adresem.

- Bez przerwy ten... czego? - Kongresman znów się odwrócił. Jeszcze trochę, a szepcząca do niego kobieta zakryje mu usta dłonią. - Co? - Słuchał jej przez kilka sekund, wpatrzony w Alana - jak się wydawało - z nienawiścią. - Nie mam więcej pytań - powiedział ponuro. Alan spojrzał na kobietę, która, ku jego zdumieniu, mrugnęła do niego porozumiewawczo.

W czasie przerwy wymknął się z sali obrad, ale nieznajoma dogoniła go na korytarzu.

- Doskonale pan sobie poradził - powiedziała. - Naprawdę mnie pan zaskoczył! Przepraszam, że przedtem potraktowałam pana tak obcesowo. To pański pierwszy raz?

- Obawiam się, że tak.

- Dasz sobie tu radę. Trafiliś w czuły punkt, wiesz o tym, prawda? Nic w tym złego, ale następnym razem zorientuj się w układzie politycznym i oszczędź sobie rozgoryczenia. Jestem doradczynią członka komisji, przedstawiciela mniejszości parlamentarnej; zawsze dobrze jest skontaktować się ze mną i z tym, kto pełni tę samą funkcję po przeciwnej stronie barykady.

- Wydawało mi się, że to, co mówię, nie ma nic wspólnego z polityką. Analiza jest bezstronna.

Uśmiechnęła się blade.

- No to właśnie się dowiedziałeś, jak to jest naprawdę.

Z sali wyszła jakaś kobieta i skierowała się w ich stronę. Jej obcasy uderzały w marmurową podłogę niczym małe młotki. Wyglądała na hardą i doświadczoną - ani chybi prawniczka. Elegancka, po trzydziestce, niezbyt ładna, ale dobrze zbudowana. Wyglądało na to, że zna doradczynię kongresmana. Przywitały się chłodno, jak dwa zwierzęta, które nie chcą walczyć, ale walczyłyby, gdyby musiały. Po kilku sekundach Alan został sam z nowo przybyłą nieznajomą.

- Nazywam się Sally Baranowski - powiedziała.

- Alan Craik.

- Jestem pod wrażeniem. - Coś ją rozbawiło, ale nie zamierzała dzielić się tym z Alanem. Po chwili jednak zlitowała się i powiedziała: - Pracuję z George'em Shreedom.

- Ach, tak. - No właśnie. - To, co mówiłem, musiało się pani wydawać strasznie naiwne.

- Ależ skąd! Dzięki Bogu, dobrze poradził pan sobie z kongresmanem. Często nam pomaga. - Roześmiała się. - Nie lubi, gdy ktoś się z nami nie zgadza.

- Ale mnie wcale nie chodziło o to, że się z wami nie zgadzam.

Uśmiechnęła się.

- Proszę, niech pan się nie zgrywa.

- Hej... hej! Zaraz, zaraz...

- Czy pański odczyt miał być zawołanym ostrzeżeniem ze strony wywiadu marynarki? Pracuję w komisji, której celem jest zapobieganie takim konfliktom. Szkoda, że o niczym nie wiedziałam. - Powiedziała to rozszalonym tonem, niczym matka ubolewająca nad wybrykami starszych dzieci. - Moglibyśmy się tym zająć.

- Proszę pani, jestem analitykiem. Nie przekazuję żadnych ostrzeżeń. Nie powiedziałem dzisiaj nic, czego nie umieszczalbym w codziennych raportach. Nie ma w tym żadnego podtekstu. Po prostu próbowałem wykazać, do czego może doprowadzić obecna sytuacja.

- Przygotowaliśmy wiele możliwych scenariuszy. Spodziewamy się, że będziemy z nich korzystać.

- Nie możemy, jeśli nie są oparte na faktach. Proszę pani, Afryka Środkowa wkrótce stanie w płomieniach, a sytuacja w Somalii będzie się pogarszać z dnia na dzień; nie ująłem tego w ten sposób w czasie przesłuchania i nigdy nie powiedziałbym tego publicznie, ale między nami mówiąc, dokładnie tak widzę dalszy rozwój sytuacji. A wy wszyscy... wy nadal myślicie, że... Przepraszam. Stawia mnie pani pod murem, a ja nie zamierzam do tego dopuścić. Powiedziano mi, że mam tu przyjść i zrobić swoje; tak też uczyniłem. Jeśli nadepnąłem wam na odcisk, trudno. Możecie mnie podać do sądu. - Odchylił się do tyłu. - Przepraszam, trochę mnie poniosło. Chciałbym skontaktować się z panem Shreedem; jak mogę to zrobić?

- W tej chwili nie może pan. On wraca dopiero za tydzień. - Zaczęła grzebać w torebce.

- Chodzi o sprawę osobistą, nie o to, co stało się dzisiaj.

- Wiem. - Pisała coś małymi literkami na wizytówce. Wręczyła mu ją uśmiechem. - Chodzi o ofertę pracy, której pan nie przyjął.

- Och, słyszała pani o tym. Bardzo się wściekł!

- Oczywiście. Ale mu przeszło. Mimo to powinien go pan przeprosić.

- Wiem, że chciał dobrze.

- Tak, to prawda. - Wciąż się uśmiechała; nie był to uśmiech skierowany do Alana, raczej oznaka rozbawienia. - Jesteś jeszcze naiwny i nieopierzony! - powiedziała wreszcie. Odwróciła się i parsknęła śmiechem. - Ale się nauczysz!

Co to, u licha, miało znaczyć?

W piątek po południu na biurko przełożonego Alana trafił ostry protest z CIA.

W sobotę Alan wziął ślub z Rose.

15

14 października 1991, Mombasa, Kenia

Ciepły zapach morza wisiał nad portem Kilindini, nad całym wybrzeżem, a nawet nad położonymi w głębi lądu malarycznymi mokradłami, niegdyś stano-

więcymi nieprzebytą barierę dla podróżników. Franci myślał, że już przywykł do tej woni, ale od czasu do czasu zaskakiwała go, niczym dochodzący skądś ledwo wyczuwalny smród zgniłych ryb w powietrzu tak gęstym, że wydawało się płynne, niesiony wilgotnym podmuchem wiatru. Na nieboskłonie gromadziły się chmury; błękit zmienił się w biel, potem w szarość, potem w czerń; wreszcie rozpoczęła się ulewa, tak intensywna, że trudno było oddychać. Do nosa wlewała się nieprzyjemnie drażniąca woda. Franci nie znosił wybrzeża. Za bardzo przypominało mu miejsce, w którym jego życie zostało zniszczone, gdzie się skończyło. Marzył o górach, o zimnie, o surowym klimacie - nienawidził tego łagodnego smrodu, wilgotnego upału, zginanych wiatrem palm i rzęsytych deszczów.

Ile jeszcze? - myślał. W obozie liczył na to, że życie w ukryciu, w nowej, nieznaney okolicy, może przynieść mu ulgę. Jego tajemnica miała być zarazem zemstą - jeśli nie na prawdziwych wrogach, to chociaż na obcych ludziach. Ale cóż to za zemsta, siedzieć za zawalonym papierami biurkiem w Bash-0-Vision czy słuchać krzykliwej żony? Ta kobieta coraz bardziej wczuwała się w swoją rolę. Franci wiedział, że była nieszczęśliwa; przygotowywane przez nią posiłki stawały się coraz gorsze, do stołu podawała z nieskrywaną niechęcią. Pomyślał, że być może znalazła sobie kochanka; ku własnemu zdumieniu ta myśl wprawiła go w złość. Dlaczego? Dlaczego nie miałby pozwolić tej nieszczęsnej kobiecie, by ulżyła nieco swojej doli? Od pewnego czasu jednak zaczął ją szpiegować, pod byle pretekstem wymykał się ze sklepu, pozostawiając go pod pieczę Chińczyka, a sam przemykał bocznymi uliczkami, by wrócić bez zapowiedzi do domu, spodziewając się, że ujrzy żonę w łóżku, splecioną z obcym mężczyzną, którego owłosiony tyłek będzie wznosić się nad jej nagim ciałem.

Nigdy nie widział jej nago, a zdał sobie sprawę, że tego chce. Był ciekaw, czy oznacza to, że rzeczywiście zaczyna mu odbijać. Z kobietą nic nie mógł zdziałać, jego kikut zwisał smętnie, a poza tym... cóż. Ale ciągle myślał o niej, o tym, co mógłby zrobić. Żeby chociaż jej dać przyjemność. Gdyby to mu się udało, może odzyskałby choć część swojej męskości? Nie. Co najwyżej przybyłoby mu trochę wigoru. Risa nie grzeszyła urodą, ale była kobietą w kwiecie wieku, i do cholery, była jego żoną!

Próbował delikatnie poruszyć ten temat. Skrzywiła się. Ostatniej nocy wszedł do jej sypialni pod pretekstem sprawdzenia, czy nie przeszkadzają jej komary; podciągnęła koc i schowała pod nim swoje wdzięki. Dlaczego?

Franci domyślał się, że któregoś dnia po prostu zacznie jej rozkazywać. W końcu to jego żona. Musiała go słuchać - była pobożną kobietą i zawsze nosiła chustę na głowie, a zakryłaby się całkowicie, gdyby nie wydano jej polecenia, że ku chwale Allaha musi udawać świecką Libankę. Cóż, trzeba coś zrobić, pomyślał. Rozkaże jej, by zgodziła się na jego pieszczoty. Z drugiej strony... jak można rozkazać komuś, by odczuwał przyjemność? Czysty absurd. Parodia małżeństwa.

Franci jechał na rowerze po torach tramwajowych w stronę Kilindini, gdzie miał się spotkać z kobietą, która przekaże mu coś, co znalazła w śmieciach nie-

mieckiego konsula. Jazda na rowerze stała się dla Irańczyka prawdziwą przyjemnością, między innymi dlatego, że dotąd nie wiedział, iż (noże pedałowac jedną nogą; okazało się jednak, że może pchać pedał do góry i w dół, i nieźle mu to szło. Jeszcze rok, dwa, pomyślał, i mięśnie zdrowej nogi rozrosną się do monstrualnych rozmiarów.

Ach, ten smród Mombasy. Teraz w powietrzu dało się wyczuć woń błota. W porcie cumowało mnóstwo statków, jednym z nich był połyskujący liniowiec. Gdyby tak dało się wejść na jego pokład, wmieszać się w tłumek emerytów z RPA, popłynąć w jakieś piękne miejsce! Magiczne miejsce, gdzie są góry, oaza i gdzie Franci mógłby na nowo odnaleźć swoje ja.

10 listopada 1991, niedaleko Jacksowille, w stanie Floryda

Bernie i Bea Peretz, jak na udane małżeństwo przystało, leżeli w łóżku, zapadając powoli w sen. On objął prawą ręką szerokie ciało; pośladki żony wbijały mu się w brzuch.

- Nie śpisz jeszcze? - mruknął.

- Nie.

- Tak jakby podjąłem decyzję. Daję sobie spokój z doktoratem.

- Nie! - Szybko przetoczyła się na plecy i usiadła.

- Już to zrobiłem, kochanie.

- Ty bałwanie! Ciągłe mówiłeś o...

- Wiem, wiem. Dobrze, jestem bałwanem. Nie wściekaj się. - Wsunął jej dłoń pod koszulę.

- Nie próbuj mnie rozpraszać.

- Nic by z tego nie było, Bea. Próbowałem, ale straciłem cały entuzjazm. Zresztą doktor historii w średnim wieku ma raczej małe szanse na znalezienie pracy; w kraju pełno jest młodych specjalistów. Poza tym wiem, że ty nie lubisz tego, co robisz.

- Czyli to moja wina? - Naprawdę nie znosiła swojej pracy. Uczyla w szkole podstawowej, podczas gdy on próbował dokończyć doktorat. W dodatku fatalnie się czuła na Florydzie. - Dam sobie radę, Bernie.

- Nie. Klamka zapadła. Zgłosiłem się już do pracy w FBI.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz?

- Tak. Zdecydowanie.

- Zastanów się! Nie chcę przez najbliższe czterdzieści lat wysłuchiwać twoich skarg. Już widzę, jak siedzisz w domu starców i opowiadasz wszystkim, że to przeze mnie nie zostałeś doktorem historii. Nie chcę zostać Złą Czarownicą Ze... przestań!

- Dlaczego?

- Bernie... - Zachichotała i położyła się na nim, po czym zajęli się tym, co udane małżeństwa lubią najbardziej.

20 lutego 1992, niedaleko Norfolk, w stanie Wirginia

- Uwielbiam z tobą tańczyć.
- W cylindrze i fraku lepiej by mi to wychodziło.
- Nieprawda.

W pokoju panowała ciemność. Neony pobliskiego centrum handlowego oświetlały sufit; zasłony zaciągnięto, a dla pewności okno zakrywał koc. Obydwoje byli nadzy.

- Mam ci coś do powiedzenia - powiedziała, gdy powoli tańczyli przy nastrojowej piosence zmarłego kompozytora.
- Czy mam zgadywać?
- Papierek był różowy.

Zachichotał.

- Nie traciliśmy czasu. - Piosenka skończyła się, a oni stanęli w miejscu, wtuleni w siebie, oczekując na kolejny utwór. Kiedy z głośnika popłynęły pierwsze takt, ona powiedziała:

- Wiesz, co dwoje ludzi może robić podczas tańca?
- Myślisz, że to możliwe?
- Mmmm.
- Jesteś zepsuta do szpiku kości.
- Mmm-hm.

Miała rację. Można to robić podczas tańca.

16

Luty - marzec 1992, Norfolk

Przez następny miesiąc tak właśnie wyglądało ich życie - Rose przyjeżdżała na weekendy, które spędzali razem w obskurnym mieszkaniu, wynajętym przez Alana w dzielnicy wyzyskiwaczy i zdzierców, otaczającej bazę marynarki. Przy głównej bramie wjazdowej oczom przyjezdnego ukazywał się jakże charakterystyczny widok - po jednej stronie wojskowy porządek, wielkie, puste przestrzenie; po drugiej beładnie porozrzucane lombardy, sklepy z bronią, salony masażu, dealerzy używanych samochodów zatrudniający nie wiedzieć czemu tylko młode dziewczęta, parterowe restauracje, które wyglądały jak plastikowe zabawki, a w których serwowano pizzę, steki, hamburgery, hamburgery z frytkami, steki z jajkiem sadzonym, kanapki z szynką, z serem, z dżemem; byli tu również mechanicy samochodowi, lichwiarze, przedstawiciele firm ubezpieczeniowych Twoja Przyszłość Nas Nie Obchodzi; oprócz tego można było zrobić sobie tatuaż, obejrzeć pornosa, uszyć ubranie czy wpaść do baru pozbawionego okien. Ta

paskudna, urągająca dobremu gustowi mieszanina sięgała aż do ulic, przy których stały rzędy przyczep kempingowych, małych, obskurnych domków i dwupiętrowych budynków z cegły; przed nimi można było zobaczyć zdeptane trawniki, plastikowe baseny i huśtawki, stare samochody, ładne dziewczęta, które wyrosły na uporczywie odchudzające się kobiety. Dalej pojawiały się miłe dla oka, niczym nie różniące się od siebie domy dla ludzi, którzy w ramach służby ojczyźnie muszą przeprowadzać się co trzy lata.

Jedyną pociechą dla Alana było to, że opłacał wynajem co miesiąc i mógł się stąd wynieść, gdy tylko Rose przyjedzie do Norfolk na stałe.

Zdażył już przywyknąć do roli młodego zdolnego, przydzielonej mu przez szefa i pozostałych analityków. W czasie jednego z zebrani komandor Reicher nazwał go ironicznie „geniuszem” i przydomek ten przylgnął do Alana, a w biurze zaczęło się mówić, że jest zbyt mądry, by dobrze na tym wyjść. On tak nie uważał: to, co zdaniem wszystkich było przejawem wnikliwości, tak naprawdę brało się z nieufności do „sprawdzonych” źródeł informacji. Wydarzenia w Somalii potoczyły się zgodnie z jego przewidywaniami - okazało się, że młodszy oficer miał więcej oleju w głowie od wielu wysoko postawionych oficjeli. Na domiar złego jego możny protektor - Shreed, którego przeprosił za swoją niewdzięczność - załatwił mu miejsce w komisji, o której istnieniu nie wiedział nikt poza komandorem Reicherem.

- Kazano mi skierować cię do Ad Hoc - powiedział któregoś dnia Reicher w czasie rozmowy na zupełnie inny temat.

- Gdzie to jest? - W pierwszej chwili Alan pomyślał, że chodzi o jakąś miejscowość w Azji Południowo-Wschodniej.

- Nie gdzie, tylko co. Komisja Ad Hoc. Podlega jakiemuś wydziałowi jakiejś komórki wywiadu. Pchnął w stronę Alana stos papierów. - W nic nas nie wplątuj. I nie udzielaj się przesadnie, dobra? W zebraniach uczestniczy ktoś ze służby śledczej marynarki, najczęściej jednak nikt się nimi zbytnio nie przejmuje. Staramy się robić dobrą minę do złej gry.

Ad Hoc - właściwie Podkomisja Ad Hoc do Spraw Współpracy Międzyagencyjnej podlegała komisji specjalnej (której przewodniczącą, jak się wkrótce okazało, była Sally Baranowski), ale żyła własnym życiem, głucha na wezwania do zakończenia działalności niczym rozpędzone kamienne koło. Kiedy Alan po raz pierwszy zjawił się na zebraniu, zauważył wolne krzesło obok miejsca zajmowanego przez czarnoskórego oficera i usiadł, zanim zdał sobie sprawę, że tym oficerem jest Kreol O'Neill.

Tylko nie mów, że zapomniałeś, jak wiele dla siebie znaczyliśmy - powiedział, śmiejąc się cicho. - „Stary chłopie”.

- Boże, Kreol! Nie spodziewałem się ciebie tu zobaczyć. O rany, nie widzieliśmy się ze sto lat. Cieszę się, że się spotkaliśmy, stary!

- Skąd ja to znam? Widzisz kogoś, myślisz sobie: „Hej, gdzieś już widziałem tego gościa”, a potem okazuje się, że spędziłeś z nim pół roku. Ale to było w innym świecie, nie? A poza tym, „ta suka nie żyje”*. Co przypomina mi teorię incognito O'Neilla - najlepszym kamuflażem jest kontekst. Wystarczy zmienić

* Przeróbka fragmentu *Żyda Maltańskiego* Christophera Marlowe'a (przyp. tłum.).

dekoracje i wszyscy wyglądają inaczej. Aha, a propos, tutaj nie nazywają mnie Kreolem. Ta ksywa obowiązuje tylko wśród lotników. Rozumiemy się?

Alan wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jego też nikt nie nazywał już Szpiegiem.

- Kontekst? - powiedział tylko. Obydwa roześmiali się. O'Neill chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rozpoczęło się zebranie.

W czasie przerwy Alan spytał O'Neilla, co właściwie oznacza termin „Ad Hoc”.

- „Doraźna”, czyli powołana do określonego celu. Innymi słowy, po wypełnieniu swoich zadań nasza komisja powinna się rozwiązać. Ale jesteśmy w Waszyngtonie; tutaj nic ot, tak sobie nie ginie. Komisja Ad Hoc działa prawie tak długo jak zrzeszenie kiperów herbaty. Mimo to warto się tu pokazać. Co zrobiłeś, żeby tu trafić? - Wydawał się lekko zakłopotany. Doszło między nimi do swoistej zamiany ról: O'Neill był w swoim żywiole, a Alan stał się neofitą, wręcz intruzem. Ku jego zdumieniu O'Neill nagle zostawił go i podszedł do przewodniczącego komisji, tęgiego białego mężczyzny po trzydziestce, który wyglądał jakby wyciśnięto go z tubki. Był pracownikiem CIA i przypominał klasowego kujona: okulary o grubych szklach, małe oczy, płaski nos - za to nosił garnitur, na jaki Alana nie byłoby stać, a O'Neill wyraźnie odczuwał przed nim respekt. Człowiek ten nazywał się Hadiey. Mówił nosowym głosem, wyraźnie akcentując słowa; jak William F. Buckley chory na gripę, powiedział ktoś.

- Hadiey to dupek - powiedział O'Neill po zakończeniu zebrania. - Ale nie wolno go nie doceniać. Pracuje dwadzieścia godzin na dobę, nawet w weekendy, a do tego jest bezwstydnym wazeliniarzem. Ale to sycha.

- Jego głos przypomina... nie wiem czemu, kojarzy mi się z Harvardem.

- No, coś ty! Ja skończyłem Harvard. Zdaje się, że Hadiey studiował w Detroit czy gdzieś. W każdym razie to nie ma żadnego znaczenia.

Dla Alana był to nowy sposób postrzegania ludzi. W eskadrze wyglądało to zupełnie inaczej. Tam Hadiey nie wytrzymałby długo; szybko stałby się obiektem niewybrednych drwin. Ale tutaj, w świetle władzy, Hadiey był kimś - a O'Neill świadomie podsycił jego próżność.

Alan powiedział o wszystkim Rose. Chciał poznać ją z O'Neillem, chciał, by go polubiła. Mimo wszystko szczerze przejął się swoim uczestnictwem w pracach komisji; dopiero po paru tygodniach dowiedział się, że tak czy inaczej powinien ją traktować ulgowo.

- Nie daj się w to wciągnąć - ostrzegła Rose. - To nie członkowie tej komisji będą cię oceniać, gdy przyjdzie co do czego.

- Tak, ale oceniać mnie będzie Reicher, a to on mnie tam wysłał.

- Wygląda na to, że chciał ci w ten sposób utrząść nosa. Może rzeczywiście jesteś za mądry, by dobrze na tym wyjść?

Alan nie mógł powiedzieć, że pracując w komisji poznawał smak pracy operacyjnej i że analiza nie dawała mu żadnej satysfakcji. „Jak przelewanie wody z jednej szklanki do drugiej”, powiedział mu O'Neill podczas jednego ze spotkań; Alan wzdrygnął się, gdy ten obraz stanął mu przed oczami (nie wiedział, że O'Neill zaczerpnął porównanie z Czechowa).

Nadal pisał więc raporty i przygotowywał odczyty; składał wizyty na pokładach lotniskowców i krążowników; latał też do Quantico, gdzie opowiadał żołnierzom piechoty morskiej o punktach zapalnych na całym globie. Raz na tydzień spotykał się ze studentem z Tanzanii, który głównie naśmiewał się z jego swahili, zamiast uczyć. Poza tym Alan czekał, aż Rose dostanie nową pracę, żeby wreszcie mogli znaleźć sobie prawdziwy dom.

I pracę dostała.

Przyjechała w piątek. Alan jak zwykle wyszedł po nią na lotnisko, jak zwykle całowali się i szeptali słodkie słówka, a, kiedy samochód przedzierał się przez padający deszcz ze śniegiem, Rose zaczęła:

- Mam ci coś do powiedzenia.

- Jesteś w ciąży, zgadłem?

- Nie, o tym ci już chyba mówiłam. - Ścisnęła go za udo. - Widziałam się z moim szefem. Zaferował mi naprawdę wspaniałą posadę. Plus jedną nie tak wspaniałą.

- Doskonale!

- Starali się tak to załatwić, żebyśmy mogli być razem; takie mają zasady. No i fakt, że jestem w ciąży, nie będzie stanowić przeszkody. Jedna z ofert dotyczy pracy w Norfolk, praktycznie obok ciebie. Oficer odpowiedzialny za paliwo w biurze Floty Atlantyckiej.

- Wspaniale! - Już widział oczami duszy mieszkanie niedaleko bazy, krótką, przyjemną jazdę do pracy. Doświadczenie nauczyło go, że dojazd jest niezwykle ważny.

- Ta druga oferta dotyczy pracy w Little Creek.

- Och, to niedobrze. - Little Creek znajdowało się o godzinę drogi od bazy. Za daleko, żeby jeździć tam samochodem, pomyślał.

- W sztabie brygady.

Kiedy zamilkła, Alan poczuł się, jakby został skarcony, jakby Rose pociągnęła za smycz, na której był uwiązany. Sztab brygady. No cóż, to rzeczywiście krok na drodze do zrobienia prawdziwej kariery. Ale przecież Rose go nie poświęci, nie poświęci jego... jego (unikał terminu „komfort psychiczny”, a tym bardziej „wygoda”), powiedzmy, odpowiedzialności - dla własnej wygody? Czy może komfortu psychicznego?

- No cóż, kochanie... Boże, to tak daleko.

- Znajdziemy dom w połowie drogi.

Nie powiedział, że dojazd do Little Creek jest łatwy, a droga do Norfolk to prawdziwe piekło. Zamiast tego stwierdził:

- Mam nadzieję, że uwzględniś potrzeby nas obojga.

Wyraźnie się zdenerwowała. Alan zdał sobie sprawę, że czekała na to od chwili, gdy wsiadła do samochodu. Zdążył jeszcze pomyśleć, że będzie to ich pierwsza prawdziwa kłótnia małżeńska, gdy Rose wybuchła i zaczęła na niego krzyczeć.

- Mam dostać awans na komandora podporucznika! Wiesz, jaka jest konkurencja?! Ty jesteś młodszym oficerem, na Boga!

- Zaraz, zaraz! Mnie to też dotyczy!

- Nie będziesz mieszał się do moich spraw!
- Rose, Rose, posłuchaj, co ty...
- Pieprz się! Już się zgodziłam na pracę w Little Creek!

Wtedy i on się wściekł. Poczuł się urażony jej ambicjami. Podjęła decyzję bez jego wiedzy, nawet nie spytała go o zdanie. To było takie jednostronne. Takie okrutne. Takie niesprawiedliwe.

Resztę drogi przejechali w milczeniu; ten kwadrans wydawał się wiecznością. Alan był wściekły. Czuł się wykorzystany. Rose wysiadła z samochodu, gdy tylko się zatrzymał i podeszła szybkim krokiem do drzwi mieszkania, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu klucza, klnąc siarczyście pod nosem. Alan wysiadł powoli, oczekując, że usłyszy z jej ust coś, co sprawi, iż z czystym sumieniem odwiezie ją z powrotem na lotnisko - i wtedy zobaczył ją, pochyloną, zdenerwowaną, z kroplami deszczu połyskującymi na ramionach i włosach. Przypomniawszy sobie piękną nieznajomą z dubajskiego suku i dotarło do niego, co ona dla niego znaczy.

- Rose - powiedział łagodnie. Wciąż dzielił ich od siebie samochód. Rose odwróciła się i spojrzała na Alana.

- Rose, to ja - powiedział. - Gratuluję ci nowej pracy. Chcę tego, czego ty chcesz.

Obszedł samochód i niezgrabnie padli sobie w objęcia. Ona zaczęła coś mówić o „Złej Rose”. Powtarzała, jak bardzo jest jej przykro, a on tłumaczył, że zachował się jak ostatni dureń.

- Następnym razem kolej na ciebie - powiedziała. - Słowo honoru. Ja muszę dostać tę pracę. Naprawdę!

- Wiem. Masz całkowitą rację. Tylko... następnym razem... czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać?

- Bałam się, że będziesz temu przeciwny.
- No cóż... - Pomyślał o długim dojeździe w obie strony. - Masz rację, byłbym.
- A widzisz?
- Mała kłótnia, czy raczej rozmowa, jeszcze nikomu nie zaszkodziła.
- W mojej rodzinie wszyscy się wściekają i zaczynają na siebie krzyżeć.

Mniej więcej tak, jak ja przed chwilą.

- Nie mówimy o twojej rodzinie, tylko o naszej. Wejźmy do środka, pada deszcz.

Powstrzymała go.

- Kochasz mnie?

- Dla nikogo innego nie zgodziłbym się na to, by jeździć taki kawał drogi dwa razy dziennie. To musi być miłość. - Wciągnął ją do mieszkania. - Pozatym, jestem ojcem twojego dziecka.

**1 kwietnia 1992, 21.53 czasu Greenwich, Centrum Badawcze
Wydziału Łączności Marynarki Wojennej**

Donnie Marengo zrobił miejsce w swojej czarnej torbie, między celofanowym workiem z resztkami drugiego śniadania a magazynem „Wired”, po czym

zaczął się pakować: włożył do środka egzemplarz „Wiadomości Lotniczych” ze stemplem biura na okładce - po to, by było wiadomo, że ma w zwyczaju zabierać rzeczy z biura do domu; dwa diagramy przedstawiające projekty wspólnej amerykańsko-rosyjskiej stacji kosmicznej, odbite na biurowej kopiarce z ogólnie dostępnych pism; a oprócz tego jedenaście stron skserowanych z tajnego raportu dotyczącego kodowania transmisji satelitarnych. Na koniec wsunął do torby kopię długiego wiersza o biurokracji - sporo marnych dowcipów i humoru dla wtajemniczonych.

Przed zabraniem tajnego raportu Donnie długo się wahał. Po pierwsze, dokument ten pochodził sprzed ładnych paru lat. Po drugie, niedawno obniżono jego stopień tajności, ale Izraelczycy nie mogli o tym wiedzieć. Amoże...? Donnie żałował, że tak słabo się na tym wszystkim zna. Czy Izraelczycy zatrudniali innych ludzi, którzy mieli im dostarczyć to samo co on, po to, by jego sprawdzić? A może to on zdobywał te materiały po to, by mogli sprawdzić jakiegoś innego gościa? Na samą myśl, że ktoś inny z tego biura miałby robić to co on, Donniego ogarnął smutek, który po chwili przerodził się w gniew. Nie chciał dawać nikomu, nawet Izraelczykom, prawdziwie ważnych dokumentów, dlatego wygrzebał te starocie. To były pierwsze zabrane przezeń materiały; Donnie wierzył, że będzie w stanie zwodzić swoich nowych pracodawców za pomocą takich ochłapów, do czasu, aż... może aż tata da sobie z tym spokój albo skończy służbę w marynarce, albo... wszystko jedno. Z drugiej strony, przecież Izraelczycy to Żydzi, a wszystkim wiadomo, że Żydzi są cwani. Czy aby czegoś nie zaczęą podejrzewać?

Z wysuniętym czubkiem języka, Donnie wyglądał jak młody człowiek, który znalazł sobie niezwykle emocjonujące zajęcie; w niczym nie przypominał szpiega wykradającego nieaktualne tajemnice państwowe. Przywodził na myśl raczej kogoś, kto pakuje się przed wyjazdem za miasto i zastanawia się, czy wziąć szczoteczkę do zębów, czy przerwatwę. Nie wyglądał na człowieka, który przeżywa moralne rozterki. A mimo to...

To nie w porządku, pomyślał po raz nie wiadomo który. Nie winił swojego ojca. Ojciec miał wiele problemów, a los poskapał mu zaradności i cierpliwości. Donnie Marengo domyślał się, że matka odeszła, bo miała dość ciągłych krzyków, pijaństwa i okazywanego jej braku zaufania; także jego siostrom nie dane było zaznać ciepła rodzinnego. A jednak, mimo wszystko, Donnie kochał ojca i wiedział, że ojciec jego też kocha (na swój sposób, pomyślał jak zawsze). Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zawsze traktowany był lepiej od matki i sióstr. Miał szczęście - nie poznał ojca od tej drugiej, mrocznej strony. Nawet kiedy matka zabrała Donniego i dała mu nazwisko mężczyzny, z którym odeszła, Bonner nie zerwał kontaktów z synem. Odtąd Donnie szczerze wierzył, że musi mu się odplacić miłością - choć ojciec otrzymał już od niego wiele jej dowodów, nigdy nie było ich dosyć. Chciał też, jak prawie wszyscy synowie, by ojciec był z niego dumny. By go lubił. Chciał, żeby ojciec... żeby co?... wynagrodził sobie wszystkie swoje cierpienia. I ból, jaki sprawił innym.

Donnie Marengo był inteligentny, ale nie mądry - mądrość przychodzi z wiekiem. „Marengo mógłby wiele osiągnąć, gdyby tylko”... powtarzali jego przelo-

zeni, kończąc w myśli: „Gdyby tylko wydorostał”. Nie wiedzieli, że ojciec postawił go w obliczu dylematu, który nie dawał mu na to dość czasu.

Donnie zasunął torbę, ale nie do końca.

W windzie starał się zapanować nad nerwami. Wydawało mu się, że zaczyna boleć go głowa. Zmusił się, by powoli oddychać, tak jak pisali w książce. Wmówił sobie, że nie wolno mu się spieszyć, ale wcale nie szedł za szybko, więc była to z jego strony przesadna ostrożność. W holu stanął posłusznie za bubkami z biur w kolejce do jednego ze stanowisk ochrony; dyżurowali przy nich nawet nie ludzie z marynarki, tylko pracownicy jakiejś firmy ochroniarskiej. Żartując między sobą, bez większego zainteresowania przerzucali zawartość toreb i torebek. Ani na chwilę nie przerywali rozmowy.

Donnie otworzył torbę i podniósł ją. Palce mu drżały, ale nie na tyle, by dało się to zauważyć. Ochroniarz zajrzał do środka i machnął ręką.

Donnie wyszedł.

Nie zawsze pójdzie tak łatwo, pomyślał. Trzeba będzie zrobić w torbie drugie dno. A może wystarczy dodatkowa kieszeń w płaszczu. Płaszcz nigdy nie sprawdzali. Kieszeń można będzie przyszyć na maszynie do szycia. Oczywiście, kiedy będzie to robił, żona go wyśmiej; im więcej ćpała, tym kąśliwsze stawały się jej docinki.

Życie było do dupy.

17

3 kwietnia 1992, Norfolk

Zamiast wynajmować mieszkanie, kupili dom, stojący bliżej Little Creek niż Norfolku. Konieczność dokonania tak ważnego wyboru sparaliżowała Alana, na szczęście Rose zachowała trzeźwość umysłu i tak wszystko załatwiła, że długi, w jakie popadli, zaczęły się wydawać zyskiem. Alan przypomniał sobie mimochodem, że ma już dom, tyle że na Florydzie. Odnajął go jakimś ludziom - Povick wyjechał, przebywał gdzieś na Morzu Śródziemnym - i kiedy w czasie jednej z wizyt robił porządki, ogarnęło go poczucie winy wywołane faktem, że oto bezceremonialnie wyrzuca z domu ducha własnego ojca.

Po wprowadzeniu się do nowego domu młodzi małżonkowie zorganizowali przyjęcie. Rose miała wielu przyjaciół w marynarce; jak się okazało, Alan też. Zjawili się państwo Peretz; późnym wieczorem Alan zauważył, że Rose i Bea Peretz rozmawiają szeptem, nachylone ku sobie niczym dwie spowite mrokiem siostry. Harry O'Neill (nie wolno już było nazywać go Kreolem) przyszedł z żoną, ładną, naburmuszoną kobietą, która, jak wynikało z zasłyszanej przez Alana uwagi, uważała, że towarzystwo nie dorównuje jej poziomem intelektualnym. Na

parę minut wpadł jego nowy dowódca. Kiedy goście wyszli, a gospodarze zabrali się do sprzątania, Rose powiedziała:

- Polubiłam Beę Peretz.
- Nie znałem jej od tej strony. Przedtem wydawała mi się dość krzykliwa.
- Obiecała, że zaprowadzi mnie do sklepu z tanimi ubrankami dla dzieci. -

Rosę ustawiła szklanki na tacy. - Natomiast żona twojego przyjaciela O'Neilla nie przypadła mi do gustu. To snobka.

- No, co ty. - Oczywiście, żona Harry'ego O'Neilla była snobką, ale Alan nie chciał, by Rose tak mówiła.

- Wiem, kiedy traktuje się mnie z wyższością. Może jestem wieśniaczką z Nowego Jorku, ale takie rzeczy potrafię wyczuć.

- Cóż... - Alan próbował jej bronić. - On skończył Harvard.

Rosę parsknęła śmiechem.

- Tak właśnie moja matka mówi o tobie - „chłopak z Harvardu”. - Wyszła z kuchni i padła na krzesło. - Nie mam siły. Ale przyjęcie wypadło niezłe, co?

- Niezłe, owszem. - Właśnie otwierał okna. - Za dużo tu dymu. To może zaszkodzić dziecku. A propos, co u niego słychać?

- Brzuch mi zaczyna rosnąć. Muszę kupić jakieś większe ciuchy.
- Czy szyje się specjalne mundury dla kobiet w ciąży?
- Oby.

Alan dość szybko przyzwyczał się do codziennych dojazdów do pracy - po drodze miał czas, by pomyśleć, przygotować plan dnia. Często stawiał się w pracy za wcześnie, bo starał się uniknąć korków; korzystając z tego, przeglądał świeże wiadomości, raporty, rzucił okiem na podsumowania, będące jego poranną prasą. W czasie jazdy słuchał wiadomości w radiu; potem oglądał CNN i, jeśli miał dość czasu, sprawdzał parę adresów internetowych, głównie uniwersyteckich, gdzie niekiedy pojawiały się interesujące prace na temat sytuacji w Afryce.

Pewnego ranka, gdy odwrócił się od monitora, ujrzał za sobą komandora Reichera.

- Myślałem, że jesteś żonaty, Craik.
- Bo jestem.
- Codziennie przychodzisz tu tak wcześnie?
- Staram się uniknąć korków.

- Gdybyś chciał się tu wprowadzić na stałe, mógłbym do Afryki dorzucić ci Europę i Japonię. Taki geniusz jak ty na pewno by sobie z tym poradził.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, wołałbym, żeby przestał pan ze mnie drwić.

- A ja wołałbym, żebyś nie mówił do mnie w ten sposób. Będę cię nazywał, jak zechcę. Choćbyś potrafił chodzić po wodzie, jesteś młodszym oficerem i musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Praca stała się rutyną, podobnie jak zebrania komisji Ad Hoc. Alan zaczynał żywić obawy, że zmierza donikąd, że stał się wiewiórką w klatce. Obfitujące w emocje życie lotnika zastąpiła codzienna, monotonna harówka. Choć nadal nosił mundur, odbywał inspekcje, salutował, to jednak uważał siebie za cywila w prze-

braniu. Uświadomił sobie, że za bardzo przywykł do służby w eskadrze. Wszyscy pracownicy wywiadu marzyli o prowadzeniu takich analiz jak on. A może brakowało mu latania...? Spójrz prawdzie w oczy, pomyślał Alan, nękała cię choroba powietrzna i nigdy nie byłeś najlepszy. Z drugiej strony, nic nie mogło równać się z poczuciem satysfakcji z dobrze wykonanego zadania, z misji zakończonej sukcesem. Brakowało mu też ludzi, z którymi zetknął się w czasie służby na lotniskowcu.

Rosę była niezwykle zadowolona ze swojej pracy, z nowych znajomych i obiecująco rozwijającej się kariery; w miarę jak dziecko rośło w jej łonie, robiła się coraz bardziej zdecydowana i pewna siebie. Tymczasem Alan czuł się coraz bardziej sfrustrowany faktem, że śmierć jego ojca pozostawała niewyjaśniona. Przez pewien czas zastanawiał się, czy nie poprosić o przeniesienie, a nawet miał ochotę wystąpić z marynarki. Rozmawiał już ze znajomym, który pracował w kontrwywiadzie; myślał, że znalazłoby się tam dla niego miejsce. Wydawało mu się, że tam wreszcie mógłby robić coś, co rzeczywiście miałooby znaczenie.

Dlatego też, gdy nadszedł czas oceny pracowników, wcale się tym nie przejął. Gdyby został ostro skrytykowany, mógłby z czystym sumieniem poszukać sobie innego zajęcia. Poza tym dowódca wyraźnie za nim nie przepadał -jeszcze jeden argument przemawiający za odejściem z marynarki.

O wyznaczonej porze Alan wszedł do gabinetu Reichera, zgodnie z poleceniem usiadł, po czym grzecznie odpowiedział na wszystkie pytania dotyczące pracy, analiz, problemów osobistych. (Nie mam żadnych, powiedział.) Reicher był w koszuli; w pewnym momencie odchylił się na fotelu i oparł głowę na dłoni, wpatrując się w Alana jak w egzotyczny i odpychający okaz. Wreszcie pochylił się i rzucił na biurko kartkę papieru.

- Wstępna opinia - powiedział.

Alan wziął ją do ręki i przeczytał: „Jeden z dwóch najlepszych oficerów pod moim dowództwem.” Spłonął rumieńcem.

- Jesteś zdziwiony - zauważył Reicher.

- Tak jest.

- Dlaczego? Kompleks niższości?

- Ja... tego, ja myślałem, że pan za mną nie przepada, sir.

- Bo nie przepadam. Co to ma z tym wspólnego? - Przynal się z fotelem w stronę Alana, jakby chciał się na niego rzucić. - Zwróć uwagę, że napisałem: „Jeden z dwóch”. W opinii tego drugiego napisałem dokładnie to samo. Wiesz dlaczego? Bo chcę, żebyście byli jeszcze lepsi. A jak to osiągnąć? Musicie być starsi i mądrzejsi. Ty już masz szczęście, więc nie powiem ci, że musisz je mieć. Świetnie radzisz sobie na odprawach. Masz doskonałą intuicję i dlatego twoje analizy są tak dobre. Nieco gorzej wychodzi ci zwyczajna harówka. Chcę, żebyś nauczył się harować, jak my wszyscy. Musimy grzebać w gównie, w tonach gówna; w ten sposób czasem udaje się nam znaleźć diamenty. Nie mówię o zwyczajnej pracy. Wiem, że tyrasz jak niewolnik; właśnie miałem ci powiedzieć, że za ciężko pracujesz. Chodzi mi o to, że powinienes przyjmować cierpliwie to, co

nudne, zwyczajne. Bezsensowne pomysły. Chybione analizy innych pracowników. Idiotyczne prognozy. Twoje własne pomyłki; wszyscy je popełniamy, nawet ty. Brakuje ci latania, Craik?

- Czasami. Najbardziej brakuje mi ducha zespołowego.

- A, tak. Sława i chwała, no nie? - Reicher nie był lotnikiem (zapewne nigdy nie słyszał o Mike'u Craiku i w związku z tym niczego nie oczekiwał po jego synu - co za ulga), ale oczywiście niejedno przeżył w czasie służby w marynarce. - Nie wyglądasz mi na szczęśliwego młodego człowieka, a to mnie niepokoi. Dopiero co się ożeniłeś, masz wspaniałą żonę, wkrótce zostaniesz ojcem - o co ci chodzi?

Przez chwilę Alan miał ochotę opowiedzieć o szpiegu, który spowodował śmierć jego ojca - szpiegu, w którego istnienie nikt nie wierzył - ale ugryzł się w język.

- Po prostu chciałbym być bardziej... aktywny - odparł tylko.

- Chciałbyś, żeby służba w marynarce była bardziej ekscytująca? W jakiej roli widzisz siebie - Clint'a Eastwooda? Toma Cruise'a? - Reicher odchylił się i splótł dłonie za głowę. Jego twarz wyglądała jak wyciosana z kawałka twardego drewna. Dopiero teraz Alan uświadomił sobie, że Reicherowi też często dawało się we znaki zwątpienie, niepewność, czy to, co robi, ma jakąkolwiek wartość. Zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie tak mało o nim wie i zdał sobie sprawę, że nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali.

- Niedługo zostaniemy poproszeni o przygotowanie specjalnego raportu na temat Afryki. - Raport. Wielkie rzeczy. - Czuję to. W telewizji ciągle mówią o głodzie, korupcji, o bajzlu w Somalii. Poza tym zbliżają się wybory; ci z Waszyngtonu wczytują się w badania opinii społecznej i niektórzy z nich mają dość oleju w głowie, by zażyczyć sobie specjalnego raportu. Weźmiesz udział w jego opracowaniu. - Reicher znów pochylił się do przodu. Fotel jęknął. - Chciałeś zmiany, to masz. Departament obrony planuje wysłać do Afryki grupę specjalistów, aby zbadali sytuację w jednym z portów; poproszę, żeby wzięli cię ze sobą. - Podkreślał niektóre słowa uderzając palcem w biurko. - Chcę, żebyś tam pojechał; chcę, żebyś patrzył i słuchał; i masz zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Nie zbieraj informacji. Rozumiesz, co to znaczy? Nikomu za nic nie płac, nikomu nic nie proponuj, nikomu nie stawiaj lunchu. Trzymaj się z dala od tych spraw; tym zajmują się ludzie z wydziału operacyjnego. Dasz radę się powstrzymać?

Alan uśmiechnął się.

- Chyba tak.

- To dobrze. Grupa wybiera się do Mombasy. Bez zgody władz miejscowych - co oznacza, że są takimi nieco lepszymi turystami. Wizy załatwią przez Departament Stanu, ja się tym nie zajmuję. Nawiążą współpracę z miejscową policją... to powinno być ciekawe... i zawrą pokój z rezydentem CIA, który będzie miał to gdzieś, bo jego nie obchodzi, czy Mombasa nadaje się na miejsce postoju naszych okrętów, czy nie. Wizyta potrwa parę tygodni. - Reicher spojrzal na Alana nieco z ukosa. - Somalia. Ciebie obchodzą dwie sprawy: jedna - co

dzieje się w obozach dla uchodźców, i druga - jaki ma to wpływ na sytuację w Mombasie. Rozmawiaj z ludźmi. Zaopiekuj się tobą wysoki rangą agent NCIS.

- To mi wygląda na zbieranie informacji.

- Nieważne. Ty masz stać z boku i obserwować, jak to wszystko się odbywa. Po pewnym czasie możesz pojechać w dowolne trzy miejsca, by porozmawiać z naszymi ludźmi. Miej oczy otwarte. Oczekuję od ciebie raportów na temat sytuacji w porcie i gotowości Somalijszczyków na przyjęcie naszych wojsk, oraz wypracowania na temat „Co robiłem w wakacje”, w którym opiszesz swoje osobiste wrażenia. Nauczyłeś się tego ich języka?

- Trochę. W jakie trzy miejsca mogę pojechać?

- Ty mi powiedz, w końcu jesteś specem od Afryki. Jakie miasta chciałbyś zobaczyć?

- Kinszase, Johannesburg - Pretorię, gdybym miał spotkać się z *attaché* -i Kigali lub Kampalę. Naprawdę mogę to zrobić?

- Jeśli nic sienie zmieni, rozkazy przyjdą w przyszłym tygodniu. W czasach zimnej wojny, kiedy mieliśmy forsę jak lodu, każdy analityk obowiązkowo musiał złożyć wizytę w krajach, którymi się zajmował. Skoro masz rozmawiać z grubymi rybami w Senacie, lepiej, żebyś mógł powiedzieć, że byłeś w Afryce. Przed wyjazdem skocz do Quantico i porozmawiaj z chłopakami z piechoty morskiej. Ostatnio trochę panikują. Myślą, że jeśli wkroczymy do Somalii, oni pójdą na pierwszy ogień. Nie snuj żadnych domysłów; pewnie będą próbowali z ciebie jak najwięcej wyciągnąć. Aha, i niech Top Salter podszkoli cię w strzelaniu. - Wyciągnął ołówek w stronę Alana. - Nie będziesz oficerem operacyjnym. Masz u mnie pracować przez trzy lata jako analityk. Zanim odejdę na emeryturę, będziesz najlepszym z moich podkomendnych, niejednym z dwóch najlepszych. Mam wysokie wymagania. Nie zawał sprawy. - Reicher rozchylił usta w lekkim uśmiechu. - To wszystko.

- To tylko kilkanaście dni - tłumaczył Alan Rose. - Nawet nie zauważyysz, że mnie nie ma.

- To nieodpowiednia pora. Przecież jestem w ciąży!

- Rose, zostało jeszcze kilka miesięcy.

- Ale sam mówiłeś, że nie musisz tam jechać.

- Jestem analitykiem zajmującym się Afryką, a nigdy nie byłem w Afryce.

To niepowtarzalna okazja.

- Gówno prawda. Mówiłeś, że Reicher cię nie znosi. Co, teraz nagle zapalał do ciebie miłością? Też coś. Na pewno chce przed końcem roku pozbyć się pieniędzy z budżetu.

- Jesteś nie w sosie.

- Dziwisz się?

- Przecież masz wspaniałą pracę.

- Chcę być z moim mężem.

- Mówisz jak typowa żona oficera marynarki.

- Wiem, wiem. - Objęła go za szyję. - Bądź ostrożny; żadnych wybryków, wszyscy tam mają AIDS. Trzymaj się z daleka od dżungli. Dokąd właściwie jedziesz?

- Do Mombasy.

- Chcą tam wysłać nasze okręty? Po cholere?

- Chodzi o sytuację w Somalii. Zresztą, kto wie, czy nie wydarzy się coś jeszcze. My musimy tylko porozglądać się przez parę dni, pogadać z różnymi ludźmi, a potem napisać coś na kształt przewodnika turystycznego.

- Co to znaczy „różnymi ludźmi“?

- Gliniarzami, handlarzami, no i, wiesz... prostytutkami...

- Z nimi niech rozmawia kto inny.

Wieczorem leżeli w łóżku, wsłuchani w odgłosy dobiegające z głębi domu: szum pieca, kapanie wody. Rose wtuliła się w Alana.

- Wiem, że ostatnio nie jest ci lekko. Prawda? - Nie odpowiedział. - Czego właściwie chcesz?

- Chyba tęsknię za eskadrą. Mam dosyć siedzenia za biurkiem. Nic więcej. Wtedy Rose pocałowała go, delikatnie muskając ustami jego wargi, jak czy nią to prawdziwie kochający się ludzie.

- Chodzi o twojego ojca?

Alan opowiedział jej wszystko - o tym, jak ojciec próbował zatankować, o jego ostatnim geście, o braku postępów w śledztwie. Łzy napłynęły mu do oczu. Odwrócił się, by tego nie zobaczyła; ona delikatnie ujęła jego twarz i odwróciła z powrotem ku sobie, po czym pocałowała męża w usta.

- Chciałbym... coś zrobić - wyszeptał. Robić coś, co pozwoliłoby mu po znać prawdę o śmierci ojca. Nie musiał tego mówić, Rose doskonale go rozumiała. Smutek ścisnął Alana za gardło. Spróbował się uśmiechnąć. - A na razie jadę do Mombasy.

Przy kasach biletowych na lotnisku imienia Dullesa Alan usłyszał wołanie. Nie zwrócił na to większej uwagi, ale po chwili krzyk rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy:

- E, Szpieg! - Alan odwrócił się i zobaczył Rafehausena. Na chwilę stracił poczucie rzeczywistości.

- Szpieg, co ty, głuchy jesteś? Drę się jak głupi od paru minut! - Rafe przeszedł przez sznur oddzielający ich od siebie. - Mam mniej więcej pół minuty czasu, potem muszę biec na samolot. Nieźle wyglądasz. Słyszałem, że się ożeniłeś.

Podzielili się nowinami. Kiedy Alan spytał o sprawę Tailhook*, Rafe skrzywił się.

- Byłeś tam, Rafe? - Alan nie interesował się lotnictwem od tak dawna, że zdziwiła go reakcja na jego pytanie.

* Głośny skandal, który wybuchł po corocznym zjeździe oficerów marynarki wojennej w Las Vegas w 1991 roku. Wielu jego uczestników zostało oskarżonych o seksualne napastowanie przybyłych na zjazd kobiet. Nikt nie został skazany (przyp. tłum.).

- Nie, do cholery. Ale zaczęło się polowanie na czarownice. Byłeś z nami na morzu, Szpieg, wiesz, jak tam jest - to inny świat. Jakieś bałwany zapomniały po przyjeździe do Vegas, że na łądzie obowiązują inne zasady, i tyle. Trzeba wie dziecić, na co można sobie pozwolić.

Alan przypomniał sobie swój pobyt na morzu: pseudonimy, sprośne dowcipy. Latanie. Salut ojca, Christine spadająca z nieba. Inny świat, gdzie obowiązywały specjalne zasady, których celem było zachowanie przez wszystkich zdrowych zmysłów. Nie sypać piachu w tryby. Rafe wyraźnie chciał zmienić temat.

- Słyszałeś o Christine?

Nie, Alan nie słyszał.

- Runęła do wody. Zabrała ze sobą czterech ludzi. W czasie nalotu na pola uprawy narkotyków w jakimś podrzędnym państewku na południu. No cóż, ta suka zawsze trzymała klasę. Muszę lecieć, Szpieg. - Rafe prowadził wykłady w Pensacola. - A co u ciebie?

- Lecę do Afryki.

Rafę wyraził swoje ubolewanie z tego powodu.

- Brakuje ci latania, Alan?

Rafe nigdy dotąd nie zwracał się do niego do imienia.

- Jeszcze jak.

Rafe parsknął śmiechem.

-> Miło wiedzieć, że geniuszy też to bierze.

- Zadzwoń, gdybyś przyjechał do Norfolk.

- Jasne. Uważaj na siebie w Afryce, Alan. - Rafe poszedł. Alan przez chwilę stał w miejscu. Rafe dwa razy zwrócił się do niego po imieniu. Sprawa Tailhook musiała być naprawdę drażliwym tematem.

W Londynie Alan poznał swojego „partnera” (a właściwie opiekuna), cywilnego pracownika NCIS. Mike Dukas był starszym, tęgim mężczyzną o silnym charakterze. Typowy gliniarz z marynarki. Po wypiciu kilku piw w londyńskich pubach i krótkim spacerze po Piccadilly, Dukas zabrał Alana na lotnisko Gatwick. Po drodze wygłosił krótką mowę:

- Po pierwsze, nie zachowuj się jak żołnierz. Stopnie wojskowe od tej pory nie mają dla nas znaczenia. Jestem upierdliwym, gadatliwym Grekiem; zresztą ty też sporo się nagadasz. Nie nazywaj mnie „sir”, mów mi Mike. W porządku?

Dziewięć tysięcy metrów nad Morzem Śródziemnym Mike wygłosił wykład o Mombasie.

- To wspaniałe miasto. Gliniarze są brutalni, skorumpowani i słabo wyszkoleni, ale jest też kilku naprawdę dobrych. Spotkamy i takich, i takich. Zaproszę paru z nich do jakiejś knajpy, spróbuję poznać ich bliżej. Oczywiście możesz pójść ze mną. Ale chciałbym, żebyś zabawił się w turystę. Pospacerujesz po Starym Mieście, porozmawiasz z miejscowymi. Trzeba dowiedzieć się, ilu jest w mieście libańskich handlarzy. Sprawdzimy to w książce telefonicznej, odwiedzimy tyłu, ilu się da. Rozejrzemy się po ich sklepach, zobaczymy, czym handlują, jak zareagują na naszą obecność.

Alan rzadko dziwił się czemukolwiek, ale tym razem był szczerze zdumiony. Może Rose miała rację: zesłano go do Afryki za karę, a Mike dla zabicia czasu wymyślił mu jakieś bzdurne zajęcie. Na jego twarzy odbił się głęboki zawód.

- Al, posłuchaj; większość Libańczyków to zakamuflowani Irańczycy. Ci handlarze tworzą siatkę agenturalną, przy wykorzystaniu której można wyeliminować paru marynarzy w Mombasie. Nudna robota, ale ludzie z kwatery głównej dmuchają na zimne.

- Mike, nie obraż się, ale to wydaje się dosyć... hmmm...

- Nudne? Przykro mi, panie Bond. - Dukas zsunął czapkę z daszkiem na oczy.

18

7 kwietnia 1992, 10.31 czasu Greenwich, Mombasa, Kenia

Ujrawszy Europejczyka zaglądnącego przez okno do sklepu, Franci zmarszczył brwi.

Tak samo reagował na widok wszystkich. Do sklepu przychodziło coraz więcej klientów, niektórzy nawet wracali po kilka razy. Franci wcale tego sobie nie życzył i traktował ich dość obcesowo. Sklep Bash-O-Vision na dobre wtopił się w pejzaż okolicy, ale jego właściciel nie miał ochoty dalej prowadzić interesu. Któregoś dnia postanowił nieco się rozerwać i ogłosił wyprzedaż towarów po niższych cenach; Chińczyk, nachmurzony, stał przez cały dzień przed drzwiami i kręcił z niedowierzaniem głową. Risa najpierw wyglądała na przerażoną, a potem zaczęła się wściekać; obawiała się, że zabiorą ich z powrotem do Iranu i powieszą za przywłaszczenie różnicy między ustaloną odgórnie ceną a ceną wyprzedaży. „Obniżka cen o połowę! *Starehe* - prawdziwa okazja!” Głupia kobieta, pomyślał i mimo wszystko zrobił, co zamierzał. Potem któregoś ranka zerwał ten napis, tylko dlatego, że mu się znudził.

Franci nie zwracał już sobie głowy żoną - mieszkał w swojej części domu, od pewnego czasu nawet sam sobie gotował. Młodzi małżonkowie praktycznie się do siebie nie odzywali; Risa co najwyżej od czasu do czasu krzyczała do niego, żeby się zamknął, a on wtedy zdawał sobie sprawę, że mówi do siebie. Niemal przestał sypiać. Nocami krążył po swojej części domu i wychodził na ulicę. Zauważył, że zaczęły mu drzeć ręce; obawiając się, że to objaw jakiejś choroby, zaciskał je w pięści i chował do kieszeni. Chociaż prawdopodobnie było już na to za późno, zaczął dezynfekować wszystko, czego dotyczył, przecierając po kilka razy każdą powierzchnię. Zawsze czuć od niego było środkiem odkażającym.

A teraz, na widok tego Europejczyka, poczuł gniew. Ten człowiek z pewnością okaże się turystą, który zawędrował tam, gdzie nie powinien; wkrótce, gdy

tylko zda sobie sprawę, że sklep Bash-O-Vision to typowa dla Trzeciego Świata nora, wróci do ekskluzywnej dzielnicy. Idź już, idź, myślał Franci, idź w diabły. W tym momencie nieznajomy wszedł do środka. Był młody, wysoki, ciemnowłosy - nie Europejczyk, typowy Amerykanin. Uśmiechnął się.

- *Salaam alekem* - powiedział.

- Nawzajem - odburknął Franci po angielsku. - Czego pan chce?

- Potrzebne mi są baterie.

Franci kiwnął głową w stronę ściany za plecami nieznajomego.

- Nie mamy amerykańskich baterii.

- Chodzi mi o paluszki.

Franci wiedział, że ten człowiek nic u niego nie kupi. Był przecież Amerykaninem; chciał dobrych baterii, nie tego chińskiego gówna dostarczanego przez dostawcę z Adenu.

- Mam tylko Tiger Brand.

- No cóż, będę się musiał tym zadowolić. - Wziął dwa opakowania i położył je na wysokiej ladzie.

- Nie wytrzymają długo - powiedział Franci. Był zirytowany tym, że nieznajomy nie zachowywał się tak, jak powinien. - Chińskie... do niczego. Krótko działają.

- Doskonale mówi pan po angielsku. Wie pan, próbuję zagadywać ludzi w łamanym swahili, ale oni zawsze odpowiadają mi po angielsku.

- To kolonia brytyjska - powiedział Franci i niechętnie wziął pieniądze.

- Pan mówi raczej z amerykańskim akcentem.

- Uczyłem się języka u Amerykanów. Proszę, czterdzieści szylingów reszty.

- W Stanach?

- Nigdy nie byłem w Stanach! - Powiedział to zbyt ostrym tonem, żeby wypadło przekonująco. - Jestem z Bejrutu. - A jeśli Amerykanin był irańskim szpiegiem, który miał go sprawdzić? - Skąd dokładnie pan pochodzi?

- Z Wirginii. Około sześciuset kilometrów na południe od Nowego Jorku. Wschodnie Wybrzeże.

- Tak, tak, tak. - Franci mógł powiedzieć, że był kiedyś w Williamsburgu. Ogarnęła go nostalgia: do Williamsburga pojechał z Amerykanką, która wprost szalała za nim. Ach, te stracone okazje! Poczul głęboki smutek. - Pamiętam, widziałem Wirginię na mapie w szkole - mruknął Franci. - George Waszyngton. - Spojrzał na Amerykanina w nadziei, że zmusi go do błędu.

- Tak. Mount Vernon*. - Wsunął baterie do torby przewieszzonej przez ramię. - Można tu gdzieś napić się herbaty?

- Herbaty? Nie, ja nie sprzedaję herbaty.

- Nie, chodzi mi o miejsce, gdzie można by się napić. *Chai na asali*. Robią tu bardzo dobrą herbatę.

- Niech pan lepiej pójdzie tam, gdzie są hotele. Tam znajdzie pan lepsze lokale.

* Miejsce urodzenia George'a Waszyngtona (przyp. tłum.).

- Może to zabrzmiało dziwnie, ale te lepsze lokale mi się nie podobają.

Nie zabrzmiało to dziwnie, Franci pamiętał, jacy są młodzi Amerykanie. Zawsze szukali przygód, wałęsali się godzinami po slumsach Trzeciego Świata, by potem wrócić do Hiltona. Uznał, że ma do czynienia z autentycznym Amerykaninem. Przypomniawszy sobie wszystko to, co w Ameryce napawało go obrzydzeniem - materializm, marnotrawstwo, narcyzm, nienawiść do Arabów.

- Po wyjściu ze sklepu pójdzie pan w prawo - powiedział - potem na pierwszym skrzyżowaniu znowu w prawo, wtedy... Pokażę panu.

Młody mężczyzna zaprotestował, ale Franci zszedł ze stołka i pokuśtykał do końca przepierzenia dzielącego go od klientów. Z pewną dozą satysfakcji zauważył, że Amerykaninowi zrzędała mina, gdy zdał sobie sprawę, że ma przed sobą inwalidę. Młodzieniec zaczął protestować jeszcze gwałtowniej, Franci jednak postawił na swoim i wyprowadził go na ulicę. Na rogu obejrzał się, by sprawdzić, czy koło sklepu nie kręcą się złodzieje, jednocześnie pokazując Amerykaninowi drogę.

- Może poszedłby pan ze mną? - spytał młody człowiek.

- Co?

- Może napije się pan ze mną herbaty? I tak niedługo trzeba będzie zamknąć sklep.

- Dlaczego pan mnie zaprasza?

Amerikanin uśmiechnął się.

- Przez grzeczność.

Franci, który już zapomniał, czym jest grzeczność, znów się rozżłościł; co ten człowiek knuł, czy chciał go upokorzyć? Zaczął tłumaczyć, że to niemożliwe, po czym uzmysłowił sobie, że Amerykanin prawdopodobnie próbuje go podejść, spodziewając się, że tępy Arab odmówi; i właśnie dlatego Franci złośliwie przyjął zaproszenie. Zobaczmy, co ten młody pan świata będzie miał mu do powiedzenia.

Franci zamknął sklep i przykuśtykał z powrotem do Amerykanina, po czym zaczęli przedzierać się przez tłum. Irańczyk nigdy nie czuł się dobrze pośród tych wszystkich ludzi w białych *kanzu* przypominających koszule nocne, choć podobnie jak on byli muzułmanami.

- Z nimi nie pogadałby pan sobie - powiedział do Amerykanina.

- Od jak dawna pan tu mieszka?

- O, minęło już ładnych parę lat. - Pytania o charakterze osobistym irytowały Franciego; w obozie nauczyli go ostrożności. Właściwie uważał, że ten Amerykanin jest po prostu arogancki, jak oni wszyscy, i nie stanowi zagrożenia. Franci bał się tylko żony i miejscowej policji; jakiś młokos nie mógł mu zrobić nic złego. - Jest pan turystą? - spytał.

- Tak, przyjechałem na wakacje... tak jakby. Na co dzień służę w marynarce.

- Jest pan wojskowym? - Znowu przypomniał sobie, co mówili mu w obozie. - Ach tak, marynarka i tak dalej. Wasza piechota morska była w Bejrucie. To były złe czasy. - Postanowił brnąć dalej w swoje kłamstwo. - Ja też... moja noga,

wie pan, to też stało się w Bejrucie. Trwała wojna. Straszny wybuch, tak jakby, jakby... jakby patrzeć w słońce. Kiedy przyszedłem do siebie, byłem... - To, co mówił, było zbyt bliskie prawdy. Oczywiście Franciego wypełniły się łzami. Zauważył, że ostatnimi czasy coraz częściej zdarzało mu się tracić panowanie nad emocjami. - Był pan na wojnie? - zmienił temat.

- Nie takiej prawdziwej.

Siedzieli w cieniu, niespiesznie sącząc herbatę. Amerykanin niewiele mówił o wojsku, ale też nie narzucał się zbyt; wyglądało na to, że jego pytania są najzupełniej szczerze. Czy Franci był na safari? Gdzie najlepiej jest oglądać zwierzęta? Jak układały się stosunki Franciego z miejscowymi? Czy traktowali go przyjaźnie? Czy miał wśród nich przyjaciół?

Franci zaczął mówić, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż wreszcie wyrzucał z siebie słowa tak szybko, że płał mu się język. Od czasu do czasu nawet wybuchał śmiechem, za głośno, nie zawsze w stosownych momentach.

- Ach, ci ludzie! - wykrzyknął. - Ci ludzie... naprawdę! - I opowiedział o swoich zabawnych przeżyciach - o Chińczyku, o żebraku, który regularnie go odwiedzał, o ogrodniku. - Mówi do mnie „bwana” i spodziewa się, że pomogę mu w pracy! Przecież to nowy kolonializm - ze mną w roli wyzyskiwanego mieszkańca kolonii! - Zachichotał.

- Jesteś muzułmaninem, prawda? - spytał młody człowiek, który wcześniej powiedział Franciemu, że ma na imię Alan. - Czy to nie łączy cię z miejscowymi?

- Tak, tak, ale oni są z innej sekty. Znasz Agę Khana?

- Nie osobiście.

Franci nie wytrzymał i ryknął śmiechem, rozlewając przy tym herbatę. Już dawno nie słyszał żartu.

- Tutaj mieszkają zwolennicy Agi Khana. Ja nie jestem jednym z nich. Oczywiście, wszyscy chodzimy do meczetu, wszyscy pielgrzymujemy do Mekki. Słyszałeś o Mekce? Oczywiście, że słyszałeś. Ja nigdy tam nie byłem. Nie jestem *hadzi*, pielgrzymem, ale to nie ma znaczenia. Nawet amerykańscy czarni muzułmanie jeżdżą do Mekki.

- Malcolm X. El Hadzi Malik.

- Skąd to wszystko wiesz, Alan? Skąd wiedziałeś, że wchodząc do mojego sklepu powinieneś powiedzieć *salaam Aleksam*?

- Czytałem o tym w takiej książce.

- Aha, przyjacielu, to dlatego masz tak złą wymowę. „Alekkem” mówi się tak... - Tu wydał z siebie gardłowy dźwięk, a Alan powtarzał go dotąd, aż jego nauczyciel uśmiechnął się z zadowoleniem. - Dobrze. Jesteś całkiem inteligentny.

- Jak na Amerykanina.

Roześmiali się. Franci aż popłakał się ze śmiechu.

W drodze powrotnej do sklepu Franci uświadomił sobie, że niechęć do Amerykanina przerodziła się w żal, że muszą się rozstać.

- Proszę, wybac mi - zaczął - nie mogę odpowiedzieć... odwzajemnić ci się. To znaczy, za to, że mnie zaprosiłeś na herbatę. Mój dom jest... do niczego. -

W ustach muzułmanina były to prawdziwie gorzkie słowa. - Tak dobrze się bawiłem. Było tak wesoło. Jak... z przyjacielem. Nie jestem... - Po chwili zdał sobie sprawę, że porusza ustami, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

- Nie ma sprawy.

- Powiedziałeś, że zaprosiłeś mnie przez grzeczność. Tak. To bardzo miłe z twojej strony. Tutaj rzadko spotykam się z grzecznością. Chciałbym ci się jakoś odwdziaczyć, ale nie mogę. Ja... tego... mój dom... - Znow poruszył ustami. Jestem szaleńcem, pomyślał. To by wiele wyjaśniało.

- Może następnym razem ty mi kupisz herbatę, co ty na to?

Franci doskonale wiedział, że nie będzie żadnego następnego razu. Mimo to powiedział:

- Przyjdź więc do mnie. Dobrze. Naprawdę miło było z tobą porozmawiać, mój przyjacielu. - Uścisnęli sobie dłonie.

Kiedy Alan poszedł, Franci ogarnął spojrzeniem tandetne towary, karalucha leżącego do góry nogami na zakurzonej podłodze i zaczął mówić do siebie.

Poznałem zabawnego Libańczyka, napisał Alan w liście do Rose. Choć pisał do niej każdego wieczoru i co parę dni rozmawiali przez telefon, nie brakowało mu tematów. Tyle że nie jest zabawny. Jest raczej smutny. W każdym razie popadł w jakiś dziwny stan emocjonalny. Może to kwestia nieudanego małżeństwa; tak by przynajmniej wynikało z tego, co ten biedak mówił. Poza tym, stracił nogę w czasie wojny domowej. To musiało być straszne przeżycie dla tak młodego chłopaka. Jest niezwykle inteligentny i dużo wie. Polubiłem go. Dobrze mówi po angielsku, co tu się naprawdę przydaje.

Drobny Libańczyk naprawdę zaintrygował Alana. Był doskonałym źródłem informacji. Wbrew temu, co mówił komandor Reicher, rozmowa przy herbacie nie miała nic wspólnego ze zbieraniem danych. *Gdybyśmy tu mieszkali, na pewno zostalibyśmy przyjaciółmi i ty też byś go polubiła* - pisał. Napisał też o wielu innych rzeczach o pogodzie, jedzeniu, o swoim współlokatorze, Mike'u Dukasie, z którym się zaprzyjaźnił - po czym włożył list do koperty.

Mombasa oczarowała Alana. Zachwycały go unoszące się w powietrzu zapachy; podziwiał to tętniące życiem miasto, jak każdy turysta - napawał się widokiem arabskich żaglowców w porcie, starych rzeźbionych drzwi w wąskiej uliczce; jego spojrzenie przyciągały szaty *kanzu* i *kikois* w paski. Ten zachwyt sięgał jednak o wiele głębiej. Nie był w stanie patrzeć na to wszystko z dystansem.

Chciał pójść do meczetu, nie był jednak pewien, czy nie obowiązują tu inne zasady niż w Dubaju, a poza tym w Mombasie o wiele bardziej wyróżniał się w tłumie. Już widział te nagłówki: OFICER MARYNARKI WYWOŁUJE ZAMIESZKI. Nie, nie mógł ryzykować. Dlatego też następnego ranka skierował kroki do obskurnego sklepu Franciego. Alan poznał w Mombasie kilku ludzi, którzy mogliby mu pomóc, głównie miejscowych policjantów, a także niezwykle elegancką kobietę, z którą rozmawiał na brzegu hotelowego basenu, ale nie mogliby oni

pełnić funkcji przewodników po meczetach. Natomiast Franci idealnie nadawał się do tej roli.

Alan zajął do środka. W sklepie panował półmrok, tak jak w czasie poprzedniej wizyty; Alan zmrużył oczy, usiłując wypatrzeć ludzką sylwetkę. Słyszał głos, ale nikogo nie widział.

- Jest tu kto? - Głos zamilkł. Alan poczekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do półmroku, po czym wszedł do środka. - Halo! - W sklepie czuć było coś jak by lizol.

Franci podniósł się zza przepierzenia. Alan nie widział jeszcze najlepiej; miał wrażenie, że wyrosł przed nim widmo.

- O, przyjaciel Alan! - krzyknął handlarz. W rękach trzymał szmatę i butelkę z napisem „Dettol”.

- Cześć, trochę słabo cię widzę. Wszystko przez to słońce.

- Właśnie sprzątałem. Trochę tu brudno. Miło cię znowu widzieć!

Uścisknęli sobie dłonie nad przepierzeniem. Alan spytał Franciego, czy nie zaprowadziłby go do meczetu.

- Chcesz iść do meczetu?

- A mogę?

- Tak, tak, bez problemu. Musisz zdjąć buty i nakryć głowę.

Alan wyciągnął z kieszeni czapkę z materiału, kupioną tego ranka w jednym z kramów.

- Tak! - Franci zachichotał. Nagle spoważniał, jakby zaczął coś podejrzewać. - Nie będziesz się z nas wyśmiewał?

- Oczywiście, że nie.

- Nie chcemy, żeby ludzie nas oglądali. Nie jesteśmy zwierzętami. Meczet to nie zoo.

- Wiem, wiem.

Wtedy Franci odzyskał dobry humor.

- Mogę ci się odwdziżyć! Kupię ci herbatę i przy okazji wytłumaczę ci, jak należy zachowywać się w meczecie. Dobrze? Tak jakbyśmy byli przyjaciółmi. Dobrze? Może... - Parsknął śmiechem. - Może nawrócisz się na islam, chwała Allahowi. Wtedy moglibyśmy zostać prawdziwymi przyjaciółmi.

Alan uśmiechnął się. Pomyślał, że ten młody człowiek rozpaczliwie pragnie znaleźć bratnią duszę. A może trzeba mu było czegoś więcej.

Następnego dnia Alan polecał do Kampali, pierwszej z trzech afrykańskich stolic, które miał odwiedzić w tym tygodniu. Starał się zapamiętać wszystkie widoki i odgłosy, wszystko zobaczyć, ze wszystkimi porozmawiać, skosztować jedzenia, wypełnić płuca powietrzem. Rozpoznawał już mieszaninę zapachów przypraw, dymu i kurzu, charakterystyczną dla afrykańskich wsi. Podziwiał zielony pejzaż Ugandy, zobaczył ludzi mających za sobą dziesięć lat wojny, ludzi dzielnych i zaradnych, którzy, z braku samochodów, przerobili rowery na wózki, taksówki i ciągniki. Widział dziury po pociskach w ścianach budynku parla-

mentu i wypalone wraki czołgów stojące przy głównej ulicy. Ktoś poradził mu, by nie jechał na północ, bo ponoć ciągle grasowali tam bandyci; on wywnioskował z tego, że armia ugandyjska prowadzi działania na terytorium Sudanu i nie życzy sobie świadków. Następnie Alan poleciał do Zairu, przypominającego z lotu ptaka wielki, zielony dywan, przecięty stalową wstęgą rzeki Kongo; po drodze samolot minął migocące pośród gór jezioro Kivu. Kinszasa okazała się miastem pełnym ludzi zabieganych, żyjących w biedzie; na ulicach widać było zbyt wielu żołnierzy, zbyt wiele broni; wszędzie wisiały zdjęcia Prezydenta - Ojca Narodu. Podczas wyjazdu za miasto przewodnik pokazał Alanowi dziurę w drodze, w której swobodnie zmieściłby się spory samochód. Zair był krajem, gdzie niewielu pracowało, nikt nie dostawał pensji, ale wszyscy jakoś dawali sobie radę. Stamtąd Alan udał się do Pretorii, umarłego miasta, gdzie nikt, ani czarny, ani biały, nie patrzył mu w oczy. Białe domy jak na amerykańskich przedmieściach, bloki mieszkalne z lat sześćdziesiątych, wszystkie schowane za metalowymi bramami, drutem kolczastym i murami, chronione przez żołnierzy. Alan został też zawieziony do Johannesburga, by zobaczyć nowoczesne centra handlowe i dzielnice zamieszkałe przez czarnych, pozbawione zieleni, ciasno zabudowane, tak charakterystyczne, że można je było rozpoznać z odległości kilku kilometrów. Skorzystał z okazji, by zwiedzić Soweto, spokojne w słoneczny dzień. Potem pojechał na północ, do kraju Burów, gdzie bezskutecznie próbował spytać po angielsku o drogę młodą białą kobietę, która z miejsca zaczęła patrzeć na niego podejrzliwie; następnie trafił do Bofutatswany, utworzonego na jałowej ziemi bantustanu, w którym powstało mini-Las Vegas pod nazwą Sun City. Potem Alan wrócił do Pretorii, stolicy państwa podzielonego według kryteriów rasy, języka, stanu posiadania, żyźności ziemi; państwa, gdzie nie sposób było zapomnieć, że na każdym kroku należy dziękować Bogu za to, iż jest się białym. Wreszcie, pełen niesmaku, odleciał stamtąd; po powrocie do Mombasy odczuł głęboką ulgę.

Za trzy dni grupa wywiadowcza miała odlecieć do Nairobi, a stamtąd wrócić do Stanów. Następnego dnia po zakończeniu podróży po Afryce Alan spędził spacerując po nabrzeżu, z czapką na głowie, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia przechodniów i ich drwiące uśmiechy. Niektórzy zaczęli go już rozpoznawać. Idąc Makadara Road dotarł do starego portugalskiego fortu, który powinien wzbudzić jego zainteresowanie, ale nie wzbudził; Alan zbyt mocno pragnął przebywać wśród ludzi, w wirze życia. Dlatego skierował kroki w stronę starego miasta. Gdy tylko przystawał na chwilę, u jego boku natychmiast wyrastał jeden z gorliwych handlarzy; kiedy Amerykaninowi udało się wykrztusić jakieś słowo w swahili albo - co budziło jeszcze większą radość - po arabsku (Franci nauczył go mówić *Maharabd*), natychmiast zapraszano go do środka na kawę. Dlaczego nie? - myślał sobie Alan za każdym razem i w ten sposób, zanim dotarł do starej przystani, wypił dwie filiżanki cudownego, gorzkiego płynu. Tam ze wszystkich stron otoczyli go maryna-

rze, pragnący zabrać go gdzieś ze sobą na pokładzie prawdziwego arabskiego żaglowca, zacumowanego przy brzegu. Propozycja była naprawdę kusząca. Alan o mało się nie zgodził.

Wtedy jednak usłyszał wołanie:

- Alan, przyjacielu!

Odwróciwszy się, ujrzał po drugiej stronie ulicy Franciego, wymachującego rękami jak szalenię. Alan uniósł dłoń, niezbyt zadowolony ze spotkania.

- Mój przyjaciel Alan! - Franci zaczął krzyczeć na marynarzy w swahili. Ci rozeszli się, pomrukując nieprzyjaźnie. - To nieokrzesani ludzie, prawdopodobnie przestępcy; nie możesz się z nimi zadawać. Niektórzy z nich są kieszonkowcami. Alan, myślałem, że wróciłeś do Ameryki!

Alan zaczął żałować, że marynarze sobie poszli.

- Musiałem wrócić do Mombasy. - Tego ranka entuzjazm Franciego działał mu na nerwy; Alan wolał spacerować samotnie, rozmawiać łamanym swahili z tubylcami. - Nie chcę cię zatrzymywać.

- Och... mam tylko jedną sprawę do załatwienia. O tam... -Franci machnął ręką. - Chciałbym porozmawiać z tobą, ale jestem umówiony. - Spojrzał na zegarek. Zaproponował, żeby razem zjedli lunch. Alan odmówił. Wtedy Franci zaprosił go na herbatę. Alan skłamał, że już się z kimś umówił. „No to zjedzmy razem kolację” - nie ustępował Franci; znał taki jeden prawdziwie arabski lokal, nie znany turystom. Alan nie trafiłby tam bez jego pomocy. To była kusząca propozycja; Alan miał dosyć stołowania się z pozostałymi agentami w bezpiecznych, pseudoamerykańskich wnętrzach hotelu „International Superba Beach”.

- W porządku. Ale płacimy za siebie.

- Dlaczego? - Franci zmarszczył brwi.

- Takie... mam rozkazy. Naprawdę. Gdybym pozwolił ci za mnie zapłacić, postąpiłbym nieetycznie. - Alan wyobrażał sobie, jak zareagowałby Reicher, gdyby dowiedział się, że jego podwładny najadł się za darmo: „To po to ci płacimy, żeby podkupywał cię jakiś szmaciarz?” - W innych okolicznościach naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu, Franci, ale nie mogę pozwolić, żebyś za mnie płacił.

Franci zaczął poruszać ustami. Dopiero po chwili wydobył się z nich dźwięk.

- Nie rozumiem. U nas panują inne zwyczaje. Ale... tak, dobrze... spotkał się tam? - Wziął od Alana długopis i notes, po czym narysował mapę. - Tam jest bezpiecznie - powtarzał podczas rysowania. - Bezpiecznie. Żaden problem. W porządku. - Oddał Alanowi długopis. - Na piętrze, nad sklepem żelaznym. Zgoda?

Przez resztę dnia Alan zastanawiał się, czy dobrze zrobił zgadzając się na spotkanie. Lubił Franciego, ale podejrzewał, że ten biedak jest bliski załamania, a on sam był zmęczony podróżą. Kiedy zadzwonił do hotelu, by powiedzieć pozostałym, że nie zje z nimi kolacji, Dukas stwierdził:

- Odbiło ci. Stare Miasto w Mombasie to zoo.

- Nic mi się nie stanie, mamusiu.

- Wylądujesz w haremie na saudyjskim zadupiu, Craik, mówię poważnie. Obetną ci fleta i wsadzą w ucho jako dekorację. Co tam będziesz jadł, smażone kozie gówna czy jak? Amerykańskie żarcie to absolutna podstawa.

- Wszystko będzie dobrze, mamusiu. Nie czekaj na mnie.

- Komu mamy przekazać twoje szczątki?

Przez chwilę Alan miał ochotę powiedzieć, że zmienił zdanie, że jednak zje kolację w hotelu; Franci przyszedłby do restauracji i po pewnym czasie uświadomił sobie, że jego nowy przyjaciel nie zamierzał stawić się na spotkanie.

Ale nie mógł tego zrobić.

I ledwie wszedł do mrocznego, tonącego w woni egzotycznych przypraw pomieszczenia, zdał sobie sprawę, że gdyby nie skorzystał z zaproszenia, ominąłby go jeden z najlepszych posiłków, jakie jadł w swoim życiu. Stawiano przed nim danie z daniem, dania smakowite, niezwykle, dziwaczne i dobrze znane. Franci nie zachowywał się tym razem jak szaleniec. Był nauczycielem, gospodarzem, przyjacielem. Co chwila wybuchali śmiechem. Ciemnoskóry kelner chodził tam i z powrotem, przynosząc i zabierając kolejne tace. Kolacja trwała dobre kilka godzin.

- Nie ruszę się z miejsca - powiedział Alan na koniec.

- Jedzenie było dobre, Alan?

- Wspaniale.

- Jestem szczęśliwy. Kiedy odkryłem to miejsce, pomyślałem, że miło byłoby tu kogoś przyprowadzić. Pomyślałem o swoim ojcu, który został w... Libanie. On naprawdę uwielbia jeść. Tutaj czuły się doskonale! Czy twój ojciec żyje, Alan?

- Nie. Umarł. Około półtora roku temu.

- Ach, tak mi przykro. Naprawdę. Ojciec jest... źródłem. Nie, nie, to złe słowo - jest przyczyną rozumienia Boga. Prawda?

Przed nimi stały małe filiżanki z czarną kawą. Franci napił się.

- Myślę, że śmierć ojca to największa strata. Obawiam się o swojego ojca. Kiedy przychodzą listy, zawsze boję się, że tym razem... Czy twój ojciec był stary?

- Nie.

- Tym gorzej. Mój ojciec jest stary. Urodziłem się późno, mam wiele sióstr i czterech braci. Ty masz braci, Alan?

Alan myślni był przy Christine i ostatnich chwilach ojca.

- Widziałem, jak spadał - powiedział. - Był pilotem. Widziałem, jak jego samolot runął do wody.

Franci, wstrząśnięty, wciągnął głęboko powietrze. Był to znak, że zaczyna tracić panowanie nad sobą; Alan jednak tego nie zauważył.

- Był pilotem w marynarce wojennej.

- Tak mi przykro. To straszne, mój przyjacielu. Naprawdę to widziałeś?

Alan zaczął opowiadać mu, jak to się stało. Mówił o tym już tak wiele razy - Rose, Peretzowi i innym - że nie musiał zastanawiać się nad szczegółami. Przeżywał tamte chwile na nowo; właściwie zapomniał o Francim, choć widział jego trzęsące się dłonie nieporadnie usiłujące podnieść filiżankę. Usta Franciego po-

ruszały się nerwowo. Alan doszedł do momentu, gdy na ekranie rozpoznał hełmofon swojego ojca. Mówił dalej - o nieudanych próbach zatankowania, o pożegnalnym geście, o tym, jak samolot runął do oceanu...

I zdał sobie sprawę, że jego towarzysz szlocha i zaczyna coś bełkotać.

19

15 kwietnia 1992, 21.20 czasu Greenwich, Mom basa

Z trudem obudził Dukasa. Było już po północy. Mike, który tego wieczoru wypił parę drinków za dużo, spał jak kamień. Niechętnie otworzył oczy i natychmiast zmrużył je przed światłem.

- Co u licha? - warknął ze złością.

- Muszę z tobą porozmawiać. Jesteś trzeźwy?

- Nie jestem pewien, czy w ogóle żyję. Jezu Chryste, która godzina? Boże, czuję się, jakbym miał gębę pełną psiego gówna.

- Mike, przestań. Mów z sensem.

- Dobrze, już dobrze. - Powłókł się do łazienki. Miał na sobie tylko białe bokserki. Kiedy wrócił do pokoju, włosy miał mokre i przylizane, a policzki nabrały rumieńców od gwałtownego pocierania. - No dobrze, co masz?

- Nie ma tu podsłuchu?

- Oczywiście, że nie! Jezu.

- Kiedy to sprawdzałeś?

- Dziś rano. No, już dobrze. - Otworzył teczkę i wyjął z niej ciemne urządzenie, po czym trzymając je w dłoni obszedł cały pokój. Nic. Zadowolony? W czym problem?

- Nawiązałem kontakt z pewnym Irańczykiem.

- No i co z tego?

- Myślę, że jest agentem.

- To przykre. Chroń swój tyłek. Zgłoś to swojemu szefowi.

- Nie o to chodzi. Ten gość chce mi coś zaferować.

- O nie, nie wchodzi w takie układy! To oznacza kłopoty, duże kłopoty. Kontakt to jedno, werbunek to drugie. - Dukas, już całkowicie rozbudzony, włożył bawełniany szlafrok i wciągnął czarne skarpetki. - Co to znaczy, że chce ci coś zaferować?

- Niedługo przed wojną w Zatoce Perskiej miała miejsce tajna operacja; ten człowiek był wtedy po drugiej stronie. Ja w tej operacji uczestniczyłem. Stało się wtedy coś zagadkowego, a on wie, jak do tego doszło. Kilka spraw zdążył mi już wyjaśnić. Nie mogłem go powstrzymać, słowo honoru; po prostu mówił i mówił. Ten chłopak jest na krawędzi.

- Jesteś pewien, że mówił, prawdę?

- Niczego nie jestem pewien. Nie chcę nawalić; nie wiem, co mam robić. Aha, jeszcze jedno: cokolwiek się stanie, chcę w tym uczestniczyć; muszę w tym uczestniczyć. Z przyczyn osobistych. Chodzi o... później ci powiem, w tej chwili nie ma to znaczenia. Jeśli nie zajmiemy się tym gościem już teraz, on zmieni zdanie albo ucieknie - trzeba go przesłuchać, zapewnić mu bezpieczeństwo. Mówi, że będzie rozmawiać tylko ze mną.

- To nie przejdzie.

- Dlaczego?

Dukas westchnął.

- Bo taki jest świat, w którym żyjemy. Bo jesteśmy w Kenii, nie w Stanach Zjednoczonych. Bo w naszej ambasadzie siedzą ludzie, którzy nie zamierzają pozwolić intruzom na prowadzenie werbunku pod ich bokiem. Nie możesz ot tak powiedzieć: „Jestem z wywiadu, więc zwerbuję sobie agenta”. Musisz skompletować grupę - specja od komunikacji, od bezpieczeństwa, kogoś, kto zajmie się przesłuchaniami, do tego ewentualnie psychologa i prawnika; mogliby też przydać ci się ludzie z bronią i tak dalej. Czy ktoś ma oko na tego twojego faceta?

- Zdaje się, że jego żona. Nie powiedział tego wprost.

- Jeśli jest irańskim szpiegiem, pozostającym pod stałym nadzorem, a nadzorujący go agent czy agentka wie, że się z nim spotykasz, to możesz wpaść w niezłe tarapaty. Nie możesz po prostu wylądować w obcym kraju z turystyczną wizą w rękę i zabawić się w Jamesa Bonda. Musisz mieć do dyspozycji grupę specjalistów, oni z kolei muszą zdobyć zgodę miejscowych władz na swoją działalność, a to załatwia się za pośrednictwem CIA i Departamentu Stanu. Inaczej Kenijczyk udupią cię za to, że na ich terenie bawisz się w szpiega. Wierz mi, irański agent to dla nich nie lada gratka; zrobiliby wszystko, żeby ci go podebrać. Byłeś kiedyś w kenijskim więzieniu? Wiesz, co tu się rozumie przez „prawa człowieka”? Chryste, Al, zasypujemy kenijskich policjantów pieniędzmi, a oni i tak nie chcą pozwolić nam rozmawiać z Somalijczykami o rzeczach, które z Kenią nie mają nic wspólnego! Myślisz, że pozwolą ci przesłuchać irańskiego agenta? Chłopie, zastanów się.

- No to co mam robić?

- Zgłoś to swojemu oficerowi do spraw bezpieczeństwa i wracaj do domu.

- Nie mogę zostawić tego człowieka. Nie mogę... go stracić.

- Co to, miłość od pierwszego wejrzenia? Ty nie możesz go stracić? Pracujesz dla rządu Stanów Zjednoczonych, chłopcze.

- To dla mnie bardzo ważne.

- Jeśli samowolnie podejmiesz próbę werbunku, trafisz przed sąd wojskowy. Albo dostaniesz naganę i z hukiem wylecisz z marynarki. Jestem cywilem, wiem, jak to działa. Mogę ci powiedzieć, jakby to się odbyło, gdybym to ja prowadził śledztwo. Trafilibyś na stos, chłopie! Musisz działać w ramach systemu!

- Dobrze, dobrze; nie chcę niczego robić w pojedynkę. Chcę po prostu trzymać rękę na pulsie. Mike, ten facet twierdzi, że będzie rozmawiać tylko ze mną!

- Agenci zawsze tak mówią. Jak kogoś zwerbują, to traktują go jak własne dziecko. Ale samym zwerbowanym wszystko jedno, z kim mają do czynienia, dopóki dostają pieniądze.

- Ten gość nie chce pieniędzy.

- Ha, ha.

- Mike... No dobrze. Co mam robić? Rano zadzwonię do Carol Schuler, ona u nas zajmuje się sprawami bezpieczeństwa. Będę musiał rozmawiać z nią na bezpiecznej linii, co?

- Zgadza się.

- Gdzie jest odpowiedni sprzęt do takich połączeń?

- W ambasadzie.

- To niedobrze.

- Boisz się, że przejmą od ciebie tego faceta?

- Jeszcze jak.

- I słusznie. Cóż, my takiego sprzętu nie mamy. Potrzebny ci jest STU-III, który miałbym ze sobą, gdybym prowadził śledztwo, ale takowego nie prowadzę. Kto jeszcze może mieć sprzęt do łączności satelitarnej... Zaraz, zaraz, w porcie kotwiczony brytyjski okręt. Spróbuj tam.

- Mam ich wprost zapytać, czy dysponują czymś takim?

- Jasne. Najwyżej powiedzą, że nie. Powiedz oficerowi wywiadu, że masz do przekazania tajną wiadomość i w razie czego dodaj, że jeśli chce, może słuchać, co mówisz. Angole są w porządku, jeśli chodzi o takie sprawy.

- No dobrze, więc powiem o wszystkim Carol. Co potem? Kto u nas zajmuje się werbunkiem agentów?

Dukas uśmiechnął się.

- Nikt. Marynarka nie robi takich rzeczy, kochasiu. To nie nasza broszka.

Alan przypomniał sobie, jak przekonywał Peretza, że tradycyjny werbunek agentów to przeżytek. Teraz wiedział, jak bardzo się wtedy mylił.

Spojrzał na zegarek.

- Jaka jest różnica czasu? Siedem godzin? Osiem? - Szybko obliczył, która jest godzina w USA. - Biuro jest zamknięte. Boże jedyny, będę mógł się z nimi skontaktować dopiero jutro po południu! Może Carol ma STU w domu. Jeśli nie, znam kogoś, kto ma ten sprzęt na pewno. - Chodziło mu o George'a Shreeda.

HMS „Agile” stał na redzie w Kilindini. Alan nie zauważył żadnych łodzi, więc wynajął przewoźnika, podobnego do tych, którzy zaczepiali go poprzedniego dnia, zanim pojawił się Franci. Było wpół do ósmej rano. Mała, pomalowana w jaskrawe barwy drewniana łódka przewiozła go przez oleistą wodę - Alan czuł się nieswojo, składając wizytę na brytyjskim okręcie w tak nieformalnych okolicznościach. Mimo to nie usłyszał z ust Brytyjczyków żadnego komentarza, gdy wspiął się po trapie na pokład, zasalutował banderze i powiedział zastępcy bosmana okrętowego, że ma sprawę do oficera odpowiedzialnego za działalność wywiadowczą.

- Sir.
- Jestem oficerem marynarki Stanów Zjednoczonych. Wszystko wyjaśnię, kiedy z nim porozmawiam.
- Proszę chwilę zaczekać, sir... - Przez chwilę mówił coś do krótkofalówki; potem zaprowadził Alana pod pokład. Brak snu i niepokój o Franciego sprawiły, że nerwy Amerykanina były napięte do granic wytrzymałości. Mimo to ogarnęła go nostalgia; gdy wszedł na pokład okrętu, przypomniały mu się dni spędzone na lotniskowcu.

- Porucznik Houlting zajmie się panem, sir.

Houlting okazał się nieprzyzwoicie młodo wyglądającym oficerem, który z miejsca poczęstował go kawą, powiedział coś o rannych ptaszkach i zadziwiająco szybko przejrzał dokumenty Alana, który pokrótce wyjaśnił, o co chodzi.

- Właściwie to Trevor zajmuje się takimi sprawami, ale rozumiem, dlaczego przyszedł pan do mnie. Jest pan z wywiadu, prawda? Ja właściwie pełnię obowiązki zwyczajnego oficera; na takiej łupinie jak „Agile” nie potrzeba oficera wywiadu z prawdziwego zdarzenia.

Prześcięli się przez wodoszczelny właz. Alan, mimo zmęczenia, próbował być towarzyski i powiedział coś o ciasnocie i niszczycielach. Houlting stanął jak wryty i odwrócił się.

- HMS „Agile” to fregata, sir, a nie niszczyciel - powiedział udając śmiertelną powagę. Przynajmniej Alan miał nadzieję, że Brytyjczyk udawał. - Jak u Patricka O' Briana, no nie? Służba na fregacie? - Alan zrobił zdumioną minę. - Nie czytał pan O'Briana? O rany. - I znów ruszyli przed siebie, wąskimi korytarzami, po drabinach, aż wreszcie znaleźli się w kajucie wypełnionej elektronicznym sprzętem i znudzonymi marynarzami. - Trevor! Gdzie porucznik Monck? - Jeden z marynarzy kiwnął głową, nie odrywając wzroku od przyrządów. Ruszyli we wskazanym przez niego kierunku. - Trevor! Aha. Trevor. To podporucznik Craik z amerykańskiej marynarki. Twierdzi, że ma do ciebie ważną sprawę, ale nie słyszał o Patricku O'Brianie. Tylko rosyjski szpieg mógł palnąć taką gafę, co o tym sądzisz?

- Sądzę, że masz za mało pracy, a ja za dużo. - Uściśnął dłoń Alana, po czym przejrzał jego dokumenty o wiele dokładniej, niż uczynił to Houlting. Następnie zniknął na pięć minut, podobnie jak Houlting, a po powrocie oznajmił, że wszystko jest w porządku; minutę później Alan siedział już przy STU III, aparacie do bezpiecznej komunikacji, i wstukiwał kod Stanów Zjednoczonych.

- Chce pan być obecny przy tej rozmowie? - spytał, wsłuchując się w ciche piknięcia.

- Nie mam czasu. Proszę nie czuć się urażonym, jeśli dla formalności przyślę tu jakiegось marynarza.

W Norfolk była północ. Alan skontaktował się z dyżurną z jednostki, dowiedział się, że nie ma ona dostępu do zabezpieczonej linii, poprosił ją więc o domowy numer oficera do spraw bezpieczeństwa i przypomniał jej, by odnotowała tę rozmowę w rejestrze. Pani oficer do spraw bezpieczeństwa nie podnosiła słuchawki; zostawił jej tylko wiadomość na automatycznej sekretarce. Przez całą noc Alan

zastanawiał się, czy nie skontaktować się z Peretzem lub z Rose, ale wiedział, że żadne z nich nie ma dostępu do bezpiecznej linii, musiałyby zaryzykować i zadzwonić do nich z automatu. To była ostatnia deska ratunku. W tej chwili, rozczarowany, ale nie zdziwiony, że nie udało mu się skontaktować z panią officer, wykreślił prywatny numer George'a Shreeda. Był nieco zaskoczony, gdy słuchawkę podniesiono już po drugim sygnale.

- Mówi Alan Craik. Czy może pan przejść na bezpieczną linię?

Przerwa.

- Oczywiście.

Po chwili Alan słyszał już nieco metaliczny głos Shreeda, docierający z lekkim opóźnieniem. Zniekształcenia powstawały podczas transmisji satelitarnej oraz kodowania i odkodowywania sygnału.

- Gdzie jesteś?

- Na pokładzie brytyjskiego okrętu w porcie w Mombasie. Sir, stało się coś ważnego i muszę wiedzieć, jakie podjąć działania, by sprawa nie wymknęła nam się z rąk.

Shreed był dobrym słuchaczem. Alan przedstawił mu skróconą wersję spotkania z Francim, przygotowaną podczas nocnych rozmyślań - nie podał szczegółów ani nazwiska, ale zwrócił uwagę, że zdobyte przezeń informacje mogą rzucić światło na sprawę śmierci jego ojca.

- Dlatego uważam, że to przełom. To naprawdę bardzo ważne. Dla mnie.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Próbuję poinformować o tym oficera do spraw bezpieczeństwa z mojej jednostki. Rozmawiałem też z jednym z towarzyszących mi agentów. Musiałem go poprosić o radę.

- Dobrze. Nie próbuj działać na własną rękę. Rozumiesz?

- Tak jest. Dukas wygłosił mi długą mowę na ten temat.

- I bardzo dobrze. Trzymaj się z dala od tej sprawy. Ja się wszystkim zajmę. Skontaktowałeś się z ambasadą?

- Panie Shreed, nie chcę stać na uboczu. Chcę brać udział w tym, co się dzieje. Ten człowiek twierdzi, że będzie rozmawiał tylko ze mną.

- No cóż... w każdym razie nie działaj w pojedynkę. Choćby dlatego, że to może być niebezpieczne. Jesteś pewien, że to nie pułapka? Nie, nie jesteś. Ano, widzisz. W tym fachu nie ma lekko. Zaufasz mi?

- Jako oficer marynarki, mam pewne obowiązki...

- Tak, tak, zajmiemy się tym. Twoi przełożeni zrozumieją. Póki co, przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny trzymaj się z dala od tego gościa. Dasz radę?

Przed oczami Alana stanął Franci, roztrzęsiony, zapłakany.

- Obiecałem mu, że spotkamy się dzisiaj. On potrzebuje pomocy. Obawiam się, że jest na skraju załamania nerwowego.

- To nie twój problem. Jak się spotykacie?

- To tak jak w zabawie w policjantów i złodziei. Umówiliśmy się na telefon. Dziesięć po jedenastej mam...

- Nie musisz mówić nic więcej; wiem, jak to wygląda. Facet wie, co robi, to nie jest zabawa. Kiedy do niego zadzwonisz, mów to, co chciałby usłyszeć, pocieszaj go, ale nie umawiaj się. Wymyśl jakiś powód, dla którego nie możesz się z nim spotkać -jesteś chory, umówiłeś się - w każdym razie nie nawiązuj z nim bezpośredniego kontaktu.

- Dlaczego?

Nastąpiła krótka przerwa, jakby Shreed zaczynał tracić cierpliwość. Alan spodziewał się, że usłyszy: „Bo ja tak mówię”.

- Po prostu rób, co mówię, dobrze? Z nas dwóch to ja jestem profesjonalistą, Alan. Musisz mi zaufać. Wszystko pójdzie dobrze. Przecież chodzi o schwywanie człowieka, przez którego zginął twój ojciec. Dla mnie to też jest ważne. Zaufaj mi.

Teraz Alan wiedział już, co czuł Franci, kiedy odnalazł kogoś, komu mógł zaufać i oddać dźwigany przez siebie ciężar.

- Tak jest-powiedział.

- Dobry chłopiec. -Następnie Shreed spytał Alana, gdzie mieszka, jaki ma rozkład dnia, co planuje robić w najbliższym czasie. Na koniec zapewnił, że wszystko będzie dobrze.

Później, gdy Alan stał przy trapie, czekając na łódź, która miała go zabrać na brzeg, podszedł do niego Houlting. Podał mu sfatygowaną książkę.

- Zawsze nosimy je ze sobą na wypadek, gdyby trzeba było nawracać niewiernych. Przeczytaj to, a będziesz zbawiony, bracie. - Alan spojrzął na okładkę. Widniał na niej statek żaglowy. *Pan i dowódca* - Patrick O'Brian.

- Czy oficerowie wywiadu mogą liczyć na zbawienie? - spytał.

- Nawet dla nas znajdzie się miejsce w takielunku. -Wyszczerzył zęby w uśmiechu. -O'Brian jest naprawdę dobry. Czytając go zrozumiesz, dlaczego jesteścieś dumni, że służymy w marynarce.

Zadzwonił do Franciego o ustalonej porze z automatu przy plaży, niedaleko hotelu; po drugim dzwonku Franci odebrał. Ku zdumieniu Alana, był w nieco lepszym nastroju, ale zmarkotniał usłyszawszy, że nie mogą dziś się spotkać.

- Nie zostawisz mnie samego? - spytał.

- Nie, nie... coś mi wypadło. Akurat dzisiaj. Wszystko będzie dobrze, Franci. Cieszę się, że wczoraj tyle mi powiedziałaś. Wszystko będzie dobrze.

- Nadal jesteś moim przyjacielem?

- Tak.

- Już dawno nie czułem się tak dobrze, Alan, ale martwię się. Wiesz, nie jest ze mną najlepiej. Czasem... Zadzwonisz wieczorem? Za dziesięć jedenasta. Podam ci inny numer. Jeśli nikt nie odbierze po czwartym sygnale, odłóż słuchawkę - nie czekaj na piąty, odłóż - potem zadzwoń znowu, na ten numer co teraz, dziesięć po. Rozumiesz? Może odbiorę za pierwszym razem, to zależy. Gdybym nie odebrał, jeśli oni... Nieważne. Gdybym nie odebrał, odejmij jedną i dodaj jedną, rozumiesz? To znaczy, jedną godzinę. Dzwonić codziennie, godzinę wcz-

śniej i godzinę później. Alan? - Powtórzył wszystko raz jeszcze. Kończył rozmowę niechętnie, jakby żegnał się ze swoją kochanką.

Jak się okazało, zapewnienie Alana, że „coś mu wypadło” było prawdą. W hotelu czekał na niego Dukas. Alan nade wszystko chciał położyć się spać, ale kiedy zobaczył minę Mike'a, wiedział już, że nic z tego nie będzie.

- Lecimy do Nairobi - powiedział. - Mamy samolot za godzinę.

- Co takiego?

- Słyszałeś. Wracamy dziś wieczorem.

- Kto tak zarządził?

- Mamy być posłuszni. Kazano nam zgłosić się do ambasady. Jeśli tego nie zrobimy, całą akcję diabli wezmą. No, chodź. Życie bywa do dupy.

Przez całą drogę wypytywał, skąd ambasada wie o wszystkim. I dlaczego chcą rozmawiać z Dukasem. Nie uzyskał odpowiedzi.

W ambasadzie wszyscy byli bardzo mili. Poczęstowali gości dobrą kawą, posadzili ich w wygodnych fotelach - zupełnie jak w hotelu. Niech wiedzą, że to nie jest ambasada byle jakiego kraju. Alan był tak zmęczony, że cieszył się z chwili odpoczynku. Nie miał siły zmagać się z frustracją.

Na lotnisku powitali ich dwaj sympatyczni młodzi mężczyźni, którzy w drodze do miasta rozmawiali z Dukasem o futbolu. W ambasadzie oddali Alana w ręce ładnej Murzynki, która przeprowadziła go przez labirynt pomieszczeń i korytarzy - jak w każdym amerykańskim biurówcu, na ścianach wisiały tablice informacyjne, zdjęcia i rysunki dziecięce - do biura z widokiem na trawnik, na którym siedziało kilku ludzi.

- Witam! Nazywam się Bob White!

White był uśmiechnięty i tryskał energią; nosił okulary, miał na sobie koszulę i krawat. Na biurku stało zdjęcie jego żony, a ścianę zdobił boczny numer samochodu i fotografia z wyścigu, w którym jego właściciel najwyraźniej brał udział.

- Złoży mi pan raport - powiedział Bob White.

Mimo zmęczenia, Alan zdał sobie sprawę, że coś nie gra.

- Jest pan z marynarki?

- Nie. Z Departamentu Stanu. Ale pracujemy dla tego samego rządu. - Spojrzał na Alana znad okularów i uśmiechnął się. - Jest pan zmęczony, prawda?

- Jeszcze jak.

- To nie potrwa długo. Może potem znajdziemy jakieś miejsce, gdzie mógłby się pan zdrzemnąć.

- Muszę wrócić do Mombasy.

- Pięć minut jest lepsze niż nic. No dobrze. Zacznijmy od początku. Skontaktował się z panem obywatel obcego kraju.

- Kto panu o tym powiedział?

Bob White rozłożył ręce.

- Mój szef. Nie znam szczegółów, mam tylko pana przesłuchać. W po rządku?

Zaczął zadawać pytania. Wyglądało na to, że uważał, iż spotkanie Alana z Francim nie było dziełem przypadku. Czy Alan jest pewien, że nie został w jakiś sposób zwabiony do tego sklepu? Może ktoś wspomniał o nim w rozmowie? Pokazał go? Jak doszło do drugiego spotkania? Czy Alan został zaproszony? Może otrzymał jakąś wiadomość? Czy ktoś go śledził? Co Alan mówił w czasie spotkań? Czy powiedział coś, czego nie powinien? Czy którekolwiek ze spotkań miało tło seksualne?

- To nie tak, zupełnie nie tak - powiedział Alan zmęczonym głosem. Przesłuchanie ciągnęło się już pół godziny. - To był przypadek. Fuks.

- Rozumiem.

Bob White wszystko skrzętnie notował, mimo włączonego dyktafonu, o czym zresztą uprzedził Alana. Przejrzał swoje zapiski.

- Czyli uważa pan, że ten człowiek jest w jakiś sposób zamieszany w sprawę śmierci pańskiego ojca. Pozwoli pan, że ustalimy fakty: pan i pański ojciec uczestniczyliście w operacji sił powietrznych...

Podobnie jak większość cywilów, nie miał pojęcia, jak wygląda prawdziwa walka. Wyjaśnianie tego było strasznie męczące. Alan, rozdrażniony, co chwila wybuchał gniewem. Bob White był cierpliwy.

- Alan, wiem, że to dla ciebie bolesne, ale musimy dokładnie wiedzieć, co i jak. Spójrz na to z naszego punktu widzenia. Twierdzisz, że najzupełniej przypadkowo natknąłeś się na jedynego człowieka, który mógłby powiedzieć ci, jak doszło do zestrzelenia samolotu twojego ojca...

- Nic takiego nie mówiłem.

- No to powiedz mi raz jeszcze.

- Nie chcę tego powtarzać! Mówiłem już panu o tym, ma to pan na taśmie! On nie jest jedynym człowiekiem, który może coś powiedzieć; prawdopodobnie jest jednym z tysiąca! Po prostu to jego spotkałem. A samolot mojego ojca nie został zestrzelony. Jezu!

- Ale się rozbił.

- Skończyło mu się paliwo i wpadł do wody.

- No cóż... Dobrze. To musi być dla ciebie strasznie męczące. Może zrobimy przerwę?

- Nie. Chcę to mieć za sobą.

- Do-o-obraze więc. Widzisz, prawdopodobieństwo takiego spotkania jest praktycznie zerowe. Być może tak bardzo chcesz rozwiązać zagadkę śmierci ojca, że nie zachowałeś obiektywizmu. Czy to jest możliwe?

- Nikt nie jest w pełni obiektywny.

- Dokładnie! Nie chcemy, żebyś dał się zwabić w pułapkę.

Alan westchnął.

- Jak można mówić o pułapce, skoro wszedłem do sklepu tego człowieka z własnej, nieprzymuszanej woli?

- Nie wiemy, czy tak właśnie było.

- Ale ja wiem.

Bob White przejrzał swoje notatki i zerknął na zegar wiszący na ścianie.

- Kiedy ten człowiek się ujawnił?
- Wcale się nie ujawnił. Nie wytrzymał nerwowo. Po prostu zaczął mówić, szybko, bez ładu i składu. Siedzieliśmy w restauracji; pomyślałem, że trzeba go będzie stamtąd wyprowadzić, żeby uniknąć zamieszania. Potem zamilkł, ale kiedy wyszliśmy na ulicę, znowu zaczął.

- Co zaczął?
- Mówić. Usta mu się nie zamykały. Inna sprawa, że to, co mówił, nie miało sensu.

- Co dokładnie powiedział?
- Myśl pan, że pamiętam? Nie rozumiałem wszystkiego, co mówił. Był rozgorączkowany, co chwila zmieniał temat. Wspominał o swojej żonie, o seksie...
- To homoseksualista?
- O rany...! Mówiłem już panu, on jest eunuchem. Ma obsesję na tym punkcie. Opowiadał o rodzinie, o ojcu; zobaczył we mnie bratnią duszę ze względu na to, co spotkało mojego ojca. Wtedy przypominała mu się tamta noc. Ciągłe powtarzał coś o niebieskim światełku i rakiecie. O kimś imieniem Ravi. Coś o Strażnikach Rewolucji, jakiś dowcip, którego nie rozumiałem. Po jaką cholere wypytujecie mnie o to wszystko? Jeśli chcecie poznać odpowiedzi, wyślijcie ze mną paru ludzi do Mombasy, niech podsłuchują nasze rozmowy.

Bob White zaczął gryźć ołówek.

- Czy miałeś wrażenie, że jesteś śledzony?
- Tylko przez gliniarzy z Mombasy. Zniknęli po tym, jak Dukas poskarżył się na nich.

- Dlaczego cię śledzili?
- Bo wyglądaliśmy jak złodzieje dywanów! Chryste, a co, mieli siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy oficerowie obcej armii pracowicie opisywali ich miasto?

- Dlaczego nie uzyskaliście zgody władz na działanie?
- Bo jej nie potrzebowaliśmy. Kto wam o tym powiedział?
- Skąd wiesz, że ten cudzoziemiec nie współpracował z tamtejszą policją?
Skąd wiesz, że...?

Alan wstał.

- Jeśli nie przestanie pan zadawać mi głupich pytań, to wyjdę. Pierdolę to.
Bob White namówił go, by z powrotem usiadł; był cierpliwym młodym człowiekiem, dość miłym, niezbyt pewnym siebie. Stwierdził, że po prostu stara się być ostrożny. W końcu szef z wszystkiego go rozliczy. Alan był zmęczony, prawda? W związku z tym nie mógł być w pełni obiektywny, zgadza się? A potem wszystko powtórzyli raz jeszcze -jak Franci wyglądał, jaki miał głos, co mówił, co Alan mówił, i tak dalej aż do znużenia. Alan musiał po raz kolejny powtórzyć instrukcje Franciego dotyczące kontaktów telefonicznych.

- I nie wydaje ci się, że to środki ostrożności podjęte przez zawodowca? - powiedział Bob White.

- A jeśli nawet, to co?

Bob White pochylił się nad biurkiem.

- Alan... wydaje mi się, że zostałeś oszukany - stwierdził najzupełniej szczerze. Następnie powiedział, że to by było na tyle i wyszedł z gabinetu zapewniając, że zaraz wróci. Alan osunął się nisko na fotelu i zauważył, że jest już po czwartej; przez następne jedenaście minut zmagął się z sennością. Kiedy wyrwał się z kolejnej kilkunastosekundowej drzemki, ujrzał przed sobą nieznanego człowieka, który zasiadł na miejscu White'a.

- No dobrze, powtórzmy wszystko raz jeszcze - powiedział.

- Kim pan jest?

- Nie pańska sprawa, podporuczniku. Chcę usłyszeć pańską wersję wydarzeń. Czekam. - Był starszy od Boba White'a i dość tęgi; podobnie jak Dukas, wyglądał na zgorzkniałego gliniarza.

Alan wyprostował się i spojrzał mu w oczy.

- Co jest grane?

- Nawiązał pan w podejrzanych okolicznościach kontakt z cudzoziemcem; nie ma pan prawa pytać, co jest grane. Słucham.

- Chciałbym zobaczyć pański dowód tożsamości.

- Ty dupku. - Mężczyzna wyciągnął palec w stronę Alana. - Albo zaraz zamkniesz mówić, albo urwę ci twój zasrany łeb.

- Spróbuj. - Alan nagle odzyskał siły. - Dam sobie z tobą radę.

Niezajomy wbił w niego wzrok, parsknął śmiechem i podniósł słuchawkę.

- Przyślijcie tu komandora podporucznika Huffa, dobrze? Wiem, że jest w drugim budynku. - Spojrzał na Alana. - Zaczekamy. -No i zaczęli. Po dziesięciu minutach do pomieszczenia wszedł wyraźnie zaniepokojony ciemnoskóry mężczyzna i pokazał Alanowi dowód tożsamości. Był *attaché* morskim.

- Proszę robić to, co każe ten człowiek, podporuczniku. Rozumie pan? To rozkaz.

- Sir, wydaje mi się, że znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji. Chciałbym skontaktować się z moim dowódcą albo z oficerem do spraw bezpieczeństwa.

- Nie może pan tego zrobić.

- Sir, wydaje mi się, że to, co tu się dzieje, jest sprzeczne z interesem marynarki, a ambasada zdecydowanie przekracza swoje uprawnienia. Jestem pewien, że wszczęte zostało postępowanie przeciwko mnie. Wobec tego żądam, by przy przesłuchaniu obecny był adwokat oraz przedstawiciel NCIS. W przeciwnym razie stąd wyjdę, sir.

- Nie panu o tym decydować.

- Chcę więc złożyć formalną skargę.

- Może pan to zrobić w odpowiednim czasie za pośrednictwem swoich przełożonych.

Alan zaczął mówić, że nie chce spóźnić się na samolot, ale usłyszał, że ma wykonywać rozkazy, po czym śledczy maglował go przez godzinę. Craik z rosnącym niepokojem patrzył na zegar. Ostatni samolot do Mombasy odlatywał parę minut po siódmej. Owszem, gdyby zaszła taka potrzeba, Alan mógł zadzwonić do Franciego stąd albo z lotniska. Może to i lepiej. Był tak zmęczony, że przydałoby się parę godzin snu.

Wtedy tęgi mężczyzna skończył przesłuchanie i Alan pozostał sam na sam z zegarem, zmagając się ze zmęczeniem. Było prawie wpół do szóstej. Podzwi-

gnął się z fotela i otworzył drzwi gabinetu. Na korytarzu panowała cisza. Nie było widać żywej duszy. Alan mógł po prostu wyjść. Podejrzał jednak, że gdyby tak postąpił, narobiłby sobie kłopotów.

Za dziesiątą szósta na korytarzu pojawili się trzej ludzie. Jednym z nich był *attaché* morski, drugim facet w garniturze, a trzecim Bob White. Bob miał niezadowoloną minę.

Zatrzymali się kilka kroków od Alana. Mężczyzna w garniturze wyprężył się, jakby w ten sposób łatwiej mu było uczynić to, co zamierzał. Nie przedstawił się.

- Na pewno jest pan bardzo zmęczony, panie podporuczniku - powiedział zimnym głosem człowieka, którego ani trochę nie obchodzą problemy innych. - Nie zatrzymujemy pana dłużej. - Wyciągnął z kieszeni złożony kawałek papieru. - To dla pana. Rozkaz powrotu do Stanów Zjednoczonych. - Z tej samej kieszeni wyjął kopertę. - Oto pański bilet. Samolot odlatuje z lotniska imienia Kenyatty o dziewiątej czterdzieści. Pan White zawiezie tam pana.

- Mam spotkanie w Mombasie - powiedział Alan.

- Nie ma pan tu już czego szukać. Wraca pan do domu. - Wyciągnął papiery w stronę Alana, on jednak wziął tylko rozkaz. Zauważył przy tym, że dłonie drżą mu ze zmęczenia. Pomyślał o Francim. Pod rozkazem widniał podpis komandora z dowództwa wywiadu marynarki. Alan miał wrócić do Stanów Zjednoczonych „najbliższym samolotem” i po przyjeździe zgłosić się do swojej jednostki. *Attache* potwierdził swoim podpisem autentyczność kopii.

- Co się dzieje, do diabła?

Urzędnik, już spóźniony na jakąś imprezę, zwrócił się do Boba White'a i wręczył mu bilety.

- Wsadź go do samolotu - powiedział, zniecierpliwiony, i odszedł w głąb korytarza.

Alan zaczął tłumaczyć, że musi spotkać się z Francim. Ten człowiek mu zaufa. Musi pojechać do Mombasy. Gdzie jest Dukas? Wszystkie jego rzeczy zostały w Mombasie. Co oni, do diabła, chcieli zrobić? Komandor nakrzyczał na Alana - zwięźle, jako że on również spieszył się na imprezę - i powiedział, że napisze list do jego dowódcy, po czym zniknął w głębi korytarza. Został tylko Bob White.

- Nie miej do nas pretensji - powiedział. - Wszyscy pracujemy dla Wujka Sama, no nie?

20

17 kwietnia 1992, 22.40 czasu Greenwich, Waszyngton

W czasie podróży Alan nie zdołał się wyspać. Spędził co prawda pięć godzin na lotnisku Schiphol w Amsterdamie, gdzie ławki są płaskie i miękkie, ale

w pobliżu ciągle kręcili się rozgadani turyści, rzucający ciężkimi torbami o podłogę. Do Waszyngtonu dotarł trzydzieści godzin po wyjeździe z Afryki, był jednak tak zdezorientowany, jakby upłynęły całe lata. Nie mógł skontaktować się z Francim, jako że o umówionych porach był w powietrzu. Postanowił, że spróbuje zadzwonić do niego o drugiej w nocy.

Hala przylotów na lotnisku imienia Dullesa była w przebudowie. Korytarz o ścianach ze sklejki zdawał się ciągnąć w nieskończoność; u jego wylotu znajdował się długi hol. Za barierką czekali ludzie, wpatrujący się z dziwną wrogością w twarze pasażerów, jakby byli widzami jakiegoś fascynującego, może nawet niebezpiecznego sportu. Niektórzy podróżni zatrzymywali się i rozglądali w poszukiwaniu znajomych; Alan, nie zwalniając kroku, zastanawiał się, jak dojechać do domu.

Wtedy jednak zobaczył Rose, czekającą przy końcu barierki. Jego żona miała na sobie mundur. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ręce.

- Czy było okropnie? - spytała, biorąc go w ramiona.

Alan uzmysłowił sobie, że jest nieogolony, że dawno nie mył zębów i że ją kocha.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Fatalnie wyglądasz. Masz podkrążone oczy. - Musnęła dłonią jego twarz. - Dobrze się czujesz?

Ktoś wpadł mu na plecy. Alan o mało nie upadł i zdał sobie sprawę, że blokuje przejście.

- Chodźmy. - Pociągnął Rose za sobą. Za rogiem czekał na nich komandor Reicher. On i Alan spojrzeli po sobie; o dziwo, w oczach Reichera nie było złości ani potępienia. Komandor miał ponurą minę, ale wyglądało na to, że nie Alan jest temu winien.

Reicher podszedł do niego i wyciągnął rękę. Gdy uściśnił sobie dłonie, powiedział:

- Twój człowiek nie żyje. Podobno popełnił samobójstwo. - Nie puszczał ręki Alana. - Przykro mi. Naprawdę.

Po raz pierwszy od wielu dni Alan obudził się we własnym łóżku. Po jego ciele rozlało się kojące ciepło. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, pomyślał. Po kilku sekundach jednak przypomniał sobie o Francim i zimny gniew wyparł wszelkie inne uczucia.

Rosę nie było już w domu. Zostawiła krótki list, z którego wyczierała miłość i troska. Alan z trudem zjadł skromne, godne ascety śniadanie, po czym włożył swój najbardziej elegancki mundur.

Gdy tylko zjawił się w pracy, Reicher poprosił go do siebie.

- Rozpętało się prawdziwe piekło - powiedział nie tyle ze złością, co z pewną dozą satysfakcji. - Admirał chce nas jutro widzieć. Ty masz iść do służby śledczej i złożyć wyjaśnienia. Powiedz im wszystko, nie spiesz się, nie popełnij błędów. To nasi ludzie. Chodzi o to, że CIA wykręca się od udziału w śmierci twojego człowieka, jakby chcieli nam wmówić, że nawet się do niego nie zbliżyli.

Będą próbowali zrzucić całą winę na ciebie. Powiedzą, że nie podjąłeś z nimi współpracy, że działałeś na własną rękę. Było tak?

- O wszystkim poinformowałem George'a Shreeda. Kiedyś służył w marynarce, był przyjacielem mojego ojca. Wydawało mi się, że można na niego liczyć. Gdybym działał na własną rękę, nie dzwoniłbym do niego.

- Czy możesz to udowodnić?

- Dzwoniłem z brytyjskiego okrętu. Dyżurni na pewno odnotowali rozmowę w rejestrze.

Reicher wszystko skrzętnie zanotował.

- Zdobędziemy go. A co z tym agentem? Jesteś pewien, że go nie zwerbowałeś? Nic mu nie proponowałeś? W porządku. Prowadzisz jakiś dziennik, kalendarz, zeszyt, w którym zapisujesz swoje spotkania?

- Ostatnie z nich zgłosiłem służbie bezpieczeństwa. Mam jakieś notatki, głównie chaotyczne, ale... No i listy pisane do Rose; wspominałem w nich o Francim.

Reicher wszystko to skrzętnie zanotował.

- Z Mombasy dzwonił twój kumpel Dukas. To znaczy, zadzwonił najpierw do swojego biura, żeby ratować własny tyłek; potem skontaktował się ze mną, bo chciał ochronić ciebie. Kiedy rozmawialiśmy, ty prawdopodobnie byłeś już w drodze do Stanów. Dukas jest przekonany, że kiedy przyjechaliście do ambasady, tam akurat organizowano grupę specjalną; w każdym razie, jego zdaniem, ludzie z CIA znaleźli się w Mombasie, zanim zostałeś odesłany do domu. Wygląda na to, że najpierw cię wykiwali, potem odsunęli na bok i wyruszyli na poszukiwania twojego człowieka.

- I go zabili.

- Nie dosłownie. Jeśli był na skraju wytrzymałości i niecierpliwie czekał na telefon od ciebie, wystarczyło, że zadzwonił kto inny. Mam rację?

- Czy to na pewno było samobójstwo?

- Jest świadek, który widział, jak ten człowiek rzucił się pod pociąg towarowy. Oczywiście, świadka można kupić, ale w tym wypadku samobójstwo jest wysoce prawdopodobne. Przełożeni tego Irańczyka prawdopodobnie nie załatwiliby go tak szybko. Uprawdzili, owszem. Ale nie zabili. Wygląda na to, że nie mieli o niczym pojęcia. Na razie nie dowiemy się, co agenci CIA robili w Mombasie - w CIA trwa „wewnętrzne dochodzenie”, co oznacza, że nic nie powiedzą i będą czekać, aż sprawa przycichnie. Ana razie całą winę zrzucana ciebie. Nie dopuścimy do tego. - Reicher zajrzał do notesu. - Kazano mi przynieść kopię listu, w którym prosiłeś o wydobycie samolotu twojego ojca; masz ją?

- Nie sądziłem, że pan o tym wiedział.

- Może ci się to wyda zaskakujące, ale wiem więcej niż myślisz. No to jak, masz tę kopię?

- Tak jest.

- To jąprzynieś, najlepiej jeszcze dzisiaj. Admirał chce jązobaczyć, a także rozkazy, które dałem ci przed twoim wyjazdem do Mombasy, i parę innych drobiazgów. Zajmę się tym. - Odchylił się na krześle. - Skoncentruj się tylko na tej sprawie. Na razie i tak nie na wiele się przydasz jako analityk.

- Chciałbym pojechać do Waszyngtonu.
- Dlaczego?
- Muszę się spotkać z George'em Shreedem.

Reicher zamyślił się.

- Nie będę próbował cię powstrzymać - powiedział powoli. - Ale myślę, że popełniasz błąd.

W czasie podróży Alan raz za razem powtarzał w myśli to, co zamierzał powiedzieć. Powtarzał tak często, że słowa powoli zaczęły tracić znaczenie. Wiedział jednak, że będzie musiał powściągnąć gniew, mówić spokojnie, bez podnoszenia głosu, nie uciekać się do przekleństw i wulgaryzmów, choćby w tej sytuacji były usprawiedliwione. Innymi słowy, będzie musiał zachowywać się z godnością. Mundur miał go ochronić przed własną zapalczywością.

Shreed kazał na siebie czekać przez czterdzieści pięć minut - doskonały sposób, by wyprowadzić każdego rozwścieczonego petenta z równowagi. Kiedy Alan wreszcie dostąpił zaszczytu audiencji, Shreed rozmawiał przez telefon i na powitanie machnął tylko ręką w stronę krzesła, jakby spodziewał się zwyczajnej, beztroskiej pogawędki. Na pewno wie, co chcę mu powiedzieć, pomyślał Alan. Nie zamierzał siadać.

- No dobrze - powiedział wreszcie Shreed i podniósł wzrok na Alana. - Słyszałem, że się nie popisałeś.

Alan puścił tę uwagę mimo uszu.

- Sir - zaczął - chcę wiedzieć, czemu pan mnie okłamał.
- Okłamał?! Co u licha...
- Chcę wiedzieć, czemu mnie pan okłamał.
- Nie okłamałem cię. Dałem ci dobrą radę, a ty najwyraźniej mnie nie posłuchałeś. A teraz wszystko diabli wzięli.
- Chciałbym, żeby wyjaśnił mi pan, dlaczego kazał sobie zaufać, a potem zawiódł moje zaufanie.

Shreed wlepił w niego wzrok i roześmiał się. Podniósł słuchawkę i poprosił kogoś, by przyszedł do jego gabinetu. Po kilku sekundach w drzwiach stanęła Sally Baranowski.

- Usiądź sobie - powiedział Shreed. - Ten młody człowiek będzie nam mówił o zaufaniu.

Shreed chciał mieć świadka. W tej sytuacji Alan nie mógł liczyć na osiągnięcie pełnej satysfakcji; pozostał mu tylko gorzki triumf człowieka, który powiedział, co myśli, choć jego słowa nie dały żadnego efektu. Mimo to nie zamierzał skapitulować.

- Sir, z pańskiej winy zginął człowiek.
- Sally, i co ja mam mu na to odpowiedzieć? - Wyciągnął palec w stronę Alana. - Co, chcesz się wkopać do reszty?
- Zaufałem panu i przez to zginął człowiek. Powinien pan się wstydzić.

Prawdopodobnie w tym gabinecie nigdy jeszcze nie padły takie słowa. Twarz Shreeda nabrzmiała czerwienią.

- Zabieraj się stąd!

Alan nie drgnął.

- To, co pan zrobił, jest godne najwyższej pogardy. Przynosi pan wstyd Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Odwrócił lekko głowę, by spojrzeć na Sally Baranowski. Próbowała bezskutecznie się uśmiechnąć, wreszcie splonęła rumieńcem i przeniosła wzrok na Shreeda. Alan obrócił się na pięcie i wyszedł, słysząc za sobą szyderczy śmiech.

George Shreed wkrótce przestał się śmiać, bo jego zastępczyni wcale nie miała wesołej miny. Zgiął w dłoniach długopis, cisnął go na biurko i krzyknął:

- Cholerny gówniarz!

Z gabinetu admirała wyszedł komandor, czerwony jak burak. Reicher mruknął porozumiewawczo do Alana. Nie rozglądając się, starszy wiekiem oficer ruszył przed siebie sztywnym krokiem, możliwie najszybciej; gdyby nie poczucie godności, na pewno poderwałby się do biegu. Komandor marynarki nieczęsto miał okazję dostać ostrą reprymendę od samego admirała.

Potem do gabinetu wszedł Reicher i wyłonił się po dziesięciu minutach, lekko zaczerwieniony, ale na tyle opanowany, że był w stanie uśmiechnąć się krzywo do Alana i powiedzieć:

- Twoja kolej.

Alan ruszył do drzwi z ogromną pustką w głowie. W ostatnich dniach tak wiele przeżył, że jego zasoby niepokoju były na wyczerpaniu. Teraz odczuwał tylko pewien rodzaj chłodu, nic więcej.

Wytorny gabinet w niczym nie przypominał typowego miejsca pracy oficera marynarki. Stały w nim skórzane fotele z mosiężnymi ćwiekami, na ścianie wisiały zdjęcia prezydenta i głównodowodzącego sił morskich i jedna fotografia żaglowca; w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach kawy, pomieszany z mniej charakterystyczną wonią cygar, bijącą od nienagannie skrojonego mundur admirała. Alan stanął na baczność przed biurkiem. Admirał, człowiek niewielkiego wzrostu, na nosie miał okulary, w których przypominał nieco Harry'ego Trumana. Zresztą, słychać z ładu trumanowskiego uporu. Miał pięćdziesiąt kilka lat, nosił się elegancko, a zza jego pleców wyłaniała się flaga amerykańska i sztandar marynarki wojennej. Na palcu admirała widniał sygnet z Akademii Wojskowej.

- No cóż, mamy ciężki orzech do zgryzienia. - Mówił chrapliwym głosem, jakby nie miał chwili do stracenia. - Jak pan sądzi, czy popełnił pan w tej sprawie jakieś błędy?

- Tak jest.

- Jakie?

- W swoim postępowaniu kierowałem się pobudkami osobistymi. I zaufałem komuś, komu nie powinienem.

- W marynarce obowiązują pewne procedury, które umożliwiają uniknięcie błędów. Dlaczego nie zastosował się pan do nich?

- Sir, uważam, że o ile to możliwe, starałem się postępować zgodnie z zasadami. Byłem przekonany, że liczy się każda chwila.

- Dlatego skontaktował się pan z ludźmi spoza marynarki, którzy zrobili pana na szaro. To była głupota. Nie takiego postępowania oczekuję po moich oficerach. Czy wyrażam się jasno?

Alan mruknął potakująco.

- Z drugiej strony... był pan o krok od sukcesu, ale przeszkodzili panu w tym ludzie posiadający zbyt wielką władzę, by dało się z nimi walczyć. A teraz... - Położył na biurku jakąś kartkę. - Właśnie otrzymałem e-mail od wysokiego rangą urzędnika CIA, który domaga się, bym udzielił panu nagany za to, że wszedł pan do jego gabinetu i „obrzucił go stekiem inwektyw”. Czy obrzucił pan kogoś z CIA stekiem inwektyw, podporuczniku Craik?

Alan wyprostował się i hardo spojrział admirałowi w oczy. W tej sprawie był pewien swego.

- Nie wydaje mi się, bym w czasie tamtego spotkania używał nieodpowiednich słów. Nikogo o nic nie oskarżałem... choć owszem, spytałem George'a Shreda, dlaczego mnie okłamał. Poza tym stwierdziłem fakt, że jest on odpowiedzialny za śmierć człowieka.

- Czy pamięta pan swoje słowa, ale dokładnie?

Alan pamiętał i mógł je bez trudu przytoczyć.

- „Godne najwyższej pogardy” - naprawdę powiedział pan coś takiego? Chyba nigdy jeszcze nie słyszałem takiego wyrażenia. Godne pogardy. Fakt, coś w tym jest. Na pewno nie przeklinał pan, nie krzyczał, nie używał wulgaryzmów? No cóż, pańskie wyjaśnienia wydają się w porządku. Pewnie odpo wiemy Agencji, że gdyby czasem pomyśleli przed przystąpieniem do działania, może teraz inni nie wyzywaliby ich od „godnych pogardy”. Może być? - Wpa trywał się w Alana zza okularów w stalowych oprawkach. - Komandor Reicher bardzo pana chwali, podobnie jak dowódca pańskiej eskadry. Jest pan inteligentnym młodym człowiekiem, który może daleko zajść pod warunkiem, że nie popełni zbyt wielu głupich błędów. Musi pan jednak jeszcze sporo się nauczyć o funkcjonowaniu wywiadu; przeszkolimy pana, w CIA nie ma pan już czego szukać. A potem zajmiemy się przygotowaniem praktycznym, o ile oczywiście będzie pan sobie tego życzył. Przeglądałem ostatnio pańskie akta i wiem, jak ważna jest dla pana sprawa śmierci ojca. Zajmę się nią, ponieważ uważam, że ma pan rację; na samą myśl, że w naszych szeregach rzeczywiście jest szpieg, chce mi się rzygać. Prawdę mówiąc, przed ostrą reprymendą uchroniło pana właśnie to, że moim zdaniem od samego początku miał pan rację. Miał pan rację już rok temu i gdybym to ja podejmował decyzję w tamtej sprawie, samo lot pańskiego ojca już dawno zostałyby wyciągnięty z oceanu. - Naburmuszył się i potrząsnął głową. - Musi się pan nauczyć, panie Craik, że wywiad marynarki to taki bardzo skomplikowany i niezbyt racjonalny wszechświat. Żeby w nim funkcjonować, musi pan go znać wzdłuż i w poprzek - a panu jeszcze do

tego daleko! Jest pan jak... szczenię, które zabrano na polowanie. To nie jego wina, że za wcześnie wypłoszyło ptaki, ale wszyscy i tak nie mogą mu tego darować. - Przeszył Alana twardym spojrzeniem. - Niech pan nigdy więcej nie zgłasza się bezpośrednio do CIA!

- Tak jest.

- Ale proszę też nie tracić zapалу. Marynarce potrzebni są ludzie, którzy w odpowiedniej sytuacji gotowi są użyć takich zwrotów jak „godny pogardy”. Moim zdaniem, będzie z pana dobry młody admirał, o ile kiedykolwiek uda nam się zrobić z pana oficera pełną gębą. To wszystko, panie Craik.

Reicher czekał na niego pod drzwiami. Był zadowolony. Admirał co prawda zmył mu głowę za to, że wysłał Alana do Afryki bez jasno sprecyzowanych zaleceń, ale przed chwilą Reicher dowiedział się od jednego ze sztabowców, że komandor, który na polecenie Shreeda kazał Alanowi wrócić do Stanów, dostał oficjalną naganą.

- Coś mi się wydaje, że wyszliśmy na najgorszych bandytów - powiedział Reicher po wysłuchaniu opowieści Alana o rozmowie z admirałem. - Craik, jesteś pijący?

- Piwa bym nie odmówił, sir.

- A dwóch? - Skierowali kroki w stronę baru. - Wiesz, Craik, zaczynasz mi się podobać.

2 maja 1992, kwatera główna Floty Atlantyckiej

Na biurku wylądowała wiadomość. Nie była pierwsza tego dnia, więc upłynęło trochę czasu, zanim pani komandor zwróciła na nią uwagę. Przeczytała ją, odłożyła do szuflady, odwróciła się do komputera i przejrzała listę okrętów. Po odnalezieniu na niej USS „Lifter” kliknęła na nazwę. Na ekranie pojawiły się ostatnie rozkazy dla tej jednostki i planowany kurs. Okręt znajdował się we wschodniej części Morza Śródziemnego, gdzie zbierał ropę z małego tankowca, który rozbił się w latach sześćdziesiątych, a teraz zaczął przeciekać. Za dwa tygodnie „Lifter” miał być wolny.

Komandor zaczęła wypisywać rozkaz, na mocy którego kapitan miał skierować się do Zatoki Perskiej, żeby podnieść A-6 z dna; wprowadziła ostatnie znane położenie samolotu, w tym wypadku dokładne, jako że zanotowane w chwili, gdy maszyna runęła do wody. Należało jeszcze odszukać zapis z sonaru.

6 czerwca 1992, Zatoka Perska

Bosman Norman Boardman skierował snop światła reflektora w stronę majaczącego w mroku kształtu i powoli zrobił dwa kroki do przodu. Jego oczom ukazała się część skrzydła, pokryta warstwą najprzeróżniejszych żyłatek; prze-

zarty rdzą metal przywodził na myśl skórę trędownatego. Z aparatu bosmana wzbijały się bąbelki, wokół których płały ryby niczym kolibry.

Boardman ostrożnie obszedł wrak. Samolot zламаł się na kilka części, trzeba było uważać na ostre fragmenty. Wokół unosiły się kable, niczym wici podmorskich roślin, niektóre cienkie jak pnącza winogron, inne grube jak sznur. Kadłub był dobrze widoczny. Poodpadały skrzydła i tylna część samolotu. Mimo to przód zachował się w nienaruszonym stanie i widać nawet było poszarpany otwór w miejscu, gdzie trafiła rakieta.

Boardman podał dokładne namiary miejsca i opisał wrak samolotu. Odczytał numery z płaskiego kawałka metalu, być może będącego częścią skrzydła, a potem liczby widoczne na przedniej części kadłuba. Podczas gdy oficerowie dyżurni sprawdzali te dane, on podszedł tak blisko kokpitu, jak to było możliwe w płataninie kabli, i zajrzał do środka.

- Boardman?
- Tak.
- To ten. Numery się zgadzają.
- W środku są ludzkie szczątki.

W słońcu przedzierającym się przez nadwodną mgiełkę, „Lifter” podniósł z dna to, co zostało z samolotu Mike'a Craika. Na pokładzie leżało już mnóstwo fragmentów, wydobytych wcześniej; inne spoczęły w ładowni. W Kuwejcie przygotowano już odpowiednio dużą halę; ze Stanów przyleciała grupa specjalistów - byli pośród nich przedstawiciele producenta, mechanicy, agent NCIS, eksperci od walki radioelektronicznej i analizy uszkodzeń. Mieli oni zidentyfikować wszystkie, choćby najdrobniejsze fragmenty wraku i niczym w układance odtworzyć z nich całość.

- Gotów do podniesienia, sir.
- Niech nurkowie się odsuną.

Oficer odpowiedzialny za operacje ratownicze był nie tylko mechanikiem, ale i nurkiem. Patrząc na linę głównego dźwigu, oczyma wyobraźni widział głęboko w dole grupę nurków, zgromadzonych wokół sprzętu, który miał podnieść główną część kadłuba. Jak zawsze ostrożny, po raz kolejny obliczał w myśli naprężenie liny, czas przebywania pod wodą, ciśnienie, uwzględniając prawo Murphy'ego i jego własną teorię, którą nazwał Zasadą Przewidywanych Konsekwencji: jeśli człowiek przewidzi wszystkie możliwe komplikacje i zrobi wszystko, by ich uniknąć, z nieba spadnie meteoryt i podpali mu spodnie.

- Nurkowie są w bezpiecznej odległości.

Połączył się ze sterówką.

- Przygotujcie się do podniesienia fragmentu numer siedem.

- Gotowi.

- W porządku, to ten największy. - Oficer spojrział na pasmo szarych chmur nad horyzontem, przez chwilę miał ochotę napomknąć o możliwości pogorszenia się pogody (czego prawdopodobieństwo wynosiło dwa procent), ale zmienił zdanie. - Dźwig trzy, jesteś gotowy?

- Gotowy, sir.

Oficer rzucił okiem na swoje notatki i spojrzał na szefa grupy nurków, który skinął przyzwalająco głową. Obserwator machnął ręką na znak, że wszystko jest w porządku.

- No to do roboty.

Najpierw rozległo się głośne wycie, które przerodziło się w pomruk, dość cichy i niepokojąco monotony. Tylko bystre oko mogło zauważyć, że kable się naprężyły.

Oficer oblizał wargi. Zegar odmierzał czas trwania operacji. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego („już to widzę”), za siedemdziesiąt minut będzie po wszystkim. Pot spływał po skroniach oficera. Temperatura sięgała już niemal czterdziestu stopni. Zabierzcie mnie stąd do starej dobrej Australii, pomyślał. Niedawno tam byli, wykonując jakieś zadanie. Cudowna pogoda. Wspaniałe knajpy. Fajne panienki.

Jeden z obserwatorów podniósł rękę; dźwиг zamarł.

- Co się stało?

- Wydawało mi się, że kabel się przeciera, ale to tylko jakiś zielony syf z głębin. Wygląda jak galareta. Fuj.

Potem miały miejsce jeszcze trzy przerwy; zamiast siedemdziesięciu, operacja trwała niemal sto trzynastie minut. W pewnym momencie doszło do lekkiego skręcenia kabla; nurek musiał to sprawdzić. Ładunek przemieścił się, co prawda zaledwie o kilka centymetrów, ale operator był zaniepokojony. I tak dalej.

Wreszcie z wody wynurzyły się ostatnie metry głównego kabla, pnącego się w górę do końca ramienia dźwigu, by następnie zawinąć się wokół bębna. Oficer odpowiedzialny za całą operację zszedł na pokład, żeby uczestniczyć w chwili, emocjonującej i smutnej zarazem, kiedy ocean zwraca swoje tajemnice.

Woda wokół kabli zaczęła się kotłować, jakby była bliska wrzenia, i pociemniała. Najpierw wyłoniła się górna część klatki, a za nią szarozielona bryła, w której z trudem dało się rozpoznać samolot. Oderwała się od fal i wzniosła w powietrze, ociekając wodą wypływającą z dziur w kadłubie, z otworu pozostałego po ogniu, z nosa, ze złamanych skrzydeł. Połamany, powyginany metal zwiślał bezwładnie, jakby chciał z powrotem zanurzyć się w głębinach. Przewody elektryczne wylewały się z roztrzaskanego skrzydła niczym wnętrzości. Ściekająca z wraku woda była miejscami biała od błota i piachu.

Oficer zmusił się, by zajrzeć do kokpitu, gdy samolot, będący jeszcze dość nisko, coraz wolniej wznosił się ku pokładowi; zmusił się do tego, ponieważ uważał, że należy się to zmarłym - najgorsza była chwila, kiedy na powierzchnię wynurzało się ciało długo pozostające pod wodą, a w nozdrza uderzał straszliwy smród. Oficer dostrzegł górną część hełmofonu, z nadal widocznymi skrawkami taśmy, przechylnego na bok, jakby pilot odpoczywał, a potem dostrzegł niewyraźną plamę, która mogła być ręką w kombinezonie lotniczym albo nawet nogą, a może kawałkiem kabla, metalu, gumą piankową, kością...

Alan wpatrywał się w jeden punkt na ścianie salonu tak długo, że zapomniał, gdzie jest i co robi. Miał zająć się „wystrojem” -jak Rose określiła próby wypełnienia czymś pustki ścian - ale już od wielu minut siedział okrakiem na krześle ustawionym na środku pokoju, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. W prawej ręce trzymał złamany beduiński miecz.

Do salonu weszła Rose, obładowana zakupami. Już otworzyła usta, by poprosić męża o pomoc, ale widząc, że jest nieobecny duchem, uśmiechnęła się tylko, wzruszyła ramionami i poszła z powrotem do samochodu. Kiedy wróciła, postawiła wypchane plastikowe torby na podłodze, podeszła do Alana i pogłaskała go po głowie.

Uśmiechnął się i spojrzał na nią.

- Myślisz o nim?

Drgnął. Złamany miecz zwisał w jego dłoni.

- Chyba tak. O nim i o Francim. No i o tym facecie od miecza. - Wzniósł złamane ostrze. - Opowiadałem ci o nim.

Uśmiechnęła się.

- I to nieraz.

- Nie wiem, czemu on... czemu tak mi zapadł w pamięć. Nie mogę go zapomnieć. Był taki...

- „Dziki”. Tak go określiłeś ostatnio.

- Nudzę cię, co?

Pocałowała go.

- Czy wyglądał jak twój ojciec?

Alan parsknął śmiechem.

- Broń Boże! Nie, był jak... - Potrząsnął głową. - Wiesz, to tak jakby nakłnąć się w małym wiejskim sklepiku na Geronimo. - Zerwał się na równe nogi. - Powieszę to cholerstwo na ścianie, choćbym miał szczeznąć, jak mawiają na Południu.

- Nieprawda! Wcale tak nie mówią!

- Mówią, mówią. Mają fantazję. - Zaczął wbijać gwoździe w ścianę.

- Powinniśmy kupić psa - powiedziała.

Alan roześmiał się.

- Najpierw dziecko, potem pies... co jeszcze, złote rybki?

- Musisz mieć coś, z czym mógłbyś rozmawiać.

- Mam ciebie. - Objął ją w talii. - Zresztą psy krótko żyją.

- Nie myśl tak! Nikt nie żyje wiecznie, kochanie.

- Ty będziesz żyć wiecznie. Zobaczysz. - Przycisnęła ją do siebie.

Rose przysłoniła mu usta dłonią.

- Nie mów takich rzeczy. To przynosi pecha. Nie kuś... czegoś tam. Nie...

Zadzwonił telefon. Alan odebrał i przez chwilę się nie odzywał, po czym zapytał tylko „Kiedy? Żadnego?”, wpatrzony w złamany miecz, który wisiał już na ścianie. Potem odłożył słuchawkę, wziął do ręki miecz ojca i uśmiechnął się do Rose.

- Wyciągnęli jego samolot. Pochowają go tutaj, w Stanach. Mają zamiar dokładnie obejrzeć IFF.

Wbił gwoździe w ścianę i powiesił na nich miecz ojca, skierowany w górę tak, że gdyby miecz Beduina nie był złamany, ostrza krzyżowałyby się.

- A ja dorwę sukinsyna, który odpowiada za jego śmierć, i każę mu słono zapłacić!

21

Czerwiec 1992, Norfolk

Alan czuł się tak, jakby nagle przybyło mu lat. Nie był już nieopierzonym żółto-Adziobem, „dzieciakiem Mike'a Craika”; stał się dojrzałym mężczyzną, który kończył jeden etap życia i zaczynał następny. Zmianę tę podkreślały pierwsze siwe włosy, ojcostwo, belki porucznika na pagonie. Po upływie półtora roku od wydobycia z głębin oceanu wraku samolotu jego ojca, Alan był już całkowicie innym człowiekiem. Inni też się zmienili: małżeństwo O'Neilla rozpadło się; na piersi Bei Peretz pojawił się guzek, który okazał się niegroźną cystą; Mike Dukas zakochał się w Rose, ale skończyło się na przyjaźni.

- Pięć lat - powiedział Mike tydzień po tym, jak samolot ojca Alana został wyciągnięty na powierzchnię. - To potrwa pięć lat.

Zebrawali się w domu Alana i Rose w sobotni wieczór; przez następne półtora roku mieli spotykać się tak co tydzień, zawsze w sobotę. Oprócz gospodarzy byli tu Peretzowie, Dukas, O'Neill i jego wiecznie naburmuszona żona, z którą niedługo miał się rozwiść.

- Przypadła mi sprawa twojego ojca - powiedział Mike. Strzelali do rzutków; Alan, chociaż trzymał pistolet w dłoni po raz pierwszy w życiu, radził sobie nadspodziewanie dobrze, co wzbudzało nieskrywaną zawiść pozostałych.

Alan dołał mu wina.

- Czyli istnieje coś takiego, jak sprawa mojego ojca?

- Tak, no wiesz, chodzi o tego domniemanego szpiega. Mówił ci już ktoś o tym? - Mike miał minę niepewnego uczniaka. Nie znali się wtedy jeszcze tak dobrze; łączyła ich tylko klęska poniesiona w Mombasie.

- Myślałem, że coś się ruszy, ale odkąd wyciągnęli samolot ojca, ni cholery się nie dowiedziałem. Mają go pochować na cmentarzu w Arlington.

- Uszkodzenia zgadzały się z tym, co było widać w kamerze na podczerwień, a kody zostały wprowadzone przy użyciu urządzenia, nie ręcznie, i różniły się od kodów w pozostałych maszynach. Czyli miałeś rację: ktoś postarał się, by samolot twojego ojca został trafiony jakąś naprędce skleconą rakietą. Ktoś, kto przebywał na pokładzie lotniskowca.

- Jak długo potrwa dochodzenie?

Mike spojrzął na niego i zaśmiał się niepewnie. Czyścili właśnie strzelby, leżące na metalowym stoliku obok grilla. W powietrzu unosiły się zapachy węgla drzewnego, pieczonego mięsa i oleju do smarowania broni. Dukas wziął strzelbę do ręki, po czym jednym ruchem zarepetował broń i wymierzył w wyimaginowanego przeciwnika.

- Pięć lat.

Tak naprawdę śledztwo trwało osiemnaście miesięcy, ale irracjonalne spłoty wydarzeń mają to do siebie, że nie da się ich przewidzieć. W normalnych okolicznościach Dukas miałby rację.

Rose była jedyną osobą, której Alan powiedział o swoim rozczarowaniu. Wkrótce jednak przypomniał sobie, że Reicher kazał mu nauczyć się harować i zdał sobie sprawę, że teraz będzie miał po temu doskonałą okazję. Leżał w łóżku z otwartymi oczami u boku żony.

- Może najlepiej byłoby dać sobie z tym spokój - powiedział. - Po prostu zapomnieć. Stać się zwyczajnym, zapracowanym, żonatym facetem.

- Ale to ci się nie uda.

Alan delikatnie pogładził japo nagim biodrze.

- Na morzu ciągle coś się działo. Tutaj zresztą jest tak samo, zawsze można się czymś zająć. Choćby strzelaniem do rzutków. Ale czego bym nie robił, nie mogę zapomnieć, że gdzieś tam żyje człowiek, który spowodował śmierć mojego ojca i zdradził własną ojczyznę za pieniądze obcego wywiadu. Nie mogę zapomnieć przerażonej twarzy Franciego. Owszem, można by to jakoś zepchnąć na drugi plan, udawać, że nic się nie stało, że wszystko wydarzyło się w innym świecie. Ale przecież tak nie jest!

- Skoro Mike twierdzi, że śledztwo potrwa pięć lat, nie masz wyjścia, musisz czekać.

- I harować. Tak, to prawda. Ale nie oznacza to, że muszę schować głowę w piasek. Zamierzam poprosić Mike'a, by wziął mnie do swojej grupy śledczej.

Nie przypomniała, że Alan i bez tego ma pełne ręce roboty. Ona sama pracowała sześć dni w tygodniu, by zrobić jak najwięcej, zanim przejdzie na urlop macierzyński.

W kolejne dwie soboty znów strzelali do rzutków. Alan miał już swoją własną strzelbę, kupioną na pchlim targu. Jak się okazało, był to brytyjski purdey kaliber dwadzieścia, mała, zgrabna broń. Dukas usilnie starał się przekonać Alana, że to bezwartościowy złom. I pewnie by mu się udało, gdyby do pokoju nie wszedł O'Neill.

- O Boże, prawdziwy purdey! - zawołał z nieukrywaniem podziwem. Dukas zaklął siarczyście. Był zapalonym kolekcjonerem broni. Wyglądał na zirytowanego faktem, że Alan miał tak niewiarygodne szczęście.

- Wiesz, ile to jest warte? - zapytał go kilka razy w ciągu wieczoru. W odpowiedzi Alan uśmiechał się szeroko.

- Czterdzieści pięć dolarów - mówił. - Tyle dałem.

Peretz okazał się beznadziejnym strzelcem; jego szczęśliwe trafienia wywoływały więcej komentarzy niż nieudane strzały Alana. Mimo to Alan szukał wsparcia właśnie u niego - starego zawodowca o błyskotliwym intelekcie. Jednak Peretz, zamiast dodawać mu otuchy, udzielał tylko kolejnych rad.

Alan odłożył strzelbę i podszedł do niego. Peretz wpatrywał się w dal. Było niezwykle gorąco; parę kroków wystarczyło, by człowiek zaczął się pocić. Na ziemi stały dwa pojemniki, wypełnione głównie wodą. Alan i Peretz przez chwilę obserwowali rozbijające się o brzeg fale.

- Mike mówi, że złapią tego drania za pięć lat.

- Optymista. - Peretz miał kamienną twarz. - Mogą go nigdy nie złapać.

To dało Alanowi do myślenia.

- Poprosiłem go, żeby włączył mnie do swojej grupy - powiedział lekko drżącym głosem. - Admirał mnie poparł.

Peretz wbił w niego wzrok. Wzruszył ramionami. Wydawał się mniejszy i starszy niż zwykle.

- Zemsta źle się kończy, Alan. Mike chce złapać tego typu, bo takie ma zadanie. Ty chcesz go zabić. Wiem, że kochałeś ojca i przykro mi, że muszę sprawdzić cię na ziemię. Wybacz, ale nie będę owijał w bawełnę. Moim zdaniem, wszystko rozbija się o to, że z ojcem nie zdążyliście sobie wyjaśnić wielu spraw i gorycz, jaką czujesz z tego powodu, przerodziła się w nienawiść do człowieka, którego nigdy nie widziałeś na oczy. Ten człowiek, cokolwiek by o nim powiedzieć, jest prawdopodobnie nędzną, chciwą kreaturą. Nie jest to godny przeciwnik dla ciebie czy twojego ojca. Niech to Mike go schwyta.

- Nie chcę go zabić. Chcę tylko, żeby był skończony.

- Ostatnia okazja, żeby wykazać się przed ojcem.

Alan uświadomił sobie, że ucichły strzały; Mike i O'Neill zbyt energicznie czyścili swoje strzelby, by miało to wyglądać przekonująco. Alan miał to gdzieś. Peretz przez kilka sekund patrzył mu prosto w oczy.

- Powtarzam raz jeszcze: daj sobie spokój. Jeśli ta sprawa stanie się częścią twojego życia, zobaczysz, że ucierpisz na tym ty, ucierpi twoje małżeństwo, twoje przyjaźnie. Któregoś dnia, jeśli będziesz miał szczęście, ty albo ktoś z naszych złapie tego drania i wtedy zdasz sobie sprawę, że dla zemsty straciłeś całą młodość. Widzę po twojej minie, że nie podoba ci się to. co mówię. Trudno; jak chcesz, możesz mnie olać. Ale pamiętaj, przy admirałe trzymaj nerwy na wodzy, bo inaczej zrobi to, co powinien i powie ci, żebyś się niczym nie przejmował i poczytał sobie gazety, jak na porządnego obywatela przystało.

- Jeśli mam się nie martwić i czytać gazety, równie dobrze mogę odejść z marynarki.

Peretz zaczerwienił się; ta uwaga skierowana była pod jego adresem. To on odszedł z marynarki. Przez chwilę próbował opanować nerwy.

- Przepraszam - mruknął wreszcie, wziął ze stołu swój pistolet i odszedł bez słowa pożegnania.

O to mu chodziło, kiedy mówił, że na tej sprawie ucierpią moje przyjaźnie, pomyślał Alan. Tyle, że Peretz pozostał jego przyjacielem. Rose i Bea się o to postarały. Łączące ich więzy stały się nawet silniejsze.

Lipiec 1992, pierwszy miesiąc śledztwa

Mike Dukas, co u agenta specjalnego niezwykle, lubił analityków; doskonale się bawił słuchając ich wywodów na temat teologii, czarnych dziur i baseballa oraz cenil ich imponującą, choć często ograniczoną do jednej dziedziny wiedzę. Poprzestawiał stanowiska pracy tak, żeby wszyscy analitycy przydzieleni do jego sprawy siedzieli w kręgu, wokół niego. Jeśli mieli coś do powiedzenia, to nie musieli kręcić się po pomieszczeniu, wystarczyło, by wystawili głowę nad ściankę, niczym zaciekawione psy.

Czasem jednak, na samym początku śledztwa, okazywało się, że analitycy mają poważne braki.

- No dobrze, Mike, czyli ten facet musi mieć dostęp do pokładu startowego, zgadza się? Nikt nie może ot, tak sobie wyjść na pokład podczas operacji, no nie? Prócz tego, wszyscy muszą go znać... nie, zaraz, zaraz, przecież wszyscy mają na głowie helmfony i gogle... Hej, Melissa, czy przy wejściu na pokład startowy jest jakiś punkt kontrolny?

Z miejsca nazwano tę grupę Dziećmi Mike'a, bo w jej skład weszli głównie młodzi ludzie, świeżo po studiach. Najstarsza była Melissa, latynoska, samotna matka z ciężko zdobytym wykształceniem; w marynarce dosłużyła się stopnia bosmana, po czym poszła na studia. Jimbo, wysoki, chorobliwie nieśmiały chłopak, zrobił doktorat w jakiejś ezoterycznej dziedzinie na jednym z najlepszych uniwersytetów; był wybitnie nietowarzystki, ale miał doskonałe pomysły, najczęściej wyniszczane w rojących się od błędów e-mailach. Carla była ciemnoskórą kobietą, która starała się ukryć swoją młodość i brak doświadczenia, i obnosiła się ze swoim kolorem skóry jak z makijażem pasującym do noszonych przez nią kolorowych ciuchów. Pewnego piątkowego popołudnia Mike próbował nawet namówić ją, by zaczęła ubierać się nieco bardziej spokojnie, ale ona tylko uśmiechnęła się i wskazała na Jimbo. Dukas od razu zrozumiał, o co jej chodzi: Jimbo nawet w drogim garniturze wyglądałby jak dupek, Carla natomiast mogłaby przyjść w jutowym worku na wystawne przyjęcie, a i tak robiłaby doskonale wrażenie. Mike miał zresztą poważne wątpliwości, czy którykolwiek z pracowników odważyłby się ją zaczepić. Z kolei Roger był młodym oficerem marynarki, szczęśliwym, że może nosić cywilne ubranie; nie ukrywał, że pragnie zostać agentem. On jeden miał za sobą służbę na pokładzie lotniskowca, dlatego cieszył się szacunkiem pozostałych. Pozostali członkowie grupy nie pracowali razem z Dziećmi Mike'a; niektórzy z nich zajmowali się sytuacją w Rosji i w Iranie, i przebywali tam, gdzie mieściły się ich wydziały.

Przez miesiąc członkowie grupy przystosowywali się do rytmu pracy i studiowali podstawowe dokumenty. Po upływie tego czasu Mike zwołał zebranie w gabinecie, który zaadaptował na salę odpraw.

- No i jak, dajecie sobie jakoś radę? - spytał. Było strasznie ciasno, bo do jednoosobowego gabinetu weszło dwadzieścia osób. Zebrani zajęli wszystkie możliwe kąty i mieli wyraźnie znużone miny.

- Dobrze więc. Powiem wam, jak ja to widzę. - Rozejrzał się i zobaczył skrzyżowane ręce, opuszczone głowy, nieśmiałe spojrzenia. To był dopiero początek i nikt nie wiedział, czego się spodziewać. - Człowiek, który to zrobił, działał w pojedynkę. - To dla nikogo nie było zaskoczeniem; wszyscy o tym doskonale wiedzieli. - Przebywał na pokładzie lotniskowca. Czyli pozostaje nam pięć tysięcy dwustu osiemdziesięciu siedmiu mężczyzn. Żadnych kobiet. Mamy listę wszystkich członków załogi. Dalej... Ktoś temu człowiekowi zapłacił. Rosja, Iran, Francja. .. ktoś. Stąd wniosek, że gdzieś nagle pojawiło się za dużo pieniędzy. Carla, to twoja działka. - Wszyscy spojrzeli na Carlę. - Podążaj śladem pieniędzy. Powiedz naszym ludziom w Norfolk, żeby przeprowadzili parę rozmów, może to coś da. Ktoś musiał zwerbować i przeszkolić tego człowieka. Być może go szantażował. Szukajcie dziwaka, który kiedyś coś zbroił i nie może dostać awansu, albo stara się coś ukryć. Może być alkoholikiem, homoseksualistą czy kimś takim. Jimbo, tym zajmiesz się ty. - Jimbo nachmurzył czoło i zmarszczył nos. - Przygotuj parę pytań, niech ci faceci z Norfolk zadają je podczas rutynowych przesłuchań, a poza tym sprawdź, czy nasi agenci przebywający w tamtym czasie na pokładzie lotniskowca nie znająkogoś, kto odpowiadałby temu opisowi. Znajdź ich i porozmawiaj z nimi, Jimbo. - Jimbo miał przerażoną minę: rozmawiać z ludźmi? Osobiście?

Mike rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego podopieczni wydawali się nieco bardziej zaciekawieni niż na początku spotkania, ale z analitykami nigdy nie wiadomo; trudno powiedzieć, który z nich się rozmarzył, a który wpadł na świetny pomysł.

- Co jeszcze? Atak, współpraca z innymi agencjami. Melissa, zdaje się, że znasz wszystkich waszyngtońskich analityków. Zaczynij rozglądać się za sprawami podobnymi do naszej. Zwróć uwagę na daty, podobne okoliczności i tak dalej; aha, porozmawiaj też z ludźmi z wydziału kryminalnego, poproś, żeby pomogli ci opracować *modus operandi* przestępcy. Niech jakiś psycholog przygotuje jego charakterystykę. A pozostali niech mają oczy otwarte. Jeśli uda nam się rozwiązać tę sprawę, to dlatego, że jeden z was wyłowi coś z natłoku informacji, doda dwa do dwóch i otrzyma pięć i pół.

Wszyscy pilnie robili notatki - Dukas nie miał pojęcia, dlaczego. Czy powiedział coś, co warto było zapisać? W tej chwili Mike czuł się bardziej jak profesor niż jak gliniarz, a ta rola mu nieszczerze odpowiadała.

- To typowe śledztwo dla analityków. Ja zajmę się koordynacją waszej pracy i papierkową robotą. Oprócz tego przejrzę dostępne akta spraw prowadzonych przez kontrwywiad. Gdybym nic nie znalazł, a nie znajdę, bo takie jest życie, odwiedzimy z M.elissainne agencje i spróbujemy coś od nich wyciągnąć.

Roger, ty będziesz moją prawą ręką. Zajmiesz się przygotowaniem bieżących raportów. A wy pamiętajcie, żeby ważne dane podawać i mnie, i Rogerowi. Zorganizujemy taki mały teatrzyk objazdowy. Będziemy chodzić w odwiedziny do naszych kolegów z innych agencji i pokazywać nasz raport; dzięki temu wyciągniemy od nich rozmaite dokumenty z kontrwywiadu, które od samego początku powinny być w naszych rękach. - Odchylił się razem z krzesłem i podłożył dłonie pod głowę.

- W przeciągu roku chcę zredukować liczbę podejrzanych o pięć tysięcy. To nasz pierwszy cel: jeden rok, wykreślone pięć tysięcy nazwisk. Dlatego wytyście umysły i zaczniacie eliminować z listy tych marynarzy, którzy mogą udowodnić, że z tą sprawą nie mają związku. Myślcie. Kto nie może wejść na pokład startowy? - Kiwnął głową w stronę tego, kto pierwszy zadał to pytanie. - Kto nie ma dostępu do urządzenia kodującego IFF? Kto ma? Czy takie urządzenie zginęło? Prawdopodobnie będziemy musieli przesłuchać wszystkich członków załogi pracujących na pokładzie startowym... Roger, napisz do Norfolk, żeby przysłali nam ich listę. Niech umieszczana niej aktualne stopnie wojskowe, adresy i tak dalej. - Wstał i przeciągnął się.

- Aha, jeszcze jedno. Ta sprawa będzie się ciągnęła bardzo długo. Agenci nie porzucą swoich codziennych obowiązków tylko po to, żeby przesłuchać wszystkich, którzy feralnego dnia mogli przebywać na pokładzie startowym. I bez tego mają mnóstwo spraw na głowie. Zużyjemy tyle papieru, że przez nas runie niejedna sekwoja. Pamiętajcie o tym. Każda prośba o przesłuchanie marynarza będzie musiała zostać wysłana oddzielnie, czyli przez najbliższe pół roku, do czasu, kiedy dostaniemy z Norfolk listę personelu, wyślemy około pięciuset papierków. Rozumiecie? A, byłbym zapomniał. Nie ma tu z nami jeszcze jednego członka naszej grupy - porucznika Craika. Jest z wywiadu marynarki. Niektórzy z was pewnie już wiedzą, że oficer, którego samolot został wyciągnięty z Zatoki Perskiej, to jego ojciec. Nie próbujcie weiskać Craikowi kitu, bo przejrzy was w mgnieniu oka. A w ogóle to miły facet. No dobra, bierzcie się do roboty.

Mike wyszedł. Liczył na większą dawkę dramatyzmu, ale przynajmniej udało mu się rozbudzić ich zainteresowanie. Dziwna jest praca agenta.

Sierpień 1992, drugi miesiąc śledztwa

- Proszę podać imię, nazwisko i stopień wojskowy. - Mike Dukas położył zadziwiająco mały dyktafon na stole. Pełnił on głównie funkcję rekwizytu; przez słuchiwany, świadom, że jego słowa zostaną nagrane, skupiał uwagę na tym za grażającym mu urządzeniu. Dukas miał doskonałą pamięć - do tej pory pamiętał pierwsze prowadzone przez siebie przesłuchanie; jego rozmówcą był wtedy żołnierz piechoty morskiej, oskarżony o kradzież.

Potęźnie zbudowany mężczyzna po drugiej stronie stołu wyglądał na lekko podenerwowanego. Dukas jednak był na tyle doświadczony, by wiedzieć, że więk-

szość marynarzy i wielu oficerów nienawidziło agentów służby śledczej, tak jak mieszkańcy Moskwy nienawidzili KGB. Zresztą z podobnych powodów.

- Bosman James Lake - powiedział przesłuchiwany.
- Jim, pracujesz na pokładzie startowym, prawda?
- Tak jest.

- I dwudziestego trzeciego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku byłeś członkiem załogi niemieckiej samolotu AE 509 na pokładzie USS „Franklin D. Roosevelt”, zgadza się?

- Tak, pracowałem przy samolocie majora.

Mike uśmiechnął się. Z tym pójdzie łatwo, od razu udzielał pełnych odpowiedzi.

- Jakie było twoje zdanie o majorze Craiku, Jim?

- Facet był w porządku. Dał mi trzydziestaka w zawiasach za... mmm... za to, co zdarzyło się w Palmie. I poprosił sierżanta, żeby nie wyrzucał mnie ze swojej załogi. Wydaje mi się, że to głównie dzięki panu majorowi dostałem awans.

- Awans?
- Na bosmana, sir. Dzięki majorowi Craikowi zostałem bosmanem.

Mike przez chwilę obserwował swojego rozmówcę. Ten facet miał powód, by szukać zemsty; dwukrotnie stawał przed Mike'em Craikiem za jakieś drobne przewinienia - to wystarczyło, by znalazł się na liście podejrzanych. Zadaniem takich agentów jak Dukas było skonfrontowanie tego, co mówiły akta, z rzeczywistością. Na papierze bosman Lake był czarną owcą w eskadrze, zgorzkniałym, sfrustrowanym człowiekiem. Jednak teraz, podczas nieprzyjemnej dlań rozmowy, twierdził, że major Craik, ten sam, który karał go za jakieś drobne wykroczenia, uratował jego karierę. To nie powinno co prawda automatycznie wykluczać Lake'a z kręgu podejrzanych, ale dla Mike'a Dukasa ten człowiek był czysty. Koniec, kropka.

Miał ze sobą długą listę pytań przygotowanych przez jego podwładnych, pytań dotyczących ludzi przebywających tamtego wieczora na pokładzie startowym - kto co robił, kto wprowadzał kod do IFF-u w samolocie numer AE 509, czy był tam ktoś jeszcze, czy działo się coś dziwnego?

Jim Lake nie miał pojęcia.

- Nie przypominam sobie, sir! Minęło sporo czasu, a poza tym ja wtedy padałem z nóg ze zmęczenia. Kiedy jestem zmęczony, nie zwracam uwagi na to, co się dzieje. Sir, czy mogę zadać panu jedno pytanie?

- Proszę bardzo.

- Był pan kiedykolwiek na pokładzie startowym lotniskowca w czasie trwania operacji bojowej?

Dukas uśmiechnął się szeroko.

- Nie, nie byłem. Może opowie mi pan, jak to wyglądało tamtej nocy?

- Sir, naprawdę tego nie pamiętam! Widzi pan, wiem, co działo się każdego wieczora, ale nie potrafię dokładnie opisać przebiegu jednego z nich. Pyta pan, kto kręcił się w pobliżu samolotu majora. Skąd ja to mogę wiedzieć? Wszyscy nosimy grube golfy w określonych barwach, mnie na przykład przypadł zielony.

Ale oprócz tego mamy na sobie kamizelki ratunkowe - takie duże, nadmuchiwane, wie pan? - na wypadek, gdyby któryś z nas wypadł za burtą, i takie jakby nauszniki, chroniące nas przed hałasem. No i gogle, osłaniające oczy przed wiewami z dysz i błyskami. To tak jakby patrzeć na tłum zebrany na trasie zjazdu narciarskiego. Poza tym jest hałas jak sam skur... - Lake spojrział na dyktafon - jest strasznie głośno. A kiedy zapada zmrok, nie widać dosłownie nic. Przychoǳą różni ludzie, sprawdzają coś, o czym zapomnieli wcześniej i znikają! Niektórzy zostają na pokładzie, na przykład ci od paliw. Nazywamy ich winogronami, bo noszą fioletowe golfy. Krążą tam też uzbrojeniowcy, czasem nawet odezwą się do nas, niższych form życia. Ubrani są na czerwono. Ale wieczorem, na pokładzie, podczas startu samolotów nie poznałby mnie rodzony brat. Jeśli chodzi o kody IFF, to czasem wpisuje się je tuż przed startem. Ludzie biegną w te i we wte, krzyczą, żeby zejść im z drogi, nie przeszkadzać im w pracy, hałas jak diabli, każdy robi to, co do niego należy, nie patrząc na innych - człowieku, nie mogę ci pomóc! Kiedy wykonuję swoje obowiązki, nie mam czasu, żeby obserwować, co dzieje się wokół.

Dukas położył dłoń na dyktafonie, gotów zakończyć przesłuchanie.

- Uzbrojeniowcy?

- No, ci od uzbrojenia. Wie pan, amunicja, bomby i tak dalej.

- Dziękuję panu. Wiele mi pan pomógł, naprawdę.

Dukas mówił najzupełniej szczerze. Jedno nazwisko można było wykreślić z listy podejrzanych.

Wrzesień 1992, trzeci miesiąc śledztwa

Bonner dowiedział się o przesłuchaniach od jednego ze znajomych z „Roosevelta”. Nie trzymano ich w tajemnicy. Mówiło się, że wywiad chce przemaglować całą załogę. Ktoś twierdził, że chodzi o trzech bałwanów, którzy zajmowali się przemytem narkotyków, ale to była oczywista bzdura; z pytań zadawanych przez agentów wynikało, iż interesuje ich przede wszystkim IFF z samolotu dowódcy eskadry.

Na początku Bonner był przerażony. Kiedy jednak nikt po niego nie przyszedł, strach stopniowo ustąpił. Jego nazwisko zaczynało się od litery B; powinni byli przesłuchać go jako jednego z pierwszych, czy nie tak to się odbywało? A może zastosowali jakiś inny system? Może uszeregowali ich według stopni? Nie, w marynarce panowały inne zwyczaje. Priorityet B. „Ustalcie listę priorityetów”, powtarzali bez przerwy przełożeni. On, Bonner, trafił na jedno z dalszych miejsc - zresztą nic dziwnego.

Spotkał się z Donniem w Williamsburgu. W czasie spaceru rozmawiali o nowo zaistniałej sytuacji. Donnie za bardzo przejmował się tą suką, swoją żoną, która była w ciąży, a i tak piła. Bonner powiedział synowi, żeby jęrczył w cholewę, ale zdawał sobie sprawę, że on tego nie robi, nie może zrobić - w końcu nosiła w łonie jego dziecko.

- Niech urodzi, potem ją wywalisz za drzwi - poradził Bonner. - To zła kobieta. Śmieć.

Donnie był bardzo młodym, ale upartym chłopakiem. Nie chciał, by jego małżeństwo skończyło się fiaskiem.

A niech agenci robią, co im się żywnie podoba, pomyślał Bonner. Skoro wybrali się na ryby, niech je łowią. Na wszelki wypadek przypomniał sobie znane mu sposoby przechytrzenia wykrywacza kłamstw.

29 września na świat przyszedł Michael Bobby Craik. W chwili urodzenia ważył trzy tysiące sześćset czterdzieści dwa gramy. Matka, dziecko i ojciec czuli się dobrze. Śledztwo na pewien czas stało się mniej ważne.

Październik 1992, czwarty miesiąc śledztwa

Wydawało się, że to dochodzenie nigdy się nie zakończy. Choć członkowie grupy śledczej usilnie domagali się aktualnych danych, wpływały one niezwykle powoli. Mimo to zapełniały się nimi kolejne sejfy, a Mike zaczął myśleć z lekkim, co robi, gdy choć jeden z jego podopiecznych zostanie przeniesiony na inne stanowisko. „Dzieciaki Mike'a” poznały już tę sprawę na tyle dobrze, że potrafiły wyrecytować z pamięci nazwiska wszystkich członków załogi pokładu startowego i ocenić na pierwszy rzut oka, czy przesłuchanie mogło przynieść jakiegokolwiek efekty, czy też nie. Barbara, sprowadzona z wydziału do spraw Bliższego Wschodu (po czterdziestce, dość przysadzista, nieśmiała), okazała się prawdziwym skarbem - zajęła się studiowaniem działalności obcych służb wywiadowczych; należało to zrobić o wiele wcześniej. Wynikiem jej pracy był raport, z którego grupa korzystała aż do ostatnich dni śledztwa - i który przy okazji stanowił doskonałe usprawiedliwienie wydatków całej grupy. Poza tym to właśnie Barbara zauważyła, że po incydencie z Craikiem diametralnie zmienił się *modus operandi* Irańczyków.

- To tak jak z Sidneyem Rileyem, prawda? - powiedziała do Dukasa w czasie pierwszej odprawy, w której uczestniczyła. Miała irytujący zwyczaj wypowiadania się w formie pytań, co szczególnie denerwowało rozmówcę, który musiał na nie odpowiadać; dopiero po dwóch czy trzech spotkaniach Mike uświadomił sobie, że ma do czynienia z inteligentną kobietą, którą życie nauczyło, że powinien unikać okazywania pewności siebie. „Cześć? Pada deszcz? Niebo się wali? Życie toczy się dalej?”

Kiedy nie zareagował na uwagę o Sidneyu Rileyu, Barbara mówiła dalej, jeszcze ostrożniej.

- Sidney Riley, pierwowzór Jamesa Bonda? Szpieg Imperium Brytyjskie go? Pochodził z Rosji i w latach dwudziestych wrócił do ojczyzny, po czym... zniknął?

Dukas zawahał się. Postanowił wziąć z niej przykład.

- Zniknął?
- Historycy twierdzą, że został zabity, ale analitycy kontrwywiadu zwracają uwagę, że po jego zniknięciu Czeka - wywiad komunistów? - („O cholera”) - z grupy bandytów stała się całkiem niezłe zapowiadającą się organizacją?
- Twierdzisz więc, że ten Riley przeszedł na drugą stronę i zmienił *modus operandi* czekistów.

Barbara wyciągnęła jakieś papiery.

- Wyszukałam parę spraw, z których wynika, że Irańczycy nagle zaczęli działać jakby nieco bardziej profesjonalnie. Przyłapują na Cyprze brytyjskiego marynarza z miejscową dziewczyną i co? Zamiast tradycyjnie bawić się w szantaż, podsyłają dziewczynie kobietę, która zdobywa jej zaufanie, potem nawracają na islam i dopiero wtedy napuszcza na tego chłopaka. Sprytne, co? Albo weźmy to, co stało się w Mombasie. No wiecie, chodzi o tego Irańczyka, którego podebrała nam CIA? Który popełnił samobójstwo? To też było nietypowe. Dotąd Irańczycy nie infiltrowali w ten sposób innych krajów. Rozumiecie?

- Mułowie wchodzą w dwudziesty wiek. Jeszcze trochę i zaczną konstruować dwupłatowce.

- Śmiejecie się, śmiejecie. Jestem gotowa założyć się, że Ludowa Republika Islamska kupiła sobie szpiega KGB.

O dziwo, tym razem nie było to pytanie. Musiała naprawdę wierzyć w to, co mówi!

Kiedy Dukas obiecał nagrodę temu, kto za jednym zamachem wyeliminuje najwięcej nazwisk, Jimbo uśmiechnął się, zadzwonił gdzieś, wyszedł z gabinetu i wrócił dopiero na sam koniec spotkania kończącego czwarty miesiąc śledztwa. Choć oficjalnie miała to być zwykła odprawa, faktycznym jej celem stało się podniesienie upadającego morale grupy. Jimbo podniósł rękę.

- Jimbo, słucham?

Połowa zebranych drzemała. Alan, który trafił na spotkanie głównie dlatego, że miał coś do załatwienia w tym samym budynku, patrzył przed siebie oczami bez wyrazu.

- Nocna wachta. Zazwyczaj trudno dostać się na pokład, nie będąc na służbie - wszyscy myślą że taki nadgorliwiec chce się podlizzać przełożonym. Podejrzany musiał pełnić nocną wachtę. - Jimbo uśmiechnął się. Wypowiadając to jed no zdanie wyeliminował z kręgu podejrzanych połowę załogi, nie licząc maruderów i oficerów. Zostało jeszcze dwa tysiące sześćset osiemdziesięciu dziewięciu lu dzi - o ile oczywiście uda się zdobyć listę marynarzy z nocnej wachty.

Po spotkaniu Alan podszedł chyłkiem do Dukasa.

- Trzeba wam było czterech miesięcy, żebyście się zorientowali, że na lotni skowcu pełni się wachty?

Dukas skrzywił się.

- Przecież analitycy to nie wojskowi, Alan!

- A Roger? Flirtuje cały dzień z Melissą czy co?

Chcąc zmienić temat, Dukas w skrócie przedstawił teorię Barbary. Alan natychmiast ożywił się i zaczął rozmyślać na głos. Wiedział nawet, kim był Sidney Riley.

- Krótko mówiąc - powiedział, mrużąc oczy - oficer KGB prysnął z Moskwy do Iranu i nie przypadkiem wkrótce potem Irańczykom udało się trafić amerykański samolot i przeprowadzić akcję szpiegowską. Co z tego wynika? Że za wszystkim stoi ten Rosjanin. Co chciał w ten sposób osiągnąć? Zwrócić na siebie uwagę Irańczyków? Nie, tego nie musiał robić - może chciał efektywnie rozpocząć nową pracę?

- Zgaduj-zgadula.

- A żebyś wiedział. Gdybyśmy byli w Pentagonie, nazywałyby się to „burzą mózgow”. Mimo to pomyśl o tym, Mike. Oczywiście, może to zwyczajny zbieg okoliczności, ale przypuśćmy, że tak nie jest... że ten typ, nieznamy z „Roosevelta” jest irańskim szpiegiem prowadzonym przez byłego rosyjskiego agenta, który zmienił pracodawców. Należałoby więc sprawdzić, czy Rosjanie - wtedy jeszcze Sowietci - zdobyli coś, co mógł im dostarczyć jeden z naszych marynarzy. Może w ten sposób uda się dotrzeć do zdrajcy. No, co ty na to?

Dukas westchnął ciężko. Kolejny trop. Cudownie. Poklepał Alana po ramieniu.

- Dziękuję, że utrudniasz mi życie. Co słyhać u Rose?

Spojrzeni sobie w oczy. Wie, że ona mi się podoba, pomyślał Mike. Wie też, że nic w związku z tym nie zrobię. Alan pokazał mu zdjęcia dziecka.

27 października 1992, 15.20 czasu Greenwich, Teheran, Iran

Jurij Jefremow siedział u szczytu długiego stołu. Miejsca po bokach zajmowali posępni oficjerze i przedstawiciele armii. Stół był ciężki, dokładnie wypolerowany, bogato zdobiony, na wzór mebli europejskich z lat pięćdziesiątych. Na ścianach wisiała irańska flaga, trzy piękne stare gobeliny i kolorowe zdjęcie przedstawiające panoramę Mekki. Jednak oczy wszystkich zwrócone były na Jefremowa - i wyczierała z nich głęboka nieufność.

- Nie mam w tym osobistego interesu - powiedział ostrym tonem. Zmierzył spojrzeniem swoich rozmówców. Nikt nie zareagował. Większość z nich niena widziała go, niektórzy czuli przed nim lęk; zaledwie kilku uważało, że Jefremow może się na coś przydać.

Miejsce obok niego zajmował tłumacz - cywil w źle skrojonym szarym garniturze. Drugi cywil, również ubrany na szaro, siedział po przeciwnej stronie stołu - on miał sprawdzać wierność tłumaczenia.

- Nie oczekujemy od ciebie islamskiej wierności - powiedział generał, po czym spojrzał na tłumacza, który głośno powtórzył te słowa po rosyjsku; jego kolega po fachu skinął głową na znak, że tłumaczenie jest poprawne. - Ale oczekujemy prawdy. Kłamstwa to nasiona rzucane na kamień.

- Jeśli twierdzi pan, że kłamię, jest pan kłamcą.

Spojrzenia pozostałych uczestników spotkania wędrowały od twarzy Jefremowa do twarzy generała i z powrotem.

- Komitet Bezpieczeństwa Narodowego nie zaakceptował twojego planu - powiedział generał. Tłumacz wykrzyczał te słowa.

- Komitet Bezpieczeństwa Narodowego to strachliwe staruchy. - Tym razem głos tłumacza przybrał pełen uniżenia ton. Nikt nie mrugnął okiem. - Zwolnili ministra kultury, bo powiedział, że kobiety mogą wejść do rządu. Ja im się nie podobam, bo nie całuję ich po nogach. Rozmawiamy o błahostkach.

- To nie są błahostki! - Generał zerwał się z miejsca i zaczął krzyczeć: - Usunąłeś żelazo z naszych służb wywiadowczych i zastąpiłeś ołowiem! Zmieniłeś w wodę skałę islamskiego rygoru!

- To byłby cud, generale... w państwie religijnym wydarzenie godne odnotowania. - Na twarz Jefremowa wypłynął uśmiech. Tłumacz zaczerwienił się, generał napuszył i skrzyżował ramiona na piersi. Jefremow wstał. - Naprawdę nie chodzi o mój osobisty interes! Mam obowiązki wobec ważnego agenta, który nie poradzi sobie bez mojej pomocy! Muszę być z nim w stałym kontakcie!

- Jak skończył jeden z twoich „osobistych agentów” z Mombasy? Amerykanie go zabili! Klęska!

- Amerykanie go nie zabili; sam się zabił. Był może niezrównoważony, ale za to genialny; mówiłem wam wiele razy...

- Mówiłeś, że uczyniłeś z niego swojego pupila i dla własnych korzyści nie włączyłeś go do siatki wywiadowczej!

- To kłamstwo! Owszem, związałem się z nim, bo był żalonym wrakiem, ale miał głowę na karku, odbył przeszkolenie!... Zrobiłem z niego lojalnego agenta!

- Lojalnego wobec ciebie!

- Generale, lojalnym można być tylko wobec drugiego człowieka! Jeśli pan tak nie uważa, proszę zapytać o to chłopców, których powiązaliście ze sobą sznurami jak barany, żeby ich zmusić do ataku na irackie pozycje pod Basrą!

- To kłamstwa! Kłamstwa! - Twarz generała przybrała kolor mahoni. Odwrócił się do swoich sąsiadów. Kilku z nich również zerwało się na nogi i krzyczało z oburzeniem. Pozostali uczestnicy spotkania nie ruszyli się z miejsca.

- Zdrajca islamu! - krzyknął generał, wyciągnął z kabury czeski pistolet i wymierzył w Jefremowa.

Jefremow nawet nie drgnął.

- Nie wiedziałem, że muzułmanie to tacy dobrzy aktorzy - powiedział. Tłumacz spuścił oczy w oczekiwaniu na strzał. - Jeśli mnie zabijesz, szlag trafi dwa lata modernizacji. Dobrze! Doskonale! Zrób to! Wracajcie do średniowiecza. Nie zasłużyliście na mnie.

Wtedy od stołu wstał duchowny, siedzący po przeciwnej stronie. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku niemu. Miał ponad pięćdziesiąt lat, ubrany był w długie szaty, nosił brodę. Z jego ust padło tylko jedno słowo:

- Dosyć.

Wszyscy oprócz Jefremowa i duchownego usiedli.

- Nie udzielam panu zezwolenia na wyjazd - powiedział dostojnik. - Proszę kontynuować prowadzoną przez siebie reorganizację, ale nie wiązać się zbyt ściśle ze swoimi agentami. Oni muszą przede wszystkim służyć sprawie islamu.

W głosie Jefremowa zaczęła pobrzmiwać nuta szacunku, którego nikomu dotąd nie okazywał.

- Jeden z moich agentów z czasów, kiedy służyłem Moskwie, obawia się, że władze są na jego tropie.

- Z pewnością zatroszczył się pan o odpowiednie środki bezpieczeństwa.

- Przygotowywano je dość dawno temu. Muszę teraz znaleźć nowe trasy ucieczki, miejsca kontaktowe - poza granicami Iranu.

- To niemożliwe.

Jefremow usiadł.

Grudzień 1992, szósty miesiąc śledztwa

Śledztwo nie posuwało się do przodu. Według obliczeń Dukasa, do tej pory pochłonęło ono trzydzieści tysięcy roboczogodzin. Któregoś dnia stawiła się przed nim delegacja analityków, którzy w ультимatywnym tonie zażądali, by zabrał ich na kawę. Kiedy spełnił ich żądanie, powiedzieli mu, o co chodzi: chcieli, by operacji nadać jakąś nazwę, tak jak czynią to policjanci z wydziału kryminalnego z prowadzonymi przez siebie sprawami.

- LJT 171 głupio brzmi, Mike. Żona pyta mnie, czemu wracam tak późno z pracy, a ja mówię: „To przez LJT 171”. Ona myśli, że jazdradzam.

- Tak czy inaczej, nie powinieneś opowiadać żonie o tym, co robisz.

Melissa włączyła się do rozmowy.

- To głupie, Mike. Gdybyśmy nazwali ją „Czerwoną Siódemką” albo „Ogonem Komety” przynajmniej moglibyśmy mówić ludziom: „Hej, pracuję nad Czerwoną Siódemką!” zamiast „Hej, zajmuję się tą naprawdę tajną sprawą na szóstym piętrze z Mike'em, wiecie, tym Grekiem, który nie ma za grosz fantazji...” - Wszyscy skwapliwie przytaknęli.

- Ludzie z Agencji mnie po prostu olewają - stwierdził Jimbo, wpatrzony wdał.

Dukas skrzywił się.

- Może nazwiemy tę operację „Dupą Konia”, wtedy przynajmniej wszyscy wiedzieliby, jak nam idzie. - Jednak do pewnego stopnia ich rozumiał. Nazwy dla niektórych ludzi miały duże znaczenie - pobudzały wyobraźnię. Weźmy taki Pentagon. „Pustynna Burza”. „Tarcza Pustyni”. Może i ta operacja zasługiwała na to, by ją jakoś ochrzcić. Poza tym, skoro podreperowałyby to morale... - No, do brze. Macie jakieś pomysły, geniusze wy moi?

Jimbo podniósł rękę.

- „Nocna Wachta”. - Rozejrzył się i zmarszczył nos. - Bo tak długo nie zwróciliśmy na to uwagi. Ta nazwa będzie nam przypominać, że nie jesteśmy doskonali.

I tak operacja zyskała kryptonim NOCNA WACHTA.

To było szóste. Dziewiątego tysiąc osmiuset żołnierzy piechoty morskiej wylądowało na plaży w Mogadiszu, stolicy Somalii, gdzie czekały na nich oddziały komandosów i wataha dziennikarzy. Pierwszy korpus ekspedycyjny piechoty morskiej wyruszył z Camp Pendleton w Kalifornii. W Fort Dram, w stanie Nowy Jork, przygotowania rozpoczęła pierwsza grupa spośród dziesięciu tysięcy żołnierzy.

Dwudziestego Rose wcześniej wróciła do domu i bawiła się z dzieckiem. Chodziła po domu trzymając Michaela na rękach i zatrzymywała się przy każdym z okien, wpatrując się w padający deszcz. Przed miesiącem wróciła do pracy. Sześć tygodni spędzonych w domu, z dzieckiem, wydawało się już tylko snem. Nakarmiła Michaela, zaniosiła go do sypialni i przebrała się. Włożyła dżinsy i koszulę z napisem „SuperMama”, którą dostała w prezencie od Alana. Trochę popłakała.

Po powrocie z pracy Alan od razu zorientował się, że coś wisi w powietrzu. Po drodze kupił sztuczną choinkę; zaczął mówić w żartach o wsadzaniu sztucznych gałęzi w dziury w sztucznym pniu.

- Zupełnie jak Bóg. Powiem: niech stanie się drzewo, i stanie się. - Początkowo chcieli zdobyć prawdziwą choinkę, wybrać się na poszukiwania tego jednego, wymarzonego drzewka, ale nie udało się znaleźć na to dość czasu.

- Alan - powiedziała Rose.

Podniósł głowę zbyt szybko, jakby się czegoś przestraszył. Ale stała przed nim tylko młoda matka w koszulce i dżinsach, z dzieckiem na ręku.

- Tak, kochanie?

Przełknęła ślinę. W jej oczach błysnęły łzy. Odkaszknęła.

- Co byś pomyślał, gdybym wypłynęła na morze?

- Że jesteś marynarzem. Nie, to kiepski żart. O co chodzi?

Wybuchnęła płaczem. Alan wziął ją i dziecko w ramiona. Czoło Rose spoczęło na jego piersi. Michael chwycił ojca za rękę.

- Będziesz na mnie wściekły - jęknęła.

- Nie, nie. Powiedz, kochanie, co się stało?

Cofnęła się o krok.

- Mason obejmuje dowodzenie eskadry i chce, żebym pojechała z nim jako oficer operacyjny. - Płakała coraz głośniejsze, prawie wyla. - To pomogłoby mi zrobić prawdziwą karierę! - Zaczęła szlochać. - O-obeślałam, że następnym razem kolej na ciebie. T-to naprawdę nie fair! Och, Alan!

Stojąc na środku pokoju, z dzieckiem na ręku, przypominała płaczące niemowlę.

Niedawno została awansowana na komandora podporucznika. To był wielki krok naprzód.

- Skąd wyrusza twój okręt? - powiedział.

- M-Mayport. Na Florydzie.

Alan zaczął tracić panowanie nad sobą.

- Jezu Chryste, przecież masz dziecko! Masz mnie! Mówiłaś... - I wtedy zdał sobie sprawę, że i on zaczyna zachowywać się jak dzieciak. - Cholera - po wiedział łamiącym się głosem.

We trójkę usiedli na sofie, Alan i Rose splecieni ze sobą, dziecko między nimi. Długo całowali się, pieścili i wiele mówili bez słów. Potem Rose podniosła głowę i zwróciła na Alana błyszczące, duże oczy.

- No i? - spytała.

- Ta twoja cholerna kariera - powiedział.

Skinęła głową. Odetchnęła głęboko.

- Chcę to zrobić. Ale z drugiej strony, wcale mi się to nie uśmiecha.

- Kiedy wyjazd?

- Prawdopodobnie w czerwcu. Zostaloby nam jeszcze sześć miesięcy!

- Co miałas na myśli mówiąc „na morze”?

- Trzy miesiące później zajmiemy pozycje na Morzu Czerwonym.

- O Jezu, kochanie, przecież to Somalia!

- Chodzi tylko o pomoc humanitarną, Alan...

- Gówno prawda! W Somalii rozpęta się prawdziwe piekło! Myślisz, że Bush tego nie wie? Ustupuje z urzędu, więc nic go to nie obchodzi - a niech wyślą tam żonę Craika, pieprzyć to, i tak nikt nie będzie mógł powiedzieć, że stało się to za jego kadencji! Po nim choćby i potop!

- Tam nie może być aż tak...

- Diabła tam, nie może! Sytuacja będzie się pogarszać z każdym dniem, a my ugrzęźniemy w tym bagnie na dobre. Zobaczysz, skończy się na tym, że dowództwo wyśle cię jakąś parszywą misję specjalną, po to tylko, żeby ludzie, których nigdy w życiu nie widziałas na oczy, mogli ostrzelać cię do woli!

Rosę pociągnęła nosem ze śmiechem.

- Cóż, przynajmniej wiem, że ci na mnie zależy. - Rozpląkała się.

Przez dłuższy czas siedzieli wtuleni w siebie, wreszcie zmienili dziecku pieluchę, usiedli przy stole w kuchni i wzięli się za ręce.

- Upijmy się - powiedział Alan.

- Ale nie na umór. Rano mam inspekcję.

Nalał do kieliszków wina, które dostali w prezencie od Dukasa.

- Mike zakochał się w tobie - zauważył Alan.

- Wiem. -Zachichotała cicho. - Rozmawiamy o jedzeniu. Wymieniamy się przepisami. - Potrząsnęła głową. - Miło wspominać te kilka tygodni po narodzinach Mikeya. Mogłam siedzieć w domu, gotować, pić wino. - Odchyliła się, spojrzała na Alana i potrząsnęła głową, bo zabrakło jej słów. - Tak bardzo cię kocham - powiedziała po chwili.

- Tak. Ja ciebie też. Dlatego muszę pozwolić ci wyjechać, prawda?

Młodzi małżonkowie starali się w pełni wykorzystać czas dzielący ich od wyjazdu Rose na Florydę. Byli teraz ostrożniejsi, nauczyli się cenić każdą chwilę spędzoną we dwoje; starali się jak najwcześniej kończyć pracę, by nacieszyć się swoim towarzystwem. Nie rozstawali się z Michael'em; zaczęli nawet rozpieszczać psa, który nieco przytył. Uczestnicy sobotnich spotkań (najpierw nazwali swoją grupę Klubem Rzutków, potem Towarzystwem Rzutków im. Dago Reda, by wreszcie stać się Zjednoczeniem Rzutków, Winożłopów i Gaduł) roztoczyli opiekę nad Alanem i Rose, jakby chcieli uchronić ich od bliżej niesprecyzowane-go niebezpieczeństwa. Mike kręcił się przy Rose, dzwonił do niej, by pogawędzić o jedzeniu; O'Neill zapewniał gorąco, że sytuacja w Somalii uspokoi się, zanim Rose tam dotrze; Peretz i Bea dodawali młodym małżonkom otuchy, powtarzając, że czas rozłąki szybko minie.

Śledztwo zaczęło obejmować swoim zasięgiem cały kraj. Agenci zbierali informacje w tak odległych od siebie miastach jak Seattle, San Diego i Orlando, ale niewielu z nich znało dość szczegółów, by w pełni angażować się w dochodzenie. Dukasowi udało się wypożyczyć z innych agencji kilku ludzi, którzy zajęli się prowadzeniem przesłuchań i żmudną policyjną robotą. Prawie wszyscy członkowie grupy śledczej - tak analitycy, jak i agenci - potrafili na zawołanie wyrecytować życiorys Mike'a Craika; wyliczyć wszystkie postępowania dyscyplinarne prowadzone przez niego od 1975 roku i podać nazwiska oskarżonych; opisać szczegółowo, co dzieje się na pokładzie startowym lotniskowca przed rozpoczęciem nalotu. Wiedzieli, że Dukas ma nadzieję, iż w ciągu roku uda się zawęzić grono podejrzanych do kilku osób. Aza trzy miesiące mijał rok od rozpoczęcia śledztwa.

Z Norfolk przyszła wreszcie lista marynarzy pełniących służbę na pokładzie startowym, podyktowana jednemu z agentów przez dowódcę sił lotniczych uczestniczących w pamiętnym nalocie na Iran. Pułkownik, obecnie emerytowany, wymienił wszystkich - ludzi odpowiedzialnych za paliwo, za uzbrojenie, mechaników eskadry, pilotów, członków załóg. Po skreśleniu tych, którzy smacznie spali w kajutach, zostało trzystu dziewięćdziesięciu podejrzanych.

Po ośmiu miesiącach przesłuchań udało się wyeliminować kolejnych pięćdziesięciu kilku. Jeszcze trzystu trzydziestu jeden, pocieszali się nawzajem analitycy.

Carla, specjalistka od spraw finansowych, miała lepsze i gorsze dni. Podążanie tropem pieniędzy było ogromnie męczące, ale ona to lubiła i nigdy nie skarżyła się na nudę. Musiała pamiętać, by nie przekraczać przepisów - podsłuch, przecieki z Urzędu Skarbowego i drobne przysługi banków nie wchodziły w grę. Gdy tylko któryś z przesłuchiwanym napomknął, że jakiś marynarz

„zszastał pieniędzmi”, Carla prosiła Mike'a o zezwolenie na skorzystanie z usług firmy Lexis/Nexis* i sprawdzenie stanu konta podejrzanego. Kosztowało to dwadzieścia pięć dolarów - mogłoby się wydawać, że dla rządu najbogatszego kraju świata to tyle co nic. Jednak kiedy na początku dochodzenia Carla zażyczyła sobie wyciągów z kont wszystkich członków załogi, urzędnicy przerażili się na samą myśl o wydatku rządu dwustu tysięcy dolarów, a generalny inspektor przypomniał jej, że w państwie prawa sformułowanie „uzasadnione podejrzenie” coś jeszcze znaczy. Kontrole o ograniczonym zasięgu były najzupełniej legalne, natomiast jednorazowa kontrola pięciu tysięcy ludzi mogła zostać uznana za naruszenie ich praw.

Mimo tych wszystkich przeszkód, udało jej się wytropić marynarza, który był tak rozrzutny, jakby w domu miał mennicę. Poprosiła więc o zezwolenie na dokładne rozpracowanie tego człowieka. Należał on do eskadry Craika. Dwaj jego koledzy wspomnieli, że nosił rolexa i jeździł BMW. Mógł przebywać na pokładzie startowym. Kontrola wykazała, że miał na koncie mnóstwo pieniędzy i wiele inwestował. Lubił płacić gotówką za drogie zabawki, nie żył więc wyłącznie z pensji marynarza.

Po przeczytaniu raportu Carli Mike był pewien, że trafili w dziesiątkę; na wszelki wypadek nie powiedział nic Alanowi, żeby nie zapeszyć. Podczas jednego z przesłuchań wyszło na jaw, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku Mike Craik udzielił podejrzanemu ostrej reprimendy z powodu zaginięcia jakichś części zamiennych. Wszystko się zgadzało - miejsce zbrodni, motyw zemsty, pieniądze.

Carla i Mike spotkali się potajemnie w gabinecie Dukasa i zgodnie uznali, że to jest ten człowiek, którego szukali.

Dukas osobiście przesłuchał i aresztował podejrzanego. Podjechał pod dom starszego sierżanta Jacksona Oleana, zapukał do drzwi, pokazał odznakę i wszedł do małego, zapchanego meblami salonu, gotów stanąć twarzą w twarz ze szpiegiem. A Olean pękł na samym początku przesłuchania. Wybuchnął płaczem. Przyznał się do wszystkiego. Prosił o litość. Dukas przeczytał mu jego prawa i z trudem powstrzymał się, żeby go nie pobić.

Olean rozpowszechniał pornografię dziecięcą.

Strzelasz do rzutków, a trafiasz sępa.

Powrót do punktu wyjścia.

Maj 1993, jedenasty miesiąc śledztwa

Spotkanie w Langley rozpoczęło się z czterdziestopięciominutowym opóźnieniem. Uczestniczyło w nim zbyt wielu ludzi - postarała się o to CIA, która dzięki temu nie musiała dostarczać żadnych ważnych informacji. Skoro bowiem na sali znaleźli się ludzie ze służb specjalnych, marynarki i agencji do spraw narkotyków, nikt nie mógł oczekiwać, że ujawnione zostaną jakiegokolwiek tajne

*Firma świadcząca usługi w zakresie zdobywania informacji i danych. Z jej pomocy korzystają głównie prawnicy, finansisci oraz pracownicy administracji rządowej (przyp. tłum.).

dane - przynajmniej tak rozumowali przedstawiciele CIA. Patrzyli z góry na podludzi zatrudnionych w innych agencjach rządowych. Swoją pozycję zawdzięczali posiadanej wiedzy, musieli więc zazdrośnie strzec jej przed oczami niewtajemniczonych. Dzisiejsze spotkanie jednak zapowiadało się dość ciekawie.

Przedmiotem dyskusji były śledztwa, których prowadzenie wymagało współpracy między agencjami.

Dukas wyjaśnił, czego dotyczy sprawa o kryptonimie „Nocna Wachta” i na czym koncentruje się śledztwo. W czasie jego przemówienia niektórzy z zebranych robili notatki. Potem człowiek z FBI przedstawił kilka prowadzonych przez kontrwywiad dochodzeń w sprawach mogących mieć związek z „Nocną Wachtą”. Powiązania były dość luźne, choć za przecieki z głównej siedziby NATO w Brukseli i z Pentagonu rzeczywiście mógł być odpowiedzialny ktoś z marynarki - chronologicznie wszystko się zgadzało. Jako następna przemawiała Sally Baranowski. Jej referat był najmniej formalny i najbardziej specjalistyczny ze wszystkich; swoje słowa zilustrowała zaledwie kilkoma slajdami, nie miała notatek, a na zakończenie wyświetliła listę dwudziestu pięciu kryptonimów, przy których umieszczone były daty i nazwy miast. Kończąc swoje wystąpienie Baranowski uśmiechnęła się szeroko, jakby chciała dać do zrozumienia, że spotkanie powinno na tym się skończyć - i jak to miło, że wszyscy byli tak skorzy do dzielenia się posiadanymi informacjami!

- Co to za nazwy? - spytał oficer piechoty morskiej i kiwnął głową w stronę ekranu.

- Miejsca, w których oficerowie nieprzyjaciela wymienieni na tej liście prowadzili lub podejrzewamy, że prowadzili czynności operacyjne - odparła.

- Co rozumie pani pod pojęciem czynności operacyjnych? - spytał cicho analityk z sił specjalnych. - Szpiegostwo to nie moja działka - dodał, gdy zobaczył zniecierpliwienie malujące się na twarzach uczestników spotkania. - Jeśli to głupie pytanie, przepraszam.

- Nie, ale skąd! - Sally dodała mu otuchy. - Chodzi o spotkanie z agentem bądź próbę nawiązania z nim kontaktu. To znaczy... - Po raz pierwszy zawahała się. - Jest sporo rodzajów czynności operacyjnych, ale właśnie te zostały uwzględnione przy sporządzaniu przedstawionej państwu listy.

Alan siedział w drugim rzędzie, obok Dukasa. Do wyjazdu Rose pozostały dwa tygodnie; choć leżało mu to mocno na sercu, zdołał skoncentrować się w pełni na wystąpieniu Sally i jej tabelce.

- Czy mogłaby pani powiedzieć nam coś więcej o TORGAU 416? - spytał. TORGAU 416 był jednym z kryptonimów wymienionych na liście. Alana zaintrygowała dziwna zbieżność miejsc i dat.

Sally uśmiechnęła się do niego.

- To jeden z najlepszych, zważywszy na to, że nie mamy pojęcia, kim jest. To znaczy, mamy pewne domysły, ale bez zezwolenia nie mogą nic więcej powiedzieć.

Na chwilę zawiesiła głos, ale Alan nie odrywał od niej oczu.

- Dlaczego pan pyta? - spróbowała przejść do kontraktaku.

- TORG AU 416 przebywał w Neapolu w tym samym czasie co agent, o którym mówił państwu Mike Dukas. Myślę, że marynarka powinna dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku.

Alan usiadł przy akompaniamencie gniewnych szeptów ludzi, którzy mieli mnóstwo ciekawszych zajęć. Sally spojrzała błagalnie na Mike'a. Mike wbił w nią wzrok i napił się coli.

- Co możesz nam powiedzieć? - spytał.

- Nic.

- Gówno prawda, Sally. Prowadzimy ważne śledztwo, dowiadujemy się, że masz coś, co mogłoby się nam przydać, a ty nas zbywasz. To się nazywa współpraca, nie? My współpracujemy, CIA wszystko zgarnia dla siebie. Wielkie dzięki.

- Mike, informowaliśmy wszystkich o tej sprawie wiele miesięcy temu, na zebraniu komisji wspólnego planowania. - Uśmiechnęła się, chcąc sprawić wrażenie najmiłszej, najbardziej skorej do współpracy osoby na świecie. - Jestem pewna, że masz to u siebie w archiwum.

- Jasne, jasne. Sally, daj spokój! Musimy to wiedzieć. Czy mam pójść do szefa mojego szefa i narobić rabanu, czy wolisz raczej namówić swojego szefa, żeby nam pomógł?

Sally Baranowski nie przestawała się uśmiechać, ale w głębi duszy wiedziała, że przegrała - Shreed był winien Alanowi i Mike'owi przysługę za to, co stało się w Mombasie. Miał wobec nich moralny dług, który straciłby znaczenie, gdyby nie zmiany, jakie ostatnio nastąpiły w administracji państwowej i kierownictwie CIA; nowym szefom lepiej nie podpadać. W błahych sprawach bezpieczniej było ustąpić.

Po paru godzinach Alan wiedział już, że TORGAU 416 to były radziecki oficer, który dorobił się grubej teczki w archiwach CIA i całej stadniny szpiegów z NATO. Dukas chciał poznać jego sposób działania, przeanalizować wszystkie materiały zawarte w *dossier*, ale doświadczenie podpowiedziało mu, by zachować cierpliwość i przestrzegać reguł gry. Alan był wściekły. Mike obawiał się nawet, że jego podopieczny po prostu porwie ową tajemniczą teczkę i ucieknie. Starał się go więc uspokoić.

- Jesteś wkurzony z powodu Rose. Nie wyzywaj się na Sally Baranowski. Ona jest jednym z najlepszych spymierzeńców, jakich mamy w Agencji.

- Ci ludzie zataili przed nami ważne informacje.

- My prowadzimy naszą grę, oni prowadzą swoją. Spójrz na to z drugiej strony: dowiedzieliśmy się paru cennych rzeczy.

Mike zdobył dokładnie trzy niezwykle ważne informacje.

TORGAU 416 był Rosjaninem.

TORGAU 416 uciekł z Rosji do Iranu.

A trzecia informacja była tak cenna, że wiedział, iż z czasem posłuży mu do wyciągnięcia z CIA całego *dossier*. Wykraczała poza „Nocną Wachtę”. Pozwalała na rozwinięcie dziesięciu, może nawet dwudziestu pobocznych wątków, stwarzała dogodny pretekst, by dobrać się do komputerów i przesłuchać wielu nowych świadków.

Było to nazwisko.

Jefremow.

Fakt, że inna agencja w ramach tego samego rządu była w posiadaniu tej informacji od ponad dwóch lat, nie wzbudził w nim zdziwienia. Nic nowego.

Czerwiec 1993, dwunasty miesiąc śledztwa

Mike i Alan siedzieli naprzeciwko stłoczonych w ciasnym pomieszczeniu Dzieciaków Mike'a. Dwudziestu analityków i trzech agentów specjalnych siedziało przy trzech dużych stołach, które wypełniały salę odpraw. Najpierw przemawiał Dukas, potem Alan. Przedstawili swoje odczucia na temat kooperacji z CIA oraz ofert współpracy złożonych przez FBI, siły specjalne oraz inne agencje. Sam fakt, że takowe wpłynęły, był zwycięstwem grupy i dowodem skuteczności działań Melissy na rzecz budowania mostów. Do tej pory „Nocna Wachtą” była prowadzona tylko przez wywiad marynarki; wszyscy świadkowie i wszystkie miejsca podlegały jurysdykcji marynarki, a wszystkie dowody analizowane były wyłącznie przez śledczych marynarki. Informacje na temat techniki prowadzenia szpiega z „Nocnej Wachty”, udziału w tym obcych państw, teoria Sally dotycząca udziału w sprawie byłego agenta KGB oraz inne poboczne wątki zostały odłożone *ad acta* do czasu, aż wyczerpane zostaną możliwości dalszego działania wyłącznie w ramach marynarki.

A teraz, kiedy członkowie grupy uznali, że należy wyjść poza te ramy, pojawił się nowy poważny problem.

Grono podejrzanych, zamiast zawęzić się do kilku - kilkunastu osób, zawęziło się do zera.

Nikt nie spełniał wszystkich kryteriów.

Ustalił je sam Dukas: na liście podejrzanych mieli znaleźć się ci, którzy pełnili nocną wachtę, mieli dostęp do pokładu startowego przed rozpoczęciem nalotu, wiedzieli, jak wprowadzić kod do urządzenia kodującego IFF, dokonali dużych wpłat na swoje konta bankowe, cieszyli się nie najlepszą opinią w wojsku i w taki czy inny sposób zetknęli się z Mike'em Craikiem. Intuicja podpowiadała Dukasowi, że szpieg musiał go znać osobiście i na tyle go nienawidzić, by zdecydować się na morderstwo. Z działań bardziej doświadczonych agentów wynikało, że oni również traktowali tę sprawę jak zwykłe zabójstwo.

A teraz Dukas tłumaczył wszystkim, że w którymś miejscu popełnili błąd i delikatnie starał się skłonić ich do tego, by go odnaleźli.

- Nasz nieznajomy - mówił Mike - bez trudności wyszedł na pokład startowy, nie zauważony ruszył od razu w stronę samolotu swojej ofiary, wprowadził odpowiedni kod i odszedł. Może wprowadził też kody w innych maszynach. Może zajął się czymś zupełnie innym. Jimbo wyciągnął od szefa mechaników z eskadry helikopterów informację, że zaginęło jedno z urządzeń kodujących. Nie dowiemy się prawdopodobnie, czy to właśnie nim posłużył

się szpieg, ale skoro szef mechaników dopiero po miesiącu maglowania przyznał, że zginęło mu takie urządzenie, to można swobodnie założyć, że nie był to jedyny taki przypadek. Przypuśćmy, że ten człowiek wyrzucił je za burtę zaraz po wprowadzeniu kodów do samolotu ofiary. Gdybyśmy przyjęli, że tak było, musielibyśmy uznać, że kodowanie IFF-ów nie należało do jego obowiązków, zgadza się? Miał wstęp na pokład startowy, ale zwykle nie nosił ze sobą urządzenia kodującego i wolał pozbyć się niewygodnego dowodu. Wiem, że można to inaczej wytłumaczyć, ale poczekajcie z tym, aż skończę. Z przeprowadzonych przesłuchań wynika, że każdy, kto tamtej nocy znajdował się na pokładzie startowym, w którymś momencie przebywał w pobliżu samolotu Craika. Stąd wniosek, że nie tu leży nasz błąd; zrobiliśmy, co należało i zrobiliśmy to dobrze.

- Hej, Mike? - odezwał się Alan, oparty o białą tablicę za podium Mike'a. Miał ponurą minę; nurtowały go problemy związane z zapewnieniem dziecku opieki w czasie jego nieobecności. - Kiedy miał miejsce ostatni lot operacyjny tego samolotu?

Analitik siedzący przy drugim stole wyręczył swojego szefa.

- Odbył lot próbny i o trzynastej dwadzieścia czasu lokalnego wylądował. - Zajrzał do notatek. - Wtedy z IFF-em wszystko było w porządku.

- Jesteś pewien, że to ten sam samolot? - Alan wbił wzrok w zdjęcie na ścianie sali, przedstawiające szary A-6, z czerwonym napisem CRAIK na kabinie po stronie pilota. - Jakie uszkodzenie było przyczyną odbycia lotu próbnego?

Analitik przejrzał notatki.

- Chodziło o jakieś trudności z wyważeniem. Major Craik z tego powodu uziemił samolot, po nieudanym lądowaniu osiemnaście godzin wcześniej. - Po roku pracy posługiwanie się specjalistyczną terminologią nie sprawiało analitykowi większych problemów.

Alan pomyślał, że to typowe u ojca, iż po nieudanym lądowaniu zgłosił awarię samolotu. Z drugiej strony był przecież doskonałym pilotem, więc postanowił odbyć lot próbny. Mogło to świadczyć o tym, iż uszkodzenie było naprawdę poważne.

- Masz formularz z przeglądu samolotu?

- Ksero.

Na widok dobrze znanego charakteru pisma Alana coś ścisnęło za gardło. Zauważył rubrykę, w której ojciec podpisał się przed odbyciem lotu próbnego. Przerzuciwszy pozostałe papiery, Alan spojrzął na analityka.

- Co się stało z formularzem z lotu bojowego?

- Zabrali go śledczy zaraz po katastrofie. Zresztą zniknęło też kilka innych formularzy, ale nie wygląda to podejrzanie; jeden facet z działu prawnego przyznał mi się, że widział je i prawdopodobnie puścił przez niszcarkę. Pech.

Przed oczami Alana stanął obraz spadającego samolotu ojca. Tym razem jednak skoncentrował się na szczególe, na który dotąd nie zwracał uwagi - numerze wymalowanym na ogonie.

- A gdybym tak powiedział, że ten znaczek X przy podpisie oznacza, że mój ojciec uziemił ten samolot po raz drugi -już po odbyciu lotu próbnego? Jestem przekonany, że w czasie nalotu siedział za sterami AE 504. Ten formularz dotyczy AE 509.

- To niemożliwe! - Analityk poczuł się zagrożony; spojrzął na Dukasa, potem na Alana. - Przez cały czas sprawdzaliśmy, kto mógł znaleźć się w pobliżu tego samolotu. To znaczy, wszystkie przesłuchania... No nie, przecież ktoś powiedziałby nam, że interesujemy się nie tym samolotem, co trzeba. - Rozejrzał się po sali. - Wszyscy mówili, że to ten samolot. Wy też. To niemożliwe, żebyśmy się pomylili!

- Czy ktoś z was ma przy sobie zdjęcie wraku? - powiedział Dukas. Jak na dobrego szefa przystało, był cierpliwy, choć krew w nim wrzała.

Melissa podała mu fotografię szczątków samolotu Mike'a Craika. Alan pochylił się nad kartką z kadrami pochodzącymi z filmu nakręconego owej pamiętnej nocy kamerą na podczerwień. Na obydwu widać było to samo: choć znaki były nieco zamazane, nie ulegało wątpliwości, że na ogonie widnieje numer AE 504. Widać też było, że na osłonie kajuty dla formalności namalowane zostało nazwisko dowódcy eskadry. Analityków obchodziło tylko to nazwisko - nie byli wojskowymi; dla nich liczyły się nazwiska, nie numery. Gdyby jakikolwiek lotnik - choćby Alan - dostał do ręki formularz przeglądu zniszczonego samolotu, od razu zorientowałby się w sytuacji. Ile miesięcy, ile przesłuchań, ile raportów, taśm i akt poszło przez tych palantów na marne?

Analityk poczerwieniał, wyraźnie zdenerwowany. Ruchy jego rąk stały się zbyt szybkie, a głos zdawał się odmawiać posłuszeństwa.

- Musimy sprawdzić daty. - Przerzucił stos skserowanych formularzy, zawierających dane z poszczególnych lotów operacyjnych. Odłożył na bok wszystkie, które dotyczyły AE 504 i podziękował w duchu opatrności, że skopiował dokumenty całej eskadry, nie tylko samolotu, który go interesował. Gdy jednak podniósł głowę, nie miał zadowolonej miny.

- Jest! AE 504 odbył ostatni lot trzy dni przed nalotem na Iran. - Załamany, wyrzucił ręce w górę i opadł na krzesło. - To znaczy, że każdy, z nocnej czy dziennej wachty, mógł wprowadzić kody, kiedy samolot stał w hangarze. - Każdy. Czyli liczba podejrzanych znów wzrosła do pięciu tysięcy.

- Ale nikt nie mógł wiedzieć, że major Craik poleci pięćsetczwórką. - Mike przybrał ponurą minę. - Hej, posłuchajcie mnie! - Wreszcie udało mu się zwrócić na siebie uwagę wszystkich. - Jeśli Craik uziemił 509 i postanowił polecieć 504, to musiał kogoś o tym odpowiednio wcześniej powiadomić. Na tyle wcześniej, że obsługa naziemna zdążyła umieścić na osłonie kokpitu nazwisko nowego pilota.

Alan podniósł głowę i przemówił zimnym głosem.

- Ten człowiek musiał zrobić to dwa razy.

- Dokładnie. - Mike spuścił wzrok. - Wchodzi na pokład, wprowadza kod, znika. Być może wyrzuca urządzenie kodujące za burtę. Jednak na parę godzin przed operacją Craik uziemia samolot i postanawia zasiąść za sterami 504. - Dukas

sapnął, powiedział bezgłośnie „Jezu” i spojrzał gniewnie na swoich podopiecznych. - Bob, do jutra masz dowiedzieć się, w którym dokładnie miejscu na pokładzie stał AE 504 i zdobyć taśmę z nagraniem z kamery obserwującej ten samolot. Do roboty. - Spojrzała na analityka, który niewłaściwie zidentyfikował samolot, i ogarnął wzrokiem pozostałych uczestników zebrania. Milczeli. To był ich pierwszy naprawdę poważny błąd. Może należało im go wybaczyć, ale Dukas nie odzywał się przez chwilę, potęgując napięcie. - Nawaliliście, ludzie. To nie do przyjęcia. Jezu Chryste, jak mogliście?

- Carla, powiedz tym z Norfolk, żeby znaleźli człowieka, który wymalował na 504 nazwisko majora Craika. Chcę, żeby jak najszybciej go przesłuchano. Kiedy dowiesz się, co to za jeden, daj znać. Niech wyciągną z niego, komu powiedział o zmianie samolotu. Jimbo, dowiedz się, którzy marynarze nie schodzili na ląd w Neapolu i skreśl ich z listy podejrzanych. No dobrze, a teraz zacznijcie się modlić, żebyśmy jakoś z tego wybrnęli, bo inaczej będzie niezły dym, czy wyrażam się jasno? Nie zrozumcie mnie źle - jestem miłym Grekiem, dopóki dobrze wykonujecie swoją pracę, ale jeśli znów coś spieprzycie, będzie po was. W porządku? Zrozumiano?

- Teraz wróćmy do naszego drugiego problemu. Żeby nie przedłużać, darujemy sobie odczytanie raportu na temat postępów w śledztwie i od razu przejdę do rzeczy. Otóż z tego, co usłyszeliśmy na spotkaniu w Pentagonie, wynika, że mamy do czynienia z wrogim oficerem wywiadu, dawniej w KGB, zatrudnionym prawdopodobnie przez Iran, prowadzącym agentów ulokowanych w NATO. Prawdopodobnie jednym z nich jest poszukiwany przez nas człowiek. Dlatego wycofuję się ze swojej teorii - motywem zbrodni nie była zemsta. Przyznaję się do błędu. Ten facet miał po prostu wykonać określoną robotę. Nadszedł dzień upokorzenia, ludzie... bijmy się w piersi. - Spojrzał na Alana, jakby chciał powiedzieć: „I to wszystko na oczach człowieka, któremu najbardziej zależy na pomyślnym zakończeniu tej sprawy!”. - Niech więc ktoś... dobrze, Monica, ty t zrobisz... przygotujesz nową listę podejrzanych w oparciu o ustalenia Jimbo. Tym razem nie uwzględniaj motywu zemsty. Gwoli podsumowania; lista podejrzanych ma zawierać nazwiska tylko tych ludzi, którzy: przebywali na pokładzie „Roosevelta” w czasie nalotu; wiedzieli, że to Craik miał prowadzić nalot; wiedzieli, że dowódca leci AE 504, nie 509. Muszą to być też ci, którzy zeszli na ląd w Neapolu, regularnie mieli wstęp na pokład startowy i dostęp do urządzenia kodującego IFF, a oprócz żołądu posiadali pieniądze zdeponowane w banku.

Rozejrzał się po pokoju.

- Mamy więc siedem kryteriów. Najbardziej interesują nas ci marynarze, którzy spełniać będą co najmniej sześć z nich. Umówmy się, że tych, którzy nie przekroczą trzech, skreślamy z listy. Ma być gotowa na poniedziałek, żebym mógł pokazać ją admirałowi. Tak, tak, najbliższy poniedziałek, za cztery dni. To zna czy, że będziecie pracować w weekend. Potem zaczynamy przesłuchania od nowa. Do roboty.

Po dwóch tygodniach Dukas miał wszystkiego dosyć. Było to najbardziej frustrujące czternaście dni w jego karierze zawodowej. Trop wiódł donikąd. Wszędzie tylko ślepe uliczki.

Człowiek, który wymalował nazwisko swojego dowódcy na osłonie kabiny rezerwowego samolotu, zginął w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Miał dwadzieścia jeden lat.

Nikt - ani NCIS, ani CIA, ani FBI, ani włoski kontrwywiad - nie zauważył agenta KGB kręcącego się w pobliżu Neapolu.

Dwudziestu pięciu marynarzy odpowiadało sześciu z siedmiu kryteriów. Przesłuchano wszystkich, których się dało - pozostali nie żyli albo przebywali na morzu. Nie udało się sporządzić skróconej listy podejrzanych.

Dopiero teraz Dukas uświadomił sobie ze złością, jak mało wie o lotnictwie morskim. Musiał przyznać przed sobą, że ani jego grupa śledcza, ani eksperci nie mogli stwierdzić z całą pewnością, że posiadali listę wszystkich ludzi przebywających na pokładzie startowym „Roosevelta”.

Jedyny nowy ślad zawdzięczali kamerze obserwującej pokład. Trzykrotnie uchwyciła AE 504, gdy jechał po pokładzie. Za sterami siedział wtedy młody pilot. Zwykle przed startem nie przesuwają się samolotów tak często, ale najwyraźniej maszyna majora Craika zasługiwała na specjalne traktowanie. Na kilku ujęciach widać było jednego z członków załogi na tyle dokładnie, że udało się znaleźć jego zdjęcie w księdze okrętowej. W pewnym momencie Roger wypatrzył lewe ramię i świecący kask jakiegoś człowieka kręcącego się w pobliżu IFF-u. Zauważył też, że miał on na sobie golf noszony zarówno przez marynarzy niższych stopniem, jak i oficerów, którzy z takich czy innych powodów wychodzili na pokład startowy. Nie widać było ani twarzy, ani żadnych znaków szczególnych.

Okazało się, że także administracja eskadry - a nawet oficerowie wywiadu, jak Alan - nosiła albo miała białe golfy. Dukas przypomniał sobie słowa Lake'a, przesłuchiwanego przezeń marynarza: „Nie poznałby mnie rodzony brat”. Czyli ten człowiek z „Nocnej Wachty” może być oficerem, albo... no właśnie, kim?

Wpatrując się w ścianę pokrytą zdjęciami, Alan próbował przypomnieć sobie, jak wyglądało życie na lotniskowcu. Szczególną uwagę zwrócił na jedną z fotografii, przedstawiającą dwóch rozbawionych podoficerów. Z czego oni się śmiali? Z czegoś, co zrobił Alan - uczył się wtedy ładować film do kamery na podcierwień przed swoim pierwszym lotem. Prawdopodobnie wtedy właśnie pierwszy raz znalazł się na pokładzie startowym. Dwaj podoficerowie ze zdjęcia na co dzień zajmowali się wywoływaniem zdjęć; pomagali mu załadować film, ponieważ Alan został mianowany fotografem eskadry, choć nie miał w tym żadnego doświadczenia. Ci dwaj stwierdzili, że to typowe dla marynarki i wydało im się to niezwykle śmieszne.

Fotograf.

Zakład fotograficzny.

Pomocnicy fotografa. W białych golfach.

Na pokładzie startowym.

Czy grupa śledcza uwzględniła pomocników fotografa przy sporządzaniu listy podejrzanych? Alan nie pamiętał. Wydawało mu się, że nie. Ale na pewno...

Alan zadzwonił do Dukasa.

Po tygodniu do listy ludzi mających wstęp na pokład startowy zostali dodani pomocnicy fotografów. Trzy tygodnie później przesłuchany został niejaki Sheldon Bonner. Agent, który prowadził przesłuchanie, napisał o nim: „Spięty, drażliwy. Ofiara losu, zresztą sam zdaje sobie z tego sprawę. Chce odsłużyć swoje dwadzieścia lat. Wskazane kolejne przesłuchanie - bez szczegółowych pytań nie można z niego nic wyciągnąć, gesty i unikanie kontaktu wzrokowego sugerują, że nie do końca mówi prawdę. Sprawdzić sytuację finansową. Uwaga - przedłużył swoją służbę na »Roosevelcie«. Czy to nie dziwne?!”

Po przesłuchaniu Bonner pozostawił znak dla swojego miejscowego łącznika, wskazujący na chęć spotkania. Właściwie chciał się zobaczyć z człowiekiem o imieniu Carl, ale w umówionym miejscu stał się młody, szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji. Arab, pomyślał Bonner. Tak naprawdę był to urzędnik z ambasady libańskiej w Waszyngtonie.

- Gdzie Carl? - warknął Bonner.
- Nie znam żadnego Carla.
- Carl, twój szef... ten facet, który przedstawia się jako Carl.
- Nigdy o nim nie słyszałem.

Bonner zdenerwował się. Mimo to powiedział swojemu rozmówcy o przesłuchaniu i plotkach krążących wśród członków załogi „Roosevelta”.

- Oni coś zwęszyli.
- Używali wykrywacza kłamstw?
- Jezu, nie.
- Nic nie mają. To rutynowe działania.
- Skąd ta pewność? Przesłuchują wszystkich, jak leci! Wyciągnęli samolot tego gościa, na pewno wiedzą już, że... - Nie był pewien, co ten nieznamy wie o kodowaniu IFF i planie Carla dotyczącym zestrzelenia samolotu dowódcy. - Oni coś wiedzą.

- Proszę na bieżąco informować nas o tym, co się dzieje.
- To ja mam was informować? Nie dlatego prosiłem o spotkanie! Muszę zobaczyć się z Carlem i chcę, żebyś zorganizował spotkanie z nim!
- Nie ma żadnego Carla.
- Słuchaj no, Muhammad czy jak ci tam, powiedz swoim przełożonym, że albo zobaczę się z Carlem, albo nie zobaczę się z nikim! Rozumiesz? Nie zamierzam dać sobie odstrzelić tyłka za waszą sprawę. Carl i ja... nas coś łączy. Ja mu ufam, a on opiekuje się mną. Jeśli nasz wywiad mnie zdybie, będę miał wiele do powiedzenia. Rozumiemy się? A teraz załatw mi spotkanie z Carlem!

Najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że człowiek z ambasady libańskiej naprawdę nigdy nie słyszał ani o człowieku imieniem Carl, ani o Jefremowie.

Listopad 1993, siedemnasty miesiąc śledztwa

Podczas spartaczonyj operacji w Somalii zginęło siedemnastu amerykańskich komandosów. Ciało jednego z nich było wleczone ulicami Mogadiszu. Prezydent wysłał na miejsce piętnaście tysięcy żołnierzy i wydał rozkaz, by do końca marca nastąpiło całkowite wycofanie z Somalii wojsk amerykańskich.

Rosę nadal tam była.

Alan stał w ciemnym pomieszczeniu, spowity kolorowym blaskiem bijącym z ekranu komputera, na którym wyświetlano starannie przygotowane ilustracje. Miał przed sobą prawdziwie wymagającą publiczność: dyrektora NCIS, zastępcę dyrektora wywiadu marynarki, zastępcę dyrektora kontrwywiadu i ich asystentów. Słuchali tego, co mówi Alan, bo musieli. Niektóre obrazy mówiły same za siebie: zamiast planszy tytułowej było zdjęcie przedstawiające samolot ojca Alana, ociekający wodą morską, na pierwszym planie zaś wyrastał wielki napis: NOCNA WACHTA. Alan pokrótce przedstawił genezę kryptonimu sprawy. Zaprezentował osiemnaście ilustracji, przedstawiających osiągnięcia grupy i powolny proces zawężania kręgu podejrzanych. Wspomnił o największych sukcesach. Szczegółowo opowiedział o sporządzonej przez Jimbo tabeli, przedstawiającej inne aspekty sprawy; wyjaśnił zebranym, jak wiele szkód może wyrządzić szpieg na lotniskowcu, zwłaszcza jeśli będzie prowadził sabotaż. Alan ani słowem nie napomknął o tym, że sprawa ta ma dla niego wymiar osobisty. Nie musiał. On to wiedział, oni też.

„To *public relations*, chłopcze - powiedział mu Dukas. - Chodzi o pieniądze i ludzi, dlatego musi tam pójść ten, kto jest najbardziej z nas wygadany, czyli ty. Daj im popalić, Al.”

W czasie prezentacji nie padły żadne pytania. Kiedy Alan skończył przedstawiać wnioski, w ciszy zalegającej salę rozległ się głos zastępcy dyrektora kontrwywiadu:

- Mike, Alan, ilu w przybliżeniu macie podejrzanych?

Alan zawsze miał w zanadrzu rezerwowj slajd. Był to jego stary zwyczaj. Zawsze należy próbować przewidzieć najważniejsze pytania. Przygotować slajdy. Zachowywać się ze stoickim spokojem. Alan wcisnął przycisk na podium, pociągnął łyk coca coli i zwrócił wzrok w kierunku, z którego dobiegł głos.

- Ośmiu, sir. Każdy z podejrzanych spełnia co najmniej pięć z naszych siedmiu kryteriów. Oprócz nich był jeszcze jeden, ale już nie żyje.

Wtedy pałeczkę przejął Mike, który dotąd nie odezwał się ani słowem.

- Jednym z tych dziewięciu ludzi jest szpieg, którego nazywamy „Nocną Wachtą”. Jeśli jestem w błędzie, oznacza to, że przeoczyliśmy jakiś niezwykle ważny szczegół, na przykład że interesujący nas człowiek nie wchodził w skład

załogi lotniskowca. Jednak na podstawie tego, co mamy, mogę stwierdzić, że szpiegiem jest jeden z ludzi umieszczonych na naszej liście. Czterej sana morzu. Po zostali zostaną przesłuchani w przyszłym miesiącu i, jeśli otrzymamy zgodą, podani badaniu na wykrywaczu kłamstw.

Wbrew swoim zamierzeniom, Alan odczytał osiem nazwisk:

Por. Harris

Por. Coleward

Ppor. Higgins

Bosm. Bonner

Bosm. Lourdes

Bosm. Seles

St.mar. Wojihowski

Mar. Hicks.

23

28 listopada 1993, 6.58 czasu Greenwich, Norfolk

Mike Dukas, rozebrany do majtek, siedział w pokoju gościnnym w domu Alana z głową ukrytą w dłoniach. Przypomniał sobie, że obiecał siostrze zabrać jej dzieciaka na mecz drużyny Bullets. Oby tylko kac był w miarę łagodny. Mike zazdrościł Alanowi siły woli - chłopak postanowił, że będzie pić tylko do północy i jak powiedział, tak zrobił. Dukas otworzył jakieś pismo dla wędkarzy i począpał do łazienki. „Piwa się nie kupuje, piwo się wynajmuje”. W sypialni włączył się pager. „Co znowu? O tej porze... Jezu, naprawdę jest druga w nocy?”

Po pięciu minutach rozmawiał już z zaspanym agentem.

- Możesz pojechać do Filadelfii? - spytał agent.

- Kiedy? - Była niedziela. To znaczy niedzielny poranek.

- Dzisiaj, jak najwcześniej. Parę godzin temu dzwoniła stamtąd jakaś kobieta, twierdzi, że jej mąż jest szpiegiem. Nie, Mike, przykro mi, to nie ma związku z twoją „Nocną Wachłą”. Ale wiesz, akurat w ten weekend mam do dyspozycji niewielu śledczych... - Dukas od razu zorientował się, dlaczego tak naprawdę właśnie jemu przypadło to zadanie. Po prostu był jedynym kawalerem spośród agentów.

- Jaka kobieta oskarżałaby własnego męża o szpiegostwo?

- W tym wypadku nawalona jak stodoła. No, ale sam wiesz, *in vino veritas*.

- O rany, mówisz po francusku. Ty to masz tupet. Jest druga w nocy, do jasnej cholery!

- No cóż, Mike, „Nocna Wachta” to nie jedyne śledztwo, jakie prowadzimy, zgadza się? Być może poza tym twoim istnieją jeszcze jacyś inni szpiedzy. Co, może nie?

- Pierdol się. I daj mi adres tej baby. Pojadę tam.

Los był wobec niej nielaskawy. Obdarzył ją tylko ładną buzią, w tej chwili zresztą schowaną pod grubą warstwą makijażu i wykrzywioną nienawiścią. Kobieta była za chuda, a z jej oczu wзираło szaleństwo; Mike domyślał się, że jego rozmówczyni nie stroni od narkotyków. Jej oskarżenia nie miały podstaw: mąż późno wracał do domu; przynosił tajne materiały (ale nie pamiętała, jakie i co z nimi robił). Był beznadziejnym ojcem. Od niepamiętnych czasów nie uprawiali seksu. (Trudno się dziwić, pomyślał Dukas.) Był zbyt blisko związany ze swoim ojcem, to nienormalne, jak pedały czy coś takiego, we dwóch jeździli w jakieś miejsca i zostawiali ją samą. Kiedy Mike spytał, co robili w czasie tych wyjazdów, odburknęła coś o samochodach i łowieniu ryb. Wyglądało na to, że nie byli aż tak nienormalni, jak twierdziła.

Interesujące wydało się Mike'owi tylko to, że kobieta uważała, iż jej mąż zasałał pieniędzmi, jakby wygrał w totka czy coś w tym rodzaju, bo w terminie wnosił wszystkie opłaty za mieszkanie. (Dziwnie słyszeć taką skargę z ust żony.) Przypomniała sobie, że kiedy w którymś miesiącu administracja nawaliła i sztab marynarki przez tydzień nie dostawał pieniędzy, jej mąż i tak wszystko opłacił, podczas gdy inni chodzili i narzekali. Może uprawiał hazard. Albo handlował narkotykami.

- Wydawało mi się, że oskarżała go pani o szpiegostwo, pani Marengo.

- Przecież może być szpiegiem i dostawać narkotyki zamiast pieniędzy, no nie? Po czyjej pan właściwie jest stronie? Mówię panu, on się nade mną znęca! - Była jak gumowa piłeczka, objijająca się o ściany pudełka; pragnąc dać upust nienawiści, przeskakiwała z oskarżenia na oskarżenie - od szpiegostwa przez narkotyki po brak zainteresowania dzieckiem i przemoc.

- Jak długo jesteście państwo małżeństwem?

- Za długo. - Roześmiała się nieprzyjemnie. Jak niemowlę, pomyślał Mike, ładne, wredne niemowlę. I brakuje jej smoczka, pomyślał, obserwując dłonie nerwowo ściskające ramiona. Powiedziała, że pobrali się ponad dwa lata temu. Dość czasu, żeby mieć dziecko - dość czasu, żeby miłość zmieniła się w nienawiść.

Jej mąż nazywał się Donnie Marengo. Zajmował się analizą danych. Obiecał jej, że wkrótce da sobie z tym spokój i zacznie pracować w firmie współdziałającej z ekspertami marynarki przy pracach nad systemem globalnego namiaru.

- Wrogowie na pewno połaszczyliby się na coś takiego! - zawyrokowała triumfalnie. - Nowoczesna technologia i tak dalej, rozumie pan? - Wymamrotała coś o raketach i wysadzaniu w powietrze Waszyngtonu.

- Czyli twierdzi pani, że mąż obiecał podjąć pracę u tych ludzi, by więcej zarabiać?

- A żeby pan wiedział. Obiecał, że będzie z tego więcej pieniędzy.

- Ale wcześniej mówiła pani, że on ma mnóstwo pieniędzy, że to właśnie budzi pani podejrzenia.

- To i te inne rzeczy!

Brak logiki, głęboka nienawiść.

- Rozumiem więc, że mąż postanowił jednak nie odchodzić z marynarki?

- Obiecał, że to zrobi! Ale wystarczyło, żeby jego ojciec, ten bałwan, powiedział: „Poczekaj, odsłuż dwudziestkę”, a on od razu zmienił zdanie! Czy to nie podejrzane?

I tak w kółko. Po godzinie Mike uznał, że usłyszał już dosyć. Dał jej swoją wizytówkę.

Odjeżdżając, wyrzwał przez okno, podniósł telefon komórkowy i puścił w ruch biurokratyczną maszynę, by doprowadzić do przesłuchania Donnie-go Marengo. A nuż trafi się coś takiego jak z tym typem od pornografii dziecięcej; nigdy nie wiadomo. „Strzelasz do rzutków, a trafiasz sępa.” Potem Dukas poszedł do hotelu i położył się spać. Czuł się, jakby odbył długą podróż - przyczynił się do tego kac, brak snu, żona Donniego Marengo albo to wszystko razem wzięte.

Następnego dnia stawiał się w sali przesłuchań godzinę przed czasem i z pietyzmem poprzestawiał meble. Czuł się wspaniale. Był rześki i wyspany. Szybko załatwił tę sprawę, raz, dwa, trzy, i wrócił do Waszyngtonu na tyle wcześnie, by przepracować jeszcze pół dnia. Położył na stole dyktafon i swoją odznakę, a w biurowej kuchence mikrofalowej podgrzał cappuccino (zakupione w stylowej kawiarni). Pogawędził z dwiema agentkami. Okazały pewne zainteresowanie „Nocną Wachtą”, natomiast na flirtowanie z Dukasem nie miały ochoty. Były przejęte faktem, że nie im przypadło prowadzenie przesłuchania Marengo. Zawodowa waziść zawsze brała górę nad seksem.

Na widok Donniego Marengo Mike Dukas przeżył spore zaskoczenie. Spodziewał się ujrzeć zgorzkniałego ponuraka - a jego oczom ukazał się wysoki, bardzo młody, przystojny dryblas. Donnie Marengo nadawałby się wręcz idealnie na plakat zachęcający do służby w marynarce, miał inteligentne spojrzenie i silny, pewny uścisk dłoni. Wydawał się ostrożny, ale chętny do pomocy. Dukas pomyślał, że wbrew temu, co mówiła żona tego chłopaka, ojciec bardzo dobrze go wychował.

Mike nie owijał w bawełnę. Przyniósł młodemu człowiekowi puszkę coli z lodówki, po czym zaprowadził go do sali przesłuchań i odczytał przysługujące mu prawa, których Marengo zrzekł się, „przynajmniej dopóki nie dowiem się, co się właściwie dzieje”. Dukas, rozbrojony tym stwierdzeniem, okazał odznakę i dokumenty, zademonstrował dyktafon, wyjaśniając przy tym, że nagranie nie będzie mogło zostać wykorzystane w sądzie, ale pomoże przy sporządzaniu raportu. Wyjaśnił, że w pomieszczeniu znajduje się ukryty mikrofon.

Potem walnął z grubej rury.

- Twoja żona mówi, że jesteś szpiegiem.

Dukas był zwolennikiem stosowania bezpośredniego podejścia. Pierwsza reakcja podejrzanego była dla niego niezwykle ważna.

- Pewnie powiedziała też, że jestem homoseksualistą - stwierdził młody człowiek beznamiętnym tonem. - Skoro rozmawiał pan z nią, to wie pan, że powiedziałaby i zrobiła wszystko, żeby mnie załatwić. Ona mnie nienawidzi. - Mówił spokojnym głosem, bez śladu akcentu - na pewno się tego nauczył.

- Dlaczego?

Marengo zawahał się, po chwili jednak i on postanowił nie owijać w bawełnę.

- Jest pijaczką. Zachowywała się dziwnie przy naszej córeczce i zacząłem się obawiać, że któregoś dnia zrobi jej krzywdę, więc ją wyrzuciłem za drzwi. - Skierował oczy w stronę brudnej szyby. - Nie chcę już mieć z nią nic wspólnego. Rozumie pan? Chcę zacząć od nowa.

- Czy wynosiłeś z pracy tajne dokumenty? - Dukas zachowywał chłodny, obojętny ton. Mimo całej sympatii dla tego chłopaka, nie mógł nie zauważyć, że nie odpowiedział on wprost na pierwsze bezpośrednie pytanie.

- Tak. - I tym razem chłopak odpowiedział z całkowitym spokojem. - Zabrałem trochę rzeczy do domu, kiedy uczyłem się do egzaminu. Wiedziałem, że to niezgodne z przepisami. Nie będę wciskał panu kitu, że zrobiłem to, bo tak robią wszyscy. Ja taki nie jestem. Nie naśladowuję ślepo innych.

Interesujące. Może te słowa odnosiły się do żony Marengo, która zawsze robiła to, co wszyscy wokół niej. A jednak w głosie chłopaka była nuta arogancji: może chciał powiedzieć, że nie naśladowuje ślepo innych, bo jest od nich lepszy? Mike napisał „lepszy od innych” w notesie i podniósł głowę, marszcząc brwi.

- Donnie, nie interesują mnie ludzie, którzy uczą się w domu do tajnego egzaminu. Obydwa wiemy, że „absolutnie tajny” podręcznik prawdopodobnie trafia do rąk Rosjan, zanim dostajemy go my. Chodzi mi o naprawdę tajne materiały. To znaczy, czy brałeś do domu coś, co byłoby związane z twoimi obowiązkami jako specjalisty marynarki od analizy danych? Choćby dokumenty dotyczące wojskowych systemów globalnego namiaru?

Donnie Marengo po raz pierwszy okazał nerwowość. Wreszcie spojrzał Mike'owi w oczy.

- Tak. - Odwrócił wzrok. - Nie mam nic na swoją obronę. Po prostu chciałem odczytać szyfr w domu, żeby mieć oko na Ruthie. Moją córeczkę.

Mike spojrzał na niego i zmienił taktykę. Był już niemal pewien, że ma przed sobą nie szpiega, a młodego człowieka na krawędzi załamania nerwowego. Tylko nuta arogancji pobrzmiwająca w jego głosie dziwnie nie pasowała do okazywanej przezeń frustracji.

- Kiedy ostatni raz byłeś za granicą? - Dukas udawał, że robi notatki.

- Zeszłego lata, zanim Sheili do reszty nie odbiło. Pojechaliśmy na tydzień do Toronto. Miałem wtedy urlop i o wyjeździe powiadomiłem przełożonych - wyrecytował.

- Donnie, czy kiedykolwiek nawiązał z tobą kontakt pracownik obcego wywiadu? - Mike uśmiechnął się do niego.

- Nigdy, sir.

Przynajmniej ta odpowiedź była krótka i do rzeczy. Właściwa reakcja.

- Czy pokazywałeś innym materiały, które przynosiłeś z pracy do domu? Żonie, przyjacielowi? Może ojcu? - Mówiąc to, Mike zerknął na chłopaka kątem oka. Marengo oczywiście zareagował na wzmiankę o żonie, ale pytanie o ojca wyraźnie go poruszyło. Czyżby przechwalał się przed swoim starym? A jeśli nie, to o co chodziło?

- Szczerze mówiąc, starałem się, by Sheila tego nie zobaczyła, sir. Pociągnął duży łyk coli. - Nie ufam jej. Zwłaszcza odkąd się zmieniła.

Pora spróbować mniej bezpośredniego podejścia, pomyślał Mike.

- Kiedy to się stało?

- Chcieliśmy poznać jakichś nowych ludzi. Ona weszła w towarzystwo takich niby-muzyków - uważali się za prawdziwych rockersów. Czegóż to oni nie planowali! Wystarczy lut szczęścia, jeden przebój i posypią się pieniądze! A talentu mieli tyle co tamto krzesło. Na imprezach brali crack, chodzili półnady. To było dla mnie zbyt dziwaczne. Powiedziałem Sheili, że przez coś takiego mogę utracić autoryzację. A ona na to: „Przecież to moi przyjaciele, no co ty...” Mówiła, że potrzeba jej przyjaciół, że przy nich czuje się dowartościowana. Dowartościowana, co pan na to? W towarzystwie tych bezmózgich obiboków! Powiedziała, że to przeze mnie, bo kazałem jej znaleźć sobie jakichś nowych znajomych. No, to akurat było prawdą. Zawsze mi o tym przypominała, jakby to o wszystkim przesądzała. Którejś nocy wróciła do domu naćpana po uszy, oczy jej tak dziwnie błyszcząły, a do tego... no... do tego przespała się z jakimś facetem, a przynajmniej czuć od niej było zapach mężczyzny, wie pan? Pokrzychałem na nią trochę, ale jej nie tknąłem. Jeśli ona mówi, że ją uderzyłem, to kłamie w żywe oczy. Nigdy jej nie tknąłem. Chryste, za to ona zmieniła moje życie w piekło. - Spokój i obojętność zniknęły. Dukas nie mógł się oprzeć wrażeniu, że teraz siedzi przed nim prawdziwy Donnie Marengo, nieco zagubiony młody człowiek, który stracił kontrolę nad swoim wyćwiczonym akcentem i żoną. Jednak nadal nie wyglądał na szpiega. Prawdę mówiąc, budził raczej sympatię.

- Życie bywa do dupy - powiedział Mike. Czuł się jak ksiądz udzielający porad małżeńskich. - Jeśli jej nie uderzyłeś, to co zrobiłeś?

- Nakrzyczałem na nią. Tak, znęcałem się nad nią psychicznie - tak to określiła, prawda? Chryste, ciągle to powtarza. Mówię panu, baby siedzą całymi dniami z nosem w telewizorze i to gównu po prostu sączy się do ich umysłów - „och, jestem niedowartościowana, och, mąż się nade mną znęca, och, potrzebuję pomocy!” Powiedziałem jej, żeby darowała sobie te imprezy, poszła ze mną do klubu czy coś. Dałem do zrozumienia, że wiem, że spała z innym mężczyzną. Wyśmiała mnie i wyszła. Poszedłem za nią, prowadziłem obserwację przez całą noc. Chryste, potem żalowałem, że jej nie straciłem z oczu. Dała jakiemuś facetowi dupy za pieniądze. Rozumie pan? Moja własna żona! Tu, w Filadelfii, moja żona puszcza się za pieniądze! Przecież mogła zarazić mnie AIDS! Dwa dni później przyłapałem ją na tym, jak potrząsała Ruthie. Najpierw powiedziała, że Ruthie stłukła szklanekę, a potem zaczęła chrzanić, że przeze mnie nie może być modelką, bo ją

poбіłem. Jezu, próbowałem ją zaciągnąć do psychiatry, próbowałem mieć ją pod obserwacją... - Ścisnął dłonie między udami i przygarbił ramiona, jak człowiek w ataku bólu. - Chyba się pan nie dziwi, że nie chcę jej w moim łóżku. Rany boskie, żeby dawać za pieniądze!

Dukas słyszał już wiele opowieści o nieudanych małżeństwach marynarzy. Przed jego oczami stanęła żona Donniego. Co do jednego chłopak się mylił. Sheila nie była na cracku; ćpała heroinę. Widział to w jej twarzy.

- Donnie.

- Słucham, sir?

- Donnie, zarzut przedstawiony przez twoją żonę jest dość poważny. Muszę się tym zająć. Weź sobie adwokata z wydziału prawnego marynarki. Prawdopodobnie będą musiał przeprowadzić oficjalne przesłuchanie. To coś takiego jak zeznanie pod przysięgą, dostaniesz pytania na piśmie. Rozumiesz?

- Tak jest.

- To dobrze. Masz bliskiego przyfaciela?

- Ojciec jest mi najbliższy, sir.

- Niech ci pomoże. Porozmawiaj z nim. Szkoda twoich nerwów. - Mike wiedział, że mówi głupoty, ale w tej chwili to on przedstawiał sobą autorytet.

- Jest na morzu.

- A twoja matka?

- To nie byłoby rozsądne. - Beznamiętny ton. Marengo znów przywdział zbroję; osłony zostały podniesione. Nie zbliżać się do mamusi. Moja żona jest ćpunką? A co matce do tego? Przynajmniej tak to zinterpretował Dukas.

Mike wręczył chłopakowi wizytówkę z pozłaczanymi brzegami.

- Daj to swojemu przełożonemu i poproś go, żeby do mnie jutro zadzwonił. Zgoda?

- Tak jest. - Donnie Marengo wstał. Dukas miał co prawda zamiar zadać mu jeszcze kilka pytań, ale chłopaczyna i tak miał ciężkie życie. Zresztą za parę dni Mike przesłucha go znowu w obecności adwokata i wtedy wszystko zostanie związane na ostatni guzik. Zaraz, dlaczego ja właściwie chcę go przesłuchać? - pomyślał nagle. Przecież ta sprawa podpada pod biuro w Filadelfii; ja tu jestem tylko na gościnnych występach. Mike przyznał przed sobą, że nie chce, by chłopca przesłuchiwały agentki, które przecież mogły bardziej przychylnym okiem spojrzeć na jego żonę; on, Dukas, uznał już, że Marengo jest niewinny. Sheila Marengo natomiast wzbudziła w nim niechęć - a nawet gorzej, odrazę. Jak ten facet od pornografii dziecięcej. Intuicja wzięła górę nad rozsądkiem.

- To znaczy... ktoś cię jeszcze raz przesłucha. Inny agent.

Uścisnęli sobie dłonie. W połowie drogi do drzwi Marengo obejrzał się przez ramię z dziwną miną. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydobyło się z nich tylko:

- Dowidzenia.

Dukas odsłuchał nagranie. Miał ochotę zapalić, ale nie mógł ze względu na obowiązujące tu przepisy:

Poszedłem za nią, prowadziłem obserwację przez całą noc. Żalowałem, że jej nie straciłem z oczu. Dała jakiemuś facetowi dupy za pieniądze. Próbowałem ją zaciągnąć do psychiatry. Próbowałem mieć ją pod obserwacją.

Obserwacja. Mieć pod obserwacją. Dziwna terminologia, jak na analityka danych.

Za dużo telewizji?

Dukas przesłuchał taśmę raz jeszcze w samochodzie. Między Wilmington a Baltimore, gdzie w eterze nie ma innych stacji poza nadającymi muzykę country, wyłączył radio i włożył kasetę z nagraniem do magnetofonu.

Zmarszczył brwi. Co Donnie Marengo chciał powiedzieć na koniec przesłuchania, zanim zmienił zdanie i pozostał na nieprzekonującym „do widzenia”? Dukasa ogarnęło obce mu dotąd poczucie kłeski. Ten dzieciak, podobnie jak wielu podejrzanych i świadków, nie powiedział wszystkiego. Za długo siedzę nad „Nocną Wachtą”, pomyślał Mike. Żona Marengo zbiła mnie z tropu. Cóż, niech teraz ci z Filadelfii się martwią.

15.30 czasu Greenwich, Teheran

Jefremow miał wszystko, czego dusza zapagnie - piękny dom, ogrody, limuzynę, szofera, kochankę, wspańnięte żarcie - nie udało mu się jednak jak dotąd zdobyć tego, czego pożądał najbardziej: władzy. Okazało się, że władza w państwie wyznaniowym jest sprawowana inaczej niż w świeckim; nie da się jej kupić czy wykraść.

Człowiek stojący przed nim był bez wątpienia duchownym; wszyscy mieszkańcy Teheranu rozpoznaliby go bez trudu. Rzeczy, o których marzył Jefremow, dla niego nie miały znaczenia: nosił skromne szaty, cuchnął potem i rzadko posługiwał się pieniędzmi. Jednak to w jego rękach spoczywał los byłego agenta KGB.

- Przykro mi, przyjacielu. Twoja prośba spotkała się z odmową Komitetu.

Jefremow, który bez skrupułów eliminował nieposłusznych agentów, zawsze był jednak lojalny wobec tych, którzy byli lojalni wobec niego.

- Musimy ewakuować mojego amerykańskiego agenta, jeśli znajdzie się w opałach - powiedział.

Duchowny skinął głową.

- Stare trasy ucieczki są nieaktualne... wszystkie prowadzą do Moskwy. Mój agent ma w jednym z umówionych miejsc zostawić specjalny znak; dam wam listę tych miejsc. Jeśli któryś z waszych agentów ten znak zobaczy, to znaczy, że mojego człowieka trzeba ewakuować...

- Przez Sudan. - Widząc niezadowolenie na twarzy Jefremowa, duchowny dodał: - Nie można przewieźć go bezpośrednio z Europy do Teheranu. Amerykanie będą obserwować samoloty kursujące na tych trasach. Przez Sudan będzie łatwiej.

Jefremow skrzywił się. Nie znał Sudanu. Wszystkim będą się musieli zająć jacyś obcy ludzie.

Później, w ogrodzie, Jefremow spojrział na białą kartkę, na której miał wypisane sprawy do załatwienia. Tego dnia widniała na niej tylko jedna notatka: „Spotkanie z B., Neapol.” Skreślił ją, po czym podпалиł kartkę.

4 grudnia 1993, Norfolk

Mijał tydzień po tygodniu. „Nocna Wachta” stała się tylko tłem dla codziennego, monotonnego życia. Alan wstawał o piątej: zmieniał Michaelowi pieluchę, zakładał mu strój odpowiedni do pogody, wyprowadzał psa na spacer, niosąc Michaela w nosidełku; potem karmił psa; zmieniał dziecku pieluchę; karmił Michaela; rozmawiał z Michaelem i z psem, często jednocześnie, choć zdarzało mu się gaworzyć do psa i stanowczym tonem przemawiać do dziecka. W poniedziałki, środy i piątki w południe przebiegał sześć kilometrów wraz z resztą jednostki; we wtorki i czwartki spotykał się ze zbrojnym piechoty morskiej Adolphem Minerem na sali gimnastycznej. Tam Miner uczył Alana technik walki wręcz, a Alan uczył Minera zapasów. Po każdym treningu obydwaj wychodzili mądrzejsi, ale mocno poobijani.

Wreszcie nadszedł grudniowy weekend, który miał być taki jak inne, ale w czasie którego świat zatrzęsł się w posadach.

Jak zwykle, spotkanie rozpoczęło się późnym popołudniem. Tym razem wszyscy siedzieli w domu, bo padał nie zapowiadany deszcz. O'Neill przyprowadził ładną, inteligentną kobietę o imieniu Pam; na jej widok Alan kiwnął głową z uznaniem i szepnął: „Coś poważnego?”. O'Neill uniósł brwi: „Czysta chuć”. Pam, Bea Peretz i Ginny, dość tęga i hałaśliwa kobieta, którą zaprosił Dukas, objęły rządy w kuchni; nikt już nie zamierzał udawać, że to Alan gotuje dla wszystkich. Stereotypy płciowe zwyciężyły.

Tymczasem w „pokoju rodzinnym” - nazywanym tak z dużą dozą ironii - Michael bawił się w kojcu, a pies spał obok niego. Alan siedział w fotelu obitym sztuczną skórą i sortował mapy topograficzne. Peretz i O'Neill robili jakieś obliczenia, „kosztorys”, jak twierdzili, ale nikt poza nimi nie miał pojęcia, o co dokładnie chodzi. Padła propozycja, by wybrać się za miasto, może po powrocie Rose.

Wtedy do pokoju wpadł Dukas. Na twarzy miał rumieńce; kilka sekund wcześniej z kuchni dobiegł pisk kobiety.

- No i? - powiedział Alan, kiedy Dukas usiadł. Ich rozmowy zawsze zaczęły się od tego pytania, które oznaczało „No i co nowego z «Nocną Wachcą»”?

Dukas westchnął.

- No i nic. Nic, nic i jeszcze raz nic.

- Jak zwykle.

- Praca nad taką sprawą ciągnie się latami. - Zaczął się wiercić. - Przez ciebie czuję się osobiście odpowiedzialny za to, że marynarka Stanów Zjednoczonych nie potrafi znaleźć igły w stogu siana.

- Człowiek nie jest igłą, a życiorys nie jest stogiem siana, ale ja nie mam do ciebie żadnych pretensji, Mike, co ty. - Układał mapy w kolejności alfabetycznej.

- Co sływać u Rose?
- Dzwoniła w poniedziałek. Lada dzień zaczną przewozić żołnierzy do Mogadyszu. To niebezpieczne. Tylko tego mi brakowało.

- Poród jest o wiele bardziej niebezpieczny. Nic jej się nie stanie. - Alan skrzywił się. Sytuacja w Mogadyszu całkowicie wymknęła się spod kontroli, a on wiedział, że z dnia na dzień będzie coraz gorzej.

Dukas i Peretz wymienili jakieś żartobliwe uwagi. Po chwili Mike westchnął.

- Myślałem, że dzisiaj będę miał coś dla ciebie, słowo daję. To wyglądało naprawdę obiecująco. Jak ci mówiłem, czasem niebiosa zsyłają nam dar, a ja myślałem, że to właśnie nastąpiło. A potem, pffft. - Otworzył puszkę piwa. - W ubiegły weekend mieliśmy zgłoszenie. Kobieta. Pijana. „Mój mąż służy w marynarce i jest komunistycznym agentem.” - Napił się. - Dokładnie tak powiedziała. Przesłuchałem nagranie.

- A ty myślałeś, że to człowiek, którego szukamy.

- Tak, tak!

Peretz parsknął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- Dawno nie spotkałem takiego optymisty jak ty.

Dukas udawał rozbawionego tą uwagą.

- Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

O'Neill burknął coś o agencjach śledczych, które liczą na boską pomoc w rozwiązywaniu prowadzonych przez nie spraw.

- Każda pomoc jest mile widziana! W każdym razie to zapowiadało się na prawdę obiecująco. Wymarzona sytuacja - żona alkoholiczka, wkurzona na męża, właśnie się rozstali, on wziął dziecko, ona chce się odegrać, więc dzwoni do służby śledczej marynarki i mówi, że jej mąż jest „komunistycznym agentem”.

Alan zerknął na swojego synka, myśląc że współzuciem o tym nieszczęsnym człowieku, który zachował dziecko, ale stracił żonę.

- Spodobało mi się to, że nazwała go agentem komunistycznym - ciągnął Dukas. - Jak za dawnych czasów. Można by się nabrać, co? Zgadnijcie, co się stało potem.

Powiedziała, że to żart i odłożyła słuchawkę - zaryzykował O'Neill.

- Nie, podała parę szczegółów i zapewniła o chęci współpracy. Dlatego pojechałem do niej w niedzielę rano, na kacu, którego zawdzięczałem porucznikowi Craikowi, jako że przez cały sobotni wieczór wlewał we mnie alkohol. Przesłuchałem więc żonę, która jest po pierwsze ładna, po drugie mściwa oraz po trzecie naćpana. Ale upiera się, że jej mąż jest szpiegiem, dlatego muszę go przesłuchać, co też czynię - przekonany, że dzieciak jest bez winy, bo jego żona to suka. Dobry ze mnie glina, co?

- Zdawało mi się, że myślałeś, że to facet, którego szukamy.

- Nie, skądże. Wiedziałem, że to nie on. Nigdy nie służył na „Roosevelcie”. Ale jest dziwny. W pewnym sensie. Najciekawsze jednak jest to, że straciłem obiektywizm - dałem się złapać w starą pułapkę: znienawidziłem tego, kto oskarża. Chłopaki, chyba tracę wyczucie. Donnie, mój mały, mam nadzieję, że nie masz

nic do ukrycia, bo z dziewczynami z biura w Filadelfii nie ma żartów. - Otworzył kolejne piwo. - Donald T. Marengo. Mat, pracuje w Centrum Badań nad Łącznością Satelitarną w Filadelfii. Idealnie, co? Wyobrażacie sobie, jak to dobrze mieć szpiega w takim miejscu?

Alan przestał układać mapy i wbił wzrok w swoje dłonie.

Dukas mówił dalej.

- Sprawdziłem przebieg służby Marengo. Nawet nie zbliżył się do „Roosevelta”. Ma dobrą opinię, wygląda na to, że żona chciała mu dokopać. Stara, do brze znana historia. Małżeństwo się rozpada, kobieta robi wszystko, żeby się ześcić. Wie, że gdyby chłopak wyleciał z wojska, to byłby skończony. Nie ma nic straszniejszego od miłości, która przerodziła się w nienawiść.

Zapadła cisza. O'Neill spojrzał na Alana, potem na Peretza. Pomyśleli to samo: „Przykra sprawa”. Dukas odwrócił głowę i otworzył usta, chcąc powiedzieć coś o baseballu.

- Marengo - mruknął wtedy Alan. - Skąd ja znam to nazwisko? Hmm. Mam to na końcu języka - może znam go z mojej dawnej eskadry? Marengo. Nie, nie, musiałem słyszeć o nim ostatnio... może był w centrum wywiadowczym, kiedy przygotowaliśmy nową listę na odprawę? Boże, gdzieś widziałem to nazwisko! - Nie wydawał się zbyt przejęty, zupełnie jakby mówił o deszczu. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Alan zmrużył oczy. - Mam to na końcu języka, ale nie mogę... Marengo. Wiem, że gdzieś to widziałem. - Patrzył pustym wzrokiem przed siebie. - W aktach „Nocnej Wacht”.

- Jesteś pewien? - spytał Dukas, odstawiając piwo.

Alan odłożył mapy.

- Nie jest to nazwisko żadnego z podejrzanych, to wiem na pewno. Jak mógł wyleść, ten człowiek nigdy nie przebywał na pokładzie „Roosevelta”. Ale jego nazwisko pojawia się w jednym z dokumentów. Na pewno. Pamiętam - Marengo.

Popatrzyli po sobie. Potem O'Neill podniósł się.

- I tak nie jesteśmy głodni, zgadza się, chłopaki?

Rzucili się do samochodów. Po drodze uprzedzili kobiety, że wrócą za parę godzin, muszą tylko wpaść do gabinetu Alana - i ruszyli w strugach deszczu trasą, którą on przebywał dwa razy dziennie. Ruch na szczęście nie był duży. Przy bramie wjazdowej okazali odznaki i dokumenty, Alan wpisał wszystkich do książki wizyt, wpuścił ich do biura, wytłumaczył dyżurnemu i strażnikowi, o co chodzi, i rozproszyli się po gabinetach. Włączyli komputery i zaczęli ściągać z sieci interesujące ich pliki. Mijały minuty, piętnaście minut, wreszcie...

- Bonner.

Zebrał się w gabinecie Alana.

- Bonner, Sheldon. Bosman. Specjalista - fotograf. Rozwiedziony. Była żona, Carol Bonner Marengo. Najbliższy krewny, Donald Marengo, Filadelfia!

Dukas był wstrząśnięty.

- Jak mogłem go przegapić?

- Nie da się zapamiętać tysięcy nazwisk, Mike! To jeden z pomocników fotografa, których wciągnęliśmy na listę podejrzanych na samym końcu. Zwróciłem na nich szczególną uwagę, bo byłem wściekły, że ich wcześniej nie uwzględniliście; wy mieliście urwanie głowy z koordynacją działań. - Wbił wzrok w wyświetlone nazwisko, usiłując przyoblec je w ciało: szpieg, który zabił mojego ojca?

- Skąd w takim razie wzięło się „Marengo”? - spytał O'Neill.

- Była żona Bonnera musiała ponownie wyjść za mąż.

Peretz zmarszczył brwi i wlepił wzrok w ekran.

- Ale przecież do FBI zadzwoniła żona tego chłopaka, jego najbliższego krewnego. O Bonnerze nie było mowy. Co jedno ma z drugim wspólnego?

Dukas podrapał się po głowie.

- Bonner musi być ojcem Marengo; nie nazwałby najbliższym krewnym dzieciaka swojej byłej. A nazwisko... pewnie po prostu zmienili. Jezu Chryste, jak mogłem to przeoczyć? Musiało to być dawno temu... zmiana nazwiska dziecka została odnotowana w dokumentach dotyczących przebiegu służby. Masz coś o małżeństwach tego Bonnera? Niżej, niżej... zwykle piszą o tym na trzeciej stronie... o, jest. Rozwiedziony. No dobrze - żona, Carol. Rozwód miał miejsce dawno temu. Dzieci. Trójka - mam cię! Donald T. Patrzcie - data urodzenia mniej więcej się zgadza. Mój Boże! On powiedział, że jego ojciec jest na morzu, a ja nie zwróciłem na to uwagi!

- A powinieneś? - spytał trzeźwo Peretz. - Przecież nie mogłeś wiedzieć, że to się z czymkolwiek wiąże.

Dukas omiół spojrzeniem swoich przyjaciół, skupionych wokół komputera.

- Tyle że, cholera jasna... jeśli żona Marengo mówiła prawdę... Jezu. To, co mówiła, nie miało sensu, więc nie zwracałem sobie głowy... powiedziała, że chłopak ma dużo pieniędzy, ale nie wiedziała, skąd je bierze. To ojciec mu płaci! Działają we dwójkę!

- Przytrzymajcie Mike'a, chłopaki, bo pęknie! - wycedził O'Neill.

Dukasowi nie było do śmiechu.

- Cholera jasna, bez żartów! To poważna sprawa! - Chciał dojść do prawdy ze względu na Alana, a także dlatego, że to mogło podreperować jego zszarganą opinię. O'Neill zdawał sobie z tego sprawę, ale i tak uśmiechał się szeroko. - Żona Marengo mówiła, że on się zmienił; on twierdził to samo o niej. Powiedział, że ta zmiana zaszła mniej więcej rok temu. Założę się, o co chcecie, że właśnie wtedy chłopak zaczął!

- Co zaczął?

Dukas był na siebie wściekły. Jak mógł niczego nie zauważyć w czasie przesłuchania?

- Zaczął pracować dla ojca - powiedział powoli, układając sobie wszystko w myśli. - Jedna z analityczek, Barbara, zauważyła, że *modus operandi* Irańczyków zmieniło się od czasu, kiedy został strącony samolot Mike'a Craika; jesteśmy przekonani, że właśnie wtedy zgłosił się do nich Jefremow. To on pro wadzi Bonnera; teraz ustalił nowe zasady, przekonał go, żeby wciągnął w ten

interes syna. Czuję, że tak właśnie to wyglądało. Na pewno! - Wzruszył ramionami w przeproszającym geście. - Muszę pójść do swojego gabinetu.

- Chryste, przecież gabinet masz w Waszyngtonie!

- Tak, tak... - Spojrzała na Peretza, najstarszego z czwórki zebranych, w nadziei, że znajdzie u niego zrozumienie. - Nie zmrużę oka, dopóki nie będzie po wszystkim - powiedział.

- Czyli z kolacji nici.

- No tak. Cóż, mam nadzieję, że dziewczyny zrozumieją.

Peretz skinął głową.

- Pojedziemy po nie. Al, ty i O'Neill zostaniecie tutaj. Nasz spec od kompu terów przygotowuje bezpieczną linię, żebyśmy się mogli komunikować. Porozmawiam z Beą, wytłumaczę jej wszystko. A co z Pam?

O'Neill westchnął ciężko.

- Nie musicie tego robić - powiedział Alan.

- Wiemy.

Uśmiechnął się i jego przyjaciele wyszli.

Zanim wybiła dziesiąta, powiązali Sheldona Bonnera z synem, znaleźli potwierdzenie zmiany nazwiska chłopaka i wydrukowali ich życiorysy; zdobyli też, oprócz akt personalnych, dokumenty Marengo z kompanii kredytowej, pełny wykaz posiadanych autoryzacji, akta z wydziału drogowego, podania o paszport i mnóstwo innych papierków, które mówiły wszystko - i nic.

Na koniec Dukas przysłał im e-mail: „Zdaje się, że mamy człowieka, którego szukaliśmy. Za to nie mamy dowodów. Życzę dobrej nocy”.

24

8 grudnia 1993, 19.10 czasu Greenwich, Langley, Wirginia

George Shreed zjadł lunch w prywatnej jadalni dyrektora, rozkoszując się daniami ze specjalnego menu, podanymi na pozłacanych talerzach przez kelnera, do którego kieszeni wpadało więcej pieniędzy podatników niż do kieszeni wielu wysokich rangą urzędników. Shreed nie zazdrościł dyrektorowi luksusów ani kelnerowi pensji, nie zamierzał też wygryźć swojego szefa ze stanowiska; był jednak zirytowany tym, że stracił tak wiele czasu na grzeszności.

Dobrze, że chociaż wyzerka była na medal.

Dowlókl się do windy i zjechał na piętro, gdzie znajdował się jego gabinet. Powoli ruszył przed siebie korytarzem, „niczym zapomniany odkrywca kosmosu przemierzający Morze Smutku”, jak zwykł mawiać o swoich wędrówkach. Ludzie rozstępowali się przed nim, a na ich twarzach malowało się współczucie i nie-

smak. Shreed uśmiechnął się ponuro. Wszyscy Kochają kaleki, pomyślał po raz tysięczny, proszę, jak się przede mną płaszczą.

- Mam ochotę spełnić jakiś dobry uczynek - powiedział do Sally Baranowski wchodząc do gabinetu. - Jestem dzisiaj przychylnie nastawiony do świata. - Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Co, źle się czujesz?

- Nie, nie. Zjedliśmy lunch z bożym sługą. Poważnie, to był autentyczny wyświęcony kapłan czy coś takiego. To dopiero niezwykle, Sally - modlitwa w głównej siedzibie Wielkiego Szatana.

- Uwierzyłbyś mi, gdybym powiedziała, że ci nie wierzę?

- Mhm. - Pociągnął nosem. - Właściwie... - Pogrzebał w papierach leżących na biurku. - Wiem, pomogę temu gnojkiowi Craikowi. Ciagle o nim myślę.

- Poczucie winy?

- Może. Co to właściwie jest poczucie winy? Sam nie wiem. Ostatnio naciskają na nas, żebyśmy byli mili dla innych służb. Wahadło wychyliło się w naszą stronę; kto wie, co będzie za parę miesięcy? Przed rokiem admirał, przełożony Craika, przysłał mi pismo, w którym wyraził swoje oburzenie z powodu... zresztą, czytałaś je. W każdym razie od tamtej pory nie żyliśmy ze sobą najlepiej; najwyższy czas, żebyśmy się pogodzili. To nasza oficjalna linia programowa.

Sally uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- O tym rozmawialiście podczas lunchu?

- Nie, skąd! Wszyscy gędzili o rodzinie i wartościach chrześcijańskich w polityce. Miałem ochotę zerwać się z miejsca - gdybym tylko mógł! - i przypomnieć wszystkim, co jest napisane w konstytucji. Niektórzy z nich jeszcze nie otrząsnęli się po przegranej Busha; ci neandertalczyki sprowadzili jakiegoś kaznodzieję z zadupia, który założył własną grupę nacisku i chce... O czym to ja? Aha, o Craiku. No cóż, w tym roku stawiamy mosty, dlatego chcę wykonać jakiś gest, a akurat o Craiku jest głośno. Mówiłem ci, że w męskiej ubikacji pojawił się rysunek z podpisem zawierającym słowa „godny pogardy”?

- Mówiłeś.

- Dzieciak jest sławny. Dwa słowa, a stał się bohaterem. Albo czarnym charakterem. Może to jedno i to samo. W każdym razie musimy wyciągnąć do tego główniarza dłoń. Masz jakieś pomysły?

- Wciąż szukają człowieka, który załatwił jego ojca.

- Stoją w miejscu. Zrobili listę podejrzanych i nic. A co, czyżbyś coś miała?

- Zanim się odezwała, powiedział cicho: - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby w marynarce znalazł się szpieg, Sally. Wiesz, co się ostatnio u nas mówi. - Na chwilę zapadła cisza. Ostatnimi czasy pojawiły się szokujące plotki, że w CIA tkwi agent obcego wywiadu. - Przynajmniej media dałyby nam trochę odetchnąć - mruknął.

Sally Baranowski potarła czoło. Wyglądała na zmęczoną - nic dziwnego, jej dziecko było chore.

- Daria ostatnio przysłała mi dużo e-mailów. Zdaje się, że coś ma i chciałaby się tym z nami podzielić, ale poszukuje pretekstu. Daria - Moskwa - Jefremow -

podpowiedziała Shreedowi. Wojna w Zatoce Perskiej, niezbyt udana dla CIA, przyćmiła sprawą zniknięcia Jefremowa. Mimo to Shreed doskonale pamiętał i Jefremowa, i Uspienską, więc machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Jak myślisz, o co chodzi?

- To tylko przeczucie, ale po tym, jak przesłaliśmy jej dane z komputera Jefremowa, powiedziała, że spróbuje coś jeszcze z nich wyciągnąć. Nie będzie to łatwe; dostała głównie jakieś śmieci z twardego dysku, ale próbowała dać mi do zrozumienia, że być może znajdzie się tam coś jeszcze. Myślę, że mają gdzieś pamięć instytucjonalną; stąd wniosek, że mogli znaleźć jakiegoś byłego agenta, może współpracownika Jefremowa, który przeanalizuje te dane i „coś z nich wyciągnie”. Daria próbuje mi coś zaszyfrować. Mogę złożyć jej propozycję i zobaczyć, jak na nią zareaguje.

- Co to ma wspólnego z Craikiem?

- Jefremow. Pamiętasz? Irański agent, prawdopodobnie amerykański wojskowy, który przebywał w Neapolu? Moglibyśmy podzielić się z Alanem tym, co zdobędziemy, a nawet ściągnąć go do nas. Niech posiedzi parę tygodni z naszymi analitykami, co ty na to? Pokazalibyśmy, jacy potrafimy być mili!

- Co możemy dać Moskwie?

- Co powiesz na tych czterech typów ze Specnazu, aresztowanych w Kanadzie?

- Chciałem ich zachować na czarną godzinę.

- Może właśnie wybiła.

Shreed potarł nos, wydał wargi i zacisnął lewą dłoń w pięść. Następnie cmoknął cicho.

- No cóż. - Wyprostował się. - Dobrze więc. Wybadaj Darię. Jeśli wykaże zainteresowanie, powiedz, że przekazemy Rosjanom tych czterech ludzi w zamian za, no wiesz, odpowiedni gest. Jeśli będzie miała coś ciekawego na temat Jefremowa...

Shreed obrócił się razem z fotelem i spojrzał na wielką mapę wiszącą na ścianie. Nie było na niej nic, co miałoby związek z tym, co mówił, ale podświadomie odbierał ją jako metaforę. Złożył dłonie za głowę.

- Zorganizuj spotkanie w Paryżu. Powiedz Kanadyjczykom, żeby załatwili tę sprawę jak chcą - to znaczy poproś ich, poproś; są cholernie drażliwi. Podziękuj im za to, że podzielili się z nami informacjami wyciągniętymi od tych czterech przestępców, bla-bla-bla, dodaj, że nie sprzeciwiamy się już ekstradycji, bla-bla-bla - i postaraj się, żeby Daria przekazała nam to, co ma. Niech to będzie coś o naprawdę dużym znaczeniu, by Craik mógł to sobie obejrzeć i nas polubić. Aha, i żeby mi to było po angielsku. Hmm? Zaprosz Craika na spotkanie z Darią. Nie ma to jak Paryż wiosną. Załatw to za pośrednictwem tego tępaka admirała, niech wiedzą, że to z mojej strony gest dobrej woli wobec tego gnoja. Zrozumiem, o co chodzi. Co, może jeszcze miałbym wylizać mu buty?

Sally zbladła.

- Mógłbyś go po prostu przeprosić.

- Nigdy. Nigdy!

8 grudnia 1993, 19.20 czasu Greenwich, Filadelfia

Mike Dukas miał prowadzić przesłuchanie w gabinecie, który tak przypominał większość innych, z jakich miał okazję korzystać, że na chwilę stracił orientację. Wiedział, że człowiek siedzący parę metrów od niego to adwokat; wiedział, że chłopak po drugiej stronie biurka to Donnie Marengo, ale poza tym w głowie miał całkowitą pustkę. Zajrzał do notatek, odetchnął głęboko, pomyślał: „Skoro to Marengo, to jestem w Filadelfii,” i otrząsnął się z zamyślenia. Gdyby rozsunał zasłony, jego oczom ukazałaby się posępna panorama Filadelfii; gdzieś w pobliżu stał wynajęty przez niego samochód.

- No dobrze - powiedział. Marengo drgnął. Mike Dukas uśmiechnął się. - Nie bój się, Donnie. Nie zamierzam się na ciebie rzucić. - Dukas zachichotał. Prawnik zmarszczył brwi. Chłopak skrzywił się. Dukas udał, że zaznacza coś w notatniku. - No dobrze. Donnie - nie masz nic przeciwko temu, że tak będę się do ciebie zwracał? - Donnie, wiesz, po co tu jestem.

Chłopak nachmurzył się.

- Po to, żeby mnie wrobić.

- Hej, Donnie, no co ty...!

- A co, może chce mi pan pomóc? Ostatnim razem był pan tu, bo ona do was zadzwoniła. Ta kobieta chce mnie załatwić! Jest złą matką, powiem to w sądzie! Owszem, wyrzuciłem ją za drzwi. Zatrzymałem Ruthie, a ona jej nie dostanie, bo nie nadaje się na matkę!

Dukasa ani trochę nie obchodziła żona Donniego Marengo. Trochę mu było szkoda tego chłopaka, bo ona naprawdę była chora, stuknięta albo po prostu złą kobietą; jak się okazało, miała na koncie kilka aresztowań za prostytucję i posiadanie narkotyków. Gdyby doszło do procesu, pani Marengo na pewno wyładowałaby w więzieniu. Jej mąż był sympatycznym młodzieńcem, który wpadł w szpony prawdziwej sukki, ale to już Dukasa nie interesowało.

- Słyszałeś może o majorze Michaelu Craiku? - spytał.

Zmiana tematu odniosła pożądany skutek; Marengo poczuł się zdezorientowany. Ale jego reakcja była jak najbardziej właściwa. Poprosił o powtórzenie nazwiska i zaprzeczył, jakoby znał tego człowieka; spojrzał podejrzliwie na Dukasa.

- Twój ojciec nie wspominał tego nazwiska?

- Nie, sir.

- Ojciec nie opowiedział ci o tym, jak w czasie jego służby na „Roosevelcie” samolot majora Craika runął do morza?

- Nie, sir. O co chodzi?

- Major Craik prowadził natarcie, jego samolot został trafiony i spadł do wody. Załoga „Roosevelta” była tym wstrząśnięta. Myślałem, że twój ojciec mógł o tym wspomnieć. Bo przecież służył na „Roosevelcie”, prawda?

- Tak, sir. I nadal służy.

- Gdzie jest teraz?

- Na Morzu Śródziemnym. Choć może już być gdzie indziej; przed tygodniem „Roosevelt” wypłynął z portu.

- Ktoś dłużej przy samolocie majora Craika.

Dukas spojrzął w szczerze brązowe oczy Marengo. Co ten dzieciak wie? - pomyślał. Czy naprawdę może nie zdawać sobie sprawy z tego, co robi jego ojciec?

- Ktoś z „Roosevelta” - powiedział - manipulował przy samolocie majora Craika i w ten sposób przyczynił się do jego śmierci. - Udał, że zagląda do notatek. - Syn majora Craika służy w marynarce. Jak ty i twój ojciec. Ciężko jest pogodzić się ze śmiercią ojca. Zwłaszcza gdy zostaje on zamordowany. - Spojrzął w szczerze brązowe oczy. - Nie sądzisz?

- Słucham?

- Zwłaszcza gdy zostaje zamordowany przez jakiegoś irańskiego szpiega.

Chłopiec w lot zrozumiał, o co chodzi. Pochylił się do przodu, położył dłoń na biurku i niemal krzyknął:

- Nigdy nie byłem na pokładzie „Roosevelta”! Do czego pan zmierza?

Dukas zmusił się do uśmiechu.

- Wiem, że ty nigdy nie byłeś na „Roosevelcie”, synu. Wiem. - Uśmiechał się dalej. On również pochylił się do przodu. Zerknął na adwokata. - Wiesz, na czym polega badanie na wykrywaczu kłamstw, synu?

8 grudnia 1993, 20.30 czasu Greenwich, Norfolk

Reicher zajął do gabinetu Alana.

- Cześć pracy! Nie chciałbyś pojechać do Paryża?

- Bardzo śmieszne. Ha, ha.

- Nie żartuję. Dzwonili do mnie z biura admirała. Zastępczyni Shreed prosiła, żebyś towarzyszył im w wyjeździe do Paryża w celu odebrania, cytuję, ważnych materiałów, koniec cytatu. Jesteś zainteresowany?

Alan nie był przekonany.

- Co to znaczy „ważnych”?

Reicher stanął w drzwiach. Znali się już dość dobrze i nawet się polubili.

- Chodzi o „Nocną Wachtę”.

Alan zmrużył oczy,

- To jakiś przekręt. - Innymi słowy, kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha.

- Admirał twierdzi, że to już zostało postanowione. Shreed chce cię w ten sposób przeprosić. W tym tygodniu mamy współpracować ze wszystkimi, więc rob dobrą minę do złej gry, a będzie dobrze.

- Kiedy wyjazd?

- W piątek.

- O Jezu, Jack! Rose ma zadzwonić, jeśli zejdzie na ląd! Muszę opiekować się dzieckiem, poza tym spójrz na moje biurko...! Jesteśmy parę tygodni do tyłu z raportem specjalnym na temat Sudanu... Wyślij Wiseman. Ona nie ma dzieci.

- Nie ma mowy. Pojedziesz ty. Admirał cię wyznaczył. Jeśli pojedziesz, to będzie oznaczać, że przyjąłeś przeprosiny. Jeśli wyślemy kogoś innego, to będzie jak policzek wymierzony CIA.

- Czy admirał zaopiekuje się moim dzieckiem?
- Znajdziesz kogoś.
- Cholera jasna!

Jego wyjściowy mundur był w pralni; w sobotę miał przyjść człowiek, by obejrzeć fasadę domu przed malowaniem; trzeba by podłubać w samochodzie. Trzeba będzie oddać psa do schroniska. Kobieta, która do tej pory opiekowała się Michaeliem, przeprowadziła się. Alan nie wierzył, że Shreed i CIA naprawdę chcą przekazać mu jakiegokolwiek „ważne dane” w sprawie jego ojca; poza tym człowiek, który wiedział najwięcej, przebywał w Filadelfii i nazywał się nie Shreed, a Donnie Marengo.

- Życie jest ciężkie - powiedział O'Neill tego wieczoru przez telefon. Alan coś pichcił ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do ucha; pies, rozwalony na podłodze, obserwował go bacznie, a Michael śpiewał nad miską zupy.

- A może ty byś się nim zajął, arystokratyczny obiboku?
- Dzieci to nie moja działka.
- Masz szczęście.
- Nie chodzi o szczęście, chłopie. Jeśli nie wiesz jeszcze, skąd biorą się dzieci, chętnie ci to wyjaśnię.

- Och, odwal się.

Następnego dnia Alan spóźnił się do pracy, bo musiał zawieźć Michaela na szczepienie, a potem do żłobka. Na automatycznej sekretarce, oprócz wielu innych, nagrana była również wiadomość od Mike'a Dukasa. Alan zadzwonił do niego na samym końcu.

- Musimy porozmawiać - powiedział Dukas.
- Mike, mam urwanie głowy. Muszę wyjechać na kilka dni w jakiejś bzdurnej sprawie, więc staram się załatwić opiekę dla Michaela i psa. Powiedz przez telefon, o co chodzi.

- Widziałem się z tym Marengo.
- Aha.
- Cieszę się, że tryskasz entuzjazmem. Al, wreszcie coś drgnęło!
- Jasne, nastąpił przełom w śledztwie, mamy nazwisko szpiega, a przez najbliższe pięć lat będziemy gromadzili dowody. Mike, wiem, że ciężko pracujesz, ale ja ostatnio stałem się dość cyniczny.

- Rany, dzięki.
- Nie chodzi o ciebie. Czego dowiedziałeś się od tego chłopaka?
- Niczego. Ale właśnie to jest najważniejsze. Zachowywał się dokładnie tak, jak przewidywałem. Marengo naprawdę dostał w kość od żony - to naiwny dzieciak, który odkrył, że ożenił się z kobietą uosabiającą większość problemów współczesnej Ameryki. Jego życie stało się bagnem, a wtedy zjawiłem się ja i zacząłem go wypytywać o twojego ojca i „Roosevelta”. Al, zdaje się, że go nastraszyłem.

- Dopiero co mówiłeś, że nic ci nie powiedział.
- No tak, ale wyglądało na to, że milczał, bo się czegoś bał. Nie wydaje mi się, żeby jego żona wiedziała o czymkolwiek; ona chyba to po prostu wyczuła. A chłopak, trzeba mu przyznać, jest niezłym aktorem i budzi zaufanie. Ale... jeśli jest zamieszany w tę sprawę, a ja go nastraszyłem, to może zrobi fałszywy krok.
- Myślisz, że stanie się to przed moim powrotem? Wracam w przyszły wtorek.
- Skąd mam wiedzieć?
- Spytaj go. Tak właściwie to co on może teraz zrobić?
- Wpaść w panikę.
- Niby dlaczego?
- Pod koniec przesłuchania napomknąłem o wykrywaczu kłamstw.
- Jeśli chłopak jest dobry, to wykiwa maszynę.
- Cóż... zobaczymy. Wiesz co, powiedz, jak będę mógł się z tobą skontaktować przed wtorkiem.
- O cholera... - Alan przerzucił stos papierów w poszukiwaniu kartki z harmonogramem pobytu w Paryżu i nazwą ekskluzywnego hotelu, w którym CIA wielkodusznie wynajęła mu pokój. Kiedy wreszcie znalazł tę kartkę i powiedział, o jaki hotel chodzi, Mike gwizdnął przeciągle.
- No, no. Ale ci się trafiło.
- Tak, jasne. Tylko dlaczego nie poczekali pół roku, żebym mógł zabrać Rose ze sobą? Będę sam w Paryżu, a przecież zostało mi jeszcze tyle pracy - i to ma być przysługa?
- Hej, wyluzuj się. Może ten dzieciak spanikuje. Wtedy złapiemy i jego, i ojca na gorącym uczynku.
- Dzięki, Mike. Do zobaczenia we wtorek.

9 grudnia 1993, 18.30 czasu Greenwich, Filadelfia

Donnie Marengo wpadł w panikę.

Z jednym problemem dałby sobie radę - z szaleństwem żony, z rozpadem tej części jego życia - ale dwa naraz to za wiele. Był przekonany, że agent, który go przesłuchiwał, coś wie; ten człowiek przypominał mu typowego policjanta z seriali telewizyjnych, obłudnego, podstępного, niby przyjaznego. Facet na razie szukał po omacku, ale robił to, bo wiedział, że w końcu coś znajdzie. Gdy wspominał o wykrywaczu kłamstw, Donnie uznał, że najwyższy czas powiedzieć ojcu, iż sprawa zaczyna go przerastać.

Dlatego właśnie Donnie Marengo udał się do Czerwonego Krzyża i tam przekonał bardzo miłego, ale rozkojarzonego człowieka po pięćdziesiątce, by wysłał wiadomość do bosmana Sheldona Bonnera, przebywającego na pokładzie „Roosevelta”. Kopia telegramu spoczywała w kieszeni płaszcza Donniego: **DZIADEK CIĘŻKO CHORY. LEKARZE DAJĄ KILKA DNI. PROSZĘ O RADĘ.** Jedynie

słowo „dziadek” cokolwiek znaczyło - był to umówiony sygnał, że dzieje się coś niedobrego. „Dziadek w pierwszym zdaniu oznacza kłopoty powiedział Donniemu ojciec. -Na przykład kiedy powiesz przez telefon, że wczoraj piłeś z dziadkiem. Albo napiszesz w liście: »Dziadek kazał Cię pozdrowić«. Albo powitam cię słowami: »Co u dziadka?«” Donnie faktycznie miał dziadka, ale tylko ze strony matki. Sheldon Bonner nie był z nim w żadnym stopniu spokrewniony. Mimo to Donnie był przekonany - miał nadzieję - że takie tępaki jak facet z Czerwonego Krzyża i dowódca nie zwrócą uwagi na drobiazgi.

- Marengo, sir. - Jego dowódcą był błydy podporucznik, który wyglądał, jakby ulepiono go z ciasta. Skończył podchorążówkę, innymi słowy był studentem w niebieskim mundurze. Naiwniakiem.

- Tak, Marengo. Co słychać? - Podporucznik Dinkman uważał, że może traktować swoich ludzi jak kolegów. Uśmiechnął się szeroko do Donniego. - O co chodzi?

- Ja... tego, mam kłopoty rodzinne. Myślałem, że mógłby pan udzielić mi rady.

Wypowiedział magiczne słowo. Podporucznik Dinkman nade wszystko uwielbiał udzielać innym dobrych rad. Donnie Marengo w trzy minuty doprowadził do tego, że Dinkman zaproponował mu dwutygodniowy urlop, w czasie którego mógłby zająć się swoimi problemami.

Donnie nie pokazał mu nawet telegramu wysłanego za pośrednictwem Czerwonego Krzyża; zrobiliby to, gdyby musiał, ale lepiej, że do tego nie doszło - im mniej szczegółów wyjawি, tym lepiej. Tak czy inaczej, zasygnalizował ojcu, że robi się gorąco i najzupelniej legalnie załatwił sobie dwutygodniowy urlop (powtarzał sobie, że w końcu naprawdę ma problemy rodzinne), dzięki czemu, przynajmniej na razie, był czysty.

Była taka chwila, że chciał powiedzieć całą prawdę temu facetowi z NCIS, Dukasowi. Pomyślał jednak o swoim ojcu i przypomniał sobie, co ten Dukas mówił o „Roosevelcie” i ojcu jakiegoś chłopaka, zabitym przez... kogo, sabotażystę? Jak on to powiedział... irańskiego szpiega, na Boga? Zabawa w kotka i myszkę. Donnie nie mógł zostawić ojca samego, musiał uratować i jego. Przecież on nie szpiegował dla Irańczyków, tylko dla Izraela. Poza tym to właściwie nie było szpiegostwo. A może...?

Dlatego wysłał ojcu ostrzeżenie, a teraz będzie musiał go przekonać, że najkorzystniej będzie zgłosić się do władz i powiedzieć całą prawdę. Przynajmniej byliby wtedy czysti.

Tak. Donnie chciał być czysty. Marzył o tym, by zmyć z siebie cały ten brud - kłótnie z żoną, przesłuchania, wszystko.

9 grudnia 1993, 19.00 czasu Greenwich, Norfolk

Alan zwolnił się wcześniej z pracy i pojechał na północ, omijając Waszyngton i Baltimore, przeklinając korki na 695 i kierując się na Pensylwanię. Michael, w foteliku dziecięcym, popłakał się, a w końcu zwymiotował.

Rodzice Rose czekali na postojach dla ciężarówek. Umówili się z Alanem, że zjedzą razem kolację, co okazało się dużym błędem. On był zły z powodu straconego czasu; matka Rose była zła, że musiała przejechać taki szmat drogi. Oczywiście, bardzo kochała swojego wnuczka, ale ledwie wysiadła z samochodu, zaczęła głądzić o korkach i niebezpieczeństwie jazdy w takim tłoku. Wyjazd z Utica wiązał się dla niej z ogromnym ryzykiem.

Usiedli w budce pośród dekoracji świątecznych. Na kolację zamówili coś smażonego; w czasie jedzenia Bobby i Alan rozmawiali o baseballu i łowieniu ryb. Tematy jednak wkrótce się wyczerpały i cała trójka w milczeniu czekała na kawę.

- Myślę, że dowództwo marynarki jest bardzo niesprawiedliwe - powiedziała nagle matka Rose zdecydowanym głosem kogoś, kto czekał cały dzień na wygłoszenie swojej opinii.

- Mary... - zaczęła jej mąż.

Zacisnęła usta. Była wściekła, co wydawało się niezwykle u kobiety przywykłej do uległości.

- Powiedziałam, że dowództwo marynarki jest niesprawiedliwe.

- Ja też czasem tak myślę - powiedział Alan. - To część...

- Jakim prawem odbierają dziecku matkę? Powiedz mi. Nie, nie każ mi się zamknąć, zadałam ważne pytanie! To jest to, o czym mówią - ingerencja rządu w prywatne sprawy obywateli! Jak w komunizmie.

- Ty niczego nie rozumiesz - powiedział jej mąż.

- Rozumiem, na czym polegają obowiązki matki wobec dziecka! Jak mogli wysłać jądło Zatoki Perskiej? Gdzie to w ogóle jest? Może mi ktoś powiedzieć? Kogo obchodzi, co się tam dzieje? Co znaczy dla Ameryki matka, która zostawia swoje dziecko i leci gdzieś nad Zatokę Perską? - Kierowała te pytania pod adresem Alana. Mówiła na tyle ostrym tonem, że było jasne, iż nie oczekuje na nie odpowiedzi. - A ty jej na to pozwoliłeś? Pewnie tego cię nauczyli na Harvardzie. Feministki.

- Zamknij się, Mary - powiedział Bobby.

- Ona chciała to zrobić - stwierdził Alan.

- Ona sama nie wie, czego chce! Lata, nosi mundury, pęta się nie wiadomo gdzie... to wszystko dziecinne zabawy! Przecież jest już dorosła, powinna być mądrzejsza! Kobieta powinna siedzieć w domu i opiekować się dzieckiem, nie obarczać tym kogoś innego!

- Nie zapominaj, że ten „ktoś inny” - powiedział Bobby, patrząc na Alana - jest ojcem Michaela, Mary! Może wreszcie się zamkniesz?

- Myślę, że to okropne. To obrzydliwe! Nie, to za mało. Wiecie, co myślę? - Popatrzyła na obydwa mężczyzn. - Myślę, że to niemoralne!

- Mary, proszę, zamknij się. - Powiedział to tak cicho, że Alan ledwo go usłyszał, ale tym razem nie tyle słowa, co intonacja, z jaką zostały wypowiedziane, odniosły pożądany skutek. Matka Rose zamilkła. W jej oczach błysnęły łzy.

- Przykro mi - zaczął niepewnie Alan. - Staramy się, jak możemy. - Czy aby naprawdę? - pomyślał. - To potrwa tylko parę dni.

Michael wybuchnął płaczem.

10 grudnia 1993, 4.30 czasu Greenwich, Norfolk

O jedenastej trzydzięci w piątkową noc Mike Dukas uznał, że na dzisiaj starczy i skierował kroki do domu. Postanowił po powrocie wypić jednego jacka danielsa z wodą. Przez cały wieczór wlał w siebie raptem trzy piwa, krążąc po barach dla samotnych ludzi w poszukiwaniu panienci do rżnięcia; myślał o tym w ten sposób, nie owijając w bawełnę, jako że cała ta sytuacja - biorąca się z niezdolności do poskromienia własnych żądz - napełniała go głębokim obrzydzeniem. Ale wyprawa zakończyła się fiaskiem i teraz mógł spokojnie, z czystym sumieniem wrócić do domu. Inna sprawa, że wieczór wcale nie musiał się tak skończyć; Dukas celowo nie skorzystał z dwóch doskonałych okazji - poznał dwie napalane kobiety równie samotne jak on, marzące o tym, by spędzić choć jedną noc w tych objęciach. I splewił je.

- Pieprzyć to - powiedział na głos.

Na automatycznej sekretarce migotało światełko. Dukas włączył taśmę i nalał sobie whisky. Oparł się o framugę kuchennych drzwi, wsłuchując się w grzechot kostek lodu w szklance i telefoniczną reklamę kredytów na samochody. Zaczął sączyć whisky i nagle zastygł w bezruchu. Z sekretarki popłynął głos żony Donniego Marengo.

- Gdzie jesteś? - Mówiła nosowym, jęklwym głosem; była pijana, naćpana albo jedno i drugie. - Co jest grane? Halo? Gdzie jesteś? Pieprzony urzędas. Muszę z tobą porozmawiać.

Przesłuchał taśmę do końca. W pewnym momencie nastąpiła długa chwila ciszy, po czym rozległo się ciężkie westchnienie i trzask odkładanej słuchawki - to pewnie też żona Marengo, pomyślał Mike. Wykręcił jej numer - nic. Zadzwoił do swojego biura i obudził oficera dyżurnego. Też nic. Dzwoniła dwa razy na jego numer w pracy, ale tam również nie zostawiła żadnej wiadomości. Połączył się z FBI i poprosił, żeby sprawdzili, czy nie kontaktowała się z nimi, choć był pewien, że raczej wolałaby trzymać się od nich z daleka; chciała zniszczyć Donniego Marengo, a już dawno podjęła decyzję, że najlepiej zrobić to za pośrednictwem marynarki.

Dlatego Dukasowi nie pozostało nic innego, jak siedzieć i czekać. Zmusił się, by nie pić za dużo whisky. Jeden drink na godzinę wystarczy, pomyślał. Co kwadrans wykręcał numer żony Marengo a potem kontaktował się ze swoim biurem.

Zadzwoiła dwadzieścia po drugiej.

- Gdzie byłeś, do diabła? - wrzasnęła. Dukas odniósł wrażenie, że nieco wytrzeźwiała.

- Tutaj, czekałem na ciebie. Co mogę zrobić?

- Co możesz zrobić? Co możesz zrobić? - Wybuchnęła śmiechem. A jednak się mylił; był to typowo pijacki rechot. Usłyszał jej przytłumiony głos, jakby mówiła do człowieka, który stał przy niej. Czy ten człowiek dawał jej instrukcje? O co chodzi? - Słuchaj no, ty rządowy dupku - powiedziała.

- Jestem tutaj.

- Och, Jestem tutaj". Cmoknij mnie. „Jestem tutaj". Wkurwiasz mnie, wiesz?
Dukas oparł się pokusie, by odłożyć słuchawkę. Pomyślał o Donniem Marengo i przypomniał sobie, jak mówił Alanowi, że chłopak może wpaść w panikę.

- No dobrze - powiedział - nie mówmy już o mnie. Co u ciebie?
- Och, przecież wiesz. Wiesz. U mnie wszystko w porządku. Czemu pytasz?
- Byłem ciekaw.

- Gówno prawda. Ja cię ni cholery nie obchodzę. Nie kituj. Uważasz mnie za szmatę. Myślisz, że nie wiem? - Rozpląkała się. Dukas westchnął i powiedział jej, że nie, wcale nie uważa jej za szmatę, tylko za nieszczęśliwą kobietę, która ma bardzo ciężkie życie. I tak w kółko. Aż wreszcie przeszła do rzeczy.

- Ten gnojek - powiedziała. - Wiesz, co zrobił?
- Nie. Powiedz mi.
- Dał dyla. Uciekł. Rozumiesz?
- Skąd wiesz?

Bo zostawił moje dziecko u jakichś pieprzonych obcych ludzi! Odszedł - po prostu zniknął, na dobre! Mój adwokat dobierze mu się do dupy i odzyska moje dziecko. Dlatego do ciebie dzwonię. Próbowałam skontaktować się z jego dowódcą, ale nikt się nie zgłasza. Myślisz, że tych z telekomunikacji obchodzi, co ja czuję? Że dali mi numer domowy tego dupka? Dlatego zadzwoniłam do ciebie. „Donald Marengo, żołnierz sił morskich Stanów Zjednoczonych, dał dyla." Zdezerterował. Weźcie się za niego.

Przez następne dziesięć minut Dukas próbował wyciągnąć z niej więcej szczegółów. Chłopak zostawił dziecko u pewnych ludzi i zapłacił im za opiekę - „sprzedał moją córeczkę", jak stwierdziła pani Marengo - a ona przypadkowo dowiedziała się o tym od pewnej znajomej. Okazało się zresztą, że tymi „obcymi" byli kolega Donniego z marynarki i jego żona, którzy mieli już dwójkę własnych dzieci. Pani Marengo krzyczała do słuchawki, że się nie nadają, że znęcają się nad dziećmi, że... Mike uznał, że usłyszał już dość i odłożył słuchawkę.

Następnie zadzwonił do ludzi, u których Marengo zostawił swoje dziecko. Odebrał mężczyzna. Na początku zachowywał się dość agresywnie, po czym złagodniał, gdy dowiedział się, że Dukas jest z NCIS. W każdym razie nie miał pojęcia, dokąd pojechał Donnie Marengo.

- Kłopoty rodzinne. Powtarzał, że ma kłopoty rodzinne. Dostał urlop. Dwa tygodnie. Całkowicie legalnie.

- Skąd pan to wie?
- Donnie pokazał Claire papiery. Na jej żądanie. Bała się, że on, wie pan, chce uciec. Miał dużo kłopotów z żoną...
- Wiem. Czyli nie zdezerterował?
- Nie, sir. Wszystkie dokumenty były w porządku. Może pan spytać o to jego oficera administracyjnego.
- Ale nie powiedział, dokąd się wybiera.
- Nie, sir.

- Kiedy wraca?
- Nie wiem, sir.
- Czy mówił coś o ojcu?
- Nie, sir.
- Czy ma paszport?
- Nie wiem. Pewnie tak. Parę lat temu służył na morzu.

Dukas odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Trzecia piętnaście. W Paryżu dziewiąta piętnaście. Zadzwoił do luksusowego hotelu Alana, cierpliwie wysłuchał jakiegoś upierdliwego Francuzika, by dowiedzieć się, że *monsieur Cm-iik* wyszedł. Dukas zostawił wiadomość: „Zadzwoń do Mike'a D.”

Następnie wykonał kilka telefonów. Przerzucił się z whisky na kawę. O szóstej wiedział już, że następnym portem, w którym zamuje „Roosevelt”, jest Neapol. Okręt miał tam dotrzeć w niedzielę po południu. Wiedział też, że poprzedniego wieczoru niejaki Marengo, D. poleciał przez Rzym do Neapolu.

10 grudnia 1993, 11.05 czasu Greenwich, Paryż

Międzynarodowe Centrum Analizy Informacji zajmowało kilka biur w budynku wzniesionym za prezydentury Pompidou, błyszczącym i agresywnie francuskim gmaszysku, którego nie powstydzilby się Napoleon, gdyby był cesarzem w dzisiejszych czasach. W Centrum mieściła się biblioteka, nowoczesna sala komputerowa oraz luksusowy „pokój rekreacyjny”. Finansowane przez CIA Centrum istniało jak dotąd tylko po to, by przekazywać dokumenty ze Związku Radzieckiego - ukradzione, pożyczone, podarowane - do Waszyngtonu.

Alan był pod wrażeniem. Niechętnie bo niechętnie, ale musiał przyznać, że ta wycieczka okazała się całkiem przyjemna: odprężył się już w czasie lotu, a kiedy położył się w wielkiej hotelowej wannie, spowiło go prawdziwie rozkoszne ciepło. Wczorajsza kolacja byłaby pamiętnym wydarzeniem, nawet gdyby przez ostatnie siedem tygodni nie jadł podgrzewanego w mikrofalówce nietoperzego guano. Dowództwo wysła człowieka w najbardziej romantyczne miejsce na ziemi - samego.

- A to nasza rosyjska współpracowniczka, o której ci mówiłam, Daria Uspienkaja z SWR.

Na widok Darii od razu przypomniało mu się wszystko, co słyszał o „starszych kobietach” - jakiś subtelny sygnał (sugestia?), typ kobiecości raczej już niespotykany w Stanach, trudna do opisanego, nieco komiczna kombinacja makijażu, zapachu, dekoltu, przywodząca na myśl stare francuskie filmy. Mimo to z miejsca polubił tę kobietę. Przez pewien czas gawędzili o Paryżu, którym Uspienkaja była wyraźnie oczarowana; rzuciła parę niestosownych uwag o Moskwie i SWR, a on zrewanżował się żartami o CIA; Rosjanka wybuchnęła śmiechem, pogroziła mu palcem, powiedziała, że słyszała, iż Alan jest „trudny” i urządził panu Shreedowi słynną scenę.

- Słyszeliście o tym w Moskwie? - spytał ze śmiechem.

- Słowo daję! - Nachyliła się ku niemu, podsuwając mu pod oczy dekolt; w nozdrza uderzył go silny zapach jej perfum. - „Godne pogardy!” - Zachichotała.

Alan był oburzony, ale uśmiechał się dalej. Sally Baranowski spojrzała na niego porozumiewawczo; domyślił się, że to ona powiedziała o wszystkim Uspienskiej, by „przełamać lody”. Czyli Rosjanka lubiła plotkować. Ale z pewnością nie oznaczało to, że jest głupia czy naiwna, nie zajmowałaby bowiem tak ekspozowanego stanowiska. Nie ulegało wątpliwości, że CIA ją podkupiła, ale równie oczywiste było to, że nie udało im się w pełni zdobyć jej lojalności. W taki sposób zdobywało się agenta, krok po kroku.

Usiedli na ustawionych blisko siebie fotelach i sofach. Wniesiono kawę i ciasteczka. Uspienskaja skrzywiła się i powiedziała, że ostatnio strasznie przytyła. Dwie kobiety zaczęły snuć plany na wieczór - może pójdą do Comédie? Alan cierpliwie wysłuchał sugestii, co powinien zobaczyć w mieście.

I wtedy Uspienskaja wyciągnęła dokumenty.

Sally wygłosiła krótką mowę o Jefremowie. Opowiedziała, jak wyjechał z Moskwy, gdzie przyczynił się do śmierci trzydziestu ludzi, następnie zabił swoich agentów w Brukseli i Amsterdamie, by wreszcie trafić do Neapolu. Po uzyskaniu zgody Darii, spece od komputerów z Agencji wyciągnęli z pamięci komputera Jefremowa wszystko, co się dało - między innymi znalazł się tam zestaw pomieszanych, w większości nieczytelnych plików, które ich zdaniem były planami komunikacji.

- Jestem pewien, że wiesz, czym jest plan komunikacji, Alan. - Uśmiechnęła się do Uspienskiej. - Alan pracuje w innej dziedzinie, Daria, ale jest zainteresowany tą sprawą z powodu...

- Ojca! Och, słyszałam. To takie smutne. - Uspienskaja dotknęła rękawą jego koszuli. - Smutek spowodowany utratą bliskiej osoby to uczucie uniwersalne, nie znające granic czy narodowości. Prawda?

Tak naprawdę Sally powiedziała mu już poprzedniego wieczoru, czym są plany komunikacji; miał udawać, że słyszy ten termin po raz pierwszy w życiu, by poigrać trochę z Uspienską. Doskonale wiedział, że chodzi o zestaw złożonych procedur komunikowania się agenta z prowadzącym go oficerem, zawierający wykaz alternatywnych sposobów nawiązania kontaktu, dróg ucieczki oraz umówionych sygnałów.

Alan odkasznął.

- Czyli mieliście coś, co wyglądało na instrukcje Jefremowa dotyczące... hmmm... sposobów kontaktowania się z jego agentami. Tak?

- Mieliliśmy fragmenty. Wiesz, co się dzieje, kiedy komputer zaczyna szaleć? Ekran wypełniają najprzeróżniejsze znaczki. Mniej więcej tak właśnie wyglądało to, co udało nam się odnaleźć w komputerze Jefremowa. Wtedy Daria uratowała nam życie.

- Cóż... -Uspienskajauśmiechnęła się. Prowadzajemnągrę, pomyślał Alan. Zupełnie jakby wygłaszały uprzednio przygotowane kwestie. Chciało mu się śmiać. No cóż, kawa była dobra, widok wspaniały, a on sam czuł się doskonale.

- Nie uratowałam nikomu życia - mówiła Uspienskaja - przynajmniej jeszcze nie, ale przypomniałam sobie o... - owinęła kosmyk włosów wokół polakierowanego paznokcia -... pewnym człowieku, emerytowanym oficerze, który pracował w wydziale operacyjnym i bezpośrednio podlegał Jefremowowi. To już staruszek, ale wciąż pełen życia, jeden z tych strasznych rosyjskich dziadków o pomarszczonych twarzach i hardych spojrzeniach. Wiecie, o czym mówię. Złożyliśmy mu wizytę w jego domku, daleko od Moskwy, i przedstawili bardzo korzystną ofertę, zważywszy na wysokość emerytur w Rosji, moi drodzy... och! - Zachichotała. - On przezwyciężył swoje skrupuły... i bardzo długo pracował nad tym, co Sally nazwała „fragmentami”. - Położyła dłoń na stosie cienkich teczek w czerwonych okładkach. - To efekty tej pracy.

- Fascynujące - szepnęła Sally. Spojrzała na Alana, który uśmiechnął się, świadom, że cała ta szopka odgrywana jest głównie z myślą o nim. Kiwnął głową na znak, że on też jest podekscytowany; zresztą krew naprawdę zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Wreszcie, po wielu miesiącach, mógł odzyskać nadzieję.

Daria wręczyła im kopie dokumentów. Wyglądało na to, że w Moskwie nie żałuje się pieniędzy na druk i oprawę. Na pierwszej stronie znalazł się wstęp, po którym następowało niemal trzydzieści stron zapelnionych czymś, co wyglądało na spisy, uzupełnione długimi akapitami zawierającymi dokładne wyjaśnienia. Spora część materiału umieszczona była w nawiasach - co oznaczało, że źródłem tych informacji jest pamięć emerytowanego oficera operacyjnego.

- Macie przed sobą fragmenty instrukcji dla czterech osób - powiedziała Daria, dokładnie wymawiając każde słowo, co sugerowało fałszywą skromność. - Uważamy, że są to czterej agenci, których Jefremow oddzielił od... hmm... to znaczy... rozumiecie. - Uśmiechnęła się. Pewnych rzeczy nie wolno jej było wyjawiać. Odwzajemnili uśmiech. - Pliki komputerowe były... można powiedzieć „wybrakowane”?... ale intrygujące. Znalazły się w nich na przykład dwa kryptogramy, co bardzo pomogło emerytowanemu oficerowi. Okazało się, że miał osobiście do czynienia z jednym z tych ludzi - tym, który... hmm... poniósł śmierć w Brukseli. Natomiast czwarty... - Uśmiechnęła się do Alana. - To cię powinno zainteresować. Czwarty z nich był Amerykaninem. Co do tego nasz ekspert nie miał wątpliwości.

- Znał go osobiście? - spytała cicho Sally.

- Nie. Jak stwierdził, człowiek ten był „osobistą własnością” Jefremowa. Oficer, z którym rozmawialiśmy, wiedział jednak, że na pewno był to Amerykanin. Jak więc widzicie, moi drodzy, udało nam się dodać dwa do dwóch i otrzymać pięć, jeśli nie sześć. Mam nadzieję, że wyniki naszej pracy na coś się przydadzą. - Uśmiechnęła się do Sally i Alana, po czym znów dotknęła jego ręki. - Możecie wziąć się do czytania! - Roześmiała się.

Alan nie miał zbyt wielkich oczekiwań, dlatego nie przeżył rozczarowania. Ze zdumieniem przerzucał strony wypełnione chaotyczną mieszaniną jasnych, zrozumiałych zdań i bezsensownego wydawało się bełkotu. Na przykład po tekście: „Przy trzecim skrzyżowaniu na wschód od rue des Morts Sans Tetes Nues

znajduje się klasztor Sióstr Miłosierdzia, duży budynek z szarego kamienia; tam skręcić w prawo i..." mógł nastąpić fragment „A FG * SSSS3 (drugi?) korytarz przy (grób?) FTZ #####". I tak na okrągło.

Trzeba było jednak przyznać, że emerytowany oficer radzieckiego wywiadu mógł poszczycić się doskonałą pamięcią. Jego komentarze, umieszczone w nawiasach, choć nie zastępowały w pełni utraconych danych, to przynajmniej tworzyły dla nich kontekst: „[Tu pada nazwa miejsca, gdzie należało zostawić znak - na razie nie wiadomo, jaki. Przy stosowaniu tej techniki znak najczęściej rysowany był kredą.]” Oczywiście najwięcej informacji dostarczył na temat agenta z Brukseli, ponieważ z nim miał do czynienia osobiście; dzięki temu dane na jego temat były praktycznie kompletne. Może dlatego, że gość już nie żyje i nie zachodzi niebezpieczeństwo ujawnienia naprawdę ważnych tajemnic? - pomyślał Alan.

Podniósł głowę i spojrzał na Sally. Czytała powoli, od czasu do czasu pomrukując cicho. Czyżby i teraz się zgrywała?

Przewrócił następną stronę. W tym miejscu najprawdopodobniej zaczynał się plan dla kolejnego agenta; nazwy ulic i wiosek były angielskie. Jednak na jego temat informacje były mocno zdekompletowane. Może dlatego, że ten facet nadal prowadzi swoją działalność, a Rosjanie próbują go wytropić?

Daria przeprosiła i dostojnym krokiem wyszła z pokoju. Alan podniósł głowę i napotkał spojrzenie Sally.

- Czy to się nam przyda do czegokolwiek? - spytał.
- Owszem. Myślę, że jest tu sporo interesujących informacji.
- A co z tym angielskim agentem? Chcą go przed nami ukryć, czy jak?
- Oczywiście! Chyba nie sądzisz, że oddaliby go w nasze ręce? Jestem pewna, że gdy tylko poznali plan komunikacji, natychmiast podjęli próbę nawiązania z nim kontaktu.

Alan przemyślał to: znając plan komunikacji danego agenta, można zasygnalizować mu chęć spotkania; gdyby stawił się na to spotkanie, można z nim zrobić wszystko - obserwować, zabić, zwerbować. Jeśli dane dotyczące Amerykanina okażą się wystarczająco szczegółowe, Dukas będzie mógł go zwabić w pułapkę - wystarczy zostawić określony znak w określonym miejscu. Serce Alana zaczęło bić mocniej. Zaczął przeglądać kolejny plan - pojawiały się w nim nazwy holenderskie, niemieckie i kilka angielskich. Ten również był mniej więcej kompletny; stąd wniosek, że agent, który z niego korzystał, został już zlikwidowany.

Na następny plan składał się głównie dobrze znany bełkot.

Ale na czwartej stronie Alanowi w oczy rzuciła się nazwa „Chiaia”. Zesztywniał. Neapol. Via Chiaia. Słowo to otoczone było przez masę nie powiązanych ze sobą znaków, ale dalej następował dokładnie rozszyfrowany akapit: „Znak pozostawiony w tym miejscu, telefon w kolejności kalendarzowej według oddzielnej książki („cholera jasna! jakiej oddzielnej książki?”), potem idź tą ulicą w kierunku wschodnim do Gallerii, nakrytej szklanym dachem i balkonami ciągnącymi się ku górze. Siedź w środku przez co najmniej dwadzieścia [minut czytając angiel-

ską gazetę]. O wyznaczonej porze wyjdź z Gallerii w kierunku południowym, przejdź na drugą stronę ulicy i znajdź automat [tam ktoś do ciebie zadzwoni i dostaniesz instrukcje]."

Alan przypomniał sobie dzień, kiedy „Roosevelt” zawiązał do Neapolu. On poszedł do łóżka z Kim. Jakiś Amerykanin z „Roosevelta” w tym czasie poszedł do Gallerii, odczekał dwadzieścia minut, wyszedł południowym wyjściem, ktoś do niego zadzwonił...

- Dobrze się czujesz? - spytała Sally. W odpowiedzi tylko spojrzał na nią.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Nie odrywał od niej oczu. „Potem ten człowiek gdzieś poszedł, spotkał się z Jefremowem i razem zaplanowali zabójstwo mojego ojca.” Wiedział, że tak właśnie to się odbyło. Zakreśliło mu się w głowie, musiał zaczerpnąć powietrza. Znowu spojrzał na Sally.

- Czy to wszystko nadal pozostaje aktualne? - wyszeptał.

Sally potrząsnęła głową.

- Nie wiadomo. Minęło ładnych parę lat.

Oczy Alana wędrowały po ścianach.

- Jeśli nadal korzystają z tego planu...

- Jefremow pewnie wszystko zmienił. Ma nowych pomocników.

- Ale sama mówiłaś, że ludzie Darii korzystając z tego planu próbowali nawiązać kontakt z angielskim agentem.

- Jasne, próbowali... nadzieja matką głupich. - Uśmiechnęła się smutno.

- Czyli z Amerykaninem też próbowali. - Jego serce wezbrało gorcząca porażką.

- Niekoniecznie. Być może zrozumieli, jakie to dla nas ważne.

Alan popatrzył na nią, na tę ładną, inteligentną kobietę i uzmysłowił sobie, co ona dla niego zrobiła. Wiedział już, dlaczego Daria dowiedziała się o tym, jak obszedł się ze Shreedem, dlaczego okazała tak głębokie współczucie z powodu śmierci jego ojca. Sally ustaliła cenę za jej dalsze uczestnictwo w pracach paryskiego centrum - „daj Alanowi plan komunikacji amerykańskiego agenta, albo”...

- Czy Shreed wie o tym? - spytał.

Potrząsnęła głową. Jej twarz wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Jesteś cudowna - powiedział.

Do pokoju wpadła Daria w towarzystwie kelnera niosącego kawę i jedzenie. Atmosfera zmieniła się natychmiast, jakby rozpoczęła się kolejna scena w spektaklu. Alan wstał, udając, że się przeciąga, w jego głowie jednak kotłowały się myśli. Neapol. Człowiek o nazwisku Bonner. Donnie Marengo. Telefon od Mike'a Dukasa: „Może ten dzieciak spanikuje.” Alan przeszedł w drugi koniec pokoju, gdzie stał telefon, i zadzwonił do swojego hotelu.

- Jest jedna wiadomość, *monsieur Cra-iik*. Brzmi ona: „Zadzwoń do Mike'a D”. Mam nadzieję, że została dobrze zapisana. „Zadzwoń do Mike'a D.”. - Kobieta mówiła przeproszającym tonem.

Udało mu się złapać Mike'a w domu. Alan patrzył na zegarek i obliczał, która godzina jest w Waszyngtonie, gdy usłyszał zaspany głos Dukasa. Obydwaj zaczęli mówić równocześnie, po czym razem umilkli i spytali zdumieni:

- Że co?

- Powiedziałem, że chłopak dał dyla - zaczął Mike Dukas. - Przestraszył się. A co ty mówiłeś?

Alan nie mógł opanować drżenia kolan.

- Mówiłem, że mam plan komunikacyjny naszego znajomego.

- Co? - Dukas zaczął wyrzucać z siebie kolejne pytania. Miał chrapliwy głos, co chwila pokasywał. Jeszcze się w pełni nie ocknął.

Alan przerwał mu w pół zdania.

- Dokąd ten chłopak się wybiera?

- Do Neapolu. Jadę za nim. Spałem dwie godziny i za czterdzieści pięć minut jadę na lotnisko Dullesa.

Alan uśmiechnął się szeroko.

- Neapol! No, no... - Powstrzymał wesołość. - A gdzie Bonner?

- Na „Roosevelcie”, zmierzającym do Neapolu. Zawiną tam pojutrze.

Uśmiech znów wykwitł na twarzy Alana.

- No, no, no! Zanosi się na niezłe polowanie!

- Na nic się nie zanosi! Nic nie mamy... nawet dzieciak jest czysty, dostał urlop! Nie mamy dowodów, nie możemy obserwować podejrzanych, nie...

- Powiedz chłopakom ze służb śledczych w Neapolu, co jest grane.

- Już to zrobiłem.

- Powiedz tym z „Roosevelta”, żeby mieli oko na Bonnera.

- To też zrobiłem. Za kogo ty mnie masz, za jakiegoś amatora? - Alan usłyszał w głosie Dukasa wesołość. - Skąd do diabła masz jego plan komunikacyjny?

Alan spojrzął na Uspienską, która właśnie patrzyła na niego. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Prezent od przyjaciół z Moskwy. Powiem ci, kiedy się spotkamy. Gdzie jest reszta grupy „Nocna Wacht”?

- Analitycy są tutaj. Dwaj agenci, którymi dysponuję, właśnie prowadzą przesłuchania w innej sprawie. Próbuję ich wychować. Czekać no, gdzie właściwie się spotkamy?

- W Neapolu. Powiedz swoim ludziom, żeby obstawili Gallerię. Tam chłopak nawiąże kontakt. Najpierw zobaczy umówiony znak, ale jak on ma wyglądać i gdzie się pojawi - tego nie wiem. W każdym razie Marengo pójdzie Via Santa Croce, zboczy do Gallerii i tam będzie czekał. Potem przez telefon otrzyma dokładne instrukcje dotyczące spotkania, dlatego twoi ludzie muszą być gotowi, żeby za nim pojechać. I niech „Nocna Wacht” dyżuruje przez dwadzieścia cztery godziny, żeby można im było przesyłać aktualne dane. Mam już jeden faks do wysłania... z informacjami na temat podróży naszego przyjaciela. W porządku?

Dukas jęknął, ale był to jęk człowieka, który kocha swoją pracę.

- Mike, pojedę do Neapolu tak szybko, jak to możliwe, może dotrę tam nawet przed tobą. Będę w hotelu o nazwie „Rienzi”, spytasz taksówkarza, na pewno będzie wiedział. Wynajmę dla ciebie pokój. Zaczekaj tam na mnie. Rozumiesz?

- Jak to się stało, że nagle ty zacząłeś wydawać rozkazy?

Alan zamyślił się na chwilę, po czym znów uśmiechnął się szeroko.

- Teraz moja kolej. - Przycisnął czerwoną teczkę do piersi. -Mike... to jest to. Nasza ostatnia szansa.

- Ale nie mamy... -Dukas jęknął. - Tak, może masz rację. Ale... nie obiecuj sobie za wiele, chłopcze.

- Do zobaczenia w Neapolu - odparł Alan i odłożył słuchawkę.

Odwrócił się. Wydawało mu się, że od Darii i Sally dzieli go wiele kilometrów. Obydwie siedziały sztywno wyprostowane, jakby czekały, co on powie. Wyglądało na to, że Sally domyśliła się wszystkiego. Daria być może nie miała całkowitej pewności, ale z drugiej strony... ktoś to wie.

- Drogie panie - powiedział. - Obawiam się, że muszę was opuścić.

25

11 grudnia 1993, 10.15 czasu Greenwich, Morze Śródziemne

W ciasnej klitce przydzielonej dwóm agentom NCIS na „Roosevelcie” niski mężczyzna nazwiskiem Alfreds palił papierosa i czytał, mrugając zmęczonymi oczami i od czasu do czasu rozpedzając dym. Przeglądał nadesłane wiadomości, a każdy papierek odkładał na jeden z kilku stosów. Czynność ta miała sens dla niego i tylko dla niego. Kiedy do kajuty wszedł jego partner, Alfreds nawet nie podniósł głowy.

- Co za bajzel - mruknął nowo przybyły i rzucił notatnik na biurko.

Alfreds burknął coś pod nosem.

- Nic. Ni cholery.

Alfreds znów coś burknął. Trzymał papierosa w ustach; teraz, kiedy próbował go wyjąć, okazało się, że jest przyklejony się do dolnej wargi, musiał go więc oderwać siłą.

- To co mam zrobić?

Alfreds skrzywił się.

- O czym ty właściwie mówisz?

- O tym Ruizie. PFL 719. Napad?

- Przesłuchaj go jeszcze raz.

Partner Alfredsa jęknął i nalał sobie kawy. Alfreds podał mu kartkę papieru.

- Co to?

- Wiadomość z Waszyngtonu.

- Co, zaginął pies admirała?
 - Chodzi o jakiegoś faceta. „Obserwować, ale nie niepokoić. Sprawa ma znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego”. Bonner, członek załogi, czysty, to rutynowa sprawa. Przydzieliłem jej numer. - Machnął ręką w stronę wyłączzonego monitora.
 - Bezpieczeństwo narodowe? Świetnie. Co, następny terrorysta?
 - Pewnie chodzi o naruszenie zasad bezpieczeństwa. Facet zostawił tajne materiały w szafce czy coś. W każdym razie sprawdź go, zapisz, gdzie będzie o jakiej porze, kiedy ma wachnąć... to co zwykle. Kazali nam tylko mieć go na oku, żebyśmy mogli w razie potrzeby się z nim skontaktować. Jeśli zejdzie na ląd, przejmie go Neapol.
 - Jezu Chryste! Mam już na głowie Ruiza, ktoś sra do napędu, dziewięciu skinów prawdopodobnie coś szykuje, a ledwo dopłynęliśmy do Morza Śródziemnego! Nie za dużo tego wszystkiego?
- Alfreds wyjął z paczki następnego papierosa.
- I tak ci pomogłem. Zająłem się tym nawiedzonym, który twierdzi, że słyży, jak elf rozdaje prezenty w kabinie piechoty morskiej. - Zapalił papierosa. - Wyobrażasz sobie, co to będzie, jak dopuszczą kobiety do służby w marynarce?

11 grudnia 1993, Neapol

Hotel „Rienzi”, choć nadszarpnięty zębem czasu, wciąż miał w sobie pewną dość specyficzną elegancję. Alan trafił tu po raz pierwszy w dzieciństwie. Wtedy był to hotel angielski, preferowany przez brytyjskich turystów, którzy z definicji nienawidzili Neapolu i tu znajdowali azyl - przy południowej herbacie, pośród perkalu i egzemplarzy pisma „Queen”. To wszystko fascynowało także matkę Alana - zabrała go tu na kilka dni, gdy zostawiła ojca; wtedy jeszcze nie było to definitywne rozstanie. Teraz na widok hotelu obudziły się w nim wspomnienia - w końcu przez pewien czas był to dla niego pewnego rodzaju dom. Oczywiście nigdy nie przyprowadził tu Kim.

Zjadł obiad w znanej mu restauracji, pomyślał o Rose (kolejne romantyczne miejsce, a on znów był sam). Poszedł na spacer. Zastanawiał się, co powinien uczynić, ale jak do tej pory zrobił tylko to, co musiał: zadzwonił do Reichera jeszcze z Paryża i powiadomił go, że wybiera się do Neapolu śladem podejrzanego.

- Baw się dobrze - powiedział Reicher po chwili.
- Mike Dukas przyjechał późnym wieczorem. Był okropnie zmęczony.
- Jak ty znalazłeś ten hotel? - burknął, rozglądając się po wnętrzu „Rienzi”.
- Miałem burzliwą młodość.
- Rzeczywiście musiało ci być ciężko. Tylu kwiecistych tapet nie widziałem od czasu, kiedy odwiedziłem ciotkę w domu starców. Chryste, padam z nóg. Coś nowego?

W wielkiej mahoniowej windzie Alan opowiedział mu o planach komunikacji. Dukas był pod wrażeniem, dopóki nie usłyszał, że plany są niekompletne.

- Ile punktów kontaktowych?
- Jedenaście. Jestem w stanie zidentyfikować Neapol, Rzym, Wenecję, może Ateny i jakieś miasto w Niemczech. Ty być może rozpoznasz pozostałe.
- Ale co do Neapolu jesteś pewien.
- Zdecydowanie. - Powiedział Dukasowi o Gallerii, telefonie, ustalonych porach spotkań. - Wybrałem się tam na przechadzkę, wszystko się zgadza. Jutro o jedenastej powinien tam siedzieć Donnie Marengo. Twój ludzie muszą wziąć to miejsce pod obserwację, podobnie jak port, a potem śledzić Bon-nera i...

Dukas ironicznie kiwał głową.

- Jasne. Jasne! - Po wejściu do pokoju na chwilę go zatkało, gdy jego oczom ukazały się kwieciste abażury, falbankowe narzuty, kołdry, rzeźby z brązu. Kiedy ochłonął, powiedział: - NCIS w Neapolu ma do dyspozycji osiemnastu agentów, którzy muszą pilnować najbardziej gorącego regionu na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Włochy to wspaniały kraj, ludzie są mili, ale władze za bardzo polubiły Kadafiego; na jednego naszego człowieka przypada tu więcej terrorystów niż jest dni w tygodniu. Chłopaki mają też na głowie bardziej typowe sprawy: ojcowie nie płacący alimentów, drobne złodziejzaski - wszystko to, czym zajmują się gliny w małych miasteczkach. Tyle, że tutaj nasi ludzie muszą jeszcze tropić terrorystów, przestępców, pedałów i innych takich. Wiesz, ilu ludzi ma marynarka w południowych Włoszech i w tej części basenu Morza Śródziemnego? - Padł na łóżko. - Jestem zmęczony, stary. Ale za dwadzieścia pięć minut mam spotkanie w siedzibie NCIS. - Podniósł się na łokciu. - Spróbuję wysłać grupę obserwacyjną do Gallerii i założyć podsłuch na automat telefoniczny, o którym wspominałeś, żebyśmy wiedzieli, dokąd chłopak się wybiera. Przydałyby się dwie grupy, które będą go śledzić, dwa samochody i przynajmniej dwóch ludzi na nogach - chłopak może mieć przecież samochód, nie? - dlatego poproszę o dziesięciu agentów. Tylu pewnie nie dostaniemy. To będzie niedziela, zgadza się? Poza tym trzech, czterech na pewno siedzi w Hiszpanii czy gdzieś. Na Malcie. Nie wiem. Ależ jestem zmęczony.

- Czy wszystko będzie gotowe na jedenastą?

- „Roosevelt” wpłynie do portu dopiero późnym popołudniem. Mamy mnóstwo czasu.

- Według planu komunikacji, pierwszym ustalonym terminem jest godzina jedenasta.

- No to co? Marengo przyjdzie na miejsce, a jego ojciec nadal będzie na pokładzie „Roosevelta”; chłopak pójdzie do telefonu, który nie zadzwoni. Wróci więc do hotelu i spróbuje raz jeszcze wieczorem. Wtedy dorwiemy ich obu. O jedenastej odbędzie się tylko próba generalna.

- Ale już wtedy przydałoby się śledzić Marengo, Mike! Masz zdjęcie Bon-nera?

- Dzisiaj mają je nam przefaksować. W każdym razie zaczynamy działać dopiero wtedy, kiedy Bonner zjedzie na ląd. Siódma wieczorem? To dobrze, będzie jeszcze widno. Jezus, ale jeśli nie dojdzie do tego spotkania i trzeba bę-

dzie wszystko powtarzać w poniedziałek, czy nawet wtorek...! Chryste, nie wiem, czy dam radę zatrzymać agentów na tak długo. Oni wszyscy mają inne obowiązki, Al!

- Musimy być gotowi na to, by zdjąć tych dwóch.

- Za co? - Oczywiście Dukasa były czerwone od przecierania. - Za co? Chłopak na urlopie spotyka się z ojcem, który zszedł na ląd z lotniskowca. Gdzie w tym przestępstwo?

- Jeśli ich postępowanie będzie zgodne z planem komunikacji, to możemy ich zgarnąć za znowę w celu popełnienia przestępstwa.

Dukas potrząsał głową.

- Nieprawda. Poza tym ten twój plan to gruszki na wierzbie, dopóki Maren-go rzeczywiście nie pokaże się w Gallerii. Być może Bonner opracował nowy plan. Ja bym tak zrobił.

- Ty to ty. Bonner jest inny.

- Skąd wiesz?

Alan wbił niewidzący wzrok w tapetę.

- Robi to, co każą mu inni. Boi się. Przywiązuje się do tego, co znane. Można to wywnioskować na podstawie jego akt.

- Zobaczmy - mruknął Dukas. - Aha, potrzeba nam będzie jeszcze dwóch ludzi, którzy zajęliby się Bonnerem. Chłopaki z lotniskowca powiedzą nam, którą łodzią płynie do brzegu, żebyśmy mogli go łatwo odszukać. Potem nasi ludzie będą go śledzić aż do spotkania z synem. Potem... Jeśli Bonner będzie próbował coś przekazać synowi albo *vice versa*, to mamy ich. Wystarczyłaby choćby jakaś tajna instrukcja obsługi. W przeciwnym wypadku spróbujemy wziąć ich pod obserwację; jeśli miejscowe biuro służby śledczej może sobie pozwolić na mikrofon kierunkowy, być może uda nam się usłyszeć coś ciekawego. Tu wyciągnął palec w stronę Alana i nagle zmienił się ze zmęczonego, tęgiego człowieczka w służbę. - Ty masz się trzymać od tego z daleka!

- Mike, ja już tkwię w tym po uszy.

- Jesteś tu w charakterze widza. Pozwól działać zawodowcom.

Alan napotkał spojrzenie zimnych, zmęczonych oczu.

- Pozwolę, dopóki wszystko będzie w porządku. Przebyłem zbyt długą drogę, żeby dopuścić, by wszystko schrzanił jakiś bałwan, myślami będący już na urlopie świątecznym. Z drugiej strony, przywykłem do latania na tylnym siedzeniu. Zadowolony?

12 grudnia 1993, 2.11 czasu Greenwich, Morze Śródziemne

Na pokładzie startowym „Roosevelta” stał jeden helikopter. Pilot czekał na sygnał do startu. Większą część pokładu spowijały ciemności, rozpraszane tylko przez światła i reflektory oznaczające bezpieczne przejścia i burty. W pełni oświetlone było tylko lądowisko helikopterów, na którym czekał śmigłowiec lecący do Gaety.

Lopatki zaczęły szybciej wirować, a silnik osiągnął pełną moc. Oficer pokładowy dał sygnał.

Helikopter oderwał się od pokładu. W tylnym oknie pojawiła się twarz. Bosman Sheldon Bonner wzbił się w powietrze.

12 grudnia 1993, 8.35 czasu Greenwich, Neapol

W blasku jutrzeńki budynki Neapolu wydają się czyste, połyskujące. Morze omywa nabrzeża. Rybacy szorują kamienie, na których naprawiają sieci lub wyładowują połów. Zatoka błyszcząca promieniami słońca.

Ale Bonnera nie obchodził ten widok. Nie znosił Neapolu, nienawidził dziwek, złodziei i alfonsów, którzy jego zdaniem czyhali na niego w każdej bramie. I bał się.

Wyładował w Gaecie około czwartej rano, w miejsce innego bosmana, który miał przywieźć tajne zdjęcia. Oficer przełożony zgodził się na tę zmianę: Bonner miał wszystkie odpowiednie uprawnienia. Otrzymał przepustkę do portu.

Bonner zrobił, co do niego należało - oddał zdjęcia oficerowi dyżurnemu w Gaecie, po czym pojechał do miasta; tam musiał spędzić kilka godzin w nieznanych mu miejscach. Na każdym lotniskowcu przebywali agenci NCIS; któregoś dnia mogli przyjść po niego. Przecież jeszcze na Florydzie chcieli ściągnąć go na następne przesłuchanie.

A potem nadeszła wiadomość od Donniego. „Dziadek ciężko chory.”

Zakotłowało mu się żołądku. Flaki pewnie mam już wyżęte jak stara szmata, pomyślał, ale tam ciągle coś się działo, bulgotało, szukało drogi ujęcia, Jezu Chryste, tylko sraczki mi brakowało. Wszedł do pierwszego lepszego hotelu, obok skurwej speluny pełnej dziwek, wszędzie brud, Jezu. Wcisnął się do małej ubikacji, usiadł na sedesie i poczuł, jak wychodzi z niego strach, gorący, śmierdzący. Przetarł oczy i powstrzymał mdłości, świadom, że najgorsze jeszcze przed nim, że lęk nieprędko da za wygraną.

Jakoś udało im się dobrać do Donniego. Bonner dowiedział się o tym tuż przed wyruszeniem w morze; syn mówił, że maglował go jakiś cholerny agent, a wszystko przez tę dziwkę - jego żonę. Być może. Ale mało prawdopodobne, aby chodziło tylko o nią. Byli na tropie jego, Bonnera i Donniego. „Dziadek ciężko chory.”

Przez resztę nocy nie zmrużył oka, starając się wszystko dokładnie prze-myśleć. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja stała się groźna. A gdzie był Carl?

„Skontaktuj się z Carlem”. Bonner uczepił się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Musiał w jakiś sposób osobiście dostać się do Carla. Nie chciał znów spotykać się z tym dupkiem, co zawsze - jak Carl mógł zatrudnić takich ludzi? Myśl, że Carl siedzi teraz w Iranie czy innym odległym, niedostępnym kraju, była jak cios nożem w serce. Bonner potrzebował tego człowieka.

„Może wszystko będzie dobrze. Może Donnie zjawi się w umówionym miejscu, na pewno zapamiętał plan, to bystry chłopak; posiedzi w Gallerii, potem pojdzie do telefonu, dostanie instrukcje i niedługo potem spotkamy się”. Bonner chciał się umyć, miał wrażenie, że jest brudny, śmierdzący. Wszedł pod prysznic. Zimna woda. „Jezu, co za nora. Można tu złapać trypra. Albo AIDS.”

Wycierając się, wyjrzał przez okno. Zapowiadał się ciężki dzień. Bonner był zmęczony i bał się, potrzebował pomocy i chciał zapewnić synowi bezpieczeństwo. Po raz pierwszy zaczął żałować tego, co zrobił. Głównie ze względu na Donniego.

Żeby wyjść z hotelu, musiał otworzyć drzwi zamknięte na klucz. Kiedy to zobaczył, o mało nie wpadł w panikę - zupełnie jak w więzieniu! Jak można zamknąć ludzi w hotelu - a gdyby wybuchł pożar? Co za syf.

Ulice były ciche, nie przykrywała ich jeszcze warstwa kurzu. Bonner ruszył przed siebie. Minął kilku ludzi, którzy nie zwrócili na niego uwagi. W powietrzu unosiły się zapachy kawy, chleba, ryb. Bonner szedł i szedł, pod górę, niedaleko miejsca, gdzie ostatnim razem spotkał się z Carlem, wydawało się milion lat temu. Na Vömero znalazł kawiarenkę, w której kupił kawę z mlekiem i chleb z masłem. Kelnerka była w jego wieku i uśmiechała się do niego; знаła parę słów po angielsku.

Gdyby Bonner potrafił odnaleźć miejsce, gdzie spotkał się z Carlem, wysłałby tam Donniego. Mógłby zapytać kelnerkę o drogę, ale wtedy ona z pewnością zapamiętałaby i jego, i to, o co ją pytał. Gdyby potem powiedziała o tym agentom NCIS, mieliby ich obu, jego i Donniego, w garści. Nie, zły pomysł.

Może spotkaliby się tutaj? Niezłe miejsce - było stąd widać całą okolicę, a do tego po drugiej stronie ulicy między budynkami widać się alejka, w której ewentualnie można by zniknąć. Nie, droga ucieczki musiała być jak najbliższej. Jezu, czemu nie zainteresował się takimi sprawami kilka lat wcześniej? A chciał to zrobić, naprawdę. Doszedł wtedy do wniosku, że plan Carla nie wystarczy, że trzeba opracować własny plan ucieczki. Ale w końcu zapomniał o tym. Polegał na Carlu. Przecież to on był odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich agentów. Za to brał dużo pieniędzy. Bo Carl oczywiście zarabia wielkie pieniądze.

Kiedy jego żołądek znów przypomniał o sobie, Bonner wszedł do brudnej *gabinetto*; gdy wrócił, kelnerka uśmiechnęła się do niego i wepchnęła mu coś do ręki. Szklaneczkę jakiegoś paskudnego gówna.

- To pomaga - powiedziała kobieta. - Na to... nno... w środku.

Słyszała, jak męczył się w kiblu. Jezu. Miała dobre zamiary. Wskazała dłonią butelkę: Fernet Branca. Bonner wypił to. Gorzkie! Chryste, nigdy jeszcze nie pił czegoś tak okropnego! Z drugiej strony, pomyślał, coś tak niesmacznego musi być zdrowe. Potem kelnerka zażądała zapłaty za ten syfi Bonner doszedł do wniosku, że właśnie dał się zrobić w konia. Wyszedł wściekły.

Znów zszedł w dół wzgórza, do miasta, unikając miejsc, w których zwykle przebywał. Spacerował wzdłuż wału nadmorskiego, ale z dala od doków używanych przez marynarkę amerykańską; a nuż zaczęli go szukać. Tak czy inaczej,

jego przepustka pozostawała ważna do jutra. Mimo to, gdyby go capnęli, byłoby po wszystkim. Musi porozmawiać z Donniem. Bonner zdawał sobie sprawę, że dopóki tego nie uczyni, nie będzie wiedział, co w razie zatrzymania mógłby powiedzieć albo zrobić. Martwił się o syna.

Carl wiedziałby wszystko. W duszy Bonnera obudził się gniew: „Dlaczego do diabła wplątałem w to Donniego? Dlaczego Carl zmusił mnie do tego?” Gdzie jest Carl, kiedy potrzebna jest jego pomoc?

Najważniejsze, żeby spotkać się z Donniem. Dowiedzieć się, dlaczego wysłał niepokojącą wiadomość, a potem uspokoić skołatane nerwy. Ustalić wspólne zeznania, gdyby to okazało się konieczne. Potem nawiązać kontakt z Carlem. Po głowie Bonnera krążyły dziesiątki pytań: czy Donnie nielegalnie wydostał się ze Stanów? Co się stanie, kiedy upłynie termin powrotu na okręt? Jak dużo wiedzą te palanty z NCIS? Co powiedziała ta suka? Co wiedziała? Czy Donnie popełnił jakiś błąd?

Zurych, pomyślał. Jeśli uda im się dostać do Zurychu, on, Bonner, będzie mógł zabrać pieniądze, załatwić sobie paszport. A potem poleciliby do Iranu.

Albo do Aten. Gdyby Neapol był spalony, według planu należało się spotkać właśnie w Atenach. Bonner uznał, że będąc w Neapolu nie może prosić Carla o pomoc, dopóki nie upewni się, iż można tu bezpiecznie posiedzieć przez kilka dni. Poza tym nie cierpiał tego miasta. Ateny były w porządku. A Stuttgart jeszcze lepszy. Może gdyby udało się odebrać pieniądze, pojechaliby z Donniem do Stuttgartu, tam skontaktowali się z Carlem, a on załatwiłby transport do Iranu. Jeśli sprawy stały źle. Jeśli sprawy stały naprawdę źle.

Ale może wcale tak nie było. Może Donnie spanikował. W końcu był świeży w tym fachu.

Oczywiście, na pewno o to chodzi.

Z drugiej strony, przecież Donnie to bystry, rozważny chłopak. Ma dobrze poukładane w głowie.

Czyli sprawa musiała być naprawdę poważna.

Bonner ruszył brzegiem zatoki w stronę Mergelliny i ujrzał kawiarnię, trzydzieści metrów w głąb wąskiej alejki. Mały lokal. Siedząc przy każdym z trzech stolików można było patrzeć, co dzieje się z obu stron, a tuż obok kawiarni znajdowało się przejście między domami, niewidoczne z daleka. Okazało się, że wiedzie ono na mały plac, od którego odchodziły trzy uliczki. Dobre miejsce na spotkanie. Bonner wrócił do kawiarni, obejrzał ją dokładnie. Zapamiętał nazwę. Zastanowił się, jak ją opisać Donniemu przez telefon. Wszystko będzie dobrze. Czuł się lepiej. Nawet żołądek przestał się buntować. To świństwo, które wypił, rzeczywiście pomogło. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Nic łatwiejszego.

Chyba że będą śledzić Donniego. A jeśli? Na pewno obstawią Gallerię, przecież mieli całe grupy ludzi zajmujących się tylko takimi rzeczami, i masę elektronicznego sprzętu do wykrywania i podsłuchu; będą wszystko słyszeć z odległości stu metrów. Przyjadą tu za Donniem i zwiną ich obu.

Za co?

Za to, że Donnie zdezerterował z jednostki.

Czy zrobił coś tak głupiego? Możliwe, jeśli wpadł w panikę. Jezu, najgorsza jest ta niepewność!

Donnie miał znaleźć się przy automacie telefonicznym o jedenastej dziesiątej. Czyli do Gallerii powinien dotrzeć około dziesiątej czterdzieści pięć. Tak ustalał to z Bonnerem Carl. Dzięki temu jego ludzie mieli dość czasu, aby obserwować Bonnera, sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi, i tak dalej. Bonner, niestety, nie miał do dyspozycji żadnych pomocników. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jaki mądry był Carl. Pomyślał o wszystkim.

Ruszył w stronę Gallerii. Było parę minut po dziewiątej. Miał zrobić dwie rzeczy: sprawdzić, czy automat telefoniczny jest tam, gdzie zawsze i ma ten sam numer; a potem wejść na górę i obserwować parter Gallerii. Może zobaczy Donniego. I jeśli coś będzie nie tak...

Co?

Jeśli coś będzie nie tak, trzeba go ostrzec. Tylko jak? Czapka. Czapka Orioles założona daszkiem do tyłu. Miał ją w torbie. Chryste, to będzie naprawdę ryzykowne.

Bonner szedł w czystym świetle słońca, mijając kręcone, podniszczone erozją kolumny renesansowych bram, na które nie zwracał uwagi, przez Via Chiaia i Via Santa Croce, wypełniające się powoli ludźmi idącymi do kościoła czy na zakupy, na których również nie zwracał uwagi. Ulica tętniła życiem, stały przy niej dziesiątki najprzeróżniejszych sklepów; za godzinę będzie tędy szedł Donnie. Na tę myśl Bonner poczuł ukłucie w sercu.

Mijając wejście do Gallerii, zajął do środka i zobaczył marmurową posadzkę, nad którą, trzy piętra wyżej, górowała szklana kopuła. Tutaj Bonner czekał na telefon od Carla. O tej porze przed kawiarnią stało tylko kilka stolików; nieco dalej przechadzał się starszy mężczyzna w czarnym płaszczu. W głębi stała grupa ludzi. Amerykanie? Widział ich tylko przez chwilę.

Galleria zajmowała niemal całą przecnicę. Miała kilka wejść. Bonner podszedł do drugiego z nich i zajął do środka. Zobaczył tych samych ludzi co poprzednio. Sami mężczyźni. Amerykanie, tak, na to wyglądało. Potem skręcił w prawo i skierował kroki do wejścia od strony południowej. Ulica schodziła tu w dół, dlatego na parter Gallerii od tej strony prowadziły schody. Bonner zmusił się, by iść powoli. Zobaczył automat telefoniczny. Stało przy nim dwóch ludzi. Bonner przeszedł obok wejścia, zajął do środka. Znow dostrzegł tę samą grupę ludzi. Czterech. Amerykanie. U boku jednego z nich wisiał pager.

Jezu. Ale przecież Włosi mieli fioła na punkcie pagerów i telefonów komórkowych. Wydzwaniali do siebie bez powodu, byle tylko się nimi posługiwać. Pager nie musiał o niczym świadczyć.

Pager zabrzączał. Bonner zmusił się, by zwolnić kroku. Zmusił się, by odwrócić wzrok. „Obserwuj ludzi przy automacie.”

Głos Amerykanina: „O cholera, muszę zadzwonić do biura. Skończył już z tym telefonem?”

Głos drugiego Amerykanina: „Ciszej trochę, Chryste Panie”.

Pierwszy głos: „Pieprz się, jest niedziela, powinienem mieć wolne”.

Bonner przystanął. Odwrócił lekko głowę i spojrzał dyskretnie na dwóch ludzi stojących przy telefonie.

Jeden z nich dłużej w automacie jakimś narzędziem.

Zakładał podsłuch. I nawet się z tym nie krył.

Bonner był zdumiony, że jest w stanie zachować spokój w chwili, gdy zdał sobie sprawę, iż sprawdziły się jego najgorsze obawy.

Godzinę później Alan i Mike Dukas stali w miejscu, gdzie boczna ulica dochodziła do głównej, tętniącej życiem arterii komunikacyjnej. Był duży ruch, po jezdni przemykały samochody i skutery, chodnikami spacerowali ludzie, uśmiechali się, machali do siebie. Między ciasno ustawionymi budynkami przedzierały się wąskie promyki słońca, które rozbłyskiwały na jasnych włosach albo białych koszulach przechodniów. Wydawało się, że ten dzień dla wszystkich będzie udany.

Alan był przekonany, że już na pierwszy rzut oka można w nim i Dukasie rozpoznać Amerykanów, a nawet amerykańskich wojskowych czy innych gliniarzy. Co prawda z nich dwóch tylko Mike był gliną, ale Alan chcąc nie chcąc był jego współnikiem.

- Powinniśmy się byli przebrać - zauważył.

- Za kogo? Za Włochów? - odburknął Dukas. Miał na nosie ciemne okulary, a ubrany był w purpurową kurtkę oraz białe trampki. Zdaniem Alana, stanowczo za bardzo rzucał się w oczy. W jego uchu tkwiła słuchawka, za pomocą której łączył się z grupą przebywającą wewnątrz Gallerii. Alan miał nadzieję, że w oczach przechodniów wygląda to jak walkman.

- A jeśli nas zobaczy?

- To co?

- Przecież cię zna, Mike.

Dukas mruknął coś pod nosem. Wciąż był niewyspany.

- Niech się tym zajmą chłopaki z Neapolu. Wszystko dokładnie zaplano wali.

Alan chciał w to wierzyć. On także był niewyspany; całą noc strawił na rozmyśleniach, szukając słabych punktów planu, wspominając ostatnie spotkanie z rodzicami Rose na parkingu dla ciężarówek przed, jak mu się wydawało, paroma wiekami (co, to było cztery dni temu?). Postanowił nie zawracać sobie tym głowy: Rose latała nad Somalią, jego syn był w dobrych rękach, a on sam nie mógł stracić okazji do schwytania mordercy ojca.

Nie podobało mu się to, że Donnie Marengo miał czekać w Gallerii. Coś się nie zgadzało. Takie środki ostrożności miały sens przed spotkaniami Bonnera z Jefremowem - przecież to Jefremow ustalił ten plan - ponieważ Rosjanin z pewnością miał do dyspozycji kilku ludzi, którzy mogli obserwować Bonnera; ale Bonner działać będzie w pojedynkę. Może zorganizują to inaczej, pomyślał. Ale tej nocy wiele rozmyślał. O Bonnerze, o ojcu, o Rose. I o tym, jaką odczuje ulgę, gdy już będzie po wszystkim.

- Oto i on - powiedział Mike.

Alan wyprostował się; serce zaczęło bić mocniej. Spojrzał w głąb ulicy.

- Wysoki chłopak w zielonej kurtce, bez czapki. Bez okularów.

- Widzę go. - Alan znał Marengo tylko ze zdjęcia; gdyby nie Dukas, prawdopodobnie nawet by go nie zauważył. Chłopak wyglądał niezwykle młodo i sprawiał wrażenie mocno wystraszonego. Zmierzał w stronę Gallerii, znajdującej się pół przecznicy za plecami Alanami i Mike'a. Szedł sztywno, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół. Zwinnym ruchem wymijał ludzi idących z przeciwnej strony, tak aby ani na chwilę nie zboczyć z wytyczonego kursu.

Alan spojrzął na zegarek. Dziesiąta trzydzieści sześć. Trochę za wcześnie. Jeśli agenci nie byli na miejscu...

Kiedy podniósł głowę, zdał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Jakiś człowiek zbliżał się szybkim krokiem do Donniego Marengo, z boku, jakby wyłonił się z kamiennego muru. Nieznajomy przedarł się przez tłum przechodniów; jeden z nich, potracony, odwrócił głowę. Alan doznał wrażenia, że widzi coś, co wygląda znajomo - „Amerykanin, nie pasuje tutaj, Orioles, czapka daszkiem do tyłu” - i ten człowiek, mężczyzna, to był mężczyzna, podszedł do Marengo, po czym skręcił i wbiegł na ulicę przy akompaniamencie pisku opon, motocykl próbował go wyminąć, koło zatańczyło na asfalcie, motocyklista zaczął tracić panowanie nad maszyną...

- To Bonner! - krzyknął Alan.

- Co u licha...!

Donnie Marengo - gdzie jest Marengo? Alan omiół spojrzeniem ulicę. Za jego plecami Dukas szeptał gorączkowo do mikrofonu:

- Coś zwęszyli, wycofujemy się! - Motocykliście udało się uniknąć kraksy, ale silnik zgaśł. Słychać było wzburzone głosy; wyły klaksony. Mężczyzna w czapce Orioles przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie stał Alan, po czym odwrócił się i zniknął. Przy następnym skrzyżowaniu mignęła zielona kurtka Marengo.

- Weź samochód! - krzyknął Alan do Dukasa.

- Po co?

- Weź samochód, nie pytaj! - Alan zerwał się do biegu.

- Dokąd? Dokąd pojechać?

- Bądź w pobliżu telefonu!

Alan podbiegł do grupki ludzi, która skupiła się wokół motocyklisty i zaczął się rozglądać wypatrując Bonnera, czapki z daszkiem, jakiejś drogi ucieczki; ale przy ulicy znajdowało się mnóstwo sklepów, w których można było się ukryć, a nieco dalej między budynkami otwierała się wąska alejka. Alan zaklął i zaczął bić się z myślami; skoro nie wiedział, jak Bonner wygląda i gdzie go szukać, pościg za nim nie miał sensu. Pozostawało pójść za jego synem. Chowając się wśród tłumu, Alan przeszedł przez zakorkowaną ulicę, po czym ruszył za widoczną w oddali zieloną kurtką Marengo. Nie musiał biec sprintem, wystarczyło, że szedł szybkim krokiem powtarzając *scusi, scusi*, jak nauczył się w dzieciństwie, gdy mieszkał we Włoszech. Marengo nie odwracał

się. W pewnym sensie ten chłopak był dobry, ponieważ bez dyskusji robił to, co mu kazano: dostał sygnał i postępował zgodnie z ustaleniami. Czapka, pomyślał Alan, to ta czapka była umówionym znakiem, Marengo rozpoznalby ją wszędzie. Naiwność również okazała się jego zaletą: szedł dość szybko, ale nie biegł, nie okazywał poczucia winy, nerwowości - ot, zwykły marynarz na przepustce, który wybierał się do Gallerii, ale w ostatniej chwili zmienił decyzję.

Szli Via Santa Croce, Alan trzydzieści metrów za Marengo; nagle chłopak skręcił w stronę portu, w brukowaną uliczkę, przy której stały stragany z owocami i warzywami. Było tu niewielu ludzi - Alan musiał się cofnąć, policzyć do pięciu i ruszyć wolniej, by nie znaleźć się zbyt blisko Marengo. Ten obejrzał się dyskretnie, raczej wypatrując ojca, niż agentów NCIS. Zauważył mnie? - pomyślał Alan; nie zwalniając kroku, zdjął kurtkę i przewiesił ją przez ramię, po czym założył okulary przeciwsłoneczne, próbując choć trochę zmienić swój wygląd.

Marengo znów skręcił w prawo, przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował kroki w stronę rozległego placu przed Palazzo Reale, gdzie dwa półkoliste rzędy kamiennych kolumn zdają się niczym ramiona obejmować w uścisku gołębie, furgonetki i przechodniów.

Alan oparł się pokusie, by wbiec między samochody - „nie zwracać na siebie uwagi” - ale w myślach kłął siarczyście z czystej frustracji, rozczarowania, gniewu. Bonner wymknął się z pułapki! W jakiś sposób zdał sobie sprawę, co się szykuje i ostrzegł swojego syna. Dokąd teraz uciekną? W planie komunikacji wymienionych było trzynaście innych miast; które z nich wybiorą?

Gdy tylko wszedł na plac, Alan ujrzał zieloną kurtkę Marengo w grupie młodych mężczyzn i dziewcząt; jasne, luźne sukienki trzepotały na wietrze wiejącym od zatoki. Piękny dzień. Ale nie na pościg.

Musiał skontaktować się z Mike'em. Agenci służby śledczej stacjonujący w Neapolu mieli pagery i telefony komórkowe; Dukas wziął na akcję słuchawkę i pager, ale rozmyślnie nie dał ich Alanowi. On miał być tylko biernym widzem. A teraz to właśnie Alan podążał tropem podejrzanego i nie miał jak skontaktować się zresztą grupy. Może chociaż Mike ostrzeże pozostałych. A potem...? Jeśli Mike poszedł po samochód, to w tej chwili odbiera go sprzed hotelu, trzy przecznice od placu. Potem pozostawało mu tylko odnaleźć Alana w dwumilionowym mieście.

Marengo opuścił plac i wszedł w małą uliczkę. Zielona kurtka zniknęła za żółtobrazowym narożnikiem budynku. Alan przyspieszył kroku, wyminął dziewczyny w jasnych sukienkach, roześmianych młodzieńców, kota wylizującego łapę, wszedł w cień po przeciwnej stronie, skręcił w uliczkę i... jego oczom ukazała się pustka.

Pustka. Jakby nikt tam nie mieszkał.

Kilka domów dalej, mały szyld. Hotel „Stella Originale”.

Ruszył w tamtą stronę niemal na palcach. Zupełnie jakby znalazł się we śnie innego człowieka.

- Signore?

Jedyną żywą istotą w hotelu był mężczyzna w średnim wieku o ospowatej twarzy, wyglądem przywodzący na myśl nażartego jastrzębia.

- *C'e un'uomo a entrato qui, momento fa?* –Napotkał ponure spojrzenie: oczy cesarza Rzymu, cynika, poety. - *Uno giovane, nell'verde.* - Jak w starym filmie. Alan wyjął portfel, wyciągnął dziesięć tysięcy, dwadzieścia tysięcy li rów i położył banknoty na ladzie. - *E cosa delia mia sorella.* - Chodzi o moją siostrę. Dlaczego nie? W tej chwili powiedziałby wszystko, byle odnaleźć Marengo. Jedyną reakcją na wspomnienie o nieistniejącej siostrze był cień uśmiechu.

Posępne oczy otworzyły się nieco szerzej, brwi uniosły się, podbródek skierował się pół centymetra w górę i w lewo: jest na górze.

- *Telefono?* - Alan wręczył recepcjonście kolejne dziesięć tysięcy. Mężczyzna wziął banknot do ręki, ale zanim wyciągnął go z dłoni Alana, powiedział po włosku, jakby chciał przypieczętować niepisaną umowę: „Tylko żadnej zady my”.

Nie tutaj, odparł Alan po włosku.

Do hotelu wszedł kot, wskoczył na ladę i zaczął się myć. Nie był to ten, którego Alan widział na placu. Recepcjonista pogłaskał zwierzaka po głowie.

Telefon znajdował się we wnęce, w budce, wydawałoby się pochodzącej z ubiegłego wieku, przypominającej lektykę z solidnymi drzwiami. Wkładając kartę do automatu Alan zauważył, że drżą mu ręce; miał wrażenie, że telefon w biurze NCIS dzwoni i dzwoni bez końca, choć faktycznie już po trzecim sygnale odezwał się głos:

- NCIS, mówi Moran.

- Tu porucznik Craik, sprawa „Nocna Wacht”. Muszę skontaktować się z amerykańskim agentem, Mike'em Dukasem.

- O co chodzi?

. O moje życie, ty palancie! - pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Zamiast tego, wytłumaczył, w czym rzecz; dodał, że to sprawa niezwyklej wagi. Musiał skontaktować się z Dukasem, proszę, weź się do roboty, chodzi o moje życie! Za drugim razem dyżurny zrozumiał, o co chodzi i powiedział, że zobaczy, co się da zrobić.

Potem Alan odłożył słuchawkę i czekał na telefon od Dukasa. Mijały kolejne sekundy. Czas płynął powoli, jak krew kapiąca z nadgarstka.

Alan otworzył drzwi nogą i wychylił się, by obserwować recepcję. Kot nie zakończył jeszcze swoich ablucji. Recepcjonista stał za ladą z założonymi rękami. Z zewnątrz dobiegały odgłosy klaksonów. W drzwiach windy pojawił się Donnie Marengo i podszedł do recepcji, chcąc zapłacić rachunek.

Alan rozważył dwie możliwości - rzucić się na niego albo pójść za nim - ale wtedy zadzwonił telefon. Wsunął się więc z powrotem do lektyki i przymknął drzwi.

- Mike?

- Gdzie jesteś, do diabła?

- On jest gotowy do wyjazdu, Mike. Właśnie wyprowadza się z hotelu.
 - Gdzie?
 - Piazza Reale. Ten wielki plac z kolumnadami i mnóstwem pustej przestrzeni. Pokazywałem ci wczoraj wieczorem. Cholera jasna, Mike, niedaleko Pałacu Królewskiego.
 - Dobrze, trafię tam. Gdzie jesteś?
 - Po zachodniej stronie placu jest mała uliczka. Stoi przy niej hotel, „Stella Originale”. Postaram się czekać na zewnątrz, niedaleko placu. Mam na sobie...
 - Nie trać czasu. - Dukas odłożył słuchawkę.
- Alan wyrzwał z budki. Marengo zniknął.
- *Dove?* - spytał recepcjonistę.
 - Głowa drgnęła, podbródek skierował się ku wyjściu.
 - *Sparutto!*

Recepcjonista potrafił znaleźć w sercu odrobinę współczucia dla kogoś, kto miał kłopoty z siostrą, nawet nieistniejącą, a może po prostu lubił melodramaty. -*Eh-mruknął. -Ceun automobile.*

- *Dove?*

Uniesiona brew, nieznaczny gest ręki. Kolejny banknot dziesięcilirowy wylądował na ladzie. Alan dowiedział się, że boy hotelowy płacił policji za pięć miejsc parkingowych przy pałacu, gdzie oficjanie obowiązywał zakaz parkowania. „Idź na plac, skręć w prawo, potem do”...

Alan wypadł z hotelu i popędził w stronę placu, skrzył w prawo, ku szerokiej ulicy biegnącej wzdłuż Palazzo Reale - i ujrzał Dukasa, jadącego powoli, wypatrującego go, a potem dostrzegł Donniego Marengo, który z dużą szybkością jechał w przeciwnym kierunku.

Alan zaczął biec szybciej.

26

12 grudnia 1993, 12.27 czasu Greenwich, Włochy

Alan prowadził. Dukas siedział obok, gryzł pięść i kłął. Kilkakrotnie próbował skontaktować się z kimś; wreszcie zdenerwowany zerwał słuchawkę z głowy i rzucił ją na podłogę.

- Jesteśmy poza zasięgiem.
- A pager?
- Chryste Panie, Alan, rusz głową. Musielibyśmy znaleźć telefon.
- Nie możemy. Zgubilibyśmy Marengo.

Donnie Marengo był z przodu, trzy samochody dalej, w wynajętym zielonym fiacie. Zniknął im z oczu w Neapolu, ale na szczęście wypatrzył go jeden z agen-

tów, czekający na autostradzie. Alan i Mike Dukas dołączyli do Marengo na południe od Caserty.

- Czy wyślą kogoś przodem?

- Nie, nie zrobią tego, przecież wiesz o tym równie dobrze jak ja! Współczują nam serdecznie, ale nie znaczy to, że w niedzielę wyślą pościg za chłopakiem przebywającym na najzupełniej legalnym urlopie. Chryste, Al, oni i tak oddają nam dużą przysługę poszukując jego ojca. Do ósmej wieczorem Bonner jest czysty; kiedy jego przepustka straci ważność, można go będzie oskarżyć co najwyżej o samowolne oddalenie się od jednostki - wielkie rzeczy, tym zajmuje się żandarmeria! NCIS nie istnieje po to, by ścigać marynarzy, którzy za długo siedzą w porcie. Gdzie właściwie jesteśmy?

- Mniej więcej w połowie drogi do Brindisi, chyba że Marengo skęci na północ i pojedzie do Bari.

Dukas jęknął. Przez dziesięć minut jechali w milczeniu.

- Czy ten dzieciak nigdy nie sika? - spytał Dukas.

Minęło następne dziesięć minut. Przy autostradzie wyrósł drogowskaz obwieszczający podróżnym, że do Serafino zostało jeszcze dwanaście kilometrów. Nawierzchnia autostrady wyglądała na wyschniętą, krajobraz był surowszy niż w okolicach Neapolu; tu, w centrum półwyspu, na położonej wysoko równinie, było chłodniej i bardziej sucho.

- Muszę się odlać - stwierdził Dukas. - Nie wytrzymam dłużej. Masz jakąś butelkę, czy coś takiego?

- Przykro mi.

Dukas znalazł wreszcie plastikową torbę po słuchawce. Skorzystał z niej, napaskudził wokół siebie i wyrzucił za okno to, co nie wylało się na podłogę czy jego spodnie. Z twarzy Dukasa wycierało obrzydzenie.

- Nie przygotowaliśmy się - powiedział.

- Co byś wziął, pampersy? - Przed oczami Alana stanął jego syn.

- Wziąłbym cholerną butelkę po coli, jak na każdą obserwację! Wziąłbym telefon komórkowy. Faks. Wziąłbym lunch, bo umieram z głodu! A co wziąłem? Sprzęt do bezpiecznej komunikacji! - Objął się ramionami. - Poza tym jest mi zimno, a moje ubrania, brzytwa i szczoteczka do zębów zostały w tym hotelu dla starszych pań, do którego mnie zabrałeś. Al, ta sprawa jest przegrana.

Alan właśnie o tym myślał.

- Wziąłeś sprzęt do bezpiecznej komunikacji?

- Dzisiaj rano wrzuciłem go do bagażnika. Myślałem, że przyda się, gdybyśmy zgarnęli tych dwóch w Gallerii. Ha!

Razem mieli tysiąc sto dolarów gotówką (z czego tysiąc należał do Dukasa), dwie karty do bankomatów, trzy karty telefoniczne i sprzęt do bezpiecznej komunikacji.

- Myślę, że nie jest z nami tak źle - powiedział Alan. - Jeśli chcesz sobie odpuścić, zostawię cię w Serafino.

Dukas jęknął.

Donnie Marengo skręcił na północ, w kierunku Bari.

Dukas spojrział na mapę Włoch.

- Bari. Co to jest Bari, do cholery?

- Główny port przywzowowy dla statków z Jugosławii i Albanii. Pewnie jest tam też lotnisko i terminal kolejowy.

Dukas wbił wzrok w mapę.

- Wenecja - powiedział po kilku minutach. - On jedzie do Wenecji.

Jechał do Aten.

12-13 grudnia 1993, Adriatyk

To był Statek Miłości z Piekła. Płynął z Bari do Durres, portu wciśniętego w zagłębienie albańskiego wybrzeża. Alan i Dukas zaczekali, aż Donnie Marengo wejdzie na pokład i zamknie się w swojej kabinie, i dopiero wtedy kupili bilety. Oczywiście nie było już wolnych kabin. Alan i Dukas nie mieli wyjścia i musieli spędzić całą podróż na pokładzie. Było zimno i mokro; deszcz zaczął padać, gdy stali na doku w Bari, patrząc na prom.

- Mamy płynąć czymś takim? - spytał wtedy Dukas. Uważał, że nic, co jest mniejsze od lotniskowca, nie ma prawa utrzymać się na wodzie.

- Musimy być tam, gdzie on.

Dukas warknął jak pies, który usłyszał jakiś podejrzany odgłos.

- Będę tego żałował - powiedział. Mimo to zrobił, co mógł: zadzwonił do swoich ludzi w Neapolu i nakłonił ich, by przysłali kogoś, kto odwiózłby wynajęty samochód do agencji - Dukas zwracał uwagę na takie szczegóły, jako że wydatki i rachunki były dla niego niemal sprawą osobistą. Alan natomiast zadzwonił do swojego biura w Stanach i zostawił u dyżurnego wiadomość dla Reichera, że nadal jest na tropie. W Bari, we Włoszech.

- Zgodził się? - spytał Dukas. Wtedy już rozpadało się na dobre; schronili się przed deszczem pod markizą. Nie mieli płaszczy przeciwdeszczowych, ich buty były przesiąknięte.

- Ten prom płynie do Grecji - powiedział Alan. Chciał uniknąć odpowiedzi na pytanie o stosunek Reichera do jego wojaży.

- To moja ojczyzna. Rozpuszczę się, zanim tam dotrzemy.

- A jeśli Marengo wysiądzie wcześniej?

Dukas podniósł palec.

- Pierwszy przystanek: Durres. Człowieku, to jest w Albanii! Myślisz, że oficer KGB miałby spotykać się z amerykańskim agentem w Albanii? Bądźmy poważni! Przystanek drugi, Koloniki, Grecja. Może być. Ale według mapy to dwieście kilometrów od Aten i nie ma tam lotniska międzynarodowego. Czyli prawdopodobieństwo, że tam właśnie wybiera się Marengo, jest niske. Przystanek trzeci, Pireus, port niedaleko Aten. Tak. Duże miasto w pobliżu, najbardziej nieszczęsne lotnisko w państwach NATO. Przez Ateny przewijają się więcej terrorystów niż ja mam włosów na głowie.

Zrobił ponurą minę.

- Ten prom rozwija dużą szybkość. A jeśli w coś uderzymy?

Weszli na pokład w strugach deszczu, razem z tłumkiem złożonym głównie z weselników, niektórych gniewnych, innych radosnych. Alan myślał, że to Włosi wybierający się na wesele w Durres, ale okazało się, że byli to Albańczycy towarzyszący młodemu małżonkom powracającym z podróży poślubnej. Grupowej podróży poślubnej. Suto zakrapianej podróży poślubnej.

W kabinie Marengo był iluminator wychodzący bezpośrednio na morze i drzwi z lakierowanego drewna prowadzące na korytarz.

- Będę pilnował drzwi - powiedział Alan. - On ciebie zna, Mike. Zaszyj się gdzieś.

- Obstawię bar.

- Przynies mi coś do żarcia. I szczoteczka do zębów!

Alan spodziewał się, że spędzi noc w samotności, wpatrując się w drzwi do kajuty Marengo. Niesłusznie. Wkrótce bowiem okazało się, że trafił na pokład Statku Miłości z Piekła. Po całym promie porozłazili się weselnicy; wszyscy mieli ochotę na amory i byli pijani. Od czasów liceum Alan nie widział tylu obściskujących się par, tak wielkiej ilości alkoholu oraz tylu ludzi w mniejszym czy większym negliżu.

- *Nu?* - powiedziała do niego pulchna młoda kobieta i obdarzyła go uśmiechem. Chwiała się lekko, częściowo dlatego, że chwiała się cały prom, a częściowo dlatego, że wypła za dużo tego, co wypła. - *Italiano?*

- *Napoli* - odparł. Dziewczynie najwyraźniej podobał się Neapol, bo bezceremonialnie runęła na Alana, położyła mu głowę na kolanach i zasnęła. Przynajmniej to dobry kamuflaż, pomyślał. Gdyby Marengo teraz wyszedł z kajuty i zobaczył ich razem, nie nabrałby podejrzeń. Zresztą przy dziewczynie Alanowi było cieplej. No i niepokojąco przypominała Kim. Wkrótce jednak pojawił się jakiś młody człowiek, któremu wyraźnie nie spodobało się miejsce odpoczynku kobiety, więc zaczął krzyczeć, najpierw na nią, potem na Alana, a po jakimś czasie nie wiedzieć w jaki sposób wszyscy stali się przyjaciółmi i Alana poczęstowano winem. Jeden z mężczyzn miał akordeon, na którym grał coś, co przywodziło na myśl muzykę grunge. Zaczęły się tańce. Ktoś wywołał bójkę, a dziewczyna, która spała na kolanach Alana, porzygała się.

- To Albańczycy - powiedział Alan do Mike'a, gdy ten przyniósł mu trochę weselnego jedzenia. Był to ich pierwszy posiłek od śniadania. Potrawy okazały się zadziwiająco smaczne, szczególnie z winem, które Alan dostał od kogoś w ogólnym zongardiaszu.

- Żona jest Greczynką - odparł Dukas - a mąż Albańczykiem. W ramach kompromisu wszyscy pojechali do Włoch.

Gdy dotarli do Durres, panowały ciemności. Weselnicy zeszli na ląd, zasępieni, chwiejący się na nogach, milczący. Kobieta, która spała na kolanach Alana, płakała.

Donnie Marengo nie wyszedł z kabiny.

- Nie je czy co? - zdziwił się Alan.

- Nakupił jedzenia w Bari. Zresztą w Durres też - zapłacił jednemu ze stewardów, żeby przyniósł mu to i owo. Mój kolega, szef ochrony promu, odbył męską rozmowę ze stewardem, co oznacza, że gość powie nam, jeśli Marengo choćby puści bąka. Glina chce go aresztować.

- Nie ma mowy.

- Wiem, wiem, Marengo doprowadzi nas do Bonnera. Oby. Póki co, skontaktowałem się z Neapolem. Przez telegraf- zupełnie jak na „Titanicu”. Bonner był w Zurychu, spóźnili się zaledwie o parę godzin. Granicę przekroczył pociągami; tę informację zdobyli za późno, żeby go capnąć. Ten facet swobodnie jeździ sobie po Europie, a to mi się nie podoba, Al. Może pojechać, dokąd tylko zechce. Poza tym... - Dukas zawiesił głos i powoli podniósł głowę- ...nie, nie chcę tu aresztować Marengo. Za dużo ludzi. Włoska jurysdykcja, co może oznaczać kłopoty prawne. Jezu, Alan, wiem, jak wiele ta sprawa dla ciebie znaczy, ale co będzie, jeśli Bonner oleje syna i po prostu ucieknie sam?

- Nie zrobi tego.

Dukas spojrział na niego, jakby chciał powiedzieć: „Nie wszyscy ojcowie są tacy”. Zamiast tego wzruszył ramionami.

- Żona chłopaka twierdziła, że on i ojciec są sobie bardzo bliscy.

- Coś cię martwi? - spytał Alan.

- Plan komunikacyjny, który dostałeś od tej Rosjanki. Nie widzę w nim planu ucieczki. Nie ma tam nic na temat sposobu, w jaki Bonner mógłby powiadomić Jefremowa, że grunt pali mu się pod nogami i trzeba go możliwie najprędzej ewakuować.

- Może Jefremow nie zamierza go ewakuować. W końcu dwóch agentów już sprzątnął.

- Taaak, ale to było co innego. Po prostu nie zostawia się agenta, który ucieka przed władzami. Trzeba go uratować, przywieźć do domu. „Dom” w tym wypadku oznacza Teheran. I to mnie martwi - że istnieje jakiś nowy plan komunikacji, o którym nic nie wiemy, i że szlak kończy się w Iranie.

- W Neapolu postępowali zgodnie ze starym planem.

- Tak, ale tam mieliśmy do czynienia z Bonnerem, nie z Jefremowem. Być może Bonner do spotkań z synem wykorzystuje stary plan, ale on sam dostał od Jefremowa nowe instrukcje. Weź takie Ateny. Z Aten można polecieć do Teheranu, Al.

- No to powiedz ludziom z NCIS, żeby obstawili lotnisko.

Dukas westchnął.

- Al... NCIS w Atenach to dwaj ludzie i toaleta. Jeden z nich został wysłany do Bośni - wiem, bo skontaktowałem się już z drugim. Nasze dowództwo nie interesuje się Atenami; nie jest to wystarczająco ważny port, a agenci są potrzebni gdzieś indziej. Dlatego siedzi tam jeden gość, a on sam nie obstawi całego lotniska.

Alan wbił wzrok w ścianę deszczu.

- A „Nocna Wacht”? Nie mogliśmy się ściągnąć stamtąd paru ludzi? - spytał. Dukas zapalił papierosa.

- Kogo? Barbarę? - Mike wydawał się poirytowany. - Mam dwóch nieopieczonych agentów, których przeniesiono „tymczasowo” do śledztwa w sprawie jakiegoś przekrętu. Mam analityków, którzy nigdy nie prowadzili działań w terenie. Neapol jest z nimi w kontakcie. Jeden z nich na wszelki wypadek będzie pełnił całodobowy dyżur, ale... - Dukas zawiesił znacząco głos i spojrzął na papierosa, jakby w nim szukał ratunku.

- Pozostaje nam tylko mieć oko na chłopaka i czekać - stwierdził Alan.

- Al, zawrzyjmy układ. - Dukas zgasił papierosa w brudnej aluminiowej popielniczce. Spojrzął Alanowi w oczy. - Jeśli nie złapiemy Bonnera w Atenach, dajemy sobie spokój. Zgoda?

Alan zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Dopóki mamy jednego z nich na oku, nie zamierzam zrezygnować. Jeśli dostanę chłopaka, posłużę się nim, żeby wyciągnąć Bonnera od Irańczyków, nawet gdybym miał zagrozić, że zabiję mu syna.

- Al, nie możemy zrobić czegoś takiego! To niezgodne z prawem!

- Ja mogę to zrobić. Prawo mnie nie obchodzi.

- Tu chodzi o twoją karierę, na Boga.

- Tak, to prawda. Chodzi o moją karierę. - Położył dłoń na ramieniu Dukasa. - Mike, to nie twój ojciec zginął tam, nad Zatoką. I tyle. Jeśli chcesz dać sobie spokój z tą sprawą zrozumieję to. Aleja nie poddam się aż do samego końca.

Dukas westchnął.

- No cóż... jeszcze nie złamałem prawa. Chyba.

13 grudnia 1993, 10.00 czasu Greenwich, Pireus, Grecja

Pireus niegdyś był samodzielnym miastem, portem, do którego przed wiekami zawiąły dziesiątki drewnianych statków, połączonym z Atenami ciągniętymi przez wiele kilometrów murami. Mury wskazywały na to, jak wielkie było znaczenie Pireusu dla całego państwa-miasta. W dzisiejszych czasach już ich nie ma, a Pireus i Ateny stopiły się w jeden zespół miejski; mimo to Pireus pozostał typowym miastem portowym, przynajmniej w oczach doświadczonych marynarzy. Było tu mnóstwo barów, na ulicach roilo się od dziwek, a w bocznych uliczkach ukrywali się współcześni odpowiednicy kupców zaopatrujących okręty.

Jedyny stacjonujący tu agent NCIS czekał na Dukasa na nabrzeżu. Mike jako pierwszy zszedł na ląd, Alan natomiast krążył w pobliżu Donniego Marengo. W pewnej chwili ich spojrzenia spotkały się. Alan miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: chłopak co prawda go nie rozpoznał, ale niewykluczone, że kiedy zobaczy go znowu, zacznie coś podejrzewać. Alan wyjrzał przez reling i dostrzegłszy agenta NCIS i Dukasa, skinął im głową. Po kilku minutach Mike i jego towarzysz ruszyli tropem Marengo, a Alan zgodnie z radą szefa ochrony promu poszedł do pobliskiego salonu fryzjerskiego, gdzie można było za trzy dolary wziąć prysznic, a za pięć zamówić golenie. Po

godzinie wyłonił się ze sklepu w nowym ubraniu. Miał wrażenie, że wygląda jak Grek, a przynajmniej jak kosmopolita. Jeśli Donnie Marengo zwrócił uwagę na niebieską kurtkę albo koszulę z odpinanym kołnierzykiem, na pewno nie rozpozna mężczyzny w obszernych nylonowych dresach.

Alan wrócił na pokład promu i tam dowiedział się od szefa ochrony, że dzwonił Dukas - z restauracji w Atenach, w której Marengo jadł lunch. Jeśli Alan się pośpieszy, ma szansę ich tam jeszcze zastać. Wskoczył więc do najbliższej taksówki, ale kiedy dotarł do restauracji, nikogo w niej już nie było. Przed budynkiem rozciągał się szeroki taras, a słabe promienie słońca błyszczały na mokrych ulicach. Alan stał w miejscu, zastanawiając się, co dalej, gdy nagle podszedł do niego kelner.

- Pan Alan? - spytał mocno akcentowanym angielskim.

Alan odwrócił się. Kelner, młody chłopak, uśmiechał się szeroko; nie wiedząc czemu, później Alan miał pamiętać głównie jego buty o ostrych szpicach. Kelner trzymał w dłoni telefon komórkowy.

- Od pańskiego przyjaciela Mike'a. - Kiedy Alan wyciągnął rękę po telefon, dłoń kelnera cofnęła się lekko. Uśmiech stał się szerszy. - Dziesięć dolarów. On mówił, że pan da mi dziesięć dolarów.

Alan miał same banknoty dwudziestodolarowe. Kelner uśmiechnął się jeszcze promiennie.

- Mówił, żeby pan zaczekał. Pan zaczeka, on zadzwoni.

Alan zaczekał. Telefon zadzwonił.

- Cześć, stary. - Tak, to bez wątpienia Dukas.

- Gdzie jesteś, do diabła?

- Na ulicy Kritikiou, kochasiu. Przyglądam się, jak Donnie Marengo przykleja taśmę maskującą do słupa telefonicznego. Poważnie, coś się szykuje. Fred - miejscowy agent - siedzi w samochodzie na wypadek, gdyby ktoś przyjechał po Marengo. Jadłeś coś?

- Pieprzyć jedzenie. Zjem coś, kiedy...

- Natychmiast coś zjedz! Przez następne dwadzieścia cztery godziny możesz nie mieć okazji. Powiedz temu kelnerowi, Nickiemu, żeby przyniósł ci to, co przyniósł mnie; niebo w gębie, mówię ci.

- Mike, po co te komórki?

- A masz lepszy pomysł? Może wynajmiemy tablice reklamowe? Jezu Chryste, wydawało mi się, że dobrze się spisałem! Te zabawki mają działać przez cały dzień; co będzie potem, zobaczymy. W każdym razie lepiej, żebyśmy byli w stałym kontakcie, bo inaczej zgubimy tego dzieciaka. Chyba wreszcie zaczyna się dziać coś ciekawego.

- Mike, skąd do diabła wzięłeś te komórki? Co to znaczy „przez cały dzień”?

- Kupiłem je na ulicy, a co myślałeś?

Innymi słowy, były kradzione.

- Miałem wrażenie, że nie chcesz łamać prawa.

- Wspomagam tutejszą gospodarkę. Co, mam pójść do urzędu telekomunikacji i złożyć wniosek o telefon? Al, lepiej rzuć okiem na plan komunikacji. Je-

stem pewien, że wymieniona tam jest ulica Kritikiou i jakiś kościół. Może to właśnie tam mają się spotkać. Jeśli tak, to ja i Fred przyczaimy się i aresztujemy tych dwóch. Wiem, że chciałbyś w tym uczestniczyć, ale na razie lepiej, żebyś pozostał w odwodzie, na wypadek gdyby Marengo wybrał się gdzieś indziej i ktoś musiałby go śledzić. Na razie będziemy mieli na niego oko; jeśli zostanie w kościele, my też tam sobie posiedzimy. Jeśli gdzieś pójdzie, ruszę za nim, a ty do mnie dołączysz - najpierw do ciebie zadzwonię, dobra? - a Fred zostanie w kościele. Teraz sprawdź plan komunikacji i spróbuj rozszyfrować, o co chodzi z tym kościołem. Czy to miejsce spotkania? Czytaj między wierszami. Masz sprzęt do bezpiecznej komunikacji?

- Tak, waży z tonę.
- Spróbuj skontaktować się z kimś i sprowadzić pomoc.
- Będzie za późno.
- Nie wiemy tego na pewno. Spróbuj!

Oczywiście, było za późno.

Przez następne trzy godziny krążyli po Atenach z komórkami w dłoni, nie odstępując Marengo na krok - najpierw Mike z Alanem, potem Mike'a zastąpił Fred. Trzeci członek grupy pilnował znaku pozostawionego na ulicy Kritikiou, wypatrując Bonnera albo Jefremowa. Czy kogokolwiek innego. Przydałoby się co najmniej dziesięciu ludzi. W oczach Alana była to jakaś piekielna wojna nerwów, a to wrażenie potęgował fakt, że nie miał najmniejszego pojęcia o prowadzeniu obserwacji. O dziwo, Marengo wcale nie utrudniał im zadania, spędził nawet czterdzieści pięć minut w kawiarni, podczas gdy Alan modlił się, by właśnie ten lokal okazał się miejscem spotkania i by zjawił się tu Bonner.

Ale Bonner się nie zjawił.

O szóstej wieczorem *attaché* handlowy z ambasady rosyjskiej w drodze do domu zauważył znak pozostawiony przez Marengo na ulicy Kritikiou. Ciarki przeszły mu po plecach. Na metalowy słup spojrzął najzupełniej odruchowo; tak on, jak i wszyscy w tym biznesie wiedzieli, że ta operacja została zakończona przed dwoma laty. Ten znak nie miał prawa pojawić się na ulicy Kritikiou - ale się pojawił! *Attaché* zawrócił samochód, pojechał z powrotem do ambasady i wysłał e-mail do Moskwy.

Dopiero następnego ranka pewien Irańczyk z jordańskim paszportem zauważył ów znak i poinformował o tym Teheran. Wtedy, oczywiście, było już o wiele za późno.

Fred opuścił ich w porze kolacji. Zrobił, co mógł; teraz musiał wrócić do biura, odpowiadać na telefony, udawać, że stara się nadrobić zaległości w papierkowej robocie. Było mu szczerze przykro z tego powodu.

Czyli Alan i Dukas znów musieli radzić sobie we dwójkę.

Alan śledził Marengo. Dukas czatował na ulicy Kritikiou. O szóstej dwadzieścia Mike zauważył niedaleko znaku kogoś podobnego do Bonnera, poszedł więc za nim. Miał wrażenie, że człowiek ten wszedł do kościoła. Stał na schodach, przy wejściu, i zadzwonił do Alana; obawiał się, że gdy wejdzie do środka, nie będzie w stanie uzyskać połączenia.

- Zdaje się, że on tam jest. Chyba to kościół jest miejscem spotkania.
- Idę za chłopakiem. Krążymy po Pireusie. On chyba czegoś szuka.
- Cholera. - Dukas, zmęczony i podekscytowany, nie mógł opanować drżenia rąk. - Uważaj, żeby nie wskoczył do taksówki. Ja wchodzę do kościoła.
- A jeśli stracimy kontakt?
- To wtedy zaczynamy działać na własną rękę. Powodzenia.
- Nawzajem.

Alan włożył telefon do kieszeni. Marengo przez chwilę wpatrywał się w znak drogowy, po czym zwrócił się w lewo i ruszył przed siebie. Znajdowali się kilka przecznic od nabrzeża - pośród obskurnych barów i sklepów z odzieżą i pamiątkami. „Kup dla swojej dziewczyny prawdziwą grecką wazę.”

Za dziewięć siódma Donnie Marengo usiadł przy stoliku w ogródku „Adonai Café.” Alan chciał skontaktować się z Dukasem, ale nie udało mu się uzyskać połączenia.

Punktualnie o siódmej dziesiąt Sheldon Bonner przeszedł przez ulicę i zanurzył się w blasku światła „Adonai Café”.

Szedł swobodnym krokiem, jak człowiek, który nie spodziewa się, że jest obserwowany. Miał na sobie wytarte dżinsy, wełnianą kurtkę i ciemne okulary. W niczym nie różnił się od innych starszych wiekiem ludzi przechadzających się po okolicy, jednak Alan rozpoznał go od razu, bo patrzył na Donniego Marengo w chwili, gdy ten zauważył swojego ojca. Wystarczyło podążyć spojrzeniem za oczami Donniego, w których nagle pojawił się niepokój, ale i miłość.

Człowiek, który zabił mojego ojca, pomyślał Alan. Bonner przeszedł przez jezdnię, przepuścił niemieckiego marynarza i jego dziewczynę, po czym skierował kroki w stronę syna.

Alan musiał zdusić w sobie nienawiść. Musiał się uspokoić. Zgarnę ich obydwu, pomyślał, kiedy tylko on usiądzie. Alan postanowił, że podejdzie do nich, wyjmie swoją kartę identyfikacyjną i powie: „Porucznik Alan Craik, marynarka Stanów Zjednoczonych. Jesteście aresztowani pod zarzutem...” Jakim? Zabójstwa Mike'a Craika? Powie, że chodzi o samowolne oddalenie się z jednostki; zresztą, mniejsza z tym. Dukas ostrzegł Alana, by zwrócił uwagę na to, czy Bonner nie wziął ze sobą kilku ludzi mających zabezpieczyć teren przed obserwacją, ale w pobliżu nie było widać nikogo takiego. Dukas był przekonany, że nie dojdzie do żadnego spotkania, dopóki Bonner nie zorganizuje takiej grupy „twardzieli”, zdaniem Mike'a, „facetów ze spluwami, no wiesz - bandziorów”. Alan jednak przypuszczał, że Bonner nie miał na to dość czasu. Wierzył, że wszystko odbędzie się zgodnie ze starym planem komunikacji, że Jefremow jednak o czymś zapomniał.

A on, Alan, arestuje ich obu. Jeśli będą stawiać opór, najpierw zaatakuje Bonnera. Zabije go, gdy okaże się to konieczne. „Człowieka, który zabił mojego ojca.”

Bonner podszedł do stolika, przy którym siedział jego syn. Donnie wstał. Ucisnęli się...

I wtedy zadzwonił telefon Alana. Szybko podniósł go do ucha, nie chcąc splotyć Bonnera.

- Mike - szepnął.

- Kościół odpada - powiedział Dukas. - Czekałem i czekałem, wszedłem do...

- Mike, zamknij się, on tu jest... Mike, zaczęło się...

Bonner roześmiał się, posadził syna na krześle i machnął ręką na kelnera, po czym rzucił gazetę na stolik. Następnie mruknął coś pod nosem, roześmiał się znowu i wszedł do baru.

- Co u licha, Al... Hej? Al?

- Szlag by to! Wszedł do środka! Bonner tu jest, jest w środku, jego syn siedzi na zewnątrz...

- Gdzie, do cholery, gdzie?

- W... cholera, jak to... w Pireusie, „Cafe Adonai”...

- Już jadę...

- Mike, chłopak wychodzi! Cholera...

- Już jadę! Taxi... hej... - Dukas zaczął wykrzykiwać coś po grecku.

Donnie Marengo wziął gazetę, wyszedł z ogródka kawiarni i stanął przy krawężniku. Machnął ręką na taksówkę. Alan słyszał Dukasa i widział Marengo - obydwaj próbowali zatrzymać taksówkę; miał wrażenie, że ogląda film z niesynchronizowanym dźwiękiem.

Zatrzymał kelnera.

- Są tu tylne drzwi? Tylne drzwi? Drzwi?

- Ubikacja. W środku.

- Nie ubikacja! Tylne drzwi! Chryste...

Taksówka podjechała do krawężnika. Marengo wszedł na jezdnię. Alan rzucił się pędem przez taras i wyjrzał za róg kawiarni; były tam drugie drzwi, wychodzące na wąską alejkę. Bonner z pewnością był już daleko stąd.

- Taxi! Taxi! - Alan wypadł na ulicę, wymachując banknotami dwudziestodolarowymi. Sprzęt do bezpiecznej komunikacji ciążył mu jak kotwica.

- Mike! Mike, Mike! Mike? Słyszysz mnie? Mike, nie słyszę cię... Halo? Mike - ja-dę na lot-nis-ko! Taksówkarz mówi, że ta droga prowadzi na lotnisko. Mike? Halo? Halo-o-o-o. - Potrząsnął telefonem komórkowym i uderzył nim o udo. - Halo, Mike? Mike, nie słyszę cię. Jeśli ty mnie słyszysz, Marengo jedź na lotnisko. Będę w hali odlotów. Ha-la od-lo-tów, lot-nis-ko w A-te-nach! - Westchnął, zirytowany.

Kierowca obejrzał się.

- Te komórki są do niczego. Radio to podstawa. - Parsknął śmiechem. Uparł się, by opowiedzieć Alanowi o swoim trzyletnim pobycie w Cleveland. Wyrażnie mu pochlebiało, że wioził kogoś, kto powiedział: „Jedź pan za tym samochodem”.

Czy rzeczywiście jechali za Marengo? Zapadł zmrok; widać było tylko światła samochodów, które w ciemności niczym się od siebie nie różniły.

Alan myślał o tym, jak niewiele zabrakło do szczęścia, a także o niebywałej pewności siebie Bonnera. Okazał się świetnym aktorem. Co dowodziło, że w razie potrzeby Bonner potrafił być niezwykle przebiegły. W końcu udało mu się wyjść na pokład z kradzionym urządzeniem kodującym IFF i dokonać sabotażu.

Alan poczuł mdłości.

13 grudnia 1993, 17.58 czasu Greenwich, Moskwa

Gdy z Aten nadeszła wiadomość, że w jednym z miejsc kontaktowych pojawił się znak stosowany niegdyś przez Jefremowa, urzędniczka SWR właśnie rozmawiała przez telefon z przyjaciółką. Pracowała tu już dość długo, by wiedzieć, co należy zrobić; przyciskając słuchawkę ramieniem do policzka, wpisała wiadomość do komputera i umieściła ją na liście informacji o niższym priorytecie. Rankiem miała ona zostać wysłana e-mailem do czterdziestu trzech uprawnionych osób, ale dziś wieczorem nikogo nie będzie się z jej powodu wyciągać z łóżka. Jedną z owoch czterdziestu trzech osób była Daria Uspienskaja.

13 grudnia 1993, 18.10 czasu Greenwich, lotnisko w Atenach

Przed lotniskiem było tłoczno od taksówek, samochodów osobowych i autobusów. Rozpoczął się sezon urlopów zimowych - cudzoziemcy przyjeżdżali, Grecy wyjeżdżali. Klaksony zawodziły niczym chór oszalałych żab. Silniki warczały nieprzyjaźnie; kierowcy popatrywali na siebie spode łba, obrzucali się wyzwiskami i pokazywali wulgarne gesty; powietrze wypełniał smród spalin.

Alan stracił Donniego Marengo z oczu. Gdy taksówka wjechała na oświetloną pochylnię, wóz wiozący Marengo zniknął pośród dziesiątek innych samochodów. Alan nie miał wyjścia - wcisnął kierowcy pieniądze i wysiadł, po czym zaczął biegać od auta do auta, zaglądając do każdego z nich, niepokojąc pasażerów i irytując kierowców. Ale Donniego Marengo nie znalazł. Najwyraźniej był już w terminalu, o ile w ogóle dotarł na lotnisko.

W przestrzennej hali było może nieco luźniej, ale i tu tłok dawał się we znaki. Z głośników płynęła melodia „White Christmas”, bezbarwna, obca. Przed kasami wiły się długie, powoli pełzające naprzód kolejki. Ani śladu Marengo. Alan domyślał się, że Bonner przekazał synowi bilet i dokładne instrukcje w gazecie, którą zostawił tia stoliku w „Adonai Café”. Prawdopodobnie zarezerwował miejsce w samolocie odlatującym jak najwcześniej, tak by śledzący chłopaka agencji -jak

Alan w tej chwili - zgubili się w ogromnym terminalu. Z drugiej strony, Marengo musiał stanąć przynajmniej w jednej kolejce, okazać paszport i bilet - chyba że Bonner załatwił mu kartę pokładową. Mało prawdopodobne, pomyślał Alan. Nawet na tak słabo zabezpieczonym lotnisku, jak w Atenach, bez paszportu nie wejdziesz się na pokład. Bonner zapewne miał zapasowy dokument, ale synowi na pewno nie zdażył takiego załatwić. Przynajmniej Alan miał taką nadzieję.

W przeciwnym razie byłby to koniec.

Alan przecisnął się wzdłuż rzędów ludzi stojących w kolejkach. Przed jego oczami przewijały się twarze, dziesiątki twarzy, ale żadna z nich nie była tą, której wypatrywał. Potem spojrzął na ekrany pokazujące pory przylotów i odlotów. Zerknął na zegarek: prawie osma. Przypuśćmy, że ojciec dał mu czterdzieści pięć minut, niewiele, ale powinno wystarczyć... Czyli jego samolot odlatuje najpóźniej o dwudziestą czterdzieści pięć. Brakowało mu Dukasa. Przydałaby się jego wiedza i wsparcie. W pojedynkę Alan czuł się niepewnie.

Sprawdził, które samoloty odlatują przed dwudziestą czterdzieści pięć. Było ich dwadzieścia trzy. Ponad połowa z nich odbywała rejsy do miast w Grecji i na Bałkanach; Alan uznał, że tam Marengo raczej się nie wybiera - skoro zdaniem Dukasa Albania nie nadawała się na punkt kontaktowy Jefremowa, to prawdopodobnie dotyczyło to też innych krajów tego regionu. Pozostało dziesięć możliwości: Londyn, Delhi, Stuttgart, Nowy Jork, Tel Awiw, Rijad, Bahrajn, Johannesburg, Kair, Paryż.

Dobry Boże. Może polecieć do każdego z tych miast. Alan omiótł spojrzeniem kasy biletowe. Stanowiska dziesięciu interesujących go linii lotniczych były porozrzucane po całej hali. Nie było szans, by sprawdzić je wszystkie w kilka minut, które pozostały do czasu, gdy Donnie Marengo zniknie w sali odlotów.

No tak. Obudził się w nim zadziwiający fatalizm. „Albo się uda, albo nie. Albo zgadnę, albo nie". Ale nie mógł zdać się tylko na ślepy traf. „Jesteś oficerem wywiadu. Rusz głową". Bonner chciał dostać się do Teheranu. Posługiwał się starym planem komunikacji, który zawiódłby go do Moskwy. Gdyby tam właśnie chciał się dostać, mógłby spokojnie polecieć do Londynu albo Paryża; ale jeśli wybierał się do Teheranu, traciłby czas udając się do któregokolwiek z tych miast. Poza tym podejmowałby niepotrzebne ryzyko - Anglia i Francja były sojusznikami Stanów Zjednoczonych, na ich terenie stacjonowali agenci NCIS i FBI. Bahrajn. Rijad. Bahrajn, owszem. Rijad, nie. Arabia Saudyjska nie miała najlepszych stosunków z Iranem.

Nowy Jork i Tel Awiw - wykluczone.

Pięć zdecydowanych „nie", jedno prawdopodobne.

Zostały cztery miasta: Delhi, Stuttgart, Johannesburg, Kair.

Stuttgart - nie. Baza wojsk amerykańskich, bacznie strzeżone lotnisko.

Delhi. Jasne, czemu nie? A gdzie ten samolot lądował po drodze? Air India. Pewnie nigdzie. Delhi?

Kair. Nie. Egipt utrzymuje dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, jest jedynym państwem, które uznało Izrael.

Johannesburg. Południowy kraniec Afryki. Zupełnie nie po drodze do Teheranu. Chociaż zaraz... kiedy obowiązywały sankcje, RPA szukała przyjaciół, gdzie tylko się dało. Czy istniało połączenie lotnicze między Johannesburgiem a Teheranem?

W jego pamięci odżyło wspomnienie. Air South Africa do Johannesburga. Nie mógł wtedy polecieć tym samolotem, ponieważ rząd postanowił, że wojskowi i urzędnicy federalni mają przestrzegać sankcji - w związku z tym nie wolno było latać południowoafrykańskimi liniami lotniczymi. Alan wcale nie był z tego zadowolony, jako że samoloty linii Air South Africa docierały w miejsca, które chciał odwiedzić. Entebbe, Kigali, Kinszasa.

Entebbe.

A stamtąd już niedaleko do granicy z Sudanem. Sudanem, w którym roilo się od libijskich i irańskich szpiegów. W którym znajdowały się obozy szkoleniowe dla terrorystów.

Alan zerwał się do biegu. W myśli ustalił listę priorytetów: Johannesburg, jeden; Bahrajn, dwa; Delhi, trzy. Stanowisko Air South Africa znajdowało się trzydzieści metrów dalej, Emirates Air trzydzieści metrów w przeciwnym kierunku, Air India na drugim końcu hali. Może, może...

O Boże, gdyby tak teraz był tu Dukas!

Przy kolejce do stanowiska Air South Africa stała kobieta w uniformie, wyglądająca na mocno zagniewaną. Właśnie wpychała kogoś do kolejki; kiedy skończyła, spojrzła spode łba na Alana.

- Tak?

- Hmm... szukam znajomego, zdaje się, że już przeszedł przez kontrolę... Entebbe? Johannesburg?

- Entebbe, tak, Johannesburg, samolot już czeka. Ma pan bagaż?

Alan podniósł sprzęt do bezpiecznej komunikacji.

- Bilet?

Potrząsnął głową. Kobieta, wyraźnie zirytowana, pociągnęła go za rękę w stronę kasy.

- Mój znajomy... nie chciałbym polecieć bez niego... wysoki, chudy...

- Amerykanin? Tak, zdaje się, że jest już w poczekalni. Jego nazwisko?

- Marengo. - Chyba że ojciec załatwił mu fałszywy paszport.

Stanęli przy kasie. Rozgniewana kobieta odpędziła machnięciem ręki następnego klienta w kolejce i niemal rzuciła Alana na ladę. On miał już w dłoni paszport i kartę kredytową. Jasnowłosy mężczyzna zaczął wpisywać coś do komputera.

- Mój znajomy... Don Marengo... czy on...?

Mężczyzna pokiwał głową, obejrzał paszport Alana i rzucił dokument na ladę.

- Chce pan miejsce obok znajomego?

- Hmm... nie. Nie! Mężczyzna

wlepił wzrok w Alana.

- Chcę mu zrobić niespodziankę. Kiedy przylecimy do...mmm... - Entebbe? Czy Marengo miał bilet do Entebbe?

- Proszę bardzo, panie Craik, oto bilet do Johannesburga, w jedną stronę, ręczny bagaż. Musi pan się pospieszyć. Pańska karta kredytowa. Pański bilet. Wyjście numer...

Alan zabrał wszystko i szybkim krokiem ruszył we wskazanym kierunku. Sprzęt do bezpiecznej komunikacji ciążył mu jak walizka pełna żelastwa. Czy ochrona pozwoli mi wnieść to na pokład? - pomyślał. W jaki sposób Dukas przechodził z tym przez kontrolę? Co należało powiedzieć? „To mój tajny sprzęt”?

Kiedy stał już w kolejce do stanowiska ochrony, odezwał się czyjś pager. Alan aż podskoczył. Nerwy, pomyślał. Muszę się przespać. Zastanawiał się, co zrobi po wejściu na pokład. Gdyby był tam i Marengo, i Bonner, można by powiadomić o tym załogę. Czy pilot mógł wezwać kogoś, kto czekałby na Alana na lotnisku? Zdaje się, że w Nairobi mieściło się przedstawicielstwo FBI. Alan nie miałby nic przeciwko temu, żeby samolot tam wylądował. Nie chciał pomocy CIA; drugi raz nie da się zrobić w konia. Ale jeśli pierwsze międzylądowanie nastąpi w Entebbe, pojawi się problem. W Ugandzie nie było nic. Ani NCIS, ani FBI. Poza tym, jaki był prawny status pasażera samolotu przed kontrolą celną...?

Pager brzęczał uporczywie. Nie, to nie pager. Komórka jakiegoś pacana. „Odbierz to, durniu!”

Ktoś trącił go w ramię. Alan odwrócił się. Jego oczom ukazał się niski, tęgi czarnoskóry mężczyzna, który powiedział nieskazitelnym oksfordzkim akcentem:

- Pański telefon komórkowy, przyjacielu.

„Boże, to mój telefon!”

Wyciągnął go z kieszeni.

- Al! Chryste, co ty, śpisz? Słuchaj, Donnie Marengo leci do Johannesburga o ósmej czterdzieści trzy. Właśnie sprawdziłem to na komputerze. Gdzie jesteś?

- Mike...

- Może uda się opóźnić start, jeśli zdążysz na lotnisko przed dziewiątą. Gdzie jesteś?

- Mike, a gdzie ty jesteś?

- W drodze na to cholerne lotnisko!

- Mike, zaraz wejść na pokład samolotu do Johannesburga. Jestem na lotnisku. Skąd wiedziałeś... ?

- Słyszałem, co krzyczałeś do telefonu. Spoko. Rozmawiałem z ochroną lotniska, to Grecy, szybko się dogadaliśmy, znaleźli Marengo na liście pasażerów. Trzymaj się, Al. Zadzwoń do moich koleś z ochrony i namówię ich, żeby opóźnili trochę start samolotu. Postaram się zdążyć.

- Mike, Mike... możesz ich namówić, żeby aresztowali tych dwóch? - Spojrzał na stojącego za nim mężczyznę; jego twarz wyrażała zdumienie. - Jeśli Bonner i Marengo sana pokładzie samolotu, możemy ich zgarnąć tutaj!

- Nie, nie sądzę. Grecja niechętnie pomaga Wujowi Samowi w takich sprawach. Nie. Po prostu wyrzucą nas czterech z kraju, żebyśmy rozwiązywali swoje problemy gdzie indziej. Nie. Musimy ich złapać w Johannesburgu.

- Mike, oni prawdopodobnie nie wybierają się do Johannesburga. Bonner kupił co prawda chłopakowi bilet na całą trasę, ale założę się, że wysiądą w Entebbe.

- Co to u licha jest Entebbe?

- Lotnisko pod Kampalą, w Ugandzie. Stamtąd łatwo można dostać się do Sudanu. Kojarzysz Sudan, Mike? Państwo islamskie wspierające międzynarodowy terroryzm, przyjaciel Kaddafiego?

Alan znalazł się przy stanowisku ochrony. Postawił sprzęt na przenośniku.

- Muszę lecieć. Pospiesz się!

- Już jadę. Zaczekaj z kolacją, mamusi!

Sprzęt do bezpiecznej komunikacji stał po drugiej stronie barierki. Nikt nie zwrócił uwagi na podejrzany bagaż. Ateny rzeczywiście były nieszczelne.

Alan podszedł szybkim krokiem do wejścia do sali odlotów, okazał paszport i kartę pokładową i rozejrzał się w poszukiwaniu Marengo. Nie było go tutaj, czyli wszedł już na pokład.

A Bonner?

Gdy nadeszła pora odlotu, pojawiło się jeszcze kilku pasażerów, potem jeszcze dwóch, a po chwili trzech. Stewardesy zaczęły ponaglać Alana, by wszedł na pokład, choć w tym samym czasie dwaj umundurowani członkowie ochrony klócili się z inną stewardesą i kręcili głowami. Pojawił się kolejny pasażer, potem jeszcze jeden. Nie ukrywali radości z opóźnienia.

Mijały kolejne minuty.

Stewardesy były niezadowolone.

Nagle na końcu długiego korytarza pojawił się Dukas. Biegł. Jego pulchne ciało zdawało się zawieszona nad ziemią, a krótkie nogi rozpaczliwie młóciły powietrze, tak że przez chwilę wydawało się, że Mike stoi w miejscu - po czym nagle znalazł się przy stanowisku ochrony, rzucił paszport na blat stolika, łapiąc powietrze wpadł do sali odlotów i zawisł na ramieniu Alana. Westchnął ciężko i spojrzął mu w oczy.

- Następnym razem umówmy się odpowiednio wcześniej - powiedział.

Pięć godzin później, nad Afryką, po kolacji i seansie filmowym, Dukas wstał z miejsca i podszedł do rzędu, w którym siedział Donnie Marengo. Do tego czasu Alan i Mike zdążyli zwiedzić cały samolot, ale Bonnera nie znaleźli. Albo przebrał się tak, że nie dało się go rozpoznać, albo nie było go na pokładzie i miał spotkać się z synem na miejscu.

Dukas zaczął, aż osoba siedząca obok Marengo wyszła do toalety. Wtedy spokojnie zajął miejsce obok młodego Amerykanina, po czym szturchnięciem wywał go ze snu.

- Cześć, Donnie. Pamiętasz mnie? - Wyciągnął swoją odznakę. - Zdaje się, że chcesz ze mną pogadać.

14 grudnia 1993, 5.15 czasu Greenwich, Moskwa

Daria Uspienskaja przeczytała wiadomość o znaku, który nieoczekiwanie pojawił się w Atenach. Od razu domyśliła się, co to znaczy: ktoś działał zgodnie z planem komunikacji, opracowanym przez Jefremowa. Doszła do nieprawidłowego, choć oczywistego wniosku, że agent Jefremowa próbował skontaktować się z prowadzącym go oficerem. Agentów było tylko dwóch - Anglik i Amerykanin. Uspienskaja, nie w ciemnię bita, rychło powiązała ze sobą wyjazd Alana z Paryża i to, co usłyszała od Sally Baranowski, i odgadła, zresztą słusznie, że amerykański agent Jefremowa znalazł się w tarapatach.

Po krótkiej rozmowie ze swoim szefem wysłała wiadomość do Sally Baranowski.

27

8.00 czasu Greenwich, 14 grudnia 1993, Kampala, Uganda

Kampala leży pośród porośniętych bujną zieloną roślinnością wzgórz, na czerwonej ziemi, która po części zawdzięcza swoją barwę krwi przelanej na przestrzeni wieków przez dawnych władców Bugandy, Brytyjczyków, fanatyków religijnych, handlarzy niewolników, Idi Amina, rebeliantów, okupantów i walczące armie. Mimo to miejscowy lud nigdy nie dał się złamać; odradzał się po każdej klęsce, zawdzięczając przeżycie żyznej ziemi, obficie zraszanej deszczem. Obecnie wzgórza Kampali wydają się raczej brązowe i różowe od ścian i dachów budynków, niż zielone i czerwone, a zarośla rozlewają się za miastem niczym wspomnienie, niczym krew.

Dukas przez dwie godziny rozmawiał z Donniem Marengo. Najpierw siedzieli w sąsiadujących fotelach, potem przenieśli się na tył samolotu, pod drzwi kuchni. Marengo wreszcie skapitulował.

- Widzisz, Donnie, ja tylko sobie stoję. Nie próbowałem cię aresztować. Wystarczy, żebyś powiedział, że oddajesz się w nasze ręce i tyle. Zrobisz duży krok we właściwym kierunku. Na razie sobie gawędzimy. Ale jeśli pójdziesz na współpracę z nami, pomożesz nam, odnotuję w aktach, że postąpiłeś tak, jak na leżało.

Marengo był zmęczony, chociaż spał dłużej niż Dukas czy Alan. Świadomość, że jest ścigany, nie dawała mu spokoju, a do tego zaczynał popadać w depresję, co jeszcze bardziej pogarszało jego stan ducha.

- Co z moim tatą? - spytał. Dzięki długim wywodom Dukasa obydwaj wie dzieli już, że ich rozmowa tak naprawdę dotyczy Bonnera.

- Donnie, wiesz przecież, że najlepiej będzie, jeśli odda się w nasze ręce. Chcesz, żeby wylądował w Iranie? Wcale mu się tam nie spodoba, doskonale o tym wiesz. Tam nienawidzą Amerykanów. Jeśli namówisz go, żeby się od dał w nasze ręce, obiecuję ci, że zawrzemy z nim układ. On ma nam dużo do zaferowania. Posiedzi parę lat, ale... - Dukas już wyjaśnił Donniemu, że Bonner pracował dla Iranu, nie Izraela. A wcześniej dla Związku Radzieckiego.

Zmęczone oczy Donniego Marengo zaszkliły się od łez. Nad Afryką rozbłysło słońce.

- Dobrze. Przyznaję się - powiedział chrapliwym głosem. Zamknął oczy i spod jego powiek popłynęły łzy.

Przyjechali z Entebbe taksówką, Alan, Dukas i Donnie Marengo. Alan natychmiast wybrał się na poszukiwania szofera. Wreszcie znalazł człowieka, który wydawał się odpowiedni - chudego, posępnego mężczyznę imieniem Danio, zaawansowanego wiekiem jak na taksówkarza. Miał land cruisera, zdezelowanego, ale na chodzie. Alan dał kierowcy pięć amerykańskich dwudziestek.

Mike zabrał Marengo do hotelu, gdzie mieli zostać do czwartej. Właśnie na tę godzinę zostało zaplanowane spotkanie na targowisku miejskim, spotkanie Donniego Marengo z Sheldonem Bonnerem i...? Bonner przekazał chłopcu wszystkie szczegóły w gazecie pozostawionej na stoliku w kawiarni w Pireusie. Czy improwizował, czy też nawiązał już kontakt z Teheranem?

14 grudnia 1993, 12.35 czasu Greenwich, Norfolk

Komandor Reicher usiadł za biurkiem, postawił przed sobą kawę, pierwszą tego dnia, i wziął do ręki pierwsze tego dnia papiery, gdy zadzwonił telefon. Reicher jęknął. Bardzo sobie cenił pierwsze pół godziny w pracy, kiedy w budynku panowała zupełna cisza; od wyjazdu tego rannego ptaszka Craika nie było tu o tej porze nikogo poza samym komandorem.

- Komandor Reicher.

- Komandorze Reicher, mówi Sally Baranowski z CIA. Czy nie wie pan, gdzie mogłabym odnaleźć porucznika Alana Craika?

Komandor uniósł brew. W równym stopniu zaskoczyło go pytanie o miejsce pobytu Craika, co fakt, że CIA skontaktowała się bezpośrednio z nim, Reicherem.

- Przykro mi, porucznika Craika tu nie ma. Czy mogę jakoś pomóc?

- Bardzo możliwe. Przed trzema dniami... Czy moglibyśmy przejść na bezpieczną linię?

Reicher zmarszczył brwi.

- Oczywiście. - Włączył sprzęt do bezpiecznej komunikacji i odczekał chwili, by Baranowski zrobiła to samo. - Halo? Możemy już rozmawiać?

- Tak. - Jej głos brzmiał metalicznie, tak jak powinien.

- Słucham.
- Towarzyszyłam porucznikowi Craikowi w wyjeździe do Paryża. Mieliliśmy tam otrzymać od Rosjan tajne materiały.
- Tak, słyszałem o tym.
- Porucznik Craik nagle wyjechał.
- Tak.
- Nie domyśla się pan, gdzie on może być?
- Domyślałam się, owszem, ale w tej chwili nie chcę dzielić się tą informacją. Rozmówczyni komandora zamilkła na chwilę.
- Będę z panem szczerą - powiedziała wreszcie. To byłoby coś nowego, pomyślał, wspominając swoje ostatnie przejścia z Agencją. - Otrzymaliśmy wiadomość, że wczoraj w Atenach pojawił się znak, za pomocą którego KGB nawiązywała niegdyś łączność ze swoimi agentami. Wydaje nam się, że stanowi on część planu komunikacyjnego, który Alan Craik oglądał w Paryżu. Hmm... krótko mówiąc, być może chodzi o plan komunikacyjny amerykańskiego wojskowego, który pracuje dla obcego rządu.
- Czy dziwnym trafem jest to ten wojskowy, o którym wiedzieliście od ponad roku, nic nam o tym nie mówiąc?
- Nie ja podejmowałam tę decyzję! Owszem, byliśmy w posiadaniu tej informacji, ale czy to ma w tej chwili znaczenie? Wydaje mi się, że są istotniejsze sprawy.
- Oczywiście kiedy idzie o nas, decyzje podejmuje ktoś inny; natomiast kiedy problem macie wy, sprawa z miejsca staje się istotna.
- Nie chcę się spierać, mamy niewiele czasu. Czy Alan Craik jest w Grecji?
- No proszę, miała głowę na karku. Reicher właśnie trzymał w dłoni notatkę sporządzoną przez dyżurnego, stwierdzającą, że Alan dzwonił z Pireusu.
- Wątpię, czy to Craik zostawił ten znak, jeśli do tego pani zmierza - powiedział, choć uważał, że Alan zrobiłby to, gdyby doszedł do wniosku, że w ten sposób zwabi ściganego w pułapkę. Mój Boże, czy on mógł to zrobić?
- Czy mówi coś panu nazwisko Jefremow?
- Tak, oczywiście. Były oficer KGB, który uciekł do Iranu. Ten, o którym nam nie powiedzieliście.
- Zignorowała ten przytyk.
- Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyciła dziś rano telegram z Aten do Teheranu, dotyczący tego samego znaku. Z pewnością miał go zoba czyć przede wszystkim Jefremow. Jednak z treści telegramu wynika, że nikt nie wie, co może wskazywać na to, że Jefremow nie zajmuje się już prowadzeniem agentów albo jest w Teheranie i nie może nawiązać kontaktu. Stąd wniosek, że coś nie gra. Może to oznaczać, że Alan wmieszał się w spaprana operację, a to naprawdę niebezpieczne.
- Reicher zwrócił uwagę na to, że Baranowska powiedziała o Craiku „Alan”, wyczuł w jej głosie osobiste zainteresowanie - sympatię? coś więcej? - i spytał:
- Ma pani doświadczenie operacyjne?
- Zawahała się.

- Byłam dyrektorem placówki w... .hmm... pewnym małym państwie. Tak.
- Dlaczego uważa pani, że Alan ma z tą operacją coś wspólnego?
- Bo ma obsesję na punkcie zabójcy ojca.

Reicher uznał, że „obsesja” to trochę za mocne słowo, ale Baranowski była na właściwym tropie.

- No i? - spytał.

- Wyjechał z Paryża zaraz po czymś telefonie. Wziął ze sobą kopię planu komunikacji. Na lotnisku dowiedziałam się, że poleciał do Neapolu, jednego z miast wymienionych w planie. Co on knuje, komandorze? Proszę być ze mną szczerym - czy prowadzicie za kimś pościg?

Reicher pomyślał o Alanie i o agencie NCIS, który prowadził „Nocną Wachtę”, jak mu tam było? Dukas. Kolesie. Przy Craiku kręcił się też ten wielki czarny facet, O'Neill, i gość z FBI, były oficer marynarki, Peretz. Reicher trzymał się z daleka od „Nocnej Wacht”; dla Alana miała to być sprawa drugorzędna, urozmaicenie jego codziennej harówki. Czy to możliwe, że rzeczywiście ścigali właściwego człowieka?

- Oddzwonię do pani - powiedział.

- Jak najszybciej - odparła.

Przez chwilę zastanawiał się, czemu właściwie miałby pójść na rękę CIA, która jego zdaniem w rewanżu za oddaną przysługę nie dałaby mu nawet pary brudnych skarpet.

- Dobrze, jak najszybciej. - A miał nadzieję, że spędzi ten poranek w spokoju.

13.00 czasu Greenwich, Kampala, Uganda

Targowisko miejskie to labirynt wąskich korytarzy, przykrytych niskim dachem, oraz zawalony gruzem błotnisty plac pełen straganów, ciągnących się aż do pasażu handlowego w górze. Można tu kupić warzywa i owoce, sznur i szpagat sizalowy, koszyki, żywe i martwe kurczaki, mięso *halal*, pamiątki, bieliznę Calvina Kleina (fason, który wyszedł z mody zaledwie kilka lat temu), kolorową tkaninę o nazwie *kitambaa*, używane buty, sandały z opon, kasety Michaela Jacksona, ubranka dla niemowląt i wszystkie inne rzeczy, których potrzebuje lub pragnie lud odżywający po wojnie domowej, a które upychają tu kraje uprzemysłowione. Na tyłach budynku znajduje się brama wychodząca na zawalone gruzem wzgórze; przy niej stoją handlarze oferujący buty i rowery, bez których Ugandyjczycy nie mogliby się obejść.

Spotkanie miało nastąpić o czwartej w tej właśnie bramie.

A przynajmniej tak twierdził Donnie Marengo.

Alan rozejrzał się po okolicy i wiedział już, że na zewnątrz, po lewej stronie bramy, za rzędami straganów z butami, biegnie uliczka wiodąca do jednej z wąskich alejek, tworzących labirynt, w którym zniknąć mógł nawet biały człowiek. Po prawej stronie bramy widać było tylko słońce, trochę podejrzenie wyglądają-

cych chwastów i chropowaty mur, ciągnący się przez trzydzieści metrów. Z przodu natomiast zbrocze wzgórza pięło się ku ulicy.

Tam właśnie stała stara toyota, w której zgodnie z poleceniem Alana czekał Danio. Donnie Marengo był w samochodzie, przykuty kajdankami do Dukasa. Ze wzgórza Mike mógł odpowiednio wcześniej zobaczyć każdego, kto będzie szedł w stronę budynku.

Po wejściu do bramy oczom obserwatora ukazywały się stragany, poustawiane wzdłuż ścian, a także prostopadłe do nich, w kilku rzędach. Między nimi utworzyło się wąskie przejście biegnące niemal do samego frontonu - z tamtej strony były jednak dwa wyjścia, oddzielone od siebie sklepami mięsnymi i budką z owocami. Przez to nie dało się obserwować całego targowiska.

Alan przypomniał sobie określenie, jakiego Dukas użył do opisanja grupy zabezpieczającej teren - „nieprzyjemne typy, bandziory” - i zaczął się zastanawiać, czy Bonner i jego officer prowadzący mieli dość czasu, by taką grupę zorganizować.

Miał nadzieję, że nie.

Wcześniej żałował, że nie ma pistoletu. Teraz, stojąc w półmroku zalegającym targowisko, uzmysłowił sobie, że biorąc ze sobą pistolet popełniłby błąd. Było tu zbyt wielu ludzi, a odkryte stragany nie mogły zapewnić osłony nawet przed rzuconym kamieniem. Strzelanina mogłaby zakończyć się śmiercią niewinnych ludzi.

Czyli zostaliśmy we dwóch, ja i on, pomyślał Alan. A jeśli Bonner nie będzie sam?

Alan trzymał w ręku angielską gazetę, zgodnie z instrukcjami Marengo. Miał ciemne okulary, czapkę baseballową i koszulę z krótkim rękawem - z daleka mógł nieco przypominać Donniego Marengo. Czy to wystarczy, by oszukać jego rodzzonego ojca? Prawdopodobnie nie, ale może uda się zmylić obserwatorów, którzy nie widzieli Marengo na oczy i - Boże, oby tylko -nie dostali jego fotografii, bo nie starczyło czasu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, obejrzą teren, wrócą do Bonnera i zameldują, że Donnie czeka.

O ile w ogóle się pojawiają.

Alan bacznie obserwował wszystkich ludzi, którzy pojawiali się z przodu, w przejściu między straganami, lub zmiierzali ku niemu wzdłuż stoisk ciągnących się po prawej i lewej stronie. Mniej więcej zapamiętał już niektórych handlarzy (choć nie można było wykluczyć, że któryś z nich był obserwatorem wynajętym przez Bonnera - w końcu jeśli starczyło mu czasu na przygotowanie planu ucieczki, czemu nie miałyby umieścić swojego człowieka tu, na miejscu?). Alan nie zwracał większej uwagi na starszych wiekiem, grubych mężczyzn, wypatrując raczej smukłych Sudańczyków o pociągłych twarzach. A może należało spodziewać się Ugandyńczyków, wynajętych do tej operacji? Albo Arabów? Z drugiej strony, może nie należało się spodziewać nikogo?

Alan nie myślał o tym, jak ważny to dla niego dzień. Liczyła się tylko chwila obecna; rozglądał się na wszystkie strony w skupieniu, gotowy do działania. Czuł się jak zapaśnik tuż przed walką, z rękami na karku rywala oczekujący na komen-

dę sędziego. W hotelu myślał tylko o przeszłości i przyszłości; o Rose i dziecku; o ojcu; o swojej karierze; o Rose.

Teraz oczyścił umysł ze wszelkich myśli.

I wtedy ujrzał Bonnera.

13.03 czasu Greenwich, Norfolk

- Pani Baranowski? Tu komandor Reicher.
- Dziękuję, że pan zadzwonił. Nie byłam pewna, czy...
- Później o tym pomówimy. Wie pani, co to jest „Nocna Wacht”?
- Słyszałam o tej sprawie.

Reicher opowiedział w skrócie o przebiegu śledztwa i zdradził, co wie o wojażach Alana.

- Craik skontaktował się ze mną dwukrotnie - z Bari i z Aten. Co do Aten miała pani rację, tak, on tam był. Wychodzi na to, że Craik i Dukas prowadzą pościg za dwoma podejrzanymi w sprawie „Nocna Wacht”. Zdaje się, że są sami. W tej chwili nie jesteśmy w stanie nadażyć za rozwojem wydarzeń, więc lepiej powiedzcie nam, co wiecie, bo inaczej możemy stracić cholernie dobrego młodego oficera.

Sally długo milczała.

- Szkoda, że bardziej nam nie zaufała. Teraz żałuję, że zraziliśmy go do siebie. Gdyby tylko pozwolił sobie pomóc...

Reicher przysunął do siebie wykonany przed godziną wydruk jednego z plików z komputera Alana.

- Oto moje warunki. Nie postawicie Alanowi ani Dukasowi żadnych zarzutów. Prowadzenie operacji pozostaje w naszych rękach, będziecie nas o wszystkim informować na bieżąco. Jeśli spróbujecie nas wykiwać, wycofamy się i będziemy działać sami. Proszę przekazać to swojemu szefowi. Potem może się wyżalić prezydentowi, jeśli będzie chciał, ale niech wie, że mój admirał uprzedzi go i pierwszy poskarży się na brak współpracy z waszej strony. Umowa stoi?

- Stoi.

- W porządku. - Przewrócił stronę wydruku. - Podejrzanymi w sprawie „Nocna Wacht” są dwaj ludzie, nie jeden. Nazwiska: Sheldon Bonner i...

13.04 czasu Greenwich, targowisko w Kampali

Bonner zmaterializował się w zacienionym odcinku przejścia między straganami. Przez szczelinę w dachu wdarł się do wnętrza promyk słońca i utworzył na ziemi świetlisty prostokąt, przez który przemknął cień jakiegoś ptaka. Mimo że Bonner był częściowo schowany w cieniu, Alan rozpoznał go od razu; było coś charakterystycznego w jego sylwetce i ruchach, z których teraz nie wyzierała już taka pewność siebie, jak w kawiarni w Grecji.

Wyglądało na to, że jest sam.

- Bonner!

Bonner patrzył na niego, usiłując dojrzeć go w półmroku. Alan wyciągnął z kieszeni kartę identyfikacyjną, powoli, ostrożnie, jakby miał do czynienia z dziwkim zwierzęciem.

- Bonner, mam Donniego. - Podniósł kartę identyfikacyjną. - Porucznik Craik, marynarka Stanów Zjednoczonych.

Dwaj mężczyźni w kapeluszach i koszulach z krótkim rękawem wlepili w niego wzrok, a jedna ze sprzedawczyń zastęła w bezruchu, pochylona nad orzechem kokosowym z maczetą w dłoni.

- Bonner, mam twojego syna. Wyrzuj na zewnątrz. Na wzgórzu stoi szary land cruiser. Donnie jest w środku, z moim partnerem. Twój syn oddał się w nasze ręce, Bonner.

Bonner zrobił dwa kroki w jego stronę i znaleźli się tak blisko siebie, że Alan słyszał jego oddech, słyszał wyszeptane słowo „Donnie”. Spojrzenie Bonnera powędrowało w górę zaśmieconego wzgórza. Następnie z jego gardła wydobył się cichy jęk, jęk bólu i bezradności.

- Chodź ze mną, Bonner, zabierzemy cię do kraju. Zaświadczymy, że dobro wolnie oddałeś się w nasze ręce. Bonner, to koniec.

Alan włożył kartę identyfikacyjną z powrotem do kieszeni i wyciągnął rękę do Bonnera; gdy zrobił krok do przodu, znaleźli się tak blisko siebie, że Alan mógł po raz pierwszy dotknąć człowieka, którego tak długo szukał -jeszcze kilka centymetrów i zaciśnie dłoń na jego ramieniu. Czuł już ciepło bijące od skóry Bonnera.

Wtedy coś poruszyło się za stojącą obok budką; w tej samej chwili z daleka dobiegł krzyk Dukasa:

- Alan, za tobą!

Odwrócił się. Dwaj Murzyni chwycili Bonnera w silne ramiona i powlekli za sobą w głąb targowiska, podczas gdy on krzyczał „Donnie... Donnie...!”. Wydawało się, że Bonner stawia im opór, próbuje się uwolnić; tymczasem Alan poczuł potężne uderzenie w lewy bok. Zgiął się wpół, łapiąc ustami powietrze i odwrócił się twarzą do ściany; wtedy niewidoczny przeciwnik kopnął go mocno w przedramię. Alan zmusił się, by stanąć prosto i wtedy zauważył, że od strony drzwi idzie w jego stronę chudy ciemnoskóry mężczyzna, a drugi wyłania się zza rogu budki stojącej po prawej stronie.

„W walce kieruj się instynktem - mówił mu Miner w czasie ich wspólnych treningów. - Nie zastanawiaj się. Zabij”. Alan rzucił się do chudzielca, który właśnie stanął w drzwiach, uderzył go grzbietem dłoni w gardło i złapał za włosy, rąbnął jego głową w narożnik budki i pchnął go na drugiego z napastników. Trysnęła krew; Alan przeskoczył unieszkodliwionego bandziora, chwycił drugiego za twarz, jakby była to maska, którą zamierzał mu zdjąć, i wbił w nią palce. Następnie pchnął go z całej siły; głowa napastnika odskoczyła do tyłu i uderzyła o ścianę. Alan natychmiast popędził za Bonnerem, którego właśnie wyprowadzano na zewnątrz. Dwaj Murzyni nie musieli już ciągnąć go za sobą, szedł dobro-

wolnie, eskortowany przez nich. Bez wątpienia byli to jego ludzie, albo ludzie wynajęci przez jego oficera prowadzącego, grupa zabezpieczająca teren, której obawiał się Dukas; robili, co do nich należało - ochraniali agenta.

Bonner! - ryknął. Ludzie, którzy dotąd stali jak wryci, na dźwięk głosu Alana ożywili się, i, nauczeni smutnymi doświadczeniami wojny domowej, odruchowo rozpięzchli się w poszukiwaniu schronienia. Bonner odwrócił się. Napotkał spojrzenie Alana, ale zaraz odciągnięto go na bok i zniknął.

Alan zerwał się do biegu i wtedy poczuł silne uderzenie w prawy bok. Przeciwnik chciał go przewrócić, ale popełnił błąd - zadał zbyt lekki cios, może dlatego, że nie docenił Alana i uznał, że to wystarczy, by zwalić go z nóg. Jednak Craik przytrzymał się żerdzi z łuszczonego sizału podtrzymującej dach straganu, zrzucając przy tym tacę z małymi pomarańczami, które poturlały się po ziemi jak kule bilardowe. Odwrócił się i kopnął młodo wyglądającego napastnika w krocze. Chłopak był wyraźnie zaskoczony; miał tylko osłaniać ucieczkę Bonnera, powstrzymać Alana na kilka minut, po czym dołączyć do reszty. Zamiast tego poczuł przeszywający ból, jakby jądra podeszły mu do żołądka, i osunął się na ziemię. Został jeszcze kopnięty w nos i poleciał do tyłu; upadając, pociągnął za sobą dwie klatki z kurczakami. Jedna z nich rozpadła się i ptaki wyskoczyły w górę, by po chwili rozbiec się pośród rozsypanych pomarańczy. Jakaś kobieta wrzasnęła, jakby to ona została trafiona; rzuciła się biegiem w stronę Alana z nożem w dłoni, a on odwrócił się do drzwi, za którymi na wzgórzu czekał land cruiser.

Pierwszy z napastników, ten chudzielec, klęczał, a w dłoni miał pistolet.

Alan odskoczył w prawo. Rozległ się jeden wystrzał, potem drugi. Ptaki z wrzaskami zerwały się z krokwi, a targowisko wypełniło się krzykami ludzi. Kurczaki zaczęły głośno gdakać, rozległo się nawet pianie koguta. Alan zauważył, że lufa pistoletu znów obniża się powoli; chudzielec potrząsnął głową, jakby miał kłopoty z koncentracją. Krew płynęła mu z nosa i ust. Kiedy chciał oddać kolejny strzał, drugi Sudańczyk, ten, któremu Alan chciał ściągnąć skórę z twarzy, złapał kompana za rękę i wykręcił ją. Krzyknął coś w jakimś niezrozumiałym języku - najwyraźniej wydał rozkaz, czegoś zabronił. Przynajmniej jeden z nich ma dość oleju w głowie, by wiedzieć, że tu nie należy strzelać, pomyślał Alan. Mimo to padł kolejny strzał; na szczęście lufa pistoletu skierowana była w górę. Alan usłyszał, jak jakaś przerażona kobieta krzyczy, powtarzając na okrągło te same słowa, modlitwy czy inkantacji: powróciło piekło -wojna, Amin, pistolety.

Dwaj Sudańczycy zaczęli wrywać sobie pistolet. Alan skorzystał z okazji i rzucił się biegiem do wyjścia. Doszedł do wniosku, że jego prześladowcy też chcą uciec; mieli chronić Bonnera i zrobili swoje. Chudzielec chciał zabić Alana, by się zemścić, odpłacić Amerykaninowi za upokorzenie, ale nie dopuścił do tego drugi z napastników. Alan nic już dla nich nie znowy.

On tymczasem wypadł na zewnątrz. Słońce oślepiło go na chwilę; zmrużył oczy i dostrzegł jakieś poruszenie na szczycie wzgórza. Wyglądało to tak, jakby czterej ludzie tańczyli w kółko, wzbijając wokół siebie kurz. Kiedy wreszcie oczy przyzwyczyły mu się do światła, Alan zobaczył, że Dukas, skuty kajdankami

z Donniem Marengo, przygwaźdża go do maski samochodu. Dwaj Afrykańczycy próbowali dostać się do więźnia. Dukas kopnął jednego z nich, wykonał unik i zablokował dłonią cios; dostał mocnego kopniaka w brzuch, ale nie upadł. Marengo, zalany krwią, chwiejnym krokiem ruszył przed siebie, nieporadnie usiłując zdjąć kajdanki, ale wtedy Dukas, uniknąwszy kolejnego ciosu, złapał chłopca i ponownie przycisnął go do maski samochodu.

Alan zerwał się do biegu. Czuł silny ból w boku. Ten pierwszy cios - złamane żebro? Bieg po wyschniętej, twardej ziemi był męczący. Wokół wałyły się butelki i kawałki plastikowych worków. Alan oddychał chrapliwie. Widział już więcej szczegółów: jeden z napastników złapał Dukasa za rękę, a drugi sięgnął po coś, co miał schowane pod koszulą, za paskiem.

Alan podniósł z ziemi butelkę po piwie. Skoczył w stronę człowieka, który zdawał się siedzieć okrakiem na ręce Dukasa. W dłoni drugiego napastnika błysnął nóż. Alan przełożył butelkę do lewej ręki, zamachnął się i uderzył go w czoło. Z ust mężczyzny wyrwał się krzyk bólu. Nie wypuszczając rozbitej butelki z dłoni, Alan odwrócił się w prawo i stanął oko w oko z człowiekiem, który trzymał Dukasa za rękę. Przez chwilę krążyli wokół Mike'a, który cofnął się o krok, przyciskając Donniego Marengo do samochodu, wreszcie wyrwał się napastnikowi i pchnął go nogą w stronę Alana. Nieznajomy z trudem uniknął nadziania się na poszarpane szkło i wyrzucił rękę do przodu. Alan kopnął go z całej siły.

Dukas odwrócił się do Marengo, chciał podejść do niego, ale zanim zrobił krok, jęknął i upadł. Skuty kajdankami z więźniem, siedział na ziemi powtarzając: „Sukinsyn! Cholerajasma!”.

Alan kopnął napastnika raz jeszcze i zwrócił się twarzą do jego kompana. Ten jednak był już w połowie drogi w dół wzgórza. Twarz miał ukrytą w dłoniach, krew spływała mu po rękach i kapąła z łokci. Głośno krzyczał.

Z oddali dobiegło wycie syreny policyjnej.

Alan podniósł Dukasa z ziemi. Mike krzyknął z bólu. Nie zwracając na to uwagi, Alan bezceremonialnie wepchnął Donniego Marengo i Dukasa cło samochodu. Sam usiadł przy kierowcy.

- *Twende, twende!* - krzyknął do Danio. - *Polisi!*

Kierowca, wyraźnie zaniepokojony, wcisnął gaz do dechy. Z silnika dobył się głośny warkot i samochód wystrzelił do przodu.

14.27 czasu Greenwich, Norfolk

- Afryka? Czego oni, u licha, szukają w Afryce? - Głos Reichera był chrapliwy. Komandor martwił się o swojego oficera i myślał z niepokojem, co te najnowsze wieści mogą oznaczać dla śledztwa.

W głosie Sally Baranowski również słychać było niepokój.

- Alan wsiadł do samolotu do Johannesburga. Razem z nim poleciał agent NCIS, Mike Dukas, szef grupy...

- Wiem, wiem.
- Ruszyli w pościg za domniemanym szpiegiem i cholera wie, gdzie ich teraz szukać! Zresztą nie można ot, tak ścigać ludzi po całym świecie! Od tego jest FBI albo my! Na pewno nie należy to do obowiązków poruczników marynarki!
- Cóż, ten porucznik najwyraźniej ma inne zdanie. Dlaczego wybrali Afrykę?
- Cholera, wygląda na to, że ten wasz szpieg próbuje dostać się do Teheranu. Może poleci tam z Johannesburga, a może będzie chciał uciec przez Entebbe, Kigali albo Kinszasę. No i jest jeszcze Sudan.
- Sudan?
- Południowy Sudan to praktycznie strefa nieograniczonego ognia. Chrześcijańskie milicje, plemiona animistyczne walczące z rządem, Armia Wyzwoleńcza Sudanu Południowego... W każdym razie niezły burdel. Ale my sądzimy, że Jefremow zabierze Bonnerów z Johannesburga. W każdym razie obstawiliśmy lotniska we wszystkich miastach, gdzie mamy ludzi.
- Reicher zmarszczył brwi.
- Oby nie było za późno. - Coś mu mówiło, że CIA postawiła na Johannesburg tylko dlatego, że samolot z Dukasem i Alanem na pokładzie jeszcze tam nie wylądował.

15.05 czasu Greenwich, Kampala

Dukas leżał na łóżku z nogą na namoczonych we wrzątku ręcznikach. Donnie Marengo siedział przy nim, wciąż przykuty do niego kajdankami. Twarz miał oblepioną plastrami.

- To skurcz - powiedział Alan.
- Gdzie tam skurcz! Mięsień jest zerwany, mówię ci! Jezu, boli jak cholera! - Dukas podniósł się na łokciach. - Człowieku, ja nie mogę chodzić!
- Próbowałeś nogą zrzucić z siebie tego typa i zerwałeś mięsień. Przykro mi, Mike.
- I bardzo dobrze. Jezu. - Dukas przeszył Marengo gniewnym spojrzeniem. - To przez ciebie, gnoju. Powinienem być cię zabić.
- Nie chciałem uciekać! To oni mnie ciągnęli.
- Gdybyś jeszcze raz spróbował mi się wyrwać, skrzyłbym ci kark. Wiem, jak to się robi. - Położył się i spojrzał na Alana. - Dobrze, będę żył. Tyle wiemy. Kiedy wyjeżdżamy?
- Danio przygotowuje samochód. To potrwa z pół godziny.
- Co to znaczy, przygotowuje? Alan... - Znów podniósł się na łokciu. - Chyba nie... Nie, to niemożliwe! Chyba nie zamierzasz dalej ścigać tego sukinsyna!
- Zamierzam.
- On uciek! Daj sobie spokój! - Usiadł prosto, jęcząc z bólu. - Do cholery, to ja tu jestem szefem i mówię ci, operacja została zakończona. Zabieram podejrzanego do domu. Wsiądę do pierwszego samolotu i jutro będę już w Waszyngtonie, ot co!

- Dzisiaj nic z tego nie będzie. Samolot odlatuje dopiero jutro po południu. Przesiadka w Amsterdamie, osiem godzin czekania; powinieneś dotrzeć do Waszyngtonu za trzy dni. A wtedy ja już dostanę Bonnera.

- Alan, nie możesz tego zrobić!

- Danio szykuje zapasy żywności, paliwa i wody. On też uważa, że ci ludzie od Bonnera byli Sudańczykami. Zawiezie mnie na północ. - Spojrzał na Donniego Marengo. - Chłopak będzie mi potrzebny.

- To mój więzień! - W głosie Dukasa zabrzmiała groźba. - Alan! A jeśli mają tu kryjówkę? Przecież Bonner mógł się gdzieś zaszyść.

- Owszem. Zamierzam się tego dowiedzieć.

- To cholernie duży kraj.

- Na północ prowadzi tylko jedna droga. Są trzy przejścia graniczne, ale dwa prowadzą na tereny kontrolowane przez siły antyrządowe. Mniej więcej sto dwadzieścia kilometrów od granicy znajduje się posterunek sudańskiej armii rządowej. Jeśli Bonner chce uciec przez Sudan, to właśnie tamtędy pojedzie.

- Al... Jezu, stary, słuchaj, wiem co czujesz. Byliśmy tak blisko, wiem, wiem. Ale... to koniec. Naprawdę. Poza tym... jest tu nasza ambasada. Zgłoś się tam. Nasi ludzie mają odpowiednie środki. Al...

- Nie! - krzyknął Alan. - Koniec dyskusji.

Dukas padł na łóżko.

Alan wyjął z kieszeni portfel Dukasa, wyciągnął amerykańskie banknoty i przeliczył. Wziął kilka, a resztę schował.

- Idę kupić pistolet - powiedział. - Trzeba wspomagać tutejszą gospodarkę, jak to ująłeś w Atenach. - Ruszył w stronę drzwi.

- Być może kiedy wrócisz, już mnie tu nie będzie - mruknął Dukas.

Alan zawahał się.

- W porządku. W razie czego zostaw tu naszego więźnia. Przykuj go do czegoś i połóż klucz pod drzwiami. - Zamyślił się na chwilę, po czym powiedział cicho: - Dzięki za wszystko, Mike. Byłeś wspaniały.

- Uratowałeś mi życie, ty pacanie. Myślisz, że nie jestem ci wdzięczny?

Alan wrócił po dwudziestu pięciu minutach. Dukas nadal leżał na łóżku, a Donnie Marengo siedział przy nim, zgarbiony. Alan wyjął wielki pistolet automatyczny, kupiony u ulicznego handlarza. Dukas nie wierzył własnym oczom.

- To mauzer model 1896! - jęknął. - Wychodzisz na ulicę w środku Afryki i znajdujesz mauzera model 1896! Wiesz, ile to cholerstwo jest warte?

16.55 czasu Greenwich, Teheran

Jefremow siedział na brzegu basenu na składanym krześle, gdy usłyszał, jak jakiś samochód staje pod bramą, po chwili rusza, jedzie krętym podjazdem, by w końcu zatrzymać się przed domem. Wiedział, ile czasu zajmie służącemu otwarcie drzwi, jak długo gość będzie tłumaczył, co go tu sprowadza, a także kiedy

służący stanie przed nim, Jefremowem - co właśnie nastąpiło - i oznajmi, że chce z nim rozmawiać pan Omani.

Jefremow skinął głową.

Omani szedł ku niemu małymi kroczkami, jakby miał obolałe stopy. Był sztywnym, schludnie ubranym człowieczkiem, niezwykle pedantycznym, całkowicie pozbawionym wyobraźni. Stał przed Jefremowem, którego lękał się równie mocno jak imamów, i zaczął się pocić.

- Przyszła wiadomość z Ugandy.

- No i?

- Zapewnili bezpieczeństwo ojcu, ale nie udało im się uwolnić syna.

Jefremow roześmiał się smutno.

- Wiedziałem, że tak będzie. - Wbił wzrok w lekko pomarszczoną powierzchnię wody w basenie, w której odbijał się sierp księżycy. - Mówili może, czy planują jeszcze coś równie idiotycznego?

- Wiozą ojca w bezpieczne miejsce.

- Innymi słowy, do Chartumu. Wiesz, gdzie jest Chartum, Omani?

- O, tak.

- A wiesz, co leży między Chartumem a granicą z Ugandą?

- Ja... hmm... Nie wiem.

- Nic! - Jego usta drgnęły. - A najgorsze jest to, że owo „nic” ciągnie się przez ponad tysiąc kilometrów.

28

15 grudnia 1993, 2.55 czasu Greenwich, Uganda

Całą noc jechali przez aksamitną czerń. Droga była tylko szarobrazową smugą, ledwie widoczną w świetle jedyne go reflektora starej toyoty. Po niebie porozrzucane były setki jasnych, zimnych, wyniosłych gwiazd, jakże kontrastujących z ciepłym, łagodnym powietrzem owiewającym samochód. Po północy silnik zaczął się przegrzewać. Co pewien czas Danio zatrzymywał wóz, czekał chwilę w całkowitej ciemności, z wyłączonymi światłami, po czym ruszał dalej. Kiedy jak zawsze szybko i niespodziewanie nastał świt, kierowca postukał w termometr i pokręcił głową.

Droga biegła po piasku - tam, gdzie piach był zbyt głęboki, by dało się po nim jechać, przygotowano omijające te miejsca tymczasowe ścieżki. Danio znał się z kierownicą. Włączył napęd na cztery koła; w pewnym momencie kierownica wyrwała mu się z rąk, niemal łamiąc kciuk, a toyota wystrzeliła w górę, na krawędź drogi i zatrzymała się dopiero na małym drzewie. Danio uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wrzucił wsteczny, wymachując obolałą lewą dłońą.

Wzeszło słońce. Na początku było czerwone, ale po pewnym czasie przybrało barwę żółtą. Niebo także było żółte, ziemia natomiast - żółta i szara, poprzeciana zielonkawymi pasami *wadi*. Brak snu sprawił, że podróżnicy czuli się, jakby mieli oczy były pełne piachu. Jechali i jechali. Kiedy wjechali na szczyt kolejnego wzniesienia, Alan ujrzał w oddali skupisko metalowych budynków przypominających szare igloo, parę ciężarówek, pięć drzew.

- Granica - powiedział Danio. Postukał w termometr, dodał gazu i jęknął, gdy wskazówka podskoczyła wyżej i minęła czerwoną linię. Alan nie odrywał od niej oczu. Wskazówka dotarła niemal do końca skali, po czym wróciła do normalnej pozycji.

- Ach! - krzyknął Danio.

- Wszystko w porządku - powiedział Alan. - Już jest w normie.

Danio jęknął.

- Niedobrze, niedobrze.

Samochód dotoczył się do granicy. Trzej mężczyźni w podkoszulkach khaki patrzyli bez wyrazu na przybyłych. Danio zatrzymał przegrzaną toyotę w cieniu drzewa i zaciągnął hamulec ręczny. Nie wyłączając silnika, wysiadł.

- Co teraz? - spytał Dukas.

- Nie wygląda to najlepiej. - Alan wysiadł i przeciągnął się. Danio tłumaczył coś strażnikom, wymachując rękami w stronę toyoty. Jeden z nich się uśmiechnął.

- Wyprowadzę psa na spacer - powiedział Dukas i wysiadł, ciągnąc Marenego za sobą. Kiedy stanął na kontuzjowanej nodze, syknął z bólu, ale pokuścił się przed siebie.

Alan obserwował grupkę skupioną wokół Danio. Podeszło do niej kilku innych ludzi. W obozie panował ogólny bałagan - przy generatorze prądu stał rozbebeszony samochód, nieco dalej widać było zbiornik z wodą, a na brezentowej płachcie porozrzucone narzędzia i broń. Jednak dało się zauważyć, że jest w tym jakaś metoda; wszystko, co najważniejsze, musiało być pod ręką, jak na farmie. Grupa ludzi podeszła do toyoty; wszyscy skupili się wokół samochodu i bacznie mu się przyglądali. Jeden ze strażników zajrzał do środka przez okno i otworzył klapę silnika. Wszyscy natychmiast pochylili się nad silnikiem i zaczęli wymieniać uwagi.

- Konsultacje? - spytał Dukas, gdy przykuścił się z powrotem.

- Mhm. - Alan potarł nieogolony policzek.

- Jak brzmi werdykt?

- Nic mi nie mówią. Danio wygląda, jakby miał zaraz się rozpłakać. Ten goś w kapeluszu z szerokim rondem ciągle się śmieje.

Przez chwilę patrzyli, co się dzieje. Alan myślał o mijających minutach, widział oczami wyobraźni samochód wiozący Bonnera, jadący po takiej jak ta drodze. Danio był przekonany, że dotrze do granicy przed Bonnerem, bo jechał szybko i trzymał się drogi, a Sudańczycy z pewnością będą musieli kluczyć, by unikać patroli. Czym innym było wwieźć na teren wojskowy trzech białych ludzi z amerykańskimi dokumentami, a czym innym jednego, który posiadał tylko nieaktual-

na przepustkę do portu w Neapolu. Dzięki pochlebstwom Danio i pieniądzom Amerykanów wszystkie kontrole po drodze kończyły się pomyślnie; złota odznaka Dukasa też robiła swoje. Czy Sudańczycy, którzy przygotowali swoją operację w ciągu kilku godzin, będą równie dobrze przygotowani?

A teraz jeszcze ten cyrk z samochodem.

Dukas obserwował grupkę skupioną wokół toyoty.

- Powiedziałeś swojemu szefowi, gdzie jesteś? - spytał ni stąd, ni zowąd Alana.

- Zadzwoń do niego z Entebbe. - Spojrzał na Dukasa, uśmiechnął się. - O trzeciej ich czasu. Nie chciałem kusić losu.

- Może lepiej, żeby ktoś wiedział, gdzie teraz jesteśmy.

- Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie tu radiotelefon. - Podniósł głowę. - Antena jest. - Nie palił się do rozmowy z Reicherem.

Danio odłączył od grupy dyskutantów i powoli podszedł do Alana. Wyglądał jak posłaniec przynoszący tragiczne wieści.

- Myślimy, że poszła uszczelka głowicy - powiedział tonem, jakim mówią głowy państw podczas pogrzebów, wcisnął ręce do kieszeni i spuścił wzrok. Było mu wstyd, bo zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Wszyscy znów wcisnęli głowy pod maskę; ktoś wyłączył silnik i rozgorzała dyskusja w swahili i przynajmniej jeszcze jednym języku, którego Alan nie znał, po czym potężny facet odepchnął pozostałych speców, położył kapelusz na chłodnicy i otworzył ją. Cała zawartość systemu chłodniczego wytrysnęła w powietrze. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Potężny mężczyzna poklepał Danio po ramieniu i wydał jakieś polecenie. Po chwili przyjechał ciągnik i kilku ludzi przyczepiło do niego toyotę. Dryblas poklepał teraz Alana po ramieniu.

- Dobrze - powiedział. - Jest dobrze. - Podniósł palec. - Jeden dzień. Ju tro. - Roześmiał się.

Danio wyglądał na załamanego.

- Oni zrobią nowa uszczelka głowicy. Bardzo dobry ludzie. Tu robią wszystko.

Jednak jutro mogło być już za późno.

Dukas przykuł Marengo do zbiornika z wodą i poszedł z Alanem za punkt graniczny. W kierunku północnym wiodły ślady opon. Jeśli nie zostawiły ich ciężarówki armii ugandyjskiej, to oznaczało, że jeździły tędy wozy z zaopatrzeniem dla partyzantów sudańskich.

- Sudańczycy i Bonner nie pokażą się tutaj - powiedział Alan. - Przekroczą granicę potajemnie. Ci ludzie... - machnął głową w stronę obozu - .. pomagają partyzantom.

Spojrzał ku północy, gdzie rozciągał się Sudan. Widok był identyczny jak po tej stronie granicy - piach, kamienie, pojedyncze cierniste krzewy, tu i ówdzie samotne akacje, rzucające skąpy cień.

- To koniec, nie? - powiedział Alan.

- Przecież wiesz.

- Cieszysz się z tego.
- Nie. Ja chcę go schwytać. Naprawdę. Cóż z tego, kiedy ty zupełnie postradałeś zdrowy rozsądek. Tak, uważam, że to koniec. Skorzystam z radiotelefonu strażników i powiadomię naszych ludzi, że wracamy do domu. Kiedy tylko ten samochód zapali.

- Myślałem, że szczęście mnie nie opuści. Myślałem... myślałem, że jesteśmy pozytywnymi bohaterami, rozumiesz? Że on nam nie ucieknie. Myślałem... że coś zobaczymy na granicy. Ale wszystko jest po staremu. Chryste, byliśmy tak blisko!

- Lepiej, żebyśmy zawrócili. Nie mamy zgody miejscowych władz, autoryzacji ani rozkazów. CIA i Departament Stanu mogą nas udupić za to, że w ogóle tu jesteśmy. Ja wierzę, że należy przestrzegać przepisów, Al - i naprawdę czuję się nieswojo, kiedy je łamiemy.

Alan spojrzął na ginące w dali ślady opon.

- Ktoś jednak tam jeździ - powiedział. Dukas jęknął.

Danio podszedł do nich ze zwieszoną głową, niczym skarcone dziecko.

Alan wpatrywał się w dal.

- Może da się tam jakoś dostać - stwierdził.

- Nie ma mowy!

- Mamy przed sobą cały dzień.

- W tym słońcu? Tam pewnie roi się od lwów. I węży! - Dukas westchnął. - Cholera jasna, ale z ciebie uparciuch! - Wyciągnął palec w stronę Alana. - Tak naprawdę wcale nie zamierzałeś się poddać! Chcesz pójść tam pieszo i znaleźć Bonnera! - Odwrócił się i pokuśtykał w stronę obozu. Gdyby nie kontuzja nogi, z pewnością tupałby gniewnie.

Danio nie ruszył się z miejsca, jakby czekał na wymierzenie kary. Po chwili dotknął ręki Alana.

- Ci żołnierze to dobrzy ludzie. Powiedziałem im, że musi pan iść dalej... że szuka pan zemsty. Widać to w pana twarzy. Żołnierze mówią, że niedaleko granicy mieszka wariatka, stara, szalona biała kobieta. Nazywają ją „Sępem”. Nic więcej nie mówią. W razie czego niech pan jej powie, że przysłała pana sierżant Mwansa. - Danio próbował się uśmiechnąć. - Staralem się jak mogłem... bardzo przepraszam... - Znów zwiesił głowę.

Alan poklepał go po ramieniu.

rr Czy ta wariatka ma samochód?

Danio wskazał ręką ślad opony - głęboki, wyraźny. Nowa opona.

Alan popatrzył na obóz. Napotkał spojrzenie potężnego żołnierza w kapeluszu, który machnął głową w stronę granicy: „Idź”. Co miało oznaczać: „Spróbuj, spodoba ci się”.

Alan wkroczył po szerokich śladach opon na terytorium Sudanu. Wiał suchy wiatr. W tym roku nie zdarzyły się większe opady i wszystko było przysypane kurzem i wysuszone. Ciężki mauzer, wciśnięty za pasek, wbijał się w plecy Alana. Dukas miał rację. Craik nadal wierzył, że znajdzie Bonnera. Albo tę wariatkę. Czy cokolwiek. Wierzył, że może to sprawić siłą woli, tak bardzo tego pragnął.

Półtora kilometra dalej ogarnął spojrzeniem żółty horyzont i ujrzał dziwny kształt na niskim wzniesieniu po lewej.

- Co to jest, do diabła? - mruknął Alan pod nosem. Obudziła się w nim nadzieja. Ruszył w kierunku wzniesienia. Po kilku minutach kształt stał się wyraźniejszy. Parasol? Wkrótce wypatrzył stojący obok mniejszy obiekt, bez wątpienia będący wytworem rąk ludzkich. Kolejny parasol?

Nie, antena - antena satelitarna.

Ruszył drogą otaczającą wzniesienie z parasolem na szczycie. Piach był głęboki, ale jeszcze chłodny. Panowała niczym niezmacona cisza.

Alan obszedł wzniesienie. Szczyt schowany był za ciernistymi krzewami, które wkrótce rozstąpiły się i oczom Alana ukazały się ślady opon wiodące pod górę. Czym prędzej zszedł z drogi i zaczął się wspinać. Niedługo potem dostrzegł przed sobą zielony namiot z markizą i land rovera, zaparkowanego w cieniu akacji.

Alan przeszedł przez obozowisko pod bacznym spojrzeniem szczupłego Sudańczyka opartego o maskę land rovera. Mijając zielony namiot, Amerykanin zajrzał do środka i zaparło mu dech w piersiach z wrażenia. Mój Boże, raj dla szpiega! - pomyślał z podziwem. Jego dowódcy oddaliby część rocznych funduszy za choćby kilka z tych urządzeń: był tam umieszczony na wysięgniku dalekośiężny mikrofon do podsłuchu, noktowizory, trzy wskaźniki radarowe, jakieś duże elektroniczne urządzenie, które bez wątpienia służyło do prowadzenia nasłuchu, system globalnego namiaru, który można zamontować na dachu samochodu, a który w czasie operacji Pustynna Burza wystarczyłby dla całego batalionu czołgów. Dwie kamery wideo. Duży monitor. Laptop na baterie słoneczne. W pierwszej chwili Alan doszedł do wniosku, że to sztab główny sudańskich partyzantów, ale potem uświadomił sobie, że nie byłoby ich stać na to wszystko. Wnętrze namiotu przywodziło na myśl przenośne studio telewizyjne.

Rozejrzawszy się wokół, Alan zauważył, że parasol jest biały, antena satelitarna - szara, a pod parasolem stoi rozkładane krzesło, na którym siedzi kobieta. Ta, którą Danio nazwał „Sępem”.

Miała na sobie jasne żółtozielone ciuchy, jakie można bez trudu kupić w tej części Afryki; z oparcia krzesła zwiślał kapelusz o szerokim rondzie, w tym samym kolorze co ubranie. Kobieta rozmawiała przez telefon. Rany boskie, kto podróżuje z własnym telefonem satelitarnym? Alan spotkał takich ludzi w Kuwejcie. Dziennikarka. Podszedł do niej, stąpając po małych kamieniach. Kobieta przyglądała mu się znad ciemnych okularów. Kiedy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że jej jasne włosy to peruka. Kobieta wyglądała dziwnie znajomo. Zauważył, że dłoń trzymająca telefon jest pokryta brązowymi plamami i pomarszczona jak mokra chusteczka. Gdy podszedł jeszcze bliżej, zauważył zmarszczki przecinające twarz kobiety, zbiegające się w kącikach ust.

Gdzie on ją widział? To musiało być dawno temu.

Wyłączyła telefon i spojrzała na niego.

Zdjęła ciemne okulary.

Była już stara, a pod peruką ukrywała łysinę. Włosy straciła w wyniku chemoterapii, nie ze starości. Alan był dotąd przekonany, że ona nie żyje.

- Adrienne Corvelle. Pani jest Adrienne Corvelle - powiedział.

Uśmiechnęła się, co wyglądało dość okropnie.

- Nie myślałam, że moi fani gotowi są przebyć taki szmat drogi tylko po to, żeby mnie zobaczyć - powiedziała. Jej głos obudził uśpione wspomnienia - lekki francuski akcent: „Mówiła Adrienne Corvelle, Sajgon”. Albo Katanga. Czy Fal klandy. *Femme terrible* wojny w Wietnamie, obecna na ekranach telewizorów całego świata, bezczelna, ekscentryczna i odważna kobieta. Wyrzucona z kraju na polecenie amerykańskiego dowództwa i sprowadzona z powrotem przez Wietnamczyków.

Roześmiała się i zapaliła papierosa.

Alan przypomniał sobie, że miała raka płuc.

- Myślałeś, że nie żyję. Wszyscy tak myśleli - powiedziała.

- Co pani tu robi?

- Czekam, aż coś się zdarzy. - Dmuchnęła dymem. - A wtedy zrobię reportaż. - Pociągnęła nosem, zakaszłała. - Instynkt mówi mi, że coś tu się szykuje. A nigdy jeszcze mnie nie zawiodł.

Nazywano ją „wojenną czarownicą”. Chodziły słuchy, że wszędzie, gdzie się pojawiała, natychmiast wybuchały wojny; tak naprawdę jednak po prostu docierała na miejsce wcześniej od innych, mniej energicznych dziennikarzy. Poczynając od lat pięćdziesiątych, relacjonowała przebieg konfliktów, które położyły kres istnieniu wielkich imperiów kolonialnych w Azji Południowo-wschodniej, Afryce i Indonezji. Żołnierze nienawidzili jej i jąwielbiali - przybycie Adrienne Corvelle zwiastowało śmierć, ale z drugiej strony można jej było powiedzieć to, czego nie mówiło się nikomu innemu, a ona sama jak nikt inny zdawała się wszystko rozumieć. Potrafiła skutecznie skłonić ludzi do mówienia, dzięki czemu jako jedna z niewielu miała na koncie wywiady z Pol Potem i Idi Aminem.

- Kiedyś było inaczej - powiedziała, jakby czytała w jego myślach. - Dziś się dziennikarze zupełnie nie znają się na swoim fachu! Są tacy grzeczni... rząd wciska im oficjalne komunikaty, a oni są zadowoleni! - Roześmiała się nieprzyjemnie i zakaszłała. - Jeszcze jeden... jeszcze jeden, chcę nakręcić jeszcze jeden...

Niewiele zostało z jej dawnej urody. Wyglądała jak jedna z mieszkanek domu starców - stąd to ubranie, ten kostium, mający ukryć umierające ciało.

- Czy działa pani telefon satelitarny? - spytał.

- *Bien sur*. Chcesz z niego skorzystać? Proszę bardzo.

- A samochód? - Myślał o wszystkich wspaniałych urządzeniach, które zobaczył, a szczególnie o sprzęcie do globalnego namiaru.

- Oczywiście, że jest sprawny! Uważasz mnie za idiotkę? Wiesz, co robiłam w czasie ewakuacji ambasady amerykańskiej w Sajgonie, kiedy z dachu ambasady startowały ostatnie helikoptery? Prowadziłam transmisję na żywo! I uciekłam stamtąd własnym helikopterem, mój drogi. Myślisz więc, że byłabym tutaj, gdybym nie miała sprawnego samochodu? - Zapaliła kolejnego papierosa. - Jestem przygotowana na wszystko. Naprawdę.

Alan popatrzył na Sudańczyka, opartego o land rovera. To jej szofer. Alan zaczynał rozumieć, dlaczego strażnicy pilnujący granicy przystali go tutaj.

- Dlaczego została pani wpuszczona do Sudanu? - spytał.

- Służę sprawie. - Roześmiała się. - Ta część kraju jest pod kontrolą Rewolucyjnych Sił Południowego Sudanu.

Alan spojrzął na człowieka stojącego przy land roverze. Wyglądał młodo, był dobrze zbudowany, miał znużoną minę.

- A jakiego stopnia dosłużył się ten człowiek w Rewolucyjnych Siłach Południowego Sudanu? - strzelił Alan.

- Widzę, że masz głowę na karku - powiedziała. - Jestem pod wrażeniem. Zdaje się, że Sele jest porucznikiem i chyba zajmuje się łącznością. Szczerze mówiąc, czeka, aż umrę, żeby zabrać mój sprzęt. Oczywiście jego postępowanie nie ma sensu; mógłby mnie przecież zarząca i nikt by się o tym nie dowiedział. Ale... - Obdarzyła Alana nieprzyjemnym uśmiechem. - Otacza mnie jakaś aura. Może on się tego boi. - Wydmuchnęła kłęb dymu. - Kim jesteś?

- Kimś, kto da pani doskonały materiał na reportaż odparł. Nie miał ochoty ścigać Bonnera samochodem z partyzantem za kierownicą i dziennikarką na tylnym siedzeniu, ale w tym momencie musiał się tym zadowolić.

Dukasowi ani trochę się to nie spodoba.

15 grudnia 1993, 4.13 czasu Greenwich, Norfolk

Ledwie rozległ się dzwonek telefonu stojącego przy łóżku, a Reicher już trzymał słuchawkę przy uchu. Jego żona drgnęła, ale nie obudziła się; na wszelki wypadek mruknął: „Spij, kochanie, to do mnie” i odwrócił się, oparty na łokciu.

- Reicher.

- Sir, mówi oficer dyżurny Monson. Dzwonił Alan Craik.

- Wal.

- Połączenie nastąpiło o czwartej zero sześć czasu Greenwich, a o czwartej zero osiem zostało przełączone na bezpieczną linię. Porucznik Craik miał właśnie przekroczyć granicę Sudanu. Osobiście pilnuje jednego z podejrzanych, którego aresztował szef grupy śledczej „Nocna Wachta” Michael Dukas. - Podporucznik Michael Monson najwyraźniej odczytywał podyktowany mu tekst. Reicher uśmiechnął się: Alan był ostrożny. - Prowadzą pościg za głównym podejrzany i liczą, że uda się go zatrzymać na terytorium Sudanu. Jeśli podejrzany przekroczy jedenaście stopni czterdzieści pięć minut szerokości geograficznej północnej, pościg zostanie przerwany. Terytorium to jest sporne, ale uważa się, że... hmmm, przepraszam, nie mogę po sobie przeczytać... że w większej części pozostaje pod kontrolą sił chrześcijańskich i ani-mis-tycznych... animistycznych. Porucznik Craik zapewnił, że poinformuje nas o dalszym rozwoju wypadków. Koniec wiadomości.

Reicher odchrząknął.

- Jakie sprawiał wrażenie, Mons?

- Jakby mu się paliło w gaciach, sir. Jak to Craik.

Reicher skrzywił się. Sudan. Wrogie terytorium. Trzeba by przygotować jakiś plan ewakuacji.

Zadzwoił do admirała, a potem do Sally Baranowski.

5.15 czasu Greenwich, Morze Czerwone

Dowódca eskadry helikopterów czasami żałował, że objął to stanowisko i porzucił ciepłą posadkę w sztabie admirała. Owszem, był to dla niego spory awans, a jego praca stała się o wiele ciekawsza, bo to, co robił, miało znaczenie dla innych marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej - ale z drugiej strony... Za dużo tej roboty, pomyślał. Somalia była bagnem, o którym z lubością mówili kongresmani za każdym razem, gdy Stany Zjednoczone miały się w cokolwiek zaangażować. No tak, ale to naprawdę jest bagno, pomyślał. Zamulone, bagniste, zabagnione bagno. Przypominał mu się Wietnam. Jego ludzie latali dzień i noc nad Somalią, przewożąc żołnierzy, zapewniając osłonę ogniową, choć tym powinni zajmować się inni. A teraz pojawił się następny problem.

Przeczytał wiadomość po raz kolejny:

Przygotować jak najszybciej plan operacyjny akcji ratowniczej, mającej na celu ewakuację prawdopodobnie czterech ludzi przebywających obecnie na terytorium Sudanu, w przybliżeniu na południe od równoleżnika 11°45', na wschód od Nilu. Terytorium to należy uznać za nieprzyjacielskie. Przy ocenie gotowości systemów obrony przeciwlotniczej skorzystać z danych zebranych przez satelity. Wszystkie aspekty operacji mają być ściśle tajne. Czekać na ostateczną zgodę na rozpoczęcie misji i DO TEGO CZASU NIE PODEJMOWAĆ ŻADNYCH DZIAŁAŃ. Dokładne miejsce i czas akcji do ustalenia. Po 72 godzinach operacja automatycznie zostaje odwołana. Kryptonim PLAY-OFF.

Dowódca potarł krótko ostrzyżoną głowę i zawołał jednego z marynarzy. Kto to widział, ratować szpiegów przy niewystarczającym wsparciu. Teraz naprawdę czuł się jak w Wietnamie.

- Proszę to dostarczyć komandor podporucznik Siciliano do rąk własnych. Niech odnotuje czas otrzymania dokumentu. - Kiedy marynarz wyszedł, dowódca spojrzał na mapę. Żeby dostać się do Sudanu, trzeba przelecieć nad Etiopią, prawdopodobnie nocą; potrzeba będzie więcej paliwa - cóż, Rose jest doskonałym oficerem operacyjnym, na pewno o wszystko się zatroszczy. Dowódca machnął ręką i wziął się do planowania działań mających na celu odnalezienie kolejnej kryjówki generała Aidida.

Rosę przestudiowała wiadomość i pomyślała, jako że była zmęczona, „Cholerne palanty z CIA”, choć w lepszym nastroju przyznałaby, że te „palanty” są po tej samej stronie co ona. Skierowała kroki do centrum wywiadowczego i wręczy-

ła telegram świeżo upieczonej podporucznik Patti Delahanty, która nadal mało-wała usta i używała perfum, choć od trzech miesięcy była na morzu.

- Przygotuj raport na odprawę - powiedziała Rose. - Potrzebne nam będą dwie załogi, plus oddział, który przeprowadzi odpowiednie działania na lądzie - w tej sprawie porozmawiam z dowództwem piechoty morskiej. Ktoś będzie musiał dostarczyć nam paliwa. Idź do głównego oficera wywiadu, poproś go o pomoc, a potem zgłoś się do mnie. - Rose odniosła wrażenie, że jej podkomendna okazuje zupełny brak zainteresowania. Zmęczenie sprawiło, że poniosły ją nerwy. - Ale najpierw zetrzyj tę cholerną szminkę i zmyj z siebie ten syf, i wreszcie zacznij zachowywać się poważnie!

Cóż, powiedziała sobie później Rose w duchu, dobrze, że przynajmniej nikt poza nimi dwiema tego nie słyszał.

12.20 czasu Greenwich, Langley

Sally Baranowski zebrała się w sobie i weszła do gabinetu George'a Shreed-a. Siadając, spróbowała przywołać na usta uśmiech. Była w pracy od trzeciego rano.

Shreed czytał gazetę. „Washington Post”. Pewnie myślał sobie, że zapowiada się kolejny nudny dzień.

- Pojawił się pewien problem - powiedziała. Shreed spojrzął na nią znad gazety. - Alan Craik jest w Sudanie.

Shreed opuścił gazetę.

- Słucham.

W skrócie przedstawiła plan opracowany we współpracy z wywiadem marynarki: wspólna operacja, przygotowana na chybcika w ciągu godziny - marynarka miała zająć się łącznością i czekać w pogotowiu na wypadek, gdyby trzeba było przeprowadzić akcję ratowniczą, Sally przypadło koordynowanie całości operacji, a NCIS miał dostarczyć niezbędne informacje i zapewnić pomoc prawną.

- Co my mielibyśmy zrobić? - spytał Shreed. Sally na tyle знаła swojego szefa, by wiedzieć, że pod maską spokoju ukrywa gniew.

- Zajmiemy się przygotowaniem ewakuacji, gdyby okazała się konieczna. Ja jestem kapitanem drużyny. Chcę, żebyś poprosił o wsparcie lotnictwa i sił specjalnych, George.

- A co my z tego będziemy mieli?

- To nasz obowiązek.

Parsknął śmiechem.

- To mój obowiązek. - Potrząsnęła głową. - Jestem zmęczona, George. Zbyt zmęczona, żeby być miłą. Zrobimy to, bo to nasz obowiązek. Nie dla sławy, nie dla zysku - niech Craik zabierze sobie swojego więźnia, niech na niego spłynie chwala.

- Czytałaś, co piszą o nas w tych cholernych gazetach? Potrzebny nam jakiś spektakularny sukces! Albo przejmujemy operację, albo w to nie wchodzimy.

- Nie, George. Nie zgadzam się. Posłuchaj... mogę stąd odejść, znaleźć sobie pracę, w której będę zarabiać lepiej niż tutaj i do tego mieć czas dla siebie. Być matką. Żoną. George, to mi jest naprawdę niepotrzebne. Jeśli nie zrobisz tego, o co cię proszę, odejdę. - Wzruszyła ramionami. Była zła, że jej głos za drzał przy wypowiedaniu ostatniego słowa.

Shreed zastukał palcami w gazetę. Nie spojrzął na Sally, ale twarz miał zaciętą, skupioną.

- Dobrze. Zadzwoń do Jacka Dinhausena z Pentagonu, poproś o jednostkę sił specjalnych i dwa blackhawki plus transport. Marynarka nie poradzi sobie sama - co oni tam mają, piechotę morską? Chryste. To operacja dla specjalistów. Zdobądź aktualne zdjęcia z satelity. Zresztą sama wiesz, co i jak. No dobra, do roboty. - Podniósł gazetę, Sally wstała.

- Jesteś zły - powiedziała.

- Jeszcze jak.

- Postanowiłam postąpić zgodnie ze swoim sumieniem, George. Jeśli chcesz, żebyś odeszła, zrobię to.

- Wyjdź.

12.40 czasu Greenwich, Sudan

- W osiem godzin przejechaliśmy sto pięćdziesiąt kilometrów - powiedział Alan. Odwrócił się plecami do gorącego wiatru. - To koniec, Mike.

- Zdaje się, że kiedyś już to mówiłeś. Gdzie u licha jesteście? - spytał Dukas.

Wyruszyli tego ranka z granicy. Przez pewien czas jechali na północ, po czym zbcoczyli z tak zwanej drogi i wóz zaczął pełznąć przez piach i kamienie, z trudem omijając drzewa, kierując się ku zachodowi, potem ku północnemu zachodowi. Po drodze Sudańczyk imieniem Sele, kierowca i żołnierz zarazem, dwukrotnie zatrzymywał wóz przy skupiskach chattek, których nie było na żadnej z map, ale które mimo to istniały. Wysiadł wtedy i zniknął gdzieś, po czym wracał, włączał silnik i jechał dalej. A teraz znaleźli się tutaj - gdziekolwiek to było.

- Aparat do globalnego namiaru jeszcze nie namierzył satelity - powiedział Alan. - W każdym razie jesteście tu, gdzie widzisz.

Za ich plecami znajdowały się ruiny długiej budowli, które zdawały się czynić to miejsce w jakiś sposób bardziej rzeczywistym. Jednopiętrowa, o ścianach sięgających tylko do pasa i wspartym na żerdziach dachu, przegrywała walkę z nieubłaganą naturą - gliniane ściany, kiedyś pomalowane na ciemnoczerwono, teraz przybrały barwę rdzy i popękały, a słomiana strzecha zapadła się. Adrierme Corvelle wyszła z ruin i uśmiechnęła się. Była wyraźnie podekscytowana; jej oczy pląnęły i Alan zaczął się zastanawiać, czy aby nie wzięła jakichś prochów.

- To była szkoła - powiedziała. - Typowa pralnia mózgów prowadzona przez misjonarzy. Trzeba powiedzieć tubylcom o korzyściach płynących z nieokiełznej konsumpcji. Parsknęła śmiechem.

- Sele zabrał samochód - stwierdził Alan.

- Z mojego polecenia. Twierdzi, że człowiek, którego szukacie, będzie tędy przejeżdżał.

Alanowi też o tym powiedział. Kiedy przedzierali się przez nie kończące się zarośla, Sele dwa razy kiwnął głową ku południowemu zachodowi i mruknął: „Ci ludzie przyjadą stamtąd”.

- Skąd on to wie?

- Po prostu wie, mój drogi. Partyzanci tacy już są. Kiedy byłem z Fidelem Castro w Kordylierach, dziwiło mnie, jak wiele wiedział na temat tego, co działa się w Hawanie. Pewnego dnia przekraczaliśmy...

Mike przewrócił oczami. Alan przestał słuchać. Adrienne Corvelle, niegdyś wielka gwiazda telewizji, stała się straszną nudziarą. Jej obecność stanowiła problem, a nawet zagrożenie dla całej operacji - nie dość, że była postronnym świadkiem, to jeszcze dziennikarką. No i gęba jej się nie zamykała.

Alan spojrzął na jedyną mapę tej okolicy, jaką udało mu się znaleźć, mapę Ugandy, która szczęśliwym trafem obejmowała także południowy Sudan. Wydawało mu się, że wie mniej więcej, gdzie się znajdowali; niewiele mu to jednak dawało. Oczywiście na zachodzie płynął Nil, zbyt odległy, żeby dało się go wypatrzyć; gdzieś tam były też miasta, jak na przykład Redżaf i Dżuba, garnizony armii sudańskiej - „Arabów”, jak nazywał ich Sele, ponieważ oni byli muzułmanami, a on animistą. Na wschodzie znajdował się północny kraniec jeziora Turkana oraz Etiopia - surowa, skalista pustynia.

- Jedno wiem na pewno: na piechotę nigdzie nie dojdziemy - zauważył Alan.

- Dzięki Bogu, mamy land rovera.

Adrienne zapewniła ich, że Sele wróci. Potem zaczęła snuć opowieść o tym, jak to w sześćdziesiątym trzecim w Katandze eskorta zostawiła ją samą; Alan natychmiast zajął się aparatem do globalnego namiaru, a Mike stwierdził, że musi poszukać krzaczka. Corvelle opowiedziała więc całą historię Donniemu Marenego, który, przykuty kajdankami do starego stołu, nie miał dokąd uciec. Kiedy Dukas wrócił ze spaceru, Alan powiedział:

- Trzymaj ją z dala od tego telefonu satelitarnego.

- Słuchaj, stary, nie jaja zaprosiłem na przejażdżkę.

- Jeśli coś zacznie się dziać, ona przeprowadzi transmisję na żywo, jeśli jej nie przypilnujemy. - Zerknął na zegarek. - Powiniennem się zameldować. - Potarł brodę. - Właściwie nie bardzo wiem, co im powiedzieć.

Po godzinie z zarośli wyłonił się Sele. Wdrapał się na szczyt tysego wzgórza, wszedł do ruin misji i przykucnął w cieniu obok Alana.

- Jada - powiedział.

- Kiedy?

- Niedługo. - Zaczął rysować patykiem po piasku. - Tutaj - my. Tam - *bara--bara*.

- Droga.

- Tak. - Wskazał ręką punkt na linii biegnącej ku południowemu zachodowi. Następnie zrobił dwa znaki nad punktem przedstawiającym budynek misji, czyli na północy.

- Arabowie.
- Jacy Arabowie?
- Żołnierze. Jadą z Rahulle.
- Jadą tutaj?

Sele wzruszył ramionami i wskazał patykiem linię przedstawiającą drogę.

- Tu samochody. Człowiek, którego szukasz - jeden *mzungu*, pięciu Arabów. - Wyciągnął rękę i wskazał palcem punkt na horyzoncie. Unosiła się tam ledwo widoczna z tej odległości chmura kurzu. - Jadą tutaj. Spotkanie z żołnierzami arabskimi. W tym miejscu.

Czyli zrujnowana misja służyła za punkt kontaktowy, położony w samym sercu pustki.

- Kto przyjedzie pierwszy?

Sele wbił koniec patyka w linię przedstawiającą drogę. Bonner i jego eskorta.

- Dobrze więc, musimy zorganizować zasadzkę. Rozumiesz? Zasadzka. Mam broń... co znowu?

Sele wskazał coś w oddali, po czym wykonał dłonią dziwny gest; wyglądało to tak, jakby natępał do niej wody i chciał podstawić ją sobie pod usta.

Zarośli wyłoniło się dziewięciu ludzi. Wysocy i bardzo chudzi, odziani byli w poszarpane szorty i koszule. Nie wszyscy mieli buty na nogach, za to każdy z nich dzierżył AK-47. Sele wskazał Alanowi najwyższego z przybyłych, mężczyznę ponad dwa metry wzrostu, o bardzo ciemnej skórze i pociągłej twarzy.

- Aiwa. Reszta to jego *lifida*. Nuerowie. Moi bracia.

Chmura kurzu zbliżała się.

13.29 czasu Greenwich, Morze Czerwone

W sali odpraw Rose zajęła miejsce w pierwszym rzędzie i obejrzała się przez ramię na pozostałych. Tym razem była tylko słuchaczem; gdyby ta tajna operacja wyszła poza fazę planowania, jej dowództwo objąłby najwyższy rangą pilot w eskadrze, czyli ona. Dwie załogi, oficer piechoty morskiej, podlegający mu sierżanci. Strasznie mało czasu na przygotowania, pomyślała Rose. Zresztą ostatnio wszystko było robione na chybcika, w ostatniej chwili. W każdym razie, operacja istniała jeszcze tylko na papierze; Rose była prawie pewna, że tam też pozostanie.

Patti Delahanty zajęła miejsce na prowizorycznym podium. Szminka zniknęła z jej ust, a włosy były spięte w kucyk; wyglądała jak poważna młoda kobieta. Dobrze, pomyślała Rose. Przed odprawą zdążyła się zdrzemnąć i nastrój zdecydowanie jej się poprawił.

Wtedy zza pleców Rose dobiegł męski głos:

- Hej, Patti, w szmince było ci ładniej! Ha, ha, ha.

Rosę odwróciła się. Podporucznik Eddie Conner był zachwycony swoim żartem. Kiedy zauważył, że Rose patrzy na niego, zrobił pokorną minę - udawał wstyd, poczucie winy, strach. Gdyby misja doszła do skutku, Conner miał być drugim pilotem w pierwszym helikopterze w szyku.

- Podporuczniku, możemy porozmawiać? - spytała.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Rose wyszła na zewnątrz i przytrzymała drzwi przed Connerem. Kiedy znaleźli się na korytarzu, stanęła z nim twarzą w twarz. Zaczekała, aż przechodzący lotnik zniknie w oddali, po czym powiedziała cicho:

- Ty bezczelny parszywcu, jeszcze raz zaczniesz się wydurniać na odprawie, to skopię ci dupsko! Zrozumiano?

- Rose, kurczę, ja tylko...

- Nie spoufalaj się! Jeszcze jedno słowo, a wykluczę cię z udziału w tej misji. A wtedy możesz się pożegnać z karierą w lotnictwie!

Weszła z powrotem na salę odpraw, znów przytrzymując drzwi przed Connerem. Zajęła swoje miejsce, czekała, aż on usiądzie, po czym powiedziała jakby nigdy nic:

- Może pani zaczynać, podporucznik Delahanty.

13.47 czasu Greenwich, Sudan

Alan leżał na brzuchu w wąwozie i próbował zmusić siłą woli nadjeżdżające samochody, by nie zatrzymały się za wcześnie. Miał nadzieję, że nie widać go od strony drogi. Adrienne Corvelle, wyraźnie podekscytowana, leżała półtora metra za nim, z miniaturową kamerą na kościstym ramieniu.

Aiwa był tak blisko Alana, że prawie się stykali. Wysoki Murzyn miał na sobie wiekową kurtkę khaki i amerykańskie wojskowe spodnie, obcięte pod kolanami. W jego ręku lśnił AK-47 ze spiloną lufą.

- Czemu oni jadą tak wolno? - spytał Alan.

Aiwa spojrzał na Alana jak na dziecko.

- Wiedzą, że to mój kraj. Boją się mnie. Poza tym, ich samochody w buszu do niczego. - Uśmiechnął się. Najczęściej uśmiechał się do Adrienne Corvelle. Był zachwycony, że pokażą go w telewizji.

Alan trzymał głowę blisko ziemi, leżąc na boku.

- Ten biały jest mój.

Aiwa skinął głową. Powiódł spojrzeniem za dwoma samochodami, które właśnie wyjechały z zagłębienia terenu, pokryte szarobrazowym kurzem, który nie oszczędził nawet światła i przedniej szyby. Jeden z wozów miał pęknięty resor. Widać było już obydwu kierowców, pochylonych, zeszytywniałych z napięcia. Aiwa nie wydawał się przejęty ich bliskością. Ze spokojem przyglądał się mauzerowi Alana.

- Dobry pistolet? - spytał tonem profesjonalisty.

Adrienne Corvelle pochyliła się nad Alanem, chcąc obejrzeć jego broń.

- To mauzer, mój drogi. W Wietnamie było ich mnóstwo. Produkowali je Chińczycy. Kiedy byłem na szlaku Ho Chi Minha...

- Stary pistolet - powiedział Alan. Nie miał ochoty na rozmowę o broni. Jego nerwy były napięte do granic wytrzymałości; świadomość, że Bonner jest

tak blisko, dawała mu się we znaki. Stanowczym tonem kazał dziennikarce położyć się na ziemi.

Aiwa roześmiał się. Wziął pistolet od Alana.

- Gwiezdne wojny - powiedział. Obejrzał magazynek, wyjął z torby kilka pocisków i wręczył je Alanowi. - Stare pistolety dobre. Nowe AK do niczego. Nie warto zabierać zabitym Arabom.

Samochody były blisko. Alan słyszał rżenie silników, czuł smród spalin. W samolocie jest inaczej, pomyślał. Nie trzeba patrzeć ofiarom w oczy.

- Kiedyś, w Kambodży, byłam tak blisko drogi, że transporter opance rzony...

Aiwa podniósł się, gdy pierwszy samochód znalazł się na jego wysokości, i z odległości pół metra strzelił do kierowcy. Drugi z Nuerów trafił człowieka siedzącego obok. Samochód wtoczył się w ciernisty krzew jakby w zwolnionym tempie, po czym stanął i wygramolili się z niego ludzie z rękami splecionymi na głowach. Alan ledwie zdążył wstać, a Adrienne Corvelle stała już na środku drogi, z kamerą na ramieniu, nie zważając na przelatujące pociski. W oknach drugiego samochodu pojawiły się czarne dłonie ściskające pistolety i rozległ się głośny zgrzyt towarzyszący wrzuceniu wstecznego biegu. Wtedy padło kilka serii z karabinów maszynowych, a drzwi wozu otworzyły się i wytoczyły się z nich zgięci w pół, zalani krwią mężczyźni. Po chwili kierowca klęczał na drodze z lufą karabinu przy głowie.

Alan podbiegł do pierwszego samochodu. Był pusty. Popędził do drugiego.

I zobaczył człowieka, którego szukał.

Białego mężczyznę w średnim wieku leżącego na podłodze, z rękami nad głową. Był nie uzbrojony. Corvelle stała tuż za plecami Alana, trzymając kamerę nad jego ramieniem. On jednak w tej chwili nie zwracał na to uwagi.

Bonner.

Podszedł Aiwa.

- Chcesz go?

- Tak ~ powiedział Alan. - Och, tak.

Aiwa spojrzął na niego.

- Zrobił ci coś złego?

- Zabił mojego ojca.

- To twój szczęśliwy dzień - powiedział Aiwa i poklepał Alana po ramieniu. Uśmiechnął się szeroko do kamery, po czym machnął głową na znak, że Corvelle ma pójść za nim.

Nuer podszedł do człowieka klęczącego na drodze i zastrzelił go, ot tak, od niechcenia. Zanim Alan zdążył zaprotestować, zginęli także dwaj Sudańcy, których widział na targowisku w Kampali. Trzeci z nich padł na ziemię, ugodzony nożem w oko. Alan odwrócił się i napotkał przerażone spojrzenie Bonnera. To, co właśnie się stało, wydawało się zbyt straszne, żeby było prawdziwe; gdyby nie smród wnętrza i zapach krwi, można by uznać to za jakiś koszmar. Tak zabójcy, jak i ofiary zachowywali całkowity spokój. Krew była wszędzie; na samochodach, na piachu. Najmłodszy z Nuerów zanurzył palec

w kałuży krwi i zrobił nim znak na kolbie karabinu. Corvelle nie omieszkała uwiecznić tego na taśmie.

Alan nie zwracał na nią uwagi. Patrzył na Bonnera, a Bonner patrzył na niego. Krwawe wydarzenia, których Alan był świadkiem, wprawiły go w dziwne odretwienie. Na pewno nie ogarniało go poczucie triumfu. Nie czuł nawet ulgi. Zrobił to, co nakazywały przepisy. Wyciągnął kartę identyfikacyjną i powiedział, stojąc pośród piasków południowego Sudanu:

- Craik, porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych. Bosmanie Bonner, aresztuję pana za szpiegostwo. Wysiadać.

Bonner wyczołgał się z samochodu tyłem, niczym zбитy pies. Nuerowie wybuchnęli śmiechem.

Aiwa podszedł do Alana.

- Musimy wrócić do misji.

Alan skinął głową i machnął pistoletem na Bonnera. Aresztant przełknął ślinę.

- Muszę iść na stronę. Narobiłem w gacie. Myślałem, że ci ludzie mnie zabiją.

Alan zrozumiał, dlaczego Nuerowie się śmiali.

- Idziemy.

Bonner popatrzył na kobietę z kamerą. Po chwili przyglądził włosy i odwrócił się, tak, by nie było widać plamy na spodniach.

Nuerowie zaczęli przywiązywać granaty do samochodów.

Kiedy wrócili do budynku misji, niebo przybrało już barwę rdzy, co zapowiadało nadejście zmierzchu. Aiwa i jego ludzie, bardzo weseli, zdawali się żartować między sobą. Postawili karabiny pod ścianami i dzielili sięjedeniem. Butelka z wodą krążyła od ust do ust. Corvelle filmowała bojowników bez przerwy, to klęcząc, to stojąc na sięgającym bioder murku, to podstawiając im kamerę niemal pod nos. Alan skuł Bonnera kajdankami i przypomniał Dukasowi, by ten odczytał więźniowi przysługujące mu prawa. Donniego Marengo umieścili po przeciwnej stronie budynku, kiedy już pozwolili mu przywitać się z ojcem i zamienić z nim parę słów. Ponieważ Alan miał tylko jedną parę kajdanek, Donnie musiał zostać związany sznurkiem.

Craik nie spuszczał oka z telefonu satelitarnego i z Adrienne Corvelle. Wiedział, że ona nade wszystko pragnie opowiedzieć światu o zasadzce w sercu Afryki. Gdyby mogła przeprowadzić transmisję na żywo, byłaby wniebowzięta.

Sep.

Może nie zawsze była taka. Może rak zniszczył nie tylko jej ciało, ale i duszę. Alana przerażały jej roziskrzona oczy.

Aiwa patrzył przez małą lornetkę ku północy.

- Widzisz ich?

Aiwa potrząsnął głową.

- Niedługo?

- Może. - Schował lornetkę do kieszeni. - Arabowie w nocy do niczego. Boją się. Nuerowie w nocy zabijają ich nożami.

- Powinniśmy stąd odjechać. Mam już swojego więźnia.

- Niemożliwe.

- Gdzie land rover? Kobieta-
sęp uśmiechnęła się.

- Nie ma żadnego land rovera.

Jechali land roverem przez osiem godzin - i co, nagle zniknął?

- Musimy się stąd wydostać. Land rover to nasz jedyny środek transportu. Corvelle uznała to za doskonały dowcip. Wybuchnęła śmiechem, który prze-
rodził się w kaszel.

- Nie ma go już! - krzyknęła, kiedy odzyskała głos.

- Jak to nie ma?

- Mój drogi, Sele gdzieś go zabrał. Co ty, głupi jesteś? Samochód był ceną
za to, że zgodził się nas tu przywieźć. A teraz gdzieś nim pojechał.

- Muszę zawieźć więźniów do Ugandy!

Wzruszyła ramionami. Była wściekła.

- No to idź pieszo - burknęła i poszła do Nuerów.

W tej chwili wybuchły granaty przymocowane do zdobycznych samochodów.
Nuerowie zaczęli klaskać i wydawać z siebie radosne okrzyki. Alan nie
zamierzał ustąpić. Podszedł do Corvelle.

- Gdzie jest Sele, do diabła?! - krzyknął. Ona w odpowiedzi wskazała ręką
busz. W oddali unosił się nad ziemią tuman kurzu. - Dlaczego? - spytał. Nie wie-
rzył w chciwość Sele. Corvelle zaśmiała mu się w twarz.

Alan zwrócił się do Alwy.

- Sele szykuje bitwę - odparł bojownik. - Arabscy żołnierze wyjdą z ba-
raków, żeby cię złapać - dobrze, pozabijamy ich! Sele przywiezie więcej lu-
dzi.

Alan próbował wyjaśnić, jaka odpowiedzialność spoczywa na jego barkach.
Powiedział o Bonnerze. Aiwa był niewzruszony.

- Masz go. Możesz zabić - stwierdził tylko.

- Nie! Alwa, musimy wrócić do Ugandy! Możemy wyruszyć teraz, pieszo.
Zapłacę twoim ludziom, żeby ponieśli mojego przyjaciela...

Aiwa potrząsnął długą, wąską głową i wyniośle machnął dłonią.

- Zostajemy, żeby walczyć. Ty zostaniesz. Będziesz walczył.

Robiło się ciemno. Alan wiedział, że sami, on, Dukas i więźniowie, nie dojdą
do granicy. Może gdyby Mike mógł chodzić...

- Kiedy wróci Sele? - spytał.

- Może jutro przed zachodem słońca. Może następnego ranka. - Aiwa po-
klepał go w ramię i odszedł.

Alan spojrzął w głąb budynku, na Dukasa, który siedział przy Bonnerze z wy-
ciągniętą nogą. Następnie oczy Craika spoczęły na Donniem Marengo. Dwa me-
try dalej Aiwa i Adrienne Corvelle palili papierosy i co chwila wybuchali śmie-
chem. Ich nie obchodziło amerykańskie prawo.

Alan podszedł do telefonu satelitarnego. Myślał, że Corvelle spróbuje go powstrzymać, ale tego nie zrobiła. Kiedy zobaczyła, co on zamierza, podeszła do niego; w pierwszej chwili Alan obawiał się, że będzie musiał zaryzykować i wyjąć pistolet. Ale ona pomogła mu namierzyć satelitę i uzyskać połączenie.

Chciała, żeby zadzwonił do domu. Więcej dramaturgii. Chciała, by odbyła się akcja ratownicza.

Udało mu się połączyć z oficerem dyżurnym. Rozmowa była krótka i treściwa. Alan zaczął odczytywać współrzędne z aparatu do globalnego namiaru, z dokładnością do setnej sekundy. Potem powiedział, że dokonali aresztowania i są gotowi do powrotu.

- Ale zdaje się, że straciliśmy jedyny środek transportu.

- Jak wygląda wasza sytuacja?

- Średnio. - Alan skierował wzrok ku północy i zobaczył błysk jakby wypolerowanej miedzi - promienie zachodzącego słońca odbite od szyby samochodu? - Robi się nieciekawie. Wydaje mi się, że rano będzie tu gorąco.

Z drugiej strony zapadła cisza.

- Mamy plan ewakuacji - powiedział wreszcie głos w słuchawce. - Ale musielibyście poczekać minimum dwadzieścia dwie godziny.

- Za dwadzieścia dwie godziny możemy być martwi od mniej więcej dziesięciu godzin.

- Czy możecie gdzieś się przenieść?

- Nie. Mam tu człowieka, który nie może chodzić. Mam też dwóch więźniów.

- Chwileczkę. - Milczenie. Alan pomyślał o sygnale z telefonu satelitarnego, o sudańskim podsłuchu. Spojrzał w miejsce, gdzie wcześniej zauważył tajemniczy błysk, ale tym razem nic nie zobaczył; słońce już zaszło. Może to było złudzenie, pomyślał, choć wiedział, że to nieprawda. - Poruczniku?

- Tak.

- Mamy plan zapasowy. O wiele wyższy czynnik ryzyka. Jeśli rejon lądowania znajdzie się pod silnym ostrzałem, akcja zostanie odwołana.

- Zrozumiałem.

- No to zobaczymy, co się da zrobić. Jest pan pewien, że nie utrzymacie się przez dwadzieścia dwie godziny?

- Niczego nie jestem pewien, ale gdyby zapytał mnie pan, czy moim zdaniem za dwadzieścia dwie godziny będziemy w jednym kawałku, odpowiedziałbym, że nie.

- Spróbujemy przeprowadzić akcję przed świtem. Nie opuszczajcie budynku. Powodzenia, poruczniku.

W sercu Alana rozgorzał gniew. Zwrócił go przeciw Bonnerowi.

Po chwili Craik stanął nad więźniem. Bonner śmierdział. Żaden z nas nie pachnie lawendą, pomyślał Alan, pot i brud robią swoje. Ale Bonner naprawdę śmierdział.

- Wiesz, kim jestem? - spytał.

Bonner wbił wzrok w ścianę. Nie odezwał się.

Alan kopnął go.

- Wiesz, kim jestem? - krzyknął. Wymierzył Bonnerowi kolejnego kopnia ka, tym razem mocniejszego. Dukas powiedział coś, Alan krzyknął: „Nie mieszaj się do tego!”, po czym złapał więźnia za włosy i przyciągnął jego twarz do swojej. - Wiesz, kurwa, kim jestem?!

Bonner obliznął usta.

- Jego synem.

- Czyim? Czyim synem?

- Tego, który umarł.

Alan przykucnął przed Bonnerem. Złapał go za szczękę, przycisnął jego głowę do ściany.

- On nie był „tym, który umarł”. Był tym, którego zabiłeś!

Bonner miał szeroko otwarte oczy. Nie mógł mówić, bo Alan zaciskał dłoń na jego szczękę. Nagle przyłożył do czoła Bonnera lufę pistoletu.

- Tato! - dobiegł z tyłu głos Donniego Marengo.

- Jezu, nie - powiedział Dukas. - Alan, stary...

- Dlaczego? - Alan wcisnął lufę w czoło Bonnera. - Dlaczego?

Po policzkach Bonnera płynęły łzy bólu. Alan zdał sobie sprawę, że więzień nie może mówić, puścił go więc i odsunął lufę pistoletu od jego czoła.

- Powiedz mi. Powiedz, dlaczego to zrobisz, sukinsynu!

Zanim Bonner przemówił, musiał przez chwilę poruszać ustami - skóra była aż tak naciągnięta.

- Dla pieniędzy - powiedział wreszcie chrapliwym głosem.

Alan spojrzął na Dukasa, następnie skierował wzrok na Donniego Marengo i z powrotem na Bonnera.

- Dla pieniędzy. - Przed oczami stanął mu pożegnalny gest ojca. Przypomniał sobie jego głos; wspomniawszy tamtą chwilę na pokładzie okrętu, kiedy ojciec położył mu dłoń na ramieniu. - Pieniądze! Byłeś po tej stronie co on; nigdy nic ci nie zrobił; nie można... - Chciał powiedzieć, że nie można zabić człowieka tylko dla pieniędzy, ale uświadomił sobie, iż Bonner to właśnie uczynił. Zwierzęta za bijają dla pożywienia; on zaś zabił, bo chciał zarobić.

Bonner spojrzął mu prosto w oczy.

- I przejechałeś taki kawał drogi, żeby to usłyszeć? - spytał i próbował się roześmiać.

- Żeby cię przewieźć do Stanów.

- W imię czego? - Bonner pochylił się do przodu. - W imię czego? - wrzasnął. - Sprawiedliwości? Bo ty i twój ojciec jesteście pieprzonymi oficerami, a ja nie? Bo wam wszystko uszło na sucho, a mnie nie? Bo nie możesz znieść myśli? że kiwałem tę twoją ukochaną marynarkę wojenną przez dziesięć lat i nikt mnie o nic nie podejrzewał? - Splunął i znów zaczął krzyczeć: - Tak, zrobiłem to dla pieniędzy, bo ludzie tacy jak ja na nic innego nie mogą liczyć! Wszyscy jesteście tacy sami! Siedzimy w gównie po uszy, ale takim jak wy wszystko uchodzi na sucho! Tylko tym się różnimy! On umarł! I dobrze! Dobrze! Taki z ciebie chojrak... Myślisz, że jesteś... Ty... - Wybuchnął płaczem. Donnie Marengo wstał

i ruszył w stronę ojca, ale Alan machnięciem ręki, w której trzymał pistolet, nakazał mu wrócić na miejsce.

Przykucnął przed Bonnerem. Spojrzał w jego zaczerwienione oczy. Bonner odwrócił głowę, potem popatrzył na Alana i znów uciekł ze wzrokiem na bok. Alan miał nadzieję, że zobaczy coś w jego oczach, ale nie było w nich niczego. „Dla pieniędzy”. Gdyby Bonner zrobił to, co zrobił, z uwielbienia do komunizmu, religii, czy choćby dlatego, że był chory psychicznie, dałoby się to jakoś znieść.

A zamiast tego taki banalny powód.

Alan wstał.

- Zabieram cię ze sobą - powiedział. - W imię sprawiedliwości. - Nie, to nie wystarczy. Nie to miał na myśli. Sprawiedliwość, honor, lojalność to tylko słowa. Bonner roztoczył przed nim okropną wizję: świata pełnego gówna, w którym wszyscy tkwili po uszy. A Alan w odpowiedzi na to miał tylko pusto brzmiące słowa.

Spojrzał na Bonnera, który uśmiechnął się drwiąco. Oczy Alana powędrowały ku Donniemu Marengo. Chłopiec przygryzł dolną wargę. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, ale oczy były trochę zbyt szeroko otwarte. Alan uświadomił sobie, że Donnie po raz pierwszy usłyszał z ust ojca całą prawdę.

Alan znów spojrzał na Bonnera.

- Ja straciłem ojca. A ty właśnie straciłeś syna.

Bonner nachylił się do przodu tak daleko, jak pozwalały mu na to kajdanki.

- Donnie...!

Ale chłopiec nie patrzył na niego.

- Zrobiłem to dla ciebie! - krzyknął Bonner. Donnie odwrócił się. Na twarzy Bonnera wyryła się rozpacz i osunął się na glinianą ścianę.

- I nie wmawiaj sobie, że życie bywa do dupy. To ty jesteś odpowiedzialny za wszystko, co się stało, za to, co zrobiłeś własnemu synowi. Będziesz musiał z tym żyć! - Alan cofnął się o krok. - A wierz mi, będziesz żył, bo zabiorę cię stąd, choćbym musiał nieść cię na plecach!

15.25 czasu Greenwich, Langley

Sally Baranowski zebrała się w sobie i skierowała kroki do biura Shreeda. Przez telefon mówił krótko, obcesowo. Kiedy stanęła w drzwiach, jej szef podniósł głowę; wyglądało, że nie ucieszył się z jej przybycia.

- No i?

- Ma człowieka, którego ścigał. Przekazał nam swoje zamiary.

- Gdzie jest nasza grupa ratownicza?

- Na lotnisku w Georgii. Marynarka na wszelki wypadek przygotowała własny plan działania. Musimy przekazać prowadzenie tej operacji w ich ręce, George. Siły specjalne znajdą się na miejscu za dwadzieścia godzin. To za późno.

- Nie zamierzam ustępować na rzecz cholernej marynarki! Albo wszystko spieprzą, albo będą mieli szczęście, tak czy inaczej wyjdziemy na durniów! Powiedz chłopakom z sił specjalnych, żeby przystąpili do działania zgodnie z planem.

- Nie zdążą na czas! Na zdjęciach satelitarnych widać samochody jadące na południe, w stronę kryjówki Craika. Dostaną go, zanim nasi ludzie tam dotrą!

- Może im się wymknąć. Ukryć się w krzakach. Skoro taki z niego chojrak, niech...

- Oddam operację w ręce marynarki, czy tego chcesz, czy nie.

Wbił w nią wzrok.

- Sally, rozczarowujesz mnie. Sprawiasz zawód całej Agencji.

Potrząsnęła głową.

- George, posłuchaj, co mówisz. Posłuchaj, dobrze? Proszę cię.

Ale tego nie zrobił. Pomyślał tylko, że dobrze, iż przynajmniej media niczego nie zwęszyły i sprawa nie nabierze rozgłosu.

15.47 czasu Greenwich, Morze Czerwone

Dowódca eskadry helikopterów osobiście przyniósł telegram do centrum operacji. Położył go przed Rose.

- Możemy przeprowadzić tę akcję ratowniczą w Sudanie. Kto nią dowodzi?

Rose nawet nie musiała spojrzeć na tablicę.

- Jakowitz.

Dowódca potrząsnął głową.

- Jack pojechał do Mogadyszu po sprzęt. Kto go zastępuje?

Rose przełknęła ślinę. Próbowała przywołać na usta uśmiech.

- Zdaje się, że ja.

29

15 grudnia 1993, 21.25 czasu Greenwich, Morze Czerwone

Wiatr nad pokładem startowym uderzał w twarz dziesiątkami drobin piasku, niesionych spoza zachodniego horyzontu. Tam polecą helikoptery, pomyślała Rose. A ona znajdzie się na pokładzie jednego z nich. Wszystko wydarzyło się tak szybko - minęło raptem dwadzieścia godzin - że na szczęście nie miała czasu, by się martwić. Ziarenka piasku unoszące się w powietrzu mogą być groźne dla helikopterów, pomyślała, wspominając nieudaną próbę odbicia zakładników prze-

trzymywanych w ambasadzie amerykańskiej w Iranie pod koniec lat siedemdziesiątych. Nie czuła jednak strachu. Po prostu będziemy musieli lepiej się postarać, uznała. Przystąpiła do przeglądu maszyn, przypominając sobie ostatni raport Delahanty i dziękowała Bogu, że Alan nie wiedział o tym, co wkrótce miała zrobić. Chciałaby, żeby obiecała, że będą żyć wiecznie, powiedziała w duchu.

Żołnierze piechoty morskiej stali w milczeniu na pokładzie. Wydawali się lekko spięci, ale i pełni zapału, niczym drużyna piłki nożnej przed meczem. Było ich tylko szesnastu, z młodym kapitanem i o wiele bardziej od niego doświadczonym starszym sierżantem włącznie. Rose skinęła kapitanowi głową, gdy skończyła przegląd samolotu. Na pokładzie startowym panowała niemal zupełna cisza: patrol powietrzny już wyruszył na rekonesans, a właściwa misja rozpocząć się miała dopiero za czterdzieści minut.

Rosę była pewna, że wszyscy myślą o tym, iż na czas tej operacji znajdą się pod rozkazami kobiety. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie to duże osiągnięcie, które przyniesie chwałę jej, marynarce wojennej i innym kobietom-dowódcom. Jeśli natomiast operacja zakończy się fiaskiem, zostanie to uznane za oczywisty dowód niekompetencji rodzaju kobiecego. To ona, Rose, była dowódcą misji i mogła nakazać wycofanie się, gdyby nie spodobał jej się rejon lądowania, albo zezwolić na lądowanie, gdyby uznała, że się uda. To ona zdecyduje, kiedy wkroczyć do akcji i kiedy się wycofać. A jeśli uzna, że należy się wycofać, to jej sumienie obciąży śmierć czterech ludzi pozostawionych w Sudanie.

Rosę służyła w marynarce, jak jej się wydawało, od niepamiętnych czasów, ale nigdy jeszcze na jej barkach nie spoczywała tak wielka odpowiedzialność. Zwykle na czele operacji o ograniczonym zakresie, takiej jak ta, stawał komandor porucznik. Tylko burdel panujący w Somalii mógł sprawić, że funkcja ta przypała kobiecie w stopniu komandora podporucznika i dwudziestostosześcioletniemu kapitanowi piechoty morskiej. Chłopak trzymał się dzielnie; widać było w jego twarzy napięcie, ale Rose nerwy też dawały się we znaki. Nasłuchali się raportów aż do przesytu; Delahanty w chwilach wolnych od flirtowania potrafiła być pierwszorzędnym oficerem wywiadu -jeśli operacja zakończy się pomyślnie, jej przypadnie spora część zasługi. A czy w razie niepowodzenia spadnie na nią spora część winy? Rose zamyśliła się nad słowem „niepowodzenie”. W tym wypadku mogło oznaczać wszystko, od nieudanej próby ewakuacji po rozbitcie helikopterów i śmierć żołnierzy. Odetchnęła głęboko.

W czasie lotu mieli zachowywać ciszę radiową, ale towarzyszyć im miał dowódca sił powietrznych w samolocie Tomcat, by pomóc, gdyby to okazało się konieczne. Sudańska osłona lotnicza stanowiła zagadkę. Jedna z przechwyconych wiadomości wskazywała na to, że Sudańczycy znali dokładne położenie grupy Amerykanów, ale na razie nie wykryto w powietrzu żadnej maszyny. Według raportu uchodzący z Sudanu, cała sudańska obrona przeciwlotnicza dysponowała częściami do zaledwie jednego samolotu, więc być może akurat z tej strony nie należało się spodziewać większych kłopotów.

Rosę miała polecić stosunkowo nowym SH-60 i wylądować w Etiopii. Tam miała czekać brytyjska grupa specjalna, której zadaniem było dostarczenie paliwa. Po za-

tankowaniu dwa helikoptery mogły przebywać w powietrzu dwie godziny dłużej. Przez cały czas trwania operacji tomcaty i hornety będą oddalone o niecałą godzinę.

Żołnierze piechoty morskiej przystąpili do przeglądu broni. Byli gotowi - tym razem czekała ich prawdziwa misja bojowa. W kamizelkach kuloodpornych, hełmach i ze spadochronami na plecach przypominali sportowców trenujących jakiś sport walki. Słychać było brzęk i szelest sprzętu wojskowego - te same odgłosy z pewnością towarzyszyły wymarszowi rzymskich legionów.

Rosę podeszła do starszego sierżanta. Uśmiechnął się do niej i kazał wszystkim zamilknąć.

Ona spróbowała uśmiechnąć się do nich, ale odniosła wrażenie, że ma zespane wąszki.

- Świetnie wyglądziecie, chłopaki. To dobrze. Powiem wam, jak sprawy się mają: wlecimy tysiąc kilometrów w głąb Sudanu, na małej wysokości, by nie wykryły nas radary. Wszyscy dostaniecie choroby powietrznej. Po kilka razy. Na końcu trasy czeka nas niepewne lądowisko i strzelanina, a i to jeśli będziemy mieli szczęście. -Ze starszym sierżantem i kapitanem przestudiowali zdjęcia satelitarne przedstawiające sudańskie wojska zbliżające się do strefy lądowania; starszy sierżant ocenił ich siłę na kilka kompanii. - Nie będziemy mogli nawiązać łączności z ludźmi na ziemi, aż znajdziemy się w odległości piętnastu kilometrów od nich. Może się to w ogóle nie udać. Dlatego proszę was, kiedy dotrzemy na miejsce, przygotujcie się, żeby wyskoczyć i dać czadu, bo snajperzy mało ćwiczą i przy da im się fachowa pomoc.

Na tę złośliwą uwagę żołnierze zareagowali śmiechem. Może nie był to najlepszy żart, ale przynajmniej trochę rozładował napięcie. Gorący wiatr owiewał twarze; niesione przezeń drobiny uderzały w oczy.

Rosę mówiła dalej.

- Ci ludzie na ziemi to nasi. Być może pomagają im jacyś tubylcy. Nie będą mieli na sobie mundurów, więc uważajcie, do kogo strzelacie. Żołnierze sudanscy noszą mundury, zapewne maskujące, i żadnych kamizelek kuloodpornych. Pamiętajcie, panowie, że Amerykanie, którzy tam utknęli, zdani są tylko na siebie i my j esteśmy dla nich ostatnią deską ratunku. Kiedy powiem „ruszać”, to znaczy, że macie wyskoczyć na ziemię, pobiec przed siebie i zacząć strzelać na wszystkie strony, zanim skończę mówić! Rozumiemy się? No. Do dzieła.

Wolałaby, żeby jej przemówienie bardziej przypominało mowy wygłaszane przez generała Pattona, ale przynajmniej nikt nie miał zde gustowanej miny. Kapitan zasalutował jej, ona oddała salut i założyła hełmofon. Dzięki Bogu, Alan nie wiedział, co Rose wkrótce miała zrobić.

Zaczęła się modlić.

16 grudnia 1993, 1.20 czasu Greenwich, Etiopia

Strach, nuda, adrenalina nieczęsto mieszają się ze sobą, ale oddział koman dosów SAS był do tej niecodziennej kombinacji przyzwyczajony. Regularnie

przesiadali na różnych pustyniach, a miejsce, w którym znaleźli się teraz, było pustynią, nie da się ukryć. Czwarty czuł się jak na pustyni Rab al-Chali. Snajper nie miał czego obserwować. Mógł co najwyżej śledzić rosnącą temperaturę.

Pięciu ludzi, oddalonych od siebie, czuwa w ciemnościach. Nie poruszają się. Gdyby przyjrzeć się dokładnie, dałoby się zauważyć dwie wielkie sieci maskujące, które coś przykrywają, ale czujni komandosi nie pozwoliliby na dokładniejsze przyjrzenie się czemukolwiek w tej okolicy.

No to mogę się chwalić, że byłem w zakichanej Etiopii, pomyślał Czwarty. Że też zawsze muszę trafić w najdziwaczniejsze zakątki świata.

W oddali narasta cichy pomruk. Snajper przez kilka sekund obserwuje dwa szybko poruszające się obiekty, po czym daje umówiony sygnał. Czwarty już wie, że nadlatują maszyny, na które czekali. Spogląda na zegarek. Nieźle. Gość zwalnia nieco, żeby wylądować dokładnie o czasie.

Gdy warkot śmigieł cichnie, węże paliwowe są już naszykowane. Amerykańscy żołnierze przeciągają się, sikają na piach, a komandosi brytyjscy zastanawiają się, dlaczego u licha te dzieciaki ruszają w bój, a im przypada tylko pompowanie paliwa. Cóż, tak bywa. Nie pierwszy raz, nie ostatni.

Kiedy helikoptery odlatują, piach jest jeszcze mokry od moczu. Komandosi rozchodzą się, pozostawiając za sobą puste zbiorniki i sieć maskującą. Przy sprzyjającym wietrze i odrobinie szczęścia za godzinę niczego nie będzie widać.

Do bazy kawał drogi.

16 grudnia 1993, 1.48 czasu Greenwich, Sudan

Choć Alan spał bardzo krótko, po przebudzeniu nie mógł już zmrużyć oka. Był niewiarygodnie zmęczony, obolały po wydarzeniach na targowisku w Kampali, a nawet - wydawało mu się - w lekkim szoku po schwytaniu Bonnera. Potrzebował snu, ale nie mógł zasnąć. Myślał o Rose i z lekkim strachem oczekiwał nadejścia poranka. Nie, nie był to strach; raczej pewna nerwowość. Chciał, żeby to się już zaczęło, pragnął przekonać się, jak potrafi stawić czoło śmierci tu, na ziemi. A potem jego myśli powracały do Rose, do jego syna, do Rose, która teraz z pewnością spała i być może śniła o nim. „Och, kochanie, mówił do niej, przepraszam”. Jeśli coś się stanie, on zniknie z jej życia bez słowa pożegnania. Żadnego listu, żadnego telefonu. „Przepraszam cię”.

W zniszczonej szkole nie było okien; nad sięgającymi bioder ścianami rozciągała się pustka, zwieńczona spadzistym dachem. Wewnątrz panowały ciemności, ale kiedy Alan odwrócił głowę, dostrzegł samotną gwiazdę. Coś się poruszyło, rozległ się odgłos przypominający trzepot skrzydeł - ptak czy nietoperz? Alan wsłuchał się w ciszę. Z daleka dobiegło wycie. Hiena.

Czuwał już przez kilka godzin. Zaczął macać po glinianej podłodze, uważając na skorpiony. Jego palce natrafiły na małą latarkę, którą wcześniej tam poło-

zył, kupioną w Atenach, kiedy próbował skompletować minizestaw podróży. Alan miał wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki. I pomyśleć, iż wtedy wydawało mu się, że jest w sporych opałach.

Włączył latarkę. Donnie Marengo spał półtora metra dalej. Dwaj Nuerowie siedzieli pod ścianą, oparci plecami o siebie; jeden otworzył oczy, gdy padł na niego strumień światła z latarki, ale zaraz zasnął ponownie.

Alan podniósł się i przeszedł na drugą stronę małego budynku, ostrożnie stawiając nogi między śpiącymi. W nocy przybyło jeszcze kilku wojowników nuerskich. Powietrze było zimne. Hiena zawyla znów, a z oddali wiatr przyniósł coś, co zabrzmiało jak pomruk, być może lwa albo słonia, ale raczej jakiegoś mniej groźnego stworzenia. Alan przeszedł nad czymś karabinem i skierował cieniki strumień światła na ścianę, pod którą spoczywali Bonner i Dukas. Bonner nadal był przykuty do ściany. Dukas drgnął i otworzył oczy.

- To ja, Alan.
- Mhm.
- Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Zimno jak skurczybyk.

Minęła sekunda, może dwie i Dukas znów zapadł w sen. Może właściwie wcale się nie obudził.

Alan stanął w otworze po drzwiach. Przysłonił latarkę dłonią tak, by tylko wąskie smużki światła wydostawały się spomiędzy palców. Gdzieś tam przyczaili się Sudańczycy. Pięć, może sześć kilometrów stąd. Na tyle blisko, by wysłać na rekonesans patrol, który mógłby bez trudu ustrzelić człowieka z zapaloną latarką w dłoni.

Oddał moc. Niecałe półtora metra dalej stał jeden z Nuerów; Alan nie zauważył go w pierwszej chwili i już-już miał się przerazić, ale uzmysłowił sobie, że to tylko wartownik. Dzięki niemu Sudańczycy nie mogli podejść zbyt blisko. Alan powoli skierował kroki z powrotem w stronę budynku. Niektórzy Nuerowie spaty na ziemi; wśród nich wyróżniał się długi, jasny wzgórek przywodzący na myśl gąsienicę z białą głową - śpiwór kobiety i siatka ochronna przeciw komarom. Nuerowie z miejsca nabrali sympatii do Corvelle, starali się ją chronić. Alan był pewien, że gdyby mieli wybierać między nią a nią, bez wahania stanęliby po jej stronie.

Było zimno. Alanowi doskwierał głód. W Kampali Danio narobił zapasów, ale większość z tego, co kupił, nie nadawała się do jedzenia na surowo, a tutaj nikt nie śmiał rozpalić ogniska. Co prawda, Corvelle zabrała ze sobą puszki z wykwintnymi daniami, ale w małych porcjach - pasztet z wątróbek gęsich, kawior, *pesto*. Nie miała apetytu i głód niszczył ją równie skutecznie co rak. Zwykle brała do ust jeden mały kęs i oddawała całą resztę posiłku jednemu z towarzyszy. Nie była to odpowiednia dieta dla ludzi, którzy wkrótce mieli stanąć do walki. A teraz Sele zabrał nawet to.

Alan wszedł z powrotem do zniszczonego budynku, powiódł strumieniem światła z latarki po ścianach, aż trafił na Bonnera. Bonner otworzył oczy. Alan długo na niego patrzył. Czy to, że powiedział mu, iż zabiera go ze sobą w imię sprawiedliwości, cokolwiek znaczyło? Czy na tym polega sprawiedliwość, że zdrajca może liczyć na godziwy wikt i opierunek, że będzie na zmianę naciskany

i rozpieszczany, aż wyjawi wszystkie swoje tajemnice, a potem zawrze z władzami układ i trafi na dwadzieścia lat za kratki? Na pewno go nie zabiją; tego już się nie robiło. Bonner był zbyt cenny.

Mimo to Alan wiedział, że musi go zabrać do Stanów. Owszem, jeśli okaże się, że nie ma dla nich drogi ucieczki, nie zawaha się przed zabiciem Bonnera; tego wymagało prawo krwi. Zemsta. Ale robi to dopiero w ostateczności; wiedział bowiem, że sprawiedliwość wymagała, by oddać Bonnera w ręce służby śledczej marynarki. Uczynić z niego przykład. Kiedyś Bonner trafiłby przed sąd wojskowy, po czym został powieszony na maszcie, w obecności tylu marynarzy, ilu dałoby się wcisnąć na pokład.

A teraz, dzięki posiadanym informacjom, będzie mógł się targować o wysokość wyroku.

Tymczasem Alan nie miał co liczyć na zemstę. Wysoce prawdopodobne było, że trafi przed sąd wojskowy za nielegalne przekroczenie granicy i za wywołanie międzynarodowego incydentu. Albo dostanie order; ten, od kogo to zależało - prezydent, sekretarz stanu - przy podejmowaniu decyzji na pewno nie będzie kierował się poczuciem sprawiedliwości.

Bonner zamknął oczy. Alan wyłączył światło i zajął miejsce przy telefonie satelitarnym.

Bonner był przekonany, że życie to gówno. Tylko to budziło w Alanie pewną dozę współczucia dla tego człowieka. W innym razie pociągnięcie za spust nie sprawiłoby mu większego trudu.

Pomyślał o Rose. Och, kochanie...

18 grudnia 1993, 2.00 czasu Greenwich, granica sudańsko-etiopska

Rosę zdawała sobie sprawę, że zaczyna przegrywać walkę ze znużeniem; już dwa razy przyłapała się na całkowitej utracie koncentracji - bezwiednie przelatowała nad wzniesieniami na wysokości sześćdziesięciu metrów. Jeszcze nie zasypiała, ale bolały ją oczy i nogi. Lądowanie w Etiopii nieco jej pomogło, podobnie jak kawa, serwowana przez żołnierzy piechoty morskiej.

- Eddie?
- Tak, proszę pani?
- Gotów przejąć stery?

Eddie Conner opuścił noktowizor na oczy i skinął głową, po czym z namaszczaniem ujął drążek w dłonie. Był dobrym pilotem, choć nadal bał się Rose po tym, jak zmyła mu głowę za złośliwy komentarz na temat makijażu Delahanty.

- Tak.

Rosę zabrała dłonie z drążka.

- Masz stery. - Zdjęła stopy z pedałów i przeciągnęła się niczym kot. Bolało ją prawe kolano, jak zawsze podczas długich podróży. Włączyła komunikator. Tym razem nie wzięła ze sobą załogi; trzeba było zrobić miejsce dla ludzi, którzy mieli uratować.

Alan powie mi, że biorąc na siebie takie ryzyko postąpiłam jak ostatnia idiotka, ale jeśli mi się powiedzie, będzie zazdrosny, pomyślała. Kochający, ciepły, zazdrosny, wścikły. Kochający. Zdjęła noktowizor i przetarła oczy. Nie wyjrzała przez szybę. Na tej wysokości chciałyby z powrotem przejąć stery bez względu na to, co by tam zobaczyła. Spojrzała na zegarek. W Norfolk był wieczór. On pewnie czyta, może patrzy na swoje miecze, myśli o niej. Michael śpi w kołyszce. Pokój na ziemi.

Eddie wydawał się spokojny i zadowolony. Niewesoło być drugim pilotem, pomyślała. On też dostanie order. O ile misja zakończy się sukcesem.

Przedzierał się przez mrok, pozostawiając za sobą wirujący piasek.

Świat oglądany przez noktowizor był zielony, obcy. W dole rozciągała się płaska jak stół równina. Z tyłu niebo zaczynało różowić się świtem, choć przed nimi wciąż widać było jasno świecące gwiazdy.

- Pół godziny, ludzie. - Miała nadzieję, że przynajmniej niektórzy z nich się zdrzemnęli. Jej też przydałoby się trochę snu. Przez ostatnią godzinę Eddie dzierżył stery, a Rose, zniecierpliwiona, z trudem powstrzymywała się przed ich przejęciem. Chciała, żeby było już po wszystkim.

Nagle w jej radiu rozległy się charakterystyczne trzaski. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że słyszy głos dyżurnego z lotniskowca. Trwająca od kilku godzin cisza w eterze sprawiła, że całkiem zapomniała o łączności.

- Pomoc, tu Kapitan, bez odbioru. Rejon lądowania jest gorący i taki pozostanie. Pomoc, tu Kapitan, bez odbioru. Rejon lądowania jest gorący. Skieruj się do Łoży, powtarzam, do Łoży. Potem decyzja należy do ciebie. Koniec.

Rosę przypomniała sobie ostatni raport Delahanty i powiększone zdjęcia satelitarne, które zaprezentowano podczas odprawy. „Łoża” była niewielkim zagłębieniem terenu, w którym można było ukryć helikoptery, mniej więcej kilometr na południe od „Linii Bramkowej” - którą, według Delahanty, była stara, misjonarska szkoła, gdzie czekali Amerykanie. Cała ta terminologia futbolowa działała Rose na nerwy; prawdopodobnie nawet Sudańczycy nie daliby się na coś takiego złapać. Zresztą połączenia były szyfrowane.

Eddie nadal sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego.

Rosę zaczęła studiować dużą mapę pokrytą jej bazgrołami i schemat taktyczny wydrukowany z komputera. Wywiad nie znalazł aktualnych map rejonu celu w odpowiednio dużej skali; najnowsze, jakimi dysponował, zostały sporządzone jeszcze przed drugą wojną światową. Rose musiało to wystarczyć - to i faks z NASA. Pomachała Eddiemu przed nosem schematem taktycznym, przełączyła interkom tak, by nikt nie słyszał ich rozmowy i powiedziała:

- Zrozumiałeś?

- Tak jest.

- No i co o tym sądzisz?

- Daleko od celu, Rose. - Zwrócił się do niej po imieniu, by sprawdzić, czy już wybaczyła mu wpadkę na odprawie.

- Brawo. Myślę, że podejdziemy do Łoży na naprawę małej wysokości, po czym skoczmy na dwa-pięćdziesiąt, tylko my. Sprawdzimy, jak wygląda sytuacja. Albo wysadzimy żołnierzy w pobliżu Linii Bramkowej, albo wracamy. Nie chcę, by ci chłopcy musieli czołgać się przez choćby centymetr otwartej przestrzeni.

- Brzmi nieźle.

Wyścig z czasem trwał.

3.19 czasu Greenwich, Sudan

Śniła mu się Rose. Kiedy się ocknął, wciąż miał ją przed oczami. Był świadom, że już świta i ktoś poruszył się w pobliżu, ale myślał tylko o niej, pamiętając sen, który napełnił jego duszę strachem, poczuciem niejasnego zagrożenia - co robiła Rose?

Ale na jawie wszystko było w porządku. Ona znajdowała się daleko stąd, na pokładzie lotniskowca - małego miasta unoszącego się na falach oceanu.

Wtedy Alan przypomniał sobie, gdzie jest i poświecił latarką wokół siebie, po czym skierował strumień światła na przeciwległą ścianę, pod którą leżeli Dukas i Bonner. Uświadomił sobie trzy rzeczy naraz: Nuerowie zniknęli i zabrali ze sobą broń; zniknęła Adrienne Corvelle; zniknął też telefon satelitarny, który Alan zostawił pod ścianą, dwa metry od siebie.

Wtedy padły pierwsze strzały.

Aiwa bez trudu wbiegł na ścianę wąwozu i ostrożnie wychylił głowę zza krawędzi. Dostrzegł dach budynku szkoły, odcinający się na tle rozgwieżdżonego nieba. Padły kolejne strzały, tym razem z bliższej odległości. Sudański patrol. Aiwa przywarł do ziemi. Jego *lifida* schronili się obok niego.

Grad pocisków. Arabowie na próżno tracili amunicję. Gliniane ściany budynku powinny wytrzymać, przynajmniej dopóki nie zostaną użyte miotacze granatów. Żeby tylko *wazungu* nie wychylali się. Arabowie przyczaili się za wrakami samochodów, leżącymi do góry kołami w zagłębieniu w drodze na południe od misji. Ciała ludzi, którzy nimi przybyli, spoczywały w zaroślach; wkrótce zajmą się nimi hieny. Arabowie próbowali ściągnąć na siebie ogień, żeby sprawdzić, z iloma przeciwnikami mają do czynienia.

Wyglądało na to, że nie liczyli się z nim, Alwą. Uśmiechnął się. Strzelił palcami. Jego bracia podeszli bliżej i położyli się obok niego.

Aiwa zerwał się na nogi i pobiegł w stronę ukrytych w ciemnościach zarośli. *Lifida* poszli w jego ślady. Na skraju gęstwiny wszyscy razem, jak na komendę, padli na ziemię. Aiwa słyszał strzały, wyczuwał obecność Arabów, schowanych dwadzieścia metrów dalej. Czuł, że tam właśnie jest ich dowódca; na pewno przebywał tam, gdzie działo się najwięcej i gdzie było najwięcej karabinów. Taki zwyczaj mieli Arabowie.

Aiwa wyciągnął jeden ze szczególnie dla niego cennych amerykańskich granatów. Splunął na ziemię i oznakował go mokrym piachem. Teraz podniósł gra-

nat, tak by inni mogli go zobaczyć, po czym przewrócił się na plecy i wyciągnął zawleczkę. Zamachnął się trzy razy, błyskawicznie podniósł się z ziemi i cisnął granat w zarośla; potem padł na ziemię z okrzykiem zadowolenia. Gdy rozległ się wybuch, Aiwa ponownie zerwał się na równe nogi.

Zastrzelił wszystkich czterech Arabów, którzy, ogłuszeni i ranni, leżeli bezradnie na ziemi. Dotarłszy na drugi koniec kępy, znów padł na piasek.

Arabowie, którzy zajęli pozycje wyżej, na wzgórzu, usiłowali zejść z powrotem na dół. Nuerowie zaczęli strzelać w stronę krzaków, za którymi żołnierze próbowali znaleźć schronienie. Aiwa pochylił się i gestem nakazał swoim ludziom, by ruszyli pod górę. Wkrótce żołnierze już nie żyli, a Aiwa stał na szczycie wzgórza i patrzył ku północy. Widział tylko ciemność, ale zdawał sobie sprawę, że gdzieś tam czyha wróg. Nieprzyjacielski patrol został rozbity, ale to był dopiero początek.

Alan wpatrywał się w ciemności zalegające wzgórze, na którym stała misja. Dziwił się, dlaczego Sudańczycy nie szturmują budynku, ale doszedł do wniosku, że Aiwa odgadł ich zamiary i postanowił uprzędzić planowany atak. Potem Sudańczycy zaczęli strzelać i w ten sposób zdradzili swoje kryjówki. Dukas wciągnął Donniego Marengo w kąt budynku i pochylił mu głowę. Bonner, przykuty do ściany, leżał z twarzą na glinianej podłodze. Alan wyłączył latarkę i obszedł niską ścianę, próbując zobaczyć coś, cokolwiek: ruch, błyski z luf. Potem wybuchł granat i rozległ się terkot karabinów Nuerów, którzy, w odróżnieniu od „Arabów”, nie marnowali amunicji. I wreszcie zapadła cisza.

Do budynku wpadł Aiwa, zasapany i spocony. Ukląkł przy Alanie.

- Niedługo - szepnął. - Wiedzą, że tu jesteśmy. Niedługo tu będą.

- Wyjdźmy stąd.

- Nie.

- Kiedy zaatakują?

Głowa Alwy, odcinająca się na tle powoli różowiejącego nieba, odwróciła się.

- Kiedy zrobi się jasno.

Z oddali dobiegł dziwny zgrzyt. W pierwszej chwili Alan nie miał pojęcia, co może być źródłem tego dziwnego dźwięku; wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że zwiastował on zbliżanie się ciężkiego pojazdu gaśnicowego. Pewnie był to gruchot wyprodukowany w latach pięćdziesiątych w jednym z krajów bloku wschodniego, dożywający swoich dni, ale w tej chwili zmierzający uparcie w kierunku zrujnowanego budynku i prawdopodobnie wyposażony w wieżyczkę z karabinem. Gdy tylko strzelec zauważył...

„Och, Rose, kochanie... a byłem tak blisko”...

Wyciągnął magazynek z mauzera i sprawdził, czy jest pełny. Oczywiście, że był. Dlaczego miałoby być inaczej? Aiwa położył rękę na jego dłoni, nakazując milczenie. Nuer, widoczny na tle nieba, odchylił głowę i odwrócił się, jakby czegoś nasłuchiwał - czego?

I wtedy Alan też to usłyszał.

Helikoptery.

- Dwie minuty.

Zmęczenie ustąpiło; w żyłach krążyła adrenalina, a wzrok był wyostrzony. Za minutę Rose miała podjąć ostateczną decyzję o rozpoczęciu akcji lub wycofaniu się - za minutę będzie musiała dokonać wyboru: czy wyśle tych chłopców w bój, który mógł się dla nich skończyć tragicznie, czy też oszczędzi im tego i skaze na śmierć tych ludzi tam, w dole.

Świt na Linii Bramkowej. Na zachodzie jedno gorące miejsce; i to dosłownie. Albo wybuchł tam pożar, albo dopiero co zostało wypalone, pewnie w wyniku wybuchu granatu. Na północy - jakieś wozy, tam pewnie znajdują się przenośne wyrzutnie rakiet i stanowisko dowodzenia. Od południa w stronę Linii Bramkowej zmierzają ciężarówki. Ktoś znajdował się na pobliskim wzniesieniu. Pilotów helikopterów zazwyczaj nie uczono taktyki walki na lądzie, ale Rose domyśliła się, że jeśli nieprzyjaciel zdobył wzgórze wznoszące się nad misją, było już po wszystkim. Gdyby mimo to zdecydowała się wylądować, mogła przypłacić to życiem.

Gaz do dechy.

Spojrzała na monochromatyczne cienie przemykające między ciężarówkami; w noktowizorze wszystko nabierało barwy utlenionej miedzi. Dwustu ludzi, może więcej, zbliżających się do celu. Uwzględnić odległość, tempo marszu. Po tej stronie szesnastu żołnierzy piechoty morskiej, każdy wart dzieśięciu Sudańczyków. Wziąć pod uwagę przewagę w uzbrojeniu, pamiętać o snajperach pozostających wewnątrz śmigłowców. Uwzględnić prawdopodobne straty własne.

Lądować/wycofać się.

Pomyślała, że ryzyko jest wielkie. Nie da się uniknąć ofiar. Popłynie krew młodych ludzi. A tam, w dole, czterej nieznajomi czekali na ratunek. Pozostawieni sami sobie, zginą.

Już-już miała nakazać odwrót, gdy pomyślała o tym, że wstępując do wojska przystała na to, by poświęcać się za innych, by przelewać za nich własną krew.

- Zaczynamy!

Połączyła się z drugim helikopterem.

- Na wschód od wzgórza, w martwej strefie przylegającej do Pola Karnego. Za mną!

W kabinie sierżant rozejrzał się wokoło. Hałas wirnika zagłuszał myśli. Wszyscy wyglądali na pełnych zapału. Snajper był gotowy. Jazda, jazda...

- Szykujcie się! - Usiłował przekrzywić hałas.

Kapitan piechoty morskiej obejrzał przez przednią szybę rejon lądowania. Eddie włączył mikrofon i zameldował, jak wygląda sytuacja:

- Misja na wzgórzu chyba pozostaje w rękach naszych ludzi. Trzy nieprzyjacielskie pozycje na północy i wschodzie. Dwa pojazdy i coś opancerzonego. Niedaleko stąd. Rejon lądowania ciepły, ale nie gorący. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy za wzgórzem.

- Sierżancie? - W głosie Rose brzmiała nerwowość; czyżby jednak wystraszyła się i zmieniła zdanie?

- Tak?

- Miała tam miejsce ostra wymiana ognia. Kapitan drużyny twierdzi, że naszym pomagają jacyś tubylcy, więc bądźcie ostrożni!

- Zrozumiałem. - Sierżant i kapitan skinęli do siebie głowami.

- Trzydzieści sekund!

Sierżant stanął w drzwiach. Kapitan wyrósł obok niego. Świetnie - wystarczy jedna celna seria i wyeliminowane zostanie całe dowództwo akcji, Nie ma to jak tradycja.

- Dziesięć sekund...!

Bum - i wyskoczyli na ziemię, po czym popędzili na szczyt wzgórza. - Za mną - sierżant dobiega na miejsce jako pierwszy, wciąga powietrze, pada na ziemię. Czarne twarze. Broń. Tubylcy, nie żołnierze sudańscy. Uśmiechnięci jak diabły.

- Hej, Amerykanie!

Jak to miło być kochanym.

Rosę powiodła za nimi spojrzeniem. Kazała Eddiemu wrócić do Łoży. Ratować helikoptery. Jak dotąd, nie trafił ich ani jeden pocisk. Drugi helikopter, całkiem słusznie, ruszył w tym samym kierunku.

Rosę patrzyła, jak żołnierze, widoczni w noktowizorze jako ciemne kształty, wbiegają na wzgórze. Widziała, jak zlewają się z patykowatymi sylwetkami na szczycie. Nie padł ani jeden strzał. Do tej pory akcja przypominała raczej zwyczajne ćwiczenia. Tylko stres był nieporównanie większy.

Rosę włączyła małe urządzenie, za pomocą którego miała nawiązać łączność z ludźmi czekającymi na ewakuację.

- Lima Mike, tu Pomoc, odbiór. - Nic. Cisza. Jak to się, u licha, stało, że ten facet skontaktował się z Kapitanem, skoro z nią nie mógł nawiązać łączności? - Kapitan, tu Pomoc. Przyślij oddziały specjalne za jeden pięć.

- Zrozumiałem.

Trzysta kilometrów dalej dwa myśliwce F-18 Hornet skierowały się w stronę samolotu-cysterny.

Gdy Alan usłyszał warkot nadlatujących helikopterów, coś chwyciło go za gardło. Oczy wypełniły mu się łzami; całe szczęście, że było ciemno. Pociągnął nosem i odkaslnął.

- Dawaj tego sukinsyna - powiedział chrapliwym głosem - spadamy stąd. - Ukląkł i skierował strumień latarki na Bonnera. Dukas zaczął grzebać kluczem w kajdankach; wydawało się, że trwa to długo, o wiele za długo, aż wreszcie udało mu się odczepić je od poręczy i zatrzaskać na nadgarstkach Bonnera.

- On jest mój - powiedział Alan. Zaciśnął dłoń na chłodnym metalu kajdanki. - Wstawaj, Bonner. Mike, ty bierz Marengo. - Wyłączył latarkę. Czy powinien próbować dać sygnał helikopterom? Nie, mogą zacząć strzelać. Niech sami do niego przyjdą. To zresztą usłyszał od dyżurnego, z którym rozmawiał o akcji ratunkowej - „nie opuszczajcie budynku”. Alan zwymyślał w duchu Adrienne Corvelle za to, że zabrała telefon satelitarny. Był wściekły, że nie może skontaktować się z załogami helikopterów czy z żołnierzami, którzy będą wchodzić na wzgórze. Jednocześnie myślał, co mógłby zrobić i przyszło mu do głowy...

- STU. - Wciągnął Bonnera z powrotem w głąb pograżonego w ciemnościach budynku. STU był tam, gdzie Alan go zostawił. Czy Sudańczycy wiedzą, co to jest? Czy ich to w ogóle obchodzi? Przyciągnął sprzęt, przewiązał go sznurem, którym był skrepowany Donnie Marengo, położył dłoń chłopca na uchwycie i powiedział: - Nie będziesz się z tym rozstawał.

- Tak jest.

Bonner nachylił się w stronę syna i zaczął szeptać: „Przepraszam, pozwól mi wyjaśnić, proszę, to nie tak, jak myślisz” - ale Alan odciągnął go, kazał mu się zamknąć i zaczął wsłuchiwać się w dobiegające z zewnątrz odgłosy: odległy zgrzyt pojazdu gąsienicowego, cichy warkot wirników helikopterów, krzyk ptaka. „Ptak świtania. Gdzie ja to czytałem?”

Kapitan piechoty morskiej wspiął się na szczyt wzgórza i podszedł do starego budynku, rozglądając się przez noktowizor. Po bokach stali dwaj tubylcy, we wnętrzu widać było poruszające się sylwetki. Kapitan pozostawił sierżanta i kilku ludzi z karabinami na wzgórzu wznoszącym się na wschód od misji, po czym ruszył pod górę, starając się, by budynek oddzielał jego ludzi od zbliżających się Sudańczyków. Nie padł jeszcze ani jeden strzał, kapitan był pewien, że to tylko cisza przed burzą, wywołana pojawieniem się helikopterów. Sudańczycy mieli raptem kilka kompanii słabo uzbrojonych żołnierzy, poruszających się pieszo, pozbawionych nawet hełmów - co mogli pomyśleć na widok śmigłowców? Kto to jest? Ilu? Jaka broń?

Wtedy na północnym wschodzie rozległ się terkot karabinu maszynowego; ktoś podjął decyzję. Kapitan potrząsnął głową. Niewystarczające rozpoznanie terenu. Wszedł z pięcioma ludźmi do budynku, zauważył cztery osoby w kącie, przycupnął za ścianą i wymierzył broń w nieznanym. Za jego plecami kapral rozstawał żołnierzy.

- Dickerson, piechota morska Stanów Zjednoczonych! Podajcie swoje nazwiska!

- Craik, porucznik, marynarka Stanów Zjednoczonych. Dukas, Służba Śledcza Marynarki Wojennej. Dwaj więźniowie...

Kapitan wbiegł do środka, przywołał gestem kaprala i radiotelegrafistę.

- Mam rannego - powiedział porucznik marynarki. - Trzeba go będzie nieść.

Kapitan wydał kapralowi odpowiednie rozkazy. Radiotelegrafista zgarbił się nad radiem ze świecącą na czerwono latarką w dłoni.

- Gdzie wasz sprzęt telekomunikacyjny? - spytał porucznika marynarki kapitan.

- Nawalił. - Nie wspomniał o Adrienne Corvelle.

- Cholera. Połączyłeś się z helikopterami? - powiedział kapitan do radiotelegrafisty. Uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, polecił: - Powiedz im, że trafiliśmy. Czterech do ewakuacji, schodzimy w dół wzgórza. Potem skontaktuj się z sierżantem, powiedz mu to samo i wycofujemy się do helikopterów. No, idziemy!

- Natknęliście się na naszych sprzymierzeńców? - spytał porucznik marynarki.

- Tak, tak.

- Możecie pomóc im się stąd wyrwać? Uratowali nasze tyłki.
- W helikopterze mamy cztery miejsca, cztery, koniec i kropka. Żadnych sprzymierzeńców. No, ruszajmy, zanim te palanty na serio wezmą się do roboty. - Wymiana ognia była coraz bardziej intensywna. Strzały dochodziły już z północy i wschodu. - No, ruszać się! Kapralu, proszę pomóc rannemu. No dobrze, jazda, jazda...!

I wtedy świat wyleciał w powietrze.

Alan bardziej poczuł wybuch, niż go usłyszał. W pewnym momencie po prostu jakaś siła pchnęła go na niską glinianą ścianę, rozbłysło jasne światło i Alan uświadomił sobie, że stracił słuch. Coś twardego uderzyło go w plecy i wypuścił z ręki kajdanki Bonnera; obejrzał się, wyteżył wzrok, usiłując zobaczyć, co się dzieje, i poczuł silną woń kordytu i dymu. Pierwszy strzał z pojazdu pancernego i od razu trafienie. Z góry spadał pył i piach. Alan odwrócił się i zobaczył puste wejście do budynku, za którym świeciły ostatnie tej nocy gwiazdy; na podłodze leżała wciąż włączona latarka oraz postrącane krokwie. Ktoś jęczał. Alan spojrzął w drugą stronę. Wyciągnął rękę, usiłując wymacać kajdanki.

Bonner zniknął.

Łup!

Kolejny pocisk uderzył we wzgórze, czterdzieści metrów od budynku.

Alan leżał na glinianej podłodze. Uniósł się na rękach i zauważył na szczycie niskiej ściany sylwetkę, która po chwili zniknęła. Bonner jakoś się tam wdrapał, mimo że ręce miał skute kajdankami na plecach, i stoczył się w ciemność, w sam środek strzelaniny.

Alan ruszył w pościg za nim.

Bonner przeklinał kajdanki. Gdyby upadł, wylądowałby na twarzy. Nie był w stanie biec, choć bardzo tego chciał. Pragnął jak najszybciej znaleźć się wśród swoich, wśród przyjaciół, u boku Carla. Widział przed sobą błyski wydobywające się z luf, słyszał terkot karabinów i głośniejsze bum-bum dochodzące od strony Amerykanów. Próbował mimo wszystko ruszyć biegiem, ale ziemia nagle usunęła mu się spod nóg i poleciał w głąb dwumetrowego, stromego osypiska. Spadał wyprostowany, na plecach, z ręką boleśnie wygiętą do góry. Nogawki spodni wypełniły się kamykami i piaskiem. Za jego plecami trwała wymiana ognia, która jednak stopniowo traciła na intensywności. Wybuchł kolejny duży pocisk, tym razem obok budynku. Bonner uświadomił sobie, w co się wpakował, i krzyknął.

Donnie. Bonner chciał go zabrać. Donnie i ten facet z NCIS wyszli z eksplozji bez szwanku; Bonner uderzył Dukasa, złapał syna za rękę i pociągnął za sobą. Ale chłopiec stawiał mu opór. Stawiał mu opór. Wtedy Dukas próbował pochwycić Bonnera, ale jemu udało się uciec.

Przywarł do ziemi. Gdzie on jest? Gdzie szukać ratunku?

Alan kucnął pod ścianą, wyteżając oczy, oślepienie błyskiem wybuchu. Jeszcze nie odzyskał słuchu; jego uszy wypełniało uciążliwe brzęczenie. Na wschodzie niebo

zalewało niebieskie światło, na tyle intensywne, że można już było odróżnić linię horyzontu. Alan spojrzął ku północy, usiłując wypatrzeć Bonnera, który miał nad nim zaledwie kilka sekund przewagi. Zauważył jakiś ruch, czerń na czerni, niżej niż się spodziewał; zdał sobie sprawę, że przed zaroślami jest zagłębienie terenu. Bez namysłu stoczył się na sam dół i padł na ziemię. Prawdopodobnie z jego słuchem nie było już tak źle, bo słyszał dobiegający z góry terkot karabinów maszynowych. Zaczął się rozglądać, usiłując pośród ledwie widzialnych kształtów odnaleźć człowieka.

Bonner próbował podnieść się z ziemi i ruszyć w stronę ludzi, w których widział swoich sprzymierzeńców. Nogi uginały się pod nim. Wiele godzin siedział w jednej pozycji. Tak go przemysłnie skuli, dranie. Jak na torturach. Gdzie moi ludzie? - zastanowił się. Mieli go stąd zabrać. Carl zawsze mu obiecywał. Był mu to winien. Taką zawarli umowę.

Podniósł się na kolana. Powinni byli dać mu jakiś sygnał. Jakikolwiek.

- Carl?

Skierował wzrok ku północy. Zaczynały tam się tworzyć dziwne kształty, niczym chmury przeobrażające się w zwierzęta i twarze; to budzące się do życia światło rozpoczynało swoje igraszki. Szarzejące niebo zwiastowało rychłe nadejście świtu.

- Carl!

Strzały padały coraz częściej, pociski przelatywały coraz bliżej. Bonner przypadł twarzą do ziemi. Pocił się, chociaż było zimno. Ci ludzie strzelali do niego! Nie przybyli tu po to, by go uratować. Był sam, w nieznanym miejscu i nie mógł liczyć na niczyją pomoc.

Zaczął modlić się do jedyne boga, jakiego znał.

- Carl-wyszeptał.-Carl... błagam...

Alan najpierw go usłyszał, potem zobaczył. Wtedy pojazd pancerny, widoczny w dole z boczka po lewej stronie, wystrzelił i pocisk przeleciał nad ich głowami; w błysku eksplozji Alan zauważył białe tenisówki Bonnera. Dzielilo ich nie więcej niż piętnaście metrów.

- Bonner! Oni cię zabiją!

Bonner wydał z siebie nieartykułowany, zwierzęcy dźwięk i zatrzymał się. Przez chwilę jego sylwetka odcinała się na tle bladego nieba, potem spróbował zerwać się do biegu. Nie wiadomo, w którą stronę właściwie chciał uciekać; pochylił się do przodu, opuścił głowę i usiłował zmusić nogi do postuszeństwa. Alan, z mauzerem w dłoni, leżał na prawym boku, w idealnej pozycji strzeleckiej. Bonner ruszył przed siebie. Nastąpił wybuch i rozbłysło jasne światło, muszka znalazła się w samym środku celownika i Alan spokojnie pociągnął za spust, raz, potem drugi. Bonner upadł, trafiony w podbrzusze i lewe kolano.

Alan podszedł do niego na zgiętych nogach, słysząc dobiegające z tyłu i z góry wystrzały z ciężkiej broni amerykańskiej. Miał nadzieję, że Sudańczycy nie od-

ważą się podejść bliżej. Z pojazdu pancernego wystrzelono kolejny pocisk, a Alan przycołgał się do Bonnera, który leżał na boku, zwinięty w kłębek, z rękami skutymi na plecach. Jego skóra była zimna, a ręce mokre od potu. Ubranie Bonnera przesiąkło krwią, zlewającą się z otaczającym półmrokiem.

Alan położył się przy nim. Kręciło mu się w głowie i czuł się strasznie zmęczony. Być może była to jedna ze sztuczek jego organizmu. W tej chwili nie miałby nic przeciwko temu, żeby już nigdy się nie podnieść. Bonner wykrawiłby się na śmierć, a jego, Alana, Sudańczycy dostaliby w swoje ręce.

Z trudem wstał i podniósł Bonnera do pozycji współsiedzącej, po czym wziął go na plecy. Kiedy próbował się odwrócić, Bonner przechylił się bezwładnie, o mało nie przewracając Alana. Ogień od strony misji uciął. Sudańczycy zaczęli podchodzić bliżej. Alan zmusił się, by ruszyć przed siebie. Z najwyższym trudem wszedł na osypisko, które, choć raptem dwumetrowe, wydawało się ogromną górą. Spodziewał się, że lada chwila trafi go pocisk lub obok rozerwie się granat.

Szkoła stała w ogniu. Kiedy to się stało? Od jak dawna trwał pożar? Alan obszedł płomienie, wdrapał się na krawędź zbocza i wsparł się plecami o glinianą ścianę; trzymając się jej dotarł do narożnika i wyszedł przed fronton budynku.

Żołnierze piechoty morskiej zniknęli. Niejednego z nich było jeszcze widać za drugim końcem budynku. Alan znów usłyszał zgrzyt wozu pancernego, słyszał nawet, jak obraca się wieżyczka. Żołnierz amerykański podniósł coś, co trzymał na ramieniu i wystrzelił; wybuch rzucił go na ziemię. Potem zerwał się na nogi i pobiegł w dół wzgórza.

Alan puścił Bonnera i pochylił się nad nim, oparty o ścianę, z trudem łapiąc powietrze. Na razie nie był w stanie iść dalej. Ani kroku.

- Donnie? - powiedział Bonner.

Alan głęboko odetchnął.

- Ich już tu nie ma - odparł. Budynek był pusty. Bonner popatrzył w prawo i lewo, nie ruszając głową.

- Czy umrę? - spytał.

To pytanie zaskoczyło Alana. Taki Bonner uważał, że życie jest gównem, a jednak panicznie bał się śmierci.

- Nie zostawiaj mnie tutaj - powiedział Bonner. Z nimi, chciał dodać. Na tym odludziu.

Alan odetchnął głęboko, przygotowując się do dalszego marszu.

- Mówiłem ci już, zabieram cię ze sobą - powiedział i wziął Bonnera pod ramiona. Obydwaj byli mokrzy i lepili się od krwi. Alan podniósł Bonnera i przy cisnął go do siebie. Połączyli się w krwawym, niebezpiecznym uścisku. Może tak było cały czas; może od początku liczyli się tylko oni dwaj. Niczym ojciec i syn.

Alan podniósł Bonnera jeszcze wyżej, przewiesił go sobie przez bark i spróbował się podnieść. Nogi miał jak z waty.

Rosę postanowiła zaryzykować i włączyć do działań helikoptery; jej maszyna wystartowała jako pierwsza. Śmigłowiec przez chwilę krążył na południe od

Łoży, by nabrać szybkości, po czym rzucił się w stronę niskiego wzniesienia. Rose radziła sobie za sterami tak dobrze jak nigdy. Trzymała drążek lekko, ale pewnie, a seahawk reagował wręcz idealnie; wznosił się nad małym wzgórkim, po czym opadł na wysokość paru centymetrów nad ziemią, wszystko na tej samej prędkości. Rose skierowała maszynę ku lewemu zboczowi wzgórza opanowanego przez sprzymierzeńców i nabrała wysokości. Snajper puścił serię pocisków smugowych w kierunku pozycji nieprzyjaciela na północy. Ku jego zadowoleniu w dole nastąpił mały wybuch. Jeden z żołnierzy piechoty morskiej sześciokrotnie wystrzelił z granatnika, po czym odrzucił nieprzydatną już broń, jako zbędne obciążenie. Korzystając z osłony dymnej, Aiwa i jego ludzie rozpląnęli się w półmroku. Wóz opancerzony stał w płomieniach. Rose zauważyła przez noktowizor kilka rozmazanych plam prących się na szczyt wzgórza i po raz drugi wylądowała. Czemu to tak długo trwa?

Budynek misji płonął, a do uszu Alana dobiegały odgłosy nadjeżdżających kolejnych wozów pancernych. Pierwszy oddział piechoty morskiej wycofywał się w stronę helikoptera, a drugi ze szczytu wzgórza osłaniał odwróci towarzyszy. Zaraz potem żołnierze drugiego oddziału rzucili granaty dymne i popędzili zboczem w dół, niosąc ze sobą Dukasa. Donnie Marengo nie był prowadzony przez nikogo; po prostu biegł razem ze wszystkimi. Pojawił się drugi helikopter. Alan przystanął, zbierając siły. Ostatni żołnierz z drugiego oddziału był daleko w dole, niewidoczny pośród dymu i ciemności. Na wzgórzu pozostali tylko Alan i Bonner.

Rosę spojrziała na zegarek. Po drugiej stronie wzgórza nastąpił mały wybuch. Zaczisnęła usta.

- Baza helikopterów! - usłyszała w słuchawkach.
- Jestem!
- Drugi oddział, czy możecie po nas przylecieć?

- Chwileczkę... - Eddie słyszał tę rozmowę i przygotował już mapę i zdjęcie satelitarne. Na fotografii zakreślił ołówkiem okrąg na południowy zachód od budynku misji, około stu czterdziestu metrów od pierwotnego rejonu lądowania. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Rose zorientowała się, że wzgórze może zapewnić im na pewien czas osłonę - Sudańczycy podchodzili od drugiej strony.

- Da się zrobić, ale nie będziemy mogli siedzieć tam dłużej niż parę minut! Wylądujemy na minutę i wyjazd! Tracimy osłonę ciemności. Powiedz mu to.

W słuchawkach rozległy się wystrzały i kolejny wybuch.

- Ruszamy! Zaczynajcie odliczać i jazda! - krzyknął radiotelegrafista. Rosę spojrziała na Eddiego, który ujął stery w dłonie, włączyła interkom i po wiedziała do snajpera:

- Za czterdzieści pięć sekund wejdziemy na pułap jeden-pięćdziesiąt. Nasz drugi oddział będzie zmierzał w naszym kierunku, więc miej oczy szeroko otwarte. Kie-

dy osiągniemy pułap, zacznij osłaniać chłopaków. Strzelaj im za plecy, tam, gdzie może być wróg. Zostało trzydzieści sekund. - Połączyła się z drugim helikopterem i mruknęła do Eddiego: - Świetnie sobie radzisz! - A do pilota drugiej maszyny: - Za dwadzieścia sekund lecimy po chłopców, kurs dwa dziewięć zero. Niech snajper strzela do woli, ale tak, żeby nie trafić naszych ludzi! Leć za nami, Jack...

Alan, cały we krwi Bonnera, znów dźwignął więźnia i próbował pobiec w stronę, z której dochodził warkot helikopterów. W pewnej chwili podniósł głowę i na szczycie pagórka wznoszącego się na wschód od misji zauważył chudą, zielonkawą postać z telefonem satelitarnym w dłoni, odcinającą się na tle rozjaśniającego się nieba. Z tej odległości, w słabym świetle, Alan nie widział zniszczonej, pomarszczonej twarzy; widział tylko kobietę, która za wszelką cenę, wbrew swojej słabości, dążyła do obranego przez siebie celu.

4.10 czasu Greenwich, Fairfax, Wirginia

Zadzwonił telefon. George Shreed podniósł słuchawkę. Jeszcze nie spał; nieprędko miał zasnąć.

- Shreed.

- George, do cholery, nie wiem, jaki jest w tym twój udział, ale lepiej, żebyś potrafił jakoś wytłumaczyć to, co pokazują na CNN!

Shreed skrzywił się.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Właśnie trwa transmisja na żywo z operacji ratowniczej prowadzonej na obcym terytorium! Co jest grane, George? Czy to nasi? Co się dzieje?

Shreed wiedział, że siły specjalne do tej pory nie mogły jeszcze wylecieć z Mannheim w Niemczech. Zdezorientowany, spytał:

- Oddział Delta?

- Marynarka, George! Wysłali tam cholerną piechotę morską! To jak kampania reklamowa!

- Zaraz do ciebie zadzwonię.

Odłożył słuchawkę, pokiwał do telewizora i włączył go. Znalazł CNN i ujrzał długie, statyczne ujęcia niezbyt ciekawie wyglądających map i pejzaży. Obraz nie był transmitowany na żywo. Na żywo był tylko głos. Na żywo?

- ... drugi helikopter zniknął za podłużnym wzniesieniem. Żołnierze piechoty morskiej po mojej prawej wnieśli zasłonę dymną sięgającą aż po opuszczoną mi sję, w której wszystko się zaczęło. Sudańscy strzelają z moździerza! Żadnych uszkodzeń; ich celność pozostawia wiele do życzenia. Słychać strzały po drugiej stronie budynku, gdzie, jak się zdaje, niedobitki Armii Wyzwoleniczej Południowego Sudanu toczą walkę wręcz z... w tym dymie nic nie widać... przykro mi, na razie nie jestem w stanie niczego więcej powiedzieć. Tymczasem w dole oddział piechoty morskiej, amerykański oficer i jego więzień biegną w stronę miejsca, w którym

wylądowały helikoptery. Wspólna operacja marynarki wojennej i piechoty morskiej została przeprowadzona sprawnie i szybko. Sudańczycy, ukryci za ścianą dymu na szczycie wzgórza, zdają się nie mieć ochoty na walkę z tymi doskonale uzbrojonymi żołnierzami, zaprawionymi w bojach na ulicach Mogadyszu. Teraz na wzgórze wjechał kolejny wóz pancerny! Sudański wóz pancerny - schronił się za nim oddział żołnierzy - padają strzały z broni automatycznej, celują w... ach!

Nateżenie ognia wzmogło się. Shreed usłyszał dobiegający z oddali huk, a potem:

- Mówiła... Adrienne... Corvelle...

I cisza.

4.16 czasu Greenwich, Sudan

- Już wszyscy? - krzyknęła Rose do mikrofonu. Nie mogła widzieć drugiej strony wzgórza dzielącego ją od ruin misji, ale instynkt podpowiadał jej, że nieprzyjaciel wspina się zboczem na szczyt, by ostrzelać z góry jej helikoptery, tak jak robili to Afgańczycy w czasie wojny z Rosjanami.

- Jeszcze chwilę. - Sierżant mówił z całkowitym spokojem. Rose pochyliła się, usiłując dostrzec cokolwiek poprzez kłęby dymu. Była przekonana, że cały drugi oddział jest już na pokładzie.

- Sierzancie, zmywamy się za trzydzieści sekund. - Chwyciła drążek w ręce.

- Chwilę.

W tyle rozległ się potężny ryk i dwa odrzutowce przecięły niebo nad głową Alana. Spojrzał w górę, zobaczył dwa F-18 i upadł w krzaki u stóp wzgórza. Od helikoptera dzieliło go jeszcze sześćdziesiąt ciągnących się w nieskończoność metrów, a on nie miał już sił. Za jego plecami Sudańczycy bez przerwy ostrzeliwali ruiny misji. Alan wciągnął Bonnera na plecy, jakby chciał wykonać rzut zapalniczy, podniósł się na kolana i z najwyższym wysiłkiem stanął na jednej nodze, potem na drugiej. Ruszył do przodu.

Helikopter był już wyraźnie widoczny; w drzwiach stał sierżant piechoty morskiej i krzyczał. Mimo hałasu czynionego przez śmigłowce, Alan słyszał jego wściekły ryk:

- Rusz dupę! Czekamy na ciebie, do cholery! No, ruszaj się!

Krzyczeli też pozostali żołnierze. Czterdzieści metrów. Trzydzieści. Sierżant wyskoczył z helikoptera, obok niego stanął młodszy kapral. Pod nosem maszyny zdjęli Bonnera z barków Alana i zanieśli do kabiny. Pozbywszy się ciężaru, Alan wyprostował się i odwrócił głowę.

I napotkał spojrzenie swojej żony.

Rose zobaczyła go, gdy wyłonił się spośród wirującego pyłu, zalany krwią innego człowieka. Zauważyła też zdumienie, jakie na widok żony odmalowało się na jego twarzy.

17 marca 1994, 17.20 czasu Greenwich, Waszyngton

Szli w milczeniu długą aleją cementarza w Arlington, obydwój w zimowych mundurach - błękit, białe osłony czapek. On niósł na ręku dziecko, które rozglądało się po kamiennym ogrodzie z tym samym zaciekawieniem, z jakim patrzyło na wszystko, co nowe.

Alan Craik, porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych, miał przypiętą do munduru Srebrną Gwiazdę, przyznaną mu zaledwie przed godziną na nieoficjalnej - prawdę mówiąc, tajnej - uroczystości. Rose Siciliano Craik, komandor podporucznik, dwa tygodnie wcześniej została odznaczona Orderem Sił Powietrznych.

Weszli pomiędzy groby i ruszyli dalej - ona podążając jego śladem, on milczący, skupiony. Znał drogę na pamięć; dwa razy zmienił kierunek marszu i wkrótce znalazł się przed małą tablicą, na której wyryte było nazwisko jego ojca oraz daty narodzin i śmierci.

Niebo było szare. Kamienie, zroszone deszczem, zdawały się świecić bezbarwnym światłem. Wiatr delikatnie poruszał drzewami, na których pojawiły się pierwsze liście.

On podał jej dziecko i podszedł bliżej grobu. Przez dwie minuty stał wpatrzony w kamienną tablicę, z pochyloną głową, tak by żona nie widziała jego twarzy. Potem szybko odpiął otrzymany dopiero co order, zdjął czapkę, kucnął i położył odznaczenie na płycie grobu.

Wyprostował się i przez chwilę stał nieruchomo, z odkrytą głową.

Dziecko poruszyło się w ramionach matki. Spojrzało na ojca, potem na nią.

- Dada płacze - powiedział chłopczyk.

- Tak. - Uśmiechnęła się i mocniej przytuliła synka. - Ale to dobrze. Wszystko już jest dobrze.

On długo nie ruszał się z miejsca. Zaczął wiać silniejszy wiatr i ciszę cementarza Arlington zakłóciły hałasy dochodzące z drugiego brzegu rzeki, ze wspaniałego miasta pomników i sławnych ludzi, przybywających ze wszystkich stron kraju; miasta, które było świadkiem wielu przemian, sporów, czynów i decyzji, w imię których pełnione są długie nocne wachty. Do tego miasta trafi też tych dwoje ludzi, stojących w tej chwili z dzieckiem pośród grobów. Tam czekać ich będą nowe zadania, bo to jedno zostało już wypełnione.